

# Szaniawski Klemens

## OPOWIADANIA

### KŁUSOWNIK

#### I.

Tęga i długa była zima w roku , mróz, jak wziął w końcu listopada, tak trzymał bez pofolgowania do pierwszych dni marca, a śniegu nabierała się moc wielka. Grubym, białym kożuchem rozłożył się on na polach, łąkach, wodach zamrzniętych, a po lasach, gdzie wiatr mu nie przeszkadzał i nie miał do niego łatwego przystępu, tak się ułożył i umocnił, jak gdyby aż do czerwca miał leżeć.

Nie bardzo dobra taka zima... Bydło świata nie widzi, stoi jak zamurowane w oborach, z paszą trzeba się skrupulatnie liczyć, a i na dzikiego zwierza głód przychodzi taki, że rozzuchwala się i do siedzib ludzkich zagląda. Gdzie całymi latami nie słyszano o wilkach, to się czasu takiej zimy przypomną; lisy niby złodzieje podkopują się do kurników, żeby gęś albo kurę porwać; nawet psy muszą się dobrze pilnować, bo wilk, gdy głodny, to i swego stryjecznego brata się czepi.

Cajowy Koguciński, który pod samym lasem mieszkał, a na zwierza był bardzo zawzięty, wypatrywał dobr.ze wszelkie ślady i ścieżynki w lesie, znał dróżki, któremi zwierzyna chodzi, zastawiał żelaza, trutki kładł, ze strzelbą się nocami zaczynał i nie jednego szkodnika uśmiercił, to też miał w komorze coś siedm skór lisich i parę kunich, i obiecywał sobie, że jeszcze to bogactwo powiększy.

Miał już i kupca na ten towar, bo ile razy w miasteczku był, tyle razy Abram Pinkt zaczynał z nim .rozmowę w tym przedmiocie. Byliby już dawno skończyli targ, ale Koguciński drożył się, a Abram znów za bezcen chciał kupić; nawet przemówili się kilkakrotnie z tego powodu. Abram za wygraną nic dawał, wiedział, że skórki prędzej czy później nabędzie, bo kupowanie skórek było jego specjalnością, i nikt mu w tem nie przeszkadzał, konkurencji nie robił i taru nie psuł.

Mając dość wolnego czasu, Abram zastanawia! się głęboko nad istotą handlu skórami i nad misternem urządzeniem tego całego interesu. Troche skombinowany on iest, ale czysty jak kryształ i uczciwy. Dlaczego nie miałby być uczciwy? Powiadają, że Koguciński sprzedaje pańskie zające, że Mateusz Sikora poluje na cudze zające. To fałsz! Czyją własnością jest zajac żywy? — niczyją. Szlachcic powiada, że jego, głupstwo!... Zajac ucieknie do drugiego lasu, do trzeciego, do dziesiątego, i już po własności. Abram ma przecież w miasteczku połowę domu własnego: na tym domu jest dach, a na dachu siadaj;; bardzo często wróble i wrony. Czy Abram może powiedzieć, że to jego wrony? Wcale nie. Abram taki głupi nie iest, bo wrona mogłaby irunąć i zażartować z jego twierdzenia. Iak samo i zajac, dopóki żyje, jest niczyj... co najwyżej należy do swojej żony jeżeli ją ma; człowiekawłaściciela znajduje dopiero po śmierci, chociaż go szuka za życia. Mateusz postawi żelaza, zajac się w nie złapie, Mateusz go schował do torby, wtenczas zajac jest własnością Mateusza. Potem przychodzi Abram, kupuje zajaca za swoje pół rubla własne, dio

n go w swój własny worek i jest właścicielem zająca, ale na krótko, bo zaraz sprzedaje go za kopiejek, i po kilku dniach kupuje z niego skórkę za małe pieniądze.

Abram jest maty kupiec, nabywa skórki pojedynczo, dla takiego, co zbiera ich pełne wozy, a ten znów dla takiego, co puszcza w świat całe wagony skórek.

Interes skórkowy, to zegarek. Małe kapcany i łapserdaki, to małe kółka w nim; one chodzą z głośnym gankiem, z brzękiem, obracając się jak warjaty, szybko, żywo, ciągle, oprócz szabasu. Większe łapserdaki, to większe kółka, mają poważniejszy obrót, nie są tak ruchliwe; za temi znów większemi kółkami siedzi osoba, sprężyna! Ona się prawie wcale nie rusza, a wszystkiemu rudi nadaje, to jest król od zajęczych skórek.

Ola tej sprężyny kręcą się małe kółeczka, obracają większe; dla niej Mateusz zastawia żelaza, a Koguciński zasada nocą przy księżycu, kolo owsianych snopków rzuconych na przynętę.

Abram Jubił rozmyślać o handlu z skórkami, lubił zastanawiać się nad nim, i nie tylko nad nim, ale nad wieloma innymi objawami ży

ela. Mało go obchodziło: cudowne urządzenie natury, jej harmonijność, piękność, siła, jej potęga, a i o natomiast upijał się harmonią — geszefców.

Rozmyślenia nie przeszkadzały Abramowi i oddawać się handlowi, owszem, postanawia! go na pierwszym planie. Skórki Kogucińskiego spać mu nie dawały. Lisie skórki! to nie zwyczajny towar, to już coś w wyższym stylu, a kunie!...

Abram wie doskonale, że jeden wielki purec w miasteczku potrzebuje dwóch skórek na odnowienie kołnierza przy futrze i że rządca z Kobyłek marzy od dawna o sprawieniu sobie lisiurki. Interes gotów, nawet dwa interesa, tylko ten Koguciński twardy chłop. Uparł się jak kozieł nie chce ustąpić. Powiada: „Wolę wcale nie sprzedać, niż tanio sprzedać”. Czysty wariat! Czysty warjat! Co on sobie myśli? Czy ja mu nie pieniędzmi płacę, czy mało zajęcy od niego wykupiłem?

Ostatecznie postanowił Abram udać się do Kogucińskiego osobiście. Mila drogi wcale nie wielki interes, zwłaszcza dla człowieka, który od wczesnej młodości tylko na piechotę handluje.

Bagatela to. Ileż mil drogi odbył w swoim życiu, od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka kursując! (dziś postanowi) pójść. Wprawdzie już się ściemnia, ale to bajki! droga znana i niedaleka, a przytem księżyc świeci. Abram wdział na siebie gruby chałat, podpasął się krajka, iisią czapkę nasunął na oczy i poszedł. Zona odradzała mu tej wyprawy. „Słuchaj”, mówia, zanim wyszedł, „lepiej ty jutro rano idź, lepiej nocuj w domu. jak przystoi na bogobojnego sprawiedliwego żyda”. Abram nie słuchał. Tej nocy księżyc był jakiś bardzo marny i nędzny. Tak niewyraźnie błyszczał z za chmur, jak pani burmistrzowej lampa z poza firanek i zasłony płóciennej. Abram dobrze tę lampę znał, bo świeciła wprost okien jego mieszkania, świeciła się nieraz długo, bardzo długo, prawie do samego rana. I wtem nic nadzwyczajnego niema, ponieważ burmistrz musi mieć tańszy gatunek nafty, niż zwyczajny człowiek. Księżyc nie świecił długo. Wyglądał coraz mizerniej, aż nareszcie całkiem przesta!

świecić, zniknął. Natomiast zaczął prosić drobny śnieg. Abram rozmyślał nad tem zjawiskiem i żałował, że zamiast śniegu nie pada kasza, taka prawdziwa kasza, co można ją sprzedawać po kilkanaście groszy kwarta. Dlaczego nie? Przecież raz już było takie zdarzenie z manna, ale wówczas żydzi nie umieli się poznać na czem dobrem i robili grymasy. Dobrze im tak, nieci teraz jedzą śledzie z cebulą. Śnieg pada coraz gęstszy, zalepia Abramowi oczy. Wogóle głupi to interes, ale pół drogi już zrobione, pozostaje druga połowa; kawałek drogi do lasu, potem las, w lesie z gościńca na prawo, potem trochę na lewo, dalej przez krzaczki na prost, przez mostek na strumieniu, przez łączkę na lewo, znów na prawo w las, i może najwyżej o sto kroków Kogucińskiego chałupa. Dziwna rzecz wszakże, skąd się ten śnieg bierze? Sypie coraz gęstszy i gęstszy, tak, że niema już nieba, ziemi. lasu. pola. tylko sam śnieg. Pełno go w górze i na dole, pełno z wierzchu, z pod spodu, ze wszystkich czterech boków; nie widać ani drogi, ani ludzkiej siedziby, ani drzewa, nic, jest tylko śnieg.

Na domiar złego, zrywa się wiatr i zaczyna tym śniegiem kręcić w niegodziwy sposób. Białe płatki, które dotychczas spokojnie i równo osadzały się na wąsach, brodzie, brwiach i rzęsach Abrama, zaczynają figlować, wciskają się w nos, w usta. za kołnierz, w rękawy; zasypują drogę, niszczą ślady sani, sprowadzają na manowce ... Abram czuie pod nogami jakieś nierówności, uderza się o krzak, zapada w rów; a przytem doznaje dziwnego, nieokreślonego uczucia ... jakby strachu. Może żona miała rację, zatrzymując go w domu? Może, kto wie? Wychodząc z domu. Abram wiedział, że udaje się do Kogucinskiego, ccl miał określony jasno, a teraz sam nic wie. dokąd go nogi zaprowadzą. Jest mu na przemian zimno i gorąco, męczy się. Staął, żeby skombinować, gdzie jest, i czy ma iść na prawo, czy na lewo, naprzód, czy w tył. Kombinacja niełatwa. Świat wydaje się niby wielki garnek, napełniony rozwodnionem mlekiem i grupkami, garnek, w którym niewidzialna żydówka miesza wciąż niewidzialną kopyścią. Czemuż jest Abram w tym garnku? Nędzną krupką, która będąc cięższą niż inne,

spadła na dno i nie wiruje wraz ze wszystkimi, ale ma jeszcze gorszy los, bo leży na spodzie, słaba, bezsilna, a nad nią kłębią się miliony krup i rozwodnione mleko... A co będzie, jak owa żydówka niewidzialna do samego dna kopyścią dostanie i pchnie tę cięższą krupkę, Abrama, w wir szalony?...

To jest całkiem pfe! Zona miała słuszność: po co było chodzić na taką noc szkaradną? W dodatku do wszystkiego złego jest cisza. Żadnego głosu nie słyhać, żadne stworzenie żywe, żaden człowiek nie odzywa się. Czemuż chociaż z daleka nie dochodzi wołanie „hetta!” lub „wista!” Czemu jaki chłop nie jedzie? ” .

Czy potrzeba dowodzić, że w takiej chwili . głos pijanego chłopca byłby się wydał Abramowi słodszy niż dźwięki „Pieśni nad pieśniami”, nad najpiękniejszą melodię?

Niestety, niema nikogo!

Może po raz pierwszy w życiu handel skórkami zajęczkami nie wydał się Abramowi tak słodkim interesem, jak zwykle, ale bądź jak bądź trzeba było iść i dotrzeć do chałupy Koguciuskiego.

ja —

Jest iuz i las. Duży bór, drzewa w nim wysokie, potężne; między niemi Abram bezpieczniej się czuje, odwagi nabiera, kroczy śmieiej.

Kilka razy się potkną, Parę razy zaczepił kapota o jakiś krzak, ale to nie zatrzymywało go, szedł ciągle. Miarkował, że już musi być dość późno, i to przejmowało go obawą. W zwykłych warunkach mógł był już od godziny być w chacie Koguchiskiego, a teraz sam nie wie, gdzie jest. Może blisko od niej, może daleko. Kto podczas zawieji potrafi zbadać, w jakim się miejscu znajduje?

Abram czuł, że pomimo zimna krople potu występują mu na czoło, przyspieszył kroku, iak gdyby uciekając przed nieznanem niebezpieczeństwem.

Naraz rozległ się jakiś dziwny krzyk. Co to jest? Żyd stanął, zaczął nasłuchiwać. Krzyk powtarza! się raz po raz płaczkawie, a dochodził z tej właśnie strony, w którą Abram dążył.

Czy iść naprzód, czy wrócić się? Zdawało się Abramowi, że ten krzyk obcy mu nie jest, że już go nieraz w życiu słyssał ... owszem, nawet dość często słyssał,

lecz kiedy? gdzie? w jakich okolicznościach? Kiedy przed paru miesiącami kupił gęś, i zamknął ją w drwalni, ona zupełnie tak samo krzyczała, ale szczególna rzecz, cóżby teraz gęś miała robić w lesie, nocną porą, podczas zadyмки? Może dzika? Skądby się w zimie znalazła?

Głos dochodzi wyraźniej, Abram nie ma już najmniejszej wątpliwości; istotnie jest to gęś, bardzo szacowany ptak. Abram szedł w stronę, z której głos dochodził, trochę śmiało i trochę ostrożnie, właśnie jako przystoi na człowieka, który łączy w sobie odwagę i przezorność wężową. Szedł trochę śmiało, gdyż wiedział, że gęś nie jest ptakiem drapieżnym i nie rzuca się na ludzi, a trochę ostrożnie, ponieważ nie można twierdzić bezwzględnie, że stworzenie, odzywające się głosem gęsi, ma być koniecznie gęsią. Nawet w razie, gdyby posiadało wszystkie zewnętrzne cechy tego ptaka: dziób, pierze, nogi, gdyby gęgało i znosiło jajka, to jeszcze mogą być pewne wątpliwości. Abram wie o tem, ponieważ czyta wiele, słyszał opowiadania ludzi mądrych i rozumiał doskonale, że nawet w takiej na pozór prostej rzeczy może

być ukryte nieszczęście lub oszukaństwo. W danym wypadku mogą być, opuszczając wiele innych subtelnych i wyrafinowanych, trzy przypuszczenia najprostsze: albo gęgające stworzenie jest zwyczajną gęsią, przypadkowo znajdującą się w lesie; albo jest formą, naczyniem, w którym ukrył się zły duch dla uczynienia Abramowi psoty; albo wreszcie jest czasowem siedliskiem jakiej duszy żydowskiej, pokutującej za grzechy. Uniyst Abrarna skłaniał się ku pierwszemu i trzeciemu przypuszczeniu; przekładał nawet trzecie nad pierwsze, gdyż zabrawszy gęś i zjadłszy ją, uwolniłby zarazem pokutującą duszę, co jest uczynkiem bezwzględnie dobrym. W miarę zbliżania się do miejsca, z którego głos dochodził, Abram czuł, że serce coraz silniej w nim kołata, ale wysiłkiem woli opanował wrażenie i do pewnego stopnia zapanował nad niem w rzeczy samej; raz dlatego, że gęś, choćby nawet r. ajchudsza, warta jest przynajmniej pół rubla, a powtóre, że handlując przez całe życie skórkami dzikich stworzeń i zwierzyną, człowiek mimowolnie zyskuje na odwadze, jak herbata w sąsiedztwie świec tojowych zyskuje na zapachu.

Idąc wciąż, ostrożnie, nad słuchując i wyteżanie wzrok", Abram doszedł do krzaka, poza którym rozlegało się wyraźnie gęganie. Przystanął, wychylił głowę, z poza gałęzi, i ujrzał w odległości trzech kroków, od siebie prawdziwą, dużą, siodłą gęś. Doskonale można było na śniegu widzieć jej szare skrzydła, które trzepotała rozpaczliwie, mając prawdopodobnie związane nogi.

Abram szybko skombinował, że jego drugie i trzecie przypuszczenie upada, że nie ina przed sobą zamaskowanego szatana, ani pokutującej duszy, lecz zwykłą gęś, którą prawdopodobnie pijany chłop miał na wozie i nie zauważył, że spadła. Doskonale interes do zrobienia, tylko się schylić, gęś zabrać, zanieść do domu i urządzić z niej wspaniałą ucztę dla rodziny. . . .

. Wobec tak pięknego a niespodziewanego zysku Abram postanowił, w razie gdyby Koguciński bardzo się przy cenie skórek upierał, postąpić mu po sześć groszy na lisich, a po dziesięć na kunicfa.

Niech się i on z bogaci!

Niestety, wszelkie wogóle kombinacje ludzkie mają tę wadę, że bjrwiąją niepewne

i omylne. Niewiele też na nich można budować.

Gdy Abram prawa ręką chciał wziąć gęś, stało się coś nadzwyczajnego. Ziemia się zapadła i biedny handlarz skórek wraz ze swą niespodziewaną zdobyczą wpadł w przepaść.

II.

We wsi Kurkach, nieopodal lasu położonej, w chacie na samym skraju błysnęło światelko. Przez małe okno o czterech szybkach można było dostrzedz sylwetkę człowieka, uwijającego się po izbie przy jaskrawem, niigołliwern świetle łuczywa. Człowiek ten wdział na siebie sukmanę, przepasał się rzemieniem, włożył czapkę na głowę, wyciągnął z za pieca krótką strzelbę i zagasiwszy ogień na kominie, wyszedł z domu.

Zawieja ustała, śnieg już nie padał, księżyc ukazywał się chwilowo, to znów skrywał się w szarych chmurach. Było już późno. W którejś chacie kur zapiał; za nim odezwał się drugi, trzeci, dziesiąty, i odgłos tego piania, niby hasło czuwających stróżów nocnych, po wsi się rozlegał. Człowiek z krótką strzelbą na ramieniu nie uda! się droga przez wieś, lecz

zaraz za chatę swoją wyszedłszy, zwrócił się w pole i dążył pewnym krokiem w stronę lasu. Ciemno było, zadymka zatarła wszelkie ścieżki i pozawiewała brózdy, ale człowiek ów szedł śmiało, pewno, jak gdyby o południu. Mogło się zdawać, że ciemności nie istnieją dla niego, że idzie na pamięć.

Nie było w tem nic dziwnego. Mateusz Sikora w tej wiosce się urodził, w tej okolicy blisko sześćdziesiąt lat przeżył; znał prawie każde drzewo w okolicznych lasach, każdy krzak, kamień, rów. Przez bagna dla nikogo niedostępne potrafił przechodzić suchą nogą, po kępach, pniach nawpół spróchniałych, kłodach drzew, od niepamiętnych czasów przez burze zwalonych.

Rzeka ani jezioro nie miały dla niego tajemnic, znał wszystkie brózdy, mielizny, głębie. Wiedział, gdzie raków szukać, gdzie wędy zarzucić, gdzie węcierze, lub bębenki zastawiać. A i myśliwy był z niego znakomity, szedł do cudzego lasu jak do własnej spiżarni i brał co chciał i co mu było potrzeba. Strzelbę nosił z sobą, ale używał jej rzadko, wolał polować po cichu, żeby i prochu nie marnować i hałasu niepotrzebnego nic robić. Na lisy tniał trutkę,

na sidła, ptastwo w sidła brał, lub innymi sposoby, a zawsze zręcznie, cicho, nieznanie. Nie chwalił się talentem swoim, rozgłosu unikał, a ile zwierzyny, ile skórek w swym życiu sprzedał, o tem Abram Pinkt mógłby dużo powiedzieć.

Mateusz umiał nawet i obstalunki załatwiać, lecz to razy zgłaszali się do Abram! różni panowie z miasta, żądając kuropatw, zajęcy, czasem nawet sarny, na dzień oznaczony. Abram przyrzekał, że będzie, i szedł jak w dym, do Mateusza. Mateusz przyrzekał, że dostarczy i szedł, jak w dym do lasu... a zawodu nigdy nie zrobił. Sławny chłop, można było na jego zapewnieniu polegać, i z tej przyczyny w mieście doskonale wiadano, że słowo Abrama, w razie potrzeby, znaczy zupełnie to samo, co zaduszony zajęć.

Z powierzchowności Sikora wcale na wielkiego myśliwca nie wyglądał, był chłop niepokazny, niski, krępy, o twarzy wygolonej, nie zdradzającej ani inteligencji, ani sprytu; tylko w małych, czarnych oczach jego malowało się życie i przebiegłość. On od tylu lat ścigał zwierzynę i sam nieustannie był ścigany od ludzi, którzy o własności wyrobili sobie najdzi

wacniejsze pojęcia. Gdy Mateusz tropił zwierzynę, jego samego tropili gajowi, leśniczowie, nadleśni. Umiat ich jednak unikać. Borsuk nic potrafił tak zręcznie skryć się w jamie, zająć nie umiał tak przycupnąć w podorywce, iak Mateusz wywijał się swoim prześladowcom.

za co go prześladowali? Za co grozili mu karami, sądem, a niekiedy nawet dobrym nabojem śrutu? Musimy się zapoznać bliżej z Mateuszem. Był to niebogaty człowiek. Miał całej fortuny dziewięć morgów, z serwitutem na lesie i na ugorach; miał stodołę, oborę i zwykle chłopskie obejście, konia, kilka sztuk bydła, troche gadziny. Dla jednego byłoby to aż nadto, ale Mateusz nie był jeden. Nie licząc dożgonnej towarzyski życia, miał dwóch synów, dwie synowe, córkę i zięcia. Wszystko to siedziało na owych dziewięciu morgach, chciało iść dobrze, ubierać się, a nawet i pieniądze składać, bo już iaka ludzka natura; iak kto ma grosz, i" chce dwóch, uia dwa, żada pięciu, a potem mu iuż i tysięcy mało.

Mateusz gospodarstwo dzieciom oddał, a sani przemysłem żył własnym, tyle, że mu cd czasu do czasu jeść dali w chałupie. tam

co prawda rzadkim bywał gościem. Czasem na Uwa, na trzy dui znikał, i nie wiadomo, gdzie w;ę podziewał. Cospodarstwa nie lubił, główcie polowaniem się trudnił; czasem w dobrej kompanji po drzewo do cudzego lasu się wybrał i .sosnkę liii) dębczaka tak cicho wywiózł, że straż nie domyśliła się wcale; czasem znów puszczał się w drogę na dłużej, w dalsze okolice, a co tam robił, tego nikt nie wiedział i nic domyślał się nawet. Mateusz ani czytać, ani pisać nic umiał, obce mu były również wszelkie cyfry, ale z rachunkami dawał sobie radę. Robił kozikiem różne znaczki na kiiu, a takie akuratne i dokładne, że nawet Abram Pinkt, który w buchalter)! kreda na szafie bardzo był

biegły, nie mógł nigdy Mateusza w pole wyprowadzić. Chłop ząb za ząb się kłócił i zawrze żyda przekonał. Najczęściej wynikały spory przy rachunkach za kwiczoły, jemiołuszki i wogółe drobne ptaszki. Abram mówił:

„Słuchajcie. Mateuszu, we wtorek był mendel i trzy ptaszki, we czwartek jeden ptaszek i dwa mendele... to razem dwa mendele i pięć .

Mateusz uśmiechał się tylko.

„No, mówię wam wyraźnie: dwa mendele i pięć sztuk... Co więcej żądacie?”

„Nic, jeno mi Abram zapiać, co się należy”.

„Owszem, zapłacę”.

„To liczcie jeszcze raz?”

„We wtorek mendel i trzy”.

Mateusz spojrział na swój kij. policzył palcem karby, kiwnął głową i rzeki:

„No, tak”.

„We czwartek”, mówił dalej Abram, „jeden i dwa mendele”.

Mateusz znów spojrział na kij.

„Juści”, rzekł, „dwa i jeden. Sprawiedliwie”.

„Ja zawsze sprawiedliwy jestem, i dlatego zapłacę wam za dwa mendele i pięć ptaszków”.

„Nic, Abram zapłaci za trzy mendele i cztery ptaszki”.

„Za ile? za ile?”

„Za trzy mendele i cztery”.

„niaczego?”

„Ho tak stoi na kiju”.

„Nic, ja wam zapłacę za dwa mendele i pięć. bo tak stoi na szafie”.

...la biorę podług kija”.

„Co to za gadanie! niby to wasz kij ,a być mądrzejszy niż moja szafa?” „Bo i nie co”.

„Wy macie źle w głowie. Mateuszu”. Chłop obojętnie przyjmował takie wymówki, a gdy się trochę zniescierpliwiał, mówił z pozornym spokojem:

„Abramie, czy wy macie całe kości?” „Co to za głupie pytanie!” „Tedy radzę po dobremu zapłacić ile się patrzy, bo mogę wpaść w gniew i przetrącić wam iaki gnat!”

„Stary rozbójnik! Tfy!” „Stary cygan!”

Często zdarzały się takie sprzeczki, ale ostatecznie kończyły się zgodnie. Chłop oszukać się nie dał i Abram płacił co się należało, Cóż miał robić? Z natury handlu, jakiemu się oddawał, wielce cenił! dobry i stały stosunek ze znakomitym tępicielem zwierzyny; musiał mu nawet pochlebiać, częstować go niekiedy, a w potrzebie i drobnym kredytem



wygodzie. Specjalność, jakiej się Mateusz oddawał, nie była łatwą. Tropił ciągle i sani był tropionym, co wymagało wielkiej przytomności umysłu, bystrego oka i ucha. To też wyrobił sobie

wzrok koci, a słuch zajęczy; jednak mimo tego, dostawał się niekiedy przed kratki sądowe i kilkakrotnie w kozie siedział. Pierwszy raz trzy dni, potem miesiąc, ostatnio dwa miesiące.

„I za co?”

Za to tylko, że sędziowie mieli dziwaczne pojęcia o własności, nie mogli zrozumieć, że co innego ukraść, a co innego wziąć.

Bywają takie twarde głowy.

Mateusz nieraz zastanawiał się nad tym szczególnym objawem nieudolności ludzkiego umysłu. Dlaczego lada kto rozumie, że co innego jest młócić, a co innego strzelać, co innego orać, a co innego gwizdać, a „wziąć” i „ukraść” biorą za jedno!

Aczkolwiek prosty chłop i niepiśmienny. Mateusz coś rozumie, zdaje mu się nawet, że dużo rozumie. Nieraz, mając czas wolny, położy się w polu pod krzakiem, albo zimową porą w izbie na przypiecku i myśli. Myśli

zwierzyńce, ptakach, siłach, a wreszcie

o sobie samym, o nieustannym zatargu z tymi, którzy go tropią i śledzą, jak dzikiego zwierza. Jest na świecie dużo rzeczy niezrozumiałych ... Miram, na przykład, nie może zrozumieć, dlaczego wolno zabić zającą w grudniu, a nie wol

— si

no w maju; dlaczego w pewnym okresie czasu zabity zając jest przedmiotem wolnego handlu i może być sprzedany tak jak jest; w innym ma znów koniecznie mieć pieczęć łaskową na uchu... a jeszcze w innym okresie staje się kontrabandą, którą zabierają, konfiskują jak deiraudowan.j wódkę lub szwarcowany tytuń.

Abramowi to się w głowie nie mieści!... boć przecię dla zająca jest wszystko jedno, czy zostanie zjedzony w tym lub owym miesiącu, czy po śmierci będzie miał ucho opieczętowane, czy nie... On zapewne wolałby żyć i nie spotykać się nigdy ani z Mateuszem, ani z Koguciiiskim. ani z tymi panami, co urząd, a i sobie polowania dla zabawki.

Myśli, zaprzatające Mateusza, są cięższe, poważniejsze, a co prawda, i trudniej rodzą się w mózgu, niż myśli Abrama ... Żyd. jak żyd, do spekulacji wszelakich ma dar, kombinuje szybko; w chłopskiej głowie idea obraca się powoli, niby koło ciężkiego wozu w piasku ... pojęcie urabia się z trudnością, rośnie iak drzewo, wolno, po troszeczkę!, ale też a to, jak się urobi, wyrośnie, jak korzenie zapuści, to już go ani naruszyć, ani wyrwać; trwałe jest iak mur, niewzruszone jak skała...

I

Mateusz idzie ku lasowi zadumany, bo i ma o czym.

Za kilka dni wypada mu stawić się do sądu i o co? o głupi dąbek, wywieziony nocną porą, cichaczem. Ze sprawy nie będzie nic, bo za rękę nie złapali, dowodów niema, a poszlaki niewiele znaczą... Koguciński za świadka ina stawać, ale choć przed ludźmi za Mateuszowego wroga uchodzi, w gruncie za jedno z nim trzyma... i sam zresztą nie jest czysty jak szkło... Koguciński sprawy nie popsuje, ale trzeba się z nim porozumieć, naradzić, żeby niby oskarżał, a w rzeczywistości bronił, mówił i tak i siak, i to i owo, a jedno żeby się drugiego nie trzymało. Wreszcie i Abram będzie za świadka podany, a żeby zeznał, że tej nocy, podczas której dąbek skradziono, Mateusz w miasteczku był i właśnie u Abrama nocował. Dziesięciu żydków to widziało i w razie potrzeby mogą nawet zaprzysiądz ...

Sędzia będzie na to zeznanie głową kiwa, niech sobie kiwa. głowa należy do niego i wolno inii z nią robić co chce; ale kiwanie prawdy nie wzruszy...

Powiadają, że dąbek ukradziono nocy czwartkowej i oskarżają o to Mateusza, a prze

cież faktem jest, że Mateusz sprzedał w miasteczku jakiś dąbek we czwartek i tego dnia nie powracał do domu, lecz nocował u Abrania. To jest prawda sprawiedliwa; różnica może być tylko w definicji, która właściwie noc jest czwartkowa: czy ta, co idzie po czwartku i poprzedza piątek, iak sądzi Abram i jego przyjaciele. Wolno sędziemu myśleć tak, Abramowi wolno myśleć inaczej, ale rację ma Abram.

Dla czego? Dajmy na to, że kobieta stała się wdową i powtórnie wyszła za męża. Któż jest jej mężem: czy ten, co przeszedł, przeminął i nic jest; czy ten, który żyje? Oczywiście ten drugi... Tak samo i noc nie mogła należeć do czwartku, który jeszcze nie istniał ... Możliwy w tym dowodzeniu, chcąc przedmiot do gruntu wyczerpać i w szeregach go zbadać, odwrócić kota ogonem i przedstawić rzecz z innej strony, na odwrót i jeszcze raz na odwrót, ale w danym przypadku nie idzie o dysputę, tylko o sąd ... więc można poprzestać na skróconej procedurze myślenia... Wobec takich świadków i wobec Kogucińskiego, Mateusz nie lękał się sądu, ale przykra mu była mitręga, włączenie się, strata czasu. Tej nocy, na taką niepogodę wolałby spać,

aniżeli iść do Kogucińskiego, ale trudno, w kozic siedzieć nie rozkosz; lepiej żelaza na zające zastawiać, lub lisy truć ... Idąc, rozmyślał; czuł się; obrażonym. Zapozwano go o kradzież, to znaczy, że pośrednio nazwano go złodziejem, a on przecież złodziejem nie jest... i nigdy nim nie był. W Boga wierzy, pacierz mówi. dziesięcioro przykazań umie na pamięć. Wie, że siódme przykazanie głosi: „nie kradnij”, i on nie kradnie. Nie wyprowadził nocą konia ze stajni, nie

sięgnął do cudzej kieszeni, nic wyniósł cudzego zboża ze spichrza, nie wyłamał zamków, nie rozbił cudzej skrzynki ani kufra, i nazywają go złodziejem! Za co? że wziął jakiś marny dąbek!  
I znowuż to ta niezrozumiana przez ludzi różnica pojęć ...  
Mateusz zastanawia się i pyta sam siebie.  
Czy jest złodziejem ten, kto pije wodę z cudzej studni? — Nie.  
Czy jest złodziejem, kto odpoczywa w cieniu przydrożnego drzewa? — Nic.  
Czy człowiek zbierający grzyby lub jagody w lesie cudzym jest takim samym łotrem, jak ów, co kradnie gospodarzom ko

nie? — Nic. Siódme przykazanie powiada: „nie kradnij...” — ale nie mówi: „nie bierz”.  
Mateusz, gdyby go zaproszono na konferencję i kazano mu wymotywować szczegółowo swoje poglądy, nie wywiązałby się z zadania. Co najwyżej, podrapałby się w głowę, przestąpił parę razy z nogi na nogę i uśmiechnął się z politowaniem na ignoracją swych przeciwników.  
I o czego oni właściwie chcą? Zabrać komu bicz z furi, to znaczy ukraść, zerwać grzyb w lesie, to znaczy wziąć. Bicz kupił właściciel od żyda na targu i zapłacił, jak wiadomo trzy grosze: grzyb wyrósł z ziemi sam. z woli Bożej, nikt za to grosza nie dal... Sądy tego nie rozumieją ... podług nich wszystko jest kradzieżą: a czy kto bierze tylko, czy kradnie, nazywają go jednakowo złodziejem ...  
Wtem właśnie krzywda i niesprawiedliwość.  
Idzie Mateusz, rozmyślając o tem, idzie, nie patrząc na drogę, którą na pamięć zna... idzie szybko, bo mu zimno, bo wiatr dojmujący dmie przez sukmanę, przez kozuch, wierci iak świderkiem, aż do kości.

aki najgorszy. Lepiej w trzaskający mróz wędrować, niż podczas wiatru.  
Już jest las, jeszcze kawałek do celiaty Kogucińskiego, najwyżej pół godziny drogi. Trzeba pospieszyć.  
Stary wyga Kogut, przez grzeczność Koguciuskim nazwany, choć jego dziad i pradziad Kogutem po prostu się zwał, ma różne sposoby na rozgrzanie. Drzewa nie kupi, więc piec u niego w izbie zawsze gorący, a i flaszę niejedną chowa w ukryciu ... Taki ma życie porządne. Pensja go dojdzie, ordynarja, fantowe, a i za skórki coś skapnie ... Słowem pan, i nie goni go nikt, po sądach nic włóczy, wyrokami nic trapi, kozą nie grozi...  
Śnieg ścieżki pozawiewał, ale to dla Mateusza głupstwo. Idzie śmiało, nie pyta, byle prędzej pod dach, do ciepłego pieca, do flaszy ... Wiatr szkaradny z każdą chwilą się wzmaga ... Szczęśliwy, kto nie potrzebuje domu w takiej chwili opuszczać!  
III.  
Kiedy się stało to nieszczęście, że ziemia się zapadła i Abram z gęsią znikł w Przepaści, to byją. chwila okropna..

Jedno sięgnięcie krótkie, urwane w polowie, ostatnie, ieden jęk przeciągły, trzask łamanego cwiróstu czy gałęzi, a potem cisza ... cisza, ciemność i chłód.

Abramowi zdawało się, że spada długo, bardzo długo, choć w rzeczy samej w okamgnieniu na dwie owei przepaści się znalazł; gęsi zapewne nie zdawało się nic, bo raz, jako gęś, nie miała wyrobionego sadu o rzeczach, a powtóre Abram ja tak fatalnie przygniótł ciężarem swego ciała, że odrazu wyzionęła ducha...

Na głowę Abrania spadła cała fura cwiróstu, za kołnierz nasypało mu się z garniec śniegu...

Narazie, oszołomiony, przytomność stracił, i upłynęło pewnie z dziesięć minut, zanim przyszedł do siebie o tyle, że mógł zawołać: ai w ai I

Jest to dobry znak. Człowiek, który w nieszczęściu może to słowo wymówić, nie jest całkiem zgubiony, jeszcze ma apelację... Gorzej bywa, gdy krzyknąć wcale nie potrafi, gdy niemoc zwiąże mu język, a strach zamuruje UStą iak cementem.

Z początku zdawało się Abramowi, że wybiła ostatnia jego godzina, ale uszczypnąwszy

się mocno w policzek, uczul ból, a cóż iest

wymowniejszym dowodem życia, jak cierpienie? Zresztą, gdyby nie żył, musiałby przedtem widzieć, chociaż przez chwilę, straszego anioła śmierci, patrzącego groźnie tysiącami oczów i wstrząsającego mieczem, na którego ostrym końcu wiszą trzy krople trucizny ... Gdyby umarł, bolałaby go dusza, rozłączona nagle z ciałem ... a tymczasem boli go tylko kolano, które stłukł sobie, padając... Cóż go więc spotkało? gdzie jest? Otoż to najważniejsze pytanie. Może go piekło pochłonęło żywcem, wraz z ową gęsią kusicielką, która istotnie mogła być posłanniczką złego ducha ... Ale nie ... W piekle nic może być tak zimno. Twierdzą uczeni, że piekło ma siedmdziesiąt tysięcy ścian, tu niema wcale ściany; w każdej ścianie siedmdziesiąt tysięcy szpar, tu niema wcale ani jednej szpary; w każdej szparze siedmdziesiąt tysięcy bardzo brzydkich owadów, tu ich także nie widać... Można namacać ręką jakieś gałęzie i śnieg, dokoła ziemię gliniastą ... można, rzuciwszy okiem w górę, zobaczyć cokolwiek przyświecający księżyc i na tem bledziuchnem tle czarne gałęzie sosen ...

To nie jest piekło, nie, to ziemia, z drzewami, z wiatrem, od którego gałęzie skrzypią i szum się robi. To nie jest życie zaświatowe, ale to, które Abram od kolebki praktykuje, które miało piękne chwile, piękne skórki, i tylko wyjątkowo teraz stało się nad wyraz ciężkiem i brzydkiern.

Jest to wielka prawda psychologiczna, że człowiek, który w co niedobrego wpadł, ma tylko jedną myśl: iakby się z tego niedobrego wydobyć ... Nie mówiąc o topielcach, prawdę tę mogą poświadczyć obywatele siedzący w kozie, mężowie kłótliwych żon, procederzyści oskarżeni o kontrabandę i wielu, wielu innych, niemających szczęścia do handlu. Abram do wyjątków także nie należał. Szukał wyjścia. Obmacał ściany przepaści, były dość gładkie; zaczął poszukiwać na duie. czy nie znajdzie jakiego narzędzia, sznura, drabiny, czegokolwiek. Namacał przeklętą gęś. Była jeszcze trochę ciepła, ale martwa i nieruchoma. Kopnął ją nogą ze złością, czemu nie trzeba się dziwić: ona była główną sprawczynią nieszczęścia, więc też Abram nie uważał za konieczne być względem niej uprzedzająco grzecznym i galantem. Gdyby nie ona,

nie iei głupie gęganie, Abram siedziałby teraz w ciepłej stancji u Kogueińskiego, targował się z nim o skórki, może byłby je iuż nabył dotychczas, a tak...

Są podobno jakieś półkobiety półryby śpiewające, które zamieszkują w wodach i wdzięcznym głosem wabią nieostrożnych na pewną śmierć lub nieszczęście. Warte one akurat tyle, co ta gęś!

Abram mozoli się, szuka sposobów wyjścia z jamy, ale nie może ich znaleźć. Wpada w gniew, zlorzeczy i na płacz mu się zbiera, a zarazem czuje się zawstydzonym, dlaczego dał się skusić? On! mądry człowiek, stateczny mąż. pierwszy znawca skórek, dał się oszukać głupiej gęsi.

To istotnie wstyd! Wydobyć się z przeklętej jamy niesposób. Żeby choć było widno, ale księżyc taki dziś skąpy, żałuje odrobiny światła. Do dnia czekać ... Zimowa noc długa jest jak nieszczęście, można zmarznąć, zanim widno się zrobi.

.Iuż półtorej godziny szarpał się Abram w swem więzieniu, gdy nagle uszu jego doszedł odgłos jakiś niewyraźny, zdawało mu się, że ktoś idzie, bo stukanie powtarzało się równo, ima

rowo, czasem cichsze, widocznie przez śnieg tłumione, to znów wyraźniejsze nieco, to wywołujące suchy trzask. Widocznie idący nastąpił na zeschlą gałązkę i złamał ją.

Nic ulegało wątpliwości, że ktoś idzie i że zruierza wprost ku przepaści. Ktokolwiek jest, poratuje, da pomoc, ale trzeba mu dać znać o sobie, niech nie ominie tej jamy, niech zwróci kroków w inną stronę, niech wie że nieszczęśliwy potrzebuje ratunku. Była chwila wahania ... Abram pomyślał, że może ten, co nadchodzi, jest zły człowiek, rozbójnik? Ale nie. Cóżby robił w lesie o tej porze? Zapewne jest to jaki gajowy, kłusownik, złodziej leśny, takich zaś Abram zna i nic obawia się wcale.

Gdy Abram zaczął wołać o pomoc głosem wielkim, odgłos kroków ucichł. Idący zatrzymał się, stanął za sosną i słuch wycężył nic magąc sobie na razie zdać sprawy z tego, co się dzieje.

Tymczasem płaczliwy lament nie ustawał. Mateusz, gdyż on to właśnie szedł, mający niezmiernie czułe ucho na wszystkie szmery leśne, łowiący najmniejszy szelest i zawsze zdolny rozróżnić, skąd on pochodzi, tym razem nie mógł nic wymiarkować. Głos był przytłum!

ny, dobywający się iak gdyby z piwnicy. Mateusz poznał tylko, że to lamentuje żyd i że głos jego podobny do głosu Abrama. Co u licha?

Powoli, z zachowaniem wszelkich ostrożności, szedł Mateusz ku miejscu, z które : odzywały się ięki, a po chwili nie miał już żadnej wątpliwości, że ratunku wzywa Abram.

„Abranie! Abramie!" zawołał, „gdzie jesteście?"

„Albo ja wiem?" odezwał się głos płaczliwy, prawie przy nogach Sikory, „albo ja wiem?... Jestem w bardzo niedobrym miejscu".

„Skąd żeście się tu wzięli?"

„Ja nie wiem, dalibóg! Była gęś... gęgała ... chciałem ją wziąć ... ziemia się zawaliła, wpadłem... gdzie? może do piwnicy, może do suchej studni..."

„Alia!" rzeki Mateusz „to już wiem: wpadliście w wilczy dół".

„Wszystko mi jedno, gdzie wpadłem, tylko pomóżcie mi wyleźć, mój panie Mateuszu, ja w as bardzo proszę, pomóżcie mi... ja wam doskonale sprawę poprowadzę, ja w am św ia.l

— se —

ków dobrych dam, ja was poczęstuję, tylko umie stad wyciągnijcie..."

„Cicho. no cicho!" odezwa) się chłop, „nic potrzeba krzyczeć, ani głośno gadać, bo to las, a w lesie sosny mają uszy ... Czekajcie..."

Mateusz zdjął z siebie pas rzemienny, wydobyl z kieszeni kawał sznura, i związawszy jedno z drugim, miał czem Abrama wycia gnać. Zbliżył się do dołu i ieden koniec sznura wpuścił w głąb.

„Frzewiązcie się w pasie mocno", rzekł, i „to was wyciągnę. Też ochota, żeby w wilczy dół włązić... Nie wiem, co wam się na starość przywidziało..."

Mateusz mruczał gniewnie, Abram tymczasem przewięzywał się rzemieniem. „Aby mocno związać", radził Sikora.

„Nu, nu, już ja skrępuję się na moc, na dziesięć węzłów. Oj, Mateuszu, panie Mateuszu, chyba was sam Bóg w to miejsce przyprowadził. Skąd wyście się tu wzięli po nocy?"

„A wy skąd?"

„Ja do Kogucińskiego szedłem za skórkami, i przez tę gęś... niech ją licho porwie" „Ta też do niego.. No, związaliście już?"

„Już. Albo czekajcie, jeszcze jeden węzeł... zawsze będzie bezpieczniej. No już!”

„Ciągnę, a wy rękami i nogami pomagajcie sobie ... aby na wierzch”.

„Aj, aby na wierzch!...”

Mateusz oparł się silnie na nogach i ciągnąć zaczął. Nie łatwo to szło, bo Abram był ciężki; unióśł go jednak na pół łokcia w górę.

Nagle Abram zawołał:

„Czekajcie!”

„Cóż?”

„Spuśćcie mnie jeszcze na dół, zapomniałem”. „Czego?”

„Nu. trzeba przecię zabrać gęś, po co ona w dole ma zostawać”. „Toć nie wasza”.

„Iakto nic moja? czyja ma być?”

„Tego. który dół zrobił”.

„Niech go nieszczęście spotka za ten dół, a gęś moja, bo ją znalazłem; niech choć to mam a moje cierpienie, za strach”.

„Zwariował stary!” mruknął Mateusz, popuszczając sznur.

Abram naniacał przedmiot swych poszukiwań, uczepił go u pasa i zawołał:

„Nu, Mateuszu, już!”

Chłop wyteżył wszystkie sity, pociągnął, ale zaledwie do wysokości łokcia mógł Abrama podźwignąć. Ziemia była pokryta śniegiem, więc punkt oporu dla nóg niepewny, śnieg się z pod nieb usuwał.

Próżno Mateusz używał całej siły swych jędrnych rnskułów, nie mógł poradzić. Żyły, jak baty grube, wystąpiły mu na skronie.

„A bodajże cię!” mruczał, „toćby wołu już wydobył. Sposobu niema, takie żydzisko ciężkie”.

„Oj, żeby moje wrogi takie ciężkie życie mieli”.

„A, wrogi, wy zawsze z wrogami! Puśćcie w ruch nogi i ręce, drapcie się po ścianie, bo ja rady nie dam”.

„Nic mówcie takie słowo!” „Sprawiedliwie. Ciemno, choć oko wykol, miesiąc za chmury się schował. Żeby było widno, wiedziałbym przynajmniej, o co się oprzeć”,

„No, nie straszcie mnie, Mateuszu, ciągnijcie mocno. Wy, taki silny mężczyzna, co się pięciu gajowych nic złękniecie, nie dalibyście rady biednemu żydkowi?... Co ja ważę?..

ia nic nie ważyć, trzy skórki zajęcze mają większą wagę, niż ja. Ciągnijcie, proszę was.

„Dalibóg, nie dam rady”.

„To co będzie?” zapytał nieskopojujny Abram.

„Albo ja wiem?”

„Bójcie się Boga, Mateuszu, przecie ja tu nie mogę nocować w tym szkaradnym dole”.

Mateusz nie odpowiadał, namyślał się.

„Słuchajcie, Abramie”, rzekł już po eli wili, która się Abramowi wiekiem wydała. „tu jeszcze z godzinkę posiedzieć”.

„Co?”

„A tak. Wy tu zostaniecie, a ja pójdę po Kogucińskiego: we dwóch wydzwigamy was. ja sam nic potrafię. Odwiążcie sznur”.

„To nie może być, ja was nie puszczać”, zawołał Abram pół z płaczem, „wy musicie mnie wydobyć!”

„Próbowałem, ale nie mogę”.

„Nie, wy możecie, wy musicie mieć, ja wam każę mieć, ja was proszę. Mateuszu, ja z wami: tyle lat handlowałem, ja was nigdy nie ukrzywdziłem, ja was wynagrodzę, ja was pieniędzmi obsypię, ja wam całe dwa złote dam”.

„Mój Abramie, co to pomoże?” tłumaczył chłop, „nie dam rady i tyle. Po co bałamucić i tracić czas. Idę”.

„Proszę was, jeszcze raz spróbujcie”. „Et!! próżny zachód, i tyle”. „Spróbujcie, ja wam pomogę, będę się czepiał rękami i nogami, mój Mateuszu!”

„Skoro koniecznie, spróbuję, ale już ostatni raz”

Owinął sznur koło ręki, oparł się mocno nogami i z całych sił ciągnąc zaczął. Abram gramolił się po ścianie dołu, wykrzykując radośnie:

„Git, git! jeszcze trochę, ai. Mateuszu, wy macie moc, wy ciągniecie jak maszyna parowa, wy wielki mocarz, wy jesteście ...”

Nic dokończył zdania, gdyż ziemia, naciśnięta ciężkim butem, osunęła się i chłop wpadł do dołu.

„A niechże cię siarczyste!” zawołał, „potrzeba mi było żyda słuchać”. Abram dygotał z przerażenia. „Chyba cię tu na pieprz utłukę, stary cyganie”.

„Wyście mnie już i tak utłukli”, ięczał Abram. „Zbiłem sobie drugie kolano, a co teraz będzie? co teraz będzie?”  
Chłop milczał.

„Mateuszu, ja was pytam: co teraz będzie?”



„Będziemy siedzieli w dole, iak wilcy, dopóki nas kto nie wydobędzie. Dobrze mi tak, że głupiego słuchałem, i strzelba tam została pod drzewem. Żeby was!” mrucał dziad iak niedźwiedź, a był tak rozgniewany i zły, że Abram bał się odezwać.

Wtulił się w kąt i przykucnął ku ziemi, zda uszy się zupełnie na woię losów. Już nie wysilał mózgu nad sposobami wydobycia się z kłopotu. Na co? Jest przecież Mateusz, niech psuje sobie głowę: on się na takich rzeczach rozumie lepiej, niż najlepszy handlarz skórek. Z gorszej biedy wydobywał się nieraz.

Chłop czasu nie tracił: Wydobył zapalną z kieszeni, potarł o szorstki rękaw kapoty, zaświecił. Dół był głęboki, ściany miał ścięte równo, na dnie leżało trochę chróstu. Wydobył krótką fajkę z kieszeni, zapalił ją i usiadł na ziemi.

Mateusz ostrożnie zgasił zapalną, ciemność wydała się jeszcze większa.

„Na co gasicie ogień?” odezwał się Abram szeptem.

„Bo tak trzeba”, odparł kłusownik szorstko. Przykucnął na ziemi i zaczął po omacku szukać między cieniostem grubszych gałęzi. Znalazł kilka, połamał je i usiłował wbijać w ścianę dołu.

„Żeby chociaż brzegu ręką dostał” mówił. Ale kołki niezastrzone nie dały się utkwic w twardej ziemi, zresztą nie było czym wbijać. Widząc, że nie da rady, chłop dał za wygrane; wydobył krótką fajkę z kieszeni, zapalił ją i usiadł na ziemi.

„Co wy myślicie robić?” zapytał Abram. „Czekać dnia”, rzekł Mateusz flegmatycznie.

„Całą noc?”

„A jużci! zanim dzień będzie, to noc upłynie. Od niepamiętnych czasów iak bywało”.

„Wy chyba jesteście drewniany człowiek. Mateuszu!” zawołał Abram. „Dlaczego?”

„Jakto? tu jest dół, dziura w ziemi, noc. nieszczęście! a wyście sobie siedli, iak u sie

bie w izbie, i palicie fajkę! Tfy! tak tylko głupi ludzie robią”.

„A cóż mądrzy powinni czynić?”

„On się pyta, co czynić! Ratować się, szukać sposobu, skakać do góry, krzyczeć gwallu!”

„Ja woię fajkę palić!”

„Ia wiem, on woię fajkę palić! Możebyście woleli położyć się całkiem i spać na tycli patykach i na śniegu, jak na pierzynie?”

„A jakby Abram wiedział; skoro mi się spać zachce, to się położę i zasnę”.

„Czysty warjat! A co ja mam robić?”

„Abram niech skacze do góry i prosi Boga, żeby kto trzeci do naszej kompanji nic przyszedł”.

„Iaki trzeci? skąd? co on za jeden jest? „Wilk”.

„Pfc! dajcie pokój, niech jego nieszczęście, niech on lepiej nogę ziarnic! co on ma do uas za interes?”

„Do Abratiia wilk zawsze ma interes, bo nosi na sobie skórę na sprzedaż; piękna skóra kilka rubli warta, potargujcie”.

„W y Mateuszu, macie taką lekkość do żartów, jak krowa do tańca, po co takie

głupstwa powiadacie? jeszcze w takim miejscu i po nocy!"

Chłop najobojętniej fajkę palit i milczał, W tej sytuacji niewesołej różnica temperamentów obu przyjaciół, ich usposobień i poglądów, uwydatniała się bardzo jaskrawo. Abram nic mógł ustać na miejscu; przestępował z nogi na nogę, dreptał, wzdychał, jęczał, Mał, patrzył w górę, nasłuchiwał, obmacywał ściany dołu. Mateusz zaś siedział nieruchomo, pociągał dym z fajeczki i z cierpliwością przedziwną czekał dnia i przybycia Kogucińskiego. Taką już miał naturę.

Nieraz zdarzało się, że potrzebował paszportu, i przyszedłszy o dwie mile drogi do gminy, dowiedział się, że pan burmistrz pojechał i wróci dopiero wieczorem. Gdyby Abram, przyszedłszy do magistratu, miał takie zdarzenie, toby przedewszystkiem badał policjanta, woźnego, sekretarza, kasjera, dopytywałby się. kiedy burmistrz wyjechał? do kogo? po co? dostałby się do kuchni, zapytał służącej pani burmistrzowej, dzieci pana burmistrza, piętnaście razy w ciągu dnia wpadłby się dowiedzieć, czy burmistrz nie przyjechał, czy przypadkiem nie przysłał depeszy albo listu, czy się nic zro

bila iaka odmiana? Mateusz wprost przeciwnie: siedzia) na progu, iacit chleb, palił iajkę, potem napił się wody ze studni, znów jadł chleb, znów palił fajkę, i tak do samego wieczora, a gdy na to przyszło i do samego rana oczekiwał. Abram myślał sobie w duchu, że Mateusz jest głupi, cham nieokrzesany, że jego mózg śpi, a jeżeli się przebudzi, to tylko na to, aby obmyślić, w jakim miejscu żelaza pozostawiać, albo ile za zajęcia zażądać.

„Słuchajcieiio, Mateuszu”.

„Co?”

„Czy wam się nie przykrzy tak siedzieć?” „Nic”.

„Ja nie rozumiem. Mnie się zdaje, że wy macie taką kamienną naturę, że gdyby nawet śmierć przed wami stanęła, to wy nie wypuścilibyście swojej kochanej fajki od gęby”.

„Wypuściłbym”.

„Ai. aj! no. nie spodziewałem się pu was takiej gwałtowności”.

„Wypuściłbym fajkę dla tego. że skułobym wiedział, że mnie zaraz śmierć czeka, to i owiłbym pacierz i prosił Boga miłosiernego żeby mi odpuścił grzechy”.

„Alebyście się bardzo lękali?”

„Czego?”

„Śmierci!”

Chłop się rozśmiał.

„Mój Abramie”, rzeki, „nie wiem ja, jakie są wasze żydowskie stare zakony, ale podług naszego, śmierci się lękać nie godzi, a i niema też czego. Bóg życie daje i Bóg je odbiera, a przeciw woli Jego żaden mocarz nie poradzi. Niema się czego bać, bo naprawdę umiera tylko ciało, a duszę Bóg bierze i podług zasługi sprawiedliwość jej wymierza. Dobra śmierć to jest łaska Boża, i każdy człowiek powinien się modlić, aby dobrze umarł”. Abram obruszył się:

„Co wy pleciecie dziwnego, mój Mateuszu. Małe dziecko by tego nie powiedziało. Jakto: dobrze umarł? Co to jest? Kto kiedy niedobrze umarł?”

„Oj, oj!”

„Fe, Mateuszu! dziwno mi, dalibóg. Wiadomo, że krawiec może źle uszyć kapotę, szewc sfuszerować parę butów, ale śmierć nie faszkuje nigdy, jak kogo, broń Boże zadusi, to dobrze”.

„Nie o takiej dobrej śmierci ja mówię”.

„Ona zawsze jest niedobra, niech naszych wrogów spotka!”

„Z woli Boskiej idaea”.

„Nu, to prawda, ja nie powiadani, że inaczej, owszem, to od Boga jest, to musi być, ale „ie wiem, czy to taki dobry interes, żeby o nią prosić. Lepiej prosić o życie”.

„Czy tak, czy siak, umierać trzeba”.

Abram zadumał się.

Śmierć, myślał, pochodzi od Boga, tak jak i życie, ale człowiek życia pragnie, a śmierci się broni? Ktoby nie chciał uciec przed nieubłaganym jej aniołem, wykonawcą Boskich wyroków? Przecież nietylko mali, zwyczajni ludzie, ale tacy wielcy, jak król Dawid, jak prorok Mojżesz, tite chcieli umierać. Abram czytał o tem dwie prześliczne legendy. Król Dawid wiedział, że umrze w sobotę, i anioł śmierci napróżno usiłował go zabić, aż dopiero za pomocą dowcipnego podstępny życie mu odebrał. Mojżesz groźnie i z gniewem przemówił do anioła śmierci, nazwał go łapserdakiem i wcale nie chciał mieć z nim do czynienia, tak, iż sam Bóg zawołał do siebie tę duszę wielką i hardą. Tacy ludzie, a przecież "ie chcieli umierać, cóż dopiero mówić o zwy

łych, pospolitych żydkach. Czy dziwić się, że w czasie niebezpiecznej choroby wielu z nich zmienia Imię swoje, aby tem anioła śmierci w błąd wprowadzić? Każdy ratuje się jak może, a ten głupi chłop gotów spokojnie czekać na śmierć,

jak na pieniądze za skórkę, lub na paszport w gminie. Dziwny chłop, co się w jego głowie dzieje! Ale oni wszyscy tacy sanu. Zdarzyło się już Abramów! widzieć chorego chłopca, który ostatek sił wywlócił się na podwórko, aby wybrać suche deski na trumnę.

Abram chciał dysputować na ten temat, ale Mateusz nie odpowiada! wcale, zdrzemnął się, a może usnął na dobre.  
IV.

Długo oczekiwany świt przyszedł nareszcie. Konary drzew zarysowały się na szarem, zachmurzonym tle nieba, śnieg nie padał. Abram powitał tę chwilę z najwyższą radością i natychmiast zaczął budzić Mateusza.

„Nu, obudźcie się!” wołał, szarpiąc chłopca za ramię, „dzień ja! wól”. „Już?”

„To jest latine słowo to wasze „już”. Widać spaliście doskonale, skoro tak prędko noc wam zesłała”.

„A już ci!” odrzekł Mateusz ziewając.

„No, ruchajcie się teraz, radźcie co, już widno”.

Mateusz wstał, przeciągnął się i myślał jakiś czas.

„Nu co? nu co? pytał z niepokojem Abram. „Nu, no nic”.

„Jakim sposobem moje być nic? musi  
coś być”. „Bajki!”

„Co to znaczy bajki?” . „Żeby noc nie była taka ciemna, byłbym się wnet z tego dołu wydobył”. „A teraz?” „Zaraz wjiesz”.

„Więc nie będziecie czekali na Koguciuskiego?”

Mateusz, nic nie mówiąc, wydobył z kieszeni nóż, zaostrzył nim kawałek gałęzi, znalezionej na duie, i zaczął wbijać wgłębienie w ścianie dołu. Gdy ieh zrobił kilka, dostał się po nich w górę, tek, że rękami dostał brzegu jamy. Tyle mu tylko było potrzeba. Uehwy

Ij—

ciwszy się za wystający z ziemi korzeń, wznosił się na rekach do góry i z wielką zręcznością na powierzchnię się wydobył.

„A ja? a co ze inną będzie?” wolał Abram. „Zaraz, zaraz, a! jaki to w gorącej wodzie kąpany!”

„Zróbcie tak samo jak ja”. „Nic potrafię; oj. Mateuszu, nie zostawcie mnie bez pomocy, poratujcie!”

„A to niezdar!” mruczą! chłop a związawszy rzemień ze sznurem, spuścił go na dół.

„Obwiążcie się, albo bierzcie powróż do ręki, spróbuj was wyciągnąć teraz, kiedy już widno nie wpadnę”.

Oparł się silnie o drzewo i dźwiga! Wtem nagle z poza drzew a da! się słyszeć gruby, basowy głos.

„A, dalibóg, Mateuszu, co za wiele to nie zdrowo. Przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem. Malo wam dąbka, mato zający, jarząbków, cietrzewi, teraz wam się zachciało wilka! Żeby tak zdrów był, nie dam! Mój dół i wilk mój!”  
Mateusz poznał od razu Kogtcińskiego. Nie odwracając się i nic puszczać sznura z rąk, rzekł:

„Bierzcie go, Janie; sprawiedliwie on wasz i ja z niego żadnej korzyści nie chcę mieć”.

„A cóż wy żywcem go bierzecie?” zapytał Koguciński.

„Aha”.

„Fli! to nic, zastrzelić bestia już, dużo on mi utrapienia i szkody narobi), takiego mi pieska dobrego zadusi), żeby za niego dziesięć rubli nie chciał. Palnąć mu w leb i już”.

„A to palcie” odezwał się Mateusz.

Abram, który tę rozmowę doskonale słyszał), wrzasnął na cały głos:

„Panie Koguciński! nie bądźcie wy wariat! ja was proszę, ja Abram”.

„Wszelki duch Pana Boga chwali!” zawołał gajowy, „a to co?”

„A to taki wilk” rzekł Mateusz. „Z wieczora szedł do was za skórkami, usłyszał, że gęś gęga, chciał ją wziąć i wpadł w jamę; ja przed północą szedłem do was, usłyszałem krzyk, chciałem żyda ratować i też wpadłem w dół.

Siedzieliśmy w dole do świtu; teraz ja wydobyłem się i jemu pomagam, ale kaducznie ciężki”.

Przy pomocy Mateusza i Kosciuszki Abram wydobył się na powierzchnię. Otrzeptał kapotę z ziemi i śniegu i rzekł:

„Nie spodziewałem się po panu Kogucińskim, że mi takiego figla zrobi”.

„Aiboż Abram jest wilk? Na was nie robiłem dołu”.

„Ale zawsze. Kto widział, żeby w lesie urządzać takie interesy. Może przechodzić podróżny, dobry człowiek, najlepszy przyjaciel, pfe! Ja wam powiadam, że wy to wszystko robicie przez złość do żydów”. „Do żydów?”

„No, a dlaczego na przynętę wzięliście gęś?”

„A cóż miałem wziąć?”

„Trzeba było użyć na taki interes taką malutką, całkiem malutką, za pozwoleniem, świnkę, to ja bym w dole nie nocował, ani Mateusz też”.

„A kto was tam wiedział, że się złakotnicie” rzekł gajowy.

„Już przepadło”, rzekł Abram, „co się zrobiło, to się nie odrobi: tymczasem, panie Koguciński, ja do was szedłem według tych skórek”.

„Jak dobrze zapłacicie. to sprzedam”.

„I ja też do was szedłem, Janie”, dorzuci! Mateusz.

Koguciński na niebo spojrzął!

„Jeszcze ludzie śpią”, rzekł, „ale trzeba się spieszyć. Abram, jak Abram, może u mnie w chałupie być, ale Mateusz.

Niech noby przypadkiem leśniczy albo rządzca obaczył go w mojej stancji, toby mnie wnet na cztery wiatry przepędzili, a co prawda miejsce zte Mie iest”.

„Ja wam też, Janie, przeszkody robić nie chcę” odezwa! się stary kłusownik; „cały mój do was interes to jeno według owego głupiego dąbka, co mi o niego sprawę zrobili”.

„Niby jaki?”

„A no. żebyście Janie, w sądzie nic opowiadali za dużo”.

„Koguciński śmiechem parsknął.

„Alboż mi to pierwszyczna? Nie bójcie się Mateuszu, wyjedziecie ze sprawy czyści jak szkło, nic wam nie będzie. Ja nie głupi”.

„Aj, panie Koguciński”, wtrącił Abram, „ja wiem, wy na taki interes macie rozum, tylko na drożenie się ze skórkami to wy żaden rozum nie macie”.

„Ja”, rzekł Mateusz, „nic będę was, Janie, dłużej frasował; pójdę sobie lepiej wprost do domu, żeby nie było na was jakiego posadzenia, a wy z Abramem handle swoje prowadźcie”.

Nie bardzo Koguciński zatrzymywał Mateusza, gdyż, bądź co bądź, dla gajowego, jako dla stróża lasów, towarzystwo kłusownika i rabusia leśnego iest do pewnego stopnia kompromitujące. Co w sercu, co w myśli, to swoją rzecz, ale dla oczu ludzkich potrzebne jest d eorum. Pies nie będzie się przyjaźnił z kotem, ani wilk z barankiem, wobec ludzi wrogami trzeba być. Szczerze też wdzięczny był Koguciński Mateuszowi, że sobie poszedł i że go obecnością swoją nic kompromitował.

Znajomość z Abramem również nie mogła być uważaną za zaletę Kogucińskiemu, iaki) gajowemu, ale ostatecznie jeszcze to uchodziło.

Abram iest żyd, a to zupełnie zmienia postać rzeczy. Sam hrabiadziedzic ma żyda, plenipotent główny również, rządzca także, leśniczy nie inaczej, dlaczegóżby ieden Koguciński miał być tego przywileju pozbawiony?

Byłoby to niesprawiedliwie. Zresztą wiadomo, że Abram handluje skórkami, a Kogu

ciński ma w kontrakcie wyraźnie, że wolno mu truć i tępić wszelkimi sposobami dzikie zwierzęta i szkodniki. Skoro wolno tępić, to wolno i skórki sprzedawać, stąd też wizyta Abrama może mieć niejake pozory legalności.

Szli sobie tedy w dobrej komitywie, gawędząc, trochę żartując, a trochę o interesie mówiąc, zwyczajnie jak dwaj przyjaciele.

„Chciałbym jak najprędzej być u was w chałupie”, rzeki Abram, wstrząsając się nerwowo.

„Tak wam o skórki chodzi?”

„Co prawda, najbardziej o moją własną skórę, bo strasznie przeziąblem”.

„Toć ognia na kominie nie brak, w lesie mieszkam”.

„Aj, to dobrze, ale mnie i we środku bardzo zimno, zdaje mi się, że jestem, bron Boże, worek wypchany samą frybrą”.

„Gorzałkę mam z kroplami, i taki znów spirytus, co nalany jest na brzożowe pączki, i taki, co na mrówki, i taki, co na żywokost, het precz od każdej słabości, i zioła leśne, insze do picia, insze do kadzenia, insze znów do czego innego, i skrom zajęczy, i borsukowe sadło i różne różności”.

„Takiem prawem to wy macie więcej lekarstw, aniżeli nasz aptekarz w miasteczku”.

„Więcej nic, ale lepsze, bo aptekarze najwięcej trzymają proszków doktorskich na lekka śmierć, a ja według poratowania zdrowia”. „Poratujcie mnie od frybry”. „A dawno was trapi?” „Tymczasem nie trapi, ale będzie trapiła; ja czuję, że ona już we mnie siedzi”.

„Nic wam nic będzie, rozgrzejecie się w izbie”.

Doszli do chałupki Kogucińskiego. W pierwszej izbie przy kominie uwijała się baba lat średnich, krępa, przysadzista, o wejrzeniu ponurem i nicchętnym.

„O!” zawołała, ujrawszy Abrama, „tak rano wyszliście cyganić... co?”

„Najpierw ia pani KogucińskieJ”, odrzekł, „powiadam w grzeczny sposób „dzień dobry”, zdrowia pani życzę”.

„Eh! dzień, komu dobry, to dobry, a zdrowie mogę mieć z Boskiej łaski nie z żydowskiej”.

„Mnie się zdaje, co pani miała dziś przykre spanie”.

„Jakie miałam, takie miałam. Komu do tego zasię!”

„Jagno”, zaczął Koguciński, „nie bądź ty taka sprzeczna, dalibóg, słuchać niemiło”

„To sobie uszy zatkać pakułami”.

„Jaguś, pókim dobry”.

„Bądź sobie zły, garnek z gorącą wodą iesz”.

„Na co państwo w kłótni macie być”, rzekł poważnie Abram, „ja tu naumyślnie, w pani Kogucińskiej interesie, przyszedłem”.

„Co?”

„Żeby tak zdrów był”. „To gadajcie żywo”.

„Woię poczekać, aż pani będzie dobra, zresztą maleńki to interes”.

„Czy duży, czy mały, trzeba powiedzieć”.

„Po co? Ja nawet nie wiem na pewno, że pani nie lubiła nigdy...”

„Korali?”

„No, takich czerwonych korali, co kobiety na szyji noszą”.

„Pokażcież ie żywo!”

„Ja wcale nie powiedziałem, że mam korale przy sobie, tylko że przyszedłem rozmówić się według korali. Czasem bywa takie zda

rzenie, że się trafia rarytna rzecz, a bardzo tanio”,

Kogucińska zmieniła od razu humor i stała się nader uprzejmą. Wybiegła też zaraz do komory, aby przynieść flaszkę z jakimś rozgrzewającym kordyałem.

Gajowy z podziwieniem spojrzął na Abrama.

„Skąd wam korale na myśl przyszły?”

„Aj, panie Koguciński, niby z was wielki myśliwy, a takiej prostej rzeczy nie znacie. Wiecie, że wilka trzeba łapać na gęś, a nie możecie zmiarkować, że babę bierze się na korale”.

Gdy Kogtirińska powróciła do izby, Abram zaimprovizował na poczekaniu cały poemat o tych nadzwyczajnych, wyjątkowo pięknych koralach. One pochodzą z zagranicy, z takiego miasta, co nad wielkim morzem leży. Kupione zostały przez jakąś bardzo bogatą hrabinę, która potem zapisała je swojej wnuczce, ta wnuczka później wyszła za mąż i zbiedniała. Korale znalazły się w zastawie, potem przepadły; nareszcie znalazły się i znów poszły w zastaw, później ukradli je. Złodziej sprzedał bardzo tanio, kupiła je i nosiła iedna bar

dzo znaczna kupcowa, ta kupcowa późnie! podupadła i skapcowała, a teraz można je kupić za darmo, i niezawodnie w księgach przeznaczenia zapisano, że właścicielką ich zostanie pani Kogucuiska. Opowiedział dalej Abram, jak te korale wyglądają: są czerwone jak krew, bardzo czerwone, a każdy co do ich wielkości jest prawie taki jak orzech, a przynajmniej jak duży groch, albo wreszcie jak ziarnka pieprzu. Bywają przecież male orzechy i duie ziarnka pieprzu ... Ostatecznie najpierwsza dama może taką ozdobę na szyji zawiesić.

Kogucińska była nadzwyczaj zadowolona.

„Drogi one?” zapytała.

„Mówiłem pani. Kogucińskiej, że tanie jak barszcz. Za marne pieniądze można je kupić. Żydówka nic zna się, sama nie wie, co ma. Zresztą nasze żydówki nie są amatorki na korale. Co innego perły. Moja żona przez siedm lat suszyła mi głowę, żeby jej perły kupić”.

„Napijcie się. Abramie, wódki”, rzekła baba, nalewając kieliszek.

„Aj, aj! owszem, bardzo chętnie. Niech będzie na zdrowie pani Kogucińskiej”.

„Pijcie zdrowi”.



Abram przeprosi gospodarzy, włożył czapkę i modlitwę krótką odmówi), potem wychyli! kielich.

„Aj!” rzeki, „teraz mi lepiej. Ja powiadam, że czasem kieliszek wódki wart jest tysiące. Teraz, panie Koguciński, możemy pogadać o skorkach; ja umyślnie za tem przyszedłem; wezmę wszystkie, ile macie... i lisy i tchórze”.

„Dobrze”.

„Tylko niech usłyszę od was ostatnie słowo”.

Gajowy powiedział cenę, na którą Abram się oburzył.

„Jak żyję, nic podobnego nie słyszałem!” zawołał. „Co to jest... za głupiego tchórze żądać jak za niedźwiedzia... a za lisy! Żeby one z czystego jedwabiu sierść miały, jeszcze nie byłyby tyle warte. To jest świat! aj waj! czy to można handlować?... czy można żyć...”

„Ja nie odstąpię”.

„Nic odstępujcie. Wasze skórki, wasza wola; moje pieniądze, moja wola. Ja też nic odstąpię. Tylko moje pieniądze nie zepsują się i będą zawsze pieniądze, a wasze skórki wyle

nieją i zmarnują się do szczętu. Będziecie z nich mieli sobole ... co w plecy kole ...”

„Nie kupicie wy, to kupi kto inny... Żydów na świecie dość...”

„Owszem, może zawiezicie do Warszawy ... wieźcie. Tu koto nas nie będzie nikt Abramowi handlu psul. Niech pani Kogucuiska tę sprawę osądzi... teraz korale za bezcen, a on chce za skórki brać jak za złoto!”

„Bo pewnie, że się za bardzo drożysz”, wtrąciła baba.

Koguciński spojrzął na żonę zdumiony.

„Toć sama kazałaś”, rzeki bojaźliwie.

„Ja? ani mi się śniło”.

„Wyraźnie powiedziałaś, żebym się ani ważył, bo ...”

„Przywidziało ci się. Żeby inszemu żydami, to rozumiem ... Ale Abram spokojny człowiek, krzywdyśmy od niego nie mieli.!

„To jest stówó sprawiedliwe i mądre”, rzeki Miram. „Zaraz poznać kobietę rozumną, choć tego po sobie nie pokazuje... W oczach ina złość, ale w sercu dobroć. Jak przemówi, myślałby kto, że smoła i siarka z nici leci, a to jest sam miód. Wy nie jesteście

warci takiej kobiety, panie Koguciński, naprawcie uani powiadam”.

„Bo mu też opuść, Janie, proszę cię”.

„Ha, skoro tak żądasz, to opuszczę. Przybijam!”

Klapnął Abrama w dion, aż się rozległo po izbie.

Żyd się skrzywił, lecz z targu był kontent. Koguciński przyniósł z komory skórki; obliczyli, ile za wszystkie razem wypada, przyczem nie obeszło się bez sprzeczek, ale ostatecznie doszli do ładu.

„No, Bogu dzięki, już!” rzekł Abram, „teraz będę mógł spokojnie iść do domu”. „A, jeszcze nie ...”

„Dlaczego?... Przecież wam za wszystko zapłaciłem co do grosza ...”

„Należy się jeszcze za gęś”.

„Co?... albo ja u was kupowałem kiedy gęś?...”

„Wszystko iedno... zadusiliście mi iedną tam w dole”.

„Wstydzicie się, panie Koguciński, takie głupstwa powiadać... Gdzie w tem rozum, myśl! Aj, jaką ciężką głowę macie! Wamsie

należy za gęś, którą miał zjeść wilk ... Gdyby ją zjadł istotnie, czy zapłaciłby za nią?...”

„Zdjąłbym z niego skórę”.

„To nie jest moneta”.

„Ja z was też zdejmę kapotę, skoro pieniędzy dać nie chcecie”.

Koguciński spojrział przytem tak ponuro i groźnie, że Abram cofnął się przestraszony.

„Ej, stary!” odezwała się baba, „tylko Abrama nie strasz”.

„Niech zapłaci za gęś”.

Wywiązała się długa dyskusja, a w końcu stanęło na tem, że Abram tylko czwartą część wartości gęsi zapłaci, chociaż i to wydało nui się bardzo niesłusznchni i nieuzasadnionem.

„...Iakże z tymi koralami?” zapytała Kogucińska.

„Oj, oj! jak pani chce. Kiedy pani będzie w miasteczku, to ja przyniosę i pokażę”.

„Mam ja i dziś właśnie do zrobienia sprawunek” rzekła baba, a zwracając się do męża, dodała: „Zaprzęgnijno, stary szkapę do sanek, to pojedziemy. Niema w domu soli, pieprzu też potrzeba ... różności”.

Koguciński zaczął się drapać po czuprynie.

„No, czegoż stoisz? sfyszysz, że soli niema W chałupie”.

„Kiedybo, widzisz, bez pozwolenia od leśniczego nie mógłbym pojechać”.

„To nie jedź”.

„A jakże będzie?”

„Pojadę sama z Abramem. On zmrożony, to będzie bardzo rad, że mu się okazja trafi”.

Abram zerwał się z ławki.

„Pani Kogucińska!” zawołała „ja pani bardzo dziękuję za grzeczność, za laskę... ale jechać panią nic moge”.

„Dlaczego?”

„Dlaczego? zaraz dlaczego... Nie mogę. Ja lubię bardzo chodzić na piechotę, moje nogi mają taką naturę, że jak się rozmachają, toby szły, szły, szły... choćby na sam koniec świata”.

„Abram coś kręci”.

„Wcale nie, broń Boże!... tylko ja powiem prawdę: ja zupełnie w inną stronę mam iść”. „A dokąd?” „Do Wólki”.

„Możemy pojechać i przez Wólkę: pół j milki w bok... nie koniec świata. Idź, Janie, I zaprząż”. J

Koguciński roześmiał się głośno.

„Kobieto” rzekł, „ty Abrama nie namawiaj, on z tobą nic pojedzie. Nie wolno mu podług jego zakonu”.

„Co?”

„Niech sam powie”.

„Owszem, dlaczego nie? Wolno... tylko trzeba, żeby z nami jeszcze kto jechał... nic wiele osób: pięć, trzy, choćby wreszcie jedna, byleśmy sami nie jechali... bo, widzi pani Kogucińska... niby tak we dwoje to nie pasuje...”

„Chyba wyście, Abramie, zwariowali na starość ... Co też wam do głowy przychodzi!... czy myślicie może, że ja się was boję? Koniec świata prawdziwie!... jak życie, nic podobnego nie słyszałam...”

„Niech się pani nie obraża, niech się pani nie gniewa ... Pani wiadomo, że ja jestem stateczny żyd, stary człowiek i że mam w głowie same skórki; mnie też wiadomo, że pani Kogucińska jest kobieta stateczna, też już nie młoda...”

„No, no... chyba mi Abram w zęby nie zagląda!...”

„Aj, aj! o co się gniewać? Pani Kogucińska jest kobieta godna, porządna a w tej chwili

ma w głowie tylko trochę soli, trochę pieprzu i trochę koralu... więcej nic. Oddzielnie to pani Kogucińska jest osoba, i ja też jeszcze jestem osoba... ale w drodze to my potrzebujemy jeszcze jednej osoby... Niech Koguciński jedzie z nam”. „Mówiłem, że o pozwolenie trzeba prosić”. „To co? jechać na leśniczówkę i poprosić”. Koguciński spojrzał na żonę, a ta skinęła głową nieznacznie, poszedł więc konia zaprzędz. Baba wybiega do komory, aby się ubrać do drogi i pieniędzy wydobyć trochę z ukrycia. Abram sani w izbie zostawszy, grzał ręce przy kominie i myślał.

Przedewszystkiem zastanawiał się nad tem, skąd dostać koralu, po które Kogucińska jedzie, bo te, o których i! opowiadał, istniały tylko I w jego fantazji. Trzeba było czemś babę zaii I leresować, ułagodzić jej gniew, skłonić do zni I zenią ceny skórek, więc Abram wymyślił ko j rale. Cóż teraz robić? Przedewszystkiem I trzeba korzystać z bezpłatnej furmanki i wy f godnie pojechać do domu; w domu poprosić I żony, żeby przepytła znajome żydówki, czy która nie ma jakich koralu na sprzedaż. Jeżeli I znajdzie się taka, to dobrze, można będzie od I

jednej i od drugiej strony coś zarobić; jeżeli się nie znajdzie, to także dobrze. Abram powie, że właścicielka koralu akurat na ten czas wyjechała na parę tygodni, a przez ten czas można będzie nie tylko jeden sznur, ale choćby całą ćwierć używanych ozdób kobiecych sprowadzić.

W najlepszej harmonii i zgodzie państwo Kogucińscy i Abram usadowili się w sankach i pojechali. Abram oblicza! w duchu, ile na skórkach zarobi; baba marzyła o koralach, a Koguciński o osobliwej jakiejś wódce, do której miał zawsze pociąg.

Leśniczy, aczkolwiek z trudnością, pozwolenie udzielił, podróż odbyła się pomyślnie. Po dokładnym wybadaniu wszystkich niemal żydówek w miasteczku, pokazało się, że koralu niema. Abram musiał opowiedzieć historię o niespodziewanym wyjeździe właścicielki.

Kogucińska wpadła w bardzo zły humor, ale Abram nie wzruszył się tem wcale. Od tego jest mąż, niech on cierpi.

V.

„Oj, Mateuszu, Mateuszu”, mówił Abram wzdychając, „na świecie niezawsze dobrze

— S —

jest. Człowiek żyje, handluje, czasem trochę szachruje, zarobi albo straci, ma z tego kawałek chleba”.

„Ha, jak na świecie. Każdy podług swojej kalkulacji”.

„Me do tego ja moja mowę prowadzę, Mateuszu, wcale nie do tego. Zarobić każdy potrzebuje, tak czy owak, zapłacą mu lepiej, albo gorzej, to zwyczajna rzecz, na to jest świat, na to jest handel; ale czasem trafi się taki interes, co nie jest handlowy, a gorszy niż najgorszy handel”.

„Nie wiem, o czym chcecie mówić”. „Moi kochani, narzekacie nieraz, że obrachunek z żydem jest ciężki; ale wierzcie mi, że sto razy cięższy jest rachunek z ludzką sprawiedliwością. Z żydem może być tylko kwestja o parę złotych, o parę rubli: wy mówicie, że dajmy na to dziewięć, ja powiadam cztery; wy I trochę opuścicie, ja cokolwiek postąpię, zgo I dzimy się na cztery i pół. Jest jedna kwestja tylko: wam chodzi o pieniądze i żydowi chodzi o pieniądze, więcej o nic. Z sądem wcale co innego. Spalił się żydowski dom, dla czego nie miał się spalić? przecież nie jest ze szkła, tylko z drzewa, płaci się od niego fajerkasę, podatki.

Spalił się. Kogo to ma obchodzić? Gospodarza. Tymczasem wdaje się w ten interes sąd. Pyta się. O co? Wiadomo, że ogień to jest ogień, nieszczęście, zdarzenie, wypadek, prawda, Mateuszu?”

„Juścić prawda”.

„No, widzicie; a sąd powiada, że nie; że ogień nie jest wypadek, ani nie jest zdarzenie, tylko podpalenie, i zaraz gwałt, pisanie, sprawa, kryminał, cała awantura”.

„Znaliście młodego Icka Kruka?”

„Dyc znałem”.

„Bardzo porządny żydek, krewny mój nawet; handlował sobie spokojnie sola, postronkami smołą, olejem, naftą, zwyczajnie jak kupiec. Miał też połowę domu obok czarnego Berka. Było nieszczęście, ten dom się spalił, i dom, i smoła, i nafta, i postronki, i ośmnaście domów obok. Było niemało zmartwienia. Icek płakał, lekowa mdlała, dzieci pochorowały się ze strachu. Czy to małe nieszczęście? Widać, że jeszcze za małe, bo przyszli dwaj strażnicy i zabrali Icka do kozy”.

„A wiem, już chyba półtora roku siedzi”.

„Siedzi i jeszcze będzie siedział, i za co? Za to, że mu się dom spalił, za to, że Icek han

ólował okiem, smołą i naftą. Co w tem za grzech? Przecież nie każdy może handlować brylantami. Oj, to jest ładne życie, Mateuszu!” „I co z nim będzie?”

„Nie wiadomo; sprawa ta w apelacji. Adwokat powiada, że Icek wygra”. „Oj!”

„Wygra, to znaczy, że pójdzie na cztery lata do kryminału”. „No, więc przegra”.

„Podług adwokackiego powiadania wygra: bo mógłby dostać wyrok na ośm lat, a tak będzie miał cztery lata w zysku. Taki młody, porządny żydek, co on już wycierpiał!” „Powiadają, że w kryminale źle nie jest”. „Jak dla kogo. Chłop taki, co potrzebuje I na kawałek chleba siekierą pracować, albo ło I patą, to ma w kryminale rajskie życie. Dostanie dobrze jeść, może leżeć cały dzień i nic nie robi. Ale żydek wcale co innego. On han I dłuży jest, musi się ruszać, jeździć, myśleć I mieć, rozmaite interesa prowadzić. Z kim je I będzie w takim paskudnym miejscu prowa I dził? Każdy dzień to jest czysta strata. Po i co te sądy wymyślili, ja nie wiem. Tylko na I przykrość ludzka, na nieszczęście”.

„Aj, mam i ia z nimi dosyć skrętu”.

„Albo nie? W tej chwili pewnie wolelibyście spać, i jabym wołał spać. Jest noc, jest zimno, a my musimy siedzieć na saniach i wlec się do sadu, żeby rano już stać przed kratkami. Za co? Za to, że was posądzili o dąbek. Ja wiem, żeście go ukradli; wy powiadacie do mnie pod sekretem, żeście go wzięli, a sędzia będzie gadał, żeście go nie wzięli, tylko ukradli. Chciałbym ia kiedy na swoje stare lata zobaczyć taką sztukę, żeby kto czego nie wziął, a ukradł. Chybaby samo do niego przyszło, a w takim wypadku też nie byłaby kradzież, tylko przyjscie. Dużo złego jest w świecie, Mateuszu, dużo krzywdy, niesprawiedliwości, przykrości”.

Rzekłszy to, Abram westchnął kilka razy głęboko i jęknął, jak gdyby owe niesprawiedliwości ludzkie sprawiały mu ból fizyczny w głowie, w sercu, w wątrobie i we wszystkich kościach.

Było ciemno, droga wyboista, nierówna. Mateuszowa szkapu wlekła się powoli, a właściciel nie przynagla! jej do pospiechu. Nie jadą przecież na wesele, tylko do sądu; a choćby

człowiek był niewinny iak nowonarodzone dziecko, to także po wyrok nie pędzi jak szalony.

Kilku żydków, mających stwierdzić, że Mateusz czwartkową noc przepędził w miasteczku, wyjechało pierwiej na wynajętej furmance. Opuścili oni swe ogniska domowe jesz cze za dnia, gdyż mieli zamiar zrobić w okolicy kilka tranzakcji na kury, jaja, masło i inne produkta gospodarskie. Abram z Mateuszem razem pojechał, bo mu tak było najdogodniej; przytem w drodze, po nocy, handlarz skórek bezpieczniejszym się czuł w towarzystwie swego generalnego dostawcy i przyjaciela.

„Co wam tak dolega, Mateuszu?” zapytał Abram. „Czy boicie się o sprawę? Wierzcie mi, że nie ma o co. Nie z takich interesów ludzie wychodzą. A może martwicie się, że tej zimy bardzo lasów pilnują? I to bajki. Ja wiem, że przed wami oni niewiele upilnują. Aj ten koziołek, cośmy go temu trzy tygodnie przehandlowali, to był piękny kawałek zwierzyny! Na moje sumienie, śliczna sztuka. On pewnie z hrabiowskiego lasu pochodził?” „A juści”.

„Wy jesteście eaiy mechanik. Mateuszu,, na tyle gajowych, co tego lasu pilnują, potraficie ...”

„Ej, co tam! żeby ich było dwa i trzy razy tyle, nicby mi nie zrobili, zresztą nie zabiłem koziołka w hrabiowskim lesie, ale na chłopskim gruncie pod lasem”.

„Mój Mateuszu, skąd wyście mogli wiedzieć, że on tam jest?”

Chłop się roześmiał.

„A skąd Abram wiedział, że u Kogucińskiego są skórki z tchórzów?”

„Koguciński mi mówił, a wam koziołek nie mógł powiedzieć ...”

„Ja też go nic pytałem”.

„Ciekawość, doprawdy, jak wy z (a. zwierzyną radzić sobie umiecie! A może macie sposoby sekretne?”

„Co o tem gadać... Człowiek zabiega i pracuje, jak umie, aby dalej, aby dalej do śmierci...”

„Fe. Mateuszu, wstydźcie się. Co wy macie za przyjemność ciągle tylko śmierć wspominać!... co w niej dobrego? Człowiek nie powinien tego słowa wymawiać, bo czasem można w złą godzinę... Wam się zdaje, że

jak człowiek umrze, to mu już dobrze .. Aj, Mateuszu, jemu wcale niedobrze, bardzo niedobrze; iemu przykro, on jest przestraszony, on cierpi, on się boi, on krzyczy".

„Bajki!... skoro umrze, to już nie cierpi; a jeżeli żył uczciwie i przykładowie, według przykazań Boskich, jeżeli nie pomarł w grzechu, to mu na tamtym świecie lepiej. Tam wszyscy równi, wszyscy pocieszeni, szczęśliwi..."

„To wszystko może być, Mateuszu... ale ja wolałbym do końca świata skórami handlować; na tamte szczęśliwości zawsze człowiek ma czas. One nie uciekną, i nie ominą... Są na świecie ludzie uczeni, mądrzy, nabożniki; oni się znają na piśmie, oni wiedzą, co było, co jest i co będzie; dla nich nie sekret, co w wodzie, co na ziemi, co między gwiazdami; oni mają sposoby na złe duchy, mogą się z nimi mocować, bić, szarpać; znają sposób na sposób, figiel na figiel; potrafią odpowiedzieć na każde pytanie, odwrócić kota ogonem i znowu łbem i znowu inaczej; oni mogą rozpoznać każdą rzecz z wierzchu, z pod spodu, ze wszystkich czterech boków i ze środka; oni mają kombinacje swoje, obrachowania... a jednak, wiercie mi, Mateuszu, i dla nich, i dla takich

Jędrców, śmierć jest straszna ... mówić o niej nie lubią. Dlaczego? To bardzo prosty interes. Oni wiedzą, jak odpędzić złego ducha; oni wiedzą, jak poradzić na złe oko; oni mają sposób na zrobienie kozła z barana... ale na śmierć nic nie mogą poradzić. Pomimo ich mądrości, ludzie umierają, giną jak muchy".

„Juścić prawda", rzeki Mateusz.

„To widzicie, jedni; prócz nich, są drudzy... nawet wstyd przyznać, między naszymi żydkami. Są paskudniki, bezbożniki, apikoresy, niedowiarki, zdrajcy, trefniaki, galgany, którzy powiadają, że człowiek zaczyna się w tej godzinie, w której na świat przychodzi, a kończy się wtedy, gdy ostatni dech oddaje ... Ci mówią, że to, co tu na ziemi, to nasze, a potem nie ma nic".

„O, to nieprawda".

„Te łajdaki powiadają, że prawda ... i dlatego, że tak powiadają, i że w to wierzą, boją się śmierci jak ognia. Teraz, czy wiecie, Mateuszu, dlaczego ja wam to mówiłem?"

„No, dlaczego?"

„Dlatego, żebyście się przekonali, że i nabożny człowiek i apikores, galgan, co niby jest żyd, a nie żyd, co za rubla może się zrobić na

wet cyganem albo Turkiem, także śmierci nie lubi i nie pragnie. Ja wam więcej powiem: to nasze życie, tu na ziemi, to jest gotówka, moneta: dla jednego czyste złoto, dla innego same miedziaki, ale zawsze moneta: tamto znów drugie życie, za światem, to tylko kwitek, karteczka od uczonych ludzi. Coż lepsze: gotówka czy kwitek?"

„Nie obrażajcie Boga, Abratnie. Jego obietnice z kwitkiem równać ... grzech".

„Ja wcale nie równam, tylko mówię, że to co jest, jest; a to, co będzie, nie jest to. co jest. Prócz tego, wiadomo dobrze od nabożniaków i uczonych, że dusza od ciała nie oddziela się Jahyo i że musi przy tym dużo cierpieć". „O! O!.."

„Nie myślcie, że jest inaczej. Najpierw, hiedny chory, co mu już koniec życia przeznaczony, ujrawszy anioła śmierci, przeraża się okropnie, tak, że ani słowa z wielkiego strachu przemówić nie może: po drugie, ciało jego cierpi. Nie

wiem, czy zrozumiecie moje słowa, więc chcę wam dać przykład. Człowiek żyjący, ciało i dusza, to jest jedno, całość; dusza sama jest częścią człowieka. Chce I cie poznać, jaki jest smak odrywania części od !

całości, to idźcie do cyrulika i każcie sobie wyrwać parę zębów, albo daicie psu rękę, żeby odgryzł od niej palec, a przekonacie się, iakie to cierpienie. Cóż dopiero, kiedy się odrywa od ciała dusza, która nie jest przyszyta, jak kołnierzyk do kapoty, ale siedzi głęboko we wszystkich dwustu czterdziestu ośmiu częściach człowieka! Aj, Mateuszu, korek z butelki wyjąć... i to trudno, coż dopiero duszę z ciała!"

„Widziałem ja ludzi, którzy umierali cicho, spokojnie, bez krzyków i bez strachu ... ot, niejednen przysposobi się na śmierć, a gdy ona przyjdzie, westchnie tylko i już po nim ... Dusza uleci, niby gołąbek, a umarły leży sobie, jakby spał. Owszem, wypięknieje nawet na gębie i uśmiech taki ma, jakby mu bardzo błogo było..."

„Niech nasze wrogi taką błogość w sercu mają! Wy jesteście grubym człowiekiem, wy się nie znacie na takich interesach, wy nic wiecie nic..."

„A coż wam wiadomo?"

„Nawet nie wiem, czy warto wam opowiadać, czy wy potraficie to zrozumieć".

— S —

„Ha, dlaczego nic? toć się słyszało niejedno".

„Nie będę wam mówił, jak wygląda anioł śmierci... niech jego moje oczy nie widzą!... nie będę wam mówił, z jakim bólem dusza z człowieka wychodzi... bo powiadacie, że ona wyfruwa, jak ptaszek... Dobrze, ale co dalej ten ptaszek robi? z kim ma do czynienia?"

„Albo ja wiem, jak po waszemu tłumacza takie rzeczy".

„Słuchajcie. Jeżeli człowiek myśli o nabożnych rzeczach, jeżeli się modli, jeżeli czyni dobrze, daje jałmużnę, jedzie do rabina, mówi sprawiedliwe słowo... to z każdego takiego pomyslenia, mówienia, czynienia rodzi się anioł. Jeżeli znów ten człowiek źle myśli, opuszcza modlitwę, mówi paskudne słowo, źle robi... to z każdego takiego pomyslenia, mówienia, czynienia rodzi się djabeł. Gdy dusza wychodzi z ciała i idzie do góry, przylatują ci wszyscy aniołowie i ci wszyscy diabli, chwytają duszę, szarpną, ciągną do siebie, z gwałtem, z krzykiem, z bitwą. Robi się okropna wojna, szum... jedna strona chce mieć górę, druga także. Czy to żarty są?"



Chłop kiwa! głową przecząco, a Abram mówił dalej z zapalem:

„Jak kury o ziarnko zboża, tak oni, ci dobrzy i ci źli, wojują o duszę... a dla duszy to przykro jest”.

„Wiadomo, że skoro broiła, to musi cierpieć”.

„Ej, choćby nie broiła, to też w pierwszej chwili ma duży ambaras. Ona cierpi i ciałocierpi”.

„Nie plećcie oto! Jakże nieżyjące ciało może cierpieć?”

„Co wy wiecie!” rzeki niechętnie Abram.

„Powiadacie, że ciało nie cierpi, niech i tak będzie, a ja wiem, że cierpi”.

Abram umilknął, a w duchu rozmyśla!

straszny aniele, który chodzi ślad w ślad za aniołem śmierci i szarpie wnętrzności umarłych, czem im sprawia ból niesłychany. Sama myśl o tem przejmuje drżeniem strachem.

Mateusz odezwał się:

„To wy dużo iednak wiecie różności”.

„Ja niewiele, ale są tacy, co wszystko wiedzą jak najlepiej. Nie każdy może mieć to szczęście. Oni się uczą i uczą, od małego

dziecka aż do późnej starości, do sainej śmierci siedzą nad księgami. Oni wiedza o duszach, „Cóż mogą wiedzieć? Dla dobrej duszy na tamtym świecie nagroda, dla zlej kara: oto i wszystko”.

„Wy Mateuszu, jesteście pierwszy majster na zwierzyne, ale do delikatnego myślenia mechanik z was zły. Wy tylko wiecie, że bywa źle albo dobrze; ale jak bywa źle albo dobrze, co w tem dobrem albo ziem jest za interes, to wy wcale nie wiecie. Wam się zdaje, że koza to koza, kura to kura, a gęś gęś”.

„Ia. Ia! A czy wiadomo, co w niej we środku jest?”

Chłop się na cały głos śmiać zaczął. „A toć dopiero historie! co jest w gęsi! Grzdyka, wól, lekkie, wątroba”. „Aj, ai! Iadą balia wie”. „No, a wy się pytacie”, „Ia się pytam, bo chcę was nauczyć, co się może dziać z duszą ludzką po śmierci”. „Toć dusza nic gęś”.

„No, a co wy myślicie? Może gęś była kiedyś znaczną kupcową, nosiła perły na szyji, pyszniła się ze swego bogactwa, sklepu, dzieci, może ona gęgali ludzkim głosem, szczypała nie

dziobem, ale rękami, lubiła się sprzeczać ze swoim gąsiorem, niedotnierzyć płótno w sklepie”.

„Ua, toć nie gęsi tak robią, jeno żydówki”.

„Aj Mateuszu! nie wiadomo, w iakie stworzenie dusza ludzka może się dostać. W niejednym narownym koniu siedzi szlachcic i szarpie się, dopóki go żydki nie ujeżdżą; w niejednej kozie ma swoje posiedzenie ubogi żydek handlujący,

w wielu wołach siedzą najprawdziwsi chłopci. Ja słyszałem o jednym złym człowieku, co wielu biednych ukrzywdził i gałguu był. Wiecie, co się z nim stało?"

„No?"

„Dusza jego weszła, za pozwoleniem w kurę. Ten człowiek kurę został i należał po kolei do wszystkich, których ukrzywdził".

„To ci komedja!"

„Ładna komedja! On musiał ciągle jajka nosić, dopóki nie zniósł tyle, ile wartość krzywdy wynosiła".

„Abramie" przerwał Mateusz, „mnie się widzi, że takim prawem wasza dusza wejdzie w zająca".

„Tfy!"

„Skoroście skórkami handlowali, moje was jeszcze kiedy na wnyk złapię".

„Wstyďte się! paskudną gębę macie, nie można z wami rozmawiać; jak się należy". „Bo też gadacie nie wiadomo co". Abram przestał mówić. Gniewał się, że ciasna, zakuta, chłopska głowa delikatnego słowa nie chce zrozumieć. Czy warto rzucać perły przed takim? Nie.

Noc już była na schyłku, na wschodzie zaczynało przeświecać, w oddaleniu błyszczało czerwone światełko.

„To w karczmie na Wygnance się świeci", rzekł Mateusz.

„Pewnie; Berek bardzo rano wstaje". „Widać przejezdni są". „Berek zawsze rano wstaje, a czasem nawet się wcale nie kładzie. On ma taką naturę, że w powszedni dzień nie lubi spać, woli się wyleżeć w szabas. Dla niego dość zdrzemnąć się trochę za stołem i już na całą noc jest gotów".

„Powiadają ludzie, że on nie bardzo czyste interesa prowadzi".

„Co plotek słuchać, na was powiadaią, że drzewo z lasu kradniecie, a to przecież nie

prawda. Tak samo i o uini mówią, że lubi kupić jaką rzecz i nie pytać skąd ona pochodzi. Po co ma pytać, przecież nie jest ani sędzia ani prokurator, jest biedny żydek, handluje czem się trafi, aby żyć".

„Nie zawsze jego handle piękne są".

„Aj, Mateuszu, jaki z was dziwny człowiek! nie zawsze piękne jego handle! a czy on ma swoje dobra ziemskie? czy jest wielkim panem? czy ma dochody jakie? Nie ma nic, żyje z wiatru, a wiadomo, że kto z wiatru żyje, musi brać to, co wiatr mu przyniesie. Że wiatr nie przynosi ani złota, ani brylantów, ani pereł, tylko za pozwoleniem śmiecie i lekkie rzeczy, to nie jest wina ani Berka, ani moja, tylko wiatru.

Szkapą nie zatrzymywana przez Mateusza przed karczmą stanęła.

„Widzicie", rzeki Abram, „wasz koń też ma rozum, a może też siedzi w nim taka dusza, co za życia lubiła stawać przed karczmą..."

Wygramolili się z sanek; Mateusz rzucił koniowi wiązkę siana, poczem obydwaj z Abramem udali się do Berka.

u

Przed chałupą, w której posiedzenia odbywał sąd gminny, było bardzo gwarno. Na ulicy stało kilkanaście furmanek, przy płocie kilka kom osiodłanych, a i pieszego ludu zgromadziło się niemało. Chłopi, baby, żydzi stali grupami, rozmawiając, gestykulując, krzycząc. Dwaj chłopci, którzy byli skłonni do polubownego załatwienia sprawy, omawiając punkta przedugodne, zaczęli się przekomarzać, popychać, szturchać, nareszcie pobili się na piękne, i gdy ich rozdzielono, jeden miał podbite oko, a drugi brakowało dwóch zębów. Obecny przy tym pokątny doradca wygłosił zdanie, że za palczywi chłopci w nieszczęściu mają szczęście, i bo gdyby fakt zdarzył się nie przed sądem, lecz w sądzie, to rzecz pachniałaby kry i minąłem. Abram ledwie mógł się powstrzymać od śmiechu, usłyszawszy te słowa. Co za różnica, i pomyślał, czy wybić komu zęby na świeżem powietrzu, czy pod dachem! Zagadnął też pokątnego doradcę. | „Panie adwokacie”, rzekł, „pan umie] wszystkie kodeksy na pamięć?” „Phi! nawet więcej”. J

„Co pan głowę chłopcom zawraca temi sądowymi zębami?”  
„Nie znasz się, Abramie, na procedurze sądowej, lepiej swoich skórek pilnuj”.  
„No, właśnie, że ja swojej pilnuję i dlatego pan adwokat nie miał jeszcze, Bogu dzięki, żadnej sprawy ode mnie”.  
„Za dużo gadasz, panie Abramie, a to nie jest bezpieczne”.  
„Oj, oj, iak dla kogo, co ja mogę do tego interesu dołożyć? ja chłopcom zębów nie wybijam”.  
„Ale w sądzie Abram bywa, sprawy ma”.  
„Tak czasem. Komu się nie trafi być w sądzie?”  
„Z sądu do kryminału niedaleko ...”  
„No, to po co pan adwokat codzień w sądzie jest?”  
„Słuchajno, Abramie, to obelga”.  
„Iaka obelga, to może być dobra rada, ostrzeżenie”.  
„Żebyś ty zmarniał, gałganie”.  
„Mnie się zdaje, że to jest prawdziwa kodeksowa obelga”.  
„To jest tylko przyjacielskie życzenie”.  
Rzekłszy to, pan adwokat splunął i odszedł.

„Widzi mi się, Abramie”, rzekł Mateusz, „że was fen kręcicie) trochę obraził, ja moge być świadkiem”.

„Na co?”

„Żebym świadczy), jako prawda”. „I co z tego?”

„Niechby się choć strachu najadł”.

„Po co? Żeby się procesować z każdym psem, co szczeka, toby człowiek nie handlowa) skórkami, nie kupował od was zwierzyny, tyfkoby musiał mieszkać koło sądu i codzień tam chodzić”.

„Juści i to prawda”.

„Skoro Abram co mówi, to zawsze prawda. Abram nigdy żadnego fałszu nie robi”. „No, czasem, jak to kupujecie ...”

„Aj, Mateuszu, Mateuszu, sami sprawę mace, koło sądu stoicie, i nie możecie zrozumieć, że co innego fałsz, a co innego rachunek. Jeżeli teraz, rano, ja powiem, że jest noc, to będzie fałsz; jeżeli gdy wy żądacie trzy ruble, a ja powiem, że wam się należy tylko półtora, to będzie rachunek, zając nie jest kuna, a kuropatwa nie sarna; tak samo fałsz nie może być rachunkiem, ani rachunek fałszem”.

Na drodze dat się słyszeć brzęk dzwonek od sani.

„Sędzia jedzie, sędzia jedzie”, zawołano w tłumie.

Przed dom, w którym się sąd mieścił, zajechały sanie duże, szerokie, ciągnione przez parę ospałych kasztanów. Z sani wysiadł mężczyzna tęgiego wzrostu, z dużymi blond wąsami, w ogromnym futrze wilczem, i wszedł do sądu.

Po chwili wybiegł stamtąd stróż, chudy człowieczyna, o dziwnie bladej twarzy, z nosem czerwonym i małymi zaspanymi oczkami.

Staął na ganku i zawołał:

„Którzy ludzie sprawy mają, niech się nie rozlążą, bo zaraz się sąd zacznie, a co z woza spadło, to przepadło”.

Wszyscy hurmem zbliżyli się do świątyni Temidy, w której pan pisarz ze spiczastą bródką w jasnożółtawym krawacie i ciemnozielonej marynarce już rozkładał papiery i akta.

Zaraz też wszedł do sali sądowej sędzia, ów właśnie z wielkimi wąsami i dwaj ławnicy chłopci, którym odrazu na widok papierów spać się zachciało, gdyż usposobienie do snu okazali ziewaniem.

Osądzono kilka spraw cywilnych bardzo szybko. Żydzi w charakterze powodów występujący nie mieli nawet sposobności do rozwinięcia swej wymowy. Sędzia nie pozwolił im mówić ani o cierpieniach moralnych iakie przeszli, ani o nocach przepędzonych bezsennie z powodu, że Wojtek o terminie zapomniął, ani o utracie zdrowia, fatydze, darciu butów i podobnie ciężkich, oraz jeszcze cięższych przeiściach. Sąd wydawał wyroki szybko, bo i nie mia! na co czasu tracić. Winien iesteś, podpisałeś, p!ać i rzecz skończona. Procedura bajecznie prosta i łatwa. To też iak w kalejdoskopie (kalejdoskop z greckiego kalos piękny, cidos postać, skopeo patrzę; a więc razem po polsku przyrząd do

patrzenia z kawałkami szkła różnokolorowego, w którym się widzi coraz inne figury) szybko przesuwali się w przybytku sprawiedliwości gminnej: Abram przeciw Wojtkowi, Jojna przeciw Maćkowi, Symcha przeciw Jacentemu. Pan sekretarz ze spiczastą bródką smarował wyroki, aż pióro trzeszczało, a chłopci z podziwieniem patrzeli na jego rękę białą, suwającą się po papierze. Raz, dwa, trzy i już człowiek osądzony... lada dzień spadnie na niego wóit z pisarzem,

"Pisze pięknie krowę, konia, pościel, sprzedaje na licytacji, i dobrze.

Po krótkim odpoczynku w sali narad, a właściwie w małym i dusznym alkierzyku, sąd przystąpił do rozstrzygnięcia spraw karnych. Te nie szły tak szybko, jak cywilne; czytanie skargi, badanie obwinionego i świadków, obrony i repliki zajmowały wiele czasu, i były nużące tak, że gdyby nie tabaka obficie zażywana, ławnicy zasnęliby na dobre.

„Mateusz Sikora, oskarżony o kradzież drzewa z lasu”, zawołał donośnym głosem pan sekretarz.

Rozpychając łokciami tłum, Mateusz wystąpił przed kratki i pokłonił się nisko.

Skarżącym był pan Barnabo, ekonom folwarku, mąż, jak się niebawem przekonamy, w piśmie biegły, nawet stylistą, głęboko pojmujący wartość skradzionego dąbka i zadanie sądu.

Przytaczamy, dla jasności rzeczy, dosłowny tekst skargi, na skutek której Mateusz stanął właśnie przed kratami.

Brzmiała ona tak:

„Prześwietny sądzie! Wiadomo, że ze wszystkich szelmów i gałganów polnych,

leśnych i wodnych, iakie ta święta ziemia żywicielka nasza nosi, i dziw, że nie otworzy się i żywcem ich nie pożre, najgorszy i najprzebieglejszy, we wszystkich sztuczkiach wypraktykowany jest Mateusz Sikora, włościanin ze wsi Kurki, żonaty, dzietny i trudniący się wszelkiem łajdactwem, jako to polowaniem na cudzym gruncie, łapaniem zwierzyny w sidła, tudzież kradzieżą w lasach należących do J. W. mego dziedzica, co jest przeżeranie strzeżone niby oko w głowie, albo jeszcze insza droższa rzecz, że więc nocy czwartkowej przereczony Sikora z imienia Mateusz, z pochodzenia włościanin, z profesji łapacz zwierzyny i złodziej leśny, nocy czwartkowej dąbek w lesie ściął, na iure zabrał i takowy ukradł, czego świadkiem Kogut v. Koguciński Jan, gajowy lasów dominialnych, na oczy własne widząc, upraszam prześwietnego sądu, aby za dąbek zapłacił, a za leśne łupiestwa skazany był godnie, bo z takich to ludzi pasy drzeć albo smołą malować, pierzami osypywać i ze wsi wypędzać, co że dziś już się nie praktykuje, więc chociaż do kryminału o wpakowanie takowego upraszam, bo inaczej cały nam las wywiezie i zwierzynę wydusi, że na lekarstwo nie zostanie

choćby dziesięć rubli za zająca dawszy, sprawiedliwości słusznej prześwietnego sądu upraszam".

„Mateusz Sikora!" zawoła! sędzia. „Jestem tu", odrzekł oskarżony, spuszczać oczy.

„Czy przyznajesz się do winy?"

„Nie".

„Nie kradłeś drzewa w lesie?" „Nie".

„Gdzie byłeś nocy czwartkowej?" „W mieście".

„Prześwietny sędzie", zawołał Barnaba, „on szczeka iak pies ..."

„Cicho!... zawołać Kogucuiskiego ..."

Gajowy lasów dominialnych stawił się przed I; ratkami.

„Jak się nazywasz?"

„Koguciński Jan".

„Jesteś gajowym?"

„A juści, prześwietny sędzie".

„Żonaty?"

Koguciński westchnął ciężko. „A dyć..."

„Co ci wiadomo o kradzieży drzewa?"

„Juści wiadomo, że to niczyja sprawa, jak Mateusza Sikory". „Widziałeś?"

„Widzieć nie widziałem, ale wiedzieć to wiem, bo on na takie interesy majster pierwszy".

„Powiedz mi świadku, kto ci podbił oko? czy nie ten sam człowiek, który drzewo kradł?"

„W służbie leśnej, prześwietny sędzie, taka przygoda częsta, ale w fem zdarzeniu nie złodzieje mi znak na gębie zostawili..."

„Któż więc?"

„A to dopraszam się łaski prześwietnego sądu ... przemówiłem się z żoną ..."

W sali zrobił się szmer, nawet ponury Mateusz uśmiechał się pod wąsem.

„Niechże świadek opowie szczegółowo, co mu o kradzieży wiadomo".

„Dużo mi wiadomo, prześwietny sędzie! Spałem sobie nieco, jako że była noc, aż słyszę piesek mój szczeka, zaraz poznałem, że w lesie są złodzieje. Odziałem się w kożuszyne, wziąłem strzelbę dla życia swego obrony, siekaiicami była nabita, i wyszedłem przed dom. Cichość była, a z daleka kołacze

coś raz za razem, właśnie jakby ktoś drzewo ścinał. Jeno nie ścinał, jak to ludzie robią, tylko dziabął raz za razem, nie mocno, żeby wielkiego łoskotu nie robić. Właśnie że to było akurat w moim obrębie, w kotlinie, co ją nazywają „Lisicha”, przeżegnałem się krzyżem świętym i idę, ma się rozumieć powoli, żeby ptaszków moich nie spłoszyć”.  
„Mówicie: ptaszków”, rzeki sędzia, „więc złodziei było kilku?”  
„Pewnie, że kilku”.  
„Ale ilu, dwóch, trzech?”  
„Nie mogłem porachować, gdy ich nie widziałem”.  
Barnaba nie wytrzymał, musiał wtrącić uwagę:  
„Koguciński złodzieja nie może zobaczyć, ale pensją i ordynarją dobrze widzi”.  
„Toć nie jestem za pozwoleniem, kot, ani sowa, żebym w nocy mógł widzieć, odciął się Koguciński”.  
„Do rzeczy, do rzeczy”, odezwał się sędzia. „Niechże Koguciński powie, ilu złodziei było?”

„Prześwietny sądzie, nie mogłem porachować, bom ich na oczy nie widział”. „Skądże więc domysł?” „A tak, ja idę za łoskotem, gdzie niby złodziej rabie, a ten łoskot naraz słysząc gdzieindziej, rąbał ktoś od wschodu, nagle zaczyna od południowej strony, tuż przy mnie. Zdaie się, że dość ręką sięgnąć, aby go złapać, ja też w te pędy, przypadam, tfu! nie ma nikogo. Rozstąp się ziemio! przepadł, a tu znowu zaczyna prawie że za moimi plecami. Juzem się rozjadł i sprawiedliwie powiadam, żebym byt tylko zobaczył kto mi. takie sztuki robi, tobym nie zważając co będzie, strzelił, jak do jasnej świecy. Coraz tak mnie zwodzili, to tu, to sin, zdeptałem het las... bo mnie ganiłi i wodzili Jo samego rana. Dopiero iuż na rozwidku dopadłem do miejsca, gdzie naprzód stukało. Patrę, dąbek ścięty ładnie, przy ziemi, czyściuchno. wierzch odpiłowany i też zabrany, jeno gałęzie zostawione. Szukam śladów, ba! szukajże, zdeptany śnieg w około i skotłowany. Ja sani go najwięcej zdeptałem, biegając od drzewa do drzewa.  
„To byli chytry złodzieje”, wtrącił ławnik, „kradli z onianką”.

„A z onianką, proszę prześwietnego sądu, ścinał jeden drzewo naprawdę, drudzy manili i wodzili mnie po lesie”.  
„Jakże dalej byto?” spytał sędzia.  
„Rozwidniło się już całkiem”, prawil Koguciński, „ludzkich śladów nic oglądałem, bo najwięcej było moich własnych, ale szedłem za śladami sani. Wyraźny był znak, że przyjechał od gościńca, koło dąbka stanął, zawrócił i wywiózł go też na gościniec. Szkapa była tylko na przednie nogi kuta i podkowy nr. ala stare, stępione, właśnie jak Mateuszowy koń”.  
„Prześwietny sądzie”, rzekł Mateusz, „kował żyjący jest, może poświadczyć, iako tydzień temu okuł mego konia na ostro, jeszcze mu nawet nie zapłaciłem”.  
„Przez tydzień podkowy mogą się stępić”, rzekł Koguciński. „Co się macie zapierać Mateuszu, lepiej się przyznajcie po dobroci, to sąd będzie dla was mitosierniejszy i koza lżejsza”.  
„Idźcie wy!... Do czego mam się przyznać, skoro me tylko dąbka, ale nawet patyka marnego nie ruszyłem?”  
„Sikora nie po raz pierwszy oskarżony jest o tego rodzaju sprawki”, rzekł sędzia.

„Złych Judzi nie brak na świecie”, odrzekł chłop poważnie, „skarżyć mogą bo sąd prześwietny jest cierpliwy i lada bajów słucha, ale za rękę nikt mnie nie złapał”.

„Niech Koguciński mówi dalej”.

„Prześwietny sędzie. Powiadam i mówię sprawiedliwie ... odrazu miałem na Mateusza posadek, bo nawet kiedyś spotkałem go w lesie i widziałem, jak się owemu dąbkowi przyglądał, właśnie tak patrzył na niego miłosiernie, iak kot na sadło, aż się oblizywał, bo też to, proszę prześwietnego sądu, i dąbek był ładny, czy na powalinkę, czy na słupy samo prawie. Tedy pewny byłem, że to Mateuszowa sprawka; żeby zaś z gołą gębą do prześwietnego sądu nie przychodzić, pobiegłem na wieś, wprost do jego chałupy. Pytam o Mateusza, powiadają, nie masz go; zajrzałem do stajni, koma niema, mówię do jego baby: „Moja Mateuszowa, pożyczcie mi siekiery, bo moją ktoś ukradł”. Baba szuka po kątach, siekiery niema. Jego niema, konia niema, tedy jasne jest, że dąbek ukradł nie kto inny, tylko Mateusz”.

„Prześwietny sędzie! zawołał ekonom, „niech prześwietny sąd wyda surowy wyrok,

według tego. żeby na drugi raz cudzego dzie  
wa nie ruszał”.

„Co ma na swoją obronę Mateusz Sikora?” zapytał sędzia.

„Po sprawiedliwości powiadam, że Koguciński baje jakby się szaleju objadł, ani mnie nie widział w lesie, ani mnie na uczynku nie złapał, bo i nie mógł złapać skórom nie kradł”.

„A gdzieżecie byli w czwartkowej nocy?” „W mieście, prześwietny sędzie, z żydami miałem do czynienia”. „Całą noc?”

„Do czynienia miałem w dzień i wieczór, a w nocy spałem. „Gdzie?”

„U Abrama Pinkta”. „Któż to widział?”

„Właśnie Abram tu jest i jeszcze cała gromada żydów, co może zaraz poświadczyć, jako powiadam szczerą prawdę, bez żadnego kręcicielstwa”.

Sąd zgodzi} się na zbadanie tych świadków.

Pierwszy stanął przed kratkami Abram Pinkt.



„Czy znacie Mateusza Sikorę?" zapytał sędzia.

„Kto nie zna Mateusza Sikorę? cała okolica go zna. Jest znaczny gospodarz".

„Czy widzieliście Mateusza czwartkowej nocy?"

„Dla czego nie miałbym go widzieć?" On u mnie nocował. Z wieczora przyszedł i mówi: nie chce mi się po nocy iechać do domu, jestem słaby i prześpię się u was. Dlaczego nie? Miałem mu miejsca na podłodze żałować? Mówię: owszem, kładźcie się, śpijcie z całą wygodnością. On się też układał koło pieca na podłodze i spał do białego dnia. Już nasz szkolnik do okien stukał, żeby żydzi do buźnicy szli, a on jeszcze spał; na drugi dzień rano kazał sobie przystawić bańki. Jankiel Mydło, felczer mu stawiał całe pół kopy. Już było pewnie koło południa, jak Mateusz skończył swoją kurację napił się dwa razy gorzałki i pojechał do domu.

„Czy wiadomo wam, po co Mateusz Sikora przyjeżdżał do miasta?"

„Aj, aj, po co miał przyjeżdżać? po to, po co i najpierwsi panowie do miasta przyjeżdżają, chciał dostać trochę pieniędzy od żyd

ków. On czasem bywa w potrzebie, to się chce ratować".

„Jak dawno Abram zna Mateusza Sikorę?"

„Dawno, ile lat nie mogę porachować, może dwadzieścia, może trzydzieści, może i więcej".

„Proszę pana sędziego, wtrąci! ekonom, ten żyd, to Mateusza wspólnik, on kradzioną zwierzyną handluje".

„Niech pan ekonom nie robi komu obrazy, bo ja też mogę powiedzieć, jakim pan zbożem handluje".

„A tobie co do tego?"

„Mnie nic, ale dziedzicowi może. Ja myślę, że dziedzic ma dużą ciekawość do takich spekulacji".

„Cicho!" zawołał sędzia, „to do sprawy nie należy. Abram ma zeznawać. Więc Mateusz Sikora noc czwartkową przepędził u was w waszym domu?"

„Nie mogę powiedzieć, że w moim".

„A w czym?"

„Prześwietny sądzie, ja nigdy nic wdaię się w fałsz, żyję samą prawdą; jak stoję za świadka, to choćby za rodzonym ojcem nie powiem gorzej, tylko iak jak prawda, i dla lego  
ar

nic mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że Mateusz w moim domu nocował. Cha! cha! żeby ja miał ten dom! byłbym bogacz, ale przeświecniemu sądowi wiadomo, co to są domy żydowskie... niby jest dom, a nie iesz, niby jest gospodarz, a nie gospodarz. Burmistrz, sam pan burmistrz może zaświadczyć, co się dzieje, jak przyjdzie płacie podatki. Czyste rozbójstwo się robi. Biją się, kłócą, krzyczą, ten na tego spycha, tamten na owego, niech Bóg broni".

„To do sprawy nie należy".

„Owszem, proszę przeświecniemu sądu, należy i bardzo należy. Sąd się pyta, czy Mateusz nocował w moim domu?"

„Tak”.

„No, ja przysięgałem, ja chcę czystą prawdę powiedzieć, ani trochę więcej, ani trochę mniej, tylko czystą prawdę jak szkło. Dómi nie jest mój, choć me moge też przysięgać, że jest wcale nie mój. Ja jestem Abram Pinkt, a do tego domu ma jeszcze prawo Lejzor Pinkt i dzieci Symchy Pinkta, co już nic żyje, i Jan kłowa Brodawka, i Boruchowa Migdał, co moje rodzone siostry, a po panictisku także sit

nazywają Pinkt. W tym domu nocował Mateusz ...”

„Dobrze, ale w waszym mieszkaniu?”

„Trochę w moim, a trochę nie w moim...”

„To ina znaczyć, że część nocy przepędził u was, a część gdzieindziej?”

„Nie, on wszystkie części nocy przespał u nas; od wieczora do północks, od północks do świtu, i od świtu do białego dnia też...”

„Jakto u was, co mam przez to rozumieć?”

„Niecli prześwietny sąd rozumię, że teraz są ciężkie czasy ... człowiek szuka dochodu ... bo dochód wcale nie chce szukać człowieka .. Chwalić Boga, mam swoją stancję, ale nic jestem wielki pan, ani hrabia, żebym sani ze swoją familia w całej stancji mieszkał... więc odnajmuję dwa kąty; ieden trzyma Wigdor Katz, drugi Nehcmja Rosendorf, bardzo porządni kupcy, po czterdzieści groszy tygodniowo za komonic mi płacą. Oni też widzieli, jako Mateusz przyszedł z wieczora, jako był trochę słaby na plecy i przez to chciał się wygodnie wyleżeć dla odctbnienia i wypoczynku ... Ja mu tego nic broniłem, położył się na ziemi i spał.. .”

„Któż to widział?”

— JUS —

„Kto? Wszyscy... Wigdor Katz, Nehemja Rcsendorf, oni też spali, każdy na swoim łóżku, a prócz teo byli u nas kilku uczciwych żydków: Mendel Kobiałka, Cliairn Czymszel Rotfisz, Berek Lejb Kocker, Uszer Dreidelszpil, Ctiuna Kiwa Kaprawy, MojsieLaibeie (lancliben ... był też i Fiszel Spokojny i Majer Mendel Dubeltówka ...

„Dosyć!... Abram wyliczasz cały spis ludności miasteczka ...

„Broń Boże, ja tylko powiadam prawdę, kio był...”

„W iakim celu zgromadziło się tylu żydów u Abraina?”

„Ja powiem całą prawdę... Neheina Rosendorf, co w mojej izbie mieszka, robił chrcziny dla swego synka, co jemu przybył niedawno... do takiego interesu potrzeba dziesięć żydków; to on ich akurat tyle zaprosił. Osiem gościów, a Wigdor Katz i ja, to razem dziesięć, niech prześwietny sąd sam porachuje. Z tych dziesięciu żydków jest tu dziś we wsi sześciu, oni stoją przed sądem, można ich zaraz zawołać, oni poświadczą, że widzieli, jak Mateusz spał, jak okropnie chrapał... Na moje sumienie, chłopskie spanie musi być bardzo ciężkie,

bo takiego chrapania ja w moim zyciu nie słyszałem. Widać Mateusz w sercu miał ieler, skoro i banki także na drugi dzień stawiał...

Sędzia zwrócił się znów do Mateusza.

„Po co jeździliście do miasteczka?”

„Podług poratowania zdrowia ... iako mnie okrutnie w plecach rozłamało, że całkiem dychać nie mogłem, i podług pożyczania pieniędzy ...”

Wezwani żydzi stwierdzili bytność Mateusza w miasteczku nocy czwartkowej.

Sędzia kiwał głową, ławnicy uśmiechali się. Wystąpił przed kratki ekonom Barnaba.

„Cygaństwo to wszystko, prześwietny sądzie”, zawołał, „takich świadków, jak Mateuszowe świadki, można dostać za dwa złote kopę ... Zwąchały się żydy z tym oto starym rabusiem i bronią go, ale sprawiedliwość prześwietnego sądu nie da się otumanić ... Koguciński jest dawny gajowy, wypraktykowany, złodziejów leśnych zna na wylot, po chodzie wymiarkuje każdego, toż skoro Koguciński świadczy, wiara przy nim powinna być ... Mateusza w domu nie zdybał, konia nie zdybał, ani siekiery też... a przecie do baniek stawiania siekiera nui nic była potrzebna... Ja

z przeproszeniem prześwietnego sadu nosem czuję, że Sikora dąb ukradł. To złodziejstwo w nos bije... Jego sukmanę do tej pory czuć świeżą dębiną ... jeszcze nie wywietrzała ...”

„Aj waj”, odezwał się półgłosem Abram, „jaki czujny nos... widać dla tego taki czerwony jest...”

Barnaba, nie zważając na przycinek, prawił dalej.

„Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi...” wiemy czym się Sikora trudni... Czy go kto widział kiedy przy robocie, jak gospodarza, żeby orał, bronował albo młócił... Żeby tak spuchł, jeżeli ten chłop bierze kiedy cepy do garści... Nocą tylko myszkuje jak borsuk, zwierzynę niszczy, drzewo kradnie, i dopieroż, z kochanym Abramem w handelek się bawi. Abram też znany cygan jest, kradzione kupuje, co właśnie jakoby sam kradł”.

„Ja bardzo proszę prześwietnego sądu”, odezwał się Abram, „cale to paskudne gadanie żeby było zapisane. Ja pana Barnabego będę skarżył o potwarz”.

„Dość”, rzekł sędzia, „Mateusz Sikora, czy masz jeszcze co do powiedzenia?” „Mam”.

„Więc mów”.

„A to dopraszam się laski prześwietnego sądu, żeby tego pijaczynę ekonomą i Kogucińskiego wsadzić do kozy za bałamucenie sadu i spokojnych ludzi, jako, że każdy ma swoje zatrudnienie”.

„To nie należy do sprawy”, mruknął sędzia, i wraz z ławnikami opuścił sale.

„Poczekaj, kochany Mateuszu”, rzekł Barnaba, „wnet się o swoim losie dowiesz. Jak posiedzisz z pół roku w kozie, to ci dębina nie będzie pachniała”.

„Aj, proszę pana Barnabego”, rzeki Abram, „za co pan taki zawzięty? za co pan chce gubić Mateusza i pisaniem i gębą i nawet nosem, kiedy ten człowiek całkiem niewinny jest. Za co pan go chce gubić?”

„Bo kradnie”.

„Fe, nie trzeba mówić takie brzydkie słowo, prawda Mateuszu .. .” „Pewnie”.

„Ho, ciekawym dlaczego?” zapytał groźnie ekonom.

„Bo może się stać panu ekonomowi iaka zła przygoda”.

„Ho! ho! odgródźki. Nie boję się, nic z takimi ja już miałem do czynienia ...”

„Ot, co to po próżnicy gada. Pan ekonom się nie boi, a ja też nie straszę; ale jak pana kiedy dostanę do garści, to zrobię obrachunek sprawiedliwy...”

„Cicho, cicho”, mitygował Abram, „na co to gadać. Wynście się stąd. Mateuszu, zamiast czekać w sądzie, poczekajcie na dworze”.

Rzekłszy to, zaczął popychać chtëpa ku drzwiom, lecz w tej chwili sędzia z ławnikami wszedł i wygłosił wyrok, uwalniający Mateusza Sikorę dla braku dowodów.

Barnaba za głowę się złapał, Koguciński uśmiechnął się pod wąsem.

Mateusz skłonił się sędziemu aż do ziemi i wyszedł wraz z Abramem. Udali się ku karczmie.

„No, widzicie Mateuszu”, mówił Abram, „że nie było czego się bać, jesteście czysty iak szkło”.

„Ten ekonom psia wiara”.

„Macie rację, to szkaradny człowiek. Moznaby jemu stołka przystawić, ale on przydatny jest innym żydkom”.

„Ja się z nim sam rozprawię, abym go tylko gdzie na osobności spotkał”.

„Nie radzę wam. Każdy powinien się swoim fachem trudnić, i wy nie polujcie na awanturę i na nową sprawę, tylko na zająca. Ja bardzo potrzebuje dwa zające, obiecałem.

„Na kiedy?”

„Na niedzielę, rachowałem na was. Mateuszu, że mi wygodzicie”.

„Dlaczego nie? Wygodzę; będą dwa zające, przyniosę w sobotę wieczorem, zaraz po waszym szabasie, ale słuchajcie, żeby tego dąbka ekonom w miasteczku nie wywachał, bo mogłaby być bieda”.

„Niech wacha, niech on wacha. Ten dąbek dawno porznięty na kawałki. Kto go tam znajdzie? a może myślicie, że Lejzor będzie się chwalił z tego, że drzewem handluje. Aj. Mateuszu, wy nie znacie naszych żydków, oni skromni są, nie lubią się pysznić”.

## VII.

Abram Pinkt używa! szabasu przez całe dwadzieścia cztery godziny. W piątek przed wieczorem szedł do łaźni, potem ubierał się odświętnie w nowy kamlotowy żupan, nr.epa

sywaJ biodra czarnym pasem wełniany, "a głowę wkładał bardzo piękny kołpak Us) i tak wystrojony szedł do bożnicy. Powróciwszy do domu, zastawał już świeczki zapalone, stół nakryty i zabierał się do wspaniałej uczty. Pił mocna szabasówkę, jadł chałę, rybę, kawałeczek mięsa, potem ze współlokatorami swymi śpiewał „majufes”, potero czytał trochę nabożną książkę, potem kładł się spać i spał snem mocnym. Rano znów szedł do bóżnicy, modlił się, potem jadł, czyta), spat, znów jad), śpiewa) i znów spał, właśnie jak przystoi na męża, który przez sześć dni dość się natrudził, nagadał, nahandlował, a siódmego dnia chce użyć wczasu i wypoczynku.

W szabas Abram nie myślał naw et, o skórkach, ani o zwierzynie, ani nawet o Mateuszu, tylko odpoczywał i ciałem i duchem. Prze, cały dzień w myślach jego przesuwwały się różne wspaniałe obrazy przeszłości biblijnej, dopiero pod wieczór, gdy szarzyć zaczynało i gdy niebawem gwiazdy miały na niebie zabłysnąć, do głowy Abratna powracały skórki zajęcze.

Właśnie w sobotę wieczorem, gdy światło zapalono, przed dom Abrama zajechał

saneczkami Mateusz. Abram ujrawszy go pomyślał:

„To iest kupiec, słowny człowiek, terminowy człowiek!...” ja iuż mam moje dwa zające, za które mi dobrze zapłacą, podziękują i powiedzą, że takiego słownego handlarza, iak Abram, na świecie trzeba poszukać...

Mateusz wjechał na podwórko, okrył konia starą kapotą, rzucił mu garstkę siana, a sam, wyjąwszy z sani worek, wszedł do izby.

„Jak się macie Abramie?” rzekł.

„Dziękuję, a wy, Mateuszu, zdrowi jesteście?”

„Ot trzymam się, iak groch przy drodze ...”

Żyd się roześmiał.

„Ny. za to droga niedobrze się trzyma przy takim grochu, jak wy”. „Albo co?”

„Nic, ja sobie tylko tak powiadam, aby coś powiedzieć... ale, Mateuszu, gdzie wasze siowo jest?”

„W worku ...”

„Ho, ho! jakoś bardzo ważne słowo... to chyba nie zające, ale dwa wilki...” „Trzy zające ...”

„Ja was prosiłem o dwa ...” „Cóż zrobić? złapało się trzy...” „Nie strzelaliście?”

„Nie. Teraz trudno, gajowi się włóczą jak psy; żeby człowiek strzelił, toby icli cała hurma napadła i wzięliby jak swojego. Więc tedy po cichutku się złapało na wnyki. Na przysziy tydzień, skoro doczekamy, będą miesięczne noce, to u siebie za stodołą parę suopeczków owsa postawię na przynętę, przyjdą jak barany pod strzał”.

„Mój Mateuszu, koniecznie trzeba zająców strzelać, bo państwo grymaszą; jak zając nie pokrwawiony, to powiadaia, że on swoją śmiercią zdechł... że ia go na polu znalazłem ... Akurat, iak nic mam co lepszego do roboty, tylko po polach chodzić i zdechłych zająców szukać! Takie pańskie fanaberie... niedość, że jedzą zająca, niedość, że jedzą go za niedrogie pieniądze, jeszcze chcą grymasić ...” „Pańska moda”.

„To jest głupia moda: czy zastrzelony, zając więcej waży, niż uduszony?” „Ale skąd?”

„No, ja też powiadani, że nie rozumiem, czego oni chcą?”

„Ja rozumiem i zawsze sprzedaję strzelane zające...”

„Kiedy te są duszone”.

Mateusz wydobył z worka zająca, który cała głowę i bok miał powalane krwią.

„To strzelany jest”, zawoła! Abram.

„Akurat! ziarnka śrutu w nim niema, ale moja to rzecz, żeby go ufarbować, bo skoro państwo to lubią i skoro za to płacą...”

„Wy jesteście bardzo zmyślny człowiek, Mateuszu, co chcecie za te dwa zające?”

„Nie za dwa, ale za trzy ...”

„Jakim sposobem? przecie ja u was obstalowałem tylko dwa zające”.

„A cóż ja z trzecim zrobię?”

„Co chcecie; możebym go wziął, ale nie mam na niego kupca teraz; jak poleży i zepsuje się, ja zostanę stratny.

Wreszcie słuchajcie, ja mam miłosierdzie nad wami... ja go wezmę, ale nic moze zapłacić za niego tyie co za tamte. Na żaden sposób ...”

Zaczął się targ długi, nużący. Chłop opuszcza!, żyd postępował. Godzina upłynęła, nim do porozumienia przyszli.

Abram pot z czoła ocierał.

„Wy, Mateuszu”, mówił, „jesteście twardy jak kamieii, z wami ciężko handlować ...”

„Idźcie do lasu, spróbujcie nabrać zwierzyny, jak na wszystkie strony pilnują,, obrachujcie swoją fatygę, pracę, strach i idźcie sprzedać zająca. Ciekawym też, co byście za niego żądali ?...”

„No, ja co innego, ja jestem inny człowiek”. „Macie tak samo nogi, ręce, głowę; któż wam broni próbować...”  
„Każdy musi żyć podług swego fachu; ja jedno potrafię, wy drugie, a z tego co my obydwaj potrafimy jest cały handel. My zawsze powinniśmy się trzymać za ręce, bo wy potraficie wyprowadzić zająca z lasu, a ja umiem go wprowadzić w świat. Dla tego ja was tak ratowałem w sądzie, bo ja jestem wasz najlepszy przyjaciel...”  
„Ekonom się odgraża ...” „Co on się może odgrażać?” „Powiedział, że się zaczął w lesie z dziesięcioma fernalami, że mnie złapie, zbiję na kwaśne jabłko i do kryminału wsadzi...”  
„Wy się śmiejecie z tego, Mateuszu, on wam nic nie robi, choćby miał stu chłopów”. „Dla czego?”

„Bo wy nie będziecie taki głupi, żebyście szli do lasu akurat wtenczas, kiedy Barnaba z chłopami na was czeka. Tak mi się zdaie ...”  
„Ha... i ja tak myślę; niech on czeka na innie w jednym końcu lasu, a ja gospodarować będę w drugim, i co mi zrobi? Złodziejstwo mi zarzuca, cygan jeden, iak gdybym ja naprawdę złodziejem był. Kupił łotr las, czy co? Kupił zająca czy sarnę?... Nie urosła to drzewina? nie urosł grzyb, czy jagoda z mocy Boskiej, bez ludzkiego zachodu, bez żadnego kłopotu? Albo i marny zająć, czy on dworski, albo chłopski... nie, kto go złapie, ten go ma ... Paskudny świat Abramie ... żyć nie dadzą. a najbardziej ci psiawiary ekonomy. rządzcy. gajowi... Że to święta ziemia takich nosi cierpliwie ...”  
„Wy macie recht”, rzekł po namyśle Abram, „ale na moje pomiarkowanie, żebyście mieli las swój własny, tobyście może inaczej gadali. Podług mojego rozumienia, człowiek ma swoje myślenie nietylko w głowie, ale i w kieszeni...”  
„Żebym ja miał las”, mruzczał chłop, „żebym ja miał las ...”  
„No, to co byście z nim robili?”

Mateusz nie chciał na to pytanie wprost odpowiedzieć.

„A juści”, odrzekł, „Abram żeby wielkim rabinem żydowskim został, to coby Abram robił? Pewnie nie latałby po wsiach za skórkami, ale siedział sobie cały dzierż w krzesle, rybę jadł, śledzia jadł, herbatę z arakiem pił...”  
„Co wy powiadacie, właśnie, że wielki rabin bardzo mało jada ... On i bez jedzenia nia w sobie bardzo wielka moc. Aj, rabin, cha. cha! czy ja mógłbym rabinem być, nawet pomyślenia takiego nigdy nie miałem, nawet mi się to w nocy nigdy nie śniło... Rabin, wy nawet nie wiecie, jakie to wielkie słowo ...”  
„No, i co gadać po próżnicy ... wy nie będziecie rabinem, ja nie będę dziedzicem, taki już nasz los ... tymczasem ja muszę myszkować po borach, a wy handlować skórkami... Trzeba dziękować Bogu za to, co jest”.  
„Czy tak podług waszej nabożności wypada?”  
„Ma się rozumieć, a podług waszego rozumienia inaczej?”  
„Owszem, jeszcze bardziej, zawsze trzeba dziękować Bogu za to, co już nam dał, a prosić żeby jeszcze więcej dat i jeszcze więcej”.

„Nigdy wam nie dość”.

„Aj, Mateuszu, pomyślcieno, co wyście powiedzieli? jakie wyście rzadkie słowo wymówili i jak niepotrzebnie takie słowo wymawiacie”.

„Nie rozumiem was”.

„Powiedzieliście „dość”. Weźcie to na rozważę, na rozum, i zastanówcie się co to znaczy?”

„Dość znaczy dość, do woli, do syta, tyle co potrzeba”.

„I kto takie słowo wymawia?”

„Juścić nie psy, tylko ludzie”.

„Nie wielki z was majster do myślenia. Żeby was naprzykład, nie chcę złą godzinę wymówić, złapał w lesie Barnaba i zaczął łomotać po waszym grzbiecie grubym kiicm, tobyście krzyczeli „dość”; żeby was, niech się na waszych wrogów obróci, trzęsła febra, tobyście też mogli krzyzczeć dość; ale gdby wam kto dawał pieniądze, zboże, perły, gdyby wam toczył z pełnej kufy okowitę, to nie spieszylibyście się z wołaniem, moglibyście zapomnieć, że takie słowo w mowie ludzkiej jest. Co to znaczy? Biercie tylko do głowy, a zrobi wam się zaraz jasno, że „dość” odnosi się tylko do

g

zego, a nigdy do dobrego; że skoro na dobre człowiek nie mówi „dość”, (o znaczy, że mu brakuje, że mu jeszcze potrzeba, a skoro potrzeba, prosi, żeby mu dali. To jest całkiem jasne i trzeba bardzo twardej głowy, żeby tego nie rozumiała, no, a wy przecie zanadto twardej głowy nie macie”. Chłop się roześmiał.

„Po żydowsku wy, Abramie, te wszystkie pomyslenia obracacie”.

„Śmiać mi się chce z was Mateuszu”, rzekł Abram. „Wam dziwno, że ja wszystkie pomyslenia obracam po żydowsku. Powiedzcie, proszę, jak je mam obracać? po waszemu? Ej, nie. Każdy człowiek ma swój sposób: chłop chłopski, pan pański, żyd żydowski. Z tych sposobów dopiero wynika jeden sposób: dobry”. „Nie zawsze”.

„Zawsze, wierzcie mi. ja się na tem znam lepiej od was. Jeżeli będziemy łapali zająca, wy złapiecie; jeżeli pójdziemy zastawiać wnyki na ruble, to ja muszę cokolwiek upolować, a wasza próżna fatyga. Nie może być inaczej, cały porządek świata na tem stoi, cała spekulacja. Nie moja to głowa wymyśliła, ani nie

wasza, tak już byto oddawna, tak jest i tak będzie.



Clitop gtową zaczął kręcić.

„A juści, wszystkobyście zagarnąć chcieli i zabrać do garści”.

„Co wszystko, iakie wszystko? Ai, Mateuszu, weźcie dobize do głowy. Wy macie chałupę, macie pole, łąkę”.

„Ai, łąka; całej obrady sto prętów”.

„Ja nie mam nawet dwa pręty; macie konia, krowy, owce i za pozwoleniem jeszcze inne bydło, macie las”.

„Jaki?”

„Niby nie wiecie: dworski las mace”.

„Dworski to nie mój”.

„Wszystko jedno, powiadam tylko, że wy coś macie, a ia nie mam nic, tylko kawałek głowy i parę groszy w kieszeni. Koniu łatwiej żyć, wam czy mnie?”

„Mnie się zdaje, że wam”.

„Pie! nie powiedzcie to słowo, wy macie”.

„A wy macie pieniądze”.

„Aj, niech nasze wrogi takich pieniędzy nie mają”.

„Eh, Abramie, po co mamy bajać PO próznicy; zapłaćcie mi za moje zajączki i bywajcie

zdrowi. I tak już noc zapadnie, nim się człowiek przywlecze do chałupy, kawa! zejdzie, a jutro raiuteńko do roboty trzeba wstać”.

„Alboż potrzebujecie młócić? Czy wasz syn tego nie potrafi? Czy wam niewola męczyć wasze stare kości?”

„Ia do młócenia nie pójde, ale do lasu”. ..Dobrze, idźcie wy do lasu. Słuchajcieno, podobno na Żabimjeziorku pokazały się wydry”.

„Kto wam to mówił?” „Chłop jeden opowiadał, że ludzie widzieli, nawet on sam widział, a ja zaraz pomyślałem, że te wydry będą nasze”. „Ale”.

„Kto je złapie jeżeli nie wy?” „Trudna rzecz”. „Dla was?” „Dla każdego”.

„Pi, pi, wydra, rzadka rzecz, śliczna skórka, jaby wam dobrze zapłacił”.

„Nie sprzedaję ja skórki na baranie; jak będzie to pogadamy”.

„Ja wiem napewno, że będzie”.

„Bywajcie zdrowi, Abramie, już jadę”.

„No, co wam tak pilno? napijcie się jeszcze wódki, ja funduje”.

„Snać sumienie was ruszyło, żeście dali tak mało za zające”.

„Wcale nie, chciałbym, żebyście mieli lepszą chęć do wydry”.

„Samo prawic żydowski kołnierz”.

„Co wam do tego? niech będzie czyj chce, abym wam zapłacił”.

Rozstali się dwaj przyjaciele na krótko.

Po trzech dylach Mateusz znów przyjechał i przywiózł ładne lśniące skórki z dwóch wyder. Abram wydał okrzyk zdziwienia.

„Już?” zawołał.

„A juści, miałem czekać do żydowskich Trzech Króli?”

„Wy chyba ze złym duchem macie spółkę”.

„Ej, nie bając, jeno wydry brać i płacić, skórki są piękne, a zachodu kosztowały niemało”.

Po tym handlu nastąpi! drugi, dalej trzeci, dziesiąty i tak przez całą zimę i przez następnych dui kilka.

W zgodzie przykładowej był zawsze Abram Pinkt z Mateuszem Sikorą. Chłopu nie uszło

IW —

żadne żywe stworzenie; które tylko podpatrzy), wysłodzi), wyszpiegował, to dosta). Zdradą, podstępem, siatka, samolówką, strza)ein, w dzieli lub w nocy Mateusz ofiarę swoją zabiera). Abram nieraz myślał, że Mateusz to nie jest prawdziwy Mateusz, ale anio) śmierci dla zwierząt dzikich, tak jak rzc)nlk dla swojskich. Abram z taką pewnością nie sięgał do własnej kieszeni po pieniądze, jak Mateusz d i cudzego lasu po zwierzynę. Była to zaprawdę śliczna spółka, oparta na pewnych, niewzr)szonych fundamentach. Czasem przeszkadza! rozwojowi sąd, zawsze chętny do dawania ucha złośliwym podszeptom. Zwykle w takich przypadkach niewinność wychodziła z triumfem, ale raz stało się takie brzydkie zdarzenie, że Mateusz dostał się na pó) roku do kozy, ani jednego dnia nic darowali mu, musiał odsiedzieć całą porcję co do godziny.

Przez ten czas zwierzyna w okolicznych lasach rozmnożyła się bardzo, a Abram nic miał czem handlować, przymierał z głodu, stracił humor i opinię sławnego i punktualnego dostawcy, a grubszy liwerant skórek napisał do Abrama dość przykry list, w którym wcale niedwuznacznie dał do zrozumienia, że potrze

buje agentów czynnych, ruchliwych, energicznych, nic zaś niedo)ęgów, umięjących tylko fajki palić pod piecem i rozmyślać niewiadomo o czym.

Byto to Abramowi bardzo przykro i utwierdziło go w przekonaniu, że świat jest co się zowie paskudny, a ludzie źli. że nie pamiętają

zasługach już położonych a liczniejszych, dziesięć razy liczniejszych. Jest w tem akurat tyle sprawiedliwości, ile puchowatej sierci w wylenialej i na szczęt zjedzonej przez mole skórcie.

Abram, do najwyższego stopnia oburzony odpisał liwerantowi, że stagnacja w interesie iest chwilowa, spowodowana przez siłę wyższą; że przed upływem terminu zaradzić złemu nie można a zarazem zaproponował liwerantowi, żeby go nauczył, w jaki sposób można kupić skórkę z zająca, który nic iest zabity cieszy się zupełną swobodą.

Niech przyjdzie i niech kupi, kiedy Jcr.t taki wielki mechanik do handlu! Przekonałby się zaraz, że handel z Mateuszem jest interes, bez Mateusza zaś nic nie znaczy. Wprawdzie Koguciński też miewa niekiedy co do sprzedania, ale z Sikorą w porównanie nawet nie idzie.

Tamten Jest chłop niezwykły, prawdziwy, łowiec I

Nie mógł się doczekać Abram powrotu swego przyjaciela, a zarazem ustania szkaradnej stagnacji. Z konieczności musiał próbować innych geszeftów, trudnić się takim handlem, do jakiego wcale nie był przyzwyczajony. Trafiło mu się kupić bardzo tanio srebrny lichtarz. Kupił go bez namysłu, bo i dlaczego miałby nie kupić?

Lichtarz był porządny, nie zanadto wysoki, ani zbyt niski, średniej wielkości, w samą miarę. Używał go Abram tylko w święto i cieszył się, patrząc na tak piękny a niedrogi nabytek. Obiecał najmłodszej córce, że jej da ten lichtarz w posagu i dziewczyna pyszniła się już naprzód z tego bogactwa, tembardziej, że wszystkie prawie jej towarzyski zaledwie marzyć mogły o mosiężnych.

Któż zgadnąć może, jakich sposobów używa szatan, aby sprowadzić na człowieka nieszczęście. Nie żałuje on na ten cel ani brylantów, ani złota, cóż dopiero mówić o srebrze.

Wróg ludzi bogaty jest; nie mógł dostać się do Abrama przez skórki, osiągnął cel przez srebrny lichtarz.

— m —

Kiedy Mateusz odsiadywał swoją pokutę w kozie, na Abrama spadło też nieszczęście. Odwiedziła go policja i przyczepiła się do lichtarza. Zabrali go jak swoją własność; przytem narobili plotek, że to lichtarz kradziony, że jakimś obywatelowi złodzieje ściągnęli takich sześć, a oprócz tego srebrne łyżki, widelce, noże i inne kosztowności. Prawda szczerą jest, że lichtarz Abram kupił, a oni wyobrazili sobie, że Abram wszystko kupił, zaczęli dopytywać się o łyżki. Abram był człowiek rzetelny, chodził prostą drogą, pokazał tym napastnikom wszystkie swoje łyżki cynowe i blaszane, piękne łyżki, ale wcale nie srebrne, policji to było za mało, chciała koniecznie wiedzieć gdzie są srebrne, chciała wiedzieć kto lichtarz sprzedał, jak wyglądał, czy był stary, czy młody chłop, czy żyd czy cygan?

Albo człowiek może pamiętać od kogo kupił! Kupił i dość, zapłacił i interes skończony. Rzecz taka prosta, a jednak, jak się pokazuje, nie dla wszystkich zrozumiała. Oprócz policji przyczepił się do tego lichtarza i sędzia śledczy; zwywał Abrama do siebie, dopytywał bardzo delikatnie, grzecznie, uśmiechał się

przytem. Całkiem przyjemny człowiek, tylko ogromnie ciekawy, gotów pytać, ile człowiek ina guzików u kapoty, włosów na brodzie ... Ciekawszy niż niejedna stara żydówka. Rozmawiał z Abramem kilka godzin, troche, przytem pisał, a potem powiedział: „bądź pan zdrów”, „do widzenia” i pozwolił jechać do domu. Abram nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i wprawdzie nic pojechał, ale poszedł do domu piechotą, na swoich własnych nogach ... O lichtarzu całkiem ucichło i byłby Abram o nim zapomniał, gdyby nie najmłodsza córka, która coraz głośniejszym lamentem wyrażała swój żal i zawiedzione nadzieje. Mateusz pewnego wieczora pokazał się w miasteczku. Był jeszcze bardziej ponury i bardziej milczący niż dawniej. Patrzył w ziemię, ludzi unikał. Do drzwi Abrama zapukał może więcej z przyzwyczajenia, aniżeli z potrzeby. Ararn powitał go okrzykiem pełnym radości, ale to nie rozpogodziło czoła chłopca. Usiadł na ławie, podparł głowę na dłoni i przez dość długi czas milczał. „No, Mateuszu”, wołał Abram, „słucha!cież Mateuszu, czyście tam mówić zapoin

nieli? Powinniście się cieszyć i radować, że Już jesteście na swobodzie, a wy tak wyglądacie, jakby wam najpiękniejsza krowa zdechła. Odsiedzieliście iuż swoje, teraz możecie pracować”.

„Odsiedziałem niesprawiedliwie”, rzekł Mateusz.

„Ai, moi kochani, co to gadać. Sprawiedliwie, czy nie sprawiedliwie, jednakowo się siedzi”.

„Ja tam złodziejem nigdy nie byłem”.

„No, ja też nie byłem, a przecie miałem taki kram, taki kłopot i o co? o srebrny lichtarz, który za swoje własne pieniądze kupilem. Świat jest paskudny, ale czy dlatego, że on taki, nie handlować skórkami, nie kupić jak się co trafi?”

„Do kryminału byle za co pakują”.

„Nie myślcie wy o tem, już co was miało poleć, to przeboleło, teraz nie boli. Teraz wyście powinni zabrać się do roboty, zapłacić sobie za cały czas”.

Chłop spojrzał z podelba.

„Juści zapłacę ja, tylko mądrzejszy będę, drugi raz złapać się nie dam”.

Mateusz święcie dotrzymuje słowa. Poluje jak lis, cicho, podstępnie, skrycie, dąbki wywozi, ale ieszcze zgrabniej, niż wpierw. Wypowiedział bitwę gajowym i wychodzi z niej zawsze zwycięsko.

Abram za ów nieszczęśliwy lichtarz także swoje odsiedział, bo na tym świecie trzeba się do samej śmierci ostrożności uczyć.

Obadwaj filozofowie nasi zmężnieli duchem; nabrali więcej wiedzy praktycznej i doświadczenia. Gdy się zejną czasem lub gdy odbywają podróż wspólną, wymieniają między sobą myśli i toczą spory. O nieśmiertelności, o życiu pozagrobowym mówią mniej, bo co do tego, mają poglądy wprost przeciwne, ale kwestją używania darów przyrody, kwestją bezwzględnej wolności handlu zajmuje ich bardzo często.

Mateusz dowodzi, że człowiek ma prawo polowania we wszystkich lasach kuli ziemskiej. Abram twierdzi znów, że człowiek ma bezwzględne prawo handlu wszelkim towarem, jaki na świecie jest i to obydwóch boli, że sądy zapatrują się na te sprawy zupełnie inaczej.

OJCIEC PROKOP

KARTKA ZE WSPOMNIENÍ

przez

Klemensa Junoszę

z portretem

Warszawa.

Nakład i druk Emila Skińskiego.

Na tle wspomnień dzieciństwa mego i lat chłopięcych, na tle szarem, sierocozalobnem, rysuje się czerwony fronton ubogiego kościoła. W tej świątyni skromnej, dziwnie do myśli lepszych, do skąpienia ducha usposabiającej, nie było złocień, ani organów; ściany bielone, z drzewa ciosano ołtarze, a na ich stopniach kwitnące rośliny, wypielęgnowane przez dobrych zakonników.

Wielkie ubóstwo, wielka czystość i wielka prostota, cechowały ten przybytek Boży. Gdy się przestąpiło próg jego wczesnym rukiem, zanim się jeszcze ludzie na modlitwę zeszli, wówczas ta cisza, prostota

i czystość, nie jako pojęcia, ale jako trzy wymarzone duchowe postacie, trzy siostry dobre, przychodziły, zda się, by smutnego pocieszyć, słabego duchem pokrzepić, od szarego pyłu ziemi na chwilę chociaż oderwać i unieść daleko W świat lepszy

Po wiązce słonecznych promieni, które przez okno wpadały, po wiązce promieni, zarysowanych w powietrzu, tworzących niby olbrzymi snop pszeniczny, myśl, jak po złotej ścieżynie, szła wyżej, coraz wyżej, do krzyża, zdobiącego wierzch ołtarza, do lazuru niebios, widzianego przez okno.

Jak się to wszystko wyrzeźbiło w pamięci, jak trwale! Zda się, że rękami dotykać można tego bareliefu, o twardym, jakby średniowiecznym rysunku.

Wyrzeźbił się w pamięci ten kościół, a raczej te kościoły kapucyńskie (bo one wszystkie jednakie) i furta z krzyżem na łańcuchu i przedsionek, w którym się ubodzy gromadzili i korytarze i refektarze i małe celki bez pieców, ogródki, ogrody pełne zieleni i kwiatów i obrazy na ścianach i ży

we postaci zakonników z brodami, w habitach przepasanych białym sznurem. Kochałem tych Ojców, gdyż byli łagodni, jak gołębie, w obejściu serdeczni, mający zawsze przychylnie słowo na ustach i uśmiech dobrotliwy, bo chętnie rozmawiali z dziecakiem, obdarzali nieraz obrazkiem, kwiatem, lub smacznym owocem; kochałem ich— i zarazem na ich widok doznawałem pewnej trwogi.

Utroiłem sobie w małej głowinie, że oni są niby na świecie, a jednak nie na świecie; że między życiem a śmiercią, między zielonemi polami, a świeżo wykopanym grobem na cmentarzu, między tym a tamtym światem, między ziemią a niebem — koniecznie stać musi kapucyn. Zdawało mi się, że ci Ojcowie w grubych habitach, w sandałach, są stróżami jakichś wielkich tajemnic, że znają doskonale świat pozagrobowy i wiedzą, co się w nim dzieje, i to właśnie nadawało im w moich oczach pewien nadzwyczajny urok.

Do klasztoru biegałem chętnie, ale zawsze z obawą; przez kurytarze, nawet w dzień jasny, przechodziłem ze drżeniem; trwogą przejmowały mnie portrety, rozwieszane na ścianach. Z ram poczerńiałych wychylały się postacie blade, ascetyczne, poważne, jakby nie z tego świata.

Na piętrze, gdzie mieściły się cele, był napis: „SILENTIUM...” pierwszy dla mnie wyraz łaciński, którego znaczenie mi wytlómaczou. Nakazywał on milczenie; brałem rozkaz tak literalnie, że oddech wstrzymywałem, szedłem na palcach, żeby nie robić szelestu, żeby nie ściągnąć na się gniewu jakiego mnicha z portretu.

Gdy myślałem o śmierci, wnet przychodził mi na pamięć czerwony klasztor; gdym zakonnika zobaczył, zdawało mi się, że on z innego świata powraca. Dziś to sobie łatwo tłómaczę. Śmierć nawiedzała częste dom nasz, a we

wspomnieniach mego dzieciństwa jest kilka trumien czarnych. Ile razy kto z bliskich umierał, tyle razy kapucyn przychodził...

Dzwonek oznajmiał jego przybycie, zapalano światło... a w kilka dni później schodzili się ludzie, dzwony jęczały, kapucyni prowadzili na cmentarz.

W r. , w Lublinie, straciłem matkę, młodziutką kobietę. Pięć lat życia wówczas liczyłem. Matka umarła na cholere; zasłała w nocy, zgasła w południe, w cztery godziny później już ją pochowano, Gdy się na cmentarzu smutny obrządek zakończył, gdy szalejącym z rozpaczyc ojcem moim się zajęto, zbliżył się do mnie poczciwy zakonnik, wziął mnie na ręce, uspakajał i serdecznie, łagodnie tłómaczył, że matce będzie dobrze tam... daleko, a mnie tu na ziemi Bóg nie opuści...

We dwa lata później umarł mój ojciec, potem dziadek i znowuż przy ich śmierci był zakonnik, znowuż ich trumny kapucyni odprowadzali na cmentarz, nie dziw więc, że sobie wyobrażałem ich, jako wysłańców, przychodzących po dusze, a zarazem jako pocieszycieli w smutku i nieszczęściach, nie dziw, że ich kochałem i bułem się jedno

cznie. Pociągała mnie ich łagodność i dobroć, zaciekawiała tajemniczość, powaga, ubogie cele, modlitwy w chórze, wielkie księgi, które czytali, nawet ogród... Tam były prześliczne kwiaty i wyobrażałem sobie, że tylko ci zakonnicy potrafią je hodować nadzwyczajnym, im tylko znanym sposobem.

Niejednokrotnie zastanawiałem się nad pytaniem, czym są właściwie kapucyni? Są księżmi, odprawiają Msze, mówią kazania. Nie, to mało, oni są czemś więcej. Są zakonnikami, zrzekli się wszystkiego, co mieli na świecie, nawet imienia i nazwiska, złożyli śluby ubóstwa, posłuszeństwa, pokory. Nie — i to mało, oni jeszcze czemś są więcej oprócz tego...

Zapytałem dziadka. Opowiedział mi całą historyc tego zgromadzenia od początku i dodał, że są to bracia mniejsi świętego Franciszka...

— Boże! — pomyślałem — jakież wielki być musi św. Franciszek, skoro ma tak ogromnych mniejszych braci!

I istotnie ogromnymi wydawali się ci ludzie w oczach malca i fizycznie i duchem i jakimś charakterem tajemniczym. Wiedziałem, że w nocy, na odgłos dzwonu, wstają, że idą, do chóru przez kurytarze, obwieszone portretami, że się tam modlą; wiedziałem, że codziennie wieczorem zgromadzają się w refektarzu na medytacje i pół godziny przepędzają na klęczkach w milczeniu. O czymże myślą, co postanawiają jaki przedmiot ich zajmuje? Cóżby innego, jak śmierć, przyszłe życie, świat nieznan, pełen grozy i rozkoszy...

Ja się ich bałem.

Razu pewnego byłem z dziadkiem w klasztorze Lubartowskim, u ojca Beniamina (późniejszego biskupa). Postać ta żywo stoi mi w pamięci; głowa była kształtna, rysy wyraziste, oczy żywe, broda wspaniała, spadająca na piersi. Ksiądz Beniamin zadał mi kilka pytań z katechizmu, a później żartować zaczął. Włożył na mnie pelerynę, jaką ci zakonnicy noszą i rzekł:

— Już teraz napewno kapucynem zostaniesz.

Wybuchnąłem spazmatycznym płaczem, aż się dziadek rozgniewał, że taki mazgaj.

— Dlaczego nie chcesz być zakonnikiem?— spytał ojciec Beniamin.

— Boję się!— odrzekłem.

I bałem się rzeczywiście; bałem się habitu, celi, korytarzy, portretów, ogromnej księgi w chórze, podziemi kościelnych, bałem się... chociaż mnie coś zawsze do tych dolnych, zacnych Ojców ciągnęło.

Z biegiem czasu dziecinna trwoga niknęła i zniknęła zupełnie, a pozostała sympatya, życzliwość i wielki szacunek dla tego zgromadzenia ubogich, cichych i pokornych pracowników na niwie Chrystusowej

Odtwarzam sobie w pamięci rysy wszystkich braci mniejszych, jakich od lat czterdziestu blisko mogłem zapamiętać; przesuwają się oni na tle wspomnień, jak w procesji. Wielu z nich już przeszło do

lepszego życia, pozostała nieliczna garstka, którą świeżo osierocił ś. p. Ojciec Prokop.

Była to postać prześliczna, wielki umysł i szlachetne serce. Nie wątpię, że godniej się pióro skreśli obraz tego świątobliwego, jeśli nie świętego zakonnika, aby przekazać potomnym jego zasługi; sądzę atoli, że czytelnicy przyjmą sympatycznie i ten drobny szkic, jaki zamierzam nakreślić; przyjmą sympatycznie, choćby ze względu na tego, kogo ma przedstawiać, oraz na tło, które dla ludzi starszych będzie miłym przypomnieniem, a dla młodszych już pewnego rodzaju... nowością.



## II.

Widzę tę postać przepiękną w różnym oświetleniu, pod rozmaitymi kątami obserwacji; widzę ją, to z bliska, to znów w odległej perspektywie, a zawsze rysującą się jasno, w każdej linii dziwnie harmonijną, a w nadzwyczajnej prostocie swej wielką.

Widzę ją we wspomnieniach dzieciństwa, w opowiadaniu ś. p. Piotra Jaksy Bykowskiego, czuję żywo wrażenie, jakie wyniosłem przed sześcioma laty z celi czcigodnego starca w klasztorze Zakroczymskim.

Nie będę snuł tych wspomnień chronologicznym porządkiem, [tak jak one się, w umyśle moim i pamięci zbierały, ale rozrzucę je w ten sposób, żeby do pewnego

stopnia rzucały światło na stopniowe kształtowanie się tej wielkiej duszy.

Zanim mówić zacznę o młodzieńcu, co do furty kartuzów we Włoszech kołatał i tam do końca życia zagrzebać się pragnął, zanim wspomnę o braciszku zakonnym, który pieszo z Lubartowa do Warszawy szedł, aby święcenia otrzymać, o gwardyanie lubelskim, kaznodziei, myślicielu — powiem wpierw o Janie Leszczyńskim.

Pomimo dość znacznej różnicy wieku, ze ś. p. Piotrem Jaksą Bykowskim łączyły mnie bliższe stosunki. Był on dla mnie bardzo życzliwy, a i ja Ignąłem do niego.

Pociągała ku sobie jego postać niezwykłą, oryginalna, sposób opowiadania i niezrównany humor, czysto rodzimy, swojski.

Była w tym humorze rubasność, ale i jędrność i trafność sądu; był dowcip samorodny, nie robiony, lecz taki, co przychodzi niewiadomo skąd, zjawia się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. I nieraz całymi godzinami słuchałem opowiadań pana Piotra o jego czasach stu

denckich w Kijowie, o „bałagulach,” o ówczesnym życiu, typach i postaciach.

Gawęda toczyła się swobodnie i łatwo, niby woda w strumieniu, a dowcipem iskrzyła się, jak fala rzeki, gdy słońce w niej się przegląda; słuchałem i pomimo woli oddawałem się złudzeniu. Zdawało mi się, że czas się cofnął, że nie mam przed sobą autora „Pamiętników włóczęgi,” ale jakiegoś szlachcica z historycznej powieści, w którym jest i lekkomyślność dziwna i niewzruszone zasady i swawolna swoboda myśli i mistycyzm i śmiech pusty i łza szczerza i wielkie ukochanie i koncept.

Nie mówię ja bynajmniej, że Bykowski był takim, ale przypominał podobne postacię swoją powierzchownością, sposobem mówienia, głosem basowym i dowcipem, którego by się Imćpan Mikołaj z Nagłowic nie powstydział swego czasu.

W opowiadaniach Jaksy Jan Leszczyński był to młodzieniec przystojny, elegancki, wytworny; świat otwierał się przed nim na oścież, nęcąc wszelkimi powabami swymi,

a życie wyposażyło go hojnie, dawszy mu urodę, zdrowie, majątek, pozycję towarzyską, wybitne zdolności do nauk, zapał, siłę, dar zjednywania sobie ludzi, słowem, wszystkie warunki do ziemskiego szczęścia.  
— Znałem go dobrze—mówił Jaksza— przyjaźniliśmy się, należeli do jednego grona; bawił się z nami. Wesoły był, bo myśmy się wówczas weselili wszyscy, lichy wie dlaczego. Któżby się mógł spodziewać wówczas, co w tym człowieku siedzi? Czy ja myślałem, że kiedyś głowę przed nim schylać i rękę jego całować będę? Bo widzisz—dodał w tonie poufnej informiacji — taką rękę całować trzeba, bo ona jest jak święta. Nie hábit czyni mnicha, ale serce, a w nim jest takie serce, jak katedra; tysiące ogarnimi Taka dusza wielka, że... ja się jej aż boję. Trzeba ci wiedzieć — dodał, zniżając głos i przybierając minę tajemniczą—trzeba ci wiedzieć, że dusza duszy nierówna, każda ma swoje wymiary. Są takie małe, że gdyby którą z nich umieścić, za przeproszeniem, w prosięciu, to

jeszcze byłoby jej tam za obszernie, a czasem zdarzy się taka, że jej w człowieku za ciasno, więc wydobywa się na zewnątrz, ogarnia szerokie koła bliźnich i sama się między nich rozdziela, jak światłość i ciepło niewyczerpane. Daje ona wszystkim po promyku, a sama zostaje taką, jak była, niewyczerpaną, niby słońce. Przyznam się szczerze, że ja w nim od razu tej nadzwyczajnej wielkości nie dostrzegł, chociaż na ludziach niby się znam niezgorzej. A no, pokazało się w tym wypadku, że znam się istotnie, jak kot na musztardzie. Figle mi czasem płatał ów pan Jan, późniejszy ksiądz Prokop. Jednego razu byłem u niego; miał długie włosy, narzekał, że na wsi nie ma kogo, co by je porządnie ostrzygł. Ja również miałem obfitą czuprynę, proponuję tedy: — Jedźmy do Odessy, tam uas ostrzygą, jak należy i modnie. On mówi:— Dobrze, pojedźmy, ale pamiętaj, panie Piotrze, że specjalnie tylko po to, aby się ostrzydz. A no, tżgoda pojedziemy. Bagatela! Do Odessy, ładny kawał drogi.

Kolei żelaznych jeszcze nie było, jedziemy tedy ekstrapocztą, po tamtejszemu, co koń wyskoczy. Kazał zajeżdżać przed sklep pierwszorzędnego fryzjera. Strzęsiony byłem niezmiernie, ale nic to! Myślę sobie: miasto, człowiek się pokrzepi, odpocznie, rozweseli. Jeszcze nas nie ostrzyżono, zajeżdża przed sklep bryczka pocztowa. — Cóż to? — pytam — dla kogo? — „A dla nas — odpowiada — wracamy.” — Aieź ja, głodny jestem, zmęczony, odpocz: chciał. — „Ja również—odpowiada—lecz ponieważ umówiliśmy się, że pojedziemy li tylko po to, żeby nas ostrzyżono, a ta czynność właśnie się kończy, więc wracamy.”—Zmiłuj się, człowieku, nie sposób... — „Jak cbcefz, dałeś słowo, jeżeli podoba ci się zmienić je, zmieniaj, ja swego nie cofam i wracam natychmiast.” Nic nie pomogły moje perswazyje — uparł się; zaledwie tyle uzyskałem, że pozwolił, aby mi przyniesiono z restauracyi befszjdni i butelkę czerwonego wina. Zjadłem naprędce, wypilem i pojechaliśmy z powrotem. Sło

wo jest słowem, zapewne, nie W )ym wypadku — piorunowałem w dudni na sio wnos'ć. Być w Odessie i nie widzieć Odessy, nie zabawić się, nie odpocząć, nie zjeść i nie wypić, jak należy, no, to mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Zamyślił się, do kieszeni sięgnął i wydobył z niej staroświecki zegarek; przy złotym łańcuszku wisiało kilka medalików mosiężnych.

— Dziwno ci zapewne—rzekł—że ja Iakie breloki noszę. A no, każdy według siebie. To jedno, co człowiek ma prawdziwie swoje i prawdziwie własne. Wiarę masz, majątek masz; ogień ci tego nie spali, filut nie wyJże, złodziej nie ukradnie. We mnie, co prawda, trzęsła się ta wiara, jak kobiałka za wozem, ale mi ją dawny przyjaciel gwoździami do duszy przybił. Ja wierzę po prostu tak, jak on mnie nauczył... i gdyby nie to... świat głupi, ludzie jacyś nie moi teraz, . starość ciężka... Ja, bo widzisz, mam astmę, reumatyzm, katar kiszek, coś niedobrego w wątrobie, popsute nerwy, choć

zresztą, zdrów jestem, jak rydz; ale i te drobne dolegliwości czasem się przykrzą. Nic wielkiego, mała kulka i bez zachodu koniec. Ale wiara! Człowiek wiary wie, że to życie się skończy, a"zacznie uowe, lepsze... Masz wątpliwości jakie, zrób tak, jak ja—idź do Prokopa. On gromów na cię nie rzuci, nie zadziwi się nasvet, że się coś w twoich pojęciach popsulo. Przyjmie cię z uśmiechem, zacznie z tobą rozmawiać i tak jakoś powoli, nieznacznie, rozjaśni ci w oczach, przekona. Gdy cierpisz, on cię pocieszy, gdyś smutny, rozweseli, gdy ci życie obrzydło, pokaże zadanie człowieka W takim świetle, że zdumiejesz... Taki to jest teu zakonnik... Zakonnik — dodał po namyśle—ja także niegdyś chciałem być zakonnikiem, nosiłem habit i śpiewałem w chórze.

Nie znałem tego szczegółu z jego życia.

— Pytasz — rzekł — skąd to przyszło, gdyż nie wyglądam na mnicha... A przyszło jeduak. Uczulem nagle wielkie obrzydzenie do świata i do jego uciech; powie

działem sobie, że wszystko jest marność i wstąpiłem do karmelitów, będąc pewnym, że w zakonnym habicie do końca dni moich chodzić będę... Zdawało mi się, że to łatwa rzecz; ale jak prędko wszedłem do klasztoru, takim prędej jeszcze stamtąd wyszedł, widząc, że nie wytrzymam nowicyatu... On wytrzymał, ba silny był. Wielkie miał zmartwienie, wielki smutek na duszę mu padł, więc zerwał ze światem, zrzekł się wszystkiego i oto, widzisz, na co wyszedł. Ja stary jestem, a w karku twardy, przed byle kim się nie schylę; ale przed uim do ziemi się zegnę i nie jako przed nim, ale przed jego wielką duszą, czystą, jasną, zahartowaną w ogniu cierpień i poświęcenia... Pochylił głowę na piersi i długo milczał, potem wstał i rzekł na pożegnanie:  
— Zanim umrę, muszę go jeszcze raz zobaczyć, bo to mój AnioJStróż...

### III.

Biografowie Świątobliwego zakonnika podają, że bezpośrednią przyczyną, która skłoniła Jana Leszczyńskiego do zerwania ze światem i zamknięcia się w murach klasztornych, był przedwczesny zgon jego przyjaciela od serca, niejakiego Jezierskiego. Leszczyński uczył tę stratę tak silnie, że wyrzekł się wszystkiego, co mu życie światowe dawało i obiecywało w przyszłości— i z niezłomnym postanowieniem przywdziania sukni zakonnej, udał się do Włoch. Tam wybrał zakon o naj surowszej regule, pragnąc w odosobnieniu, w milczemu,

wśród postów i ciężkich umartwień, nad grobem własną, ręką wykopany, w nieustannem rozmyślaniu o śmierci, czekać tej śmierci, jako wyzwolenia z pęt ziemskich.

Już starania poczynił, aby go do tego zgromadzenia przyjęto, zezwolenie władz włoskich uzyskał, wszelkie formalności załatwił, już miała się zamknąć za nim na zawsze ciężka furta, gdy zaszła szczęśliwa okoliczność, która jego zamiarom, nie zmieniając ich w zasadzie, nadała inny kierunek.

Spotkał pod włoskiem niebem ziomka kapłana, człowieka o sercu zacnein i umyśle jasnym i zwierzył mu się ze swoich intentyj. Ten, wysłuchawszy młodzieńca, nie odwoził go od powziętego postanowienia, owszem, umacniał go w niem i słów zachęcy nie szczędził.

— Idź—mówił—za głosem, który cię woła, wyrzec się świata, służ Bogu — ale nie tutaj jest twoje miejsce. Wracaj tam, skąd przyszedłeś, do swoich. Wstąp do zgromadzenia żebrzących i pokori ycb, służ

bliźnim! Pocieszaj smutnych, błędzących na dobre drogi prowadź, rozdzielaj chleducha między rzesze, siej. ziarno wiary i cnot. Swoją młodość, siły, wiedzę, jako masz i jaką, w przyszłości zdobędziesz, bed daj bliźnim i blizkim, nie zostawiając sobą nic, oprócz obowiązków.

Za tym głosem dobrym, za radą rozumną, poszedł młody człowiek; powrócił do kraju i w klasztorze Lubartowskim przywdział suknie zakonne.

Stało się to go sierpnia r. Jan Leszczyński przestał istnieć dla świata, a zgromadzeniu kapucynów przybył braf Prokop. Odbywał on nowicyat i studjował zarazem nauki, pod kierunkiem świątłych teologów, których nigdy w tym zakonie nie brakło. Pokorą, skromnością, cnotą, wysokimi zdolnościami umysłu, zwracał na siebie uwagę przełożonych, którzy go też wkrótce uznali godnym przyjęcia świeceli kapłańskich.

Nie zgadzało się to z wolą młodego zakonnika, który pragnął do końca życia braciszkiem pozostać, ale wobec wyraźnego rozkazu przełożonych nie można się było opierać.

Powiedziano: „Pójdiesz, bracie, do Warszawy, aby cię wyświęcono.” I brat Prokop poszedł, w literalnem znaczeniu tego wyrazu, poszedł pieszo, dwadzieścia kilka mil drogi.

Szedł od wioski do wioski, zatrzymując się dla wypoczynku po plebaniach, po chatach włościańskich, gdzie się dało.

Noc i burza zaskoczyła go w drodze; z daleka dostrzegł światło, przyspieszył kroku i znalazł się przed jakimś dworem wiejskim, w którym mieszkał rządca. Brat Prokop zmęczony i zmoknięty, prosił o gościnność:

— O miejsce jakiegokolwiek, gdziebym się mógł przespać...

— Ani myślę—odrzekł szorstko—kto wie, co jegomość jesteś za jeden?

— Widzisz pan, że zakonnik...

Ja tam nie wiem. Może przebrany emisaryusz, nie chcę! Idź sobie, mój człowiecze i daj mi święty pokój. Dobranoc!

— Bóg zapiać...

— Ale uprzedzam, żeby i u chłopów noclegu nie szukać, bo ja. ambarasu potem miećnie chcę... Na końcu wsi jest karczma, tam żyd wszystkich przyjmuje.

Chłop, przy tej rozmowie obecny, wyszedł za młodym zakonnikiem i dał mu u siebie schronienie, w stodółce: garść słomy i dach nad głową, więcej też podróży nie pragnął.

W Warszawie arcybiskup metropolita Fijałkowski wyświęcił brata Prokopa na księdza w roku i odtąd zaczyna się działalność świątobliwego męża, jako kapłana, kaznodziei, autora.

Tu znów do osobistych wspomnień zwrócić się muszę, do Lublina, do domu mego dziadka, u którego ojciec Prokop częstym bywał gościem. Bywali też tam inni za

---

konnicy z tego klasztoru, a nieraz i cały konwent. Patrzyłem już wówczas na ojca gwardyana z podziwem i uwielbieniem, a miało ono podwójną, przyczynę, raz, że go czczono powszechnie, że mówiono o nim jako o człowieku wielkiego serca i rozumu, a powtóre, że zbudował przy kościele kaplicę, która wydawała mi się ostatnim wyrazem architektonicznego piękna.

Mniemałem, że nic wspanialszego na świecie nie ma. Całymi godzinami stać mogłem w kościele i podziwiać ołtarz i rzeźbioną statwę Matki Zbawiciela, w różnobarwnym oświetleniu, zwłaszcza, gdy jasne promienie słoneczne przez kolorowe szyby okien wpadały do wnętrza. Lubiłem patrzeć, a szczególnie, gdy kościół był pusty i nikt mi w tej czynności nie przeszkadza!; wówczas z ciekawością dziecka, ze złością, a zarazem z pewną nieokreśloną, niedającą się niczem usprawiedliwić obawą, przez kraty drewniane, zamykające kaplicę, zaglądałem do jej wnętrza. Tak tam było uroczyście, cicho a pięknie; na stopniach

ołtarza stały wazon z kwiatami, w które obfitował ogród kapucyński, a napis na ołtarzu głosił, aby się zawsze pod obronę Maryi uciekać.

Fowiedziano mi, że tę kaplicę zbudował ojciec gwardyan. Oczywiście, rozumiałem już, że nie zbudował jej własnymi rękami, ale że ją, jeżeli tak wyrazić się można — wymyślił. Jakże nie miałem wielbić człowieka, który potrafił skomponować rzecz tak pociągającą i piękną?

Niekiedy posyłał mnie dziadek do klasztoru z jakim poleceniem, z karteczką; jeżeli kościół był otwarty, wchodziłem przez furtę, gdy zamknięty, umiałem się przez korytarze do wnętrza kościoła dostać, aby chociaż na chwilę do wnętrza kaplicy zajrzeć, taki na mój młodociany umysł wywierała urok.

Ojciec gwardyan wydawał mi się, wyższym, większym nad innych ludzi, a nadewszystko mędrszym. Nieraz, gdy rozmawiał z dziadkiem moim i z gośćmi, wsuwałem się w kąć. lub za wielki fotel, aby

rozmowy tej słuchać. Nie zawsze mogłem zrozumieć dokładnie, o co idzie, ale samo słuchanie sprawiało mi wielką przyjemność.

Zrobiłem wówczas pewną obserwację. Ojciec gwardyan, który mi się wydawał takim wielkim, rozumnym i poważnym, nieraz śmiał się, żartował i rozmawiał, tak samo jak inni ludzie. Wówczas na jego twarzy pojawiał się uśmiech, a oczy przybierały wyraz łagodny; to naprowadziło mnie na myśl, że ten człowiek musi być także bardzo dobry, w tem znaczeniu, że gdybym coś spsocił, to potrafiłby przebaczyć i nie ukarać.

Tak mi się to przekonanie w głowę wbiło, że miałem chęć, dla sprawdzenia, czy się nie mylę, urządzić jakiego figła; powstrzymywała mnie jednak obawa dziadka, który był surowy, a przynajmniej takiego udawał.

Dawne to rzeczy — przeszły, minęły. Starsze pokolenie wymarło, młode wzrosło i już starzeje, a obrazy przeszłości rysują się w pamięci jasno, wyraźniej może, niż

wczorajsza chwila i takie się w oddaleniu czasu mile, takie szczególnie sympatyczne wydają...

Czerwony kościół, zabudowania klasztorne, korytarze wązkie, portrety, brodacі ojcowie, chór za ołtarzem, refektarz, ocród taki ładny, gromadka biedaków z garnuszkami u furty...

Są to obrazy niknące, w części już znikłe...

#### IV.

Dzieii był majowy; Wisła w blaskach od słońca. Statek, szybko z prądem płynący, mącił ruchliwe fale rzeki, w powietrzu uwijały się rybitwy i jaskółki.

Wybrzeża Wisły, jak okiem zasięgnąć, przyodziane były w wiosenną szatę zieloności; na polach uwijali się ludzie, wszędzie znać było życie i ruch. Statek omijał szczęśliwie liczne mielizny, a malownicze widoki zmieniały się przed oczami podróżnych, jak w panoramie.

Minęliśmy Bielany. Jabłonnę, Nowy Dwór, ogromne mury twierdzy i po kilku godzinach jazdy, statek zatrzymał się pod Zakroczymiem.

Przeszedłszy przez łąki i przez typowe, wyłącznie prawie przez żydów zamieszkałe miasteczko, zatrzymałem się przed klasztorem kapucyńskim.

Taki tam ubogi kościółek, jak w Lubartowie, także furta i kurytarze i refektarz, tacy sami zakonnicy dobrzy, uprzejmi, gościnni.

Ojciec Prokop chory był wtenczas i nie opuszczał celi, przyjmował jednak tych, co przychodzili go odwiedzać. Wszedłem.

Siedział na fotelu, w grubym habicie zakonnym, przepasany sznurem; na kolanach trzymał tekturę, na niej papier i tak, siedząc, pisał. Obok na krześle znajdował się kałamarz i kilka książek; na podłodze leżały kartki rękopisu, zapisane dużymi literami, wyraźnie.

Cela, większa nieco od zwykłych cel kapucyńskich, wybielona świeżo, jaśniała czystością, na ścianie wisiał krucyfiks i kilka obrazów religijnej treści, przez otwarte

okno wpadał prąd świeżego wiosennego powietrza.

Świątobliwy starzec wyglądał bardzo mizernie, zdawało się, że dni jego są już policzone, że lada chwila wielka jego dusza nas opuści.

Na wysokim czole rysowały się zmarszczki, ascetyczna twarz była woskowej bladości, długa biała broda spadała na wątle piersi, tylko oczy, pełne rozumu i łagodności, miały blask młodzieńczy.

Ręka, w której trzymał pióro, była mała, wychudła i jakby przezroczysta.

Przyjął mnie z dobrotliwym uśmiechem i ożywił się, gdym wspomniał o Lublinie, o dawnych czasach, o dziadku.

— Tak, tak—rzekł—anibym cię poznał, tyle czasu... Dziadek twój już dawno nie żyje, modłę się nieraz za spokój jego duszy. Pan Mateusz Brodowski... zacny był człowiek... Muszę ci też opowiedzieć, w jaki sposób się z uim poznałem.

Właśnie tylko przybyłem do Lublina, jako gwardyan; byłem jeszcze dość młody, trochę

prędko, może zaprędko. Wypadło święto, w kościele odbywało się nabożeństwo uroczyste, a ja z zakrystyi zwracałem uwagę na kościół, czy wszystko jest w porządku. Patrząc, w konfesyjonałe siedzi jakiś staruszek, człowiek świecki. Nie podobało mi się to. Posyłam zakrystyana mówiąc: „Poproś tego pana, by usiadł gdzieindziej.” Nic to nie pomogło, jegomość miejsca nie opuścił. „No — spytałem zakrystyana — mówileś?” — „Tak jest.” — „A cóż on na to?” — „Rzekł: Powiedz księdzu gwardyanowi, że ja już w tym konfesyjonałe siedmiu gwardyanów przesiedział, a nie tracę



nadziei, że i ósmego przesiedzę." — Zapytałem Ojców, kto to jest?—i powiedziano mi, że to zacny przyjaciel naszego zgromadzenia. Tegoż dnia po południu poszedłem go przeprosić i stosunki nasze były jak najlepsze. Wspomnienia ożywiły zacnego zakonnika, rozmowa płynęła łatwo i swobodnie. Na pytanie, jaki jest stan jego zdrowia, odrzekł z przedziwnym spokojem i prostotą,

— Zdrowia nie mam, dogorywam i oczekuję śmierci...

W istocie, ciało jego było wówczas bardzo wątłe, jakby złamane, ale umysł, inteligencja, w pełnej sile.

Rozmawialiśmy o wielu kwestiach ogólnych i przekonałem się, że ten schorowany starzec, ten zakonnik zamknięty w czterech ścianach swej celi. wie doskonale, co się na świecie dzieje, że ani jeden objaw życia ogóbioludzkiego obcy mu nie jest, że ma na wszystko pogląd jasny i serce pełne miłości.

Mówił o literaturze, dziennikarstwie, o nowych w tychże kierunkach, cieszyły go objawy dobre, nad ujemnymi bolał, lecz nie tracił nadziei, że one miną i że kiedyś nadejdzie czas powszechnego dobra i prawdy.

Zalecał, aby się u stóp krzyża gromadzić, na krzyż patrzeć, z krzyża czerpać otuchę i siłę.

Był w jego słowach prostych, niewyszukanych, dziwnie łatwo płynących, ton jakiś erdeczy, który za serce chwycił; był

w nich ogień miłości; była siła, nie groźna, lecz taka, która pociąga ku sobie łagodnie. Mówił, jak filozof, jak mędrzec, który pokonał ciało, wykształcił i umocnił ducha. W życiu duchowym, w rozmyślaniach, ukrzepił go w krynicy rozumu i wielkiej chrześcijańskiej miłości.

Mówił głosem przyciszonym i osłabionym, bez gestykulacji, spokojnie; od czasu do czasu popierając zdania wejrzeniem, w którym malowała się dusza. Ogarniał serdecznym uczuciem wszystkie warstwy społeczne, wieśniaków, pracujących na roli, rzemieślników, inteligencję, całość społecznej rodziny, a o szlachcie tak mówił:

— Któżby chwalić mógł przywileje i kastowość? Jednego Ojca mamy — Boga i wszyscyśmy jego dziećmi. Ta równość, to jeden z najpiękniejszych klejnotów, jakie posiadamy w przebogatej skarbnicy wiary Chrystusowej—ale wszyscy powinniśmy dążyć do szlachectwa. Rozumiesz, że nie o herby idzie, lecz o ducha, o jego uszlachetnienie najwyższe. Mniemam, że

w tym wyrazie „szlachectwo,” o ile on się do duszy stosuje, mieści się pojęcie czterech głównych cnot chrześcijańskich. Kto takie szlachectwo posiada, ten jest roztropnym, wstrzemięźliwym, sprawiedliwym i mężnym. Do tego dążyć wszelkimi siłami należy. Uszlachetniać ducha, kształcić go, silnym czynić i najważniejsza — kochać jedni drugich, a nie tracić ufności w miłosierdzie Boże.

Zauważyłem na twarzy ojca Prokopa zmęczenie, więc pożegnałem go. Krzyż nad moją głową uczynił i szepnął: — Nie zapominajcież...

Któżby Cię zapomniał, wielka duszo!...

Widziałem go wówczas po raz ostatni, a było to przed sześcioma laty.

Opuściwszy celę autora „Żywotów Świętych,” zwiedziłem kościół, refektarz i prześliczny ogród klasztorny.

Zacni Ojcowie: Benvenuto, Wilhelm, Ilouorat, Feliks, Bernard, Łukasz, naprze

mian, o ile im zajęcia pozwalały, towarzyszyli mi ciągle.

Przyozdabiano ołtarz na uroczystość, św. Feliksa i znoszono do kościoła mnóstwo kwiatów; przypominały mi się lata dziecinne i chłopięce, kiedy i ja nieraz takiej czynności pomagałem i z wielką powagą a ostrożnością prznosiłem kwitnące rośliny.

Widziałem kurytarze, ozdobione starymi portretami i chór i ogromną księgę za ołtarzem i zakonników pocziwych i zdawało mi się, że z księgi własnego życia czytam jedno, dawno już zapisaną kartę. Odświeżyły się w pamięci wszystkie wrażenia z owych czasów, z tą tylko różnicą, że już się dobrych Ojców... nie bałem, jak niegdyś...

## PRZESZKODA

## NOWELA SPORTOWA

Rozdział pierwszy, w Morfin jest mowa o nieletnich sportmenach, łyżwie za trzy prosze i o tajemniczym koniu ziało się to w roku pańskim .

Najmocniej przepraszam szanownych panów, którzy jeszcze te czasy pamiętają, a już czernią włosy i brody, za to nieprzyjemne przypomnienie, ale są terminy prekluzyjne, są wyroki stanowcze i ostateczne, od których nic masz apelacji...

Jeszcze bardziej, jeszcze gorącej, jeszcze unieżonej przepraszam pensjonarki ówczesne, z których dziś jeszcze niejedna opiera się niszczącym zębom czasu, i spóźniwszy się do ołtarza, udaje młodą mężatkę...

Co pomoże protestować?! Rok był, i myśmy w nim byli, jako kandydaci na ludzi, malcy w ciemnozielonych mundurach, z czerwonymi kołnierzami, „baki” o pyzatyh twarzach, lnianych, lub czarnych włosach, żwawi weseli, rwący się do życia.

I te pensjonarki, może już babcie, może cioście, może, w wyjątkowych razach młode

mężatki, a moje wędzące, niby georginje na jesieni, staro panny...

Ale cóż tam pensjonarki... Myśmy mieli po dziesięć lat życia, więc uważaliśmy się za panów stworzenia, a „kobiety” za istoty znacznie pod każdym względem niższe a że kochaliśmy się w nich, to znowuż co innego.

Należało do szyku, aby być zakochanym, tak jak należało do Bzyka ćmić papierosy po kątach.. Palenie wywoływało przykre skutki, zakochanie nie sprawiało żadnych wrażeń, ale każdy szanujący się sztubak musiał ćmić... choćby suszone listki róży, i kochać się, bodaj w najbrzydszej uczennicy klasy pierwszej lub drugiej, z pensji pani Pigeon... Ta gorąca miłość objawiała się latem przez grę w zielone a zimą ukłonem przy spotkaniu, lub walczykiem, przetańczonym na zabawie prywatnej.

Zajmowaliśmy się łąciną i palantem—a szczerze mówiąc, gorliwiej palantem niż łąciną, a kiedy zima nadeszła i szerokie kałuże na błoniach podmiejskich zamarzyły, oddawaliśmy się z rozkoszą sportowi łyżwowennm, chociaż żaden z nas nie miał wyobrażenia o tem, że wyraz „sport” istnieje i ie co znaczy.

Jakże gorąco pragnęliśmy ośmnastostopniowego mrozu!! W takim dniu bowiem, szkoła, ze względu na zdiowio uczniów, na to, ie się mogą przeziębnić, bywała zamknięta...

Gdy się i wieczora bardzo zimno robiło, seu nasz bywał niespokojny; nasłuchiwaliliśmy uważnie, czy nie pękają gonty na dachu, czy śnieg pod stopami przechodniów bardzo skrzypi.

Gonty pękały, śnieg strasznie skrzypiał, okna w naszej sypialni pokrywały się warstwą zamrożonej pary, białą, grubą, zwelnioną jak futro na jagnięciu...

Zaspane słońce zimowe budziło nas ze snu gorączkowego.

Natychmiast tworzyło się kilka delegacyj... Jedna, nie czekając śniadania, biegła do apteki, gdzie był wystawiony za oknem termometr; druga chcąc zasięgnąć informacji ze źródeł urzędowych, pędziła pod ratusz; trzecia dla zdobycia pewnika biegła do szkoły, aby wybać stróża — czy będzie wywieszona karta o mrozie.

Dziewiętnaście! wołali z tryumfem jedni.

— Dwadzieścia trzy! krzyczeli ci, którzy powrócili z pod ratusza..

— Michał powiedział, że jest piętnaście. Sauti widział na termometrze w kaucełaryi szkolnej.

— To ciepła!

— Wszystko jedno... ale tylko piętnaście... Wątpliwość targała młode serca.

Nie oglądając się na delegacje, nie wierząc nikomu, prócz sobie, każdy biegł przed gmach

szkolny, i tam dowiadywał się, że z powodu wielkiego mrozu lekcji nie ma...

Natychmiast następował odwrót do domu i wyprawa na błonia, na ślizgawkę...

Teren był ogromny, rozlana na niskich łąkach woda w szerokich, długich kałużach, tworzyła wielkie talie lodu, poprzerywane pasami ziemi. Można było pędzić wprost, przed siebie, dwie i trzy wiorsty, z przerwami.. Co za rozkosz dla małych sportsmenów. .

Tylko że ten sport wyglądał całkiem inaczej niż dzisiaj. Rozkosz ślizgania się była za darmo, bo właściciel lodu nie dorósł jeszcze do pojęcia, aby można było ciągnąć z tego zamrożonego źródła dochody, powtóro polowa „łyżwiarzy była bez łyżew... — Wystarczyły dobre podeszwy u butów. Chłopak rozpędzał się, przysiadał, i sunął po lodzie kilkanaście, czasem kilkadziesiąt kroków i zatrzymywał się lub przewracał...

W ogóle owych małych łyżwiarzy podzielić można było na trzy kategorie, a mianowicie: bezłyżwowych, posiadaczy tak zwanych „drutówek" i paniczyków, jeżdżących na „stalówkach", — a były jeszcze przytem poddziały: łyżwiarze, jeżdżący na jednej łyżwie i łyżwiarze, jeżdżący na dwóch. Jak się wykaże poniżej, była to duża różnica.

Ze względu na starożytność przedmiotu, na leży powiedzieć jak wyglądała łyżwa „dru

tówka". było to kopytko, wystrugane z drzewa, płaskie z tej strony, na której miała się noga opierać, zaokrąglone półkolisto od spodu. Środkiem spodu, wzdłuż, znajdowało się male wyłobienie podłużne, a w niem założony gruby drut żelazny, lub miedziany, z obu końców ku górze zagięty i wbity w owo drewno... W przedniej i tylnej części „kopytko" było przewiercone (najczęściej rozpalonym do białości pogrzebaczem), a przez te dziury przeciągano szpagat, który służył do przytwierdzenia drutówki do stopy łyżwiarza.

Jeden egzemplarz takiej łyżwy kosztował trzy grosze, para (dla zamożniejszej młodzieży) dwa razy tyle.

Jeszcze parę słów o „stalówkach". Te były już ostatnim wyrazem szyku łyżwiarskiego: nie wyrabiano ich sposobem domowym, lecz kupowano w sklepie. Drewnienko było zgrabnie obrobione, miało ono sztyft, który wbijał się w obcas, i właściwą łyżwę, czyli nóż stołowy rowkowany; do przytwierdzenia zamiast sznurków używane były paski rzemienne. Jedna taka łyżwa kosztowała onego czasu bardzo drogo: dwa złote! Posiadacz pary stalówek uważany był w tym światku chłopięcym za magnata...

ślizgano się: bez łyżew, na jednej łyżwie, lub na dwóch, zabawka nie była kosztowna a uciechy dawała mnóstwo.

Czerwieniły się twarze, wyszczypanego od mrozu, który też wywoływał wielką energję ruchów; rozbrzmiewały wesołe okrzyki i śmiechy urządzano wyścigi, a nie jeden mały sportsman, powracał do domu z siniakiem lub guzem. To się nie liczyło jednak, na ślizgawce, jak na wojnie, o plejzer nic trudno.

Wieczorem, po nauczeniu się lekcyj na dzień następny, rozpoczynała się rozmowa, naturalnie o ślizgawce, a potem i o innych przyjemnościach.

Na czarnej ławce, przy piecu, zasiedli trzej chłopcy, drugoklasiści: Stas, Janek i Oleś. Pierwszy, tegi blondyn z gęstemi konopiaszami włosami, drugi wątły szatyn, trzeci wysmukły brunecik.

— To wszystko nic, rzekł Janek, dobra ślizgawka, dobre łyżwy, ale ja wolę konia... Jeździł z was który na koniu?

Na to zapytanie Stasiak śmiechem wybuchnął. Syn zagonowego szlachcica, dziecię wioski, nie wyobrażał sobie, aby mógł istnieć chłopiec, któryby konia nie dosiadał...

— Oto! zawołał... trzy lata miałem, gdy mie ojciec pierwszy raz na szkapę posadził, a teraz jeżdżę jak stary.. Byłem się chwycił grzywy to dość i... Eh, co o tem gadać — trzeba widzieć jak chłopcy na wsi u nas z pastwiska wracają! Ziemia dudni!..

wiatr w uszach dzwoni, a jak wpadną na gościniec—to kurz taki, że światu nie widać..

— Bajesz!

— Aha., przyjeźdź kiedy i zobacz... Wsadzę cię na nasz;; siwą źrebicę... jeżeli dosiedzisz..

— Tak mówisz, bo wiesz, że do ciebie nie pojedę, rzeki Stas, bo moi rodzice daleko w miasteczku mieszkają..

— Żebyś chciał...

— Bardzo chciałbym. Musi tu być przyjemnie tak pędzić szybko.

— Tak, tylko trzeba się dobrze trzymać...

— Spadłeś kiedy?

— Oj oj—albo raz.

— A potłukłeś się?

— Bajki. Com się miał potłuc? Na gościńcu piasek, więc nie twardo; a na pastwisku trawa. Teraz już nie spadam—a choćbym i spadł, to także nic, bo ojciec zawsze powiada, że z dobrego konia spaść nie żal., a u nas konie dobre...

— Dużo ich macie?

— .jest gniada, jest źrebica i dwa źrebaki. Ojciec bogaty, ma piętnaście morgów gruntu.

— Ale na siodle toś chyba nic jeździł? Chłopak zaczerwienił się.

— Czasem.. Ojciec ma kulbakę, ale sani jej używa, gdy w daleką drogę jedzie; przytacza do niej torbę z obrokiem, kobiałkę z pożywieniem, jak zwyczajnie do podróży... Mnie

tam po alodie nic... aby koń domy, to najpierwsza rzecz...

— Moi kochani odezwał się milczący dotąd Oleś, koń dobre stworzenie, jeździć na nim rzecz bardzo przyjemna. Ja sam bardzo lubie, chociaż trochę się boję—ale dla nas to na nic.

— Jakto na nic?, zawołał StasicU, przecież bez konia gospodarz radyby sobie nie dał.  
' My też nic gospodarze, tylko uczniowie.. Ot dziś byliśmy na ślizgawce, wróciliśmy, łyżwy za pice—i dobrze. Jeść im dawać nie trzeba. Zechcemy ślizgać się jutro—łyżwa za pieca'i już. A konia gdziebyś schował, co?  
— To prawda., ale podczas świąt i wakacyi można używać do woli.  
— A właśnie ja słyszałem o takim konin, co nic nie jada, stajni nie potrzebuje, a jeździć na uim można kiedy kto chce.  
— Chyba żarty?!  
— Jakim znów sposobem., przyśniło ci się chyba!  
— Mówię wam wyraźnie, zem słyszał.. Opowiadał jeden pan, u moich rodziców, podczas wakacyj. I nie myślcie, że byłe jaki pan. W Warszawie mieszka, za granicą bywa, cały świat zna. Ogromnie dużo widział i ma o czym mówić.

— Taki zagraniczny najgladziej kłamie, rzek) Stasiek.  
— A czy go znasz?  
— Znać—nie znain, ale wiem...  
— Powiedz—że Oleś, wtrącił Janek, co on mówił. Cóż to za taki koń szczególny?  
Chłopiec nic miał dokładnego pojęcia o przedmiocie, który tak bardzo wszystkich zainteresował, przeto dopomagał sobie trochę fantazją i opowiada!, że istnieje koń drewniany, zupełnie jak koń, tylko znacznie mniejszy; że na nim znajduje się siodło, tak jak prawdziwe, tylko także mniejsze, że zamiast nóg ma ów koń koła i tych kół jest trzy, że obracają się one za pomocą korby—i można jechać z niesłychaną szybkością, a w każdym razie prędzej aniżeli na koniu żywym. Syn szaraczka oburzył się na to.  
— Nie wierzę temu! zawołał Stasiek, nie wierzę, żeby mógło być co szybszego od konia!  
— A zając?  
— Eh, mój kochany! Widziałem ja nieraz jak panowie polowali na zające z chartami — a wiesz na czym jechali? Na koniach. Zazdrościłem im tej uciechy, bo pędzili jak wiatr, przez płoty, rowy, tylko się migali... i zawsze doganiali zająca. O czym tu gadać? Koń jest najściglejsze stworzenie na świecie i dość!  
— A kolej żelazna! zawołał z tryumfem Jaś. Moja mama jeździła w roku zeszłym

z Warszawy do Częstochowy — i nie może dość naopowiadać, co to za szybkość szalona. Drzewa, krzaki, pola, lasy, wsie, miasta, migają się tylko przed oczami, a maszyna pędzi, ogniem bucha i dymem, a jak świśnie — niech Bóg broni!.. Mania mówi, że jej dotychczas ten świst przeraźliwy w uszach świdruje... To taka jest kolej! Twoja siwa źrebica może się za piec schować ze swoją szybkością. Słyszałeś zapewne o kolei?  
— Ano, słyszałem. Ojciec mój też jeździł do Częstochowy, a hrabia z Jedlanki był podobno aż w Wiedniu i także koleją...  
— Widzisz więc, że koń nic tak wicie znaczy, jak ci się zdaje...  
— No dobrze; nie spieram się. Kolej szybsza, bo po żelaznych szynach się toczy, boją para ciągnie — a swoją drogą, co koń to koń.  
— Zawsze koń!

— Ma się rozumieć... Mój dziadzio, który za młodu wojakiem był i dwadzieścia lat w konnicy przesłużył, powiada, że koń to takie stworzenie, które ma swój rozum, honor i odwagę, lepszą niż inny żołnierz. Na sygnałach się zna, komendę rozumie; jak trzeba stać, to stoi pod kulami, niby mur, ani uchem nie ruszy — a jak trzeba (to ataku, to pędzi jak wichra na karabataliony, na baterje, w piekło skoczy, gdy do ataku zatrąbią a żołnierz ostrogami go trąci — a gdy wypadnie torsów

ny marsa odbyć, po wertepach, manowcach — to idzie póki sil starczy, dźwiga żołnierza na grzbiecie, często o głodzie... A nocną porą, na patrolu, na pikiecie, czuwa razem z człowiekiem, wypatruje w ciemnościach, a gdy co dostrzeże, zaraz uszami strzyże, rusza się, że choćby żołnierz drzemał na siodle, to się musi przebudzić... Dziadzio mówi, że dobry koń, to przyjaciół, to brat przywiązany, wierny, rozumiejący człowieka... To tak w wojsku; a w gospodarstwie, a w podróży! Nasza gniada kobyła wśród najciemniejszej nocy drogi nie zmyli, a twoja głupia kolej co? — Ani moja, ani głupia, odburknął urażony trochę Janek.

— Twoja, bo ją chwalił — a głupia, bo głupia. Wielka sztuka, że pędzi po szynach. Ale niech no z szyn zejdzie... puść ją na zwyczajną drogę, na gościniec, w piasek, albo na grobelkę taką, jak w naszej wsi koło młyna, albo podczas roztopów, w błoto a przekonasz się, że jest głupia i uic nie poradzi, zagrzęźnie... a koń zawsze poradzi, bo koń... bo koń, to widzisz... jest koń.

— Okrutnie mądry, wtrącił z przekąsem Olei...

— Jakbyś wiedział, że tak... Gadajżo do maszyny „hettał” „wista” „ptruu” zrozumie cię? A koń wie, co takie wyrazy znaczą: na prawo, na lewo, stój...

— Prawda, ale koń na kolach... owsa ani siana nic jada...

— Kto go widział?

— Ten pan, o którym mówiłem.

— Głupstwa plótl... ja nie wierzę.. Chyba, żebym na własne oczy zobaczył...

— Może kiedy i zobaczysz...

Chłopców sen morzyć zaczął; łożowa świeca dogorywała w blaszanym lichtarzu, gospodyni zaczęła wołać, że marnowanie światła jest grzechem i, że na to Pan Bóg dał noc, aby ludzie spali.. po ciemku. Jakby potwierdzając zdanie szanownej wdowy, świeczka zaśkwierczała żałośnie, błysnęła kilka razy czerwonym płomieniem i zgasła, a ciemności napelniły ubogą stancję.

Chłopcy usnęli, marząc o tajemniczym koniu. — Jaś i Oleś widzieli go w sennych obrazach, jako fantastyczne zjawisko, coś w rodzaju siedmiomilowych butów, czarodziejskich skrzydeł, unoszących człowieka w dalekie światy, z niesłychaną szybkością; zdawało im się, że już dosiadają go, już pędzą, pędzą w przestrzeń, bez końca...

Stasiak miał sny przykre i niespokojne. Wiejskie pacholę, dziecko szaraczka, widziało w tajemniczym koniu zdradzieckiego potwora, który, niby wilk, czai się; skrada do stajni, aby skrzywdzić gniudą szkapę i siwą źrebicę i dwa źrebaki i te piękne konie, na których

niegdyś Dziadziokar. ibataljony rozbijał i wszysk kie w ogóle konie na świecie, odebrać im znaczenie, honor, wartość a może nawet wytępić i wyniszczyć ,je zupełnie...

I śni się dzieciakowi, że jest na pastwisko, pod lasem, że stoi obok siwej źrebicy, obejmuje ją za szyję i mówi: nie dam cię, nie dam, kochana, obronię cię przed niebezpieczeństwem, zastawię własną piersią—i jak niegdyś legendowi bohaterowie zabijali straszne smoki, zabiję tajemniczego konia!

Śni dalej, że siwa źrebica patrzy na niego dużymi błyszczącymi oczami, że pieszczotliwie skubie go wargami za rękaw, jakby pragnąc powiedzieć: rozumiem i wierzę ci mój Staśku...

Zegar chrapliwym głosem wydzwoił szóstą, nową łojówkę zapalono w blaszanym lichtarzu a korepetytor chodził od łóżka do łóżka, wołając:

— Wstawajcie żywo... próżniaki!

Sny pierzchnęły niby ptaki, tajemniczy koń uciekł w krainę fantazji,—spłoszony przez łacinę i ułamki.

Rozdział drugi, w którym tajemniczy koń rysuje się; niecą wyraźniej, lecz w kształtach zgięta de konia nliipodoinnh. Trzej chłopcy rozdzielili się, porwała ich fala życia i uniosła nie bardzo daleko co prawda, ale bo też to i fala nic taka znów bystra nadzwyczajnie.

Płynęli wszyscy trzej razem, przez czas szkolny, niby trzy źdźbła słomy, rzucone na spokojne fale strumienia, a później każdy z nich w inną udał się stronę, Jaś do Warszawy, gdzie kształcił się dalej; Adaś na praktykę do budowniczego w najbliższym mieście; tylko Stasiak nie miał ochoty oddalać się od rodzinnego zaścianka. Łaciny i algiebry miał dość, o zdobyciu jakiegoś wyższego stanowiska nie marzył, nie nęcił go świat szeroki, wolał poprzestać na swoim, maleńkim i zacisznym. Postanowił poświęcić się gospodarstwu i na tej drodze zdobywać przyszłość, zaczynając od małego; od dwuletniej praktyki w sąsiednich dobrach—a potem miał się drapać po szczeblach coraz wyżej, z posady oh

cialisty nu maia dzierzawę, z tej na większą,  
z większej na mały ale już własny folwar



czek, a dalej co Bóg da... Taką marszrutę życiową ułożył sobie Stasiek i postanowił iść według niej, powoli, z oszczędnością, uporem i wytrwaniem zagonowego szaraczka, z pracowitością mrówczą, z wyrzeczeniem się wszelkich przyjemności życia, o ile te pociągałyby za sobą koszt, choćby najmniejszy.

Ojciec Staska, zawsze hojnie sypiący przysłowiami i sentencjami wszelkiego rodzaju, mania! zwykle do niego:

— Synn, stać cię na wino—to pij piwo— stać na piwo—pij wodę. Nie buduj nie muruj, bo to koszt próżny, tylko łataj, podpieraj i zbieraj. O! zbieraj, synu, bo ziarno do ziarnka, zbierze się miarka, a kto o grosz nie stoi, ten szeląga nie wart.

— Wiem ja, wiem, ojcze, odpowiedział Stasiek i dalibóg, nie mnie to trzeba przypominać. Najtrudniejsza pierwsze sto rubli zebrać, a gdy się je zbierze, to już później gładko idzie, jak po maśle. Grosz grosz rodzi. Ojciec tą drogą szli—i, łogu dziękować, doszli...

— Do czego ja tam doszedłem, mój synu!..

— Zawsze coś jest...

— Jedno z drugim, kochany Stasiu, tyle co nic. Jedynaka cię mam, więc, niby, jak dla jednego, to jeszcze ujdzie, ale żeby was

było, na ten przykład, jak to aię trafia czasem po łodziach, ośmioro, albo dwanaścioro to co?

— Bogu dziękować, nie ma, odrzekł Stasiek.

— Dziękować? Oczywiście, za wszystko trzeba dziękować, ale... żeby było jeszcze kilkoro...

— To miałby ojciec tylko więcej kłopotu..

— O prawda, prawda... Mądre słowo powiedziałaś... I nie dziwota. Edukowany człowiek jesteś, w szkołach byłeś, a co innie to kosztowało.. oj, oj co innie kosztowało! Myślałem, że nie wytrzymam.

— Ojciec żałuje tej prowizji, którą mi do szkół przysyłał?

— Nie żałuję ja, tylko powiadam... prowizja—bajki. Urodzi się na polu, młynarz zmiele, to kasza i mąka jest; upasio matka wieprzka, to i o kawałek słoniny nie trudno, ale gotowy grosz! gotowy grosz! Chłopaku toć ja za ciebie gospodyni, za jedną tylko stancję i gotowanie, dziewięć rubli kwartalnie płaciłem! Dziewięć rubli—czy słyszysz? To suma, to kupa pieniędzy, a kwartał przeleci prędko jak z bicia trzasnął. Ledwie, żem za ieden zapłacił, już masz i drugi. Za świętym Janem goni święty Michał, za Świętym Michałem—Nowy Rok, ledwie Nowy Rok miął, znów Wielkanoc i znów Święty Jan i ja to,

chłopaku, wytrzymałem i wytrzymałem przez siedm lat!

— Niestraconc pieniądze, ojcze, szkoły skończyłem.

— Ano, skończyłeś, co prawda to prawda; przywiozłeś patent, na piśmie, z pieczęcią., jak się patrzy, tylko.

— Tylko co jeszcze ojcze..

— Szkoda, żeś jeden..

— Dla czego?

— Drugi przy gruncie by został, ty uczony człowiek, z edukacją, mógłbyś się na księdza wypromować, albo na adwokata znacznego. Honor na nasze nazwisko by spłynął. Nie myśl, że to co nowego. Bywali w naszym rodzie kanonicy wspaniali i adwokaci taey, że całym trybunałem trzęśli.. Takim byłbyś i ty, a twój brat, przy gruncie by siedział, siał, bronował, żął, młócił..

— Już mnie, kochany ojczu, od roli nic nie oderwie, odezwał się Stasiek, ona mi pachnie. Wasz ja syn rodzony, ojczu, i o honory nie dbam. — Kawalek ziemi to rzecz; za ziemią przyjdzie i honor i grosz i spokój na stare lata, a zawsze swój kawałek chleba, ze swego zagona najmilszy.

— Dobrze rzekłeś synu, tylko, że ty eli zagonów bardzo mało po mnie dostaniesz. Wiesz jakie to nasze drobnoszlacheckie fortuny: pies na mojem dziedzictwie siedzi, a ogon już na

cudzem trzyma; gruszka na moim gruncie rośnie, a cień na sąsiedzkie pole rzuca.

— Nie bardzo ja na ojcową fortunę patrzę, rzeki Stasiek.

— Oho, nie patrzysz? A na co się oglądasz?

— Własnej się dorobię.

— Takiś hardy, mój synku! Dobrze—i ja też za lat młodych śmiałym byłem... Czasem takim się szczęści, a czasem ich psy kasa ją. Nie zaszkodzi, jeżeli będziesz miał to zawsze na pamięci...

— Ha, proszę ojca, rzekł chłopak, trudna rada. Co będzie, to będzie, a pójdę tą drogą, która mi się najlepiej podoba, tam, dokąd mnie coś ciągnie. Ja pracy dołożę i sil nie pożałuję, a będzie, eo Bóg da.

I poszedł prosto do celu z cierpliwością wytrwałą, z wolą silną, o rozrywki i przyjemności nie dbał, tylko wyłącznie jeduej myśli oddany—dorabiał się. Po śmierci ojca, matkę wziął do siebie, a fortunę sprzeda). Nie brakowało amatorów wśród sąsiadów; z chciwością rozkupili wązkie i długie zagonki, a płacili za nie tak dobrze, że Stasiek, a raczej już pan Stanisław, złożonywszy to, co za fortunę osiągnął, z tem, co sam uskładał i co ojciec przez długie życie nazbierał, ujrzał się w posiadaniu sumy, która mu pozwoliła kupie mały folwczerek. Nie spieszy! się jednak, a że trafiła

się właśnie do odstąpienia korystna dzierzawa, z kilkuletnim kontraktem, wziął ją.

Warunki były dobre, młody gospodarz wiedział, że nie straci, przeciwnie, nie wątpił, że osiągnie zysk spory, mógł więc jeszcze na kupno własnego kawałka ziemi poczekać... przytem postanowił się ożenić i posagiem żony kapitał przynajmniej podwoić.

Znalazł też sobie wkrótce pannę po myśli, taką o jakiej maizyl; nie bardzo piękną, ale idealnie zdrową i silną; nie uadto wykształconą, lecz gospodynię zawziętą, oszczędną, skąpą prawie i nie posiadającą talentów, ale dziesięć tysięcy rubli posagu w listach zastawnych.

Żeby w biały dzień, z latarnią żony po świecie szukał, toby lepszej nie znalazł, a ta trafiła mu się bez szukania, niespodziewanie, prawie, że wypadkiem.. Na jarmarku, z okazji kupna koni poznał się z jej ojcem i tak odraza staremu do serca przypadł, że zastał zaproszony; poznał tęgą Basię, swą przyszłą towarzyszkę życia. Konkury niedługo trwały, trzy tygodnie, czy miesiąc wszystkiego, bo na co próżno czas tracić na romanse, gdy się dwie bratnie dusze rozumieją odrazu... Bez długich wstępów, bez przygotowań, upatrzywszy chwilę stosowną, pan Stanisław rzekł:

— Panno Barbaro, zdaje się, że z nas byłaby para niezgorsza. Ja gospodarz, panna Barbara gospodyni... gdzie będziemy czego

szukali? Może nam tak sądzono. Co panna Barbara na to?

— A nic, odrzekła zarumieniona.

— Nic?

— Ma się rozumieć... Żebym była przeciwna, powiedziałabym wprost... a skoro tak nie jest, cóż mam mówić.

— Wiec pani przystaje?

— O jaki pan Stanisław nudny! przystajenie przystaje... Na co tyle zachodu? Iść do ojca, do matki, pomówić... porozumieć się i po wszystkim.

— A będzie mnie pani kochała?

— Jeżeli będzie za co, to i owszem; a jeżeli nie, to niech się pan strzeże. Ja zawzię ta jestem i ukrzywdzić się nie dam.. Narobi; piekła, życić panu zatruję. Niech pau będzie, na to przygotowany.

— Nie lękam się odrzekł uszczęśliwiony młody człowiek, będę panią kocha! szczurem sercem, przekona się pani.

— To pan na tem źle nie wyjdzie; ja wdzięczną być umiem, a jeżeli kto (lia mnie dobry, to ja d'a niego dziesięć raz więcej.

Trzeba przyznać, że dotrzykali słowa oboje; nie było szczęśliwszej i lepiej dobranej pary w całej okolicy. Po ślubie i po weselu, przywiózłszy żonę do domu, pau Stanisław oprowadził ja po folwarku, aby pokazać cały do bytek.

— Patrz żono, mówił, oto nasze bydelko, nasze owce, nasze konie, nasza stadnina. Oto nasze stodoły nie poste, jak widzisz, oto nasz. spichlerz, również nie próżny..

Basia patrzyła na wszystko z zadowoleniem, uśmiechała się. Rzeczywistość przechodziła jej marzenia..

— Stasiu, rzekła, mówili mi wszyscy, żeś dobry gospodarz, ale nie myślałam, żeś taki dobry..

W domu oddał jej ogromny pęk kluczy i skrzynkę dębową staroświecką, okutą grubo żelaznemi sztabami, a wewnątrz blachą wybitą.. Otworzył i rzekł.

— W tej skrzynce pieniądze leżą., klucz oddaję w twoje ręce; pilnuj jak oka w głowie. Każdy grosz do schowania oddawać ci będę, jako mojej żonie najukochańszej.

Tak tem przemówieniem Hasie za serce ujął, że rzuciła mu się na szyję... uściskała go serdecznie, a przez pierwszą okazję wysłała do rodziców list z doniesieniem, że jest w poźyciu małżeńskim nad wszelki wyraz szczęśliwa i, że dziękuje Bogu, że jej dał takiego doskonałego męża...

Kiedy przyszedł na świat pierwszy syn, pan Stanisław pobiegł do stajni, kazał wypędzić żrebaki na dziedziniec i przypatrywał im się z tak wielką uwagą, że aż stary karbowy,

Błazej, nie mógł się pr.wstrzy mae od zrobienia uwagi.

Że też wielmożuy pan tak się tym szkapom przygląda, jakby je pierwszy raz w życiu widział..

— Co ty wiesz stary! Ja upatruję konia dla syna.

— Dla tego malutkiego, co w kołysce?

— Naturalnie; i on przecież musi mieć swego wierzchowca!

— Wielmożny panic, rzekł starowina z uśmiechem, jeżeli Pan Jezus da zdrowie, to za jakie dwa, trzy lata panicz będzie jeździł po dziedzińcu na kiju, za sześć albo siedm kupi mu pan kuca, a za dziesięć albo dwanaście, będzie można wsadzić chłopaka na podjezdka... Nim ten czas przyjdzie, to wszystkie nasze źrebce ze stadniny postarzeją się..

— Ale pleciesz Mój syn będzie chwata do koni i prędko się nauczy siedzieć na siodle..

— A niby dla czego, panie?

— Bo... bo mój syn. Krew już taka..

— A no niech tam, i owszem, życzę; chciałbym to kiedy swojemi oczami zobaczyć; ale nie spodziewam się, bom stary i ziemia już mnie ciągnie do siebie...

— Stary, to prawda, ale krzepki i silny, jeszcze niejednego młodego pochowasz....

Pan Stanisław długo przypatrywał się swojej stadninie; wszedł między źrebaki, które do

brze go znały i na zawołanie przychodziły do ręki; gładził ich gładkie szyje, nazywał pieszczotliwie a bystrym okiem znawcy oceniał co z nich może wyrosnąć..

— Oczywiście, mówił do siebie, zanim bęben podrośnie, to już te koniki pójdą między ludzi, daleko, w świat... W skrzynce coś przybędzie, to prawda, ale w stadzie ubędzie... A no nic, trzeba się starać. „Pszczółka, klaczka, pszenica—to z bogaca szlachcica, trzeba tych klaczek mieć dużo, trzeba, żeby coraz ładniejsze można wyprowadzać” na jarmarki..

Od tego czasu stał się pan Stanisław hodowcą... Znał się na koniach wybornie, stajnię prowadził z zamięłowaniem, i corocznie miał kilka pięknych koni na sprzedaż...

Gospodarstwo wiodło mu się dobrze, a rodzina wzrastała; w rok po pierwszym synu, przybył drugi, po uim trzeci, czwarty, piąty dwaj najmłodszy jednak w niemowlęctwie zmarli, a po nich nareszcie narodziła się upragniona przez matkę córka.

Z tego powodu miało się odbyć w domu pana Stanisława niezwykle wystawne i uroczyste przyjęcie. W obec przyjsia na świat córki, musiała ustąpić oszczędność.

— Niech to kosztuje ile chce, mówił pan Stanisław do żony, lecz chrzciny muszą być takie, jakich świat nie widział. Stać nas na to! Oszczędzamy, skąpimy, składamy grosz

do grosza, ale przy takiej okazji trzeba się pokazać. Niech nas znają! A dotychczas jeszcze nie poznali i biorą nas na języki! Na własne uszy słyszałem, jak pewien sąsiad na jarmarku, ujrawszy mnie, gdym koło niego przechodził, bąknął pod nosem: „liczykrupa” Na własne uszy słyszałem!

— Zdaje ci się..

— Jak cię kocham i jak dzieci kocham, prawdę szczerą mówię i właśnie chcę go zawstydzić..

— Jakim sposobem?

— Zaproszę go i posadzę, choćby na pierwszym miejscu; niech je, niech pije, niech używa, niech się przekona kto my jesteśmy! Ja umiem sypnąć pieniędzmi, gdy zechcę—i sypnę.,

— Byle nio za dużo, Stasieczku, byle nie za dużo, mówiła zona.

— Właśnie że dużo! Jedna córka, jedne chrzciny — ale jaka córka, jakie chrzciny! A podczas chrzcin zrobi się początek wesela.

— Co ty mówisz Stasiu! Takie maleństwo i wesele!

— Prosta rzecz. Nasza córka w domo długo nie posiedzi, bo nasza.. Ładna będzie, bo się w siebie wda, a bogata, bo się wda w nas oboje—wiec gdy skończy szesnaście, siedmnaście latek, kawaler się trafi i wesele wyprawimy! Właśnie, duszko kochana, umyśliłem sobie, żeby zrobić po staroświecku, jak

się praktykowało dawuiej, według opowiadania mego dziadka..

— To jest — jak?

— Kupię beczkę wina i beczkę uiiodu...

— Beczkę?

— Sądzisz, że za dużo?

— Chyba.....

— Powiedz lepiej, że za mało, ja miałem chęć na dwie beczki, ale rozmyśliłem się póź niej... Kupię po jednej i na chrzcinach, przy świadkach, wniesie się je do piwnicy dopiero podczas wesela wydobędzie się ztamtąd. Można sobie wyobrazić jaki to będzie pyszuy trunek!

Myśl ta podobała się szczęśliwej matce i natychmiast pewna kwota z okutego kufierka przeszła do kieszeni p. Stanisława na kupuo wina i miodu, skazanego, co najmniej na ośinnaste więzienie.

Pan Stanisław porozpisywał listy zapraszające do wszystkich swoich znajomych, przyjaciół, kolegów z ławy szkolnej, o ile wiedział gdzie się który obraca; sąsiadów zaś wizytował i prosił osobiście, aby zechcieli być łaskawi na jego nbogie progi, zrobili mu ten zaszczyt, nie pogardzili łyżką barszczu i kawałkiem chleba...

Kłaniając się nisko i prosząc pokornie, myślał w duchu: Zobaczycie jak wygląda u muie

„łyżka barszczu”, gdy chce pokazać się i wystąpić; będziecie zielenieli z zazdrości.

Na tydzień przed uroczystością małżonkowie odbyli naradę ostateczną, przyczem pani wy pisała ogromny rejestr sprawunków, dodając przytem masę komentarzy, co do gatunku, ceny i ilości. Pan Stanisław słuchał uważnie, zapisywał niektóre uwagi; niektórych uczył się na pamięć i zapewnił żonę, że jeżeli mu głowa od tych drobiazgów nie spuchnie, albo nie pęknie, to zatrzyma je w pamięci i zastosuje się do wymagań małżonki w najdrobniejszych szczegółach. Pokrzepił siły na drogę kilkoma kieliszkami starej wódki, zjadł półmisek pierogów, jeszcze raz odczytał rejestr, ucałował małżonkę, synów, nowonarodzoną córkę i puścił się w podróż do miasta gnhernjalnego. Usadowił się wygodnie na bryce, ciągniętej przez trzy doskonale utrzymane konie, zapalił fajeczkę i puścił wodze myślom. Za bryczką toczył się wóz drabiniasty, również w trzy konie zaprzężony, na którym miano przywieźć sprawunki.

Pan Stanisław czuł się trochę zmęczonym. Sfatygował go wysiłek myśli, kombinacje, rachunki—przymknął więc oczy i drzemał, a na wet spał na dobre. Kola toczyły się po równej, dość gładkiej drodze szosowej, konie biegły rażno, parskająco, potraszając łbami.

Dopiero, gdy już tylko kilka wiorst brakło do celu podróży, otworzył oczy. Wieże kościołów miejskich rysowały się już wyróżnić na horyzoncie; na drodze, jak zwykle pod miastem nich by I większy.

Pan Stanisław I uwagą przypatrywał się wozom i bryczkom, z którymi się mijał, lub które doganiał, gdy nagle szczególnie jakiś przedmiot zwrócił jego uwagi. Na razie miarkować nie mógł co to jest. Podniósł się na siedzeniu, oczy ręką przysłonił i zawołał na powożącego:

— Wojtek! Widzisz ty?

— Adyć widzę, odrzekł również zainteresowany fornał.

— Co to może być?

— Albo ja wiem, proszę pana.. Sam oto mało oczów nie wypatrzę, przyglądam się, przyglądam i zmiarkować nie mogę, co za lichy? Ni to bydlę, ni wózek, człowiek na tem siedzi, nogami przebiera i jedzie..

— Wyraźnie jedzie. Jedzie wprost na uas, a prędko.

— A no juści, panie, prędko... bo z góry..

— Weźno ty dobrze lejce w garść, rzeki, pan Stanisław ostro, bo konie strzygą uszami, a przyprzężny bestja ogromnie płochliwa.. O wypadek nie trudno..

Ledwie zdążył te słowa wymówić, gdy konie przestraszone, uskoczyły gwałtów nie w bok,

a bryczka tak się pochyliła, ie pan Stanisław o malo nie wypadł do rowu. Właśnie było to w chwili, kiedy ów człowiek i przedmiot, budzący tyle podziwu, znalazł się tuż przed końmi.

— Trzymaj mocno, trzymaj, wołał pan Stanisław. bo ponoszą!

W istocie można się było tego obawiać. Konic miocie, doskonale utrzymane, przestraszone nagle, chciały wziąć na kiel i popędzić z wiatrem w zawody. Z bryczki pozostałyby w takim razie wióry i drzazgi, ale na szczęście fornał miał siłę niedźwiedzią i ręce jak żelazne. Oparł się silnie nogami o przód bryczki, ściągnął lejce i osadził spłoszone szkapy na miejscu.

— A to łajdak! zawołał zaperzony szlachcic O mało nieszczęście się nie stało przez niego.. Nie daruję szelmie!

— Zapewne, wielmożny panie, potwierdzi! fornał.. Łaska Boska, żem się w porę spostrzegł, bo inaczej leżelibyśmy teraz w rowie, a z bryczki zostałyby tylko kawałki. Jakże darować?

— Nie daruję.. Przy pierwszej okazji nawymyślani, zrobię awanturę, albo zapozwę do sądu. Niech wie, że na publicznej drodze nie wolno jest...

— Wielmożny panie, odrzekł fornał, niech, się wielmożny pan obejrzy... O het za nami, może o dwieście kroków stoi..

— Kto?!

— A no, ten sam, snąc mu się coś w onym wózku, czy jak go tam nazwać popsulo, bo zesiadł i coś kolo niego majdrujel

— Dalibóg prawda! A to pyszna okazja!. Sam włazi w ręce.. Ja się z nim rozprawię... Na szczęście i laskę mam ze sobą, na przypadek, gdyby się hardo stawiał.. Czekażże, zsiądę i pójdę do niego,.

Posuwistym krokiem, prawie biegnąc, szlachcic zbliża! się do winowajcy.. Gdy już był w odległości kilku sążni zaledwie, zatrzymał się i krzyknął tubalnym głosem:

— Panie, panie!

— Co? zapytał tamten, nie przerywając roboty..

— Czy pan wiesz o tem, że to jest łajdactwo jeździć na publicznej drodze na jakimś djable cudacznym? Czy pan wiesz o tem, że spłoszyłeś mi pan konie? Czy pan wiesz o tem, że o mały włos nie stało się nieszczęście — i że nareszcie, ja żądam zadoayćuczynienia. Rozumiesz pan! żądam zadosyćuczuienia!..

— Jakiego i za co?

— Za co, tom jnż powiedział, a jakiego? Zadosyćuczynienia, satysfakcji, przeproś mnie pan przynajmniej, jeżeli jesteś człowiekiem dobrze wychowanym... przeproś jakim dobry., bo uprzedzam, że ze mną żartów nie ma.

— Ani myślę, odrzekł, nie zmieniając pozycji.

— W takim razie...

Tu pau Stanisław zrobił taki ruch jak gdyby przygotowywał się do boksowania; prze

eiwnik zaś odwrócił się nagle, wyprostował i stanął w pozycji obronnej. Zaledwie jednak spojrzeli na siebie, obadwa jednocześnie wybuchnęli głośnym śmiechem..

— Oles! zawołał szlachcic, niechże cię kaczki zdepczą!.. Poznałeś mnie?!

— W piekle bym cię poznał, grubasie... Cóż się tak rozbijasz, kochany dziedzicu?!

— Ale bo widzisz, kolego, dalibóg, szczególniejsze zdarzenie. Jadę do ciebie umyślnie.

— Do mnie, chudopacholka, no proszę, zkadże taka łaska, panie dziedzicu?

— No, no, bez żartów. Dziedzic czy nie dziedzic, bogacz czy nio bogacz, to iuna rzecz,— ale nie możesz powiedzieć, żebym o dawnych kolegach zapomniał. Owszem, ile razy którego spotkam, zawsze szczerze przywitam, a jednemu, nie wymawiając, gdy w biedzie był, dopomógłem, choć mnie o to wcale nie prosił.

— Tak? Któremuż — to?

— Tego ci, kochany Olesiu, nie powiem. Niech nie wie lewica, co daje prawica, a tamtemu mógłoby być przykro, gdyby się o tem dowiedziano.. Więc, krótko mówiąc, jechałem do ciebie naumyślnie, żeby cię zaprosić na chrzciny. Bo to, widzisz, dotychczas dawał mi pan Bóg samych synów, a teraz ku wielkiej radości mojej żony i mojej, przysłała na świat córka.. Chrzciny będą uroczyste i chciałbym mieć wszystkich dobrych przyja

ciół i znajomych tego dnia u niebie, w domu. Więc, uważasz, jadę, o tobie myślę, w tem widzę jakiegoś kaduka, djabła, czy jakie lichy na kółkach i konie mi się płoszą, o mało że się nieszczęście nie zrobiło, wpadam w wściekłość, biegnę i mam szczerą ochotę temu, panie, urwipoleiowi kości połamać., a tymczasem to., ty! Niechże cię, kochany Olesin! Zkąd przyszło ci do głowy, jeździć na jakimś cudaku? Co to jest? Do czego służy? Pozwól, że się temu przypatrzę.. Jak się nazywa ta., maszyna., czy jak tam.. Jnścić chyba, chyha maszyna

— Nazywa się welocyped trzykołowy..

— Welo cyped? No proszę, jakaś nazwa szczególna, czy djabelska.. Do czegoż to służy., właściwie?

— Jak widzisz, do jazdy..

— I to jest twoja własność? Gdzieś to kupił, ile zapłaciłeś?

— To jest własność fabrykanta powozów. Zbudował on to na wzór welocypedów dziecinnych, dla wypróbowania, czy nie przyda się to do praktycznego użytku. Ciężki gmach i trzeba siły, żeby go poruszać.. Jeszcze z góry pół biedy, ale pod górę ciężko..

— A po piasku ani rusz, założę się o co chcesz. Głupstwo niemieckie! Wymyślone na to, aby od pocziwych ludzi grosze wyłudzać! Żebym ja miał władzę, tobym takich



wydrwigroszów bez apelacji palcował do kozy na dwadzieścia pięć. lat, albo na całe życie. Jakżeż to się jedzie na tym djabie?

— W bardzo prosty sposób. Siedzi się na tem oto siodełku, nogi opiera się na pedałach, kierownik zaś trzyma się obiedwiema rękami. In) prędzej poruszać nogami, tem szybsza Jazda..

Pan Stanisław, z miną znawcy robót stelmachowskich i kowalskich, przypatrywał się ciężkiej maszynie, która miała koła drewniane, pełne, oknte szynami żelaznemi, skręt zaś, kierownik i osada pierwszego koła zrobione tak jak w weloeypedach dziecinnych, ale po kowalskn, solidnie, z ogromnym nakładem żelaza. Ciężkie to było ogromnie i niezdarne, ale pociągało nrokiem nowości. — Hyli nawet amatorowie, którzy ten aparat wynajmowali na godziny...

Pan Stanisław oglądał szczegółowo maszynę.. — Co do roboty, mówił, nie wiele jest do zarzucenia. Mocno, solidnie, odkute wszystko jak należy, ale co się tyczy nżytku praktycznego, to przepraszaml.. Trzech groszy nie dałbym za to!.. Żyd, biedką i kulawym koniem prędzej zajedzie do celu, aniżeli najsilniejszy chłop na tej niby pośpiesznej maszynie. Powinienby fabrykant przerobić ten statek na biedkę, a prędzejby kupca znalazł aniżeli na to szkaradzieństwo... Z tego nigdy nic nie będzie..

— Tak, mówić nie można. Każdy wyna lazek w pierwszym okresie swego istuienia był niezgrabny i niepraktyczny.. Weź, dla przykładu, choćby maszyny do szycia.. Wyśmiewano je w początkach, lekceważono, a dziś trudno sobie wyobrazić, jak dawniej ludzie obchodzić się mogli bez tych użytecznych przy rządów, oszczędzających tyle pracy ręcznej. Tak samo i to..

—A przepraszam.. Maszyna do szycia to zupełnie inna rzecz —kobieca rzecz, delikatna., a to ciężar.

— Słyszałem, a nawet czytałem w gazetach, że zagranicą już zuaczuie ulepszone weloeypedy.

— Ciekawym jak?

— Zmieniono system. Przedewszystkiem zamiast trzech kól są dwa: przednie bardzo wysokie, a tylne maleńkie, obydwia leciutkie, z mocnych drutów stalowych, z obręczami gumowemi..

— Jakto? Koło przednie i kolo tylne; to dopiero połowa, a gdzie druga?

— Nic, dwa koła stanowią całość.'

— I każesz mi wierzyć, że człowiek może się utrzymać na dwóch kółkach, ustawionych w jednej linii? Nie drwijże ze mnie, kocha ny Olesia, bo chociaż jestem swego chowu człowiek, i siedzę na wsi, jak ślimak w skorupie; jednak mam jeszcze tyle zdrowego raz

sądkn, że tak grubo nie dam się brać na fundusz..

— Ależ zapewniam cię

— Widziałem, żeś jechał na trzech kulkach, widziałem nieraz psa kulawego, jak skakał na trzech nogach...

— Pokaże ci w domu rysunek i opis..

— Rysunek, bracie, to dla mnie uie dowód. Ludzie kłamać mogą nietylko językiem. Pióro i ołówek służy im do tego samego użytku doskonale, lecz dajmy pokój tym głupstwom; niech je lichy porwie., ja śpieszę do miasta. Siadaj zc

mną, a tego cudaka niech fornał weźmie na wóz. Zaręczam, że inojemi końmi prędzej będziesz w domu, aniżeli na tej głupiej maszynie. Siadaj i nie mtrudź, boni ogromnie głodny..

— Więc zajeżdżaj wprost do mnie. Zaraz będzie herbata.

Pau Stanisław uśmiechnął się znacząco.

— A cóż ty myślisz, że porządny szlachcic na to do miasta przyjeżdża, żeby ziółka pił?

— Znajdzie się oprócz ziółek i coś do zjedzenia.

— Nie, nie, Olesiu, jak cię kocham, dziękuję...

— Ależ..

— U ciebie będę jutro, dziś chciałbym być trochę swobodniejszym. Nam wieśniakom miasto zawsze pachnie...

Człowiek, panie dobro

dziejn, jak się wyrwie i doma, to tak, jak koń ze stajni, chciałby trochę pobrykać.

— A zona, a synowie, a tak upragniona córka?—zapytał z uśmiechem Olea.

— Nie rozumiesz mnie, kolego. Zona swoją drogą, dzieci swoją, a swoboda swoją... Przecież na żadne szansouetki, ani marjonetki nie wybieram się, na złe drogi nie ide.

— Więc?

— Ano, mój drogi, swobody chcę. To znaczy, do uczciwego handlu pójść, butelkę czego dobrego wypić, z przyjacielem pogawędzić, cygaro wypalić i pójść spać... A przytem chciałbym i interes załatwić, bo to widzisz, te chrzciny... Uroczystość nadzwyczajna, całe sąsiedztwo zaproszone, więc byle lury dać nie można. Chciałem więc kupić baryłę dla gości, a beczkę wina i beczkę miodu na zapieczętowanie...

— Jakto?

— Żeby na weselu córki od pieczętować

— Ilo, ho!

— U mnie tak... Jak eo robić, to już porządnie, gruntownie.

— I szeroko.

— Oczywiście. Niech ludzie wiedzą, z kim mają do czynienia. Otoż, uważasz, kota w wor ku kupować nie chcę, spróbować muszę, a na własnym zdaniu zupełnie polegać nie moge. Trzeba mi kogoś kompetentnego.

— Właśnie źle trafiłeś, gdyż ja znawca nie jestem.

— Skromność! fałszywa skromność przez cie bie przemawia, nie zapieraj się braciszku. Jesteś z takiego rodu, eo się... We krwi to jest, w tradycji.

— Co ty tam o krwi opowiadasz? Przesady!

— A za pozwoleniem... krew, to kochany kolego, jest krew. Żebyś ty na głowie stanął, krew krwią będzie, a że krew nie woda, to także wiadomo. Twój dziadek się znał, ojciec się znał, więc i tyś znawca. Ja wywodzę się z podupadłej rodziny, co z obszarów, zesła na ogonki; ojczysko mój niebo szczyk wina nie pijał, tylko zwyczajną go rzalkę, a przy wielkiem święcie, krupnik z miodu... ale swoją drogą, jak mnie zapach dobrego wina zaleci, to czuję... Powiadam ci, że

czuję... To pewnie po pradziadku, a może po jeszcze dalszym przodku ale zawsze krew... swoje robi. Nie wymawiaj się — jedziemy. O niczym wiedzieć nie chcę, tłumaczeń nie słucham. Od północy niój jesteś; jeżeli be dziesz mógł pójść do domu o swoich siłach, to pójdziesz—jeżeli nie, położysz się u mnie w hotelu i będziesz spał jak zabity. Zajechali do hotelu, poszli na kolację i następnie udali się do handlu. Kupiec, dowiedziawszy się o co idzie i mając nadzieję niezłego zarobku, był dla tak szanownych gości

niezmiernie uprzejmy. Sam biega! po stromych schodach łą piwnicy, przynosił próbki, zachwalał, zachęca! i wprowadził pana Stanisława w doskonały humor.

— Wiesz co, Olesin—rzek! szlachcic—za nic na świecie nie mieszkałbym w mieście. Ciasno, duszno, brak podły, na każdym kroku piąć, ciągle za kieszeń się trzymaj, na ulicy lada kto cię łokciem potrąci. Obrzydliwe życie; ale od czasu do czasu, dla różnaitości, ja miasto lubię. Tak naprzykład jak dziś z tobą, pocziwym kolegą! dobrym przyjacielem, przy buteleczce; pije się gładko, rozmawia swobodnie, nikt nie przeszkadza, i owszem. Człowiek może serce otworzyć, wyznać co go boli, co mu dolega. Tak właśnie łubie i, daję ci słowo honoru, że będę częściej tu bywał.

— Okazja może się trafić... Gdy druga córka...

— To jeszcze niewiadomo, ale niechby... Na dzieci zarobię. Ostatecznie człowiek grzebie w ziemi jak kura, ale też i wygrzebuje ruble. Ja nie piszczę i nie narzekam, komu ile, to źle—a iunio dobrze, bo ja nie zasypiam gruszek w popiele... Robię jak wół, i nie chwalać się mam gospodarstwo takie, że tylko buzi dać. Przyjedziesz do umie to zobaczysz. Konie jak lwy, bydło choć na konkurs, a nawet nierogacizną piękna na podziw. Rola u mnie uprawiona tak, że lepiej nie można;

wszystko w swoim czasie jest; nikt na nic nie czeka. U mnie parobek nie głodny, fornał nie głodny, dziewczki pospasane aż się świecą, robota każdemu pali się w rękę. A gdy nic Irati próżniak, to we dwadzieścia cztery godziny, panie dobrodzieju, adju Fruziu i fora ze dwora. Wiesz co Olesiu, jeszcze buteleczkę.

— Dziękuję.

— Za twoje zdrowie.

— Nie moge.

— No, to za zdrowie mojej żony, Basi, którą poznasz... Święta kobieta, trochę popędliwa, ale to nic...

— Radbym szczerze, lecz to już nad moje siły.

— Głupstwo bracie, albo się jest mężczyzną, albo się nim nie jest.

— Za dużo!

— A więc za zdrowie córki... Także święta kobieta...

— Dziecko chyba.

— Kiedy mówię, że kobieta, to kobieta... Zresztą córka przecież nie może być czem innym tylko kobietą.

Gdy Bie przyjaciele tak częstowali, usłużny kupiec podskoczył z butelką.

— Radziłbym panom dobrodziejom—rzekł— spróbować tego kordjału.

— Jak to się zowie?—spytał pan Stanisław.

— Kordjał...

— Coż to za lichy?..

— Zdaje się, że ta nazwa pochodzi od serca, które nazywa się po łacinie....

— Wszystko jedno., wszystko jedno.. Czy zona ma na imię Kunegunda, czy Agata, jest przede wszystkim żoną. Otwieraj że pan ten, panie dobrodzieju, kordjał! Śliczna nazwa. Założyłbym się, że Niemiec to wino wymyślił.

— Panie szanowny, rzeki kupiec, Niemcy mieli dość zdolności, aby wynaleźć piwo, ale ta szacowna ciecz, jaką mam honor właśnie od korkowy wać, niema nic wspólnego z niemcami. Z węgierskich winnic osiągnięta, w naszych piwnicach edukowana i konserwowana, a jeżeli nie warta buzi, to pozwolę się nazwać nie kupcem, lecz kramarzem uajpośledniejszego gatunku, fuszerem, czem szanowni panowie chcą..

To rzekłszy, otworzył butelkę. Aromatyczny zapach rozszedł się po stacji.

— Oho, zawołał pan Stanisław, ależ zapadli.. Niech że cię uie znam. Czujesz ty Olesiu?.

— Naturalnie, że czuję.

— Ktoby się spodziewał., żeby tu, w takim, panie dobrodzieju, średnim miasteczku mogły się takie rzeczy przednio znajdować. Bo nie zaprzeczysz chyba, że to przednia rzecz w swoim rodzaju.. Niechże pan naleje..

— Za pozwoleniem, szanowny panie, rzekł kupiec, kieliszki zmienię. Do szlachetnego trunku trzeba dać i szkło szlachetne—to zasada.

— Pięknie przemawia ten kupiec, rzekł pan , Stanisław, dobrze już rozmarzony, rozsiadając

aio, na wygodnej kanapie, pięknie przemawia. Ja takich lubię—i ciebie, Olesiu kochany, takie lubię, i wszystkich lubię. Bo dla czego nie mam lubić, gdy na stole butelka uczciwego trunku, w ustach dobre cygaro, a w kieszeni tyle, że można sobie pozwolić.

— Więc ty jesteś bardzo bogaty, kolego? zapytał niespodziewanie Oleś.

Szlachcic wytrzeszczył oczy zdumiony.

— Jakto bardzo bogaty? Co chcesz przez to powiedzieć? Co ma znaczyć ten wyraz; bardzo? A może, może jesteś w potrzebie, co.. Mów, bo widzisz, ja, jak się rozchodzę, to ide.

— Ależ bynajmniej. Źle zrozumiałeś. Nie potrzeba mi nic, zapytałem po prostu z ciekawości—i powtarzam jeszcze zapytanie: czyś bardzo bogaty?

— Zabawny człowiek z ciebie.. Czy istnieją na świecie w ogóle bardzo bogaci ludzie, skoro każdemu coś brak.. Jest jedno, chciałoby się drugiego; jest drugie, już się trzecie uśmiecha— i tak zawsze, bez końca. Swoją drogą, kordjał jest pyszny i tego kupca warto żywcem' ozłocić—wiedziałeś kogo rekomen dować.. Ja ci to odwdzięczę.

— Jak?

— Wyszykuję dwio fury różnej prowizji, kartofli, buraków, kapnsty, zona doda ze spizarni parę szynek, masła, chleba—i przyślę to do niaata. Jedna będzie dla ciebie, dru

i I

ga dla tego zacnego kupca. Jak cię kocham, Olesia.

Pan Stanisław coraz bardziej zaczął się rozmarzać i każdą chwilą stawał się szerszym, rzewniejszym. Opowiadał koledze o swojej ukochanej małżonce i jej nadzwyczajnych zaletach, o synach, z których każdy do czego innego jest zdolny, o córce, która aczkolwiek jak wiadomo na świat dopiero przyszła, ma jednak w oczach coś., pewien wyraz, pewien taki charakter stanowczy i niewzruszony, jak jej mama, a potem zeszedł na gospodarstwo. Zaczął wyliczać włóki, morgi, pola, korce wysiewu, kopy zbioru i znowż kosze omlotu, stogi siana, koniczyny, kopce kartofli i marchwi, doły końskiego zebu, następnie wpadł na inwentarz: owce, krowy, woły i konie. Tu wymowa jego płynęła, jak niby wezbrany potok; wymieniał wszystkie, gniade, siwe, kasztany, łyso, białonóżki, opowiada) o ich temperamen cie, zaletach, cnotach, nawet i przysięga! na wszystkie świętości, na szczęście żony i dzie tek, że drugiego takiego stada w całej Europie niema i być nie może. Coś wyjątkowe go, okazowego, nadzwyczajnego!

— Wolno ci wierzyć, Olesiu, albo nie, ale w mojem bicznem stadku, znajdziesz konia pod generała, pod króla nawet, takie wierzchowce! A jeżeli o zaprzęgowe chodzi, to też się nie powstydzę. W zeszłym roku sprze

dałem parę gniadych do karety dla biskupa, a dwa lata temu o czwórkę kasztanów dobijali się w Łęczny kupcy I Berlina. zapłacili dobrze i moje kasztany paradują teraz po Berlinie i sądzę, że mi wstydu nie przynoszą.

Pan Aleksander, śpiący, coraz to oczy przymykał. Nie wiele obchodziły go sukcesy ko ni jego kolegi, nie bardzo zwał się na tem, zmęczony fatygującą wycieczką na fundamentalnie zbudowanym trycyklu, rozmarzony liebrem winem, jedno miał tylko pragnienie: pójść jak najprędzej do douiu, rzucić się na łóżko i zasnąć... Z trudnością wielką powstrzymywał ziewanie, eo nie uszło uwagi pa na Stanisława.

— A wstydz się, Olesiu, zawołał; ja ci opowiadam takie zajmujące rzeczy a ty śpisz, panie dobrodzieju, w najlepsze..

— Zdaje ci się tylko.

— Mam ja dobre oko i ręczę, że nie słyszałeś ani jednego wyrazu z tego, com mówił

— Słyszałem wszystko.

— Dobrze, więc powtórz!

— Ano, była klacz gniada z lata na nosie.

— Z jaką lata? Na jakim nosie? Gdzie widziałeś łaciaste konie? A nie spodziewałem się.! Sądziłem, że będzie cię obchodziła rzecz tak poważna ale prawda... zapomniałem, że ty jesteś zwolennikiem jazdy na swym djabelskim aparacie, co to ani wózek, ani biedka

żydowska, ani taczki, ale takie jakieś, ni pies ni wydra. Trudno, drogi kolego, gdy koniu taki ćwiek wejdzie w głowę, to już niema sposobu.

— Mój koebany, pozwól — niech się usprawiedliwię.

— Z czego? Czemu i jak? Jeździć na takim czymś—to, słowo (biję i grzech i wstyd i sensu za grosz niema. Jeżeli mnie kochasz da słowo, że już uigdy tego znać nie będziesz że spalisz i potłuczysz to brzydactwo.

Długo jeszcze perorował pan Stanisław, ale w końcu i jego ogarnęło znużenie... Poszedł do hotelu— spać.

Rozdział trzeci, z którego uita, że przewidywania doświadczonych ludzi uli zawsze sprawdzi sie..

Pan Stanisław zaopatrzył dobrze swoją piwnicę i odjechał z miasta z lekkim holem głowy, a zarazem i z przeświadczeniem, że co się stało dobrze się stało i, że wieśniak, go spodarz, powinien co pewien czas odświeżyć się w mieście tak samo, jak mieszkaniec miasta w lato wpaść chociaż na parę tygodni na wieś, aby się upoić świeżym powietrzem, zapachem kwiatów i oddechem balsamicznego lasu.

Dla zdrowia, dla różnorodności, dla zmiany monotonnego trybu życia, jest to konieczne, nieuniknione, niezbędne.

Chrzcziny jedynaczki odbyły się z wielką uroczystością i przepychem; sani akt odbył się w kościele parafjalnym, o dwie wiorsty odio głym. Pani życzyła sobie, aby obyczajem arystokratycznym ochrzczono dziecię w micsz kaniu, lecz małżonek stanowczo się temu sprzeciwił.

— Przepraszani cię, duszko, rzeki, ale jeszcze w moim rodzimym kraju takiego zdarzenia nie było. Nie kościół do nas, ale my do kościoła powinniśmy przychodzić. Taka jest moja zasada!

Nie dodał jednak, że oprócz zasady, grała w tym postanowieniu pewną rolę i próżność i chęć zaprezentowania licznemu towarzystwu koni, i których słusznie mógł być dumnym. Jakoż zaprezentował czwórkę i trzy pary takie, że wszyscy goście, a zwłaszcza sąsiedzi z sąsiedztwa nie patrzyli.

Duma zamilowanego hodowcy była zado wolona zupełnie, bo nikt z gości tak dzielnymi końmi popisać się nie mógł. Po powrocie z kościoła zabawa zaczęła silna, dobre, a że przyjęcie było świetne, wino doskonałe, uprzejmość gospodarza i gospodyni posunięta do ostatnich granic, więc bawiono się wybornie i szczerze. Opieczętowanie dwóch beczek, przeznaczonych na wesele jedynaczki dokonane zostało według wszelkich form, ze spisaniem odpowiedniego aktu. Goście herbowali z palców wielkie sygnety z krwawnikami i odciskali na laku wyobrażenia różnych Prawdziców, Toporów, Półkoziców i t. p. przy tem szedł toast za toastem, mówka za mówką. Gdy nad ranem rozjeżdżać się chciało, pan Stanisław, śmiechem głośnym wybuchnął. Pokazało się że kola z powozów i bryczek zdjęte są i zamknięte w spichrzu,

stangreci spojony jak Beł, a konie gościnne odprowadzone na drugi folwark,

— Trzy dni, trzy dni, wołał pan Stanisław— nie ustąpię, choć byście mnie w kawałki mieli posiekać.

I rzeczywiście przez trzy dni trwała ta zabawa, której wspomnienie na długie lata pozostało w okolicy.

Któs rzucił myśl, że byłoby do życzenia, aby człowiek tak poważny, solidny i zamożny, jak szanowny gospodarz, nie krył zalet swoich pod korcem i nic marnował ich na czysto prywatny użytek, lecz pozwolił się wybrać na jakiś urząd honorowy. Pan Stanisław gorąco się od tego zaszczytu wymawiał, ale jego małżonka myśl zostania sędzią lub radczynią uśmiechała się niewymownie... Z myśli tej, powtarzanej często, niby z drobnych obłoczków pary powstała chmura—i przez pewien czas zasłaniała horyzont małżeński państwa Stanisławowstwa. Na szczęście, trafił się jakiś spór sąsiedzki, pana Stanisława na rozjemcę wybrano i ztąd tytuł sędziego już mu na zawsze pozostał.

Czas nbiegał, pan Stanisław zaczął siwieć, dzieci rosły szczęśliwie. Jedną tylko okoliczność przejmowała niepokojem i obawą serce ojca.

Użalał się z tego powodu przed żoną...

a

— Co za świat! co za dzieci, mówił z westchnieniem,

— Nie grzesz, mężu, dzieci masz dobre, kochają nas.

— Poczciwi są chłopcy, pracowici,

— No nie przeczę.

— Uczą się wybornie.

— (Mi w tom sęk, rzekł i w zamyśleniu zaczął się przechadzać po pokoju... W tem właśnie sęk., a może i nieszczęście.

— Człowiek, co ty mówisz, tóż to największa dla rodziców pociecha, widzieć, że synowie tak się garną do książki, że saun torują solne drogi do przyszłości, stanowisk, znaczenia.

— A duszko kochana, wszystko to być może, wszystko być może. Kto inny cieszyłby się z tego powodu, ja się smucę, mnie to przykro. Widzisz ja także byłem w szkołach, bo to ostatecznie każdemu potrzeba, ale nie rwałem się dalej, skórom patent, dostał, podziękuję wałem ojcu za pomoc i wziąłem się do pracy uczciwej, do gospodarstwa. Czy który z na, szych chłopców to zrobił? Rozsmakowali się gałgany w tych szkołach, jakby w czym najlepszym i co który jedną skończy, zaraz chce drugą zacząć.. Licho nadało.

— Mężu, co też ty mówisz?!!

— A ma się rozumieć? Cóż masz z najstarszego.?

— Pocięchę.

— Ładna pocięcha, na doktora się kieruje, bodzie żydóm języki oglądał i brał po dwa złote za recepto.. Śliczna pocięchasz rację. A drugiemu jakaś tam cziemja strzeliła do głowy., perkaliki ma podobno farbować. Jak żyje na świecie nie słyszałem o równo głupim zatrudnieniu.. Trzeci, no ten jeszcze najmądrzejszy., prawnik., może w przyszłości adwokat, czy rejent. Wsi się wyrzeka, ale przynajmniej koto kypoteki chodzić będzie, może kupić jaką sume niedrogo, może nawet i folwark przy okazji nabyć. Wreszcie, czy to w sprawie czy w interesie może i ojcu poradzić.. W każdym razie co ja zrobię na starość, komu oddam ziemię.. Zięciowi chyba., aleć zawsze, eo zięć, to nie syn.. I tak naprawdę, to tylko z dziewczyny mam pocięchę, przynajmniej w domu siedzi..

— Właśnie chciałam wysłać ją na pensję. Pan Stanisław za głowę się schwytał.

— Co duszko mówisz?—zawołał —bo zdaje mi się, że cię nie zrozumiał. Przesłyszałem sięY!

— Ani trochę. Mówiłam, że pragnę wysłać córkę naszą na pensję.

— Może jeszcze do miasta?!

— Nie moja wina, że po wsiach niema zakładów naukowych dla panienek..

— Ja na to nigdy nie pozwolę. Uprę się jak kozie! i choćby nawet nie wiem co...

— Pozwolisz., odrzekła żooa spokojnie i nietylko pozwolisz ale i koni dasz do stacji i swoją jedynaczkę do Warszawy odwieziesz, naturalnie wraz ze mną, gdyż sani może miałbyś trudność w wyborze pensji, nie wiedziałbyś jak się umówić, czego żądać..

— A to, droga duszko, jest koniec świata. Edukacja pozbawiła mnie synów; edukacja zabrać mi ma jedyną córkę.. I po co? pytam. Bo jeszcze chłopcy—no, to chłopcy. Taka fanaberja, czy ambicja, czy jak to nazwać! Chce im się patentów, tytułów, kariery—ale dziewczynie? Na co jej to.? Przecież, żeby sto pensyj skończyła i sto patentów miała, to nie będzie ani inżynierem, ani adwokatem, ani mechanikiem..

— Może zostać lekarzem, aptekarzem, wtrąciła pani.

— Co?

— Dostałbym apopleksji z wściekłości..

— Uspokój się i nie mów takich wyrazów, bo mi to sprawia przykrość.. Bardzo cię proszę mój kochany..



— Tak, tak., kochany, ale jak ty kochanemu sprawiasz przykrość to nic. On nie ma nerwów i może wszystko znosić, wszystko wytrzymać.. Taki sjiokojny, zabiedzony konisko, na którym cały świat jeździ, a ten go tylko nie smaga biczem, kto pio chce..

Ten wybuch wezbranego żalu pani Stani

slawowa przyjęła spokojnie; z uśmiechem, pełnym pobłażliwości, pozwoliła mu mówić tak długo, jak chciał, narzekać, skarżyć się na losy, a kiedy już wykrzyczał wszystko, co miał na sercu, kiedy się zmęczył i zasapał, zaproponowała mu, czyby nie zechciał spróbować przepysznej wiśniówki, która się jej w tym roku wyjątkowo znakomicie udała... Pomimo, że pan Stanisław nic na to zaproszenie nie odrzekł, pomimo, że nie przestał chodzić wielkimi krokami po pokoju, co oznaczało wielki stan wzburzenia, wyszła na chwilę i niebawem powróciła z flaszka i ogromnym kryształowym kielichem..

Trudno było odpowiedzieć na to impertynencją, więc pan Stanisław kielich do dna wychylił, wąsy otarł i rzekł:

— Taką edukację kobiecą to rozumiem. Z pewnością ani jedna z tych panieu, które ukończyły pensje w Londynie, podobnej nalewki nic zrobi—ani takich śliwek na rożenkaeb, ani takich konfitur, ani nic w tym rodzaju!

— Bezwątpienia, ale trzeba rozważyć wszelkie okoliczności..

Usiadła blisko niego i zaczęła mu tłumaczyć, że (ianua I takim majątkiem, jak ich córka, za byle kogo nie wyjdzie, ale zrobi partje, że, zrobiwszy partje, wejdzie w wyższe towarzystwo, że wszedłszy w wyższe towarzy

stwo, będzie musiała stosować się do zwyczajów w niem przyjętych, mówić swobodnie kilkoma językami, popisywać się doskonałą grą na fortepianie, może malować, może rzeźbić. Talent zawsze bywa mile widziany. Pan .Stanisław bronił się ale słabo..

— Partja, mówił, o! zaraz partja! Pójdzie za zamożnego gospodarza, hreczkosieja.

— Nie zapominaj mężn, że wśród hreczkosiejów są także i hrabiowie.

— Ho! ho, zkądże hrajna!

— A dla czegożby nie? Czy nasza córka tego niewarta?..

— Oni bo widzisz, głównie dla pieniędzy, a przeważnie ze starego zakonu żony biorą..

— Nie wszyscy... Zresztą przypuść na chwilę, że wydałeś córkę za potomka starożytnego rodu, że ta córka weszła w sferę wyższą i że wydaje się w niej jak gaska. Na nią nic nie powiedzą, bo kobiecie ładnej, młodej, świat takie drobne usterki wybacza, ale nas, ale ciełiio, Stasiu, wezmą na języki i mówić będą: szlachciura, dorobkiewicz, sknera, liczykrupa, grosze zbierał, a jedynej córce na edukację żałował..

— Jabym im dał!!., zawołał pau Stanisław, zaciskając pięści..

— Więc widzisz, ja to wszystko przeczn łam i zrobiłam obliczenie.. Życzeniem mojem było nie rozstawać się z nkochanem dzieckiem

i sprowadzić do domu zdolnych nauczycieli i metrów. Kosztowałyby to ogromnie drogo. Kilka tysięcy rocznie.

— Ai tyle!

— Hiednio licząc; pensja zaś nie pociągnie za sobą większych wydatków nad pięćset, sześćset rnbli najwyżej. Z bólem serca tedy zdecydowałam się na pensję i nie wątpię, że i ty zdanie moje podzielisz.

— Ależ naturalnie, ależ naturalnie! Ty, dusz ko, jesteś święta kobieta i jedyna do rachunków. Poznałem to od pierwszego wejrzenia, kiedy złożyłem wizytę twoim rodzicom.

O opozycji nie było już mowy. Panienska wyjechała do Warszawy w towarzystwie obojga rodziców i umieszczoną została na pierwszorzędnej pensji, gdzie miano ją przysposobić, do życia w wyższym świecie. Mama zastrzegła sobie, że do programu nauk wejdzie i muzyka i umiejętność tańca i jeżeliby Cię objawił jaki talent, to również kształceucie tego talentu.

Poczem państwo Staniaławowstwo ucałowawszy czuie jedynaczkę, powrócili na wieś do zajęć codziennych, do pracy, do robienia grosza.

Jednostajność samotnego życia przerywały im listy od dzieci.

Ojciec czasem odpisywał na listy synów, ale zazwyczaj bardzo lakonicznie i według pewnego starego szablonu:

„Kochany synu, posyłam ci rs. X, tusząc, że ich nic zmarnujesz

dzy byłoby prózną stratą czasu. Po za tero nie mając, na razie nic szczególniejszego do

doniesienia, całuję cię serdecznie. Twój ojciec, Stanisław."

Właściwą „literaturę familijną" uprawiała matka, dla której te listy były uaj milszą rozrywką; mogła ona pisywać ilo synów po trzy arkusze drobnych literek — do córki co najmuiej po pięć. I donosiła w nich o wszystkim: o nowinkach okolicznych, o służbie, kłopotach, lub też powodzeniach gospodarskich, o przybytku lub ubytku inwentarza, urodzaju lub nieurodzaju, o wzroście drzew w ogrodzie, o kwiatach, o kurach, gęsiach, kaczkach, indykach, o ilości zamarynowanych szynek i o skazanych na śmierć wieprzach, a wszystko drobiazgowo z wszelkimi szczegółami. Ponieważ mąż rzadko przesiadywał w domu, gdyż przepędzał dnie bądź to przy gospodar stwie, bądź w podróżach za rdźnorodnemi in interesami, więc owo pisanie listów było dla pani Stanisławowej jedyną w samotności rozrywką.

Oddawała jej się. też z zapalem; nieraz do godziny dwunastej w nocy lampa jaśniała w jej pokoju a zdawało się czasem, zwłaszcza, gdy pisała do córki, że świt zastawał ją z piórem w ręku, pochyloną nad stolikiem. Nigdy jeszcze w tym domu, ozysto gospodarskim, w tem małżeństwie, oddanem robieniu rubli z groszaków, a tysiąc cy z rubli, nie wychodziło tyle atramentu, co

wówczas, gdy dzieci poszły w świat, a stęskniona za nimi matka pozostała sama.

— Co ty duszko, u licha możesz do nich pisać?—zapytywał niekiedy pan Stanisław, widząc żonę jak zamazywała arkusz po arkuszu.

— Mój drogi, odpowiadała, dzieci powinny wiedzieć wszystkę; przecież ich to interesuje.

— Romanse! Ja to krótko i węzłowato: „Posyłam ci pieniądze, donoszę, że jesteśmy zdrowi, czego i tobie życzymy” — i już. Roboty chyba nie masz, że ci się chce nad pa pierem ślęczyć i kulfony stawiać.

— Nauczono mnie pisać, odrzekła pani z wymówką, a chociaż do wysokich polotów pretensji nie mam, jednak rodzice nio żalowali na moją edukację.

— Ależ, duszko, nie przeczę, wiem że jesteś wykształcona jak Kopernik, tylko zaciekawia mnie zkad taka inwencja?!

— Z serca, kochanie. Ja dzieci kocham, więc mam im co donosić.

— A ja także kocham—i urznięj mi głowę, jeżeli potrafię co wykoneypować na piśmie..

— Bo nie chcesz.

— Ależ bardzo..

— Oto naprzykład w zeszłym tygodniu mieliśmy nieszczęście, taka śliczna krowa, bo jużci przyznasz, że śliczna, zdecliła.

— To i cóż?

— Dzieci powinny o tem wiedzieć i zaraz też napisałam trzy listy.

— Jabym napisał dwadzieścia trzy, żebym wiedział że krowa ożyje!

— Nie ożyje ona i od czterdziestu sześciu, to prawda, ale zawszeć to lżej na sercu, gdy się człowiek użali. Czyż nie prawda?

— Wcale nie.. Mnieby co innego przyniosło ulgę.

— Naprzykład?

— Żebym mógł wybić wszystkie zęby pa stuchowi, który tę krowę na świeżą koniczynę puścił... Ale próżna rzecz; teraz się to nic praktykuje—bo sądy.. Wypędziłem go tylko i kto wie, czy nie będę miał sprawy o pensje i ordynarję do kwartału. Czy mam to wszystko opisywać dzieciom?

— A naturalnie.

— Co ich to obchodzi? Co ich może interesować nasza krowa, nasz pastuch, nasza strata, kiedy oni mają co innego na myśli. To ide gospodarze, nie nasi dziedzice, ale... djabli wiedzą jak nazwać, jacyś., albo ja wiem.. przemysłowcy, fabrykanci, spekulanci..

— A córka?

— Ach córka. Tobie się zdaje, że jej nic przewrócą w głowie na pensji?  
Co znowż!.

— Złudzenie! duszko droga, złudzenie! W gło wie przewrócą, po swojemu przerobią, nie poznasz, że to twoje dziecko..

— Jestem pewna, że mylisz się, mężu.

— Rzadko mi się to zdarza. Edukacji wysokiej nie pnsindaro, po parnasie Die biegam, siedmiolokciowych listów nie pisuję, ale widzę dobrze i mam takie psie oko, że dostrzegę to, czego niejednen nezony człowiek nie zobaczy—i powiadam ci, moja duszko, że nasze dziateczki urządza nam kiedyś taką niespodziankę..

— Mężu!

— Zobaczysz..

— Nie krzywdźżc ich posądzeniami, w których nie ma nawet cienia prawdopodobieństwa..

— Przekonasz się..

— Przestań, proszę cię, bo słuchać tego nic moge.

Pan Stanisław zawsze woli swej małżonki posłuszny, nie wszczynął już więcej rozmowy w tym drażliwym przedmiocie, przekonany był jednak, że prędzej czy później stanie się coś takiego, co będzie przekonywającym dowodem, że miał słusność. Jakoż niedługo na to czekał. Przed wakacjami przyszedł list od syna.

„Kochani rodzice,—pisał miody człowiek— skończyłem nauki i przyjeżdżam na jakiś czas do domu. Spodziewam się, że za tydzień będę

mógł was uściskać. Proszę nie przysyłać koni na stację, albowiem cała podróż — z miejsca aż do progu naszego dworku zamierzam odbyć na rowerze...”

— Na czym!, zawołał pan Stanisław, prze rywając czytanie.

— Na rowerze, odrzekła pani spokojnie..

— Słyszę, duszko, słyszę, ale niech mnie licha porwie, jeżeli co rozumiem..

— Wstydz się, Stasiu, rzekła pani Barbara z wymówką.. Przecież jesteś obywatel, sę

dzia, człowiek wykształcony, czytujesz gazety a dotychczas nie wiesz co, to jest rower..

— Basiu, duszko! Człowiek nic na to prenumeruje pisma, żeby miał się uczyć na starość znaczenia jakichś nowomodnych, a niezawsze mądrych wyrazów. Żebym ja nie rozumiał, co znaczy, dajmy na to: seradella, albo rajgras, albo lucerna—mógłabyś mnie z czystym sumieniem nazwać obskurantem i nieukiem., lecz z jakiej racji mam znać jakiś tam rower?

— W gazetach bardzo często piszą o tym wynalazku, który podobno rna być świetny i niezmiernie praktyczny, a w pismach ilustrowanych zamieszczają rysunki do opisów. Dziwię się bardzo, żeś tego nie zauważył.

— Kochaua Basiu, jestem gospodarz i czło wiek solidny., w gazecie szukam tego, co mnie najbardziej interesuje.. Telegramy, panie dobrodzieju, są na to, żeby wiedzieć, kto z kim się bije, co jest zawsze rzecz ciekawa; ceny zboża., żeby się nie dać oszukać — no i więcej nic. Nic mam czasu na odczytywanie pisma od deski do deski, a i oczy już mi nic dopisują i gdy patrzę na drobny druk, to mi się zaraz chce spać.

— O ie, mężu, nie przyznawaj się do tego!

— Dla czego nie? Jestem człowiek szczerzy, żebyiu żyda zabił, tobym się z tem nie taił.. Druk moje usypia, cóż ja temu winien

ie mam takie nerwy.. Więc Florek przyjeżdża na rowerze?

— Tak pisze..

— Zawsze mówiłem, duszko, że nie będę ja miał z tych dzieci pociechy.. Wyrodzili się..

— Stasiu, nie krzywdź chłopaków—przekonasz się, że ci w przyszłości zaszczyt przyniosą..

— Co mi tam po honorach!. Wolałbym mieć dzieci podług me" przekonania i upodobania. Taki, na przykład Florek, ma oto przyjechać na jakimś djable, czy cudaku, a ręczę ci, że jak będzie w domu, to do stajni nie zajrzy, na pastwisko nie pójdzie, nie zapyta, jak powinien zapytać uczciwy syn: — a masz—że ty, kochany ojcze, jakie porządne bydlę w stadninie? Będęz ja miał na eo wsiąść, po polach harcować, przez rowy i płoty przesadzać. Jestem pewny, że nie zapyta, ani on, ani jego młodszy bracia Wicek i Julek..

— To lepiej, przynajmniej żaden karku nie skręci..

— Ja, kochanczko, tyle lat już jeżdżę i Bogu dzięki, mam kark zdrowy, nie skręcony, cały.. Ah, o czym tn mówie..

Mam trzech synów, a tak jakbym nie miał żadnego — bo fantazji w nich nie masz, polotu, tego, jakże go nazwać, zacięcia.. O, uważasz, zacięcia. Żadeu z nich nie koniarz, żaden nie gospodarz, jedyna nadzieja w zięciu.. A jeżeli,

panie dobrodzieju, i zięć będzie w takim rodzaju jak synowie, to wiesz co zrobię.

— Ciekawam..

— Majątek sprzedam, konie sprzedam i wstąpię do bernardynów. Niech się. co chce robi!.

— A ja? zapytała z uśmiechem pani Barbara., cóż ja będę w takim razie robiła?

— Przepraszam cię, duszko, zapomniałem..

— O żonie zapomniałeś.. Proszę! Jak to ładnie z twojej strony..

— To jest., jakże się nazywa?.. Wyraziłem się niewłaściwie, głupio, ale w takim rozżaleniu niema się co dziwić..

— Bo zanadto bierzesz do serca, mój Stasiu, a to nie warto, doprawdy nie warto. Właściwie nie masz powodu do smutku, żadnego, najmniejszego. Nie masz ani cienia przyczyny.

— Tak ci się zdaje, moje dziecko.. Gospodarował człowiek porządnie, uczciwie i komu to zostawi? Konie chował, do stada pięknego przyszedł—kto to weźmie? Po naszej śmierci zlicytują to, sprzedadzą, dziateczki podzielą się pieniędzmi, a w naszym domu, kochanie, obcy ludzie rozsiadać się będą może niemcy— albo ja wiem... Psu na budę się to nie zdało.

Machnął ręką, wziął czapkę ze stołu i poszedł w pole pilnować robotników. Po chwili donośny głos jego rozlegał się na łąkach, wśród kopie świeżego siana..

Rozdział czwarty, w Miram lut mowa a zjizdzle Miliu, licznych gościach, I o wzrastającym oburzeniu szlachcica. tydzień później, wieczorem, już po za chodzie słońca pan Stanisław powracał do domu z łąk.

Szedł krokiem posuwistym, energicznym, zadowolony, że ukończył zupełnie sprzęt siana, szczęśliwy, że ani jedna kropla deszczu na nie nie padł, dumny I kilkunastu tęgich stogów, jakie się rozsiadły na łąkach. Przyspieszał kroku jeszcze i dla innego powodu; był głodny: od obiadu nie miał nic w nstach, a nachodził się tyle, nadeptał, nakrzyczał.. namęczył.

Teraz dam koncert, myślał, zjem wszystko, co Basia na stole postawi..

Już był blisko domu, gdy zaszedł iun drogę karbowy Koch. Chłop uśmiechał się, minę miał tajemniczą, widocznie coś ciekawego chciał powiedzieć.

— Co tu robisz, Rochu, zapytał szlachcic, czemu na kolację nie idziesz?

— Właśnie (io wielmożnego pana dążę., nowinę mam.

— A dobrą?

— Dobrą — goście są..

— Jacy?

— Swoi, panie.. Pan Florjan .jest, pan Win centy jest, pan Juljau jest.

— Tak się zjechali razem. To bardzo szczęśliwie..

— A.juści, ale i osobliwie, wielmożny panie.. Ludzie z całej wsi, zamiast siedzieć w chałupach, stoją jeszcze na ulicy

— a psy tak się rozżarły, że do tej pory szczekają.. O! słyszy wielmożny pan.

— Słyszę, ale co za przyczyna?

— Ludziom, wielmożny panie, dziwota wioł ka, a psi, choć głupie i duszy nie mające, też się przelękli, bo z rodu takiej rzeczy nie widzieli. I ja nic widziałem i nikt nic widział. Inszy człowiek, nabożny, żogął się ze strachu jak ode złego, jedna baba uciekła z takim wrzaskiem, że w trzeciej wsi było słychać, a z chłopaków, który odważniejszy, kamieniem smyrnął i za płot się schował.

— Co ty pleciesz, mój Rochu..

— Sprawiedliwie, panie, powiadam, że we wsi aż się gotuje. Już ja dużo rzeczy w swoim życiu widziałem., na jarmarku w Łęczny byłem chyba ze cztery razy, choć kawał drogi od nas, widziałem jak się wiatrak palił, jak

rzeka rybakowi chałupę zabrała; cielę o pięciu nogach widziałem, ale takiego interesu jeszcze nigdy nie spotkał. No, no, dopiero trzeba było panicza, żeby nam tę osobliwość pokazał.

— Ale panicz przynajmniej zdrow? Chłop cofnął się o kilka kroków, zdumiony takim zapytaniem.

— Adyć, wielmożny panie, rzeki, chyba chory nie siedziałby na takim, żeby w złą godzinę nic wymówić, djabelcu.

— Muszę go zobaczyć, rzekł pan Stauislaw, w którym na wiadomość o przybyciu syna aerea uderzyło żywiej.. Muszę go zobaczyć i przywitać. Ty, Rochu, idź na kolację, a jutro raniuteczko przyjdź do mnie, jak zwykle.

— Słucham, wielmożny panie.

Pan Stauislaw oddalił się szybkim krokiem, chłop powlókł się powoli ku domowi; to co widział tak zajęło jego myśli, że zapomniał nawet o kolacji. Szedł powoli, medytował i głową kręcił..

Z zadumania wyrwał go chudy jak szozapa, rudawy żydek, który nadbiegł właśnie zadyszany od strony wsi.

— N"o, co Rochu, zawołał zdaleka, co? Widzieliście ten interes?

— A dyć widziałem..

— Na swoje własne oczy?

— Jakiś ty dziwny Berku, toć przecie cudzemi nic patrzę, jeno własnymi.

— I co wy na to powiadacie, Kochu?

— A no nic, dziwuję się., ile żem jeszcze nie słyszał, żeby taka rzecz mogła być..

— Ja to słyszałem..

— Kiedy? gdzie?

— Na jarmarku, nasze żydki gadali.. Oni wiedzą, jeżdżą daleko, do samej Warszawy, po towary.. Kózue rzeczy widują i taką widzieli.. Opowiadali., ja trochę wierzyłem, trochę nie wierzyłem.. Dopiero teraz, kiedym zobaczył własnymi oczami, wiecie Rocha, przeszedł mi taki mróz po plecach, jak gdyby teraz była najstraszniejsza zima.

— A to dla czego?

— Dlaczego? Ja się boję.

— Boisz się—a cóż ci to przeszkadza?

— i takiego interesu nigdy dobrego nic nie ma.

— Nie rozumiem do czego te słowa zmierzają.

— To jest nieczysta rzecz.

— Niby to tak.. Wiadomo, że nieczysta silo w tem siedzi, ale kto jest sprawiedliwy i w Boga wierzy, to djabeł do niego przystępu nie ma.

— Ja wiem, moi kochani, ja to dobrze wiem, tylko od każdej takiej rzeczy co jest dziwna, niepodobna do dawnego obyczaju i bardzo przemądrzona — ludziom krzywda jest.

— Niby jak?

— Wymyślili kolej żelazną—żeby zniszczyć żydowskich furmanów; wymyślili telegraf, żeby

zniszczyć handel, wymyślili maszyny, żeby ani szczyć robotników.. Każdy taki interes robi zepsucie świata, przybliża nieszczęście..

— Może koniec?

— Dajcie pokój.. Nie trzeba wymawiać.. Jest źle, kiedy taka rzecz do wsi przychodzi— to już jest bardzo źle. Ja wam powiem, Kochu,

dobranoc. Idźcie wy spać —ja też pójdę spać, nie wiem tylko, czy będę mógł usnąć.. Takie rzeczy, takie myśli nie dadzą zmrużyć oka..

Nasunął czapkę na oczy i poszedł do swego mieszkania, aby oddać się rozmyśleniom na ten smutny temat; chłop spotkał na swej drodze gromadkę wieśniaków, rozmawiających o tenomeualuem wydarzeniu, przyłączył się do nich i gawędzili jeszcze długo..

Wszyscy trzej synowie, jak gdyby zmówili się ze sobą, przyjechali do domu na rowerach, a rzeczy swoje wyprawili koleją.

Matka przywitała ich serdecznie, ucałowała stokrotnie, ojciec także z rozrzewnieniem do piersi ich przycisnął, a im westchnął! przy tem kilkakrotnie..

— Irawidno nam tylko malej, rzekła pani domu, ale przyjedzie ima pojutrze i wszyscy znajdziemy się w komplecie. Cale nasze kółko rodzinne.. Nie uwierzycie jak mnie to cieszy, jak jestem szczęśliwa..

— No, rzeki pan Stanisław, chyba ta przyjedzie po ludzku, po szlachecka, po obywatel sku, końmi.. A moja rzecz, żeby przyjechała z szykiem..

— Mój drogi, rzekła z niepokojem pani domu, aby tylko wypadku nic było.

— Jakiegoż znów wypadku..

— Te kasztany, które zamierzasz posiać na kolej, są tak ogniste.. Ja się boję.

— Te kasztany, moja duszko, rzeki pan Stanisław, to dzieci, tylko ma się rozumieć dzieci., z fantazją, nie takie, jak dzisiejsze..

— Ojeze, czy to do was aluzja?., zapyta) syn średni..

— Iia, mądrej głowie dość dwie słowie a wyście przecież mądrzy, macie na to patenta.. Ty zaś. dodał zwracając się do żony, nie lękaj się o naszą córeczkę, sam po nią



pojadę i ręczę słowem uczciwym, że włos jej z głowy nic spadnie. Już kazałem wyszykować wolancik, uowc ehomąta, parada będzie taka, jakiej świat nie widział.

— Paradniejsze ekwipaże świat widział, wtrąciła pani z uśmiechem.

— A no, zapewne, zapewne, przecież na północy dalekiej zaprzęgają, do sanek psy i renifery, a przypuszczam, że królowa angielska ma trochę lepsze szkapy od moich, ale mówiąc, że świat takiej parady nie widział, mam na myśli nasz świat, najbliższy, okolicę., bądź ce bądź dość szeroką., lio w naszym powiecie moje konie są bezwarunkowo najpierwsze, a i w sąsiednich niełatwo znajdziesz im równe, chyba u hrabiego, który sprowadza je z zagranicy.. Nie jestem zarozumiały, ale nie inani też latszywegu wstydu..., a sprawiedliwość zawsze lubilem i lubię, Iaka już moja natura...

Na drugi dzień rano, koło godziny dziesiątej, kiedy młodzi ludzie spragnieni wypoczynku, dopiero co wstali i pili herbatę na ganku, pau Stausław powrócił z polu, na tęgim siwym bachmacie.. W podskokach wpadł na dziedziniec i przed gankiem odrazi osadził spienionego konia. Młodzi ludzie powstali, aby ojca przywitać..

— No chłopcy, zawołał, a może który spróbuje. Pyszny koń. Daruję go temu, kto objedzie

na uim trzy razy w kolo dziedzińca.. No, panowie., słowo się rzekło, koń jest do wzięcia., a wiecie ile wart. Pięćset rubli, jak jeden grosz. Tyle mi za niego dawano, ale nie chciałem sprzedać., zatrzymałem go dla którego z was..

— A cóż nam po nim?

— To dobre! Co komu po takim koniu?.. Nie udawajcie obojętnych.. A może żaden z was nie chce się odezwać ze względu na braci?.. Ja was jednakowo kocham i dla każdego mam równej wartości wierzchowca jak ten..

Ani jeden młodzieniec nie zdradził chęci posiadania wspaniałego konia; tłumaczył! ojcu, że wychowani zdaleka od domu, w mieście, nie mieli sposobności wyrobienia w sobie zamiłowania do tego rodzaju sportu, że nie potrafi liby korzystać z daru ojca.

Pan Stanisław słuchał nie przerywając, marszczył brwi, ruszał groźnie węsami nareszcie rzekł:

— Fuszery jesteście i dość na tem..

— Może z czasem, odezwał się najstarszy, przy zmienionych okolicznościach i innym trybie życia, to zamiłowanie w nas się wyrobi...

— Daj pokój synu., albo ma się je od małego, albo nie ma wcale., nie mówmy już o tem. Zeskoczy! z siodła, kazał konia odprowadzić do stajni i nsiadł przy stole obok synów..

- Dopiero herbatę pijecie? zapytał.
- Niedawno wstaliśmy, ojczcie.
- Zawsze tak późno wstajecie?
- Jak czasem, przeważnie koło ósmej, dziewiątej, jeżeli zachodzi konieczna potrzeba to wcześniej — dziś spaliśmy dłużej wyjątkowo, chcieliśmy wypocząć.
- Racja, racja, wypocznijcie, wypoczywajcie.. Po to przecież przyjechaliście do domu... Podług mego zdania, nie ma nic lepszego jak wstawać równo ze słońcem i zaraz brać się do roboty, zaraz marsz w pole, na łąki, do lasu.. Człowiek czuje się rzeźkim, msza się żwawo, apetytu nabiera, a gdy przez cały dzień nabiega się, nachodzi, a jeszcze, jak u nas przy gospodarstwie, nazłości się i naklnie, to wieczorem jak tylko padnie na łóżko, usypia natychmiast—i śpi jak zabity... o ile um jakie smutne myśli tego snu nie przerywają, dodał ciszej.
- Cóż za myśli, ojczcie?
- Pan Stanisław nie odpowiedział, zwrócił na inny przedmiot rozmowę, wypytywał synów o szczegóły podróży, kręcił głową z niedowierzaniem, słysząc o szybkości, z jaką jechali...
- Dwadzieścia wiorst na godzinę?! Trzy mile... to szybkość pociągu towarowego., proszę, proszę..
- Gdy droga gorsza, gdy jeździec nie chce

si. zbyt forsować to jedzie wolniej, piętnaście, dwanaście wiorst..

— I straszny Indzi po drodze, a psy doprowadza do wściekłości... Słyszałem ja coś o waszym tryumfalnym wjeździe do wsi.

Chłopcy roześmieli się.

— Zagranicą, rzekł jeden, rowery są tak upowszechnione, że nie wzbudzają już ani zdziwienia, ani zaciekawienia..

Zwyczajna rzecz, prawie każdy się nimi posługuje. Jeżdżą mężczyźni, kobiety i dzieci, jeżdżą dla przyjemności lub z potrzeby, a przy wyborowym stanie dróg ten sposób lokomocji coraz bardziej się upowszechnia..

— Jaktó mówisz: jeżdżą z potrzeby?

— Listonosze, posłańcy, każdy komu trzeba szybko przenosić się z miejsca na miejsce, dosiada tego stalowego konia, mającego tę wyższość nad żywym, że mu nie trzeba jeść dawać. Nawet w armjach rower zyskał sobie prawo obywatelstwa i przynosi ogromny pożytek... Wspomniał ojciec o straszaniu ludzi po wsiach i doprowadzaniu psów do wściekłości. Rzeczywiście, im dalej od miast większych, od stacyj dróg żelaznych, tem niechętniej jest widziany przez ludność, a raczej tem większe wywołuje wrażenie, ze względu na nowość swoją i zadziwiającą szybkość — ale to tylko w tych zakątkach, w których jeszcze rower jest nieznan, gdzieindziej już nie zwracają nawe'

uwagi na przejeżdżających cyklistów. W wielkich miastach uwijają się oni wśród powozów, omnibusów, dorożek, podczas największego ruchu ulicznego i bardzo rzadkie są wypadki przejechania.

— No, no, słucham jak o żelaznym wilku..  
— Ten wilk, kochany ojciec, coraz bardziej będzie się rozpowszechnia!, a jestem pewny, że niedaleki jest czas, w którym tenże sam Maciek, który nas brał za djabłów i kamienie na nas rzucał, będzie usiłował sporządzić sobie tani rower, widząc, jaka to rzecz dobra i praktyczna..  
— Za daleko zajechałeś mój synku..  
— Jakto?..  
— Cóż Maćkowi po takiej zabawce?..  
— Nie zabawka to., oszczędzi nui konia, a choćby tylko butów i da zysk na czasie. I Maciek kiedyś zmańdrzeje. W danym razie idzie tylko o to, żeby drogi były w dobrym stanie. Skoro to będzie, rower rozpowszechni się wszędzie przez samą siłę swej praktyczności!. Niech ojciec, choć na chwilę pozbędzie się uprzedzeń i zechce przypatrzeć się naszym maszynom, jak są zbudowane, jakie lekkie i jak mało trzeba nakładu siły, aby je poruszać..  
Rzekłszy to, wszedł do sieni i wytoczył na dziedziniec elegancki, doskonale zrobiony rower..

Pan Stanisław x z zaciekawieniem przypatrywać się zaczął nieznanemu dotychczas przedmiotowi.

— Bójcie się Boga chłopcy, rzekł, i te cieniuchne szprychy nie pogną się pod ciężarem człowieka, ta delikatna rura nie pęknie, te wydęte obręcze na kołach nie podziurawią się o kamienie szosowe?  
— Nie., wszystko jest mocne, zrobione doskonale i z najlepszego materyaln..  
— Proszę..  
— Najzdolniejsi mechanicy wysilali się na to, aby te maszyny ulepszyć, uczynić je najpraktyczniejszemi, najdogodniejszym! do użytku.. Zagranicą istnieją specjalne fabryki rowerów, corocznie wyrabiają ich one setki tysięcy, to samo dowodzi praktyczność! pomysłu..  
— No dobrze to wszystko., moi drodzy, ale nie rozumiem jednej rzeczy..  
— Czego mianowicie?  
— Jakim cudem człowiek może się na tym djahle utrzymać? Rozumiałbym cztery koła, rozumiałbym wreszcie trzy, no na koniec dwa równoległe jedno względem drugiego położone—ale jedno za drugim, toż się w głowic nie mieści..  
— Utrzymanie równowagi —to łatwa rzecz. Z początku wydaje się trudnem, prawie niemożliwem, ale po kilku dniach wprawy, siedzi

się na siodełku tak wygodnie i swobodnie, jak na krześle..

— Dziwne rzeczy: człowiek się zestarzał i nie przypuszczał nawet, żeby coś podobnego istnieć mogło. Czysta fantazja naprawdę, bajka z tysiąca nocy, chimera!

— Niech ojciec z laski swojej spojrzy, rzeki najstarszy, jak to idzie łatwo i szybko.

Rzekłszy to, zniósł maszynę z ganku, za nim poszedł drugi i trzeci brat.

Przed domem był duży dziedziniec: na środku jego znajdował się trawnik w formie ogromnej elipsy a dokoła tego trawnika droga równa, twarda, na gliniastym gruncie... Tu taj właśnie odbywały się zwykle próby i popisy koni. Tu pan

Stanisław sam harcował na wierzchowcach, tu pod jego okiem Wojtek „obszarpywał” młode źrebce, tu paradowały i prezentowały się gościom i kupującym dzielne „pary” i dobrane „czwórki”. Takiego jednak popisu, jaki na tym obszernym dziedzińcu urządzili synowie pana Stanisława, nikt tu jeszcze nie widział.. Jeden po drugim wskakiwał lekko na maszyny, jeden za drugim gonił, prześcigali się, robili różne zwroty, ewolucje, zwalniali biegu, lub też pędzili w forsownym, wyścigowym tempie, tak, że tylko migali się przed oczami. Pan Stanisław był zdumiony a chwilami przejmowała go wielka obawa...

to ostrzeżenie ojcowskie wybuchami śmiechu i pędzili dalej jeszcze szybciej.

— Warjaty, istne warjaty, mrucał szlachcic pod wąsem., a jednak...

Matka przypatrywała się temu popisowi z ganku; z kuchni wyszła gospodyni i kilka dziewczek i wychylając głowy z za węgła, patrzyły zdumione, przerażone prawie, na to widowisko, tak niezwykle. Gromadka zamorusanych dzieciaków z nieśmiałością i niedowierzaniem zbliżyła się do sztachet, przewyciężając w sobie strach, gotowa w każdej chwili uciec, pierzchnąć, niby stado spłoszonych wróbli..

Pani Barbara zbliżyła się, do męża; na twarzy JeJ promieniała radość i macierzyńska duma..

— A co Stasiu, szepnęła, cóż ty na to?

— Patrzę, duszko..

— I co..

— To są rzeczy uadzwyczajne, dziwne.. Gdyby człowiek własnymi oczami nie patrzył, wiaryby nie dał.

— Ale nasi chłopcy — zuchy — co?

— Zapewne., zapewne..

— Jaka śmiałość... zręczność., zgrabuość..

— Tak, śmiałość, masz liasin słuszność śmiałym być trzeba, żeby na takiego djabła siadać, jeszcze śmielszym, żeby się na taką zawrotną, wajjacką jazdę decydować. Jabym nie chciał, żeby mi sto tysięcy kto dawał..

— A widzisz., żeś był w błędzie—przyznaj.

— Pod jakim względem?

— Mówiłeś o naszych chłopcach, że papinkowaci, lale, mieszcuchy, że nic męskiego w nich nie ma.. Teraz sądzę, żeś się przekona). Co — nie?

— Prawda, Basiu, zresztą czy ja wiem? Albo ja się już tak zestarzał, że nic nie rozumiem, albo świat tak skoczył naprzód, że ja za nim nadążyć nie mogę.

— To jest — jakże?

— Czasy inne, męskość inna, energią w innym gatunku.. Wszystko do góry nogami poprzewracane, na odwrót, na opak.. Nie wiem, kochana Basiu, nie pojmuję, w głowie mi się kręci od patrzenia na to.. Chłopcy! zawołał głośno, chłopcy dość, pomęczycie się zanadto.. Chodźcie do domu., zaraz śniadanie podadzą.

Młodzi ludzie zręcznie zeskoczyli z siodełek i pozostawili maszyny, oparte o sztachety, sami zaś weszli na ganek... Wówczas dzieciaki, ostrożnie, powoli, postępując po kilka kroków, to znów cofając się z obawą, przybliżyły się do maszyn Widząc, że laka „sztuka” nie wierzga, nie kąsa i nie drapie, najśmielszy chłopak odważył się dotknąć palcem szprych koła, zachęcony bezkarnością tego czynu przyłożył rękę do gumowej obręczy, która ugięła się lekko pod naciskiem jego palców, następnie obmacał siodełko i dotknął kierownika.

— Ej Maciek, ostrzegęła go sześciolatka dziewczynka i oczami barwy chabru i włosami jasnymi jak len, ej Maciek nie ruszaj., bo obaczyBz!

Aha! odrzekł chłopak hardo, może mnie zje.

— Zje nie zje, ale cię złapie i polecą z tobą na koniec świata..

— Głupiaś ty, Nastka, Kiej panowie na niego siadali, to i ja też bym siadł.

— A jeno., może., siadłbyś?

— Myślisz, że nie., oj, oj! Albo to raz siedziałem na piotrowej kobyle.

— To co? Piotrowa kobyła dobra, łaskawa... Jak jej kawałek chleba dać, to pćzniej sama za ręce łapie i mało nie przemówi: daj.. Ja sama na niej jeździłam raz do wody.

— Ale!

— Jakbyś wiedział..

— A jakeś na nią wsiadła.

— Pioter mnie wsadził.

— O wał Pioter! Ja bez Piotra potrafiłem., z płota.

— To może i na tego cudaka z płota siądziesz?

— Byle jeno państwo nie patrzyło, siadłbym. Okrutniem do tego ciekawy.

— Głupi., nie siadaj.

— Siadę..

— A to co? zawołała inna dziewczynka, wskazując na gruszkę gumową od trąbki.

— Jakieśi dziwne.. Niby gruszka, niby nie.. Może do jedzenia.

— Może..

— Pewnie, ie do jedzeniu,. No cóżby? Spro hnjc, Dikt nie patrzy?

— Nikt, kto ma patrzeć. Siedzą przy stole., zajadają. I ty jak jesteś przy misce, to się nie rozglądasz po świecie, jeno patrzysz w kartofle, albo w kluski.

Chłopak odważył się dotknąć gruszki. Chcąc spróbować czy twarda, ścisnął ją, trąbka wydała ostry głos. Spłoszone dzieciaki pierzchnely z okrzykiem przerażenia.. Gromadka ta uciekła na folwark, do czworaków, aby Bię ukryć pod fartuchem matczynym, opowiedzieć swoje wrażenia, aby z przerażeniem wyznać że to coś jest żywe, że się da ruszyć, ale jeśli je kto w bolące miejsce dotknie, to beczy jak haran, ale tak strasznie beczy, tak strasznie!

Tego dnia przed wieczorem pan Stanisław pojechał na kolej po córkę, a nazajutrz o dzie siątej rano przywiózł ją zdrowo i pomyślnie, wolantem, przepyszną czwórką idealnie dobra nych kasztanów. Stangret prowadził je doskonale., na dziedzińcu wystrzelił dwukrotnie z bicza, jak z pistoletu i wysiłkiem rąk muskularnych osadził na miejscu spienione bieguny.

Zosia wyskoczyła zgrabnie z wolantu i padła w objęcia matki..

— A co Kasin, zawołał pan Stanisław., masz córkę zdrową... nic się jej me stało. Słubnie ci mówiłem, że nasze kasztany są jak dzieci, ze szlachetną fantazją, ale bez narowów.. Każ dać Maciejowi dobry kielich gorzałki. Wart tego, pysznie wiózł.. Szkoda mi będzie pozbyć się tych koni.

— To niech je ojculek trzyma, rzekła Zosia.

— Dziecko jesteś.. Niby ja moge tyle koni trzymać. Na przyszły rok znów czwórka guiadych ze stadniny wyjdzie, a te muszą pójść między ludzi.. Nie martw się, Zosiu, dodał ciszej., posagu ci przybędzie.

— Co mi po tem, odrzekła, rumieniąc się.. — O tem pomówimy w swoim czasie, teraz

drogie dziecko, baw się pókiś młoda, ciesz się życiem, zdrowiem, tą jasną wiosną i pogodą młodości, której nie psują chmury smutku.

Istotnie panna Zołja mogła się cieszyć młodością, zdrowiem i siłą. Szesnastoletnia zaledwie, podobna była do pączka, który lada chwila mógł się rozwinąć jako wspaniały kwiat. W rysach jej twarzy nie było cech klasycznej piękności, ale zdobiła je świeżość, młodość, zdrowie. Zgrabna, wesoła, ożywiona pociągała ku sobie pełnym prostoty naturalnym wdziękiem i swobodą.

Matka była nia zachwycona, bracia przesadzali się w uprzejmości (lia swej jedynej siostrzyczki, a ojciec, pokręcając węża, coraz to robił w myśli przegląd okolicznej młodzieży. Nareszcie stuknął się palcem w czoło, z miną wielkiego zadowolenia i jednocześnie przyszły mu na myśl owe dwie opieczętowane beczki, od lat szesnastu uwięzione w piwnicy..

Kto wie, może też niedługo nadejdzie czas wyzwolenia ich z więzów i zarazem ostatnia godzina, może znajdzie się taki, co synów za stąpi, gospodarstwo pokocha i tej tak dalece prowadzonej, wypieszczonej, ulubionej stadninie zginąć

nie da, ale owszem, sławę jej podtrzyma i dzieciom swoim zostawi. Lepiej byłoby gdyby syn po ojcu te honory dziedziczył, ale gdy synowie inne sobie drogi obrali, niechże będzie zięć dobry..

A dobry będzie niezawodnie, jeżeli tylko Zosia nie zgrymasi. Chociaż., czego miałyby grymasić. Chłopak ładny jak malowanie, z do hrej rodziny, nie bardzo bogaty, ale też i nie biedny, a co najważniejsza gospodarz doskonały. Kasia może trochę noskiem skrzywi, że ni hrabia, nie magnat, ale właściwie co z tego? Najlepiej swojej sfery się trzymać, przynajmniej pretensji wzajemnych, wymawiania mezaljansu nie będzie.

Tak sobie myślał pan Stanisław, myślał, kombinował i przyszedł do wniosku, że trzeba

żelazo kuć póki gorące, trzeba ułatwić ndo dym ludziom zaznajomienie się, dać sposobność, żeby się poznali i pokochali.

Wytłómaczył pani Basi, że teraz z okazji, iż wszystkie dzieci są w domu, należałoby kilkakrotnie gości przyjąć, pokazać się sąsiadom, dawne stosunki odświeżyć, nowe zawiązać— jedynaczkę potrosze w świat wprowadzać.

— Niechże poznają dziewczynę, mówił, niechże się dowiedzą jaka cudna perełka kryje się pod naszą strzechą. Nie trudno było wytłómaczyć szczęśliwej i dumnej ze swych dzieci matce, że istotnie nadszedł już czas, aby dom otworzyć i szersze stosunki zawiązać.. Pochlebiało jej niezmiernie, że może się pochwalić synami, córką i zamożnością domu. Znowuż więc, jak niegdyś, przed laty, wyprawił się pan Stanisław do miasta pakowną bryką, z dobrze wyładowanym pugilaresem, a za nim pociągnął fornal drabiniastym wozem. Było posiedzenie u kupca z kolegą, tym samym, który ongi na niezdarnej ciężkiej ma szynie próbował używać spaceru i była długa gawęda na temat postępu.. Szlachcic, przekonany tem, co na własne widział uczy, musiał przyznać że postęp jest, że bądź co bądź, to nie „tigieli", że owo „głupstwo" stanie się z czasem niezbędnem w użyciu praktycznym i oszczędzi ludziom wiele kosztu, pracy i czasu, przyznawał to wszystko, kiwał głową, ale zarazem

s

twierdził, że tego rodzaju postęp w ogóle nic dobrego nie wróży..

— Brakuje jeszcze tego panie dobrodzieju, mówił, żeby ludzie wynaleźli sposób latania po powietrzu i kierowania balonami...

— Toć to marzenie, dziś jeszcze niedoścignione, odrzekł kolega, ale nad rozwiązaniem tej zagadki pracują najtęższe umysły i kto wie, kto wie, czy nie rozwiążą.. Jakiżby to przewrót w stosunkach nastąpił!.. Co by to była za przyjemność, za rozkosz, unosić się nad ziemią, w czystej przezroczystej atmosferze i spoglądać z góry na tę szarą skorupę ziemską.. Czy nie uśmiecha ci się myśl podobna?

— O niechże Bóg broni!—zawołał szlachcic, toż miałbym się cieszyć z czego! Dziękuję..

— Ale cóż masz przeciwko temu?

— Od wielkich mądrości świat się psuje.. Śmieję się ze mnie, jeżeli ci się podoba, ale ja zawsze utrzymywać będę, że im większe udogodnienia, ułatwienia stosunków, im lepsze maszyny, tem większe łajdactwo. Dawniej ludzie rozrzucałi po wioskach, wśród pól i lasów, orali, zasiewali, żęli, żyli po ludzku i pana Boga chwalili, a zamków nie było trzeba..

Później, gdy się zaczęło w większe gromady zbierać, w miastach, w centrach fabrycznych zaraz zepsucie nastąpiło i rozniosło się jak zaraza nawet i po wsiach. To też masz., przypatrz się co się dzieje teraz.

— Zbyt czarno zapatrujesz się, Stasiu kochany, przesadzasz.

— Ano, mój bracie, każdy ma swoje zdanie; jeden tak, drugi owak. Ja właśnie owak, i przy tem zostaję; co do balonów zaś powiem ci tylko tyle, że dziś mamy już dość lisów, wilków i innych drapieżników dwunożnych, a z chwilą nastania balonów będziemy mieli nowy gatunek lisów i jastrzębi w ludzkiej postaci. Dotychczas musiałeś się pilnować i oglądać tylko na stronę, ozy cię kto z boku nie zechce uskubnąć, lub uszczypnąć — wówczas liędziesz musiał patrzeć i w ubłoki, czy jaka niegodziwość z góry na cię nie spadnie.

— Ha, ha., nie wiedziałem, że masz taką lotną wyobraźnię.

— Naturalnie, że mam, żeby u ciebie tak jak u mnie, kilka razy do roku złodzieje dobierali się do stajni, to nabrałbyś fantazji

wiele lotniejszej niż moja...

Długo jeszcze trwała rozmowa na ten temat

wracano do niej kilkakrotnie, gdyż pan Stanisław, nie tylko sprawunki ale i różne interesa prawne miał do załatwienia, więc pobyt w mieście do kilku dni przeciągnął, a od posiedzeń w sklepie wieczorami ani razu kolegi uwolnić nie chciał... Zapraszał go też najserdeczniej, aby na wieś przyjechał, synów poznał i córkę.

— Nie po mojej myśli poszli, mówił z westchnieniem, aleć zawsze moja to krew, ko

eliam ich tem więcej, że chłopcy dobrzy i że aic im zarzucić nie moge. Poszli za głosem swego przekonania.. Niechże idą, każda droga w życiu jest dobra, byle była uczciwa., a ie człowiek, taki oto jak ja, uważasz, ojciec, zadowolony wieśniak, jest w położeniu kwoki, której kacząta na wodę uciekły — to już trudno, taki jego los; moie wzdychać z tego powodu, narzekać, jęczyć nawet, ale kacząt od wody nie zawróci.

— Cóż bo znów mój Stasiu, gdzież woda?..

— Jakto., gdzie? Ja na łądzie, a oni...

— Któż ci zaręczy, czy twój chemik, po kilkoletniej pracy u ludzi, nabrawszy doświadczenia fachowego i praktycznej zuajomości rzeczy — nie przyjdzie z powrotem na grunt ojcowski, aby na uim fabrykę założyć.. Kto zaręczy, czy twój lekarz, również kiedyś po latach, nie osiedli się w bliskości, lub nie zechce, wysłużwszy się bliźnim, na stare lata na własnym zagonie osiąść? Czy nie jest niepodobieństwem, że prawnik, dorobiwszy się grosza, zechce również to Bamo zrobić.. No, i wrócą twoje, jaK je nazywasz kacząta i rozwesela ci starość. Szlachcic z krzesła się zerwał i kolegę w objęcia pochwyił.

— Bodajbyś prorokiem był! bodaj się twoje słowa sprawdziły, a za te odrobinę otuchy, za ten promyk nadziei, coś mi do duszy wlał, nie wiem jak mam dziękować i czem zapłacić.



— Nie potrzebujesz płacić—bo ja ci przyjaźni nie sprzedaję...

— Ach eóż znowu.. To wyrażenie tylko, nie bierz go literalnie, ale pamiętaj., gdyby kiedy, broń Boże, to do mnie jak w dym..

— Co znowż?! Mam nie wiele, ale umiem rachować, wystarcza mi.. Jeżeli więc mowa o materialnej pomocy to nie ma o czym mówić.

— Więc jakże, jak, mój bracie kochany.. Dalibóg., bo taki z ciebie dzieciak..

— Dajmy pokój, uściśnijmy się i jedź z Bogiem do swoich.. Ciesz się i raduj...

Był piękny pogodny ranek, kiedy pan Stanisław wjeżdża! na terytorjum swego folwarku.. Słońce tylko co weszło, krople rosy, jak drobne brylanciki jaśniały na trawie..

— Czekaj no, stój, rzeki do stangrota, ja zsiądę, pójdę pieszo, zobaczę, czy szkody w polu nie ma.. Parę dni nie byłem w domu—tom ciekawy. Przed dwór zajedź, sprawunki niech zabiorą, a paui powiedz, że ja za godzinkę nadejdę.

Stangret odjechał, a zamiłowany gospodarz puścił się ścieżką między polami, patrzył, oglądał i widać nio złego nie dostrzegł, gdyż szedł rażno, wása podkręcał i uśmiechał się patrząc na gesta i zwarte zboże.. Obliczał w myśli ile stert postawić wypadnie, boć nie sposób, żeby się taka masa w stodołach zmieścić mogła.. Potem szedł przez łąkę, skoszoną nie

dawno, i przez przełazek w płocie dostał się do ogrodu. A ogród ładny miał i dąży, w rodzaju parku, i masa drzew dzikich, ze stawem, z szerokimi alejami..

Ledwie wszedł na główną drogę, która do dworu wprost wiodła, gdy nagle furknęło coś za nim, mignęło się i przebiegło..

Stanął zdumiony..

To była jego córka na owej djabelskiej maszynie.

— Zosiu, zawołał.. Zosin., czy to ty?! Przebiegła jak błyskawica ku końcowi alei, zawróciła i o trzy kroki przed zdumionym ojcem zeskoczyła z roweru. Ubrana w jasną, dość krótką sukienkę, z warkoczem swobodnie na plecy spadającym, zarumieniona, wesoła, uśmiechnięta, wyglądała prześlicznie.

— Czy to ty Zosiu, czy nie ty?

— Czyż mnie ojczulek nie poznał?

— Ależ zdumiony jestem., oczom nie chcę wierzyć.. Ty.. Czy was na peusji uczono jeździć na tych djablach?

— Nie ojczulku., bracia mnie nauczyli.. To jest ogromna przyjemność.

— Kiedy cię nauczyli, przez te kilka dui?!

— Nie uwierzy ojczulek jak to łatwo., a jak lekko., przyjemnie., z wiatrem ścigać się można..

Pan Stanisław pokręci! głową..

Rozdział piąty i ostatni, w którym jest mowa o dziwnym sposobie prze skawiania przeszkód.

Bardzo gwarno było w dworku pana Stanisława, częste przyjęcia, zjazd gości, wesołe zabawy, zbiorowe wycieczki do lasu, jednym słowem szereg przyjemności, urządzanych dla synów i córki, a głównie dla córki.

Pani Barbara, zajęta wciąż myślą, aby gościom nie zbywało na niczem, rozwijała ogromny zapas energii i ciągle na nogach, ciągle w mchu, przebiegała z domu do kuchni, I kuchni do folwarku, to zuów ukazywała się przy gościach, uważając na wszystko i na wszystkich, niezmordowana..

Pan Stanisław uśmiechał się pod wąsem, zamiary jego bowiem układały się dość pomyślnie. Młody człowiek upatrzony przez niego, przyjechał pierwszy raz z ojcem swoim i zrobił odrazu bardzo korzystne wrażenie, podoba! się i pannie i matce Po tygodniu zjawiał się znowuż, a następnie wizyty jego były coraz częstsze. Pana Stanisława odrazu

seu serce wziął swoim zamiłowaniem do gospodarstwa, znajomością, a nadewszystko i przedewszystkiem, amatorstwein koni. Znaj się na nich i umiał od jednego rzutu oka dostrzedz zalety i wady.

Podczas drugiej wizyty sam poprosił pana Stanisława, aby mu swoją sławną stajnię i stadninę pokazał, powiedział też przy tej sposobności kilka pochlebnych słówek, które szlachcica mile pogłaskały po sercu.

— A no, tak, odrzekł z udaną skromnością przyjmując komplement,. Znajdzie się parę szkapiąt u mnie, ale nic nadzwyczajnego., jak zwyczaj uie u średniozamożnego szlachcica.

— Pańskie konie zuane są w całej okolicy, na każdym jarmarku poszukiwane... dodał młody człowiek..

— Sprzedaje się też czasem, boć pan, jako gospodarz, wiesz dobrze, że oglądać się tylko na jedno zboże—trudno.

Trzeba mieć kilka źródełek; jedno da skąpo, to drugie nie zawiedzie, a nie drugie to trzecie. Dziś, panie łaskawy, nie to, co dawniej, teraz gospodarować trudno. Wpierw samo to jakoś szło.. Dziś trzeba głowy i kredki, bo bez tego ani rusz..

— Święta prawda. Głowy, kredki i troche pieniędzy w zapasie, żeby się o kredyt nie kłaniać, procentów wysnkich nie płacić. Mając głowę, kredkę i zapas, to, pomimo wszystkiego co mówią i co piszą, możua na roli wy

trzymać. Jest to mile i wdzięczne zatrudnienie, a że najszlachetniejsze i najmilsze ze wszystkich, tego chyba nie potrzeba dowodzić...

— Mówisz, panie .luljanie jak z księgi, rzeki szlachcic, z czułością patrząc na swego gościa, szkoda tylko: że nie wszyscy młodzi mają takie przekonanie. Jakże ci się podoba ten siwek?

— Pyszny koń, bez zarzutu, rzekł młody człowiek; gdyby go pan dobrodziej miał kiedy na sprzedaż, proszę o pierwszeństwo.

— Znalazłby się może lepszy., ten gniady naprzykład i ładniejszy, co?  
— Woię siwego...  
— Toś znawca, kochany panie Juljanie! Masz dobre oko.. Ja również siwego woię... A skoro podobał ci się, to może zechcesz spróbować jak chodzi  
— Owszem.  
— Pojedziemy w pole.. Hej Janie! osiodłać gniadego i siwka.  
Za chwilę konie były gotowe.. Młody człowiek zręcznie wskoczył na siodło i zaraz opanował rwącego się bieguna..  
Pan Stanisław obserwował go z boku...  
— Pyszny zięć będzie, mrucał pod wąsem, siedzi na siodle jak przymurowany.. Zimna krew, spokój, ręka pewna...  
Takich lubię.  
Podczas dłuższej przejażdżki, zalety jeźdźca

uwydlatniły się jeszcze lepiej, pan Stanisław był zachwycony..  
— Cóż panie Juljanie, rzekł, można na tych koniach wiatry ścigać?.  
— Można..  
— Iz temi nowowynalezionemi maszynami do wyścigu stanąć..  
— Wątpię, odrzekł młody człowiek..  
— Pan wątpisz; taki jeździec!.  
— Moie właśnie dla tego, że znam aię trochę na koniach i mam niejake pojęcie o rowerze..  
— Czy może należysz do nich?.  
— Nie, odrzekł z uśmiechem, jeździć na rowerze umiem, bo to nie trudna rzecz, ale zamiłowania nie mam, woię konia.  
Tu przynajmniej mam do czynienia ze stworzeniem żyjącem, mającem bądź co bądź pewną inteligencję, częstokroć większą niż się ludziom zdaje.. Otoż naginanie tej inteligencji do mojej woli, kierowanie ogromną siłą fizyczną owego stworzenia jedynie za pomocą łagodnych środków, wskazanych przez rozum i znajomość natury konia — wydaje mi się daleko większą przyjemnością, niż jazda na martwej, aczkolwiek bardzo dowcipnie pomyslanej maszynie.  
— Ależ naturalnie.. Porównania nie ma.. Swoją drogą do wyścigu nie stanąłbym...  
— Nawet na tym siwku?

— Nawet na wyścigowcu pełnej krwi; na dystansie czterech, pięciu, nawet sześciu wiorst moge brać górę, ale dalej, koń się zmęczy, musiałbym bieg zwolnić, gdy tymczasem przeciwnik mój może, bez wielkiego wysiłku tempo przyspieszyć i na dziesiątej, dwunastej wyprzedzi mnie już ogromnie, a na dwudziestej; kiedy ja będę musiał konia zatrzymać, dać mu wypoczynek, napoić i popaść, cyklista zrobi dwa razy tyle drogi..... i zdąży o mnie zapomnieć... Trudna rada, każdemu trzeba oddać sprawiedliwość..  
— No, ale jak się to będzie dalej rozwijało tak szybko, to nasza hodowla może być poważnie zachwiana.

— Nie ma o to obawy szanowny panie!. Jeszcze przez długie, długie lata rolnictwo potrzebować będzie siły pociągowej, armje kawalerji, bogaci ludzie karet i powozów. Będziemy hodowali piękne konie i sprzedawali je korzystnie. Gdybym miał takich stu siwków, jak ten, na którym siedzę, znalazłbym na nich kupców... Jeszcze raz przymówił się o pierwszeństwo, jeżeli knń będzie do sprzedania, pan Stanisław obiecał i dodał, że w tym czasie niema zamiaru pozbywać się konia, siwka, ponieważ planuje sobie pewne kombinacje co do niego. Te kombinacje były bardzo proste.. Niechno młody człowiek ujawni zamiary swoje

względem Zosi, niech się zdecyduje, niech zostaue narzeczonym — a wtenczas siwka otrzyma w prezencie. Ohecznie nie przyjąłby takiego daru, a koń dla niego jest przeznaczony. Żaden z synów go nie chciał, niechże go przeto weźmie ten, co się umiał poznać na jego wartości..

Liczni goście, którzy odwiedzali w tym czasie dwór pana Stanisława, byli bardzo zainteresowani rowerami młodych ludzi, częstokroć odbywały się popisy, jazda na dziedzińcu i po parku i wśród młodszych gości znajdowali się amatorowie, pragnący się uczyć jeździć...

Pan Stenislaw, nie bez pewnego zgorszenia zauważył, że wysłano do Warszawy zbiorowy list z żądaniem przysłania siedmiu maszyn..

— Dalibóg mówił do żony, toż to koniec świata! Niedługo baby wiejskie będą na targ do miasteczka na tych cudakach jeździły.

— Dla czegoż nie? odrzekła z uśmiechem, świat idzie naprzód, a my go nie powstrzymamy... Zresztą co ci to przeszkadza, że baby będą w taki sposób jeździły to ich rzecz, niech sobie jeżdżą. My zaś cieszymy się dziećmi. Niedługo będą z nami chłopcy; za kilka tygodni uciekują w świat i zostaniemy znowuż samotni.

— A Zosia? zapytał nie bez ukrytej myśli pan Stanisław.

— Czyż nie widzisz co się dzieje? Zajął się pauem Inljaneiu prawie od pierwszego wejżenia.

— Nie może by i — a cóż ty na to.. Basio!

— Cóż ja.. Jeżeli mają skłonność ku sobie, niech ich Bóg błogosławi.. Marzyłem o lepszej partji dla Zosi, ale...

— Porządny i poczciwy chłopiec.

— To prawda, głównie jednak ten wzgląd mnie skłania ku niemu, że będę miała Zosię niedaleko od domu., że będę ją mógła widywać często., a ty co myślisz o leni Stasiu?

Pan Stanisław postanowił udawać dyplomatę i odrzekł obojętnie..

— Ja, bo nie mam jeszcze wyrobionego sądu o tym młodym człowieku, poznam go bliżej... zobaczę...

W odpowiedzi na to pani Barbara wybuchnęła głośnym śmiechem..

— Cóż cię tak rozweseliło?, moja Basiu?... zapytał..

— Ach Stasiu kochany, nie do twarzy ci w roli Bismarka, zwłaszcza ze mną.. Tyle lat przeżyliśmy razem zgodnie i szczęśliwie; ja też w twoich myślach czytam jak w książce drukowanej ogromnemi literami.. Widzę je zdaleka, widzę wpiern nim ty sam sobie zdać możesz z nich sprawę..

— Więc cóż., cóż wyczytałaś., co dostrzegłaś?..

— Przecież ten Juljau, przez ciebie upatrzony.. Tyś go szukał, jak szpilki w stogu siana, tyś go sobie wybrał tego dobrego gospodarza, doskonałego znawco koni—no, i na szczęście, porządnego człowieka. Ty się wprzód w nim zakochałeś niż Zosia! No—powiedz szczerze, czy ja się mylę, czy nie?..

Pan Stanisław ujął pulchną rękę swej małżonki, złożył na niej pocałunek i rzekł:

— Basiu, duszko moja.. ty jesteś wielka kobieta, ty słyszysz jak trawa rośnie, zgadujesz ludzkie myśli, przed tobą nic się nie ukryje. Prawda, jam się w Juljanie wprzód zakochał niż Zosia.

Zdawało się panu Stanisławowi, że wpadł nareszcie na myśl genialną, że znalazł sposób wykazania wyższości dobrego konia nad martwą, bezduszną maszyną... Ten pomysł uie dał mu spać, odpędzał wszelkie inne myśli. Kombinacja była dość prosta. Ponieważ zwykły wyścig, według zapewnień pana Juljana i wreszcie według prostego obliczenia, nie przedstawia, przy dłuższym dystansie, żadnej szansy wygranej dla konia, trzeba spróbować wyścigu z przeszkodami. Zarówno siwy jak gniady na swoich sprężystych nogach skacze jak jeleń i przeszkoda na metr wysoka to dla niego zabawka, ale co pocznie wobec niej

człowiek na dwóch kółkach?. Nic użyje ostróg, nie doda fantazji martwemu przyrządowi ata nie przed przeszkodą nieporadny i bezsilny.. Więc nie zawsze tryumfować będzie, nie na każdym kroku zbierać laury! Odejdzie zawstydzony i zmuszony będzie przyznać, że w tym wypadku nie może się równać z dobrym jeźdźcem, dosiadającym dobrego konia. Teren do takiego wyścigu był doskonały; tuż za parkiem ciągnęła się dróżka polna, równa i twarda, ciągnęła się między połami, dalej zaś przechodziła przez gęsty, zwarty jak ściana zagajnik, a potem przez las do szosy. Jedna lub dwie przeszkody, ustawione na dróźnie w zagajniku, nie zatrzymają jeźdźca; koń przeskoczy je z łatwością i popędzi dalej.. Jadący na dwóch kółkach zatrzymać się musi. Przeszkody nie rozwalą, gdyż będzie postawiona mocno, na urząd. Będzie to poprostu plot z żerdzi o dębowych kolkach; nie objedzie jej również bokiem, gdyż zarówno z jednej jak z drugiej strony zagajnik jest tak gęsty, że nietylko na kółkach, ale i pieszo trudno się przez niego przedrzeć. Pan Stanisław posłał raninteczko ludzi i kazał dwa mocne ploty postawić; popołudniu zaś, gdy przyjechał pan Juljan, wziął go na stronę i zwierzył mu się ze swoim planem.

— Zawstydzimy ich, zobaczysz pan, jak ich zawstydzimy... Oczywiście my obadwaj, li

cze bowiem aa to, że nie odmówisz mi swe go towarzystwa, kochany panie Juljanie.

— Z przyjemnością, odrzekł młody człowiek.

— Tryumf nasz pewny—co?

Młody człowiek uśmiechnął się nieznacznie..

— Zapewne, rzekł.

— Mówisz bo tak, jak gdybyś niedowierzał. Komu? sobie, czy koniom.. Nie lękaj się, nie takie przeszkody brał siwy podemną, a cóż dopiero gdy będzie miał lżejszego jeźdźca... Trzymaj się tylko dobrze, on cię nie zdradzi.. Przelecimy jak wicher a tamci wróćają jak niepyszni.

Młodzi cykliści, którym ojciec zaproponował ten wyścig zgodzili się, wymieniwszy wprzód między sobą spojrzenia.

— Uprzedzam was jednak, moi kochani, rzekł pan Stanisław, że na drodze znajdziecie przeszkody.

— A jakie ojczyste?, zapytał najstarszy.. Może to będzie rzeka, może niezgłębiona prze paść?.

— Co znowuż!. przeszkody jak przeszkody. Nie zatrzymają one ani muie ani pana Inljana.

— W takim razie spróbujemy...

— Dobrze, dobrze o to nam tylko idzie..

— A jakiż dystans, gdzie będzie meta?.

— Możemy się obejść bez mety... Znać te dróżkę za parkiem, co prowadzi przez zagajnik i przez las do szosy.

— Znamy doskonale.

— Więc uważajcież.. My z panem Juljauerji puścimy się pierwsi, wy zaś w kilka minut po uas, i dogonicie nas na szosie. W którym punkcie, to wszystko jedno—abyście tylko dogonili.

— Bardzo dobrze.

— Jeden tylko warunek.

— Słuchamy.

— Nic wolno przeszkód omijać., trzeba je przebyć.

— Ależ naturalnie, to się samo przez się rozumie. Inaczej wyścig uie byłby wyścigiem.. Znamy reguły sportowe.

— Więc doskonale. Bierzcie swoje aparaty, czy jak je zwiecie maszyny, a my z panem Inljanem po staroświecku, noga w strzemię i na koń!

Pojechali przez park, odprowadzeni przez gromadkę gości, zaciekawionych jaki będzie rezultat.. Zanim jeszcze ruszyli, Zosia zerwała piękną różę i pokazując ją siedzącemu na koniu panu Juljanowi rzekła:

— To dla zwycięzcy.

— Niestety, pani, odrzekł półgłosem ja nim uie będę..

Za parkiem, na dróżce, pan Stanisław zawołał: marsz, marsz! i puścił konia cwałem, tuż za nim galopował pan Juljan..

W chwilę pói niej trzej bracia mknęli na rowerach.

W zagajniku obadwa konie wzięły przeszkody z łatwością a za lasem, na szosie pan Stanisław zakomenderował: stój!  
— No, kochany panie Juljanie, wypada na nich poczekać., z półgodzinki.. dla ceremonji, bo, że nie dostaną się tutaj, jestem pewny...

Tymczasem koniska odsapną a my zapalmy papierosy.

Po upływie kilku minui pan Juljan zaczął bacznie patrzeć w stronę lasu.

— A kogi tak wyglądasz dobrodzieja., chyba nie ich?

— Zdaje mi się, że już jednego widzę, odrzekł młody człowiek.

— Nie może być., niepodobieństwo.

— Ale! oto jnz drugi i trzeci.. Za chwilę będą przy nes.

Trzej bracia znaleźli się na szosie.

— Florek! zawołał pan Stanisław. Co? Jakim sposobem?

— A no, jak ojciec kochany, widzi.

— A przeszkoda! a przeszkody?. Ominęliście je chyba, wbrew umowie?.

— Broń Boże, my mamy bardzo prosty spo soli na przeszkody.. Gdy znajdujemy na drodze plot, przechodzimy przez niego, przenosi my maszynę—i jedziemy dalej.

Pan Stanisław zaczął się śmiać do rozpuku

— Niechże was!—rzekl.. Niechże was! .No, kochany panie Juljanic.ścigajże się tu z takimi. Wy zapewne potraficie i przełazić pod przeszkodami.

— Jeżeli tylko można, to dla czego nie? Taki to dobry sposób jak i inny..

— Ja wiedziałem, że się tak skończy., rzeki pan Juljau, wiedziałem, że nas ci panowie na. kółkach pobiją..

— Tak? A dla czegoś to nie ostrzegłoś umie dobrodzieju, nie bylibyśmy pobici tak sromotnie.

— Nie chciałem psuć panu iluzji...

Tego wieczora nie mówiono jut o wyścigu i o przeszkodach, albowiem pan Juljan oświadczył się Zosi i rodzicom. Z tego powodu pan Stanisław wydobyl zapleśniałą baryłkę z piwnicy, wznoszono toasty za zdrowie i pomyślność państwa młodych...

Rano, gdy już goście rozjechali się, a domowi spać poszli, wąsaty szlachcic usiadł w ganku i patrzył na stadnino, którą chłopak pędził na pastwisko..

— Ej koniki moje, koniki, rzeki, będziecie miały dobrego opiekuna...

## W SIECI PAJĘCZEJ

### POWIEŚĆ

#### ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Jest jedno nieduże miasteczko, które się nazywa Czarnebloto.

Wygląda ono, — pisz, maluj, —jako wszystkie nasze miasteczka; ma wielki rynek, dokoła niego kramy i sklepiki, ma zajazd „pod Zielonym Łabędziem”, chociaż jako żywo nikt zielonego łabędzia nie widział,—ma ze trzydzieści szynkowni, magistrat, kozę z okratowanymi oknami, aptekę... juk zwyczajnie miasteczko.

Żydów w niem parę tysięcy i ci sam środek miasta zajmują, mieszczan, rolników i rzemieślników kilkuset zaledwie. Ci mają swoje domki na ubocznych uliczkach, pola porozrzucane zagonkami w różnych stronach, zaś stodoły za miastem w rzędzie, jedna obok drugiej, tak że na wypadek ognia odrazu wszystkie spłonąć mogą, jak zapalki.

Czarnobłocki kościół i plebanja znajdują się za miastem w oddaleniu, ukryte w zieloności lip i smukłych topoli.

Czarnebloto leży na wzgórzu, a dokoła niego wioski włościan i drobnej szlachty zagonowej: Ol

szauka, Brzozówka, Wierzbówka, Zatraceniec, Koziedołki, Ciepła Wola, Zimna Wola, Kurza Wólka, Lisia Wólka; pola, łąki, lasy, stawy, rzeczki, gdzieniegdzie młyn, folwark, a Czarnebloto w samym środku.

Tak, jak to u nas—a jeżeli odjechać o parę mil dalej, to znów się znajdzie pola, łąki, lasy, wioski i folwarki, rozrzucone w tem wielkiem kole, które oko ludzkie obejmuje; w samem jego środku znajdzie się inna miejscina, dajmy na to Białebloto, i tak wciąż; w każdym kole miejscina: Bosekaczki, Kopytków, Ogonów, a dokoła wioski i folwarki.

Małe dziecko nawet wie, że tak jest, ale nie zastanawia się nad pytaniem, dlaczego?

W Czarnemblocie był jeden żydek, Uszer Engelman, chudy, przygarbiony, całe życie spędził nad księgami i lubił o różnych rzeczach myśleć.

Miał czas. Nie rozbolał go krzyż po ciężkiej robocie, nie doznawał nigdy uczucia tego zmęczenia, co człowieka do snu kłoni i jak kłodę na posłanie powala, ale owszem, nieraz spać nie mogąc, siadał na przyzbie przed swoim domostwem, zapalał fajkę i myślał.

Otoż, dumając o tych miasteczkach i o wioskach dokoła nich rozrzuconych, rysował sobie w myśli nasz cały światek.

Miasteczko — środek, wioski—jakby koło, i znów miasteczko — środek i znowuż wioski—koło. Wykreślił to i na papierze i zrobiło się z tego coś jakby siatka.

I cóż to znaczy?



O! znaczy dużo. Uszer wymiarkował, że wobec tej siatki ani jeden korczyk zboża, wymłócony w chłopskiej stodole, ani jedno cielę, wyhodowane w oborze, ani jedna kura, jajko nawet, nie może się wydostać z tego wioskowego kota, nie zawadziwszy o środek, to jest o mieściinę żydowską.

I wymiarkował także, że nie masz takiej wioski, do której nie prowadziłyby droga przez miasteczko, ani takiego miasteczka, do którego droga nie prowadziłyby przez wioskę: że zaś we wsiach mieszkają włościanie i szlachta, a w miasteczkach żydkowie, a na świecie panuje ciągły ruch, więc jedni o drugich nieustannie ocierać się muszą. Jeżeli owca przechodzi przez gęste krzaki, to na każdym zostawia trochę wełny; dla owcy strata nieduża, a ptaki mają z tego posłanie do gniazd; jeżeli chłop wiezie zboże w starym worku, to ziarna sypią się po drodze—chłopu strata niewielka, a ptaki mają z tego pożywienie; — jeżeli wieś ociera się o miasteczko, zawsze przy miasteczku coś zostaje; wsi niewielka strata, a miasteczko ma z tego życie.

Tak miarkował sobie ów Uszer swoim starozakonnym sposobem.

Czarnębłoto stało na wzgórku, a jak twierdzą ludzie, rzecz znający, to wzgórze utworzyło się ze śmieci. Od wielu pokoleń te śmiecie się zbierały i zbierają, a domy, chociaż niedawno stawiane, zagłębiają się w ziemię coraz bardziej, bo owa skorupa śmieciowa z każdym rokiem grubieje i rośnie.

Słusznie mówi Małka, właścicielka sklepu i zajazdu „pod Zielonym Łabędziem”, że człowiek żyje od godziny do godziny, od jarmarku do jarmarku.

Zdanie to podzielają w Czarnębłocie wszyscy żydzi bez wyjątku; pisze się na nie dorosły, czy nieletni, bogaty kupiec zbożowy i najbiedniejszy łapserdak; dla każdego bowiem dzień jarmarczny jest dniem radości i wesela.

Zawczasu też mieszkańcy Czarnębłota czynią przygotowania, aby wystąpić godnie w chwili tak ważnej.

Kupcy sprowadzają świeży towar do sklepów, szynkarze trunki, przekupnie szykują pieniądze, faktorzy języki, biedne żydówki starają się zawczasu o zapas niedojrzałych owoców, pieką pierniki, makagigi, obwarzanki, całe miasto jest w ruchu gorączkowym.

Nietylko w Czarnębłocie o jarmarku myślano, ale i w okolicy robiono przygotowania na ten dzień ważny.

Drobna szlachta i chłopci robili przegląd dobytku i namyślali się, coby kupić, a co sprzedać; kobiety myślały o trzodzie, drobiu, o nabiale, jako o środkach do zdobycia chustek kraciastych, perkalików, płócienek, wstążek, koralu i bursztynów U szkła, paciorków i tych rozmaitych świecideł, bez których wiejska elegantka nie może się obejść.

Cała prawie ludność wioskowa była gotową do wielkiej wyprawy, a dodać trzeba, że w okolicy wioski były gęsto zamieszkałe w części przez chłó

pów, w części przez drobna szlachtę zagonową. Oprócz tych wiosek w okolicy były wielkie dobra, należące do dwóch hrabiów. Obadwaj ci panowie gospodarstwem sami się nie zajmowali i w ogóle zagląдали rzadko do swych dóbr, które,

podzielone na drobniejsze folwarki, wypuszczali w dzierżawę. Było więc sporo dzierżawców, rządców, (konomów, leśniczych i pani Malka miała zupełną słusność, że pięciu małych dzierżawców daje miasteczku znacznie więcej dochodu i korzyści, niż jeden duży dziedzic.

Już w przeddzień jarmarku, na noc dążyli chłopci pieszo; ów krowę, ów wołu, albo inne zwierzę prowadząc, a odpoczywali przy gościńcu, w polu lub w lesie. Wlokły się wozy rzemieślników z sąsiednich miasteczek, wozy bednarzy, szewców, czapników, którzy od wczesnego ranka mieli rozbić swe kramy na rynku.

Z nastaniem dnia największy się ruch rozpoczyna!

Wszystkimi drogami, drózkami, które do Czarneoblota wiodły, ciągnęły wozy, biedki, bryczki, dryndule najrozmaitszych fasonów, a ludu pieszego, jak mrowia.

Można się było obawiać, czy ta wielka ilość ludzi zmieści się w tak małej mieścinie? czy przygotowane przez zabiegliwych szynkarzy zapasy napojów i żywności wystarczą? Próżna obawa!

Wiadomo z praktyki od najdawniejszych czasów, że Czarneobloto pomimo swojej pozornej szczupłości jest niesłychanie pakowne.

Podobne ono jest do wańtucha od wełny, który sani przez się woale nie wielki, gdy go wypchać, wygląda jak wielka wydłużona baryła; ma ono piękny rynek, ma place na użytek jarmarczny przeznaczone, targ bydłocy, koński i świński. Targi te rozległe są i nie było zdarzenia, nawet podczas najświetniejszych jarmarków, żeby miejsca na nich zabrakło.

Drogą od Olszanki do Czarneoblota wiodącą jedzie wierzchem na chudej szjapie ogromnie czupurny jegomość.

Szkapa pod nim okielznana i osiodłana. Co prawda siodło nie nadto wspaniałe: stara, zniszczona terlica, gołem drzewem świecąca, bo skóra z niej zlazła miejscami; ale zawsze siodło, ze strzemionami, jak się należy.

Człowiek, na tem siodle siedzący, ma nos potężny, trochę czerwony, wąsiska konopiaste, wielkie, wyraz twarzy zawadjacki, czapkę na bakier.

Ubrany jest w surdut sukienny szaraczkowy, spodnie z płóciénka domowej roboty, w kraty, czerwone z niebieskiem, buty z cholewami do kolan. Rękę ma narobioną, jak chłop, chociaż chłopem nie jest; cała okolica wie doskonale, że to pan Walenty Wasążek, szlachcic zagonowy z Olszanki.

Ma on własną posiadzi ilność z obejściem i dziewięć morgów gruntu w jedenastu kawałkach wąziutkich, a długich niesłychanie.

Niegdyś miał trochę piękniejszą fortunę, ale sporo ziomi sprzedać musiał na „prawo”, bo procesował się wciąż, a zamięłowanie do spraw miał

takie, że byle o najmniejszą bagatelę skargi do sądu podawał.

Zaledwie się ożenił i gospodarstwo na siebie objął, zaraz ze szwagrami taniec po sądach rozpoczął i wodzili się o te długie zagony od instancji do instancji, a że, jeden drugiemu rozmyślnie przytem psoty robili, zabijali cieleta, ukręcali łby gęsiom i sami się często za czupryny brali, więc oprócz spraw cywilnych, rosły ciągle karne, z różnem szczęściem dla jednej i dla drugiej strony prowadzone.

Już się Waszązek i dzieci dochował, już mu i ogromne wąsiska urosły, gdy zagonki posagowe w spokojne posiadanie objął, ale nie żałował ani pieniędzy, ani czasu straconego, bo kawał świata zwiedził, sądy najrozmaitsze poznał, prawa się owąchał tak, że aż kodeks od niego załatywał, a artykuły wszelkie sypał z pamięci, jak groch z worka. Żaden z jego sąsiadów do takiej biegłości nie doszedł, chociaż też byli to ludzie na różne sposoby wypraktykowani i posiwiali w procesach. To też równać się z nim nawet nie śmieli, a w razie potrzeby sami przychodzili o radę prosić. W takich wypadkach Waszązek zasiadał z powagą na ławie w izbie, lub też na kamieniu przed chatą i odrazu, bez żadnego przygotowania, okiem nawet nie mrugnawszy—wykład miał, gesto go artykułami prawa przeplatając. — I niech wam się nie zdaje, ludzie — mówi!—że Waszązek jeno na małe sprawy znawca. Ho! ho! zna on ci i kredytorstwo i hypotecznosc, wie

dobrze, z którego boku się co zaczyna i gdzie się kończy...

Jechał pan Waszązek stępa, fajeczkę ćmił i o nowym procesie myślał, gdyż z przechodniami i przejeżdżającymi w rozmowę się nie wdawał, a na powitania ledwie że głową raczył kiwać.

W tem usłyszał poza sobą turkot i wołanie:

— Wio, wio!

Obejrzał się i wstrzymał trochę szkapę. Niebawem jadący zrównał się z nim.

Był to Jukiel, pachciarz z Zatraceńca, dobrze znany w okolicy Jukiel Katz, bardzo sprytny i obrotny żydek.

Jukiel siedział wysoko na tak dobrze wyładowanej biedzie, że dziw, jakim sposobem mógł się na niej utrzymać.

— Ho! ho! —zawołał basem Walenty —a niechże cię psy zjedzą, Juklu, toś biedę wypchał dopiero!

— Każdy człowiek swoją biedę pcha—odparł żyd — a tymczasem dzień dobry panu Walentemu.

— Dzień dobry! Ma się rozumieć; że będzie dobry. Dla takiego spekulanta, jak Jukiel, jarmark to żniwo.

— Jak czasem. Trafi się dobry, trafi się gałgan i częściej gałgan niż dobry, a ten, choć niby powinien być najlepszy, niewiadomo jeszcze, jaki będzie...

— Wielki będzie, nadzwyczajny!

— Skąd to można wiedzieć?

— A toć ludu wali moc! Jak muchy czernieją po drodze. Ile to przed nami? ile za nami? a przecież ta droga nie jedna! O! panie Jukiel, czujesz ty, że będzie dobry jarmark, skoroś tak biedę wypchał, że siedzisz na niej tak, jak na wielbłądzie.

— To same drobiazgi, więcej powiózł mój syn wozem.

— Ha! dawni izraelitowie jeździli podobnoś i na wielbłądach i na inszych bestjach, prawda?

— Albo ja wiem; ja przy tem nic byłem zresztą co mnie do tego, ja mam swojego konia i biedkę — to dosyć dla mnie.

— Niema się co wstydzić: jeździli starodawni żydowie na wielbłądach, bo jeździli — i mannę, bywało, swego czasu jedli, aż im sic uszy trzęsły, ale że im coś do łba przystąpiło i zgrymasili, tedy muszą jeść czosnek. Może nieprawda, panie Jukiel?

Żyd ramionami ruszył.

— Panie Walenty — rzekł — na co wasan zaczepia tych Izraelitów, co już od tysiąca lat po marli. Oni już nie handlują, nie szachrują, oni już leżą w ziemi. Daj im wasan leżeć spokojnie i nie rusz ich, a jeżeli masz złość do dzisiejszych, to ich pozwij do sądu, albo rachuj się z nimi innym sposobem.

— Jukiel swój rozum ma, a ja swój.

— To wielka prawda; zostaniemy każdy przy swoim, a jeżeli asan chce, to możemy zrobić handelek na co innego.

— No, no nie mamy się o eo sprzeczać. Tak sobie oto powiedziałem, aby gadać. W drodze się nudzi, porozmawiać dobrze. Nie?

— Dlaczego? — owszem. Pan Walenty zapewne chce co kupić na jarmarku?

— Nie.

— To po co wasan jedzie?

— Pieniądzy mi trzeba; muszę spenetrować po mieście, moje znajdę jakiego żydka.

— Przecież asan ma na miejscu w Olszance Chaskla; bardzo porządny człowiek i chętny do każdej dogodności.

Dlaczego on panu Walentemu nie dał?

— Obiecywał, że się na jarmarku postara i właśnie dlatego jadę.

— Niech się pan Walenty nie boi; jeżeli Chaskiel przyobiecał, że się postara, to się postara napewno. On słowny jest. Zresztą, dlaczego niema być słowny. Panu Walentemu jeszcze można dać pieniądze.

— Dlaczego Jukiel mówi, że jeszcze?

— Bo są tacy, którym już dać nie można.

— No, to skoro mnie można, po co mam czekać na Chaskla. Niech Jukiel sam da, będzie i prędzej i pewniej.

— Może jabym dał, ale mnie nie pasuje, trochęby to było niepolitycznie.

— Aha, żydowska hajzówka! Znam ja się na tem.

— Asan myśli że asan się zna, a asan się wcale nie zna. Są takie interesa, na których nie

każdy może się znać. Kto panu Walentemu powiedział o hajzówce?

— A coż to jest?

— Widzi asan, to jest tylko zwyczajna grzeczność i delikatność; jeden drugiemu nie wydziera chleba z ręki. Czy asan myśli, że teraz łatwo żyć? Wcale nie łatwo, a gdyby jeden drugiemu chciał jeszcze psuć, to chybaby wszyscy z głodu pomarli. Widzi pan Walenty, że niema żadnej hajzówki, tylko delikatność.

— Więc takim prawem o moim interesie z wami niema co mówić?

— Ja tego nie powiedziałem. Niech pan Walenty będzie około południa u Małki, może ja tam przyjdę, może Chaskiel przyjdzie, a najprędzej przyjdziemy oba. Może być asan spokojny.

— No, to dziękuję wam, bo mi bardzo pilno trzeba pieniędzy.

— Asan pewnie chce gruntu przykupić? Właśnie teraz ziemia niedroga.

— Właśnie, że o grunt idzie, ale nie o kupienie, tylko o co innego. Sąsiad mój, Michał, po przewaniu Koszałka, w grunt mi się łajdak worał; między, która moja sprawiedliwa i rodzona jest z dziada pradziada, oderżnął mi caluteńką skibę.

— Czy pan Walenty siał na tej między pszenicę?

— Toż Jukiel dziwny, a któż na między sieje? Miedza jest miedza; zielsko jeno na niej rośnie i trawa.

— No, więc w czym on zrobił panu Walentemu stratę?

— On teraz na tej oderżnietej skibie zboże zasieje, ale niedoezekanie jego} Ja zaraz do sądu i żeby mnie miało nie wiem co kosztować, z torbami puszczyć.

— Mnie się zdaje, panie Walenty, że dwa lata temu asan miał sprawę w takim samym gatunku.

— Ho! ho! miałem ja i nie jedną.

— zdaje mi się, że nawet z sąsiadem, Marcinem Sójką. Przypominam sobie ten interes, tylko ta jest różnica, że teraz sąsiad się worał w miedzę pana Walentego, a wtedy pan Walenty. I to też sobie przypominam, że tamtą sprawę pan Walenty przegrał.

— To i cóż? Nie każda sprawa bywa do wygrania, ale com się z nim po sądach natańcował, to pewnie jeszcze do dzisiejszego dnia pamięta!

— A ile pana Walentego kosztowało to tańcowanie?

— O tem niema co gadać; kosztowało, bo kosztowało, ale chłop się przekonał, że Walenty Wasążek nie da sobie w kaszę dmuchać! Był koszt, ale i skutek był, a skoro skutek był, to o koszt bajki!

— Nu, prawda. Każdy człowiek ma swoje lubienie; asan ma lubienie w sądach, asan gotów jeszcze kiedy i mnie sprawę zrobić.

— Niech Jukiel dwa razy tego nie mówi.

— Ale o cobyśmy się mieli prawować?

— O co? to najmniejsza rzecz. Chcecie? jutro was zpozwę i narobię wam takiej kapusty, że jej do Nowego Roku nie zjecie.

— Nu, niech asan da spokój, co mi po sprawie, co po kapuście — to nie mój interes.....

— Ja też tylko powiedziałem dla przykładu, żeby Jukiel wiedział, że jak zaczną z kim tańcować, to już rzetelnie. Hulam przez wszystkie instancje i przez kasację, hulam, że żaden młodzik na weselu tak nie hula.

Miasteczko było już widać. Jukiel szkapinę do szybszego ruchu przynaglił, Wasążkowi się też śpieszyło.

— Pamiętaj, Jukiel, — rzekł — że w południe u Małki.

I uderzywszy konia prętem, wyciągniętym galopem popędził.

Przy wjeździe do miasta ścisk był wielki. Dzierżawca rogałkowego, zmęczony, zadyszany, w czapce na tył głowy zsuniętej, biegał od tury do tury, aby odbierać należne mu groszaki. W czynności tej pomagała mu zona, kilkoro starszych dzieci i prócz nich, umyślnie na ten dzień wynajęty Wigdor, człowiek biedny, z profesji krawiec, ale tak

dalece uczciwy i rzetelny, ie można mu było nawet całego rubla drobnymi powierzyć, bez obawy, że sobie choćby jednego trojaka przywłaszczy.

Wielki krzyk był ciągle przy rogate, bo każdy wywijał się od zapłaty jak mógł, lub obiecywał, że należność wieczorem odda, gdy będzie wracał. Dzierżawca rogatekowego, jako człowiek w fa diu swoim bitgły i doświadczony, znał się na takich obietnicach i przed niewyplacalnym pasażem

rem rogatekę zamykał, i to nie na patyk, jak w zwykłych okolicznościach, ale na ciężką kłódkę żelazną.

Chłop się sprzeczał, dzierżawca w niebogłosy krzyczał, że jest skrzywdzony, że w taki sposób może cały majątek stracić, a tymczasem na drodze przed zamkniętą rogateką, gromadziło się coraz więcej fur, wozów, bryczek, bydła i trzody. Ludzie krzyczeli, klęli, odgrażali się; niejeden, gorętszego usposobienia, wozu zeskakiwał i nie zważając na słusność sprawy, dzierżawcy wygrażał.

Przeraźliwy kwik świń napelniał powietrze, klątwy i złorzeczenia wzmagaly się, dzierżawca o malo nie płakał ze złości i życzył swoim wrogom, żeby w godzinę śmierci mieli taki niepokój, taki czarny i brzydki dzień.

Nareszcie chłop wydobył z kalety kilka miedziaków, szlaban sic podniósł i liczne wozy, zawadzając jeden o drugi, wtlaczały się do miasteczka.

Co pół godziny, co kwadrans, powtarzało się to samo. Poborca rogatekowego ochrypl, zona jego, dzieci i pomocnik zupełnie stracili siły od targowania się i wrzasku.

Coraz trzeba było szlaban zamykać i coraz nową falę ludzi i zwierząt do miasta wpuszczać.

Gwałt jednak przy rogate, w porównaniu z gwałtem, jaki się dział w samym miasteczku, w rynku, mógł się wydawać niby łagodny szmer strumyka wobec ryku morza podczas gwałtownej burzy.

Tam to on dopiero huczał, szumiał, niby wez

brana fala wody, gdy pozrywawszy groble i szluzy, szaleje.

W dniu jarmarcznym nawet bogobojni i uczeni żydzi, wyłącznie oddający się rozmyślaniom i czytaniu ksiąg, przerywali swe zajęcia i wychodzili na rynek, aby napaść oczy przyjemnym widokiem, aby swoją obecnością uświetnić dzień nadzwyczajny.

I słusznie wydawać się mogło tym myślicielom, że w owym dniu wyjątkowym rodzinne ich miasto Czarnebloto jest niby królową wiosek, do której wszystek lud okoliczny przychodzi z pokłonem i darami, że, jest wielką świątynią handlu i śpieszy do niej naród wszelki, aby złożyć dziesięcinę w bydle, zbożu i wszelkim towarze, a ten wielki krzyk i harmider to niby pieśń pochwalna Da cześć (Jzarnegoblota, odśpiewana przez tysiące głosów różnorodnych.

Jest to dzień życia i dzień żniwa dla tych, którzy dni siewu nie znają.

Dom „pod Zielonym Łabędziem" jest w oblężeniu, a i we wszystkich innych szynkach aż się roi, bo dzień jarmarczny tem się jeszcze odznacza, ie wzbudza w ludziach wielkie pragnienie do piia. Wiedzą o tem dobrze szynkarze i dbają pilnie, aby zawczasu zasilić źródła, do których przyjdą spragnieni dla ochłody, lub rozgrzania.

Zbliża sic południe, złota kida słoneczna pali się na wysokościach, gorące promienie rzucając na ziemię; na rynku zgiełk coraz większy, po kra

mach tlok nadzwyczajny, przez ulice z trudnością przepychać się trzeba.

W zajeździe „pod Zielonym Łabędziem” były trzy wielkie uby, w których podczas jarmarku gromadziło się zazwyczaj dużo gości.

W pierwszej, najparadniejszej stacji zbierali się dzierżawcy folwarków, rządcowie, nadleśni; w drugiej ekonomowie i zagonowa szlachta, koloniści i co zamożniejsi włościanie, a w trzeciej biedniejsi z nich. Pierwsza stacja była niby jak pokój, sprzęty w niej porządniejsze, w drugiej stoły i krzesła malowane, a w ostatniej — ławy zwyczajne, jak w karczmie.

Tu i tam uwijał się mąż Małki, Mojsie Fisz, i przy pomocy kilku żydziaków roznosił flaszki z wódką, z piwem, z czem kto żądał. Roznosił, kłaniał się, nadskakiwał, a pieniądze zgarniał, gdyż dzień jarmarczny to żniwo dla niego.

W drugiej i trzeciej stacji kręcili się różni żydkowie ze wsi i ci większym kupcom mówili na ucho, ile który gospodarz jest wart, ile pieniędzy pożyczyć mu można.

To byli znawcy swej okolicy.

Czego nie wiedział, na przykład, taki Jankiel z Zatraceńca, Chaskiel z Olszanki, Mendel z Wierzbówki? Oni mogli powiedzieć, kiedy u którego gospodarza kura jajko zniosła, ile która krowa mleka daje, ile motków przędzy, wianków cebuli, grzybów suszonych, czosnku wisi na strychu. Nie było dla nich nic skrytego, żadnych tajemnic. Wiadomo im było, jaki przy której stajni jest za

tnek, jaki charakter ma pies podwórzowy, znali najdokładniej wszelkie drożynki polne i leśne, ścieżki między zbożami, doły w polach, suche rowy, słowem, całą okolicę jak najdokładniej znali.

Każdym gospodarzu mogli dać wskazówkę, czy jest pracowity, czy próżniak, trzeźwy czy pijak, czy ma babę dobrą, czy złą, czy się jej boi, czy nie. Wiedzieli, co warte są jego dzieci; czy lubią palić papierosy i kosztować słodkiej wódki, czy też nie dają się skusić.

Wiedza oni, kiedy w folwarku fornale śpią w czworakach, a kiedy w stajni, kiedy śpią twardo, kiedy lekko, a kiedy bardzo mocno. Wiedzą, ile kto na wsi ma pieniędzy, ile mu brakuje, czy ten brak jest bardzo dokuczliwy, czy też można go wytrzymać i do jakiego czasu.

Mogą powiedzieć bez zająknięcia, ile kto posiada stożków siana i kop stomy, czy ma czem przeżywić konie i bydło do wiosny, czy też je musi na jesień sprzedać.

Jest takie paskudne stworzenie, na które szanujący się starozakonny kupiec nie powinien patrzeć, a jeżeli wypadkiem spojrzy i zobaczy, to wypada mu splunąć. Wiejski żydek też spluwa, ale swoją drogą liczy sztuki i ocenia je. Wie on dobrze, ile warto jest prosię, ile chudy podświnek, a ile spasiony karmnik.

Jest to w interesie przydatne, bo nieraz chłop się zaklina, że jak tylko wieprza sprzeda, zaraz dług odda.

Paskudna hipoteka, ale cóż robić? Pilnuje więc

żyd gospodarza na jarmarku, żeby pieniędzy nie stracił, zanim oddać je zdąży.

Właśnie i Waszązek takie Chasklowi i Juklowi zabezpieczenie przedstawiał. Żydzi spluwali, mówiąc, że od takiej godnej osoby, jak pan Waszązek, zapewnienia nie potrzebują, że im zwykły rewers wystarczy, ule zarazem spojrzeli wymownie jeden na drugiego. Jukiel był spokojny, wiedział bowiem, że od tego dnia chlew W aszązka pozostawać będzie pod ścisłym dozorem i że żadna zmiana nie ujdzie przed baczny okiem Chaskła

Wielki i ciężki był targ żyda z szaraczkiem. trochę już ciętym dla fantazji. Waszązek wymyślał swoim dobroczyńcom od rozbójników i wisielców, życzył im, żeby zgnili w prochowni lub w jeszcze gorszym kryminale. Zgodę przybijał im na dłoniach twardą, narobioną ręką, ciężką jak z ołowiu, silną jak ze stali. Jukiel wyrwał dłoń.

— Pfe! niech acan tak nie bije! Acan może miarkować, że to boli...

— Głupiś i obyczajny nie znasz, dobra zgoda — dobre przybicie. Robimy zgodę, czy nie?

— No, już, już.

— A to dawaj rękę.

— Na co?

— Bez wykrętów. Ma być zgoda, niech będzie zgoda i skutek!

Pochwycił rękę Jukla i uderzył w nią swoją dłonią tak silnie, że ai żyd podskoczył.

— Niech acan nie robi awantury, do czego

to podobne? Niech acan lepiej siada przy stole i pisze rewers. Czy acan piśmienny jest.

— Czy ja piśmienny? A cóż to sobie myślisz? Ja na sprawach zęby zjadłem i piśmiennybym nie był? Ręka w pracy zeszywniała krzynekę, ale pisma się nie boi.

Walenty zasiadł przy stoliku, odsunął butelki, kutie i zaczął pisać. Ciężko mu to szło, w izbie było parno i duszno. Gdy się nachylił nad stołem, a, jako chłop wysoki, bardzo zgiąć się musiał, żyły na czole i na skroniach wystąpiły mu, jak buty, twarz nabrała koloru cegły, z czoła krople potu, niby ziarna grochu, spadały na papier.

— Acanowi, panie Walenty, ciężko jest — zauważył Jukiel.

— Gorąco!

— Nu, z rewersem nie można czekać do zimy.

— Pomaleńku napiszę.

— Ja acanowi co powiem, panie Walenty: na co się pan ma zrywać i męczyć? Tu jeden żydek przyjdzie. On bardzo lekki do pióra jest, w jednej minucie napisze i drogo nie weźmie. Porządny chłopak, da mu pan cokolwiek za fatygę i będzie kontent.

— Oho! jeszcze będę żydziakowi kieszenie napychał! Dostyć mnie już kosztujecie!

— Ale niechno pan Walenty uważa, że pana Walentego pisanie długo zabawi, a my nie mamy czas. Dziś jarmark, dziś godzina więcej warta, niż zwyczajne trzy dni. Ja poślę po żydka.



— Czekać, czekać! — odpowiedział Waszątek i zdjął przedewszystkiem z szyi czerwony szalik wełniany, który pomimo gorąca miał na sobie, następnie zrzucił surdut, kamizelkę, rękawy od koszuli zawinął po łokcie i tak do pisania zasiadł.

— No, teraz — rzekł — pójdzie, jak po mydle, zobaczysz.

Szło oporem.

Ręka mokra przylepiała się do papieru, muchy, obsiadające łysinę, przeszkadzały zebrać myśli, pióro wyślizgiwało się z ręki...

Wielkimi literami wypisał szlachcic: „Ja niżej podpisany własnoręcznie, Walenty Waszątek...” Znowu umoczył pióro w kałamarzu, ale umoczył zanadto i ogromny kleks rozlał się po papierze.

— No, co teraz będzie? — spytał Jukiel.

— Ut! gorąco piekielnie; siedję, jak w piecu, ciężko! Niech będzie co chce, posyłaj po onego żydziaka.

Chaskiel pobiegł i pisarza z sobą przyprowadził!

Ilzył to żydek blady, jak kreda, szczupły, w kapocie nieco krótszej, niż czarnoblocka moda wymagała, z oczami zapadłymi, piersią zakłęśła, suchotnik.

— To ty, żydku, taki mechanik od pióra? — zapytał Waszątek.

— Ja. Co ma być?

— Napiszesz rewera, a ja podpiszę.

— A co ma być?

— Rewer, powiadam ci. Czyś głuchy.

— Słyszę, ale chcę wiedzieć, co ma być?

— On się pytu, co za to dostanie — wtrącił Jukiel.

— A cóż ty chcesz?

— Rubla.

Żebyś ty zmarniał! Rubla za głupi rewera?

— Co ja winien, że wasan chce napisać głupi rewera?

— Chcę, bo biorę pieniądze.

— Ja też chcę brać pieniądze.

— Panie Walenty, nie bałamućmy! — prosił Jukiel — to jest jarmark, mamy jeszcze duto interesów do zrobienia.

Po krótkim targu żydek dał się przekonać, że za napisanie rewera żąda trochę za drogo i poprzestał na dwudziestu groszach, które mu Walenty zaraz doręczył. Następnie skrypt podpisał, pieniądze do kieszeni zgarnął i spokojny, że już będzie miał o czym z sąsiadem taniec rozpocząć, udał się na miasto, aby sprawunki załatwić.

Gdy Waszątek pożyczał pieniędzy „pod J.abędziem”, sąsiad jego i przeciwnik zarazem uczynił to samo „pod Kogutem”. Tak więc obadwaj byli przygotowani do procesu o miedzę.

Dodawało im to fantazji nadzwyczajnej. Myny mieli zawadjackie, czapki zbakierowane, chód wprawdzie niepewny, ale nadzwyczaj śmiały. Ludzie ustępowali im z drogi...

Wszystko na świecie musi mieć swój koniec, więc też i jarmark się skończył!

Jak rano szeregi fur pięły się różnemi dróż

kami na wzgórzu Czarnobłockie, tak o zachodzie słońca znowuż temi samymi drózkami staczały się na dół, każda jakąś cząstkę z siebie w Czarnembłocie zostawiwszy.

W miasteczku gwar się uciszył, natomiast na drogach było głośno. Niejeden wieśniak, podochociwszy sobie śpiewał na cały głos; inni klócili się, inni rozmawiali.

O północy, a nawet jeszcze po północy, słychać było turkot wozów i głosy zapóźnionych jarmarkowiczów, jakby na stwierdzenie tej prawdy, że droga na jarmark jest znacznie krótszą, aniżeli droga z jarmarku...

Może komu dziwnem się to wyda, ale tak jest, a przyczyny różnicy dwóch zupełnie jednakowych i równych dróg są następujące: na jarmark człowiek jedzie rano, a z jarmarku wraca wieczorem; na jarmark jedzie trzeźwy, a z jarmarku podcięty; na jarmark śpieszy się i nie wstępuje do karczemu przydrożnych, z jarmarku nie ma potrzeby się spieszyć i może wstępować, gdzie zechce. Nikt mu też nie broDi nocować w rowie przydrożnym, lub znaleźć sobie inny na świeżem powietrzu przytułek...

Ma się rozumieć, że jest tu mowa o ludziach, co szkłem się bawić lubią, bo dla trzeźwych droga z jarmarku i droga na jarmark jednakowo jest długa, a czas zawsze jednakowo drogi.

Waszązek prawie ostatni opuścił miasteczko, gdyż, po załatwieniu interesu z żydami i kupieniu kilku drobnych sprawunków, powrócił jeszcze pod „Łabędzia”, gdzie zabawił się w kompanji, oczy

wicie przy butelce. Mojsie Fisz stawiał tlaszkę za flaszką, że zaś samo piwo Waszązkowi i jego towarzyszom wydawało się za lekkie, dolewali więc do szklanek araku i to im ogromnie smakowało.

Przy gawędzie i butelce czas prędko schodzi, to też, gdy się przyjaciele rozstali i gdy Waszązek dosiadł swej szkapy, było późno już — może jedenasta w nocy. Dokładnie nie mógł Waszązek tego nawet po gwiazdach wymiarkować, gdyż po pijanemu zdawało mu się, że te jasne światelka rozruszały się na wysokościach i że kręcą się po niebie, jak żydzi na jarmarku. Chociaż Waszązek miał wóz kuty i litry wyplatane, że wyglądał on zdaleka jak bryczka, jednak na kołach jeździć nie lubił i najczęściej podróżował wierzchem, na starej gniadej kobyle.

Była to szkapa własnego chowu Waszązka, znała swego pana i słuchała go, jak pies. Nie sprzedałby jej nawet za duże pieniądze, bo tei było to bydlatko wielce mądre i na wszystkie sposoby wypraktykowane,

Waszązek umiał cenić jej przymioty i wiedział, że Lepszej szkapiny dla siebie nie znajdzie, istotnie, była ona jakby stworzona dla niego.

Do drogi tak była wypraktykowana i widząca, że czy w zaprzęgu, czy pod wierzchem, wśród nocy najciemniejszej stapała pewno i śmiało, jakby w samo południe. Waszązek mógł spać na wozie doskonale, gdyż pewny był, że szkapa nie zabłądzi i że go do rowu nie wrzuci.

Przed sądem gminnym zawsze stawała, jakby

wiedząc, że jej pan ma ciągle do tego domu interesa; zatrzymywała się również przed każdą karczmą. Jeżeli Waszązek zeszedł z wozu na rozgrzewkę, czekała spokojnie, dopóki nie wyjdzie; jeżeli zaś nie zsiadał i spał, stała przez jakąś chwilę i wlokła się w dalszą drogę.

Do pastwiska bydłatko było jedyne: zawsze znalazła drogę do cudzej koniczyny lub owsa, ale za najmniejszym szmerem, dosłyszawszy zdaleka odgłos kroków ludzkich, wynosiła się pocichutku na swoje miejsce i szczypała chudą, ale Waszązkową trawkę, bez obawy, że jej kto jakąś przykrość, wyrządzi...

Nie było wypadku, żeby ją złapauo w szkodzie, a przecież wyglądała nieźle, chociaż jej skąpy Waszązek cukierkami nie pasł.

Na noclegach i popasach, w cudzych stajniach i zajazdach, umiała się doskonale zdjąć z uźdźienicy i powyjadać obrok innym koniom, a sprawowała się przytem tak cicho i spokojnie, że żaden furman się nie obudził i, co się dzieje, nie spostrzegł.

Pożywiwszy się, wracała na swoje miejsce i albo kładła się na słomie, albo też stała spokojnie, ze łbem nisko do samej ziemi spuszczonej, iakby jej życie obrzydło.

Ogromnie zaradne bydłatko!

Potulna i spokojna wobec Waszązka, Waszązkowej i małych Waszązczaków, które najbezpieczniej na niej jeździły, względem obcych ludzi była niezmiernie harda i nieprzystępna.

Gdy się do niej kto zbliża}, tuliła uszy i wyszczerzała ogromne żółte zęby, z wyrazem wielkiego gniewu. Iaz w nocy, gdy złodziej zakradł się do stajni i chciał ją uprowadzić, tak go pogryzła i kopytami potłukła, że przez kilka tygodni leżał i ledwie się wylizał, tembardziej, że i Waszązek, którego hałas w stajni przebudził, nakładł mu także porządnie.

Od tej pory już się złodzieje nie kusili o szkapę.

Ale wszystkie te przymioty, które wykazywała, jako szkapa zaprzężna w drodze, zaradna w cudzej stajni i na pastwisku, potulna w domu, złośliwa wobec obcych, były niczem z przymiotami jej, jako wierzebówki.

Zdaje się że Waszązek część własnej fantazji jej odstąpił, bo gdy ją nieco rękawem wygładził, stare siodlisko na nią włożył, nabierała takiej zawadjackiej miny i fantazji, że trudno było ją poznać.

Od Waszązkowej posiadzialności, do figury za wioską niosła łeb wysoko, potem spuszczała go znowuż, ale niechno do innej wioski wchodziła, znów była fantazja i okrutna mina.

I Waszązek się wtedy pod bok podpierał, czapkę na bakier przekręcał i paradował tak, aż ludzie przystawali, mówiąc:

— Grosiwa wiele nie ma, ale miniasty od stu djabłów!

Z iluż to przygód niedobrych wyratowała Waszązka wierna szkapa!

Szlachciura gorący był, do zaczepki skory, do bójkii jeszcze pędzyszy, to też trafiało się czasem, zwłaszcza gdy się na kilku rzucił, że musiał zmykać, aby kości ratować, W takich zdarzeniach, skoro tylko szkapiny swej dopadł, był bezpieczny zupełnie. Nieraz gonili go i na dobrych koniach, ale jrdziej tam! Szkapą rwała jak wichur, grudy ziemi wyrzucając zpod kopyt.

Waszązek wówczas pochylał się tak, że jego konopiaste wąsiska splatały się niemal z rozwianą, grzywą kobyły, a on wykrzykiwał co chwila:

— Hulaj, starucha!

I starucha hulala, hulala bez pamięci. Mogło się zdawać, że ją szal jaki ogarnął. Rowy, wyrwy, zagony nic nie znaczyły dla niej; pędziła, jak wichur, dysząc ciężko, pędziła dotąd, dopóki tylko mogła.

Potem zwalniała bieg stopniowo, uspakajała się, aż wreszcie, ciężko robiąc bokami, stawała.

Wówczas Waszązek napominał ją łagodnie i ostrzegał:

— A sprobójno i ochwać, się, starucho, obaczysz, że zaraz żydowi cię sprzedam!

Nie ochwaciła się, zdrowie miała żelazne i wytrwałość niespożyta.

Pocziwe bydlę. Siedmiuro źrebiąt miał od niej Waszązek, a wszystkie pięknie się wychowały i za dobre pieniądze do ludzi poszły. Pamięta je Waszązek dobrze: wszystkie były gniade, jako i matka, łyse jako i matka, z pończochą na lewej nodze zadniej, też jako i matka.

Jeden tylko był odmieniec i miał łeb jak latarnię, całkiem biały, ale swoją drogą natura w nim była pocziwa; do roboty nie zanadto ciekawy, do żarcia jedyny i przez to właśnie zawsze gładki i gnatami nie świeci. Doskonały koń! kupił go ksiądz z Zimnej Woli i nie wstydzi się nim jeździć w pojedynkę, chociaż osoba znaczna i kanonik.

Starucha wiedziała zawsze, kiedy Waszązek jest trzeźwy, a kiedy pijany, bo się to szlachcicowi, odpuść mu Panie, zdarzało dość często.

Gdy trzeźwy był, szła pod nim równo i śmiało; gdy pijany, dreptała drobno, podbiegając bokiem to na prawo, to na lewo, stosownie do tego. w którą stronę się szlachciura przechylał i tym sposobem podtrzymywała, go na sobie, aby nie spadł.

Tym razem Waszązek był dobrze cięty, ale nic drzemał, bo mu sprawa na to nie pozwalała. Myślał o niej, miał już potrzebne pieniądze i rozkoszował się przedsmakiem tańca, jaki z sąsiadem rozpocznie.

Droga ciągnęła się przez niewielką groblę, przerzynał ją rów niegłęboki, a na nim rzucony był mostek z balików, nawpół spróchniałych, który trzyma! się ledwie na swej podstawie. Niebo zaciągnęło się chmurami, zasłoniło złociste gwiazdki i ziemia tonęła w ciemnościach.

Ważnie do mostku dojeżdżał Waszązek, a tak się myślą w swoją uciechę spodziewaną zagłębił, że aż głośno mówić zaczął:

— Będę tańcował — rzekł — o! będę tańcował!

Nagle, niewiadomo skąd, w ciemności nocnej, odezwał się głos gruby, ochrypły, jakby zpod ziemi wychodzący:

— Łzesz, bo nie będziesz tańcował.

Szkapa stanęła, jak wryta, szlachcic na razie pojąć nie mógł, co się stało, kto do niego przemawia. Uczuł, że mu się jakoś zimno robi, ale przez wrodzonego ducha przekory krzyknął:

— Otoż bede!

— Nie będziesz! — odezwało się znowuż zpod ziemi.

— Któs ty? — zawoła! Wasążek, czując, że mu się czapka na głowie podnosi.

Zamiast odpowiedzi rozległ się jakiś śmiech dziwny, jakby nieludzki, a jednocześnie ogromna jakaś figura ukazała się tuż przy mostku.

Musiała w niej być coś osobliwego i nadzwyczajnego, bo szkapa drgnęła i rzuciła się w bok tak nagle, że Wasążek o mało z siodła nie wyleciał.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał i uderzył kobyłę z całej siły prętem.

Starucha chrapnęła tylko, rzuciła się naprzód, jak szalona, nie drogą, ale przez podorywkę, przez ściernie, przez łąkę; pędziła jak wicher, jakby przez, wilki ścigana.

Szlachcic przynaglił ją jeszcze do biegu.

Tajemnicza postać wybuchnęła śmiechem.

— Dobrze ci tak! — rzekła — jałmużny ubogiemu nie dałeś i jeszcześ mnie zdyfamował brzyd

kiem słowem! Mnie dyfamować, mnie, Błażeja Pokrzywę! Mnie, którego na dziesięć parafji wokoło dziadowskim królem zowią! Ja na jarmarkach pierwszy, ja na odpustach pierwszy, ja na Zaduszkach pierwszy; ja sto pieśni znam dziadowskich, a jedna nad drugą dziwniejsza; ja dziesięć głosów różnych dobyć potrafię, a jeden nad drugi silniejszy; ja wiem, co przede dworem zaśpiewać, co przed chałupą, co przed kościołem, co przy cmentarzu, a co na jarmarku pasuje. Ja nie przybłąda z końca świata, ani nie kaleka z wypadku, ani chleba s biedy proszący, — ja dziad z dr.iada pradziada, rodzony; mój ojciec dziadem był, a matka też z dziadowskiego rodu: jeszcze panną była, B już za babę chodziła po świecie!

Odsapnął i usiadł na mostku, zpod którego był wyszedł. Z gniewu widocznie jeść mu się zachciało. Zapukał rękę w sakwę i szukać zaczął, mówiąc do siebie pół głosem:

— Naród jest miłosierny, daje chleb i trojaki... Insza baba i jajko do garści wciśnię i okrasy nie pożałuje, a za ziele dobre od słabości, za zamówienie, za odczynienie, za każdą przysługę zapłaci. Dobry i miłosierny naród, jałmużnę daje i ubogich wspiera. Trafi się i taki Wasążek, coby i psu z gardła wyciągnął, dusza zatracona, ale rzadko...

Brzęknęło coś w torbie, dasza z gorzałką zapewne: dziad ją do ust chciwie przyłożył i ciągnął długo, potem rozmaite wiktuały wydobywał i jadł powoli.

Świt Błażeja zastał przy tej czynności. Cienie nocy przeredzać się zaczęły i pierzchać; można już było widzieć drogę i mostek na niej, przysadziście grusze polne, co się rozsiadły na miedzach, a w oddaleniu kilkanaście wysokich topoli, które wyglądały niby smukłe wieżyczki. Iziad podniósł się.

Był to chłop dużego wzrostu, barczysty, z miny raczej na zbójcę, niż na ubogiego żebraka — kalekę wyglądał. Piwne, błyszczące oczy groźnie zpod brwi krzaczastych, czarnych, jak smoła, patrzyły. Długie włosy, szpakowate, spadały mu na ramiona, broda aż na piersi.

Utykał na prawą nogę i o kuli chodził, właściwie jednak nie była mu ona potrzebna, chyba dla dziadowskiej ozdoby.

Gdy go nikt nie widział, Błażej niósł tę kulę pod pachą lub na ramieniu.

Oprócz kuli miał i kij dziadowski długi, sękaty, zakrzywiony w grubszym końcu, a w cieńszym dobrze okuty, powyżej okucia zaś obciągnięty skórką z jeża. Z takim kosztur w rękę mógł między najbardziej złemi psami przechodzić; kolczasta skórka potrafiła je utrzymać w odległości. ZreBztą ów kosztur potrzebny był raczej dla zachowania dziadowskiego zwyczaju, aniżeli dla obrony. Błażej Pokrzywa tak był dobrze w całej okolicy znany, że i psy wioskowe czekały na niego jedynie ze zwyczajem.

Szczeakały, gdy szedł, a gdy usiadł przed którą chałupą dla wypoczynku lub pogawędki, gdy świeży, pachnący jeszcze chleb zajadał, to najza

wzięszy Burek, albo Łysek gospodarski siedział przy nim spokojnie, patrzył mu w oczy, a nawet łąsił się do niego.

Nie przeszkadzało mu to później z ujadaniem groznym odprowadzić dziada aż do następnej chałupy.

Błażej, oprócz kosztura z jeżową skórką, miał skorupkę żółwiową, w którą, gdy pod kościołem siedział, zbierał grosze; miał dwie sakwy płócienne, łątane gesto, chodaki wykrzywione i dziurawi, sukmanę starą, jak świat; przepasany był pasem rzemiennym, wytartym aż do białości.

Na szyi nosił różaniec z wielkich drewnianych paciorków, zakończony krzyżem mosiężnym.

Błażej był to dziad, nie włóczęga bynajmniej, lecz osiadły na swoich własnych śmieciach. Mieszkał w Zimnej Woli, wsi kościelnej, gdzie miał niedaleko cmentarza własną lepiankę po ojcu.

Stała ona na gruncie dworskim, ale nikt dziada o tytuł własności nie pytał i używalności mu nie bronił.

Taki to był ów duch, który Wasążka i jego szkapę przestraszył.

Podjadłszy sobie na mostku, Błażej wstał i, nie śpiesząc się, poszedł drogą, potem skierował kroki na ścieżkę wydeptaną, co wiła się wśród pól, niby szara tasiemka; szedł z dobrą godzinę, aż doszedł do Olszanki, dość dużej wioski, w części należącej do włościan, a w części do drobnej szlachty zagonowej.

Można to było zaraz poznać na pierwsze wej

rzenie. Włościańskie domki w jednej linii przy drodze stały, szlacheckie porozrzucane na uboczu. Pierwsze były zwyczajne, bez żadnego przyozdobienia, drugie wszystkie z gankami na dwóch słupach, więcej na pańską modę. Chyliły się te ganki ze starości i zaniedbania, niejednen przekrzywił się, jak stara czapka na Wasążkowej łysinie, ale utrzymywano je przecież, bo taka z dawien dawna u zagonowej szlachty jest moda.

Błażej, wszedłszy do wsi, skierował swe kroki w ulicę, między włościańskie domostwa, przed każdą chałupą zatrzymywał się, "pochwalony" rzekł, pacierz odmówił, gospodarza i gospodynię dobrem słowem przywitał, dzieci jakim figlem rozśmieszył i wszędzie coś dostał, nie prosząc nawet.

Bo i na co? bez mówienia wiadomo, że od tego jest dziad, żeby mu co dać. Gospodarzy w tej wsi Błażej znał wszystkich, to też witano go, jak znajomego; częstokroć rady od niego żądano, gdy kto chorował, gdyż dziad na ziołach znał się dobrze, zbierał je i w swojej lepiance suszył.

Wszedłszy na podwórko Michała Rokity, ujrzał samego gospodarza, jak wóz do drogi szykował.

— Witajcie, Michale — rzekł — widzę, że w drogę się zbieracie.

— A toć...

— Daleko?

— Do gorzelni do Rudki.

— No, no. Cóż wam taka potrzeba wypadła?

— Po okowitę dla Chaskla.

— Musi wam dobrze płacić, bo to kawał drogi.

— Oho, on zapłaci!

— To pocóż jedziecie? Jabym powiedział: jedź sam, kiedy ci potrzeba.

— Wiecie wy, Błażeju, jedno, ja wiem drugie, a Chaskiel wie trzecie. Nie zawsze człowiek może powiedzieć, co myśli, nie zawsze może zrobić, co chce. Eh, inszemu psu lepiej na świecie! — dodał machnąwszy ręką niechętnie.

— Nie mówcie tak, Michale. Bóg miłosierny przemieni na lepsze

Rokita nic nie odrzekł, wóz smarował w milczeniu, dziad pozostał jeszcze chwilę, ale, widząc, że gospodarz do rozmowy chęci nie ma, odszedł.

Przy studni, opodal od chałupy Rokity, spotkał dziewczynę z konewkami. Latina była dziewczucha, zgrabna, wesoła, modre oczy patrzyły figlarnie, na ustach, jak świeże wiśnie czerwonych, uśmiech igrał. Biegła śpiewając.

— Dzień dobry, Franusiu! — rzeki dziad.

— Dzień dobry.

— Po wodę?

— Tez pytacie... po cóżbym szła do studni.

— Ano prawda. Ojciec w domu?

— Gdzie zaś! Tatusz pojechali daleko...

— Do Kopytkowa?

— Akurat zgadliście! Do samej Warszawy pojechali — po towar.

— Oho!...

— A ma się rozumieć. Tatusz sklep na to trzy

mają, żeby we wsi wygoda była; ludzie kupują, nawet z drugich wiosek zajeżdżają, więc tatuś chciał, żeby jeszcze więcej towaru mieć i pojechali.

— I nie boi się ojciec?

— Czego?

— Choćby Chaskla... jemu nie podoba się ta rzecz.

— Tatuś powiedzieli, że choć w lesie wilk, to przecież ludzie do lasu chodzą. — Ale ja się z wami zagadałam, a nie mam czasu. Bądźcie zdrowi.

— Nie tak zaraz. Jedno słówkobył rzeki, toby Franusia miała czas słuchać.

— A jakież to słówko?

— Wczoraj w Czarnemłocie na jarmarku byłam.

— Wielka nowina! Toć wy po wszystkich jarmarkach, po wszystkich odpustach chodzicie.

— Tak, ale ja tam różnych ludzi widziałam.

— Jarmark bez ludzi nie bywa.

— I to prawda, ale nie wszyscy z jarmarku ukłony dla Franusi przysyłają.

— Kto, kto? mój Błażeju.

— Sobieński Kajetan z Brzozówki i syn jego Piotruś.

— Piotruś! — zawołała dziewczyna, pokrasniawszy zaraz, jak kwiat makowy — a onby się skąd wziął? Eh! Błażej tylko tak mówi... Piotruś przecie w Warszawie, w nauce.

— Nie w Warszawie, ale w domu już, bo naukę swoją ukończył. Franusie kazał pozdrowić, po

wiedział, że ładny dzień w Olszance będzie... i byłby już, tylko że czasu nie mają...

— Ale...

— Prawdziwie nie mają. Z Piotrusiem przyjechało dwóch młodych rzemieślników, jeden stelmach, drugi podobno koszykarz, poprzywozili narzędzia różne i statki. Kajetan w Czarnemłocie majstrów godził, mają zaraz do roboty się brać; stawiać kuźnię, ale nie taką, jak zwyczajne na wsi, tylko nowomodną, dużą. Nie znawca ja na te rzeczy, mówię, com słyszał, pokłon oddaję, a gdy Kajetan z Piotrkim tu przybędą, to się Franusia od nich najlepiej dowie o wszystkim. Ja już idę do domu

— Pewnie Błażej głodny — rzekła z uśmiechem dziewczyna.

— Dziad zawsze głodny... takie jego prawo.

— To wstąpcie do nas.

— Kiedy indziej; na drugi raz Franusiu; teraz muszę już iść.

Dziewczyna wzięła konewki i pędem pobiegła do domu.

Dom Bednarczyka większy był, niż inne chaty gospodarskie; różnił się od nich wielkością i wysokością okien. Po jednej stronie sieni znajdowało się mieszkanie, po drugiej sklep, urządzone porządnie, z półkami na towary, z ładą, czyli stołem sklepowym. W jednym kącie stała waga dziesiętna; w podłodze zrobione były drzwi, przez które po schodach wchodziło się do piwnicy.



Franusia wbiegła do mieszkania, matka jej krzątała się właśnie przy kominie.

— Ach, matusiu,—zawołała uradowana dziewczyna — wie matusia? Piotrek Sobieński powrócił do domu.

— A ty skąd wiesz?

— Błazej dziad mówił...

— Cóż wielkiego? Powrócił, to powrócił.

— A Ie, matusiu, stelmacha przywieźli, koszykarza przywieźli, kuźnie budują. Podobno jakieś osobliwe bryczki mają wyrabiać.

— Wiem. Oddawna Kajetan o tem myślał i z twoim ojcem i z innymi gospodarzami narady mieli. Teraz nastają inne czasy, moje dziecko, nietylko na role patrzeć trzeba i na zboże, co się na niej urodzi, bo roli niewiele, a za zboże marnie płacą — to też różnemi sposobami należy zabiegać, aby mieć z czego żyć.

Franusia przerwała matce, pytając:

— Matusiu, pamiętacie, że w Zimnowoli odpust?

— Pamiętam.

— Pojedziemy, prawda?

— Nie wiadomo.

— Oj, matusiu, jedźmy, jedźmy koniecznie — albo pójdźmy, jeżeli koni wam żal.

— Zobaczymy, — odrzekła matka.

Dziewczyna zaczęła krzątać się po izbie, potem wybiegła do ogrodu, ale robota jej nie szła. Myślała tylko o Piotрку: jak on wygląda, czy się odmienił w Warszawie, czy nie zapomniał?

## ROZDZIAŁ DRUGI.

Mieszkał w Olszance pewien żydek, nazwiskiem Chaskiel Wiatrak. Znano go dobrze, gdyż z okolicznych wiosek u wielu gospodarzy, czy to z włościan, czy z drobnej szlachty miał należności pieniężne.

Stało się to w ciągu dziesięciu lat, u tak jakoś cicho, gładko i delikatnie, że sami dłużnicy nie mogli zmiarkować, kiedy i jak znaleźli się w Chasklowej kieszeni.

W tem właśnie sztuka.

Chaskiel dla wszystkich swoich dłużników był bardzo uprzejmy, serce miał, jak z wosku, nie dokuczał, nie egzekwował, chyba takich tylko, o których wiedział, że już są na dokończeniu.

Takich dusił bez miłosierdzia i zabierał im wszystkie resztki, przyczem jednak bardzo ubolewał, prawie że płakał.

Mówił, że czyni to z konieczności, że musi ratować swoje mienie, swój grosz krwawo zapracowany, — no a kto ratuje z płonącego budynku sprzęt jaki, to nie bierze go delikatnie i przez rękawiczki, ale chwyta go silnie, aby go tylko od spaleuia ocalić.

Wszakże, kto miał jeszcze cokolwiek, kto wreszcie był zdrow, zdolny do zarobkowania, mógł żyć z Chasklem Wiatrakiem, jak z bratem.

Chaskiel lubił mówić o sobie, że jest złoty ży

dek, że z nim wszystko można, eo kto chce, na wszystkie sposoby.

Naprzykład z takim Michałem Rokitą. Ktoby z tym człowiekiem wytrzymał? Chuskiel wytrzymuje. Kto inny jużby go dziesięć razy zlicytował i zniszczył. Chuskiel nie niszczy. On woli zgodnie, dobrze, poczciwie, on nie cierpi procesów i kłótni i cierpliwie czeka do ostatniej chwili, dopóki Rokita jeszcze coś wart.

Nie jest wcale przyjemny stosunek z takim ordynarnym człowiekiem, jak Rokita.

Trzeba być bardzo odważnym, żeby się móżdź znajdować w bliskości jego pięści. Zaciśnięta kurczowo, wcale ona do ludzkiej ręki podobną nie jest, ale wygląda raczej, jak młot, złożony z żył, skóry i sęków dębowych.

Chuskiel nie lęka się bynajmniej tej łapy żelaznej, ani potężnej, barczystej postaci Rokity, ani jego oczu ponurych, patrzących groźnie zpod brwi krzaczastych, czarnych. Nie obawia się też głosu i przekleństw, które olbrzym miota, zwłaszcza, gdy mu wódka w głowie zaszumi.

— Nie róbcie głupstwa, Michale, dajcie spokój!

Tyle tylko mówi Chuskiel, a barczysty chłop rzeczywiście daje spokój i nie robi głupstwa.

Jest coś osobliwego w stosunku tych dwóch ludzi, tak bardzo niepodobnych do siebie.

Rokita to sama siła, chwilami zda się niepomahowana; Chuskiel Wiatrak nie posiada siły, ale ma niezmierny spryt.

Jest on dość wysoki, ale szczupły, ręce m chude i cienkie, palce długie, suche, giętke, przypominają, szpony jastrzębia, twarz blada, kości policzkowe wystające, nos duży, garbaty. Oblicze jego okala zarost żółtawy, także gęste i kręjące się włosy pokrywają mu głowę. Oczy bystre, biegające nieustannie, mają kolor dziwny, bo niby szary, a pod światło zielonawy, jak woda rzeczki, której brzegi są gęsto obsadzone wierzbina.

Oczy Chaskla są duże, o źrenicach nieztnier nie bystrych. Gdy słońce świeci, kurczą się one i zmniejszają do rozmiarów drobnego punkciku, ale przy słabem świetle rozszerzają się ogromnie i błyszczą, niby ślepie sowie, albo kocie.

Możnaby mniemać, że źrenice Chaskla posiadają własność czarowania llokity.

Stosunek tych dwóch ludzi trwa mniej więcej od lat dziesięciu, a zawiązany został od czasu osiedlenia się Chaskla we wsi.

Był to wówczas bardzo biedny i pokorny żydek ten Chuskiel; właśnie wchodził do wsi, a wchodził, jak większa część wiejskich żydków, przez ogród, mały ogród owocowy, z którego miał płacić dwadzieścia rubli za dzierżawę.

Młody Chuskiel był nadzwyczaj pokorny i usłużny dla drobnej szlachty, dla włościan, wszystkim się nisko kłaniał, a w kieszeni swej długiej kapoty miał istny sklepik.

Kobiety patrzyły ua niego, jak na czarodzieja, gdyż na każde zawołanie wydobywał z kiesze

ni igły, szpilki, nici, wstążki, tasiemki, guziki, co kto chciał.

— Ja to mam, aby ludziom wygodzie — mówił.

Jeżeli sprzedał babie igłę, to wręcz mówił, że nie chce pieniędzy, będzie zadowolony, jeżeli dostanie jajko... i byli zadowoleni oboje: i Chaskiel i baba, nawet więcej, niż Chaskiel, bo on tylko jajkiem, a ona nową igłą i przeświadczeniem, że nabyła ją nienaruszywszy gotowizny, tak trudnej do zebrania.

Nietylko kobiecie towary znajdowały się w przepaścistych kieszeniach Chaskla: umiał on z nich wydobyć w razie potrzeby paczkę tytoniu, ołówek tabaki, kilka papierosów, cygaro, a co najważniejsza, flaszkę mocnej, palącej jak ogień, wódki dla chłopów i flaszkę czerwonej, a słodkiej jak cukier, dla kobiet.

I to wszystko można było mieć od Chaskla, nie wydawszy ani złamanego grosza, za głupstwo: za jajko, za motek przędzy, za kawałek płótna, za kurę, kaczkę, za garniec zboża, bo Chaskiel nie wybierał: brał, co mu dawano, prawie bez targu.

Po tygodniowym pobycie na wsi, Chaskiel udał się do Michała Rokity, aby wynająć od niego furmankę do miasteczka na targ, i to był początek zawiązania stosunków, które się potem tak ślicznie zaplątały i zamotały.

Rokita zaprzągnął konia do wozu i zajechał przed ogród po Chaskla i po jego towar. Był koszyk drobnego agrestu i koszyk niedojrzałych małgorza

tek, a przytem duży kosz jaj, sporo oselek masła, kilkanaście kurcząt, troche ziarna w dwóch workach, co świadczyło, że kieszeń Chaskla miała większe obroty, niż ogród.

W Czarnemblocie Rokita chciał zrobić jakiś sprawunek, ale pieniędzy nie miał. Chaskiel mu najchętniej usłużył.

Pożyczył mu trzy ruble w gotowiznie, i jak mu pożyczył? Na słowo, bez kwitka, bez żadnej karteczki i jeszcze zafundował gorzalki.

Rokita mówił do sąsiada, którego na targu spotkał:

— Już żyd na podziw, kumie; we wsi z niego wygoda osobliwa, o czem kto pomyśli, to u niego jest i bez pieniędzy nawet, — a mnie dzisiaj w potrzebie trzema rublami wygodził, choć eo nawet nie prosiłem. Godny żyd na wszystkie cztery boki. Inni w takiej przygodzie gadają o procencie—on nie; inni zaraz każą kwitki pisać—on nie. Sprawiedliwie wam, kumie, powiadam, że niema takiego drugiego żyda na świecie.

Kum kiwał głową i dziwił się; potem poszli z Rokitą na wódkę; potem sen ich zmorzył, pokładli się więc na wozach i spali aż do wieczora.

Jak roślina na dobrym, żyznym gruncie zakorzenia się coraz silniej, rozkrzewia bujnie, nabiera sił żywotnych i mocy, tak Chaskiel Wiatrak zakorzenił się doskonale w Olszance. Grunt tej wioski sprzyjający był dla niego.

Gdy jesień nadeszła i w ogrodzie nic nie zostało do obrywania, Chaskiel nie powrócił już do

miasta, lecz pozostał we wsi. Pachciarz olszaniecki, Mosiek Oko, człowiek stary i zniedołężniały, a Chaskla blizki krewny, uczynił go swoim współnikiem.

Mieszkał sobie tedy Chaskiel w Olszance spokojnie, chłopom i babom dogadzał, wszystkim się kłaniał nisko, dla każdego był usłużny niezmiernie, kredytu udzielał — i powoli ludność Olszanki wsuwała się do jego kieszeni.

Działo się to nieznacznie, gładko, tak, że niejeden sam nawet nie spostrzegł, kiedy i jak stawał się dłużnikiem uprzejmego żydka.

Chaskiel, gdy się w Olszance dobrze osiedził i trochę większy kapitał do swych obrotów pozyskał, nie porzucając drobnych interesów, zaczął się puszczać na większe. Bywały zdarzenia, że kupował krowę, lub kilka korcy zboża, bywały też wypadki, że pożyczał szlachcie zagonowej i chłopom po trzydzieści i po pięćdziesiąt rubli. Trzeba przyznać, że nie było grzeczniejszego, uprzejmiejszego i bardziej wyrozumiałego wierzyciela. O procent wcale nie dbał; kto chciał dać gotówką, mógł dać gotówką, kto nie, kartoflami i owsem; kto nie miał w danej chwili ani gotówki, ani kartofli, mógł jeszcze tańszym kosztem i bez żadnego kłopotu przypisać procent do kapitału i także miał spokój. Takim sposobem dłużnik prawie nie wiedział, że ma dług i żył sobie spokojnie. Stosunek Chaskla z Rokitą był prawie przyjacielski: jak się zaczęło od owych trzech rubli, po

zyczonych tak chętnie, uprzejmie i bez żądania

rewersu w Gzarnembtocie, tak trwało ciągle, bez przerwy. Rokita trochę pił, trochę gotówki brał, trochę oddawał, to znów dopisywał i znów oddawał, pieniędzmi lub ziarnem, odrabiał furmankami, a rachunek trwał zawsze i zwiększał się stale bez końca.

Z biegiem czasu, po dziesięciu latach szczęśliwego przemieszkiwania w Olszance, Chaskiel trochę ociężał; nie był już taki kłaniający się i usługowy, jak dawniej, w drobniejszych interesach wyręczał się żoną i dziećmi, nawet powierzchowność jego uległa pewnej zmianie: cokolwiek zmęźniał i spowaźniał.

W tym to czasie, po dziesięciu latach stosunku i znajomości, dla Rokity zaczął się robić obojętnym, a czasem nawet i cierpkim. Chaskiel znał się nie tylko na gęsiach, mleku, skórkach zajęczych, wódce i tym podobnych towarach, ale był także wielkim znawcą ludzi i każdego umiał najdokładniej ocenić ile wart.

Rokita był chłop dobrej ceny. Miał własne gospodarstwo, parę koni, kilka sztuk bydła, a przytem odznaczał się niesłychaną siłą i pracowitością. Czasem się upijał, ale gdy wziął się do kosy, cepów, lub siekiery, robota paliła mu się w rękę. To także Chaskiel zauważył i policzył; dla tej zalety dał Rokicie kredyt, ale kredyt ten był już na wyczerpaniu i Chaskiel zaczynał trochę głową kręcić, co nie jest bynajmniej dobrym znakiem; kilkakrotnie zapytywał Rokitę, gdzie pieniądze podziewa i czy je w ziemię zakopuje?

— Żyby ciebie tak w ziemię zakopali — mruknął ponuro Rokita.

— Fe! fe! dajcie pokój z takim gadaniem. Ja was pytam grzecznie, a wy zaraz ze słowem co paskudne jest, fe!

— To nie gadać, że pieniądze zakopuję, skoro mi na chleb braknie.

— Mnie to dziwno! Czy nie mieliście zboża?

— Miałem, alem je wam oddał; przy obróbce drzewa w lesie i przy wywózce zarobiłem piękny grosz, alem go wam też oddał; uchowało się troje cieląt i te wam oddałem... Skądże mam co mieć? Nie będę chyba kradł albo rozbijał po drogach!

— Wy dziwny człowiek jesteście, Michale.

— A juści! Nie dziwny, jeno biedny i obdarty...

— Nie grzeszcie. Macie gospodarstwo, macie konie, macie zarobki, ile chcecie i ile możecie wykonać. Co wam brakuje?

— Toć ty wiesz dobrze, bo wszystko w twoje łapy idzie.

— Fe! Michale, fe! Wy jesteście człowiek niewdzięczny, ja się po was nigdy nie spodziewałem takiego paskudnego charakteru, takiej złej pamięci. Kto was w każdej potrzebie ratuje? Kto wam dopomaga? Do kogo wy pójdziecie, gdy macie ochotę się napić, gdy wam kilka rubli potrzeba? Do kogo? — do Chaskła! A potem powiadacie, że wam Chaskiel wszystko zabiera. On nie zabiera, on tylko odbiera i to nie wszystko. Nie warto ro

bić ludziom dogodności... A po co wy do mnie dzisiaj przyszli? Pewnie po pieniądze.

— A juści, że tak, bo mi na podatek trzeba, bo mi się wóz popsuł i mam go do kowala oddać, bo kobieta powiada, że jej soli brakuje.

Wy myślicie, że ja tego nie wiem? Oj! oj! Wam na podatek potrzeba osiem rubli, ale macie jeszcze tydzień czasu; żelaza do waszego wozu trzeba sześćdziesiąt funtów.

— Kowal mówił, że najmniej siedmdziesiąt.

— Wy nie słuchajcie kowala, wy słuchajcie mnie, a o sól nie frasujcie się: u mnie jest cała beczka. Ja mogę na wszystko poradzić, ale nic gadajcie, że was niszczę.

— Jać nie powiadam, tylko sobie myślę, gdzie mnie się wszystko podziewa? Nibyć i stąd i stąd grosz siaki taki wpadnie i zaraz ucieknie i niema nic. W głowę zachodzę...

Chaskiel zrobił minę poważną i rękę na ramieniu chłopca położył.

— Wy nie myślcie dużo, Michale. — rzekł — bo myślenie, to nie gospodarski interes: wy pilnujcie swojej roboty, a jak zechcecie mieć pomyslenie, to połóżcie się trochę spać. To jest najlepsze lekarstwo. Ja wam z dobroci tak radzę.

— W zmartwieniu, to i zasnąć trudno.

— Oj! oj! Wypić dobry kielich gorzałki, to zaraz będzie doskonałe spanie. I wy zaśniecie i wasze myślenie zaśnie, a jak się wyśpicie, to będziecie mieli lepszą siłę do każdej roboty. Ja wam jeszcze ten raz wygodzę, ale pamiętajcie, że nie

długo już będę. mógł wam robić takie grzeczności.

— Dlaczego?

— Wyście mi już bardzo dużo winni; wy może sami nie wiecie ile. Trzeba raz zrobić porządek.

— Niby... jakże to porządek?

— Obrachować, co się należy i zapłacić.

— Skądże ja wam zapłacę, kiedy nie mam?

— Aj, macie, macie, Michale!

— Co?

— A grunt? Nie rachujecie gruntu? Takie porządne gospodarstwo, z dobrem zabudowaniem. Bardzo ładny majątek!

— Więc niby co? Co mój grunt ma do waszego długu?

— Wy się pytacie? Sprzedajcie grunt, a mnie zapłaćcie dług.

— A ja się gdzie podzieję, a dzieciom co zostawię?

— To mały frasunek. Taki człowiek jak wy, Michale, to się wszędzie podzieje. Was na każdy folwark z wielką chęcią wezmą, bo wy dobry robotnik. Wy jesteście tyle warci, co dwa fernali, albo co dwa parobki, co trzy parobki! Wy możecie mieć ładną pensję, ładną ordynarję, porządną stancję w czworakach, możecie sobie żyć, jak A dzieci? Koniecznie dzieciom trzeba zostawiać grunt? Wcale nie koniecznie! ja moim dzieciom żadnego gruntu nie zostawię.

— Bo Chaskłowe dzieci żydowskie, a moje gospodarskie.

— To co? Gospodarskie też mogą być bez.

gruntu. Nie macie się o co frasować. Na świecie ludzi dużo, ale takich co mają grunt — niewielu. Ja wam mogę nastreczyć dobrego kupca.

— A jeśli ja nie zechcę sprzedać? Chaskiel wzruszył ramionami.

— Nie sprzedacie dobrowolnie, to ja podam do sądu i sąd sprzeda wasz grunt przez licytację.

— Tak?

— Takie prawo. Tymczasem wy sobie do głowy nie przypuszczajcie, Michale; wy możecie grunt nie sprzedawać i mnie dług oddać

— Skąd?

— Albo ja wiem? Możecie wyorać garnek złotych pieniędzy, znaleźć na drodze, pożyczyć od kogo. Czy to człowiek może wiedzieć, skąd szczęście do niego przyjdzie? Ja dziś z wami nie będę dużo gadał, bo nie mam czasu, zaraz muszę w drogę jechać. Przyjdźcie pojutrze, ja wam jeszcze raz wygodzę. Dostaniecie na podatek i na żelazo, a soli weźcie sobie zaraz, ile wam potrzeba. Co się tyczy długu, radzę wam zapłacić lepiej dobrowolnie — mnie teraz bardzo pieniądze potrzebne, chcę sobie kupić dom w Czarnembłocie.

Rokita wziął sól i ze spuszczoną głową włókł się do domu.

Ciężkie myśli roily się w jego mózgu, zagadki nie rozplatane, zawile. Ogarnęła go żal i rozpacz. Zdawało mu się, że jest robakiem, którego lada chwila ktoś nogą rozdepcze.

Szedł powoli, nie patrząc na ludzi, a tak się w myślach pograżał, że chałupę swoją ominął

i zamiast wejść do siebie, poszedł dalej, aż na koniec wsi.

Dopiero ujadanie psa przebudziło go z zadumy. Obejrzał się i spostrzegł, że jest na samym końcu wsi, przed dworkiem Walentego Wasążka.

Szlachcic odpoczywał po całodziennym trudzie. Kapotę z siebie zrzucił i tak w koszuli tylko i w kamizelce siedział i ćmił fajkę. Rokicie przyszła myśl. Odpędził psa i poszedł prosto przed dworek.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł.

— Dobry wieczór panu Walentemu.

— Na wieki wieków! — odpowiedział szlachcic. — Jak się macie! Michale? Cóż was tu na moje podwórko przypędziło?

— Bieda, panie Walenty.  
— Mój bracie, zły ja doktor na biedę.  
— Na moją biedę pan Walenty lepszy będzie doktor, niż kto inny.  
— No, no?  
— Pan Walenty prawo zna?  
— Mój branie, ty w swoim życiu tyle zagonów nie zorałeś, tyleś kop zboża nie omlócił, tyleś sztuk bydła nie pasł, ile ja artykułów i prawności mam tu oto, we łbie.  
To rzekłszy, palcem w czoło się stuknął.  
— Mów, jasno, śmiało a szczerze, jak na spowiedzi do księdza: sprawę masz, co?  
Dusza pieniacka drgnęła w Wasążku, oczy jego zmęczone i jak gdyby zaspane, ożywiły się nagle, twarz przybrała wyraz zaciekawienia, wydo

był fajkę z ust i gotów był słuchać, choćby do północy.  
— Sprawy to ja jeszcze nie inani — rzekł powoli Rokita. — alem usłyszał dziś coś takiego, że aż mi we łbie zatrzęszczało, jakby mnie kto kłonicą po czapce pomacał.  
— Cóżecie to takiego usłyszeli?  
— Panie Walenty rzekł Michał — czy to prawda, że żyd może mój grunt sprzedać?  
— Twój grunt, chłopski, rodzony, po ojcu?  
— A juści, innego ja nie mam, jeno ten, Co po ojcach.  
— Nie może.  
— O, niechże wam Bóg da zdrowie, panie Walenty! Wielki ciężar zdjęliście z. innie.  
— Ale zaraz, zaraz, bracie, pomaleńku, gadaj od początku, skąd to wyszło?  
— A to, widzi pan Walenty, tak. Jak się tu do nas Chaskiel sprowadził, będzie temu dziesięć  
— Pamiętam... pamiętam...  
— Sad trzymał wtedy. Ja, w potrzebie będący, pożyczyłem od niego trzy ruble, oddałem i znów w potrzebie pożyczyłem piętnaście, i kazał nai kwitek podpisać — podpisałem, a za procent, tak i siak, kartoflami, zbożem, furmankami, a trafiało się i groszowiną, czem mogłem i jak mogłem, dawałem i oddawałem — i później jeszcze dobierałem trzy razy po piętnaście rubli i raz całe trzydzieści i znów dwadzieścia, a jak nie miałem na czas oddać, to różne prowjanty brał i rak pisał,

doliczał, a mnie jeno kazał podpisywać, jako, że niby rachunek między nami stoi.

— I podpisywałeś? — spytał Wasążek.

— Juści, że podpisywałem, a on mi teraz, psia dusza, zapowiada, żebym mu wszystko oddał i rachuje, że mu winien jestem albo pięćset albo czterysta rubli. Ja powiadam: nie mam, a on mówi, żebym grunt sprzedał. A ja jak mogę grunt sprzedać, kiedy go po ojcach dostałem i dzieciom swoim oddać powinienem? I gdzie się podzieję, jak grunt sprzedam? Z gospodarza na parobka zejść? w służbę mam iść? Powiadam mu, że gruntu nie sprzedam, a on się śmieje, mówi, że

jak ja nie zechcę, to sąd sprzeda mój grunt, że niby licytacja będzie. Ale skoro pan Walenty powiada, że gospodarskiego gruntu sprzedawać nio wolno, to chyba i sąd nie sprzeda?

Waszązek czoło namarszczył, nastroszył wąsy i rzekł:

— Mój Michale, wlałeś ty, biedaku, w niedobre miejsce. Przewisko ci Rokita, ale choćbyś był i sam djabeł Boruta, to się z tego, nieboraku, nie wydobędziesz.

— Panie Walenty! radźcie życzliwie! Panie Walenty!

— Bóg mi świadkiem, że pragnę, ale w tej : rzeczy rada trudna. Podpisałeś bracie, dałeś djabłu na swoją duszę cyrograf, teraz musisz cierpieć, biedaku, i choćby niewiem jak kręcić, nic nie pomoże. Żyd cię sprzeda, jak zechce.

— A toć dopiero' pan Walenty mówił, jako

chłopskiego gruntu żydom kupować nie wolno?

— Aj, Michale! a toć ja nie mówię, że żyd kupi twój grunt, tylko powiadam, że go sprzeda; i nie tak on go sprzeda, tylko sąd sprzeda, a do kupna nie przyjdą żydy, tylko chłopci, tacy, którym wolno chłopskie grunta kupować.

— Gdzie zaś chłopci! W naszej wsi bogaczów niema, a z innych nie wiem, czybv się łakomili. Inszy możeby się i sromał po licytacjach, jak żyd, łązić i na moją krzywdę kupować.

— Za pieniądze, Michale, wszystkiego dostaniesz. Choćby i prawdziwych kupców nie było, to Chaskiel podstawia takiego, co ma prawo kupić,

a podstawiony kupi za Chasklowe pieniądze. Opisze go żyd, jak węża, u rejentów i niby ten podstawiony w wasze gospodarstwo wlezie, w chałupie waszej będzie siedział, niby właściciel, ale po prawdzie właścicielem będzie Chaskiel. a on tylko Chasklowym parobkiem.

Rokita swe grube, sękaty, narobione palce we włosach zatopił i patrzył na Waszązka z rozpaczą.

— Walenty! Panie Walenty! — mówił ze łzami — a toć to krzywda! Czy niema na to sposobu? Znacie, panie Walenty, wszystkie Kodeksy i spraw mieliście kopami, po sądach łązicie, jakby po swoim polu... ratujcie mnie, ciemnego! Nie dajcie mnie zgubić! Ratujcie!

Walenty rozczulił się.

— ?le, źle, niema rady. Procesować się z nim niewarto, nic nie wskórasz. Na papierze stoi czarno na bigałem, podpisałeś na swoją zgubę... Jedno

tylko jeszcze zostało: trzeba próbować; moie on się dobrowolnie zgodzi, może co opuści, może na części rozłoży..! może...

— Ja zaraz pójde do niego.

— A niechże cię Bóg broni, nie idź teraz, ani się waź!

— Dlaczego?

— Rozżalony jesteś. Widzę ja to, co się w tobie dzieje. We łbie masz ogień, w sercu ogień, a pięść świerzbi, nie prawda?

— O, jakbyście we mnie siedzieli, panie Wa lenty.



— Właśnie onby ci co powiedział, a ty w żalości mógłbyś pięścią go chuknąć i po zgodzie, po wszystkim. Insze żydy zawzięte, a ten Chaskiel najbardziej. Idź ty jeszcze krzynkę w pole, Michale.

— Toć noc.

— Jeszcze lepiej, nie zważaj, idź! Dojdz do lasu, potem prosto do domu wracaj, spać się układ. Nieci: się ten ogień wypali w twojej głowie, spopieleje i zgaśnie. Nie sprzeda cię żyd dziś, ani za miesiąc, ani za kwartał, bo taka rzecz czasu potrzebuje. Idź, ja będę myślał, może co wymyślę, tylko słuchaj mnie, Michale, słuchaj, bo zginiesz, juk ruda mysz.

— Bóg wam zapłać, panie Walenty, idę!

— Idź z Bogiem.

Waszązek pozostał na ganku zadumany, a Rokita poszedł, skręcił z drogi i powlókł się mie łzami na swoje zagony garbate. Tam usiadł nu wielkim kamieniu przy rowie i głowę podparł na rękach.

I przypomniła mu się cała jego dola od kolebki prawie. On tu, na tem polu, gęsi pasał, za bydłem chodził; tu sochę ciężką dźwigał, za broną biegał; tu żał, kosił, grabił. Ile kropli jego potu w te zagony wsiąknęło!

W tej wioszczynie urodził się, ożenił, dzieci doczekał. Był pewny, że tu oczy zamknie i że go na cmentarzu w Zimnej Woli do spoczynku wiecznego ułożą: a teraz mają go wyrzucić z chałupy, z gospodarstwa... Za co? Dla czego?

Przecież się Chasklowi tyle nie należy, bo wszystko ma trzy razy oddane, odsłużone, a jednak może mu całe mienie zabrać. Waszązek powiedział: „Czemuś podpisywał? Cierp teraz, kiedy: głupi!”

Za każdy grzech jesł cara, ile za ten chyba zaciężka. Ginie człowiek, jako mucha, a ratunku znikąd... znikąd...

Ze dwie godziny przesiedział ua kamieniu, potem wstał i chwiejnym krokiem ku domowi się powlókł.

Dziwna rzecz, jak go dzisiejszy dzień zmordował. Nie robił więcej, nia zwykle, a doznaje iakiego bólu, jak gdyby mu kto grzbiet kijem wyłomotał. Nogi drzą pod nim, a głowa ociężała, zda się, że ją wielki kamień przywalił.

Kiedy Rokita do domu powró. ii, była już blisko północ. Nie wchodził do izby, tylko wprost do stodoły poszedł, rzucił się na słomę i zasnąć próbował

Sen nie przychodził jednak; dopiero przed samym świtem przyniósł upragniony spoczynek.

## ROZDZIAŁ TRZECI.

Ignacy Młynarczyk z Olszanki i Kajetan Sobieński z Brzozówki zawsze z sobą trzymali kompanją i żyli w przyjaźni jeden z drugim. Byli to ludzie rozsądni, pracowici i trzeźwi; obadwaj piśmienni, lubili czytywać książki, obadwaj doświadczeni, a miłujący bliźnich, zdrowym chłopskim rozumem pojmowali położenie rzeczy. Bolało ich to bardzo, że pewna część, jeżeli nie połowa gospodarzy, siedzi w żydowskich kieszeniach, bolało ich, że ludzie są po większej części bezradni, że nie rozumieją, jakimby sposobem los swój poprawić, spokojne życie prowadzić, dzieciom dać dobry przykład i przysposobić je do pracy.

A to przecież taka prostu rzecz: „Nie pij, ni” będziesz pijakiem; pracuj, nie będziesz próżniakiem; oszczędzaj, nie będziesz biedakiem.” To tylko nieszcześnie, że ludzie prostych rzeczy rozumieć nie chcą, że są słabi, dają się skusić namowom złych i podstępnych wydrwigroszów; że brną w długi jak w błoto, jakby nie wiedzieli, że z takiego bagna

wyjścia niema; że gdy człowiek w nie wejdzie, to pograża się po kolana, po pas, po szyję, aż utonie w niem bez ratunku.

Nieraz wieczorem, albo po południu w święto, szła o tem między przyjaciółmi gawęda, a do tych dwóch ludzi — do Sobieńskiego i Młynarczyka — przyłączali się stateczniejsi i rozumniejsi gospodarze z Brzozówki, z Olszanki i okolicznych wiosek.

Młynarczyk z rodu bogaty nie był, również: jak i Sobieński; gospodarstwa obaj posiadali małe i nie mogli z nich wiele wyciągnąć: Maciek zrobił, jak to mówią, Maciek zjadł; tyle że im z rodzinami na życie wystarczało,—ale ratowali się innemi sposobami. Sobieński trzymał piękną klacz i dbał o nią, żywił dobrze, pracą nie przeciążał, strzegł—to też dochował się z niej ślicznych źrebiąt; kilka razy za ogierki swego chowu po paręset rubli brał — i w ten sposób przyszedł do jakiegoś grosza; Młynarczyk znowuż handlem się zajmował, patrzył on uważnie na żydów, jak oni zabiegają i spekulują i pomyślał sobie: „nie święci garnki lepią.” Zaczął od małego, skupował po wsiach gęsi, cielęta, drób, nabiał, woził do gubernjalnego miasta ua targ i tam sprzedawał z zarobkiem, nie uganijając się za .dochodem wielkim, byle tylko coś zyskać; po kilku latach i u niego grosz, się zawiązał. Bywając często w mieście, .dostarczając produkty do domów a do sklepów, przypatrywał się bacznie, jak to ładzie handlują, o nie jedno o tał, poznał się dobrze na niektórych towarach, na wagach, na mierze, spenetrował, skid się jaki przedmiot sprowadza, gdzie taniej nabyć go można i ciągle to miał w myśli, żeby w Olszance sklep założyć. Straszili go ludzie, że to będzie ciężko, że żydzi niejedną psotę mu uczynią, ale nie bał się on i myślał sobie: niech oni wojują szachrajstwera, a ja rzetelnością, obaczmy, kto wygra. Jakoż spełnił to, o czem myślał, założył sklep. Z początku oporem szło, ludzie tak się przy

zwyczajui do żydów, że im się dziwnem wydało, żeby włościanin, gospodarz, do handlu się brał; to też przepowiadali, że rady sobie nie da i że zginie. To samo powtarzali Jukiel i Chaskiel, ale Młynarczyk nie wiele sobie z tego robił, towary sprowadzał, uczciwie ważył i mierzył, zysków nadmiernych nie szukał, i jakoś nieźle wychodzi). Chaskiel też miał różne towary u siebie i sprzedawał je znacznie taniej, nit Młynarczyk, ale zaraz ludzie zaczęli się przekonywać, że to jest taniocść zawodna dlatego, że waga nierzetelna i towar dużo gorszy. W sklepie pomagała Młynarczykowi zona, a najbardziej córka Franusia, bardzo roztropna i zdatna dziewczyna; prędko poznała ona towary, wagę i rachunek, a że dla kupujących była grzeczna i usłużna, obsługiwała wszystkich pośpiesznie— więc ojciec miał z niej wielkie wyręczenie i mógł śmiało, choćby nawet na cały tydzień za interesami wyjechać, gdyż wiedział, że w domu doskonałą zastępczynię zostawił.

Sobieński inaczej znów sobie począł; syna Piotrka oddał naprzód do dobrego kowala, a potem już, jako czeladnika, umieścił w Warszawie, i w fabryce powozów, żeby się chłopak przyjrzał porządnej robocie. Kiedy już. Piotrek tę naukę ukończył, Kajetan porozumiał się ze stelmachem, krewnym swoim, w mieście gubernjalnem mieszkającym, namówił go do współki i do Brzozówki sprowadził. Koszykarza wynalazł Piotrek w Warszawie, a wyszło to głównie z namowy Młynarczyka. W Olszance, nad rzeką wierzby i wikliny moc

rosła i marniał ten materiał bez pożytku, umyślił tedy Młynarczyk, że dobrze byłoby znajęcego człowieka sprowadzić, żeby i sam miał zarobek i młodych chłopaków koszykarstwa uczył. Po naradzie z Kajetanem napisali do Piotrka do Warszawy list o koszykarza. Będzie wypłatał bryczki, wasągi, będzie robił kosze i delikatniejsze wyroby. Jakoż znalazł się młody chłopak taki zdalny, że nietylko kosze, ale nawet krzeselka bardzo ładne robił. Pierwsze sześć zaraz kupił ksiądz proboszcz z Zimnej Woli, drugie sędzia z Zatraceńca — i wszystkim się te sprzęty niezmiernie podobały, jako leciuehne, zgrabne, wygodne, mocne i tanie.

Po powrocie Piotrka z Warszawy, Kajetan, co miał uzbieranego grosza, włożył w kuźnię, w drzewo, w żelazo i w imię Boże, po nabożeństwie fabryczkę otworzyli.

— Ty, Piotruś, rzeki ojciec, — wozy i bryczki kuj, a ja sobie, jako i dawniej, będę koło gospodarstwa chodził i źrebiątka hodował.

Piotrusia do pracy nie trzeba było namawiać; rozumiał on jej znaczenie i próżnować nie lubił, ale myśl jego wybiegała często poza kuźnię do Olszanki, do owego sklepu, w którym gospodarzyła tak zręcznie ładna Franusia.

Jednej niedzieli pojechał tam z ojcem po południu. Młynarczykowa zakrzętnęła się żwawo, aby gości przyjąć; nastawiła samowar, nakryła stół, podała chleb świeży, pachnący, na kapuścianym liściu upieczony, masło, ser, trochę miodu, trochę gruszek, — co było w domu.

Niezdługo nadeszło kilku gospodarzy i zaczęła się pogawędka o zbiorach, o potrzebach parafjalnych, o nowej fabryczce, o sklepie, o dzierżawcy z Zatraceńca, któremu żydzi cały majątek zlicytowali, o Rokicie, o Wasążku, o innych sąsiadach, którzy w matnię wpadli i wydobyć się z niej na żaden sposób nie mogą...

Piotrek tymczasem wymknął się przed dom; była już tam w małym ogródku Franusia i przywitała chłopaka życzliwym uśmiechem...

— Eli, — rzekła, ty teraz po Warszawie patrzeć na nas nie zechcesz.

— Niech Bóg broni, Franusiu, w Warszawie ja byłem parę lat, to prawda, ale serce moje zawsze do was uciekało.

— Tak gadasz...

— Nie wierzysz? Do ojca, do matki, do ciebie...

Patrzajcie — do mnie! Uwierzy ci kto?

— Dalibóg, Franusiu.

— Eh, mało to ładnych w Warszawie...

— Jest... jest, dużo... ale takich jak ty, niema... takich ładnych i dobrych.

Zerwała kwiat astru i rzuciła na niego.

— To za karę... — rzekła.

— Dobrze, że choć kwiatem, nie zaś korzeniem; ale za co kara?

— Dlaczego nie byłeś na odpuszcie?

— Nie mogłem .. akurat tego dnia jeździliśmy z ojcem drzewo kapować...

— A ja akurat byłam i poszłam piechotą... bo myślałam...  
— Co takiego myślałaś...  
— Powiedzieć ci?  
— Oj, — powiedz...  
— Nie chcę, bo schardziałbyś zanadto...  
— No, moja Franeczko...  
— O, już twoja?!  
— Powiedzże, powiedz... tak proszę...  
— Myślałam... że ciebie tam zobaczę.  
— O moja jedyna...  
— Znowu moja!  
— Już to Franusiu; inaczej być nie może... Życie mi nie mile bez ciebie... Póki byłem w nauce, tom cicho siedział, nie mówiłem nic... tyłkom codzień Boga prosił, żeby mi cię kto nie złapał...  
— Myślisz, e jabym się dała złapać tak la  
— Dziś, gdy już mam swój kawałek chleba, to myślę, że niema co zwłóczyć...  
— Jaki to pośpieszny..!  
— Poproszę ojca, matki, niech się twoim rodzicom pokłonią... i...  
— A mnie to nie poprosisz? Ja to dla ciebie nic?  
— Ja cię właśnie teraz proszę, Franusiu — zostań moją żoną.  
D ziewczynsk zarumieniła się, jak wiśnia: Pietrek nalegał.  
— Franusiu, " no... cóżeś tak zamilkła, nie ży

czliwa mi jesteś — nie kochasz? — powiedzie choć słówko.

— A gdybym powiedziała, że nie...  
— To nie prawda, ty tak nie powiesz... Ja wiem.  
— Wiec dlaczego zapytujesz... skoro wiesz.  
— Moja jedyna. . Jn jutro ojca prosić będę. Niech nam pobłogosławią Zobaczysz, jak będę dbał o ciebie. Bryczuszkę ci zrobię prześliczną...  
— Nie potrzeba. Do tej pory na wozie jeździłam i jeździć będę nadal tak samo Bryczkę zrób na sprzedaż.  
— A co dla ciebie?  
— Bądź tylko dla mnie dobry, mnie więcej nie trzeba... Teraz to już ci mogę powiedzieć, zem tęskniła za tobą, że mi było bardzo, bardzo smutno i że bałam się...  
— Czego?  
— Albo ja wiem; myślałam, że się odmienisz w Warszawie, że inna ci się podoba, ładniejsza i bogatsza, że o mnie zapomnisz... ale widzę, że ty dobry jesteś, Piotruś... Pamiętałeś o swojej Frani.

— Teraz się już nie rozłączymy. Ojcowie przeszkody nam robić nie będą...

— A może, — zapytała figlarnie.

— Nie, nie...

Długo, prawie do samego wieczora młodzi gwarzyli swobodnie w ogródku, pod oknem. On opowiadał jej o Warszawie, o pięknych gmachach i kościołach, jakie tam widział, o ulicach szerokich, ogrodach, o mostach żelaznych, Saskiej kę

pie, o ogromnych fabrykach, jakie widział, o bogactwach sklepów, o prześlicznych koniach, powozach, strojnych paniach, o teatrze, w którym był trzy razy i dość nadziwić się uni uie mógł.

— Toć chyba sami bogacze w onej Warszawie mieszkają, — rzekła Franusia.

— Gdzie tam, gdzie tam, — odrzekł Piotruś, — są bogacze i ludność pracująca, i nędzarze tacy, że nasz Błazej Pokrzywa, w porównaniu z nimi, magnat nad maguaty. Jak w dużym mieście, Franeczko, tam jest dużo ludzi, dużo dobrego, dużo złego, dużo bogactwa, dużo nędzy... wszystkiego dużo... bardzo...

— A cóż ja ci, Piotrusiu, opowiem? — rzekła dziewczyna... — u nas tu zawsze jednakowo; cicho, biednie, nic nie błyszczący, nic ciekawego niema; jak dziś, tak jutro, od dnia do dnia, od roboty do roboty, w święto czasem rozrywka, ale

Inie taka, jakie ty tam w Warszawie miewałeś... Ja nie mam nic ciekawego do opowiedzenia ci...

— Powtórz tylko, żeś mi życzliwa, żeś tęsknica za mną, a to mi będzie najciekawszym, najmilszym opowiadaniem.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Było chłodno, deszcz chlapał, świat wydawał się szary i smutny, zboża z pól już sprzątnięto, tylko rżyska szczotkowato ua roli sterczały, lub szarzyły się świeże podorywki i czerniły łąciny niewykopanych kartofli. Gdzieniedzie gromadka

bydła się pasła pod dozorem dzieciaka, z głową workiem okrytą.

Gościńcem, na którym od deszczu kałuże się porobiły, jechał wierzchem na małej szkapinie Rokita. Zwiesił głowę i w zadumę zapadł, aż go z niej zbudził tentent kłusującego konia.

Obejrzał się i w jeździe poznał Wasążka. Szlachcic siedział na szkapie swej z fantazją, kaptur od burki miał na głowie, a przepasany był krajką zieloną.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł.

— Na wieki! — odpowiedział Rokita — A dokąd to pan Walenty w taki deszcz?

— Ha! mój bracie, potrzeba na mokość nie zważa.

— Juści prawda.

— Ja bo, widzisz, do Kopytkowa, do regenta wypis muszę wyjąć, bo mi do sprawy potrzebny.

— Ochota panu Walentemu za temi sprawami wciąż jeździć.

— A co mam sobie żałować?

— Ja jedną tylko sprawę miałem i życie mi już zbrzydło.

— Z kim?  
— Z Chasklem.  
— A, to już była sprawa? I jakże!  
— Przegrałem, panie Walenty; każą jakie koszty płacić; wójt mówił, że mi chałupę opiszą bydło z obory wyprowadzą... albo ja wiem? Ja nie uczony, nie piśmienny, stałem jak słup, a żyd gę

be rozpuiścił, aż sędzia dzwonił na niego, żeby nie trajkotał.

— I cóż ty, biedaku, teraz zrobisz?

— Bo ja wiem? Kadziłem się ławnika; powiada: niema co, bracie, zagódź, daj mu coniebadź, niech czeka.

— No?

— Chodziłem do żyda: twardy psiakość, jak kamień; powiada, żeby mu pieniędzmi trzydzieści rubli; na stół kłaść i owsa, jak jeno omlóć, pięć korcy dać, i po okowitę dla niego jeździć... Jeszcze różne dziwne rzeczy przykazywał!

— No, no...

— Owies bajki; mam w stodole, omlóć i oddam; furmanek dziesięć pod okowitę chce, odjeżdża, — ale pieniędzy, co nie mam, to nie mam Bytem w Czarnembłocie, przepytywałem miedzy żydami.

— Nie dają?

— Ani weź. Słuchać nawet, nie chcą.

— Znam ja ich, mój bracie; jak nie potrzeba, to sami proszą, a jak ci pilno, to i siekierą nie urąbiesz. Oni spekulują i kręcą, a gospodarze na psy schodzą.

— A juści, że na psy...

— I znowuż jedziesz szczęścia próbować, Michale?

— A tak.....

— Myślisz, że dadzą?

— Dać, nie dadzą, ale jednemu, właśnie Berkowi, co Chaskla szwagier jest, koń mój się udał.

— Który?

— A właśnie ten, co na nim siedzę.

— Kupić chce?

— Dyc. Kazał go sobie na dzisiejszy dzień przyprowadzić.

— Ciekawość, siła .też daje?

— Trzydzieści rubli obiecuje.

— He? trzydzieści?

— A juści.

— Ależ ten koń, chociaż i nieduży, brat bratu pięćdziesiąt wart!

— I ja tak myślę! Na wiosnę kopytkowskie żydy dawały mi za niego pięćdziesiąt dwa ruble i złotych cztery bez dziesiątki, ale nie miałem chęci sprzedać. Choć gospodarstwo moje biedne, ale parę koni utrzymuję według furmanek.

— Ma się rozumieć, furmanka dobra rzecz. A jeżeli konia sprzedasz, to ci, braciszku, będzie jednym nijako...

— Pewnie, ale cóż mam robić? Może się jako wspomogę ku zimie; może jałówkę sprzedam i wieprzaka, to konia kupię, a tymczasem muszę Chaskłowi dać, co żąda, bo inaczej moje zniszczy. Pytałem ludzi wiedzących i piśmiennych, czy można tak człowieka żyłować, jak on mnie żyłuje: powiadają, że można; pytałem, czy można kogo wyrzucić z chałupy, co ją po ojcach ma: powiadają, że można. I dla czego można? A oni śmieją się tylko— powiadają: Czemuś podpisywał? Byłeś głupi — cierp teraz.

— I cierpisz, biedaku, — rzekł ze współczuciem Waszązek,

— A cierpię, panie Walenty, cierpię. Ni ja jedzenia, ni ja spania, ni pomyslenia żadnego. Pracuję, aż we mnie gnaty trzeszcza, zabiegam, jak mogę, i cóż stąd?... Abym jeno grosz jaki miał, zaraz oddaj mu — i oddaję, a precz jestem winien i końca nie widać. Żeby to choć wziął, żeby do ręki dostał, toby nie żał było. Wiedziałbym, że cierpię, bom winien, że muszę oddać, bom wziął, muszę zapłacić, bo się należy. Ale, panie Walenty, przysięgnę na zbawienie duszy, z czystym sumieniem, że części tych pieniędzy nie dostałem, które mi teraz płacić każą, a to, com wziął oddałem już w dubelt pieniądźmi, zbożem, — odrobiłem, odsłużyłem. Nie siła lat, jak on przyszedł do wsi obdarty, a we wsi gospodarze byli zasiedzieli, spokojni i niejedyn trochę grosza miał leżącego; a dziś on pieniądze ma, na duże handle się puszcza, a wielu gospodarzy na dziady schodzi. Jedni porozpijali się ze zmartwienia, a inni chodzą, w ziemię patrząc, jakby im kto na łbach wielkie kamienie pokładł. Oj, źle, panie Walenty, źle na świecie...

Waszązek westchnął, a chłop, rozgadawszy się, nie ustawał, rad, że ma się przed kim uzalić.

— Już ja, panie Walenty, medytowałem, medytowałem i nic wymedytować nie mogłem i obrotu sobie żadnego dać nie mogę. Raz mi źle jakieś nagadywało, żeby albo postronek, albo w wodę...

— Eh, eh! To nie rzecz, Michale, dusze na zgubę wiekuiłą dać.

— Nie rzecz.. nie rzecz... nie godzi się i grzech, ale kiedy coś gada, a namawia, jak żywe. Raz w polu byłem i tak mnie męczyło; jeno figura na miedzy stała, Męka Pańska... Krzyż święty... i zbudziło się we mnie sumienie i cisnęło mnie na kolana... I począłem ryczeć z żalości, aż się we mnie coś obrywało we środku, i wiłem się, jak robak, pod owym krzyżem i w prochu się tarzałem, zmiłowania proszący... I zelżyło mi jakoś, żem przez kilka dni spokojniejszy chodził i jakoś lepszy we mnie duch wstąpił, spodziewanie jakieś, że może odmiana nastanie... A było tak dwa dni, może trzy, aż raz spotkałem go wieczorem...

— Chaskła?

— Tak; szedł przez wieś, a pyszny był, z góry stąpał, z góry patrzył. „Hej — woła — ty Michał, jutro masz raniutko z furmanką do mnie przyjechać!” Ty, Michał! sługa ja jego, czy co? Taka mnie ogarnęła złość, że aż mi się krwawo w ślepiach zrobiło; zacisnąłem jeno pięści, ulem jakoś zmiłkł, a on poszedł sobie do licha...

— I na drugi dzień byłeś, bracie, z furmanką?

— Byłem, po okowitę mnie posyłał do gorzelni. Ciężar duży, droga krwawa, błoto osiami się garnęło, ale przywiozłem.

— Zapłacił ci chociaż?

— Ale, zapłacił! Powiedział, że jemu się należy, obiecał, że trochę mi ulży i nie będzie się

upominał ze dwa tygodnie, abym jeno jeszcze kilka razy do tej gorzelnii pojechał. W pańszczyźnie u niego jestem poprostu, tylko że nie wiem, siła dni odrabiać, bo coraz to zawoła. A w stodole mojej on, jak we swojej; co sobie każe dać, trzeba dać i jeszcze w swoim worku, na własnych plecach mu zanieść; uda mu się cielę — oddaj mu cielę, podoba się kokoszą — oddaj kokoszę. Miała moja kobieta dwanaście gęsi, to siedm za psie pieniądze kupił, a pięć zabrał za procent. Gruntu nie mam dużo, a muszę dla niego cały zagon pod kartofle dawać, też jako niby za procent, a i zaorać ten zagon, kartofłami swojemi zasadzić, oborać, wykopać, i odwieźć mu do domu, to niby znów za jego grzeczność i czekanie.

— Za jakie czekanie? Toć wziął procent!?

— I ja mu tak mówiłem, ale on ma inszą kalkulację. On powiada, że to niby za to czekanie i tę grzeczność, co od posadzenia kartofli do okopania.

— Niechże go kolki!

Rokita zwiesił głowę, a po chwili zagadnął Wasążka:

— Panie Walenty...

— Cóż?

— Dyc od wódki bywa człowiek pijany, a od wody nie?

— Także się Michał pyta! Toć małe dziecko wie, że tak jest.

— Oj, nie, nie, panie Walenty, nie prawda.

— Cóż znowu?

— Jednego dnia, też ze zmartwienia widać, huk mi się we łbie zrobił i w gardzieli paliło i język zesechł, jak kołek. Poszedłem do studni, wyciągnąłem wiadro wody i jakem się do niego przypiął, tom pił, pił bez pomiarkowania, jak nieprzymierzając koń. I w gorącość mnie zaraz wrzuciło, świat się koło mnie kręcił i zataczałem się tak, że ledwie do chałupy trafił. Zaraz na progu baba poznała, że pijany i ożogiem mnie po łbie raz i drugi.

— Oho! ostra kobieta...

— A juści. I nie broniłem się nawet, bom miarkował, że prawda. Mówię: owszem, wal, Kasiu, jagodo, bom sprawiedliwie pijany. Padłem na posłanie, jak kłoda; kobieta, choć prędką, ale miłosierną, przykryła mnie kożuchem i tak przeleżałem dwa dni i dwie noce.

— Od wody?

— Od wody... I potem, jakem już otrzeźwiał, to jeszcze drugie dwa dni chodziłem, jak potłuczony, że mi przy robocie wszystko z garści leciało, a głupiego kłoca nie mogłem podźwignąć.

— Osobliwa rzecz.

— Osobliwa, panie Walenty, żeby tak od wody...

— Może kto co wrzucił do studni szkodzącego?

— A toć i ludzie tę wodę piją i konie się poi i bydło, a przecież nie szkodziło nikomu.



— Prawdziwie, że pierwszy raz słyszę o takim wypadku.

— Niechno pan Walenty posłucha o drugim.

— No?

— W Czarnembłocie to było, na targu. Zeszliśmy się we trzech: Piskorz Jan z Ciepłej Woli i Podsiadło Bartłomiej z Brzozówki, też takie biedaki, jak ja, zmarnowane. Piskorz swojemu żydowi zaprzędany. Podsiadło swojemu. Zeszliśmy się przy kieliszku. Gadu, gadu, jeden się uzalił, drugi uzalił, bo każdemu gorzko. Podsiadło sprawiedliwy chłop, ale na szkło łasy okrutnie; aby flaszkę zobaczył, to już jej nie popuści, aż czyste denko ujrzy...

— Znam ja go, lubi łyknąć...

— Oj lubi. Ja sobie krzynekę podpił, on jak się rozżalił, tak stawia kwartę za kwartą, powiada: zalać robaka! Zalaliśmy tego. Wracamy, na Wygodzie — zdów. Ja nie chciałem, ale Podsiadło molestował, Piskorz też, zaczęli stawiać. Pijemy. Ja też nie mogłem cudzego pić a swojego nie dać, wysypałem tedy garść koprowizny, co było jeszcze w kalecie. Pijemy ua umor, bo Podsiadło wciąż dogadywał o tym robaku, żeby go utopić, a po prawdzie panu Walentemu powiadam, że w tej gorzałce, cośmy ją we trzech wypili, nietylko robak, ale spore prosię mogłoby utonąć.

— Spiliście się pewnie, jak nieboskie stworzenia?

— Oni całkiem. Piskorza na swój wóz wziąłem, bo mi po drodze było i odwiozłem go do chałupy, a Podsiadło został w karczmie, jak nie żywy i dopiero na drugi dzień wieczorem się przebudził.

— A jakże z wami, Michale?

— Nic, panie Walenty. Przyjechałem do domu trzezwiuteńki, kobieta nawet nie poznała, żem co pił.

— Ha! tęgą głowę macie.

— I to nie. Czasem od dwóch półkwatekó w mnie z nóg zetnie.

— No, no?

— To musi, panie Walenty, wszystko z frasunku. Oj, źle na świecie!

— Złe. Ale czy ci się zdaje, że to tylko tobie? Pójdźno między ludzi, posłuchaj. Widzisz ja, na ten przykład, choć piśmienny jestem i kodeksy znam na wylot, a przecież mnie Chaskiel z Joelem tak trapią, jako i ciebie.

— I może on pana Walentego też tak samo ma z chałupy wyrzucić?

— Oj, oj! tylko ze mną trochę trudniej.

— Trudniej?

— Ja piśmienny; odemnie on takich papierów nie wycyga, jak od ciebie, bo ja wiem, czem to pachnie. Po drugie, że i do sądu jak przyjdzie, to ja nie stanę, zapomniawszy języka w gębie, ale wiem, co i jak gadać. Niewieleć to można wygadać, skoro stoi czarno na białym, ale zawsze już żyd nie jest taki śmiały. On się trochę boi, boć ma różne sprawki na sumieniu, a jak to powiadają: na złodzieju czapka gore. On wie, że Waszątek gębę ma nie od parady i może powiedzieć co szkodzącego. Ale to, mój bracie, niewiele znaczy, odwleka się tylko na jaki czas, a jeżeli żyd zechce

dobrze dusić, to i dusi. Wszyscy my, mój Michale, na takim wózku jedziemy, a jak ty teraz prowadzisz konia na zmarnowanie, tak ja zeszłego miesiąca zmarnowałem krowę. Na procencik to poszło, na procencik.

Droga rozchodziła się. Rokita do Czarnegoblota wprawo miał zwrócić, Waszązek zaś do Kopytkowa wprost.

— No, bywaj zdrów, Michale, — rzeki szlachHo. A medopuszczaj sobie bardzo do głowy. Bóg miłosierny. Będzie lepiej, jak złe minie.

— Bądźcie zdrowi, panie Walenty, jedźcie z Bogiem.

W kilka godzin później Rokita wychodził Hhuasteczka pieszo. Koń został u Chasklowego szwagra, a otrzymane trzydzieści rubli miały być złożone jako okup za pewien czas spokoju.

Na tym to czasie duże Rokita sobie nadzieje budował. Myślał o tem, że u spokojności zarobi, ie trochę zboża omłóci, krowę sprzeda i wspomóże się. na kupno drugiego konia.

Tak rozmyślając, szedł ku swej wiosce, przyśpieszając kroku, aby jeszcze zdążyć przed nocą.

#### ROZDZIAŁ PIĄTY.

Nastąpiła zima. W Brzozówce w nowozałożonej kuźni robota szła doskonale; stelmach musiał przyjąć czeladnika, koszykarz wziął dwóch chłopaków wiejskich do nauki, aby z nich w przyszłości mieć

pomoc, zaś Piotrek Sobieński całe dnie w kuźni przepędzał i pracował pilnie. W fabryce w Warszawie doskonale się swego rzemiosła wyuczył, to też bryczki przez niego wyrabiane szybko zjednały sobie sławę na całą okolicę, gdyż były mocne, lekkie, pakowne i nie trzęsące. Co dobre, to się zawsze ludziom podoba, to też zamówienia wzra stały; nastarczyć było trudno żądaniom. Początko wo był zamiar, żeby na jarmarki wyroby te rozwozić i tam sprzedawać, ale gdy kilka pierwszych bryczek sprzedano, taki się odrazu zrobił ruch na miejscu, że nie było kiedy robić zapasów na jarmarczną sprzedaż... O dziesięć mil z okolicy przyjeżdżali ludzie z zamówieniami. Gospodarze okoliczni, patrząc na pracę i szybki dorobek Sobieńskich, zaczęli rozumieć, że nietylko na roli można żyć i pracować — a niejedyn postanowił w duchu, żeby syna oddać do nauki rzemiosła: gruntu posiadali niewiele, — rozdrobniony w podziale między dziećmi utrzymania on nie da, więc trzeba spekulować inaczej.

W Olszance Waszązek ciągle sprawy prowadził, a Rokita zapracowywał się dla Chaskła.

Najtrudniejszym zwykle bywa początek, ale jak się co raz zacznie, to już idzie. Doświadczył tego i Waszązek, gdyż dopóki odgrażał się tylko na Kobiałkę, się nie szło, ale odkąd rozpoczął proces i popierać go zaczął, to ruble nie szły, ale leciały, jak ptaki: jeden drugiego gonił, przeganiał, aż dno w mieszkku stało się czyściutkie, jak szkło. Każda sprawa jest trudna i kłopotliwa, ale

graniczna, najtrudniejsza, bo to i dowody, i rejestry, i wywody od dziada, pradziada, i świadkowie, i zejścia na grunt i pomiary.

Nietylko głupia miedza, ale cały zagon tego ambarasu nie wart; ale że w takim razie nie tyle o grunt, ile o postawienie na swoim idzie, więc obie strony forsowały, ile która tylko mogła i czem mogła. Nie brakło Wasążkowi ambicji, ale i Kobiałka w kaszy zjeść się nie dał i okrutnie ua honor był czuty; więc jak się tacy dwaj niedźwiedzie za bary porwali, to już walka musiała być zawzięta, bo jak jeden, tak i drugi prędzejby sobie dał rękę uciąć, oko wydłubać, aniżeli do zgody się nakłonić. Skoro zaczęte, to już niech się kończy; co ma kosztować, niech kosztuje i choćby z torbami pójść, byle tylko przeciwnika rozumu nauczyć.

Taka to pieniacka ambicja,

I prócz tej sprawy o miedzę, zaczęły się pomiędzy nimi i inne, nowe zupełnie. Kobiałka, ujrawszy cielę Wasążka na swym gruncie, kamieniem je zabił; Wasążek zaś sześciu gęsiom Kobiałki łby poukręcał—to już dwie nowe sprawy; Wasążkowa z Kobiałczyną przemówiły się przy studni — trzecia sprawa; Wasążek Kobiałkę pobił — znów sprawa, i tak ze sprawy w sprawę szło i coraz bardziej się plątało, a wydatki rosły.

Kobiałka trochę zamożniejszy był, więc dłużej wytrzymał i większy kredyt miał, ale Wasążkowi o grosz coraz było trudniej. Ganiał szkapinę swoją do Czarnegoblota, do innych miasteczek, ale

żydzi stwardzieli, jak kamienie, i prędzejby ze skały wodę wycisnął, niż z nich kilka rubli na tak pilną potrzebę. Z różnych beczek Wasążek próbował; naprzód od Chaskla — nie chciał; od Jukla — także nie chciał; żądał, żeby pożyczili mu wspólnie, obadwaj razem — nie chcieli.

(Idał się do miasteczka, pół dnia przesiedział pod „Łabędziem”, zaczepiał Abrama, Mendla, Dawida — ani weź.

Sprzysięgli się i zakłęli na żony, dzieci, ua szczęście handlu, że w całym Czarnemblocie na tę chwilę nie znajdzie się ani jeden rubel, wszystkie utopione są w interesach i wyłowić ich napowrót narazie nie można. Trzeba czekać.

Próbował szlachcic szczęścia w innych pobliskich miasteczkach, ale również bez skutku—i z wycieczek takich powracał smutny i przygnębiony. Wielkie, nastroszone zazwyczaj wąsiska, opuściły się do dołu, a i wierna starucha, to poczciwe bydlę, które rozumiało wszelkie myśli swego pana, stąpała pod nim powoli, ze łbem zwieszonym ku ziemi.

Nawet, w karczmach, gdzie na rozgrzewkę wstępował, zachowywał się nad podziw spokojnie i cicho.

Swoją drogą sprawy prowadził, że zaś mu żydzi pieniędzy dać nie chcieli, sprzedał krowę jedną, potem drugą... I to nie łatwo mu przyszło, gdyż żona takiego gwałtu narobiła, że aż się cała wieś zbiegła, jak na dziwowisko.

Po stracie dwóch krów Wasążkowa wciąż rozpaczała i w żalu utulić się nie mogła. Daremnie

mąż przekładał jej, że to strata tymczasowa, gdyż z chwilą wygrania sprawy wszelkie koszta na Kobiałkę spadną i będzie je musiał co do grosza zapłacić.

Waszątek był pewny wygranej, ale kobieta, na takie rzeczy nie znawczyni, sądziła po swojemu i zapowiedziała mężowi, że już mu więcej do obory zaglądać nie pozwoli i że trzeciej krowy ruszyć nie da.

— Chyba mnie pierwej na cmentarz wyprowadzisz — mówiła — aniżeli weźmiesz to bydłątko. Dość już! Dwie straciłam, takie kochane; od maleńkości wychowane... takie dobre!

Słuchać tych żalów i tego lamentu Waszątek nie mógł; uciekał więc w pole, gdziekolwiek, byle dalej od domu.

Nocował w stodole, często i głodu przymierał, a na obiad do izby nie szedł, bo kobieta, czy o łyżce, o misce, czy o czemkolwiek mówiąc, zawsze do tych krów powracała i taki zawsze lament czyniła, że tylko uszy zatykać i za dziesiątą granicę uciekać.

W dodatku do wszystkiego złego Jukiel i Chaskiel o naleźność swą dopominać się zaczęli, z początku spokojnie i grzecznie, a potem coraz ostrzej i natarczywiej; że zaś Waszątek pieniędzy nie miał, więc się o sąd cała bieda oparła. Napróżno szlachcic prosił — nie chcieli ustąpić.

— Wasan myśli, — mówił Jukiel — że z wasanem można się układać?

— Ja chcę przecież...

— Kiedy wasan kapcan jest już i układu nie

dotrzyma. Wasan prawować się lubi; wasan przeprosował wszystko, nawet krowy. Z czego wasan odda?

— Toć zitmia jest, zboże rodzi, uchowa się co z dobytku, to oddam. Nie chodzę lekko po świecie, ale jestem gospodarz.

— Oj waj... taki gospodarz? Wasan tylko koło sądu i koło karczmy gospodarstwo ma.

— Ej, nie urągaj ty... bo...

— Ty! Co to jest ty! Wasan grozi! komu wasan grozi? — rzekł Jukiel, cofając się szybko. — Wasan chce robić awanturę! Wielki pan! myśli, że się go kto złąknie...

— Niechże do Jukiel zaczeka — rzekł Waszątek — rozmówimy się po ludzku.

— Co mam rozmawiać, o czym?

— O tym długi.

— Wcale nie myślę... Na co mi rozmawianie, oddajcie, coście winni.

— Kiedy teraz nie mam.

— Ładna zabawa! Nie ma pieniędzy i chce rozmawiać... Akurat to osoba do rozmowy!

Nie lepszy był i Chaskiel; ten również napierał i o układach słuchać nie chciał. Podzielał w zupełności zdanie Jukla, że kto nic nie ma, z tym niema co mówić, — szkoda czasu.

Posypały się pozwy, wyroki, zajęcia. Waszątek głowę stracił tak dalece, że już nawet do sądu nie zaglądał, puszczał sprawy zaocznie, nie apelował — on, Waszątek, który całe życie, na procesach strawił! Przychodzi na człowieka taka chwila, że już

mu wszystko jedno... Opuszcza ręce, mówiąc: „Niech się dzieje, co chce — jut nic nie poradzę”.  
Raz wieczorem wyszedł w pole i włókł się bez żadnego celu, ot, tak, aby iść. Głowę zwiesił wąsiska opuścił, przygarbił się, wyglądał jak dziad tak dalece, że Rokita, pełną ścieżką powracający do domu, nie poznał go odrazu.  
— Wszelki duch Pana Boga chwali — zawołał — toć pan Walenty!  
— Nie poznałeś, bracie?  
— Sprawiedliwie, że nie. Coś pana tego zmogło.  
— Wielkie są grzechy nasze, Michale, więc zmożeni jesteśmy i sponiewierani — a mnie zmogło to samo, co i ciebie.  
— Słyszałem, słyszałem, że i pana Walentego obrabiają żydy po sądach. Aleć panu pół biedy, pan znający...  
Waszązek ręką machnął.  
— Niech tam! — rzekł — choć i znający, ale czem płacić nie mający, więc jrinąy... Nie dam im rady, a oni mnie zmogą. Myślałem jut i tak  
t i siak... Spekulowałem, kręciłem głowa, próbowa. Iem różnych sposobów — wszystko na nic. Zguba przychodzi na człowieka i na tem skutek.  
— I cóż oni wam, panie Walenty, zrobią?  
— To samo, co i tobie... sprzedadzą, zniszczą i na cztery wiatry wypędza.  
Rokita drgnął.  
— Ja—rzekł—ratuję się jeszcze, jak mogę.  
— Do czasu, mój bracie.

— Co mam zboża, oddaje; z przychówku oddaje, furmanki żąda—jadę, aby choć tylko z chałupy nie ruszał, i jakoś do tej pory nie rusza.  
— Do czasu, Michale, do czasu. Taki, mój bracie, to jak wilk... dasz mu jagniątko, chce owcę, daj owcę — krowy mu się chce; krowę dasz — zjadłby konia, a nie masz konia, to i ciebie samego pożre. Mówią w bajce o smoku, co mu codzień barana ua pożarcie dawali; taki smok, Michale, lepszy od naszych Jukłów i Chaskłów, bo ich żarłoczność graoicy żadnej nie ma. Tak i z tobą, bracie kochany; tak i ze mną, z drugim, dziesiątym i setnym. Wyciśnie z ciebie wszystko, co będzie mógł wycisnąć, a potem pożre cię z kośćcami...  
— Oj, mój panie Walenty, żeby on mnie miał z chałupy wyrzucić, to ja sam nie wiem, cobym uczynił?..  
— A ja wiem...  
— Powiedzcież, panie Walenty, może i mnie to się na co przyda...  
— Wątpię, mój Michale. Ja obrót sobie dam, bo edukowany jestem, a ty zaś robotnik tylko — to służby będziesz szukał. I znajdziesz, bo z ciebie oracz wielki i kosiarz wielki: siłę masz i zdatność za trzech. Gdziebądź przyjmą cię — w każdym dworze.  
— Nie...  
— A to dlaczego?  
— Bo nie pójdę do służby...  
— To co zrobisz? Może komornikiem we wsi

będziesz nu pokomornem, a do roboty aa dniówkę? tak ludzie robią.

— Chyba nie...

— Więc jakże będzie z tobą?

— Nie wiem i, Bóg świadkiem, wiedzieć nie chcę.

— O! nie ciekawys!

— Nie, panie Walenty, woję już posłuchać, co wy ze sobą poczniecie...

— Ja już sobie obmyśliłem. Wojować z żydami nie będę, bo ich nie zmożę. Oddać nie mam z czego, zniszczą mnie. Cała moja fortuna nie obstanie, żeby ich zaspokoić.

— Cała fortuna?

— Jakbyś wiedział!

— To nie może być, panie Walenty, posiadzialność macie porządną, gruntu też.

— Pójdźno, bratku, do rejenta, to się dowiesz, jak owe zagonki na wszystkie boki są opisane. Żydóm się z nich wiele, nie dostanie, ale i mnie wykurzą, jak lisa z jamy.

— I cóż poczniecie?

— Ha, mój Michale, ty szczery i dobry człowiek, tedy ci powiem. Mógłbym ekonomować gdzie na folwarku, ale nie chcę. Od maleńkości jestem na swoim, to mi kark bardzo zeszytniał. Jużbym ja nie mógł koło drzwi stać i fochów znosić, jużem za stary; ale jest jeden Pan wielki, u którego służba honorem mi będzie,

— I cóż to za pan?

— Pan Bóg nasz miłosierny, Michale. Już ja

trzy tygodnie bez roboty żadnej chodzę, jeno medytuję a dumam, dumam a medytuje; oj i dodumałem się, że wielkie są grzechy moje i wielkie zmarnowanie życia mojego było... Opatrzyłem się, bracie, ale po niewczasie... Nie trzeba było tyle kodeksów w łeb kłaść sobie, i tyle spraw prowadzić, i tyle jarmarków odwiedzać, i tyle pisania żydom podpisywać. Roześmiejesz się może ze mnie, powiesz: „obejrzał się kusy, jak mu ogon ucięli”. Prawda, bracie, ale Bóg miłosierny i jużem sobie postanowił Jemu do śmierci służyć i tak w onej służbie żywota dokonać.

— Jakże to? przy kościele?

— A jużci.

— Za dziada, czy co?

— O! zaraz ci za dziada! I to nie hańba owszem, aleć ja jeszcze na co lepszego zdatny. Na książce każdej czytam, a choćby łacińska była, też potrafię, jako, że za młodu ciekawy byłem i pokazywali mi; nabożeństwo rozumiem, a nie chwalcę się, śpiewam pięknie. Toć słyszysz nieraz w kościele. Pięknie śpiewam, co?

— Jużci prawda, jak pan Walenty zaśpiewa, to jakby kto na wielkiej trąbie zatrąbił.

— Chwalić Boga głos jest, a niema takiej pieśni kościelnej, którebym nie umiał. Nie chwalcę się, do mszy posłużę, aparat przysposobię, księdza ubiorę; więc umyśliłem sobie: pójdę w służbę Bożą i zostanę zakrystjanem.

— To nasz zakrystjan nie będzie?

— Będzie, ale przecież nie jeden kościół na świecie.  
— I daleko pan Walenty od nas odejdzie??  
— Nie bardzo. Za Kopytków.  
— Może do Biedrzeńca?  
— Nie, do Woli... Byłem tam już, mówiłem z proboszczem, obiecał przyjąć od świętego Jana.  
— No, no...  
— Cóż robić, bracie. Będę żył spokojnie, Pana Boga chwając, za grzechy odpuszczenia prosząc, i niech tam...  
Winowajcą jestem względem siebie samego, względem żony, względem dzieci, względem sąsiadów. Biję się w piersi i powiadam: moja wielka wina! Niech psi zjedzą te kodeksy i procesy, dość już mam tego. I tobie, Michale, życzę, po dobroci, ty za mną pójdz... Wszystko jedno, nie utrzymasz się tutaj.  
— A cóż ja przy panu Walentym robić będę?  
— Będziesz za dziada.  
— Nie było w moim rodzie dziadów i nie będzie.  
— Hardy z ciebie człek, Michale; parobkiem wolisz być?  
— Nie będę, panie Walenty, jakom rzekł, nie będę.  
— A czemże zostaniesz?  
— Nie wiem, głowy na to nie mam. Chałupy swojej trzymać się będę, póki mogący, i dziej się wola Boża. Wyście, panie Walenty, człowiek znający, piśmienny, wy i na książce potraficie, toście sobie obmyślili; ja chłop ciemny, nie potrafię.

Jedno tylko wiem, że ojciec mój w tej chałupie siedział, ojcowy ojciec siedział, to i ja siedzieć powinienem... Ach! panie Walenty, nie mówmy o tem, bo jak pomyślę, to mi zaraz we łbie poczyna się kotłować, gorącość u mnie bije, a potem ziąb taki czuję po plecach, jakby mnie na polu, na to mówiący, zgrzanego, zimny wiaterek obleciał—i Bóg wie, co sobie do głowy dopuszczam i w uszach mi bębni, jakby sześciu chłopów młóciło i w ślepiach się robi czerwono, a w gardzieli tak sucho, że się słowo z niej wydobyć nie może... Dziw doprawdy, że pan Walenty inaczej to rozumie  
— Niby... Jakże to dziw?..  
— A że pan Walenty tak całą swoją chudobę na ich pastwę zostawi, bez żadnej obrony, a tak się pan Walenty kodeksami przechwalał, tak zawsze dużo o prawie opowiadał.  
— He, nie myślno Michałku, że ja znów taki głupi. Ustąpię i pójdę, bo nie mam forsy na to, żeby się prawować, aleć żona moja w chałupie zostanie do czasu i żydy jeszcze długo potańcują. Narobiłem ja im kapusty dość!  
— Kapusty?  
— Juści. Cóż ty, Michale, myślisz, że ja byłem głupi czekać, aż mi oni grunt i dom opiszą? Sam po dobrej woli sprzedałem, póki był czas.  
— Jakże pan Walenty sprzedał, kiedy sam w chałupie siedzi?  
— Sprzedałem, bracie kochany, rejentalnie, pół roku temu, zanim jeszcze żydzi procesować mnie zaczęli i nie u naszego rejenta w Kopytko

wie, ale u gubernjalnego, żeby się zaraz nie roz  
niosło.

— Któż kupił?

— Byli tacy, co kupili: jeden, mój szwagier, a drugi kum, obaj przyjaciele. Ja już do mego gospodarstwa nie mam nic i jeno kobieta moja dzierżawczynią w nim siedzi. Ja biedak, ja pójdę w Świat, ale kobiety mojej nie łatwo będzie zmódz, bo ona żadnych podpisów nie dawała, a jako dzierżawczyni, za kontraktem, na swoim prawie siedzi. bydełka resztę, co mi zostało, i kobyłę moją staruchę sprzedałem też zanim wójt zajęcie dla żydów zrobił. Co do jednego oona wyzbyłem się wszystkiego, niech teraz robią, co chcą.

— Jakże, toć bydło u pana Walentego w oborze?

— Czasowo tylko, mój bracie, na przechowaniu. Tylko patrzeć właściciele prawdziwi przyjdą i zabiorą...

— Takim prawem Chaskiel, Jukiel i insze ży'dy nic nie dostaną?

— Albo ja wiem, nie moja w tem głowa, ale  
ich...

— Panie Walenty!

— A co, Michale?

— Ani w ząb nie rozumiem, co wy mówicie. Dopieroście rzekli, że jako za wielkie grzechy swoje na służbę Bożą do kościoła idziecie, że niechacie już wszystkie sprawy i procesy, że zostawiacie waszą fortunę żydom, na pastwę, a teraz znowu o procesach gadacie i że jako żydy wam nie wez

mą nic. Sprzecznie to; niby na prawo, niby na lewo, a po prawdzie ani tak, ani siak.

— Oj, nie rozumiesz ty, Michale, nic nie rozumiesz. Na prawowaoie pieniędzy nie mam, fortunę żydom zostawiam, ale nie byłbym ja Walentym Wasążkiem, nie umarłbym spokojnie, w grobie, w Świętej ziemi jeszczebym się przewracał, żeby onym gałganom kapusty nie narobił. Toć i koń, skoro go wilcy opadną., nie da się zjeść odrazu, jeno obróci się do nich tyłem i jak pocznie wierzgać, to niejednemu zęby popsuje, albo i szczękę przetrąci. Cóż ja mam być gorszego od konia? Tak się dać zjeść bez obrony? Ej, bracie kochany, to nie na mnie! Kopyt ja, coprawda nie mam, ale głowa, chwalić Boga, jest i zawczasu piwo warzyć umiem. Wasążka samego nie zjedzą, a jeżeli już przyjdzie na to, że zjedzą, to sobie zęby poszczerbią. Rozumiesz teraz, bracie?

— Nic a nic, ani słowa.

— A toć jasne, jak dzień. Moja fortuna szlachecka, kupić każdemu ją wolno; wyroki są, przyjdą żydy do opisu, a skoro przyjdą, to teraz szwagier mój i kum do nich z aktem, jako jednego jest połowa i drugiego połowa. Kupili, zapłacili, opisali się dokumentnie, a mojego niema w tem nic. Biedak jestem i w służbę idę. A chcą się do bydła dobrać i do konia, to też posprzedawane. Żydy uderza w gwałt, zaczną krzyczyć, poznają, że Wasążek twardy, że trzeba mocnych zębów na niego.

— I nic nie wskórają?



— Niewiadomo, mój bracie, może wskórają,, może i nie. Do sądu pójdą, szwagra zapozwą, kuma zapozwą, świadków zaczną ściągać, dowodzić, że te wszystkie kupna nieprawdziwe, że to tylko udanie na ich krzywdę. Dopiero się zaczną kapusta! A i to, bracie, trzeba ci wiedzieć, że rejentalny akt to twarda rzecz, niełatwo go obalić. Będą próbowali, a ja się będę śmiał. Popamiętają oni Wasążka!

Rokita zamyślił się i po chwili spytał:

— Panie Walenty, a dla mnieby pan takiego dobrego sposobu nie znalazł?

— Oj nie, bracie; tyś już dawno opisany; żeby przedtem, to jeszcze, ale teraz już nie rychło, już wszystko przypadło. Chłop głowę zwiesił i poszedł ku domowi. Gnębiło go pytanie, dlaczego Wasążek znalazł sobie sposób, a on nie ma drogi wyjścia i czy naprawdę już nie ma? Wasążek sprytny, ale chyba na świecie są sprytniejsi od niego. Trzeba poszukać.

Zaraz przyszedłszy do domu, zebrał wszystkie papiery sądowe, jakie mu podczas procesu z Chasklem przyniesiono, zebrał, złożył je porządnie, owinał w gałgan i troskliwie ukrył w zanadrzu; potem wziął kawałek chleba na drogę, kij w rękę i na całą noc poszedł do gubernjalnego miast o dziesięć mil drogi.

Tam ludzie mądrzy są i prawo znający, może oni co na jego niedolę poradzą?

Szedł równym, miarowym krokiem, szedł i roz

ważał w duchu opowiadanie Wasążka o tym koniu, co, gdy go wilki na pastwisku obskoczą, nie da się pożreć dobrowolnie, ale broni się i wierzga.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy Wasążek przyjechał do Czarnegoblota w dzień targowy, zaledwie z wozu zsiąść zdążył, obskoczyła go cała gromada żydów, wśród której prym trzymali Chaskiel i Jukiel.

— Co wasan sobie myśli? — wołał pierwszy

— Niech wasan odda dług. Co to wasan! Wasan myśli, że wasan jest wasan, wasan nie jest wasan, tylko oszust!

Jukiel usiłował pochwycić Walentego za kołnierz, ale silny szlachcic wyciągnął rękę i zakreślił nią w powietrzu koło, na skutek czego żydzi odskoczyli i hałasowali dalej z pewnej odległości.

— Kochane żydki — rzekł Wasążek — dwo ma kijami bić nie można. Skoro prawujecie się ze mną, to nie napastujcie, bo was poturbuję i zaskarżę do sądu o napaść. Lepiej rozmawiajcie po dobroci i po sprawiedliwości, to prędzej będzie jaki skutek.

— Jaki ma być skutek? Zapłać wasan!

— Oj, oj! i od tego nie odbiegam; zapłacę, tylko nie teraz, bo akurat na tę chwilę nie mam.

— No, a kiedy, kiedy wasan zapłaci?

— Żebyście byli nie szli do procesu...

— Kto do procesu chce iść? To wasan lubi się procesować, wasan jest amator do sądów!

— Fałsz mówicie, łgarstwo. Alboż to ja was pozywałem? Wy, wy sami! Powiadacie, że lubię procesy; łgarstwo jest, nie lubię. Czy stawałem w sądzie? Czy nie puszczałem wszystkiego zaocznie? Czy broniłem się? Rzekłem sobie: dość! chcą pozywać, niech pozywają; chcą mnie sprzedać, zniszczyć, niech sprzedają i niszczą. Ja się bronić nie będę, nic a nic. Rzekłem sobie: przepadło i niech się dzieje, co chce!

— Jakto, wasan się nie bronił? Co to za głupie gadanie jest? Wasan się nie bronił, a na eo wasan narobił tyle fałszywych sprzedaży, tyle oszukaństwa?!

— Niechno Jukiel o fałszu nie gada, bo to kalumnja jest. Trzeba dowieść, a jak się nie dowiedzie, to można potem cienko śpiewać.

— My dowiedzimy, my wasana wsadzimy do kryminału!

— Owszem, wsadźcie!

— Sprzedamy wszystko, zniszczymy.

— Owszem, zniszczcie! Mnie już wszystko jedno!

— Wasan chyba nie wie, co było w Zatraceńcu? Hardy puryc był, wielkiego pana udawał, teraz kapcan jest!

— Teraz go wcale niema!

— Niech wasan wie o tem, że my potrafimy pokazać swoją sztukę!

— Wiem, wiem — odrzekł szlachcic wy

mądrzy jesteście, znacie prawo na wylot! Ha! wola wasza, prawujcie, choć zgodnym sposobem pewniejszy skutek.

— To niech wasan zgodnie płaci!

— Jak wasza wola, ja na wszystko przystaję.

— Wiec góźdzmy się.

— Tu, na rynku?

— A gdzie wasan chce?

— Nie, moi kochani, zgoda musi być robiona pod dachem i przy szkle. O suchej gębie jeszcze nikt porządnej zgody nie zrobił.

— To chodźmy pod „Łabędzia”.

— Owszem, idźcie, ja tam nadejdę, tylko muszę się jeszcze z jednym człowiekiem zobaczyć.

Rozeszli się.

W stacji „pod Łabędziem” było pełno ludzi, a nad głowami zgromadzonych, unosił się gęsty obłok dymu z fajek, cygar i papierosów.

Waszązek siedział przy osobnym stoliku z kilkoma szaraczkami i popijał piwo, gdy nadbiegł zadyszany Jukiel.

— No, panie Walenty? — zapytał — robimy koniec. Co wasan myśli? Ja chcę, żeby już raz był koniec. Cały ten interes uprzykrzył mi się; więcej tracę czasu, niż to warto.

— Ja to samo powiadam.

— Wasan to samo powiada! Ja się dziwię, Wasan wciąż powiada, że zgoda, że dobrze, a pieniędzy wasan nie pokazuje.

Takim sposobem nigdy nie dojdziemy do ładu.

— Owszem, ja choćby i dziś.

— No, to płać wasan.

— Akurat w tej chwili nie mam, ale spodzie

wam się, jest taki interes, ie pieniądze będą i to niemałe pieniądze.

— Ale kiedy?

— No, najdalej za kwartał. Nie mówie, jak co, skąd, bo się boję zdrady; ale. jeszcze Waszązek będzie pan, jeszcze sobie gruntu kawał kupi, dom postawi!

— No, no, niech wasan kupi, a tymczasem co będzie?

— Co tylko Jukiel zechce. Zgoda — owszem, proces — owszem, wasza woła!

Żyd ramionami wzruszył i odszedł.

— Słuchaj no Waluś — rzekł szwagier Waszązka, tuż obok niego siedzący, — skąd na ciebie fortuna jaka ma spaść?

— Cicho, cicho, to jeno dla zadaniu myślunku żydowi tak się rzekło.

— I cóż ci z tego przyjdzie, mój Walusiu?

— Jedno z drugim nic, ale zawsze odwłoka. On dobrze wie, że ja przez całe życie moje po sądach chodziłem i może myśleć, że po prawdzie ua leży mi się trochę pieniędzy po ludziach. Będzie przepytywał, będzie szukał, a tymczasem dzień za dniem ucieka. Nie wadzi, że się żydowi trochę ślepie zamydli.

— Jednak może was prawować za te sprze daże.

— Śmiej się! bracie, długa to historia! Niech prawuje, ale nie wiadomo, co wyprawuje. Już ja dobrze to sobie w głowie kalkulowałem i rozważyłem. Ma mnie zjeść, niech zje, ale przynajmniej

niech sobie zębów trochę napsuje. Niech wie, że trafi się inszy człowiek twardy. Oto, widzisz, takiego panicza z Zatraceńca to wnet zgryźli.

— Oj, zniszczyli go do nitki, to prawda.

— Zawszeć to tak bywało rzekł Waszązek — i po nas tak samo będzie. Pana zjedzą, chłopca zjedzą, tylko z nami, co nie jesteśmy ani panowie, ani chłopci, trudniej im idzie. Ja im tam mojego mienia łatwo nie oddam, potańcują oni jeszcze kawał czasu, zanim się do skutku dobiją, ale ja nie mam na tańcowanie forsy, to obróciłem zawczasu kota ogonem, żeby oni musieli tańcować i pieniądze z kieszeni wykladać. Co dalej będzie, to będzie, ale zawszeć ta choć człowiekowi pociecha, że się im sprawę zamąciło, kapusty narobiło i że muszą teraz dobrze łbami kręcić i dużo na kosztą wydać, zanim p\*zyjdą do czego.

— Nie wielkać to, mój Walenty, pociecha!

— Jak dla kogo; dla mnie wielka. Jak ja widzę, że taki lichwiarz tańcuje, to mi jakoś na sercu lżej.

Tego dnia Waszązek bardzo się do szwagra rozczulał, gawędzili obszernie, nawzajem honory sobie świadcząc, pomimo, że nieraz bywały pomiędzy nimi procesy i spory zawzięte o byle co.

Atoli tak Waszązek, jak i jego szwagierek, jedną mieli zasadę, a mianowicie: że w familji kłócić się można, ale niechby kto obcy jednego z familjantów zaczepił, to wtenczag, choćby i powaśnieni, choćby nawet w kłótniach będący, powinni za „familjantem" stanąć, jak mur i bronić go całą mocą.

Tak i teraz było. Walenty, porywczy i do kłótni pobopny, nie bardzo się zbliżka zadawał z rodziną, ale kiedy widział, że z nim źle być może i postanowił odebranie należności utrudnić, wszyscy szwagrowie i bracia najchętniej w tem mu dopomogli i liczyć mógł napewno, że go żaden nie zdradzi.

— I wilk w pojedynkę nie straszny — mawiał często Waszązek — a w gromadzie niech Bóg broni go spotkać.

Po południu na targu Jukiel Waszązkowego szwagra zaczął pytać:

— Czy wasan słyszał, co Walenty mówił do mnie pod „Łabędziem”?

— Słyszałem.

— Co wasan myśli, czy to może być prawda, czy też łgarstwo jest.

— Może być tak i tak.

— No, przecież wasan szwagier jest, powinien wiedzieć. Jak się wasanu zdaje?

— Widzi Jukiel, to tak: Walenty dużo procesów miał — i swoich, i za cudzemi, bywało, chodził, bo niema co mówić, głowacz to wielki do takiej roboty. Wyroków u niego pełna skrzynia, to też i nie dziw, jeżeliby gdzie jeszcze jaki należności miał.

— Naprawdę?

— A juści...

— A wasan nie wie, jakie to należności?

— O, żebym ja wiedział, tobym zaraz i swojego dochodził, bo to my ze szwagrem różnych sta

rych rachunków mamy dość. Prawowanie pomiędzy nami było nie jedno i nie dwa — ale nie wiem. Przypominam ja sobie, że on przy parcelacji paru majątków się kręcił, kupców na grunt sprowadza?, porękawiczne duże miał dostać. Nie dostał. Procesował, sprawę wygrał, na hypotekę wszedł. Moznaby spenetrować, żeby czas był; ale w naszym stanie biednym od gospodarstwa trudno się oderwać, a po drugie, jeżdżenie po miastach, szukanie, to koszt znaczny... Ale wypłynie to kiedyś na wierzch jak oliwa, a wtenczas ja swoje odzyskam. Nie będę pytał, że to szwagierek, jeno stanę, gdzie trzeba, i powiem: oddajno, kochaneczku, co moje...

— Jukiel zamyślił się, a szlachcic, westchnąwszy głęboko, dodał:

— Wiadomo, że różnie się z ludźmi dzieje na świecie; dziś człek może być na wozie, jutro pod wozem, a pojutrze znowu na wozie. Może nie?

— Bywa, rozmaicie bywa, rzekł Jukiel — ale częściej źle, niżeli dobrze; trzeba się dowiady

Gdy już targ się skończył i rynek opustoszał, zaczęli z różnych stron miasteczka, z różnych uliczek i domków, schodzić się kupcy czarnobłoccy.

Rozeszła się plotka, że coś nieprzyjemnego zagraża lichwiarzom, ale lękali się wszyscy.

Dziś takie czasy paskudne, że kto bierze tylko pięć kopiejek od rubla tygodniowo, także nazywany jest lichwiarzem!

Wszyscy dążyli na rynek, aby się stanowcze

go czegoś dowiedzieć i tyczenie to spełniło się do pewnego stopnia. Jankiel Bas otrzymał list bardzo ciekawy. Pismo było niedługie, lecz nader interesujące i pełne treści, tak dalece, że przeczytawszy je Jankiel natychmiast udał się na rynek.

Szedł, jak zawsze, powoli, małowówny i majestatyczny, czapkę na tył głowy nasunął i z pięknej porcelanowej fajki dym puszczał.

Wnet zebrała się koło niego gromadka współobywateli; każdy bowiem z miny Jankła poznał, że człowiek ten coś ważnego do powiedzenia ma.

Gromadka powiększała się szybko, bo już oddawno w Czarnembłocie taki jest obyczaj, że gdy czterech żydów rozmawia na rynku, to do każdego z nich przyłącza się także po czterech i do każdego z tych przyłączonych znów po czterech i tak dalej, dopóki wszyscy mężowie pełnoletni nie uformują wielkiego zgromadzenia.

Tak było i w tym wypadku. Jankła Basa otoczyła pokaźna gromadka słuchaczy, uważnych, baczących, chciwie połykających każdy wyraz, — pomimo, że smak tych wyrazów był niezmiernie gorzki, kwaśny i przykry.

Czego człowiek nie przełknie.

Otóż Jankiel Bas potwierdził, na podstawie świeżo otrzymanego listu, że chociaż w szkaradnych plotkach, jakie rozpuszczono, jest część przesady, fałszu, ale jest również znaczna część prawdy; że dziś interesa, które były niegdyś bardzo przyjemne i korzystne, przybierają charakter śliski i niepewny; że jeżeli dotychczas kapitalista ryzy

kował, ii może natrafić na niewypłacalnego dłużnika, to obecnie ryzykuje, że może natrafić na sąd, na sprawę, na utratę zysku i w dodatku na kryminał, jednym słowem, że ma być. prawo o lichwie.

(idy Jankiel to oświadczył, zrobił się wielki krzyk).

— Co? jak? dlaczego — pytano ze wszystkich stron.

— Dziwne pytanie! A wiecie wy, dla czego deszcz pada?

— Deszcz? Co nam do deszczu?

— No widzicie, on pada dla tego, że... pada!

— Jest zupełna racja — rzekł Uszer Engelman. Nam się nie podoba, że woda z góry cieknie i na nosy nam kapie, ale wodzie to jest zupełnie wszystko jedno.

— Wcale niema racji! — zawołał Głancman Uszer się myli. Tak jest, myli się. Mowa o desz. czu. Bardzo dobrze, deszcz pada. Niech sobie pada, skoro nie możemy go powstrzymać, ale kto wam broni ukryć się na ten czas pod dachem, albo sprawić sobie porządny parasol?

— Racja, wielka racja! — zawołał.

— Pięknie powiedział Głancman — rzekł Uszer spokojnie, — chociaż tego, co rzekłem o deszczu, bynajmniej nie obalił. Swoją drogą słowa Głancmana byłyby jeszcze piękniejsze, gdyby zechciał wskazać nam, gdzie jest ów dach, albo i czego można zrobić parasol, mogący zasłonić od nieprzyjemnej i niepożądaney wilgoci? Dopóki nam

tych wskazówek nie da, słowa jego będą tylko słowami.

— Prawda, prawda! — odezwano się w gromadzie. — Dajcie nam dach, dajcie parasol!

— Jabym sądził — odezwał się Mojsie Fisz — że jest jeden niezawodny sposób uchronienia się od tej zimnej wody, która niejednemu może wlać się za kołnierz... Sposób doskonały, niezawodny, a taki pewny, że już pewniejszego wynaleźć nie można. Wycofać się całkiem z takich interesów i na przyszłość wcale się nimi nie zajmować. To jest sposobi

W zgromadzeniu zrobiła się cisza, trwała ona jednak bardzo krótko, ktoś krzyknął!

— Mojsie jest głupi!

Wykrzyk ten zaczęto powtarzać różnymi głosami, ku wielkiemu oburzeniu meza Małki. Chciał się bronić, nie pozwolono mu przyjść do głosu, usiłował przemówić, zakrzyczano go.

W zgromadzeniu zrobił się wielki gwałt i rechwach, wszyscy mówili jednocześnie, a ponieważ każdy pragnął, aby jego głos był słyszany, więc zrobił się wielki rechwach.

Można było wyrozumieć tylko to, że rada Mojsia odrzuconą zostają z oburzeniem, że nikt nie myśli bynajmniej o odwróceniu deszczu, lecz każdy pragnie, żeby mu dano parasol. Przedewszystkiem dobry parasol, a deszcz niech sobie pada, dopóki sam nie ustanie,

Jankiel nakazał milczenie — i uciszyło się zupełnie.

— Trzeba radzie — rzekł poważnie — głów u nas nie brak.

— Kto uia radzić? — zapytano.

— Każdy, kto ma głowę, niech ją puści w ruch. Zamiast coby miał spać, niech myśli; zamiast coby miał jeść — niech myśli; kiedy będzie się znajdował w drodze — niech myśli. Nie sposób, żeby takie wielkie myślenie miało pozostać bez skutku. Skutek być musi. Wiecie, o co idzie, wiecie, że będzie deszcz, więc szyjcie parasol.

— Tak — potwierdził Uszer — szyjcie parasol; niech was to nie zraża, że będzie on zrobiony z kawałków, taki jest znacznie mocniejszy i wytrwalszy, bo jeżeli na jakiś materiał da się łatę, to oczywiście te warstwy będą o wiele mocniejsze, aniżeli sam materiał z nowości.

— Aj, aj! — odezwał się krawiec Mordka, — nasz Uszer każdą myśl ślicznie sfastrygować potrafi. Na moje sumienie, on mówi jak, najlepszy krawiec!

— Ładny komplement! Mordka niech pilnuje swego fachu; jeszcze nie przyszedł czas, żeby krawcy sądzili słowa uczonych! — zawołał oburzony Mojsie Fisz.

— Tymczasem — odrzekł Mordko — prawo tego sądu przywłaszczają, sobie... szynkarze!

— Od początku świata tak było — rzekł Engelman — że wykpiwaliśmy się od różnych, nieraz bardzo przykrych i niemiłych interesów, więc i teraz znajdzie się jakiś sposób.

Pocieszeni tą myślą, członkowie zgromadzenia

zaczęli się rozchodzić do domów, a Jankiel zaprosił do siebie kilku poważniejszych, oraz biegłych w prawic.

W zaufanem kółku toczyła się narada, na której przedewszystkiem zapadło postanowienie, żeby wszystkie już zawarte interesa pożyczkowe kończyć i egzekwować co najrychlej. Chociażby nawet ze stratą, byleby tylko był koniec. Podrugie, trzeba było obmyślić sposób bezpiecznego pożyczania pieniędzy.

Proponowano rozmaite.

Pożyczka na zwyczajny rewers jest źle widziana przez sądy, ale może być. kupno i sprzedaż.

Dlaczego chłop nie ma być winien żydkowi miejskiemu za konia, krowę, lub za wóz?

— Dobrze rzekł Mojsze — ale gdzie ukryje się procent?

— W koniu, albo w krowie.

— To ładne jest!

— Nie bardzo — rzekł Jankiel Bas — ludzie, gotowi wbrew prawdzie twierdzić, że koń nie jest koń, tylko nie całkiem wypłacony pieniądz. Oni gotowi są znaleźć procent nawet w koniu.

— Więc cóż robić?

— Ja wam powiem — rzekł pokątny doradca — procent należy schować w wyrok sądowy.

— Jakim sposobem?

— Mówię wam, że to najlepsze schowanie. Sąd może grymasić, gdy zobaczy weksel, rewers, lub dokument prywatny; ale gdy mu się pokaże jego własny wyrok, to grymasić nie będzie; nie powie, że jest fałsz, albo oszukaństwo.

— To prawda, ale chcąc mieć wyrok, trzeba wprzód mieć rewers.

— Bardzo łatwy na to sposób jest. Dawniej, jrdy chłop żądał pieniędzy, braliście od niego rewers i interes był skończony; teraz weźmiecie wprzód rewers, ale pieniędzy nie dacie aż zapadnie wyrok. W rewersie będzie napisano, że Maciej winien wam, dajmy na to, sto rubli, że pożyczył rok temu, że obowiązał się płacić procent mały dwanaście od sta na rok i że nie zapłacił dotąd ani procentu, ani kapitału. Pozwiecie Macieja do sądu, Maciej się stawi i przyświadczy, że to prawda.

— A jeżeli nie zechce?

— Jakto nie zechce. Skoro mu pilno potrzeba pieniędzy, to wszystko zechce, co wy tylko zechcecie, Wszystko przyzna, podpisze. Zapadnie wyrok, uprawomocni się, wtenczas wypłacicie Maciejowi pożyczkę, a wypłacicie tyle, ile wam się podoba.

— No, no, dobry sposób!

— Bardzo dobry. Różne rzeczy można ukąsić, ale prawomocnego wyroku to już nikt nie ukąsi.

Wszyscy prawnicy czarnobłoccy zaczęli tę rzecz rozważać; ten i ów rzucił jeszcze jakiś projekt, ale ostatecznie odrzucono wszystkie, tylko ten jeden uznano za dobry.

— Jakoż zapadło postanowienie ostateczne, które polecono rozgłosić i rozpowszechnić, jak najszerzej: na rynku, w sklepach, „pod Zielonym Łabędziem”, wszędzie, gdzie tylko zgromadzają się żydkowie.

Postanowienie było bardzo krótkie, obejmowało tylko dwa punkta, a mianowicie: Wszystkie dawniejsze interesa jak najprędzej kończyć, a nowych nie robić inaczej, jak tylko na prawomocny wyrok.

Takie hasło rozniosło się z ust do ust po całym Czarnemblocie, takie hasło podane zostało przez pantoflową pocztę do okolicznych wiosek, do odległych zakątków, wszędzie, gdzie tylko mogą być interesa i pieniężne tranzakcje. Gdy doszło ono do uszu Chaskła, ten postanowił natychmiast zlicytować mienie j chudobę Rokity.

#### ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Wiadomość o bliskim termin, sprzedały mienia przez Chaskła spadła na Rokitę jak piorun; aż się zatoczył nieborak, jakby uderzony obuchem. Prosił Chaskła, błagał, ale napróżno — dzień sprzedaży nadchodził.

Rokita nie wierzył, żeby to mogło przyjść do skutku, nie przypuszczał ani na chwilę. Kiedy baba zaczęła płakać i zawodzić, że ja z dziećmi na ulicę wyrzucą, że ją z wszystkiego mienia wyzują, pocieszał ją i próbował uspokoić, że Chaskła uprosi.

— Już mu się do reszty zaprzędam — mówił — wszystko, co zechce tylko, dam, do najcięż

szej roboty się zaprzęgnę dla niego, niech mi jeno da siedzieć w tej chałupie. Dzieci podrosną, zaczną robić u ludzi, zbierze się trochę grosza i wykupimy się kiedyś... Tymczasem niech tylko siedzieć da... Chce z mojego gruntu dochód ciągnąć, niech ciągnie jako i teraz, ja i to przetrzymam.. Będę go prosił, molestował, nuż uproszę...

Poszedł tedy do Chaskła rano, poszedł go prosić. Widocznie jednak przewidywał żyd, że tak będzie i chciał widzenia się z Rokitą uniknąć, gdyż jeszcze przed wschodem słońca do miasteczka wyjechał.

Dowiedziawszy się o tem, Rokita zaraz z miejsca, nawet do chałupy swojej nie wstępując, puścił się w drogę.

Szedł szybko, męczył się, pot grubymi kroplami spływał mu po czole. Od kilku dni, pod wpływem zmartwienia i niepokoju, człowiek ten prawie nic nie jadł, ale głodu nic czuł; dręczyło go tylko niezmiernie, nie dające się niczem uspokoić pra gnienie. W każdej wiosce przy drodze zatrzymywał się przy pierwszej studni, jaką spotkał, i pił wodę długo, chciwie, bez pomiarkowania. Pomimo tego jednak pragnienie nie ustawało, gorączka paliła go, jak ogień, w gardle schło, w piersiach chwilami tchu brakło, w skroniach coś łomotało, jak młotem.

Kilkakrotnie miał chęć rzucić się na ziemię i poleżeć, ale jakaś siła szczególna popychała go naprzód; koniecznie chciał żyda widzieć; rozmówić się z nim, uprosić.

Przy rogate w Czarnemblocie zatoczył się i zachwiał na nogach. Ostatnim wysiłkiem dowlókl się do szynkowni, wódki kazał sobie podać całą kwaterkę mocnej, najmocniejszej, jaka jest. Wypił duszkiem, rzucił kilka miedziaków szynkarzowi i wyszedł wzmocniony. Doznawał takiego wrażenia, jak gdyby płomień miał w piersiach, a przytem był tak błądy, że aż ludzie, patrząc na niego, stawali.

Chaskiel stał na środku rynku i rozmawiał z żydami, gdy Rokita nadszedł i dotknął go zlekka w ramię.

Żyd się obejrzał.

— Co chcesz?! — zapyta! opryskliwe.

— Chasklu, ja do was potrzebę mam — rzekł Rokita pokornie.

— Ja do ciebie nie mam żadnej potrzeby, idź sobie!

— Chasklu!...



— No, no, słuchajcie no — rzeki Chaskiel do żydów — ten chłop ma do mnie interes!... Ładny interesant! No, co chcesz? Masz zboże do sprzedania, może konia, może bydłę? Owszem, daj. ja kupię, ale ty nie masz nic do sprzedania, wszystko coś miał, toś przemarnował, przepiłeś, czego teraz żadasz odemnie?  
— Chasklu, ja parę słów na osobności chcę wam rzec.  
— Gadaj przy ludziach, ja nic potrzebuję żadnych osobności.  
— Więc przy ludziach powiadam: Chasklu,

miejcie litość nademną, nad żoną, nad dziećmi, nie wyganajcie z chałupy, nie marnujcie naszego mienia, ja was proszę! Proszę was, miejcie litość! Co chcecie, robić będę, odpracuję, odslużę. Każdej ro. boty się podejmę, gdzie każecie, pójdę, jeno zostawcie w chałupie. Ona po ojcach i po dziadkach, jam się w niej urodził, w niej się dziatek dochował, był gospodarzem.

— Co ty chcesz? — wołał zaperzony Chaskiel — co ty chcesz? żebym ja ci zrobił prezent z takiej sumy; żeby ja ci podarował taki duży majątek? Co to, czy ja nie mam żony i dzieci, czy ja potrzebuję napychać ciebie pieniędzmi?

— Chasklu, pofolgujcie... Toć Bóg najwyższy widzi, żem wam nic nie winien, że co wzięłem od was, tom w dubelt oddał pieniędzmi, zbożem, odrobił furmankami, żeście mnie jeno opętali na te kwitki, którem podpisywał, nie znawca ja na pismo i człowiek ciemny, niewiedzący. Nie bądźcież kamieniem, toć proszę was i skomlę przed wami i schylam się, jak pies. Chasklu, trzeba mieć litość!

Żyd rzucił się, jak ukąszony.

— Ty łajdaku! — wołał — ty pijaku. Ty powiadasz, że mnie się od ciebie nic nie należy! Ty chcesz być mądrzejszym od samego sadu. Tyś zabrał moje pieniądze, moją pracę, moją krew i żadasz, żebym ja tobie folgował...

— Więc nic od was nie uzyskam, nie uproszę, nie ubłagam, mam zginąć marnie, jak robak... Chaskiel!

Żydzi, otaczający Chaskla, śmiać się głośno zaczęli.

Bawił ich ten olbrzym, to uosobienie siły w Rokicie, płaszczącej się w pokorze przed takim drobnym, wątłym żydkiem.

— Chasklu — powtarzał Rokita — więc nic nie uproszę, nic nie uzyskam?

— Idź do cholery, ty pijaku, ja wcale nie mam przyjemności z tobą rozmawiać. Wynoś się do djabła!

Chłop wstrząsnął się jak pies, gdy go zimną wodą obleją, mruknął przez zęby jakieś przekleństwo, a pięść jego zaciśnięta, z szybkością błyska wicy, niby młot żelazny ugodziła w skroń Chaskla.

Stało się to w jednym mgnieniu oka, żyd padł na ziemię bez ruchu.

— Gwałt! rozbój! — wrzeszczeli inni. — Ty łajdak! ty zbójca! Trzymajcie go!

Ale zbójca uciekać nie myślał; stał nieruchomy, jak głaz, i wpatrywał się w leżącego, mrużąc;

— Chasklu, toć zgódźmy się przecię... Co chcesz, jak chcesz, odrobie...

Żydzi zaczęli Chaskla cucić, sądząc, że zemdlał; jeden pobiegł po doktora, lecz zanim ten przyszedł, znalazł się felczer Icek, pochylił się nad Jeżącym, dotknął go i zawołał;

— Nie żyje!

— Nie żyje! Zabił! Zamordował — wołali

inni.

Zrobił się wrzask piekielny, a w chwili później tłum ludzi zgromadził się na rynku. Rozległy się krzyki, przekleństwa, a Rokita stał wśród tej gromady, blady śmiertelnie, prawie nieprzytomny, może nawet nierozumiejący, co się stało.

Rzucono się do niego, chciano bić, wiązać, ale chłop odepchnął najbliższych i stanął w pozycji obronnej.

Burmistrz śpieszył na miejsce wypadku, a za nim kilku mieszczan; już mu powiedziano, co się stało.

— Tyś zabił? — zapytał Rokitę.

— Bóg świadkiem, nie chciałem, jenom go trącił, ręka ociężala z żalości. On mnie wpierw jeszcze zabił.

— Słyszysz pan, co ten zbrodniarz gada?! Chaskiel jego zabił! My jesteśmy świadki, my byliśmy przy tem!

— Weźcie go! — rzekł burmistrz do mieszczan.

Kilku silacyi mężczyzn rzuciło się na Rokitę.

— Dajcie pokój, ludzie! — rzekł spokojnie — pójdę i wami. Już czy tak, czy siak, zginąłem...

Wprowadzono go do izby, mającej okno opatrzone kratami żelaznemi i zamknięto. Zostawszy sam, rzucił się na podłogę i leżał, patrząc w sufit szeroko otwartemi oczami. Chciał myśli zebrać, ale nie mógł, plątały się one w jego głowie bezładnie, a w kilka godzin później, gdy burmistrz

#### ZAKOŃCZENIE.

Dużo ludziom dał do myślenia i do mówienia postępek Rokity i jego śmierć rychła w szpitalu i biedny los wdowy oraz sierot, jakie pozostawił. Opowiadali jedni drugim o zbrodni ze wszystkimi szczegółami, a niejeden, chociaż nie widział i nie wiedział, to zmyślił sobie, byle tylko coś powiedzieć; ale dzień za dniem szedł, świeże kłopoty, świeże nowiny przynosił, więc powoli zapominali ludzie o Michale i zanim jeszcze mogła dobrze zadarnić się nad nim, już mało kto biednego Rokitę wspominał, czasem tylko w kościele pocziwy kto za jego dusze westchnął prosząc Boga o miłosierdzie dla grzesznika.

Rokicina z dzieckiem najmłodszym w służbę aż na trzecią wieś poszła, trzech starszych Rokiciaków, jako że już do lżejszej roboty byli zdolni, do folwarku w sąsiedztwie przyjęto. Dwaj przy do spisania protokołu kazał go przyprowadzić, wstać już nie mógł; był nieprzytomny i mówił od rzeczy, a z urywanych słów można było rozumieć, że prosi o coś, obiecuje odrobić, zapłacić...

Nazajutrz odwieziono go do powiatowego miasta, do szpitala, a zamtąd, po tygodniu na cmentarz.

Zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

stajni są, trzeci przy dworskim kowalu rzemiosła się uczy.

Wasząek słowa dotrzymał, zakrystjanem jest, z siedziby swojej ustąpił, ale tak interesa zagmatwał, zaplątał, tyle różnych pozornych aktów porobił, że żydzi głowy prawie potracili i nie wiedzą, jak to wszystko rozplatać. A on sobie nic. Gdy go który w miasteczku spotka i upomina się, on mu śmieje się w omy i powiada:

— Zostawiłem wam wszystko, bierzcie i udławcie się...

Żyd spluwa i odchodzi, a szlachciura śmieje się, rusza wąsiskami; kontent, że takiego bigosu nurobił.

W okolicy niby odmiany niema, tak samo woda płynie w rzece, tak samo las szumi, tak samo się łąki zielenią, ale dzieje się jakoś inaczej niż dawniej; ludzie zaczynają oczy otwierać, widzieć to, czego nie widzieli dawniej, jakoś im trochę lżej i otucha w nich insza na przyszłość. Dobry przykład zaraźliwy jest, ale to zaraza pocziwa, niech by się rozkrzewiała szeroko, niechby objęła wszystkich nieopatrznych niedołęgów, rozrzutników, pi M jaków.

Fabryka spółkowa doskonale idzie, sklep coraz się powiększa, Piotruś z Franusia żyją pocziwie i szczęśliwie. Inny jest w okolicy ruch, inne życie, ludzie z dalekich stron przyjeżdżają dla zakupu bryczek, dla sprawunków, nieraz i dworskie konie można ujrzyć, przed sklepem, a koszykarz, co parę

tygodni ogromny, drabiniasty wóz koszów i drobiazgów różnych do stacji kolei odstawia. Ojcowie, ci najbardziej co gruntu mają niewiele, chętnie chłopców na naukę do kołodzieja, do kowala, do koszykarza oddają, gdyż na przykładzie zobaczyli, że kto ma fach w ręku, ten może spokojnie żyć i pracować, choć roli własnej nie mając. Onań bo zawsze jednakowa, jak ją Pan Bóg stworzył, nie powiększy się, ani pomniejszy, a ludzi wciąż przybywa. Dwanaście morgów dość było dla ojca, ale dla jego trzech lub czterech synów, to już tyle znaczy co i nic. Jeden się musi przy gospodarstwie zostać, a innych spłacić, aby mieli o czym w inny jaki sposób na kawałek chleba pocziwie zapracować — a już najlepszy sposób zapracowania, jeżeli kto roli nie posiada, to rzemiosło). Rzemieslnik uczciwy, rzetelny, nie fuszer, słowny a pracowity i oszczędny, zawsze do grosza dojdzie i poszanowanie u ludzi ma.

Nieraz, przy święcie, stateczniejsi gospodarze gawędzili o tem, nieraz zastanawiali się, jakby dopomódz tym nieopatrzny biedakom, co jak muchy w sieć pajęczą, uwikłani zostali. Myślą kasę przy gminie zasilić, oszczędności swoje tam składać, aby w razie potrzeby, zagrożonym, uczciwą pożyczką przyjsć w pomoc — a i o tem także była mowa, że pożyczka, choćby najdogodniejsza i najtańsza, nie zbawi, jeżeli ten, kto jej potrzebuje, nie wejrzy w siebie, nie zrzeknie się złych nałogów, nie dołoży pracy i trudu.

Tak myśleli ludzie stateczni, a dobra to rzecz,

gdy kto myśleć zaczyna i zastanawia się poważnie — zawsze z tego pożytek wynika, bo myśl dobra to niby światło, jeden jej promyk rozprasza ciemności.

## RÓŻOWE SZKIEŁKA

### POWIEŚĆ

#### I.

W skromnie umeblowanym saloniku na Lesznie, siedziały dwie kobiety. Starsza czytała z zajęciem „Kuryera”, młodsza pochyliła jasną główkę nad krosionkami, pracując nad wyszyciem obrazu jakiejś czulej pary, na tle egzotycznych roślin i kwiatów. Właśnie obliczała ilo krzyżyków zawiera płomienne oko włóczkowego bohatera, gdy starsza z okrzykiem przerażenia i zdziwienia zarazem, zawołała:

— Julciu! Julciu! Jezus Marya, jakaż okropna wiadomość!

— Co się stało? cioteczko — zapytało jasnowłose dziewczę, zwracając ku mówiącej duże niebieskie oczy.

— Wyobraź sobie, duszko, że Dezydery umarł! przezacny Dezydery! Mój Boże, czyż widząc go przed dwudziestoma pięcioma laty, przypuszczałam, że go już

nigdy oglądać nie będę. Tak, tak, nio mylę się, to byle istotnie przed laty dwudziestoma pięcioma, wówczas jeszcze żył mąż mój nieboszczyk, świoć Panie nad jogo duszą... Ktoby się spodziewał, mój Boże...

— Przepraszam cioteczkę, kto był ten pan Dezydery?

— Kto? kto był Dezydery? Wstydź się, Julciu, sądziłam, że lepiej ci są znane nasze koligacje i stosunki rodzinne? Pan Dezydery był to stryjeczny brat twego ojca. Czyż podobna, żebyś nie wiedziała o tem?

— Istotnie, słyszałam, że mam stryja tego imienia, ale nie spotkałam go nigdy w życiu... Co zaś do koligacji rodzinnych wogóle, to droga cioteczko co nam po nich? Czy w najcięższych dla nas czasach, kiedy Wiktor nio miał jeszcze posady, a ja żadnego zajęcia, ktokolwiek z tej licznej, a jak ciocia twierdzi, świetnej koligacji znał nas? czy przyszedł nam z pomocą..

— Dziecko jesteś; zawsze co rodzina, to rodzina, zwłaszcza, gdy się w niej liczy tyle nazwisk starych i pięknych...

— Najpiękniejsze nazwisko nie jest to, jakie sobie człowiek sam zdobyć potrafi.

— Książki ci w głowach przewróciły, kochanie... ale Dezydery! Dezydery! ktoby się spodziewał? Umarł w Meranie, na obczyźnie, zdala od swoich, pewnie mu nawet garstki ziemi nikt na trumnę nie rzucił.

— Czy mieszkał stale zagranicą?

— Właściwie, jeżeli mam ci prawdę powiedzieć, to on nigdzie nio mieszkał.

— Jakto, cioteczko?

— Dziwak był. Majętny bardzo i oszczędny przytem

lubił podróżować; w podróżach tych nie trwonił pieniędzy, mieszkał w trzeciorzędnych hotelach, żywił się byle czem, ale za to wszędzie był, wszystko, co godne uwagi zwiędzał; powiadają nawet, że miał jakieś zbiory obrazów, starych książek, powiadają, że pisał jakieś dzieła, ale jak rzeczywiście było, nikt nie wie.

— Czy nie korespondował z krewnymi?

— Kto? on? co też ty mówisz?

— Przecież nie byłoby w tem nic dziwnego?

— Zapewne, ale mówiłam ci, że był to dziwak; nie miał zwyczaju odpisywać na listy, to też familia po kilku niefortunnych próbach dała za wygrane i nie trudziła go już więcej swoją korespondencyą.

— Czyż nie miał żony, dzieci?

— Nie, pamiętam, kiedy był jeszcze młody, sama go namawiałam, żeby się ożenił, obraziło go to bardzo, przez trzy dni mówić do mnie nie chciał. Powiedział wtenczas (pamiętam jak dziś), że człowiek myślący ma piękniejsze zadanie do spełnienia, niż siedzieć pod pantoflem kapryśnej kobiety.

— Proszę! dla czego pod pantoflem i dla czego kapryśnej?!—rzekła Julcia z nadąsaną minką—czyż wszystkie mają być kapryśne i złe.

— On tak sądził przynajmniej.

— Nieszczególne zdanie. . ale wspominała cioteczka, że ów stryjaszek był zamożny, któż więc odziedziczy te skarby, skoro nie chciał szukać kapryśnicy i żył samotnie jak odludek.

— Otóż właśnie chciałam przeczytać, ale nie datas mi przyjść do słowa, w "Kuryerze" jest coś o tem.

wypada. Jestem człowiek z pozycyą i stanowiskiem, więc mi się należy szacunek. Dziwię się nawet, że ciocia na przyjęcie takiego jak ja gościa, nie wydobyla z kieszeni przedostatniego rubla i nie kazała przynieść butelki kwaśnego wina, byłoby to przyjęcie uroczyste i odpowiadające memu stanowisku społecznemu.

— Mój Wiktorze, trzymają się ciebie jakieś niesmaczne żarty, a ja bynajmniej nie jestem do nich usposobiona, mam ciężkie zmartwienie.

— Co tam zmartwienie! powiadam cioci, że już nie ma zmartwień. Wszystkie jakie były, przeszły na suche lasy. Jestem dziś taki potentat, że się nikogo i niczego nie boję, mogę nawet bez najmniejszej obawy spotkać się z najstraszniejszym naszym gościem, rudym Ikiem z Nowolipia.

Ciotka zaprzestała przechadzki po pokoju.

— Wiktorze — rzekła — zdaje mi się, że ci się coś pomyślnego zdarzyć musiało; jeżeli tak, to nie trzymaj nas w niepewności, lecz powiedz.

— Ślicznie, kochana ciociu; powiem wszystko od początku do końca, który będzie najciekawszy, tylko pozwólcie niech myśli zbiorę, a ty, kochana siostruniu, bądź łaskawa nalej mi filiżankę herbaty.

— Masz ją, nudziarzu i mów prędeż.

— Rano jak zwykle poszedłem do banku i nieszczęście chciało, że woźny jakoś źle obszedł się z piecem; wszystkich nas głowy rozbolały, a dyrektora najbardziej. Nio pracowałyście panie w banku, nie wiecie więc, co to znaczy, gdy dyrektora głowa boli, ale mogę was zapewnić, że w takiej chwili cały bank się trzęsie; najprawniejszy weksel może nie być przyjęty do dyskonta, buchał

terzy dostają, przekaz na wszystkich dyablów, woźnym uszy puchną, słowem cały bank drży, jak podczas jakiegoś europejskiego krachu.

— Przypuszczam, ie i ty drżałeś.

— Ja nie. Na szczęście jestem w wydziale depozytów, do którego szanowny dyrektor nie zaglądał, ale koło godziny drugiej woźny wręczył mi kartę.

— Od kogo?

— Otoż to najciekawsze, od mecenasa Borutowicza.

— Cóż żądał pan mecenas?

— Wzywał mnie do swej kancelaryi w pilnym bardzo interesie.

— Naturalnie, pobiegłeś tam natychmiast.

— Nio, cioteczko, nie przymawiając obecnym, jestem mężczyzną i do pewnego stopnia przynajmniej, potrafię nad swoją ciokawością panować.

— Szkaradnik!

— O godzinie czwartej złożyłem porządnie papiery, zamknąłem biurko i dopiero poszedłem do owego jegomości. Starowina, jak kościany dziadek w złotych okuła, rach na nosie, siedział przy biurku, przeglądając akta. Gdy wszedłem, spojrział na mnie i rzekł. Zmarły niedawno serdeczny mój przyjaciel Dezydery...

— Dezydery! — zawołała ciotka — zapisał ci?! ile? mówże ilo? No, Wiktorzo, bo dalibóg rozgniewam się na ciebie. Tu idzie o ważne rzeczy, o los całego życia, a ty...

— Moja ciociu, kiedy ja sam nie wiem ile mi zapisał. — Przecież mecenas musiał ci powiedzieć.

— Powiedział tyle tylko, że stryj Dezydery, pozo

stawił u niego testament, mocą którego zapisał mi folwark zwany Kalinówką.

— Śliczny folwark, znam doskonale — zawołała ciotka z uniesieniem radości. — Ślicznie, wybornie! winszuję ci z serca.

— I ja ci winszuję, drogi braciszku—rzekła Julcia, zarzucając mu ręce na szyję,

— A o Julci nie pamiętał jednak.

— O nie ciociu, tylko dał jej inną rolę.

— Jakto?

— Mnie zrobił właścicielem większej posiadłości ziemskiej, a Julcię moim... zgadnij czem...

— Alboż ja wiem... może gospodynią, albo szafarką.

— Jeszcze gorzej... Ciebie zrobił stryjaszek moim Ickiem.

— Ickiem?!

— Jeżeli wolno, to lekową. Zalecił bowiem, aby na hypotoce Kalinówki zabezpieczyć dla ciebie dziesięć tysięcy. Umówmy się tedy o procent, moja śliczna lekowo, a nie zdzieraj bardzo, bo teraz na szlachtę ciężkie czasy, dodał, wzdychając komicznie.

— O przezorny! o zacny! niechże Pan Bóg da mu za to niebo—rzekła ciotka, składając ręce jak do modlitwy,

— Przebaczyła mu ciocia akademię?

— Dziesięć akademii mu przebaczę, skoro o krewnych pamiętał. Zacności człowiek!

— Toż samo mówił mecenas Borutowicz. Żart na stronę, kochana Julciu, ale usłyszałem przy tej sposobności wiele, wiele ciekawych rzeczy i przekonałem się, jak fałszywe bywają sądy ludzkie. Borutowicz znał stryja

Dezyderego od młodych lat: był jego przyjacielem, powiernikiem, doradcą.

— Słyszałam o tem — wtrąciła ciotka—to podobno znajomość jeszcze od szkolnej ławki.

— Tak jest i nietylko znajomość, ale przyjaźń, szacunek, uwielbienie prawie. Ten stary prawnik, z pozoru zimny jak kamień, suchy jak kodeks, przy którym całe życie przepędził, zawiędszy w starych szpargałach, miał pełne oczy też, gdy mi o stryju opowiadał. Trzymał mnie u siebie przez kilka godzin. „Musisz to wszystko wysłuchać co ci powiem, rzekł do mnie; żebyś wiedział jakiego mieliście człowieka w rodzinie i jak powinniście szanować jego pamięć i nazwisko, które nosicie. Nazywali go ludzie odludkiem i dziwakiem, wyśmiewali się z niego, że starym kawalerem pozostał, rodziny własnej nie założył, lecz on miał inne cele, rodzinę pojmował w bardzo szerokim znaczeniu. Dla niego myśmy wszyscy byli braćmi. Z fortuny jaką miał nietylko że nic nie stracił, lecz żyjąc bardzo skromnie i oszczędnie, podwoił ją prawie. Hojny zrobił zapis na cele naukowe, ale i o krownych nie zapomniał.

— Poczciwy! — wtrąciła ciotka—poczciwy Dezydery, taki śliczny folwark, bo i to trzeba ci wiedzieć, mój Wiktorze, że owa Kalinówka to złote jabłko. Co tam za położenie, jaki dworek, jaki ogród, a ziemia! Egipska ziemia, jak to mówią. Wody dość, łąki i las, jak przypuszczam niezniszczony. bo nieboszczyk nie pozwoliłby na to.

— Mówi ciocia zupełnie jak mecenas, bo i on wychwalał takżo Kalinówkę.

— Mój Wiktorzo! — zawołała Julcia—mój braciszku Kiedy tam tak pięknie, to pozwolisz mi przecież zobaczyć

kiedyś złote owo jabłko; tak dawno już nie widziałam prawdziwego pola ani lasu!

— Cóż za pytanie?! Spodziewam się, że wszyscy troje opuścimy to ciasne mieszkanie i udamy się na wieś, na swobodę. Ta myśl zachwyca mnie, ale...

— Jakież ale, mój kochany Wiktorze.

— Otoż pan Borutowicz, aczkolwiek nie narzucał mi swego zdania, radził jednak dobrze się namyśleć, czy nie lepiej będzie oddać Kalinówkę w dzierżawę, jakiemu porządnemu, pewnemu, a zamożnemu gospodarzowi. Radził mi przytem, żebym się z Warszawy nie wyprowadza!, posady w banku nie rzucał.

— Aio dla czego, mój kochany, dla czego? Skoro stryj ci zapisał majątek, dla czego nie masz z uiogo korzystać w całym znaczeniu tego wyrazu?

— Bo widzisz, moja Julciu, mecenas twierdzi, że w dzisiejszych czasach gospodarstwo jest trudne, zwłaszcza dla takiego, kto się ua niom nie zna.

— Jużci co prawda to prawda—rzekła ciotka, istotnie jest to zawód, którego nie znasz, mój Wiktorze.

— Eh! moja ciociu, czy to święci garnki lepią?! nie znam się, wielka rzecz, to się poznam z czasem, nauczę. Sam Borutowicz mówił, że w Kalinówce jest doskonały rzadca, agronom w całym znaczeniu tego wyrazu, mogę więc przy nim...

— Tak, to prawda — rzekła ciotka z westchnieniem — lecz bądź co bądź, czasy teraz nie dobre: ciągle słyszę o sprzedażach, licytacyach. Każdy obywatel narzeka.

— Moja ciociu, kto ich nie zna?! Oni zawsze tak

piszczą. Znam przecię wielu ludzi z tej sfery, przyjeżdżają tu często za interesami. Nie zdarzyło mi się jeszcze słyszeć, żeby który z nich był zadowolony. Jeżeli słońce świeci, płaczą że niema deszczu, gdy deszcz pada krzyczą, że ich woda zaleje; mając dużo zboża płaczą, że ceny niskie, skoro zaś zboże zdrożeje lamentują, że nie wiole zebrali. Znam ja ich, moja cioteczko, jak zły grosz. Widzę nieraz w handlu, jak przy butelce wina i to dobrego wina, utyskują na okropne czasy i dowodzą, że im na chleb braknie. To już natura ich taka, przyzwyczajenie, moja ciociu.

— Ale zawsze, przecież ja tyle lat na wsi mieszkałam...

— Tem bardziej, tem bardziej. Ja wiem, że cioteczka jest zawołana gospodyni; więc też oddam jej pod komendę wszystkie krowy, będzie ciocia wyrabiała sławne na całą Europę, a może i na Amerykę nawet, masło i sery, będzie ciocia smarzyła arcydzieła koronfitur i tym podobne osobliwości. O, proszę się nie wymawiać, znam ja dobrze, że tak znakomitej gospodyni jak ciocia w świecie poszukać! Nieprawdaż Julciu?

— Ależ naturalnie.

Ciotka nie obojętna na pochwałę, rzekła z uśmiechem:

— Z tego coś powiedział, mój Wiktorze, widzę, że nie pójdziesz za radą mecenasa...

— Niech się ciocia nie dziwi. Przez całe życie było mi duszno i ciasno. Młodość racja upłynęła wśród murów szkolnych, a później przy męczącej pracy biurowej, teraz więc, gdy mi się nadarza tak niespodziewana sposobność,

chciałbym odetchnąć pełną piersią, zaczerpnąć w nią aromatycznego powietrza, które mi tylko z poematów jest znane, pragnąłbym...

— Wiem ja czego byś ty pragnął, Wiktorze, rzekła Julcia—nieraz rozmawialiśmy o tem w Parku Łazienkowskim nad stawom. Pamiętasz, Wiktorze, jak mówiłeś, gdybym był bogatym.

— Jakto czy pamiętam? Cóż za pytanie! Istotnie los, a raczej stryj, którego nie znalazem zupełnie, nie mógł mnie piękniejszym uszczęśliwić podarkiem.

— Rzeczywiście folwark prześliczny — wtrąciła ciotka.

— Cóż tam folwark! to rzecz podrzędna; ale stanowisko! możność zbliżenia się do ludu, oddziaływania na niego, wszczepiania w to prostacze serca wzniosłych i szlachetnych idei.

— Zhardziało teraz chłopstwo, że trudno opowiedzieć nawet...

— Ach ciociu! takie zdanie to herezya doprawdy. Chłopstwo! co to jest chłopstwo pytam, przecież to bracia nasi, tylko duchem ubożsi,

— Kradną na potęgę, szkody robią.

— A dla czego? dla tego, że tak zwana inteligencya wiejska nie umie się z niemi obchodzić, że ich za najmniejszą rzecz ściga i prześladowuje; a mojem zdaniem to nie jest dobry system. Przecież to są ludzie, można im wyperswadować, wytłómaczyć, przekonać. Otoż możność zbliżenia się do nich, oddziaływania na ich serca prostaczo, jest dla mnie bardziej ponętna, aniżeli sam majątek. Ona mnie zachwyca i ożywia, bo wierz mi cioteczko, że



wedle mego przekonania, najpiękniejsze to zadanie człowieka stać się pożytecznym.

— Jak ty pięknie mówisz, Wiktorze!—zawołała Julcia, zarzucając ręce na szyję brata — pozwól niech cię uściskam serdecznie i wiedz, kochany mój braciszku, że będę najszczęśliwszą, jeżeli zdołam chociaż w drobnej części przyczynić się do urzeczywistnienia twoich planów.

— Dziękuję ci; znam twój sposób myślenia i wiem, że pójdziesz ze mną zawsze ręka w rękę.

— Wszystko to pięknie mój Wiktorze—rzekła ciotka— ale zdaje mi się, że należałoby...

— Ah, kochana cioteczko, należałoby przede wszystkim cieszyć się z szczęścia, które na nas najniespodziewaniej spadło.

— No tak, ale...

— Odrzućmy wszystkie ale, damy sobie przecież rady. Posiadamy majątek, a to dużo znaczy, gdyż daje możliwość urządzenia sobie życia w sposób dowolny.

— Zawsze nie obejdzie się bez kłopotów.

— Precz z niemi; na teraz przynajmniej nie troszczmy się o nie. Wogóle uważam, że ludzie zawiele żądają od losu, zanadto się skarżą na świat i na życie, a w gruncie rzeczy ono nie jest tak zło jak się niejednemu wydaje.

— Teraz tak mówisz.

— Nie tylko teraz, ale i poprzednio miałem takie same zdanie. Przechodziliśmy ciężkie koleje, to prawda, z wysiłkiem zdobywaliśmy codzienny kawałek chleba; ja chorowałem, zdawało się, że już ginimy, a przecież znaleźli się dobrzy ludzie.

Poczczywy nasz doktor podźwignął mnie z niemocy

Czas potrosze zatarł te wspomnienia, które dziś jak zasuszone kwiaty, pobladłe i bezbarwno, spoczęły na cmentarzu wspomnień.

Westchnęła tylko nad niemi dobra kobieta i zaraz zwróciła myśli na realniejszą drogę, do gospodarstwa, do służby. Ileż pracy ją czeka! Tyle lat w Kalinówce nie było dziedzica, nie było gospodyni! Bóg wie co się tam dzieje? po jakiemu wszystko idzie? Czy są ładno krowy, dość drobiu? czy czuwa nad tem kto? Wszystko wypadnie zreformować, po swojemu przerabiać. Zapewne musi tam być jakaś szafarka czy klucznica, ale jaka? Może upija się, może kradnie, może nie dozoruje wszystkiego jak należy? O ludzi teraz bardzo trudno. Ciotka wie o tem bardzo dobrze, bo ileż to już w życiu swoim miała ze sługami do czynienia! Jedna gorsza od drugiej, ale nic to, ciotka czuje się jeszcze na siłach, nie brak jej energii, zaprowadzi też w Kalinówce ład wzorowy i Julcię gospodarstwa kobiecego wyuczy, ale nie na tem koniec. Będzie musiała dobrze sąsiedztwo poznać; dla Wiktora żonę, a dla Julci męża upatrzeć. Kocha te dzieci jak swoje własne, to też i szczęście ich ma przede wszystkim na względzie. Sama i jedno i drugie wyswata, wesele dla Julci wyprawi. Myśli dobrej kobieciny biegną szybko, zmieniają się jak obrazy w kalejdoskopie, tyle ją roboty, tyle kłopotów ją czeka!

Julcia także zasnąć nie może, rozplotła długie, jasne włosy, oparła głowę na rękę i marzy. W jej wyobrażeniu wioska przedstawia się jak kartka z najpiękniejszego poematu. Marzy więc dziewczę o lasach zadumanych, czarnych, tajemniczycy, szemrzących; o srebrnych wodach,

łąkach ukwieconych, o barwnych motylach co się w powietrzu gonią i dla odpoczynku na różach siadają. Marzy, a w uszach jej dźwięczy pieśń słowików, szelest liści, wód szmery... Ah, jakież piękny świat, jaki wspaniały, jakie nieprzebrano skarbnice wdzięków posiada!

Dziewczę marzy i marzy, a nad miastem, nad wieżycami kościołów, nad okopconemi kominami fabryk, nad ulicami, w których czerwone płomyki świateł gazowych migocą, płynie księżyc poważny, spokojny i przygląda się z góry ziemi uśpionej; tej nieszczęśliwej i pięknej, tej kolebce ludzkiej i cmentarzowi zarazem; tej odwiecznej arenie życia splecionego z przemijających kwiatków, zachwyty i szczęścia i—długich, szarych pasem niedoli...

II.

Nie przesadziła ciotka, mówiąc, że Kalinówka wieś przeszlizna, a nie minął się też z prawdą i mecenas, twierdząc, że folwark doskonały.

W hypoteco, według wyrażenia regenta, czystej jak łąka (bo regenci niekiedy używają takich poetycznych porównań), już jako właściciel figuruje pan Wiktor, a suma Julci zapisana na pierwszym numerze, pewna jest (znowuż według wyrażenia regenta) jak mur i jak opoka...

Mecenas, jako wykonawca ostatniej woli pana Dezyderego, zajął się interesami, uporządkował je, formalności

załatwił, a oddając majątek Wiktorowi, w kilku serdecznych słowach życzył mu powodzenia i szczęścia.

— Wolałbym, co prawda, żebyś był Kalinówką w dzierzawę oddał—mówił —ale jesteś pełnoletni i masz swoje zdanie, ja ci mego nie narzucam, ale przyjmij radę doświadczonego człowieka i idź w ślady zanego twego stryja; oszczędzaj, zbieraj, składaj grosz do grosza, rubel do rubla. Praktycznym, przede wszystkim praktycznym bądź! Młody jesteś, marzyciel jak w ogóle ci, którzy nie przeszli jeszcze twardej szkoły życia; wszystko wydaje ci się dobrem, pięknym, szlachetnym, a w rzeczywistości jest inaczej. Rządź się dobrze, pracuj, oszczędzaj. Więcej nic ci już nie powiem, a o to coś usłyszał nie obrażaj się. Byłem szczerym przyjacielem twego stryja więc też i tobie dobrze życzę. Bądź zdrow, a w razie jakiego kłopotu, gdy będziesz potrzebował pomocy lub rady, proszę do starego Borutowicza jak w dym—i ręczę, że zawodu nie doznasz,

Wiktor uściśnął serdecznie rękę mecenasowi i odprowadził go do stacji kolei.

Kalinówka leżała w ładnym położeniu, wśród wzgórz falowatych, pokrytych lasami. Tuż za wsią, której białe chaty malowniczo były rozrzucone na pochyłości, płynęła rzeka spławna, a nad nią rozciągały się łąki szmaragdowe, pachnące.

Młyn warczał i turkotał nieustannie, bujno zboże pod tchnieniem wiatru, kołysało się jak fala wód szeroko rozlanych. Zdaleka widać było las duży, sosnowy, który jak czarna rama zamykał krajobraz.

Folwark zabudowany porządnie, otoczony wysokim

parkanem i rzędem topól wysmukłych, widać było zdaleka; nieopodal zaś znajdował się dwór, drewniany wprawdzie, ale wygodny, obszerny, z dużą werendą, po której pięło się wino dzikie.

Tuż za dworem ogród był, w części dziki, w części owocowy, a śnać założony dawno, gdyż o tem świadczyły drzewa grubo, rozrosłe, zapewne od lat kilkuset istniejące.

Ilżądca, który za życia pana Dezyderego we dworze mieszkał, teraz z rodziną do osobnego domku na folwarku się przeniósł. Dwór wybielić zewnątrz kazał, odświeżyć ze środka i na przyjęcie nowego dziedzica otworzyć.

Wiktor i Julcia zachwyceni byli widokiem nowej siedziby, ciotka, aczkolwiek nie objawiała głośno swej radości, czuła się tu jednak o wiele weselszą, swobodniejszą, aniżeli w ciasnych pokoikach na Lesznie.

Zajęła się natychmiast urządzeniem domu i gospodarstwa kobiecego, którego ster zaraz silnie w swoje ręce ujęła.

Pierwszo kilka dni ubiegły bardzo szybko; Wiktor z panem Żarskim, rządcą, objeżdżał pola i lasy, aby cały majątek obejrzeć, Julcia urządziła swój pokój, zaciszny, miłutki, z oknami wychodzącymi na ogród; przyozdabiała wszystkie stoliki bukietami świeżych kwiatów, ustawiała książki na szafio, słowem krzątała się bardzo energicznie. Z równą troskliwością starała się przyozdobić gabinet Wiktora i pokój ciotki, a chociaż ta wymawiała się, że jej bukiety i różne fatalaszki niepotrzebne, że obejść bez nich się może, jednak rada była w duszy, że mieszkanie porządnie, nawet elegancko, wygląda.

W salonie stały ładne meble z Warszawy i dosko

nały fortepian i na tym wzrok ciotki częstokroć zatrzymywał się z dumą.

Dobra kobiecina snuła już rozmaite plany, dopytywała się pilnie o sąsiadów, o ich stosunki, stan majątkowy, ale plany te nie nabrały jeszcze określonych konturów. Pan Żarski, ciągle gospodarstwom zajęty na gawędę nie wiele miał czasu, a przytem dziwnie był małowówny, pół słówkami tylko odpowiadał:

— Zły gospodarz, dobry gospodarz, źle stoi, dobrze stoi.

Oto były całe definicyo, jakimi ciekawość ciotki zaspakajał.

Szukała więc sposobności, żeby z lepszego źródła informacyi zasięgnąć. Wieczór zapadał.

Na werendzie, Wiktor z Julcią siedzieli w zamyśleniu, patrząc na obłoczki płynące po niebie, wyzłoczone od zachodzącego słońca. Ciotka krzątała się koło stołu, na którym syczał błyszczący samowar.

— Co to pana Żarskiego nie widać?—zapytała Wiktora.

— Nie przyjdzie dziś, cioteczko. Pojechał do Warszawy, po syna. Prosił, żeby mu dać urlop. Naturalnie, nie mogłem odmówić.

— Pan Żarski ma syna w gimnazyum? — zapytała Julcia.

— W uniwersytecio, siostruniu, i to już na dokończeniu podobno, miody człowiek, bardzo dobrze się uczy.

— Słyszałam coś o tem—wtrąciła ciotka—właśnie wczoraj spotkałam się na folwarku z panią Żarską, no

i ta, jak zwykle matka, zaraz wszczęta rozmowę o swoim jedynaku. Poczciwa jakaś kobiecina i bardzo jej dobrze z oczów patrzy. W każdym razie daleko jest sympatyczniejsza, aniżeli jej małżonek, milczący jak mumia egipska, z którego trzech słów trudno wydobyć!

— Cóż ciocia chce? prosty, skromny człowieczysko, zapracowany całe życie, jak wół w jarzmie.

— Podobno dawniej był gdzieś ekonomem, czy pisarzem prowentowym.

— Czy mu to ubliża?

— Zapewne że nie, ale zawsze...

— Jakto ale?

— Widzę, że masz ochotę sprzeczać się. Co do mnie, nie jestem usposobiona do dysput, w których oczywiście wy młodzi, czytani, zawsze mnie przegadacie.

— Bo też doprawdy zrozumieć trudno — odezwała się Julcia — jak ciocia, osoba z tak dobrem sercem, może mieć tego rodzaju uprzedzenia.

Ciotka chciała coś odpowiedzieć, ale turkot kół na dziedzińcu zwrócił jej uwagę w inną stronę.

— Patrzcie no — rzekła — ktoś jedzie do uas.

— Zdaje mi się, że jakiś żyd.

Rzeczywiście przed ganek zatoczyła się biedka i z niej wyskoczył chudy, ruchliwy żyd, o bystro biegających oczach i płowej spiczastej, trochę szpakowatej już, brodzie.

Uklonił się bardzo nisko i trzymając czapkę w rękę zbliżył się ku werendzie.

— Kłaniam jasnego państwa! — rzekł — bardzo kła

uiam, życzę zdrowie i szczęście na nowe fortunę, na takie fortunę! aj waj jakie to jest fortunę!!

— Dziękujemy — odrzekł Wiktor — ale któż pan jesteś? jeżeli wolno zapytać.

— Wielmożny pan mie nie zna? — rzekł zdumiony, — mnie wielmożny pan nie zna?!

— Istotnie, nie miałem dotychczas przyjemności.

— Dżywno mi, dalibóg dżywno, mnie tu wszystkie znają, na wiele? na pięć, na dziesięć mil wokoło!

— Być może, ale my mieszkaliśmy dotychczas jeszcze dalej.

— I to prawda jest. Ja sobie nazywam Jojna Imbryk, mieszkam niedaleko w miasto Bosekaczki, mam swój dom, po dworach jeżdżę, handluję; kupuję trochę zboża, wełny, okowity, co można, czasem bydlę, albo kunia, albo skorków z owiec. Jak wiadomo, po żydowsku, aby żyć! Pan Ziarski mnie już dawno zna i może poświadczyć, że jostem rzetelny, sprawiedliwy, nie tak jak insze łajdaki. Nie skodzę nikomu, lubię trzymać swoje słowo, a jak potrzeba, to wygodzę. Niech wielmożny pan spyta panu Ziarskiemu, co on sobie myśli o Jojne Imbryk? to pan Ziarski powie, że niema takich trzy Jojne Imbryk, ani takich dwa Jojne Imbryk, tylko jest jeden sprawiedliwy, rzietelny Jojne Imbryk na cale Bosekaczki!

— Ciesz się, że widzisz przed sobą tak sprawiedliwego męża, ale co pana do nas sprowadza?

— Ja, z przeproszeniem wielmożnego pana sam sobie tu sprowadziłem! Na co miał mnie kto prowadzić? przecie, Bogu dziękować, nie jestem mało dziecko, sam nawet wnuczków już mam!

— Ale...

— Ale, proszę wielmożnego pana, to jest tak: ja psijechałem, żeby się państwu pokłonić, ot tak sobie, dla grzeczności i przyjechałem całkiem bez interesu, a wtem, że przyjechałem bez interesu, to jest właśnie cały interes!

Julcia rozśmiała się.

— Co pan mówisz? — rzekła.

— Ja prawdę mówię, trzeba tylko sobie to rozważyć w delikatne główke, a wielmożna panienka zaraz zrozumie.

Naprzykład, ja tu dziś nie mam chęć co kupić, więc nie mam żaden interes; ale poznać takie godne osobo, to ja myślę, że jest wielgi interes!

— Mój Jojna—odezwała się ciotka — powiedzcie mi, proszę, czy stary Abram Imbryk jeszcze żyje i czy to jaki wasz krewny?

— Pani dobrodziejka zna stary Abram Imbryk?! z kąd pani jemu zna? to jest mój ojciec, mój rodzony ojciec jest! Un już teraz bardzo stary, un już nie handluje, un tylko buble czyta. Na moje sumienie, nie mogę zmiarkować z kąd wielmożna pani zna starego Abrama?

— Dawne to dzieje, mój Jojno; niegdyś przepędzałam tu po kilka miesięcy u krewnych, w tej samej Kalinówce, w Zagórowie, w Białowodach, w Motylach. Pamiętam więc doskonale waszego ojca, bo wo wszystkich tych dworach bywał za interesami.

— Ny, ny, sprawiedliwie powiadają, co góra z górą się nie spotka, ale szlachta z żydkom zawsze. Aj waj, oj waj! Pani dobrodziejka pamięta dobrych czasów, ładnych czasów! Mój ojciec, to czasem lubi opowiadać jak dawno buwało. Aj, aj, wielmożca pani! gdzie te czasów

jest? te wsiów, te borów, te przeniców, te interesów?! Gdzie uni jest? Gdzie uni sobie popodziejali?! Dziś tylko zmartwienie, ścisk, zgryzota...

— No, cóż robie? Powiedzcie mi jednak, jakże tu teraz? W Zagórowie pewnie państwo Jasińscy dotychczas?

— Proszę wielmożnej pani, tam już trzeci dziedzic jest. Drugi to bul żyd, Kłopiisz, kupił Zagórow na licytację, a potem sprzedał go panu Marcinkowskiemu. Kłopfisz dobry interes zrobił, ale i pan Marcinkowski nie stracił. Un wielgi gospodarz jest! ha, ha! jaki gospodarz, z pełnem gębem osoba!

— Ma dzieci?

— Tylko jednego syna i córeczkę, ot tak jak wielmożna panienka. Syn uczy sobie gospodarować przy ojcu; tegi panicz, tylko ma jeden mały feler.

— Kulawy?

— Zdrów jak bik, tylko ma troche świerzbień w kieszeń; lubi kupić ładny koń, kawałek powozik; lubi sobie jeździć na polowanie, zwyczajnie jak panicz. Ojciec, znów ma węża w kieszeni, chciałby z jednego rubla zrobić pięć. On synowi nie daje dużo, un sobie gniewa jak syn traci. Za to mama to jest pani z wielgiem fanaberyem. Una tak patrzy na ludzi, jakby sama siedziała na dachu, a wszystkie chodzili po ziemi jak muchy. Una by chciała, żeby jej synek wszędzie buł na pierwszego numeru. W Motylach to jest znów na wywrót; pan Brogowicz jest z dużem fanaberyem, a pani za to bardzo delikatna. To już staro ludzie, dzieciów wyposażyli, sobie zostawili jeden folwark i siedzą. Un lubi czasem w karty zagrać, czasem

do Warszawy pojechać; una więcej w domu, rzadko kiedy jeździ nawet do swoich dzieciów w gościnę.

— Wszystko nowi sąsiedzi, nie znam ich.

— Zkąd wielmożna pani znać ich ma? — spytał Jojna—tu się ich tyle przewinęło przez ostatnie dwadzieścia lat, aż trudno spamiętać. Jak czasem przychodzi od Pana Boga ua ludzi, nie w złe godzinę powiedzieć jaka słabość, tak na tych wsiów przychodziło licytacyow. Dziś jednemu sprzedali, jutro drugiemu, za tydzień trzeci wyleciał! to buło sądny dzień, na moje sumienie!]

— Przecież teraz ta epidemia ustała już chyba — wtrącił Wiktor.

— Ny, prawda jest. Una niby ustała i teraz nie praktykuje się tak często; ale zawsze między nasze szlachta nie braknie kapcanów i bankrutów. Uni biedne są, uni sobie szarpią, mordują, aby jeszcze rok, aby jeszcze rok, a potem? potem to uni powiadają; „niech sobie szwiat zawali! niech sobie do góry z nogami przewróci. Uni biedne jest, ale co mają robić? Kuźdy chce żyć i uni takżo, uni potrafią sprzedać takie zbożo co sobie wcale nie urodzi i welna z takich owców co uni jeszcze nie żyją.

— A któż to kupuje?

— Kto ma kupować? żydy kupują.

— Na pewną stratę?

— Co wielmożny pan powiada? W handlu to nigdy nic jest ani pewny zysk, ani pewne stratę, może być tak, a może być inaczej. Różnie się trafi; po drugie, nasze życie żydowskie, także całkiem na łataniu stoi; tu trza urwać, tam przyczepić; trzeba z tego wiatru co sobie idzie w polu, zrobić kawałek chleba. Szlachcic kapcan, choć

ma ziemię, ma swój dach nad głową, ma co jeść, żyd jest gorszy kapcan, bo z kapcana żyć potrzebuje; ale co to gadać, proszę wielmożnego pana; tak buło, tak jest i tak już będzie.

— No, może kiedyś...

— Chyba wtenczas, jak sobie pan Kaliciński ożeni.

— Jak? jak?—zawołała Julcia.

— Aj. psiepraszam, zapomniałem co państwo z innych stron, tutejsze interesów nie znają.

— Więc wytłomacz nam pan co to znaczy?

— U nas taka przypowieśćka jest. Tu niedaleko od państwa, w Toczkach, mieszka sobie szlachcic, pan Kaliciński. Nie wiem, czy w cało nasze miasteczko zdybie się pięć żydów, żeby im nie był winien; no, ma się rozumieć, żydy upominają się o swoje, a un powiada bardzo grzecznie każdemu: „słuchaj ty kichanoczku, ty sobie nie frasuj, ja tobio wszystko co do grosza oddam, tylko sobie ożonię." Un tak gada i un tak sobie ciągło żeni, może piętnaście, może ośranaście lat; tymczasem do tej pory nikt o jego weselu nie słuchał i nikt od niego grosza nic widział. Więc między naszemi żydkami jest taka przypowieśćka, że jak kto zrobi marny interes, co kapitał będzie całkiem przepadniał, to powiadają, że odbierzo swoje pieuiądze, jak sobie pan Kaliciński ożeni!

— Ale dla czegożby się nie miał ożenić? — spytał Wiktor.

— Albo ja wiem, proszę wielmożnego pana. Jest jeszcze nie bardzo stary, chociaż i nie bardzo też młody, wygląda tak jak inne panowie, folwarczek ma, co prawda nie duży, ale ma.

— Może nie stara się o żonę?

— Właśnie, proszę wielmożnego pana, on się tylko tom trudni. Nasz Mosiek, wiołgi krawiec, pierwszy na cale Bosekaczki, ma z pana Kalicińskiego cale utrzymanie. Un jemu ciągle szyje ładnych kamizelków, paltonów, jak zwyczajnio dla kawalera i to wszystko napróżno. Ja miarkuję co oni oba nie mają szczęścia do takich interesów.

— Jak to oba?

— Ny, tak ten co szyję paltonów jak i ten co sobie w nich chodzi.

Ciotka rozśmiała się.

— No, mój panie Jojna— rzekła—nie każdy patrzy na garderobę, być bardzo może że ten pan ma taki charakter niedobry, że go nikt nie chce za zięcia.

— Aj, jaki charakter? co on ma miód za charakter? na co jemu charakter?

— Przecież musi być albo dobry, albo zły; albo uczciwy albo nie.

— Ja pani co powiem. Un nie jest ani dobry, ani zły, ani taki ani owaki; zwyczajny sobie szlachcic, z przeproszeniem, ani pachnie ani śmierdzi, albo to mało na świecie takie ludzie jest?! Proszę pani, czy to każdy człowiek ma charakter?

— No jakże?

— Ha! ha! jak wielmożna pani chce poznać prawdziwo charakter, to niech pani pojedzie do Biało wody, tam siedzi szlachcic co ma wiołgi charakter.

— Któż to taki?

— Pan Mirkowicz! Osoba!, na moje sumienie osoba!

jak jestem żyd rodzony, tak prawdę powiadam wielmożnego państwa, co taki człowiek rzadko się trafi.

— Czemżeż odznacza się ten pan Mirkowicz?

— Proszę wielmożnej pani, co długo gadać, on jest pan, porządny pan jest! Jego każde słowo to ma wagę jak złoto, można na niego mur postawić, ono będzie jak buł. Gdzie on buł, to my tam nie będziemy, a co un widział, to my też nie będziemy oglądać; proszę zobaczyć jego gospodarstwo! jego dom!

— Młody człowiek?

— Nie, człowiek letni już, ma trochę białe włosów, ale zdrów, mocny jest. Cały dzień może stoć w polu, a jeszcze w nocy lubi książki czytać. Z niego nasze żydki nie mają wielkiego zarobku, ale bardzo jemu szanują. Bo jak nie mają szanować, proszę wielmożnej pani? tu raz buł takie zdarzenie co się zrobiało Wielgie sprawie o las, między szlachcicem i żydem. Dwa lata włóczyli sobie po sądach, zwozili delegacyów, komisyoów, buł cały kram i wjelgie zawrócenie głowę, a żadnego skutku, tylko kosztów narobiło się niech Pan Bóg bronie wiele! Nareszcie i żyd i szlachcic zgodzili sobie, żeby pan Mirkowicz ten interes rozsądził. Un rozsądził! Ha! ha! ja bułem przy tym sądzie, ja mam jeszcze smak w gębie od te sprawiedliwość!!

— Strony były zadowolone z wyroku?

— Jedno słowo powiem: żaden rabin nie mógłby lepiej osądzić.

— Pan Mirkowicz dawno już mieszka w Białowodach?

— Nie bardzo, całkiem może dziesięć lat, może dwanaście...

— Familijny jest?

— Ma żonę i córeczkę też ma: piękna panna, powiadają, że z wielkiem ednkacyem. Więcej dzieci to on niema, tylko tę jednę córeczkę, nazywają ją panna Wanda.

— Czy Jojna często bywa w Białowodach?

— Jak wypadnie, nie często, ale czasem przytrafuje się interes, to jestem.

— No, mój Jojno — rzekła ciotka — bardzo dobrze zrobiłeś, żeś do nas przyjechał, dowiedzieliśmy się od ciebie różnych ciekawych rzoczy.

— Nu, Bogu dziękować, jestem sobie żydek, a od tego żydki są, żeby różnych ciekawych rzeczów powiedzieli. Jak tu nie powiedzieć takim państwu, a najbardziej wielmożnej pani, co pamięta jeszcze mojego ojca!

— Ja myślę, że to już zgrzybiały starzec, wiele on lat mieć może? bo za mojej pamięci już był siwy jak gołąb.

— Wiele lat?! Kto to wie? niech on sobie żyje drugie tyle i więcej; un teraz ciągle czyta, ciągle czyta, a u nas to wielgi honor jest, jak kto w domu tylko święte księgi pilnuje.

— No, napijże się herbaty, panie Jojna, poczęstowałabym cię czem lepszym, ale wy u nas nie jadacie.

— No, co zrobić, proszę wielnioiuej pani, każdy musi swój zakon utrzymywać.

Jojna z nieśmiałością, na brzeżku krzesła usiadłby herbatę wypił, potem kłaniając się, jeszcze raz szczęścia nowym dziedzicom życzył, i wgramoliwszy się na swoją biedkę, odjechał.

Tymczasem mrok już zapadł zupełny, na niebie zaja

śniały gwiazdy, łagodny wiatr przynosił zapach kwiatów z łąk skoszonych świeżo.

W pokoju zapalono światło i wszyscy z werendy tam przeszli.

Julcia od śmiechu wstrzymać się nie mogła.

— Zabawny jest ten pan Jojna Imbryk — rzekła — ze swojemi sądami o ludziach, z mową pełną przeróżnych sentencji. Siliłam się na powagę, żeby się głośno nie rozśmiać, a ciocia umyślnie podtrzymywała rozmowę i wy ciągała żyda na słówka.

— Co prawda — wtrącił Wiktor, nie przyszło to z trudnością, bo też ów Imbryk jest bardzo gadatliwy; istna szkatulka grająca, aby tylko nakręcić, brzęczy jak najęty.

— Moje dzieci — rzekła ciotka — nie znacie wiejskich żydów. Wszyscy oni tacy: to już nie od dzisiaj. Zawsze tak po wsiach bywało, że żyd do dworu nowinki przynosił, a dawniej jeszcze, gdy tyle gazet nie istniało, to wszystkiego dowiadywano się od żydów. Mój ojciec nieboszczyk, a trzeba wam wiedzieć, że był zawzięty polityk, zawsze żydowi więcej wierzył niż gazetce.

— Zdaje się, że cioteczka wzięła tę wiarę w spadku — rzekł z uśmiechem Wiktor.

— Tak, tak — dodała Julcia — pan Imbryk dostał się też na iulagacyę nie żartem.

— Śmiecie się, moje dzioci. ale ja swojo zrobiłam, wiem przynajmniej w jakim sąsiedztwie jestem i czego mam się trzymać. Z kim żyć, a kogo omijać...

— Dla czego omijać?

— No, przynajmniej sami, że z tym panom Kaliciń



skim z Toczków, który ciągle się żeni a nie może się ożenić, nie chciałabym zawierać bliższej znajomości.

— Kto wie, moja cieciu — rzeki Wiktor — a może właśnie Julcia położy kres męczarniom tego biednego młodzieńca.

— Dajże mi pokój, mój kochany. Tego jeszcze brakowało, żebyś mnie przyczepił do tekstu jakiejś anegdotki żydowskiej, rozśmieszającej wspaniałe miasto Bosekaczki.

— No, nie gniewaj się, siostruniu, to żarty.

— Ja was pożegnam, moje dzieci—rzekła ciotka— wstaję teraz tak rano, że nie mogę wieczorami dotrzymać wam towarzystwa.

— bo też ciocia niepotrzebnie doprawdy, zrywa się o wschodzie, jest przecię ktucznicą, tyle służby.

— Ach, moja droga, komu to dziś można wierzyć? dobrzebyśmy wyszli, zdawszy się na łaskę tak zwanej służby. Ale dobranoc, i wam również nie radzę długo siedzieć, lepiej wstać rano, po gospodarsku.

Gdy ciotka wyszła, Julcia rzekła do brata:

— Wiesz co, Wiktorku, że wcale nie mam intencji iść za radą ciotki, jeszcze nie mogę bowiem pozbyć się miejskich przyzwyczajęń. Jeżeliś łaskaw, chodź ze mną do ogrodu, pogawędzimy, podumamy trochę.

— A i owszem, noc piękna, chodźmy.

W ogrodzie, klomby róż roznosiły upajający zapach, staro drzewa szumiały poważnie, z oddalenia dolatywał turkot kół młyńskich i szum wody spadającej ze szluzu.

Bral z siostrą w milczeniu przeszli kilkakrotnie przez główną, szeroką aleję, poczem usiedli na ławce.

— Jaka ja jestem szczęśliwa! mój braciszku—mówiła Julcia, kładąc rękę na ramieniu Wiktora—jaka jestem szczęśliwa, to opowiedzieć nie umiem! Pomijając to, że po kilku latach ciężkiego, mozolnego życia, walki o kawałek chleba i ciągłego niepokoju o przyszłość, mamy nareszcie być spokojny i niezależny; pominąwszy to, powtarzam, bo ostatecznie, nawet wśród trosk i kłopotów, można sobie życie znośnym uczynić, ale tu mamy skarb nieoceniony, wielki skarb!

— O czym chcesz mówić, siostrzyczko?

— O tym, że tu jest powietrze ożywcze, uzdrawiająco, że ono będzie dla ciebie zbawiennym lekarstwem.

— Ja teraz dobrze się czuję.

— A jednak jesteś mizerny i bladej. Kalinówka przywróci ci rumieńce. Przed wyjazdem z Warszawy chodziłam do naszego pocziwego doktora, aby go pożegnać i zarazem zasięgnąć rady co do ciebie.

— Jak ty zawsze o mnie pamiętasz!

— Dwoje nas tylko jest, mój bracie, powinniśmy się więc kochać tem bardziej. Doktor powiedział, że wieś uleczy cię ostatecznie, już przez to samo, że cię uwalnia od pracy kancelaryjnej, siedzącej.

— Nie rozumiem dla czego tak się o mnie troszczysz; co prawda nie jestem Herkulesem, ale też nie widzę powodu do obaw, do jakiejś pieczołowitości szczególnej, którą tylko chorych otaczać należy. Lepiej oto o czym innym pomówmy. Spełniło się to, o czym zaledwie śmieliśmy marzyć niokiedy. Jesteśmy na wsi, wśród ludu; mamy niezależność i środki czynienia dobrze, znajdujemy się od dni kilku, no i cóż zrobiliśmy moja Juleczko kochana?

— Ja dotychczas nic a nic.

— I ja podobnież.

— Razem to niewiele, ale na usprawiedliwienie nasze powiem, że przecież musieliśmy się jakoś urządzić, rozpatrzeć. Ciebie pan Żarski woził ciągle po polach, ja znów miałam w domu dosyć krzątani, owej drobiazgowej roboty kobiecej, która może nie wiele warta, ale bądź co bądź konieczna jest. Od jutra chciałabym zacząć inną pracę: właśnie powzięłam zamiar wybrać się na wieś, do chat, zobaczyć co robią wiejskie kobiety, jak chowają dzieci, jak je uczą i czego uczą? Może znajdę chorych, biednych, potrzebujących pomocy, będę szczęśliwa, gdy co dla nich uczynię i wyobrażam sobie, że po jakimś czasie pomiędzy dworkiem naszym, a temi chatami co nad rzeką się ciągną, zawiąże się stosunek serdeczny, jak najlepszy.

— Nie wątpię, że tak będzie, moja Julciu, jestem przekonany bowiem, że dobrocią i łagodnością można z prostymi ludźmi zawsze trafić do ładu. Szkoda, że nie wszyscy są tego zdania.

— Czy mówiłeś już z kim o tej kwestyi? — A właśnie, z naszym panem Żarskim.

— Czyż on dysputuje? taki małowówny człowiek, zdaje się, że trzech zliczyć nie potrafi.

— Jest przedmiot, który go bardzo zajmuje i czyni niezwykle wymownym.

— Gospodarstwo?

— Tak, gospodarstwo i wszystko co ma z nim związek. Rzecz niepojęta dla iunio. Pan Żarski z pozoru wygląda sympatycznie, zdaje się, że jest człowiek z uczu

ciem i z sercem; mecenas Borutowicz twierdzi, że równie uczciwego administratora majątku rzadko w swoim życiu spotkał, a jednak...

Masz jakio podejrzenia?

— Ależ broń Boże!

— Więc?

— Rażą mnie jego poglądy, sposób postępowania, obojętność się z ludźmi. Wyobraż sobie, kiedyśmy przyjechali do lasu pokazał mi kilka pni świeżo ściętych i powiedział, że wszystkim sprawcom kradzieży pozabiera! siekiery i zapozwał ich do sądu. Gdy mu powiedział, że za surowo postąpił, oburzył się i rzekł, że to jeszcze za mało, że ze złodziei natęży siódmą skórę ściągać!

— Cóż za średniowieczne poglądy!

— Ze służbą obchodzi się ostro, stanowczo, bezwzględnie co każe to musi być spełniono natychmiast; o najmniejszą bagatelkę robi tyle krzyku, jakby Bóg wie co się stało, a przytom (przyznał mi się z całą otwartością), jeżeli krzyk nie pomoże, to woła owego parobka czy fornała na osobność i jako niezwykle silny, używa bardziej przekonujących argumentów.

— Jak to, czyżby bił?!

— Sam mi to powiedział, ale co najdziwniejsza, moja droga, że pomimo to wszystko, ludzie nasi w ogień by za nim poszli.

— Za nim? niepodobna!

— Pytałem się stangreta, czy kontenci są z pana Żarskiego—i czy wiesz co mi odpowiedział? Odpowiedział, ie tak dobrego człowieka, jak nasz rządca, w okolicy niema, io ludzie dobijają się o służbę w Kalinówce, a jak

się który tu dostanie, to siedzi; są parobcy i fornale od dwudziestu i więcej lat w obowiązku. Teraz kochana siostrzyczko, może mi wytłomaczysz tę zagadkę, bo ja zrozumieć jej na żaden sposób nie mogę.

III.

Na ogromnym karecianym koniu, jechał jakiś jegomość wysoki niezwykle, szczupły, ubrany z przesadzoną czysto prowincjonalną elegancją. Spiczasta bródka hiszpańska uczerniona, również jako i cienkie, w kształt mysich ogonków skręcone wąsiki czyniły go podobnym do Don Kiszota z Manszy. Ogromny koń stąpał dumnie i z powagą, a jeździec, z powodu zbyt słusznego wzrostu przygarbiony trochę, jaśniał elegancją i szykiem. Od czapki aż do lakierków wszystko było na nim nowiuteńkie, prosto z igły.

Wyglądał jak z pudełeczka wyjęty, notabene, jeżeli można wyobrazić sobie pudełeczko, mające przynajmniej, biednie licząc, sześć stóp i dziewięć cali długości.

Obok konia biegł chart także ogromny i chudy, nieodstępny pana Kalicińskiego towarzysz. Niefortunny konkurent, który lubił studyować stare sztychy i ilustracye, nabrał przekonania, że wszyscy dawni rycerze, zarówno w wyprawach, jako też na łowach, mieli przy sobie takie psiska, wychudzone i długie.

Kaliciński zapoznał się z Wiktorem, Julcią i ciotką w niedzielę u proboszcza, po nabożeństwie, i zaraz też powziął myśl odwiedzenia Kalinówki i złożenia pierwszej wizyty.

Los szczególnie sprzyjał jego marzeniom, albowiem Wiktor właśnie wyjechał za interesami do miasta, ciotka poszła na folwark, a w domu była tylko sama Julcia.

Gdy wszedł do pokoju, podała mu rączkę z uśmiechem i rzekła.

— Witam pana sąsiada, w tej chwili poszłam na folwark po ciocię, a tymczasem proszę się rozgościć; niechże pan będzie łaskaw spocznie. Konika pańskiego już odprowadzono do stajni, a piesek jak widzę położył się na ganku, prześliczne stworzenie!

— Niezrównanej wierności, proszę pani, niezrównanej, jedyny powiernik mych smutków i towarzysz samotności...

— Co do drugiego, przypuszczam, ale żeby mógł być pańskim powiernikiem trudno uwierzyć.

— A jednak... Niema pani wyobrażenia co to za pocziwe stworzenie... doprawdy! Utrzymują, że chart jest najgłupszy ze wszystkich psów, ale to nie prawda; bo proszę pani, gdyby tak było, to zkądżeby się wziął, jak przedstawiają nam obrazy, w psiarni bogini łowów Dyany? coby robił przy wielkich rycerzach, sławnych kawalerach? wreszcie dla czego by ustanawiano od niego podatek? bo od takich psów płaci się podatek, proszę pani.

— Nie wiedziałam o tem.

— Przy dzisiejszym systemacie, wszystko co cenne, co ma cechę kosztowności...

Julcia rozśraiała się.

— Nie przypuszczałam — rzekła — żeby pies ten, aczkolwiek może bardzo znakomity...

— O, znakomity! istotnie rzadkiej znakomitości, dla niego dogonić zająca to fraszka, zdusić lisa głupstwo, a kot to dla niego mucha. Opal jest moim nieodstępnym towarzyszem i stróżem, bo on się Opal nazywa, proszę pani.

— W symbolice klejnotów, to kamień smutku podobno.

— Tak jest. Z umysłu mu takie miano nadałem—i ja też jestem zawsze smutny, zawsze rozczarowany, pełen zawodów, zmartwień, goryczy.

— Eh, może pan zbyt czarno na świat patrzy.

— Nie pani, nie, ja nie patrzę czarno, ale doznawszy tyle zawodów, nie zrozumiany, odpychany...

— Czy pan nie jest czasem poeta?

— Wie pani co, nie zastanawiałem się nigdy nad tem pytaniem.

— I nie pisuje pan wierszy?

— Owszem, pisywałem za młodu bardzo dużo... To jest, cóż ja mówię za młodu; widzi pani, że i dziś nie jestem przecież stary, ale za bardzo wczesnej, wczesnej młodości. Dziś już bym tego nie potrafił.

— Dla czego?

— Ręka ociężała, proszę pani, ręka. My rolnicy, dźwigając przez całe życie pług, przekazany przez pradziadów...

— Czy być może, osobiście? własnymi rękami?

— To jest właściwie nie własnymi, ale po części i własnymi; bo proszę pani, cóż zrobić, jak parobek orze

za płytko, albo za głęboko; jak zamiast odwalić skibę prosto jak strzebił, robi gzygaki jakieś, ani w pięć ani w dziewięć, na pośmiewisko ludziom, wtenczas naturalnie...

— Rozumiem, wtenczas pan własnymi rękami...

— Co robić, proszę pani? istotnie własnymi rękami huknę go w kark, aż mu się babka przyśni.

— Ależ panie, to barbarzyństwo—i pan tak robisz? pan, który niegdyś pisywałeś wiersze.

Kaliciński wielkie oczy zrobił.

— A cóż to jedno drugiemu przeszkadza? Wiersze wierszami, a robota swoim porządkiem. Zresztą to już było dawno. Pamiętam dobrze, po całych dniach siedziałem nad przepisywaniem, całe książki przepisywałem, na kolorowym papierze, na welinach, na atlasie nawet.

— Więc pan tylko przepisywał?

— A jakże miało być inaczej? przecież jak kto chce wiersze napisać, to musi je z kądś przepisać, z książki, albo jeżeli umie, z pamięci.

Julcia nie oponowała. Postanowiła zwrócić rozmowę na inny przedmiot.

— Czy tu się bawią w okolicy?—spytała.

— Jak czasem — odrzekł, patrząc na swe błyszczące buty i jak gdzie.

— Ale w ogóle?

— W ogóle powiedziałbym, że nie ażebym... Dawniej to prędzej jakaś zebrała się partyjka, dziś nawet z dziadkiem trudno skleić.

— Pan mówi o kartach?

— Ja nic nie mówię, odpowiadam tylko na pytanie. Pani wybaczy, czasem bywam trochę roztargniony, zwła

szcza, gdy całą moją myśl, całe, jakby to powiedzieć jostestwo, zajmuje i pochłania wyłącznie tylko jeden przedmiot... Przedmiot, który... do którego... to jest właściwie powiedziałem któremu...

Biedny Kaliciński chciał od razu przystąpić do rzeczy i wykrztusić wyznanie, a przynajmniej dać do zrozumienia, że nie przyjeżdża bez celu, ale widocznie nie miał szczęścia. Raz, że frazes, który zawczasu przygotował sobie, opracował, zaokrąglił, uwiązał mu jakoś w gardło i na żaden sposób wydobyć się nie mógł; a powtóre, że i ciotka, dowiedziawszy się o przybyciu gościa, pospieszyła do domu.

Gdy weszła do saloniku, Kaliciński zerwał się z krzesła, wyprostował i złożył głęboki ukłon.

Po wymianie wzajemnych grzeczności, ciotka z łatwością poprowadziła rozmowę, w której jednak nie znalazło się miejsca na rozczarowanie, zawody, oraz na ów przedmiot, który... do którego... któremu...

Ciotka była bardzo uprzejma dla gościa, dopytywała go o stosunki rodzinne i jak zaczęła kombinować rozmaite konneksyo i koligacje, znalazła pewno powinowactwo pomiędzy rodziną Kalicińskich a własną. Stary kawaler zachwycony był pizyjenciem jakiego doznał, z fantazyją podkręcał wąsiki i pieścił się w duszy nadzieją, że wszystko pójdzie jak z płatka. To przekonanie dodawało mu humoru, a że Julcia również rada była pożartować i pośmiać się trochę, więc czas schodził szybko na gawędco.

Powrócił też i Wiktor, ale jakiś zirytowany i kwaśny, widocznym było, że silił się tylko, aby być uprzej

mym dla gościa i że z trudnością ukrywał w sobie jakąś troskę, czy kłopot.

Julcia dostrzegła to niezwykle zachowanie się brata i korzystając z chwili, w której ciotka z panem Kalicińskim zastanawiała się nad koligacjami jakiejś rodziny, szepnęła do stojącego przy oknie Wiktora.

— Co łobie jest, mój drogi?

— Nic, moja Julciu.

— O, nie ukrywaj przedemną! Mnie nie wyprowadzisz w pole, ja czytam w twoich oczach jak w książce.

— Później ci powiem.

— Nie, nie, powiedz zaraz, uspokój mnie, bo widzę, że cię coś niezwykle musiało spotkać.

— Miałem znowuż z Żarskim przeprawę.

— O co?

— Ah, o te głupie awantury leśno, wyobraź sobie, że podziękował za obowiązek, chce wyjechać ztąd; ale później ci to opowiem, teraz trzeba się zająć naszym gościem.

— Masz słuszność, chodźmy do stołu.

— Pan Wiktor—odezwał się Kaliciński—z pewnością wieś polubi, gdy dłużej pomiędzy nami pomieszka. Na jesieni szczególnie bardzo tu przyjemnie, zwłaszcza z chartami...

— Nie jestem ja wielkim amatorem myślistwa.

— A tak, tak, w gruncie rzeczy nie ma się czem zachwycać, ja sam nie lubię chodzić z wyżłem po błotach, ani też stać na stanowisku w losie, ale z chartami, pailio, to co innego, to powiedziałbym jest rozrywka rycerska!

— Z jakiego względu?

— No widzi pan, polowanie ze strzelbą opiera się na podstępnie, tu zaś jest walka; zającowi czy lisowi pozostawia się możliwość ucieczki; jeżeli mu się życie nie uprzykrzyło niech zmyka.

— Ale toż i człowiek przy takiej zabawce może kark skręcić—wtrąciła ciotka—właśnie przed laty dwudziestu, jeden z moich kuzynów przypłacił życiem polowanie z hartami, spadł z konia i zabił się...

— Proszę pani dobrodziejki, nie każdy spada, ja oto na przykład tyle lat poluję i nie miałem dotąd wypadku. Prawda też, że i mój Zefir jest bardzo pewny w nogach...

— Cóż to za Zefir?

— To ten właśnie konik, na którym przyjechałem tu do państwa.

— Ton ogromny?

— Gdzież on ogromny, tak sobie średniej miary, jak dla mnie. Muszę mieć takiego, gdyż na kucyku wyglądałbym nie bardzo apropos. Na wiosnę Adaś Marcinwicz dawał mi za Zefira trzysta rubli, jak jeden grosz, ale nie chciałem. Już mam takie dziwne serce, że jak się do czego przywiążę, to jestem przywiązany i wierny aż do śmierci.

Rzekłszy to, stary kawaler westchnął i spojrzął na Julcię.

— Jeżeli pan tą zasadę przywiązania stosuje do ludzi—wtrąciła złośliwie ciotka—to zona pana musi być bardzo szczęśliwa.

— Zona? — zapytał zdumiony — ja żony nie mam, proszę pani?

— Więc pan dobrodziej wdowiec?

— Chowaj Boże, jestem kawaler jak dotychczas, żyję w osamotnieniu i smutku.

— Trzeba było sobie znaleźć pocieszycielkę.

— Nie szukałem, pani dobrodziejko, pod słowem, nie szukałem. Może w okolicy mówią inaczej, ale to plotki, nic więcej jak zwykle parafialne plotki. Taki ważny krok w życiu trzeba robić z namysłem, chyba, ie się znajdzie przedmiot, który, to jest właściwie dla którego...

— Proszę pana—rzekła służąca, wchodząc do pokoju i zwracając się do Wiktora—przyszedł gajowy i trzech chłopów.

— Jakaś leśna sprawa — wtrącił Kaliciński — codzienna to u nas zabawka.

— Zawołaj ich tutaj—rzekł Wiktor.

Po chwili interesanci weszli do pokoju. Gajowy, w krótkiej sukmanie, z torbą borsuczą na ramieniu i strzelbą powiazaną sznurkami w rękę, kłaniając się nisko, rzekł:

— Z przeproszeniem wielmożnego dziedzica, pan rządca mnie tu przysłał do wielmożnego dziedzica, jako wielmożny dziedzic przykazał, żeby o kuzdem złodziejstwie nie do pana rządcy, jeno do samego wielmożnego dziedzica...

— Dobrze, a cóż to za ludzie.

- A to właśnie, z przeproszeniem wielmożnego dziedzica, są aktualnie złodzieje.
- Jakże można tak ich nazywać!
- A no... niby według tego jako dziś w nocy sosnę...
- Zkąd wiecie, że to oni?
- Albo mnie to za pozwoleniem wielmożnego dzie

dzica pierwszozna!? Już bez ośmnaście lat boru pilnuję, a każdego złodzieja znam jak zły sieląg. Jakem jeno do dnia, skoro świt, ujrzał co się, święci, tak poszedłem śladem, het do samej chałupy, patrzę, panie święty, sosna leży z przeproszeniem, za stodołą. Ja do sosny, nasza! bo akuratnie cechowana z tych, co niby pan rządcą przeznaczył na nowe czworaki. Ja mówię: „tak! tak, złodzieje jedne! sielmy! a oni do mnie z gębą; a ten z przeproszeniem kuternoga Franek, zara do bicia, ale że akuratnie sołtys szedł z jednym gospodarzem, więc się bojął, że są świadki i tylko powetował. To jest aktualnie całe złodziejstwo, albo politycznie mówiąc z przeproszeniem defraudacya.

— Racya—mruknął Kaliciński, zmarszczywszy groźnie brwi —racya, gajowy dobrze mówi, to jest złodziejstwo.

— A cóż wy na to, ludzie?—zapytał Wiktor.

— My, proszę wielmożnego dziedzica—odezwał się jeden — my nie winowate. Po sprawiedliwości, jak na świętej spowiedzi, żebym tak jasności boskiej nie oglądał.

— Więc nie ukradliście sosny?

— Nie, wielmożny dziedzicu, nie ukradliśmy, jeno, kiedy mam po prawdzie gadać, przez żadnego kręcielstwa i przez żadnego fałszu—tośmy ją wzięni.

— Ależ, moi kochani, to przecie na jedno wynosi.

— Nie, proszę wielmożnego dziedzica, w naszym rodzie od dziada pradziada nijakiego złodzieja nie było, nijakiego kradzieztwa, nijakiego łupieztwa, a żeśmy tego chojniaka wzięni, to jużci prawda, ale nam było potrza

chlewki poładować, bo po prawdzie ni gadziny niema gdzie zagrać, ni co...

— Proszę wielmożnego dziedzica—wtrącił gajowy— on sceka nieprzymierzając jak pies, u niego budynki jak najlepsze, bo ciągiem drzewo kradnie, a tę sosnę, to żeby nie dopatrzeć, zara by sprzeda! żydom do Bosychkaczków

— Wielmożny dziedzicu!—zawołał chłop, schylając się Wiktorowi do kolan.—Niech wielmożny dziedzic odpuści nam sierotom! Już my nietylko, na to mówiący, chojniaka, albo choćby i dęba, ale ani patyczka nie tkniemy, nie będziemy nawet patrzyli w tę stronę, gdzie bór stoi,

Wiktor czekał tylko tego aktu pokory. Wstał, wyprostował się, przybrawszy minę uroczystą, palnął do chłopów mówkę. Po raz pierwszy znajdował sposobność wywarcia bezpośredniego wpływu na lud; rad był nawet, że kosztem utraty jednej sosny, ma możność rzucić w prostacze serca ziarno dobre, że uszlachetni je, podniesie.

— Przedewszystkiem, moi bracia—rzekł—nie kłaniajcie się do kolan; nie schylajcie głów przedemną. Wszyscy jesteście sobie równi i jesteście bracia, a nad nami jeden ojciec—Pan Bóg.

— Oj prawda! prawda co jeden Pan Bóg miłosierny i o każdego stworzenia i, na to mówiący robaka, — powtórzyli chłopci, a przytom zaczęli wzdychać tak ciężko, że Wiktor wzruszony został ich pokorą skrucą. Jakże łatwo trafić do sorca prostaczych ludzi—pomyślał.

— Widzę, moi drodzy—rzekł—że żałujecie brzydkiego postępku, jaki popełniliście. Przystwojenie sobie cudzej własności jest to, jak wam wiadomo, grzech, prze

ciwko piątemu przykazaniu; zapewne ksiądz proboszcz, który jest waszym nauczycielem, przewodnikiem duchowym, mówił wam nieraz, jak brzydko, jak niegodziwie, jak niegodnie jest zajmować się kradzieżą.

— Oj, gada ci nasz ksiądz, gada — stuknął chłop.

— Inszego to i zwymyśla i zbešta — wtrącił gajowy—ale drugi będzie taki sielma, że żeby nie tyło ksiądz, ale sam Pan Jezus ukrzyżowany z nieba zstąpił i do niego przemówił, to on jeszcze na to mówiący, pojedzie kraść do lasu, a już te dwa chłopcy są właśnie same najgorsze złodzieje, w całej wsi ich znają.

— No, no, nic to—rzekł Wiktor—ja mam nadzieję, że oni się poprawia i że na przyszłość więcej się takie nadużycie nie powtórzy. Czy przyrzekacie mi to?

— Aj przyrzekamy, wielmożny dziedzicu, przyrzekamy, po sprawiedliwości przyrzekamy, rzetelnie.

Kaliciński wąsiki z niecierpliwością pokręcał; ciotka zdradzała chęć wdania się w tę sprawę, ale Wiktor nie dał jej przyjąć do słowa.

— Skoro tedy przyrzekacie—ciągnął dalej—a pozwalam sobie przypuszczać, że przyrzeczenia dotrzymacie, więc wam na ten raz daruję, lecz pamiętajcie szanować cudzą własność.

— Dziękujemy, dziękujemy wielmożnemu panu, panie Bożo zapiać, panie Boże nagródź.

Gajowy nieznacznie ramionami ruszył.

— Upraszam pokornie wielmożnego dziedzica — rzekł—czy mam powiedzieć panu rządcy o furnalkę, czy wielmożny dziedzic sam każe?

— Do czegoż wam potrzebna ta fornalka?

— Niby, proszę wielmożnego dziedzica, trzebaby zabrać ową sosnę.

— Nie, mój przyjacielu. Tę sosnę niech sobie wezmą, będzie to dla nich wynagrodzeniem za to, że usłuchali głosu prawdy i życzliwości i że wyrzekli się czynienia złego.

Chłopci ze zdumieniem po sobie spojrzeli.

— A teraz—dodał—jeszcze jedno słowo. Powinniście moi ludzie o tom wiedzieć, ie największym sk.,rbem człowieka, całym jego bogactwem i szczęściem jest oświata. Człowiek zupełnie nie okrzesany, nie oświecony, nie wiele różni się od bydłęcia; a im zaś więcej oświaty posiada, o tyle wyżej się wznosi moralnie i duchowo. Oświata dla ludzi tem jest, czem ożywcza rosa dla roślin, czem promień światła dla uwięzionego w ciemnicy. Czy rozumiecie mnie dobrze?

— Dyć rozumiemy, wielmożny panie, rozumiemy.

— Więc powtórzcie co jest oświata? czem ona jest dla człowieka?



— lia! — rzekł jeden z chłopów, drapiąc się w głowę — sprawiedliwie musi to być taka właśnie stuka jak wielmożny dziedzic opowiada.

— Tak toż jest, ale powtórzcie co ja powiedziałem? co to jest oświata?

— Właśnie, że niby, na to mówiący, światłość je, jakby chto na ten przykład, w kozie co przez okna świeczkę zaświecił.

— Z pociechą widzę, moi ludzie, że rozumiecie mnie. Macieź oto jeszcze, daję wam rubla dla obydwóch, żebyście kupili swoim dzieciom elementarz do nauki, rozumiecie?

Chłop trzymał rubla w rękę i sam nie wiedział co ma z nim zrobić", towarzysz pociągnął go za sukmanę, zachęcając do wyjścia.

— Dziękujemy wielmożnemu dziedzicowi—rzekł— niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki, idźcie z Bogiem, źle nie róbcie, słuchajcie rady uczciwej, uczcie dzieci i bądźcie dla ranie jako dobrzy i życzliwi sąsiedzi.

Chłopi wyszli, gajowy został jeszcze.

— Na cóż czekacie?—spytał Wiktor.

— Proszę wielmożnego dziedzica, według dyspozycyi.

— Co do czego?

— Co ja mam tera robić, jakby na to mówiący była znów kradzież w lesie?

— Bądź spokojny, mój przyjacielu, jestem pewny, że po dzisiejszej nauce, ani jeden patyczek z lasu nie zginie.

Gdy gajowy wyszedł, Wiktor uśmiechnięty, zadowolony z dokonanego dzieła, zwrócił się do Kalicińskiego z zapytaniem:

— Jakże szanowny sąsiad uważa mój system postępowania z ludźmi? co do mnie albowiem, jestem najmocniej przekonany, że tą drogą jedynie można naszego chłopca zrobić takim, jakim byśmy go widzieć pragnęli.

Kaliciński ociągał się z odpowiedzią.

— Hm —rzekł po chwili namysłu—nie ma co mówić, system jest piękny. Powiedziałbym nawet, że bardzo piękny, tylko dodałbym, to jest poważyłbym się dodać do niego jedną radę...

— Naprzykład?

— To jest, proszę się nie obrażać, jak honor kocham, przez życzliwość tylko dla sąsiada dobrodzieja...

— Ależ nie obrażę się, słucham.

— Jest tu niedaleko w Bosychkaczkach żyd jeden, bardzo dobry żydziak i pieniądze człowiok, Jojna Imbryk, na honor tak się nazywa, jak zbawienia pragnę.

— Znam go przecież.

— To jeszcze lepiej. Otoż radziłbym porozumieć się z nim i sprzedać co prędzej las.

— Las sprzedać?! co pan mówisz?!

— Dobrze mówi pan Kaliciński, bardzo dobrze — odezwała się ciotka, nie mogąca już dłużej niezadowolenia swego ukrywać. — Ślicznie mówi! stokroć lepiej albowiem jest sprzedać drzewo i pieniądze do kieszeni schować, aniżeli pozwolić je rozkraść bezkarnie i dopłacać do każdej sztuki po rublu.

— Cioteczko — wtrąciła Julcia — ja rozumiem sposób postępowania Wiktora, on pragnie za pomocą łagodnych, serdecznych, przyjacielskich środków, wyrzeć dodatni wpływ na tych ludzi. Wiktor ma cel szlachetny, a takie postępowanie, jako obywatelowi kraju, przynosi mu zaszczyt. Wiktor, cioteczko, pragnie...

— Tak, on pragnie, ale zamiast osiągnąć to, czego pragnie, rozzuchwali tylko złych, a nawet tych, którzy dobrzy są i uczciwi na złą drogę wprowadzi.

Na bladą zwykle twarz Wiktora, wystąpiły silno rumieńce.

— Więc państwo mniemacie — zawołał — że człowiek jest z gruntu zły i przewrotny, że za dobro odpłaca złem,

za chleb kamieniem? Kto was tego nauczył? na jakich podstawach opieracie swoje twierdzenia?

— My nic właściwie nie twierdzimy — odezwał się Kaliciński, ale widzi pan, są rzeczy, które...

— Tak, tak.. Wy nie twierdzicie, ale moje najlepsze chęci, moje pragnienia najdroższe, natrafiają wszędzie na opozycję, i któż oponuje? Pan, sąsiad, obywatel, naj bardziej rozumiejący potrzebę uszlachetnienia masy ludowej! Ciotka, zacna, religijna kobieta, która złożyła tyle dowodów poświęceń dla bliższych i dalszych nawet ludzi! Oponuje Żarski, a któż jest ten Żarski? Człowiek pracy, syn ubogich rodziców, prawie że dziecko ludu; ten Żarski, który raz, jakem się dowiedział niedawno, z narażeniem własnego życia ocalił tonącego parobka, ten Żarski, który jako rzadca folwarku, każe najstaranniej czyścić zboże dla służby na ordynaryę, ten Żarski, który sam do mnie mówił, że chcąc mieć dobrych parobków, trzeba im dobrze płacić i dobrze ich żywić, i on oponuje! Ale nie koniec na tem, bo oto gajowy, sam chłop, bodaj że w tojże Kalinówce urodzony, oponować wprawdzie nic śmie, ale ramionami wzrusza, jak gdybym ja największe głupstwo popełnił. Przez Boga! powiedzcie, co to jest? czym ja ślepy, czy wy macie oczy zaćmione? AJe nic, nie, ja nic jestem ślony! ja widzę, widzę dalej, niż państwo mniemacie! widzę przyszłość jasną; wierzę w to silnie, że w chłopie naszym, najpiękniejszy, najbogatszy materiał na obywatela spoczywa. To złoto, to najszlachetniejszy kruszec, ale wydobyć go trzeba. Wasze poglądy, moi państwo, średniowieczczyzną trącą, a czasy jej już bezpowrotnie minęły.

— Dałoby się coś o tera powiedzieć — wtrącił Kaliciński — mówił mi niedawno jeden poważny człowiek, że siła chodzi przed prawem, i że ta zasada modna nawet jest dzisiaj.

— A, panie szanowny, cóż nam do tego? My mamy swój malutki zakres działalności, nie wychodzimy z niego. Uszlachetnijmy się nawzajem, niech każdy w otoczeniu swoim, w malutkiem kółku, w którym się obraca, rozrzuci możliwie największą ilość światła, dobra, szczęścia. Niech stworzy, jeśli to możliwe, miniaturowy raj w swoim kółeczku, a postać całej ludzkości się zmieni, nie będzie upadku, nędzy, podłości ani zbrodni.

— Śliczne teorie, jak Pana Boga kocham — rzekł Kaliciński, wąsami ruszając.

— Tak, ale pan w możliwość ich wykonania nie wierzysz?

— Istotnie, jeżeli mam prawdę powiedzieć, to widzę niejaką wątpliwość.

— A ja wierzę, ja wierzę w ludzi, wierzę, że w nich dobry pierwiastek przeważa, tak jak wierzę w to, że słońce świeci nad ziemią. Czas pokaże, kto się myli, ale ja jestem pewny swego; przekonacie się.

Nie dokończył, gdyż do pokoju wszedł młody człowiek, w studenckim mundurze, ukłonił się paniem i zbliżywszy się wprost do Wiktora, rzekł:

— Przychodzę przeprosić szanownego pana, że ojciec mój przyjść dziś nie może, jest cierpiący i musiał się położyć.

— Cóż jest panu Żarskiemu?—zapytała ciotka z niepokojem.

— Nie wiem, proszę pani, ból głowy, trochę gorączki, wogóle już od kilku dni nie domaga, prawdopodobnie zaziębił się.

— Natychmiast pójde ojca pańskiego odwiedzić — rzekł Wiktor, wstając.

— Niech się pan nie trudzi — odpowiedział młody Żarski—ojciec przed chwilą usnął, może mu to ulgę przyniesie. To rzekłszy, ukłonił się i chciał wyjść. Ciotka, uprzejma zawsze gospodyni, nie pozwoliła na to.

— A, tak się nie godzi —rzekła—zaledwie raz i to przypadkiem, znalazłeś się pan u nas i już chcesz uciekać.

Żarski wymawiał się, że musi chorego ojca pilnować, ale w końcu uległ prośbom uprzejmej gospodyni i został.

Naturalnie rozmowa zwróciła się na inne tory. Julcia ciekawa różnych szczegółów z warszawskiego życia dopytywała się o nie. Student rozповідаł poważnie, ale z łatwością. Przy tej sposobności Julcia zauważyła, że pan Jan, bo takie imię miał syn Żarskiego, ma bardzo rozumne oczy i że wysławia się z wielką łatwością i wdziękiem.

Młody Żarski już kończył nauki, za kilka miesięcy, po zdaniu ostatnich egzaminów, miał otrzymać patent na lekarza i rozpocząć praktykę.

Rozmowa o Warszawie przeciągnęła się dość długo. Kaliciński widząc, że już dziesiąta, pożegnał towarzystwo i dosiadłszy swego Zefira odjechał.

Olbrzymi koń puścił się ciężkim galopem, aż ziemia pod uim jęczała, chart pomknął naprzód i zniknął w cieniach nocy.

W kalinowskiej karczmie do późna trwała dysputa,

chłopi krytykowali postąpienie Wiktora; jedni dziwili się, drudzy śmieli, a większa część przysłała do wniosku, że teraz nastąpiło takie prawo, że dziedzic ma chłopu do każdej ściętej w lesie sosny, dopłacić rubla gotówką, niby wynagrodzenie za furmankę i za noc niespaną.

IV.

Pan Mirkowicz w Białowodach, ów szlachcic z charakterem, o którym Jojna Imbryk miał tak wiele do powiedzenia, od dłuższego czasu był wdowcem. Nio szukał szczęścia w nowych związkach, a powróciwszy z dalekiej, wędrowki, na której kilka lat życia strawił, nabył majątek ziemski i oddał się pracy z zamięłowaniem i energią.

Dopóki córka jego po ukończeniu edukacji nie powróciła do domu, przepędzał czas w dworku swoim samotnie, a jedyną jego rozrywką w chwilach wolnych od pracy, były książki, których zbiór obfity posiadał. Nieraz do późnej nocy ślezczał nad starym folialem, albo też wczytywał się w dzieła społeczne ogólnie ludzkich zagadnień dotyczące.

Można było mniemać, że niepewność sama w pewnym stopniu usposabiała go do dumań i do rozmyślania się w samotności.

Dwór, widocznie niegdyś zameczek obronny, o potwornie grubych murach, z wązkiemi a wysokimi oknami, z okrągłą basztą narożną, stał na wzniesieniu, które dłu

gim klinom wrzynało się między dwa stawy. Dwór, z trzech stron otoczony był wodą, a z czwartej miał podjazd wygodny, szeroki. Cały, że go tak nazwiemy półwysep, wśród którego znajdowała się ta starożytna budowla, pokryty był bujną roślinnością. Od strony wody rosły wierzby płaczące, a bliżej ku dworowi lipy, klony i graby.

Leszczynowy szpaler, zacieniony latem i chłodny jak klasztorny korytarz, ciągnął się od samego prawie dworu do altany, w dziwacznym chińskim stylu, ale już znacznie później, aniżeli sam zameczek zbudowanej.

Przy samym końcu cypla, gdzie grunt klinem w wodę się wrzynał, były wygodne schodki, a tuż przy nich kołysały się dwie łodzie, poczerniałe, nie używane już dawno.

Ogród utrzymany był bez wielkiej elegancji, lecz czysto, główne uliczki wygracowane, a nawet przed oknami rozciągał się kobierzec kwiatowy z ogromną literą W na środku, ułożoną z nieśmiertelników. Ogrodnik wypracował to W na' cześć panny Wandy, córki właściciela Białowód

Po drugiej stronie drogi wiodącej do dworu znajdował się folwark, otoczony murem, utrzymany czyściutko, z masywnymi budowlami, z dziedzińcem wybrukowanym porządnie.

Wewnętrzne urządzenie dworu odznaczało się prostotą i bezpretensjonalnością. Nie było tam świecideł, ani cacek kosztownych; meble skromne, wygodne, wszędzie czysto i jasno.

W baszcie narożnej znajdowała się biblioteka; dookoła ścian stały szafy z książkami, na środku ogromny

stół dębowy z przyborami do pisania, a przy nim fotel staroświecki, wolterowski, z wysokim oparciem. Pomędzy dwoma oknami stała sofa, w kącie zaś fajczarnia z całym garniturem cybuchów.

W bibliotece najczęściej przesiadywał Mirkowicz i córka jego lubiła tu wolne chwile przepędzać. Nieraz schodzili się tam oboje i czas zbiegał im szybko na rozmowie. W stosunku córki do ojca była serdeczność i zaufanie wzajemne. Ona powierzała mu swoje myśli, on również nie miał dla niej nic skrytego. Rozmawiali częstokroć bardzo poważnie, o kwestiach ogólniejszej natury, czasem spierali się z sobą, ale ostatecznie ojciec umiał przekonać swoją jedynaczkę.

Wyjątkowy to był stosunek serdeczny, przyjacielski prawie. Wanda otwierała przed ojcem duszę swoją jak przed spowiednikiem, zwierzała mu się ze wszystkich swoich dumań i marzeń, prosiła o wskazówkę i radę.

I teraz oto, mrok już zapada, jest ta godzina szara, w której dzień z nocą jeszcze o panowanie się spiera, chociaż ustępować i cofać się musi. Światła nie zapalono jeszcze, a czytać już nie można; Mirkowicz zadumał się Radłac w swoim fotelu.

Wanda weszła do biblioteki po cichu, przysunęła krzeselko i obok ojca usiadła.

Ubrana była skromnie po domowemu, ciemna wełniana sukienka uwydatniała jej piękno kształty, w czarnych jak noc włosach miała wpięty kwiatek.

— Zkąd powracasz, kochanie?—zapytał ojciec—bo zdają mi się, żeś wychodziła po południu.

— Jak zwykle, ojczulku, byłam na folwarku, potem

wstąpiłam na wieś odwiedzić chorą Maciejowę, która, dzięki Bogu, ma się dziś znacznie lepiej, a potem...

— Czemuż nie kończysz? cóż potem?..

— Kazałam osiodłać karego i przejechałam się trochę...

— A mnie nie powiedziałaś o tym zamiarze, szkoda, byłbym ci chętnie towarzyszył.

— Ah ojczulku, przepraszam, ale niekiedy miewam bardzo egoistyczne zachcianki. Później wyrzucam to sobie, ale już poniewczasie.

— Ciekawym jaki związek ma przejażdżka z egoistyczną zachcianką.

— Potrzebowałam samotności — to raz, a powtóre, ojczulek lubi jeździć powoli, a ja lubię, jeżeli można użyć takiego wyrażenia—lubię kąpać się w wietrze. Ojczulek nie wierzy zapewne, jaka to przyjemność wypuścić konia w całym pędzie. Ten świst wiatru, pęd powietrza smagający po twarzy, sprawia mi nieopisaną rozkosz.

— Niebezpieczna to w każdym razie zabawka.

— Ale zkąd! gościniec równy, a mój kary ma nogi jak zo stali. Ten koń nie cwałuje, ale płynie jak łabędź, jam się już tak przyzwyczaiła do niego, że na siodle równie wygodnie jak w krześle.

— W którą stronę jeździłaś?

— Jak zwykle, w stronę lasu.

— Dla czegoż nie powiesz w stronę Kalinówki? —zapytał z uśmiechem.

Dziewczyna pokraśniała jak róża.

— Dawno już nie byli u nas—rzekła.

— Stęskniłaś się?

— Za Julcią, tak. Poprzyjaźniłyśmy się bardzo, to taka dobra, sordeczna dziewczeczka. Czy ojca to dziwi, że mi czasem tęskno do ludzi, żyjemy tutaj tak samotnie.

— Nic mnie nie dziwi, moje dziecko, owszem, dziwiłbym się raczej, gdyby było przeciwnie. Mnie staremu, wystarcza zatrudnienie, ta garstka książek i twoja, moje dziecko, obecność; dla ciebie to jednak za mało, więc powtarzam, nie dziwię się, tylko to mnie razi, że tęsknotę swoją wysyłasz specjalnie pod adresem tej panny Julci.

— Niekoniecznie, i ciotka jej bardzo przyjemna kobieta.

— I pan Wiktor, dodaj.

— Zapewne...

— Czemuś dzisiaj nie szczera, moja Wandziu, dotychczas zdawało mi się, że pozwalasz ojcu czytać w twem sercu, jak w otwartej książce, a dziś potrzebujesz już samotności... Czy jeździłaś do lasu zwierzać się dębom lub sosnom?

— Ah, ojczulku—zawołała z żalem — to niesłuszna wymówka, przed tobą nie mam żadnych tajemnic, a że szukałam chwili samotności, niech to kochanego ojczulka nie dziwi. Miałam taki szczególny nastrój duszy.

— Tak, tak, już nie od dzisiaj to widzę, że bywasz chwilami szc.ogólnie nastrojona...

— Alei ojczulku...

— Przepraszam cię, pozwól mi dokończyć, w twojem usposobieniu Mostrzogam duią zmianę; nie wiem czemu ją mam przypisać, ale zdaje mi się, że ten entuzyasta z Kalinówki zajmuję cię bardziej, niżby pragnął.

— Zkądże ojczulek to wnosi?..

— Przecież widuję go tu często. Od roku, jak zamieszkał w naszej okolicy, bywa u nas.

— Wie ojciec, że jestem szczerą. Przyznaję więc, że istotnie mam dla niego pewną sympatyę.

— Czy tylko sympatyę?

— Jak to, czy tylko?

— Czy to nie jest uczucie silniejsze, aniżeli zwykła jak ja nazywasz sympatyę?

— Nie zdawałam sobie sprawy, nie zastanawiałam się bliżej nad pytaniem, które mi ojczulek zadał, ale...

— Ale...

— Gdyby to uczucie istotnie było czemś więcej nad życzliwość, to czy miałbyś, ojczulku, co przeciwko temu?

— Marzyciel, moje dziecko, marzyciel! a nam dzisiaj ludzi trzeźwych potrzeba. Musimy liczyć się z twardymi warunkami życia, a każdy krok, czy to na drodze osobistych naszych spraw, czy społecznych, stawiać z namy slein, rozważnie.

— Zapewne, lecz...

— Tak, moje dziecko; nam trzeba opierać się na podstawach realnych, z rzeczywistością się liczyć, a czyż on liczy się z nią? czy nie buja ciągle w sferze niedościgłych marzeń i fantazyj? Czy opierając się na mrzonkach niy popełnił już całego szeregu czynów, nie wytrzymujących nawet naj pobłażliwszej krytyki.

— To prawda.

— Taki przyznajesz że prawda, a jednak przed chwilą zadawałaś mi pytanie...

— Na które nie otrzymałam odpowiedzi wprost.

— Czy żądasz jej? czy może już ci jest ona potrzebna?

— O nie! niejest mi potrzebna w tem znaczeniu, jak ojczulek rozumie; ale pragnęłam poznać zdanie ojca, na wypadek, gdyby...

— Dokończ...

— Gdybym ja pokochała tego marzyciela! — zawołała Wanda i objawszy ojca za szyję, utuliła głowę na jego piersi szerokiej.

— Biedne dziecko—rzekł smutnie—z tego zapytania widzę, że ty go już kochasz...

— Czy kocham? nie wiem; ale im bliżej poznaję tego marzyciela, tem więcej mam dla niego współczucia. Jego idealna wiara w ludzi, w ich dobroć, prawość, szlachetność ma w sobie coś dziwnie pociągającego. Tylko w szlachetnej duszy mogą powstać takie ideały...

— I takie złudzenia, dodaj.

— Być może; ale to są złudzenia piękne, podniosło. Pessimizm, niewiara, zwątpienie, to ojczulku są dzieci egoizmu; powstają one w sercach i umysłach tych ludzi, którzy w sobie samych widzą cały świat, w siebie tylko wierzą, siebie uwielbiają, do siebie modlą się niemal.

— Czy nie adaleko idziesz, Wandziu? — wtrącił ojciec z uśmiechem — nie zapominaj, że wśród wielkich poetów i myślicieli, tak potępionych przez ciebie, pessimistów jest dużo.

— Prawda, ojczulku, prawda, ale ja nie filozof, ani poeta; jestem prosta dziewczyna i sędzę sercem tylko, sędzę po swojemu. Poeta maluje czarnymi barwnymi cały świat, pogardza nim—dla czego? bo doznał zawodu w miłości; filozof mówi o marności życia, bo utracił wiarę w lepsze życie, a tu widzi przed sobą śmierć, a po za nią

nicość... i pod tą mądrą, naukową sukienką pessimizmu jest także egoistyczna podszewka! tak, tak, ojczulku i dla tego cała moja sympatya jest po stronie Wiktora. On kocha ludzi, kocha swoje społeczeństwo, a najmniej myśli o sobie i najmniej dla siebie wymaga. Wierzy w dobroć, wierzy w szlachetność drugich, bo sam szlachetny jest i dobry, bo sądzi, że te uczucia, które żywi w swej duszy, są wszystkim ludziom wrodzone, On nie spodziewa się, że dozna krzywdy od innych, gdyż samby nie potrafił nikomu krzywdy wyrządzić; on sądzi, że zdobędzie miłość współbraci, gdyż sam żywi dla nich w duszy tę miłość. Jakże nie mieć dla takiego sympatyi?

— Dzielnie go bronisz, moja Wandziu, ale przedstawiasz sprawę jednostronnie; sama jednak widzisz, jakie są rezultaty jego czynów.

— Widzę, proszę ojca, i do sympatyi jaką mam dla niego dołączam szczere współczucie.

— Nio rozumiem; jak to współczucie?

— Współczucie dla bojownika idei. On biedak walczy, walczy nieustannie z przeciwnościami, z otoczeniem swoim, wreszcie z ludźmi, w których tak bardzo wierzy, a którzy nie zawsze są godni tej wiary. W walce, którą toczy dotychczas nie odniósł zwycięstwa..

— I nie odniesie go zapewne...

— Być może nawet, że sam zwyciężony zostanie, że upadnie bezsilny i złamany, a wtenczas...

— Wtenczas, drogie dziecko, ludzie go wyśmieją.

— A ja... pokocham! — rzekła z mocą niezwykłą. Mirkowicz wstał, przeszedł się kilkakrotnie po bi

bliotoce, potarł czoło ręką, wreszcie po dłuższej chwili milczenia, odezwał się do córki;

— Moja droga Waudziu, rozmowa nasza dzisiejsza dotyka ważnego przedmiotu, nie chciałbym żebyśmy ją przerwali, uieskończywszy. Wypowiadałaś się przedemną szczerze, serdecznie, jak dziecko przed ojcem; jak młoda dopiero żyć zaczynająca dziewczyna przed doświadczonym, a najżyczliwszym doradcą. Wysłuchałem " cię, wysłuchaj ty mnie teraz, a nie dziw się, jeżeli w naszych poglądach znalazło się jaka różnica. Ty młodem oczami patrzysz na świat, ja staroimi. Usiądź że przy mnie i posłuchaj. Z tego wszystkiego coś mi powiedziała, widzę jasno, że ty go kochasz...

— Przecież ja tego nie powiedziałam...

— Ale sympatyzujesz z jego przekonaniem, z jego, jak nazywasz walką; widzisz w nim dobroć, szlachetność, najpiękniejsze zalety charakteru...

— Widzę, gdyż on jo posiada, mój ojcz.

— O ile uważam — ciągnął dalej Mirkowicz — i on jest tobą również zajęty. Z czasem obustronne uczucie się wzmoże, wzocni i zapragniecie obojo połączyć wasze losy na zawsze. Przypuszczam, że się tak stanie.

— Ależ o tem mowy pomiędzy nami nie było.

— Moje dziecko, to tylko kwestya czasu. Ja nie należę do ojców, którzy narzucają dzieciom wolę swoją bezwzględnie; uznaję, że w wielu razach młodym należy się swoboda; jeżeli więc zechcesz zostać jego żoną, krępować twój woli nie będę, postąpisz jak zechcesz, ale czy ja, człowiek stary, a więc blizki, może bardzo już blizki grobu...

— Ah ojcz!

— Nie przerywaj proszę; otoż pytam, czy ja, jako ojciec będę mógł być spokojny o twoją przyszłość w związku z Wiktorem? Czy umiorając będę miał pewność, że zostawiam cię pod opieką człowieka, któremu z całą ufnością mogę powierzyć twoje losy?

— Czy ojciec wątpi o jego prawości i charakterze?

— Nie, ale jakież są praktyczne rezultaty jęgo działalności? Czy chociaż w drobnej części osiągnął to, czego pragnął? czy bodaj na jeden krok zbliżył się do celu? Powiedz, Wandziu kochana, wskaż mi chociaż jeden takt, choćby najmniejszy dowód, że droga, którą obrał jest dobra. Cóż, nie odpowiadasz mi.

— Namyślam się.

— Namyślasz! Owszem, namyślaj się, namyślaj, ale nie sądzę, czy co znajdziesz.

— Na razie, rzeczywiście trudno to jest.

— A więc zanim ty znajdziesz jaki dowód na jego korzyść, ja przytoczę kilka przeciwnych. Posłuchaj no uważnie: jest już w tej okolicy przez rok czasu, objął majątek w najlepszych warunkach, zagospodarowany, administrowany wybornie, bez grosza dęgu. Stosunek włóscian i służby folwarcznej do dworu zastał jak najlepszy, a przytem, jako sam nie gospodarz i człowiek nie fachowy, znalazł prawdziwy skarb w osobie Żarskiego. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że tego rodzaju ludzie jak Żarski, w dzisiejszych smutnych czasach nałożą do wyjątków. Objąwszy gospodarstwo w tych warunkach, mógł żyć spokojnie, pracować i uczyć się przy tak doświadczonej osobie.

— Czyż pan Wiktor tego nie robi? Czy z narażeniem zdrowia własnego, które, jak ojczulek wie dobrze, nie jest w stanie kwitnym, nie bywa codzień w polu, nie naraża się na zmiany powietrza? Wiem ja, wiem, ile to zmartwień przyczynia jego siostrze.

— Być może; ja nie wątpię o jego dobrych chęciach, lecz krytykuję czyny. Patrz, co się dzieje dzisiaj w Kalinówce! Służba rozpuszczona, Żarski lada dzień odejdzie.

— Jak to? pan Żarski miałby opuścić Kalinówkę, po tylu latach? to niepodobieństwo!

— Cóż ma robić, moje dziecko; na każdym kroku spotyka przeszkody. Widzi, że to co przez tyle lat budował, upada; nie chce więc przyjmować na siebie odpowiedzialności za cudze błędy i odchodzi szukać nowego kąta na starość.

— Nie wiedziałam nic o tem.



— Tak, tak, moje dziecko. Syn jego został już lekarzem i ma osiedlić się niedaleko od nas w miasteczku. Poczciwy chłopak, pragnął oboje rodziców wziąć do siebie i zapewnić im kawałek chleba na stare lata. Żarski nie chciał jednak przyjąć tej oferty i postanowił poszukać sobie obowiązku, pracować dopóki siły służą; ale żona jego, chorowita i osłabiona, osiadzie przy synu, gospodarstwo prowadzić mu będzie. Ale to jeszcze najmniejsza rzecz, na której pan Wiktor tylko traci, bo Żarski posadę znajdzie zaraz, ajaj, to jest pani Żarskiej należał się oddawna wypoczynek i odetchnienie. Są jednak gorszo następstwa gospodarki pana Wiktora, następstwa, które nam wszystkim dać się mogą we znaki...

— Przerazasz mnie ojczel! cóż mógł on zrobić takiego?

— Co chciał zrobić? Powiadasz przecie, że chciał jak najlepiej; ale ja nie badam tego co on zamierzał, mówię tylko o tem co zrobił.

Wanda westchnęła smutnie.

— Powiedziałem ci, moje dziecko — ciągnął dalej ojcioc — że dzięki taktowi Żarskiego, jego umiejętnemu postępowaniu, sprawiedliwości i szczeremu przywiązaniu do ludu, stosunki w Kalinówce, pomiędzy wsią a folwarkiem ułożyły się doskonale, co naturalnie nie było bez wpływu i na bliższe okolice tej wioski. Czy masz pojęcie co się tam dzisiaj dzieje? Oto, im bardziej pan Wiktor patrzy przez szpary na nadużycia, na szkody, tem niezadowolenie wśród włościan jest większe. Jeden bierze sosnę z lasu bezkarnie, drugi wpędza swoje bydło w łąki dworskie i widzi, że mu to na sucho uchodzi, więc trzeci i dziesiąty z tych, którzy szanowali dotąd cudzą własność, czuje się pokrzywdzonym. Jak to? rozumują chłopci, jak to? Jan wziął to, Piotr tamto, Michał dziesiąte, dla czego ja mam być gorszy? dla czego ja nie mam brać, kiedy można? I zaczyna się branie na wszystkie strony, znika granica pomiędzy własnem a cudzem, budzi się pożądliwość i chciwość. Ucieka spokój, zaczynają się waśnie. Obecnie, jak się dowiaduję, osiedlił się już w Kalinówce i jakiś pokątny doradca, który nie będzie zapewne tracił czasu na próżno i potrafi zbałamuconych ludzi na swoją korzyść wyzyskać. Otoż masz następstwa, masz fakta, których wymowa jest bardziej przekonująca, niż wszystko. Żarski budował przez dwadzieścia lat z górą, a ten wszystko w jednym roku zepsuł...

— Boleśnie słyszeć takie oskarżenie—rzekła Wanda.

— Zapewne, zwłaszcza, gdy sympatya nasza jest po stronie winowajcy — wtrącił z dobrotliwym uśmiechem— przekonaj się, teraz, że pomiędzy marzeniami naszymi a rzeczywistością jest olbrzymia różnica; że nie można bezkarnie gardzić doświadczeniem drugich, nie można upierać poważnej pracy na mrzonkach. Wracając zaś do kwestyi, o której chciałem z tobą pomówić, a która ciebie bezpośrednio, a mnie ze względu na ciebie zajmuje...

— O nie! nie ojczel — rzekła z mocą, już nie wracajmy do niej...

— Co? nie rozumiem cię, Wandziu; czyżby nagle sympatyę twoje wzięły inny kierunek.

— Nie, nie, mój ojczel, ale chciałam, żebyśmy do jakiegoś czasu przynajmniej nie wszczynali o tem rozmowy.

— Do czasu?

— Dopóki ja sama ojcu nie powiem. Czy zgadzasz

się na to, mój drogi, najlepszy ojczulku!

W odpowiedzi Mirkowicz dotknął ustami czoła córki, a ta ujęta jego rękę i złożyła na niej długi, serdeczny pocałunek, poczem szybko opuściła bibliotekę i udała się do swego pokoju.

W oczach jej błyszczały łzy, a do głowy cisnął się ruj myśli. Utworzyła okno na oścież; lala świeżego powietrza, przepelnionego balsamicznym tchnieniem lasów i łąk wonią, chłodziła jej czoło, muskała skronie.

Dziewczyna usiadła przy oknie. Zapatrzona w gwiazdy, jaśniejące już na horyzoncie, rozmyślała o rozmowie z ojcem. Dotem zasłoniła oczy białymi rączkami i pogrążyła się w głęboką zadumę...

Sama sobie dobrze nie zdawała sprawy ze swego stanu, a w myślach jej przesuwać się zaczęły różno obrazy. Zdawało jej się, że widzi matkę, którą utraciła tak młodo, następnie pensje, wesołe uśmiechy towarzyszek, dobrotliwą twarz przełożonej, nauczycielki, książki, przypominało jej się jak od czasu przychodziły listy ze stron dalekich od ojca, a ona te listy jak pamiątki najdroższymi przechowywała, przypominała jej się chwila, kiedy ojciec tak dawno niewidziany przyjechał i zabrał ją z sobą do Białowód, w to ciche, a tak piękne ustronie, gdzie niebo bardziej modre, drzewa zieleńsze się zdają. Tam przeszło jej lat kilka cicho, spokojnie; bez trosk i bez wrażeń głębokich. Ale oto nareszcie rysuje się w duszy rozmarzonej dziewczyny dworek w Kalinówce, a w nim błądy, wysmukły poeta, o oczach, w których dziwne blaski migocą. Mówi tak pięknie o wielkiej bezbrzeżnej miłości, którą jedno serce ludzkie może objąć świat cały; opowiada

o braterstwie ludzi, o wzniosłym posłannictwie tych, którym los dał możność karmienia głodnych, napawania spragnionych, nauczania nieumiejących. Ona słucha tej mowy dźwięczną brzmiącą, słucha sercem, duszą. Zda jej się, że rzuciłaby wszystko, wyrzekła się tego co świat daje i dać może i poszła z tym marzycielem szlachetnym między ubóstwo i nędzę, między ciemnotę i dzikość, niosłaby światło w ciemnocie, ożywcze ciepło tam, gdzie chłód lodowaty panuje. Ale cóż to? nagle obraz się zmienia; marzyciel-poeta smutnie zwiesił głowę, prowadzą go przed sąd. Cóż to za sąd szczególny? Przed czarną ścianą sosnowego boru zasiada, łąka mu kobiercem, niobo groźnymi chmurami pokryte sklepieniem. Przy ogromnym stole

zasiadają sędziowie groźni, poważni. Starcy, doświadczeniem bogaci, pomarszczyli czoła i słuchają. W ich oczach niema litości, ani sympatii dla oskarżonego. Przed nimi waga i kodeks tych praw nieubłaganych, które światem rządzą. Oskarża oczywistość zimna, sarkastyczna, złośliwa, słowa jej ranią jak szpilety. Oskarżony stoi smutny, ze spuszczoną głową, w oczach jego drgają łzy, podnosi wzrok do nieba, jak gdyby na świadectwo je wzywał i powiada:

— Jam chciałem dobrze!

Wandzia czuje, że jej wszystka krew spływa do serca, chce biec przed sędziów, chce wołać: stójcie, nie potępiajcie go! on niewinny, ale wyrok już zapadł.

W oczach robi jej się krwawo — przebudza się.

Szeroko otwartymi oczami spogląda w przestrzeń, ale cóż to; z po za lasu mignął się jakiś blask czerwony, wzmaga się, rośnie, krwawą plamą znaczy się na niebie.

Czy to sen, czy jawa, złudzenie czy rzeczywistość?

Nie; to nie złudzenie, krwawa plama powiększa się i jak wezbrana fala, rozlewa się po niobie, z za lasu widać płomienie, a nad nimi obłoki dymu zwijają się w kłęby potworno.

To rzeczywistość, to pożar! pali się właśnie za lasem, pali się w stronic Kalinówki.

Czyżby spełniano już wyrok?

— Ojcie! ojcie!—zrywa się Wanda z przerażającym okrzykiem i wybiega na dziedziniec.

Ale ojciec pierwiej dostrzegł wypadek, zgromadził ludzi, wzięli naprędce narzędzia ratunkowe.

Sam na konia wsiadł.

— Ja nie długo powrócę—rzekł do córki—i proszę nie lękaj się, pożar na wsi to zwyczajna rzecz...

— Gdzie się pali? gdzie to się pali?—pytała w najwyższym przerażeniu, ale ojciec już był za bramą.

Na dziedzińcu stało kilka kobiet i stróż folwarczny, wysłużony weteran, który już pracować ciężko niemógł, więc nocami budynków pilnował.

— Gdzie się pali? Wawrzyńcze, gdzie to się pali?— spytała wprost starego.

Chłop wzrok do góry podniósł, popatrzył na łuno uważnie i rzekł, po chwili namysłu.

— Tać za lasem się pali, panienko.

— Ale gdzie, w jakiej wsi? powiedzcie.

— Kto je ta wie, panienko wielmożna, ogień to zwodzący jest, czasem się widzi, że niby bliżutko, a on het, het za dziesiątą wsią będzie. Żeby nie las, to by można zmiarkować.

— Ale jak wam się zdaje? w Kalinówce? Chłop znowuż na łunę popatrzył.

— Bo i pewnie — odrzekł. — Ono tak patrzy jakby na Kalinówkę.

Wandzia wbiegła napowrót do pokoju. Serce jej biło szybko, ciałem dreszcz wstrząsał. Przyszedł jej na myśl fantastyczny obraz widziany przed chwilą. Nie wątpiła już, że w Kalinówce nieszczęście. Co się pali? dwór czy zabudowania? Czy ludziami, co nie grozi, czy ratować się mogą. Czemuż nie może pobiedz tam lotem ptaka? Zdaje jej się, żeby własnymi rękami rozrzucała płonące belki, żeby wyczerpała wszystką wodę z rzeki, aby ton

pożar ugasić. Przecież widziała już kilka razy szalejący ogień, bolała nad ladzkiem nieszczęściem, ale nigdy żaden pożar nie wydał jej się tak przerażającym i groźnym, żaden nie napełnił ją taką trwogą. Zdawało jej się, że la luna, która plamą czerwoną roztoczyła się na niebie, okrwawia cały świat i że wszystko płonie i rozpada się w gruzy i zdawało jej się, że cała atmosfera przepelniona jest dymem gryzącym, takim dymem, co to oddech tłumi i łyzy z oczów wyciska, że wiatr roznosi na wszystkie strony gorejące główne i iskry.

Chciała usiąść i odwrócić oczy od tego widoku, chciała je zastawić rękami, ale napróżno, jakaś siła niewidzialna ciągnęła ją do okna, kazała patrzeć na krwawą plamę na niebie, z gorączkowym niepokojem śledzić wszystkie zmiany jej odcieni.

Oto zdaje się, że luna blednie cokolwiek, że się zmniejsza, zmniejsza, przechodzi całą gamę blasków coraz słabszych, gdy nagle, niespodzianie zupełnie, nowa fala blasków napływa jeszcze czorwieńsza, jeszcze bardziej krwawa, niż przedtem.

Za lasem, w Kalinówce, krzyk i zamieszanie. Plonie najpiękniejsza stodoła; nie wiadomo z kąd, jakim sposobem ogień powstał. Ludzie już spać poszli. Każdy był na swoim miejscu, nikt ognia przecież nie zapruszył. We dworze jeszcze nie spano. Gdy ogień wybuchnął, ciotka straciła głowę i w największym pośpiechu rękami drżącymi jak w febrze, zaczęła wrzucać do wielkiego kufra szklanki, serwetki, filiżanki, gorący jeszcze samo war, do tego wszystkiego jeszcze wpakowała kota, który jej się na nieszczęście pod rękę nawinął i zamknęła kufer

na klucz. Biednej kobiecie zdawało się, że najcenniejsze rzeczy ratuje...

Julcia biegła po wszystkich pokojach, załamując ręce, a Wiktor, jak stał, w leciutkim surduciku, pomimo, że noc chłodna była, wybiegł na folwark.

Żarski przerażony przybiogł, zjawili się fornale i parobcy. Dział kościelny w dzwony na gwałt uderzył, chłopci ze wsi siej zbiegli.

Z sąsiadów pierwszy przybył Kaliciński, który mieszkał najbliżej. Nie żałował ostróg olbrzymiemu swemu koniowi i wpadł na dziedziniec Kalinówki jak uragan.

Niebawem nadjechał z ludźmi Mirkowicz, z Zagórowa pan Marcinkowicz przysłał sikawkę i kilku parobków pod wodzą ekonomy.

Gdy ci dobrzy ludzie z narzędziami ratunkowymi przybyli, właściwie już nie było co ratować. Drewniana stodoła płonęła jak zapalka, a wszystko wysiłki zwrócono na zabezpieczenie innych budynków. Na wszystkich dachach siedzieli parobcy z miotłami na długich obsadzone\* mi drągach i zmiatali padające iskry, z sikawek oblewano ściany i dachy stajen, owczarni, obór i starano się aby ogień nie przerzucił się na inno budowlę.

Ratunkiem kierował Żarski. Wiktor biegł po dziedzińcu jak nioprzytomny, na twarzy miał gorączkowe rumieńce, dreszcz nim wstrząsa!

Kaliciński pospieszył ratować damy. Uspakajał je, pociesza!, opowiadał o różnych pożarach, jakie w swoim życiu widział i o jakich słyszał kiedykolwiek i wymową swoją dokazał tyle przynajmniej, że przekonał ciotkę, iż nie ma powodu pakowania do kufra szklanek, kołnierzyków, wi

delców i tym podobnych drobiazgów, ponieważ dwór nie jest zagrożony niebezpieczeństwem.

Mirkowicz dostrzegł, że Wiktor jest w jakimś nienormalnym stanie i że drży jak liść.

Zbliżył się do niego i rzekł:

— Idź pan do domu, uspokój się i ogrzej, widzę bowiem, że zimno pana przejmuje.

— Istotnie, cokolwiek mi chłodno — odrzekł, wstrząsając się febrycznie — ale to przypisuję wrażeniu; nigdy jeszcze ognia nie widziałem tak blisko...

— I przeląknę się pan...

— Tak, przyznaję, że nerwy moje...

— Ah, młody człowieku — rzekł Mirkowicz z westchnieniem, wiedz o tem, że przy gospodarstwie, w takich zwłaszcza warunkach jak nasze, potrzeba mieć nerwy jak postronki, ale idź pan do domu, proszę pana, idź, tu już

niebezpieczeństwa nie ma; wreszcie my z panem Żarskim zarządźmy co będzie potrzeba, Idźżeż pan, choćby dla uspokojenia siostry i ciotki.

Wiktor poszedł ku dworowi chwiejnym krokiem, kilka razy zatrzymywał się i spoglądał na płonący bu. dynek. Przepalone wiązania dachu zapadły się z trzaskiem, z pogorzeliśka buchnął olbrzymi snop iskier, dym zakłębił się, zakotłował—i wzbil się ku niobu jak smok z apokalipsy, skręcony w pierścienie potworne.

Czerwone płomyki szamotały się z resztą niedopalonych ścian, gryzły podwaliny, syczały jak węże, gdy je strumień mały uderzył, gasły i znowu odradzały się z czerwonych głowni, z zarzewia. Ale chwile ich były

już policzone. Żarski zwrócił przeciwko nim dwie sikawki, a z pobliskiego stawku wciąż dowożono wodę beczkami; donoszono ją, kto czem mógł, kubelkami, konewkami, skopkami.

Ogień opanowany był stanowczo.

Mirkowicz z Żarskim usunęli się na stronę.

— Zkąd to się wzięło, panie? — zapytał Mirkowicz, wskazując ręką na pogorzeliśko.

Żarski ramionami ruszył.

— Bo ja wiem—odrzekł.

— Wiesz pan dobrze, panie Żarski, ja domyślam się tylko. Jestem pewny, że to się nie stało przypadkiem. Ktoby o tej porze mógł z ogniem do stodoły chodzić.

— Ręczę za dworskich ludzi, że wszyscy spali jak zabici, spali piorwszym snem.

— Więc?

— Zaczyna zbierać co zasiał—szepnął Żarski. Mirkowicz westchnął.

— Domyślałem się, że tak będzie, a szkoda, doprawdy szkoda.

— Tak, tak, panie łaskawy, wszystkim szkoda, ale mnie to się serce krwawi, boć to tyło lat, tyle lat pracowało się na spokój, na przyjaźń ludzką, na życzliwość, a tu naraz trzask! jak z bicia strzelił i wszystko dyabli wzięli. Nioch Bóg bronii, jak to dłużej potrwa, to człowiek życia swego pewny nie będzie.

Nie dokończył, gdyż pomiędzy budynki wjechał w wielkim pędzie, na swojej dwukołowej biedzie Jojna Imbryk.

— Aj w aj! aj waj!—wołał, zeskakując na ziemię —

takie nieszczęście taki stodoła, taki kosztowny budynek. Niech moje oczy takiego interesu nie widzą...

— Cóż robić — rzeki z westchnieniem Żarski—wypadek.

Jojna z grymasem przymrużył jedno oko.

— Wypadek?—powtórzył powoli, akcentując każdą sylabę —to jest wypadek?! Niech dyabli wezmą taki wypadek.

— Zkąd się pan tu wziąłeś, panie Jojna? — zapytał Mirkowicz.

— Proszę wielmożnego pana—odrzekł żyd—ja sobie wracałora z jarmarku. Chwalić Boga, jarmark dobry był, ja załatwiłem swoich interesów i jechałem do domu już mrokiem. Ja sobie trochę bujałem, bo jadę nie bez grosza, a tera różne łobuzy lubią komu w drodze zaczepić. To ja popędzałem moję kobule, aby prędeż za las, na polu to człowiek trochę bezpieczniejszy jest. Wyjechałem za las z wielkim impetem, ale moja szkapa całkiem ustała, ja potrzebowałem

jej popaść, akuratnie przyjechałem do Zagórowa do karczmy. Dałem szkapie kłaczek siana, a sam wstąpiłem do propinatora. Wielmożny pan jemu zna.

— Jankiel?

— Tak, Jankiel Bas, porządny kupiec, osoba! My sobie gadali o tego, o owego, jak wiadomo, każdy ma swoich interesów, tymczasem w karczmio było trochę narodu też z jarmarku. Jankiel kupi! cielęta, całe parady cztery cielęta, chciał mnie ich odstąpić. Wziął lantarnię i poszliśmy do stajni, żeby ten towar zobaczyć, tymczasem świeczka nam zgasła. Ja chciałem iść do izby zapalić,

a Jankiel ciągnie mię za kapotę, powiada „sztile, sza”, tam za ścianą ktoś jest.

— Kto?!

— I ja tak sobie pomyślałem, kto? Tymczasem Jankiel znów mnie pociągnął za kapotę, i mówi sza. No, ja byłem sza. Czasem dobrze jest wiedzieć, że za ścianą ktoś stoi, a jeszcze lepiej wiedzieć co on sobie myśli. To już wypraktykowany interes, stary jak świat, ale dobry. Lantarnia była zgaśnięta, a te co stojeli za ścianą byli, jak ja miarkuję, trochę pijano, i przez to nie mogli wiedzieć, że czasem ściana ma uszy...

— Któż to był?— spytał Żarski.

Jojna obejrzał się na wszystkie strony, zniżył głos jeszcze bardziej i szeptem prawie mówił:

— Ja wielmożnym panom co powiem, to byli dwa lajdaki, to byli wielgie gałgany...

— Ależ kto, jak się nazywają?

— Ja nie wiem jak uni sobie nazywają, ale Jankiel to niedługo będzie wiedział, co uni za jedne. Uni mówili do siebie bardzo cicho, ale my mamy, Bogu dziękować dobry słuch. Uni tak mówili: ty Franek, jak to zrobisz to uciekaj w krzaki, ale zaraz uciekaj nim będzie widno, i nie leć bez pole, bo mogliby cię zobaczyć, tylko kładź sobie w suchy rów, co jest za pastwiskiem i leż, póki nie zagaśnie, a jak zagaśnie, to zaraz przychodź tu nazad, a ja będę w karczmie siedział, żeby mnie ludzko widzieli, a skoro się kto spyta o ciebie, to powiem, żeś całkiem upity i leżysz za stajnią. Oni jeszcze trochę gadali, ale cicho, a potem to ja usłyszałem takie słowo: jak się już wszystko skończy, to pójdziemy niby do domu, ale w le

sio trzeba poczekać, ja wiem, powiada, że Jankiel pojedzie po okowitę z pieniędzmi... Un, powiada, będzie miał dużo pieniędzy kole sobie... Więcej to ja już nie słuchałem, bo uni poszli, a Jankiel mało nie umarł ze strachu.

— Trzeba było zaraz wybiedz za nimi, gonić!

— Przepraszam wielmożnego pana, nie było trzeba tak robić, coby przyszło z tego gonienia?

— Więc cóżście zrobili?

— My poszliśmy z Jankiem do alkierza i myśmy sobie trochę pogadali. Chłopów w karczmie było pełno, jedne wchodzili, drugie wychodzili, czy ja mogłem zgadnąć, które to byli za stajnią? Jeden mówił do drugiego „Franek”, to prawda, ale proszę wielmożnych panów, w każdej wsi, co trzeci chłop, to z pewnością Franek. Myśmy zrobili inaczej.

— I cóżście zrobili?

— Całkiem nic, a bardzo dużo. Uni naradzili się ie mają podpalenie zrobić, niech uni podpalą; my poczekamy; Jankiol miał jechać po okowitę, on nie pojedzie, on będzie w karczmie siedział, on poczeka. Jak się zrobi ogień, to wszystkie chłopy tam polecą, a ten co współnik jest ostanie, to Jankiel zobaczy który to ostanie? Drugi współnik, jak ogień zgaśnie ma do karczmy przyjść, to Jankiel obaczy, który to przyjdzie? a jak Jankiel obaczy, który przyjdzie, to już będzie wszystko wiedział, wszystko wypatrzy i wysłucha. My tak uradzili, tylko to nie wiodzieliśmy gdzie będzie ogień. Czekaliśmy, czekaliśmy może godzinę, może półtorej godziny; aj waj, wierz mi pan dobrodziej, że to było długie czekanie, no i doczekaliśmy się. Ijudzie powiadają „Kalinówka się pali!” za

częli wychodzić! przed karczmę, dużo pojechało do ognia. Ja też zaraz siadłem na biedkę i przyleciałem tutaj, ja oglądałem się dobrze po stronie czy co nie zobaczę, ale nic nie widziałem.

— Panie Żarski—odezwał się również cicho Mirkowicz — wartoby wziąć kilku ludzi i pojechać do owego suohego rown przy pastwisku.

Żarski nie dał sobie dwa razy powtórzyć. Wskoczył na konia Mirkowicza; skinął na fernali, i nim Jojna zdołał krzyknąć aj waj! już był za folwarkiem.

— Czygo pan krzyczysz?—spytał Mirkowicz.

— Czego ja krzyczę? ja wiem czego ja krzyczę! jak tego łajdaka przyprowadzą, a on mnie tu zobaczy, tom ja zginął! już mnie niema, oni mi dom podpalą, oni mnie gdzie w drodze zabiją.

— Ależ czekaj pan, nie bój się...

— Co ja mam czekać? na co ja mara czekać, kto to chce czekać na śmierć?

'L temi słowy Jojna, jednym susem znalazł się na biedce i z miejsca zaczął bez miłosierdzia okładać szkapę batogiem.

— Czekaj żeż, panie Jojna! — zawołał Mirkowicz.

— Na co? po co ja mam czekać — okrzekł żyd, szarpiąc lejcami i galopem uciekł od pogorzelska. Nie pojechał przoz wieś, gościńcem, lecz od mostu skręcił w boczną drożynę i zniknął w cioniach nocy.

Ludzie dogaszali ogień, Mirkowicz udał się do dworu.

— No, dzięki Bogu—rzekł, wchodząc—że się tylko skończyło na jodnym budynku, cały folwark mógł łatwo pójść z dymem.

— Nieszczęście, nieszczęście—rzekła ciotka, wyciągając ręce do Mirkowicza. — Niech panom Róg nagrodzi, żeście nie opuścili nas w tym wypadku, co do mnie, straciłam głowę zupełnie.

— I ja się okropnie przelęknłam — dodała Julcia — siedziałyśmy z ciocią w pokoju, wtem nagle zrobiło się tak widno jak w dzień. Wiktor natychmiast wybiegł, a my nie wiedziałyśmy co robić. Ciocia zaczęła układać rzeczy, chciała wszystko wynosić, a ja biegałam po wszystkich pokojach, modliłam się. Dopiero pan Kaliciński przyszedł i uspokoił nas troche. Doprawdy poczciwych mamy sąsiadów, podobno i pan Marcinkowski przysłał ludzi na pomoc, pan Mirkowicz sam przyjechał, a pan Kaliciński przybył tu chyba lotem ptaka.

— Istotnie—wtrąciła ciotka—niespełna w kwadrans po wypadku pan Kaliciński był już tutaj. Przypuszczam, że musiał pan być chyba bardzo blisko?

— Pani dobrodziejko, rozmaicie się jeździ, jak kiedy, jak do kogo i jak po co. W razie potrzeby mój Zefir może lokomotywę prześcignąć.

Wiktor nie odzywał się prawie; był jakby złamany, przygnębiony, dreszcz nim wstrząsał.

Siedział w fotelu z głową o poręcz opartą i spoglądał na obecnych dziwnie błyszczącymi oczami.

Ciotka oprzytomniała już zupełnie i zaczęła się krzątać, aby przyjąć gości. Przypomniała sobie, że samowar schowała do kufra.

Trochę wstydząc się, a trochę śmiejąc ze swego roztargnienia, otworzyła kufer. Na samym wierzchu leżał wielki biały kocisko i nie dawał żadnych oznak życia.

— Co cioteczka zrobiła najlepszego? — zawołała Julcia — mój kochany, wypieszczony kotek, mój śliczny Maciuś zaduszony! nie żywy! jakżeż było można kota do kufra chować?

— Zdaje ci się, Julcczko, że w takim wypadku, to jest czas na rozmyślania, ratuje się co pod rękę wpadnie.

— Panno Julio — odezwał się Kaliciński — Maciuś jeszcze jest ciepły. Zapewne zemdlął tylko, ale ja go odratuję, zaraz go odratuję. Puścić mu trochę dymu w nos, oblać wodą i wyrzucić go za okno, na świeżem powietrzu zaraz przyjdzie do siebie.

Wykonał to jeszcze prędzej niż powiedział, dmuchną! kotowi w nos dymom z cygara, otworzył okno, a wychyliwszy przez nie zemdlonego kota, wylał na niego całą karafkę wody i tak oblanego położył na darniowej ławeczce.

Recepta była skuteczna. Kot podniósł się, otrząsnął i jakby z przykrego snu przebudzony, spojrzął wystraszonemi oczami i uciekł do kuchni.

— A co, panno Julio — zawołał Kaliciński z tryumfem—a co? jaki zo mnie doktór: kot ożył.

— Apropos doktora — odezwał się pan Mirkowicz, patrząc na Wiktora uważnie — czyby nie należało posłać po lekarza, mnie się zdaje, że pan Wiktor jest cierpiący.

— Nie, nie, proszę pana — zaprzeczył młody człowiek—to nic, to tylko wrażenie.

— Zapewno, ale ostrożność nie zawadzi.

— Co to za hałas na dziedzińcu?—zawołał Wiktor, zrywając się z krzesła.

— Zdaje się podpalacza złapali—odrzekł spokojnie Mirkowicz.

— Podpalacza?! więc pan jesteś zdania, że to z podpalenia ogień wybuchnął?

— Jestem tego pewny.

— O nie! to niepodobieństwo! ktoby mnie miał podpalać? za co? przez Boga żywego za co? Komu co złego zrobiłem?

— Nie wioin za co, powtarzam tylko, że stodoła była podpalona, to fakt.

— Ale kto? kto?

— No, mamy ptaszka — rzekł Żarski, do pokoju wchodząc—przycupnął w rowie jak zajęć, ale go parobcy wytropili; jest pod dobrą strażą na dziedzińcu, trzeba go będzie zaraz do powiatu odesłać, bo z gminnej kozy może łatwo ucioc.

— Któż to jest? czy z tutejszych ludzi — zapytała ciotka.

— Tutejszy, proszę pani, z Kalinówki, znany złodziej łosny Franek Kuternoga.



- Jakto, ten, któremu Wiktor tyle razy przebaczył kradzieże.
- Ten, do którego tak serdecznie przemawiał?
- Ten sara, proszę pani, ten sam.
- A jakież dowód, że to on podpalił? czy go kto złapał na uczynku? czy sam się przyznał?
- Gdzieżby się zbrodniarz przyznawał do zbrodni? wypiera się w żywe oczy, ale są takie poszlaki, że wina jego nie ulega żadnej wątpliwości.
- Cóż go mogło skłonić do takiego postępku?

Żarski ramionami wzruszył.

— Proszę pana—rzekł—przyczyna jasna, za ostatnią kradzież kazał go pan podać do sądu i został ukarany.

— Przecież wybaczyłem mu z dziesięć.

— To też właśnie. Za pierwszą dostał sosnę i rubla, więc wyobraził sobie, że za każdą będzie to samo, panu się sprzyrzyło dawać sosny, on więc doznał zawodu i zemścił się.

Wiktor nie odpowiadał.

Z dziedzińca dochodził gwar, nad którym panował donośny głos szamoczącego się Franka:

— Puśćta mnie, złodziejo jedne! — wołał — puśćta mnie do dziedzica! ja was sielmy do sądu zaskarżę, żeście mi przestęp drogi zrobili, do kreminału wsadzę was, że Bożego świata nie będziecia oglądać. Ja i waszogo dziedzica i rządęcę skarżyć będę za napaść, za kalumnie. Sam dziedzic stodołę podpalił, żeby fajorkasę dobrą dostać, a tera na ranie. Nie bojta się, znam ja te ich stuki, oni wszystkie takie; same tysiące za ogień biorą, a biednego człowieka w kajdany pakują. Puśćta mnie sielmy! łajdaki, złodziejo! Ja sam wiem gdzie sąd; ja do mirowego pójdę, obacymy jak wasz pan dziedzic potańcuje; sam podpalił z rządęcą, na swojo oczy widziałem! świadki mara na to.

Żarski na Mirkowicza spojrział znacząco.

— Może pan każe przyprowadzić go tutaj?—zapytał Wiktora.

— Może go sąsiad zechcesz wybadać—wtrącił Mirkowicz.

— Ha, łotr, a zawsze ci mówiłam, Wiktorze—ode

zwala się ciotka — zawsze mówiłam ci, nie chciałeś mnie słuchać.

Kaliciński takie głos zabrał.

— Kombinując to wszystko — rzekł — aczkolwiek jestora aż nadto przekonany moralnie, że ten łotr szczeka jak pies, jednak obawiam się, że kochanego sąsiada dobrodzieja mogą włóczyć po sądach.

— Mnie?—zawołał zdumiony Wiktor.

— Właśnie i to jest najprzykrzejsze.

— E nie—wtrącił Mirkowicz — o to niema obawy, mamy poszlaki, które wobec sądu będą tak przekonywujące, że wystarczą za dowód, jestem pewny, że okolica uwolniona zostanie na zawsze od tego jegomości.

— Dowód? pan masz dowód?—szeptał Wiktor.

— Naturalnie, że mam, w przeciwnym razie nie mówiłbym o tem.

- Ostatecznie, proszę pana — spytał Żarski — co mam z nim zrobić? Puścić, czy oddać w ręce władzy jak pan każe.  
— Puścić? co też pan mówi! — krzyknął Kaliciński — iak można podpalacza puszczać?  
— Zrób pan co uznasz sam za właściwe — rzekł Wiktor — mnie tak głowa boli, że myśli zebrać nie mogę.  
— A nie mówiłem — rzekł Mirkowicz — że trzeba koniecznie po lekarza.  
— Jutro mój syn tu będzie — wtrącił Żarski — jeżeli państwo pozwolą!  
— Owszem, owszem — odezwała się ciotka — niech pan dobrodziej poprosi go w naszym imieniu.

Niedługo goście opuścili Kalinówkę. Wiktor położył się do łóżka. Siostra usiadła przy nim na krzeselku i białą, miękką rączkę położyła mu na czole.

— To straszne, straszno — mówił półgłosem, jakby w gorączce — ale nie! to nieprawda, to tylko sen przykry.

— Czy ty o dzisiejszym wypadku mówisz, Wiktorze?

— Ah tak, to był wyjątek, wyjątek, ale poczekajcie no jeszcze rok, dwa lata, ja was przekonam kto miał słusność, przekonam choćby mi przyszło życiem to przyplacić, przekonam, przekonam.

Dalej mówił już coś bez związku; w gorączkę wpadł,

Ciotka z Julcią przez całą noc nie zmrużyły oka, przerażono ratowały chorego domowymi środkami, i nie czekając na przyjazd młodego Żarskiego, posłały po lekarzy do najbliższych miasteczek.

Już słońce woszło, gdy przyjechał pierwszy lekarz i obejrzawszy troskliwie chorego, uspokoił cokolwiek przerażone kobiety.

O tejże samej porze z przed kancelaryi gminnej ruszała furmanka, na której pod strażą dwóch wartowników, siedział z rękami związanymi mocnym postronkiem Fraook Kuternoga. Dla większej pewności, aby w drodze nie uciekł pan Żarski, posłał jeszcze na dworskiej furmance trzech fornali.

Gdy przejeżdżali koło karczmy Zagórowskiej, na progu dostrzegli propinatora Jankla, który z pozorną obojętnością, jednak bardzo bacznie przypatrywał się jadącym.

Więzień, ujrzawszy karczmarza, zawołał:

— Ej Janklu, Janklu! nie ma tam u was mego brata?

— Zdaje rai się, co nu leży pod ławą i spi — odrzekł Jankiel spluwając.

— To powiedzcie mu, jak się ocknie, żeby... Żyd ręką machnął.

— Powiedzcie jemu sami, ja nie lubię się wdawać w cudzych interesów.

— Jedźtano! jedźta — krzyknął jeden z fornali — po co jeno gadać po próżnicy.

Kuternoga zgrzytnął zębami.

— Ej Janklu — krzyknął — nie frasuj się kochanie — będę ja niezadługo u ciebie.

V.

W Bosychkaczkach, w tem sławnem mieście, w którym mieszkał ongi bardzo nabożny i uczony rabin, w tem mieście, z którego pochodził nasz Jojna Imbryk i wszyscy jego przodkowie, osiedlił się młody doktor Żarski.

Domek, który sobie wynajął, stał przy pryncypalnej ulicy, ale już przy końcu miasteczka niedaleko kościoła. Przed domkiem był mały ogródek, z tyłu podwórze i kilka gospodarskich budynków.

Od samego rana do młodego lekarza gromadzili się pacyenci. Żydówki z delikatnymi bachorkami na rękach, różne jejmości z podwiązaniem twarzami, a niekiedy zabłądził który chłop, wypróbował wszystkie okadzań, czarów i zamawiań, widząc, że mu nie pomagają baby, zna

chory i cyrulicy miasteczkowi, wypowiadał się z grzechów całego życia i zrezygnowany przywłókł się do doktora, żeby „lżejszą śmiercią umrzeć”!

Tych pacjentów, służąca wpuszczała po kolei do małego skromnie umeblowanego pokoiku, w którym stało tylko biurko, fotel, kilka krzeseł, twarda sofa i szafa pełna książek i różnych instrumentów. Pacyenci wchodzili frontem, wychodzili zaś przez sionkę i podwórze. Codziennie zbierała się spora gromadka tego rodzaju pacjentów; jedni z nich płacili miedzakami, drudzy nie płacili zupełnie, a byli i tacy, którym doktor z własnej kieszeni jeszcze na lekarstwa dokładał.

Do wiejskiej arystokracji i bogaczy miejskich, jak na przykład do pana burmistrza, sekretarza, kasyera, do pana Jojuy Imbryka, wielkich kupców korzennych i łokciowych mających w sklepach swoich najmniej za trzysta rubli towaru, doktor osobiście chodził, za co pobierał wspaniałe honorarium co najmniej po pół rubla za wizytę, nie licząc prezentów i w razie potrzeby kredytu.

Żarski tak się zawczasu urządzał, że zazwyczaj już o godzinie jedenastej zrana załatwił się ze wszystkimi chorymi w miasteczku, pozem zjadał śniadanie i wyjeżdżał w okolice. Nie było dnia żeby po kilka furmanek nie czekało na niego. Pół roku ledwie minęło jak zamieszkał w Bosychkaczkach, a już zjednać sobie potrafił wielką popularność w okolicy. Tu bezinteresowny, chętnie na każde żądanie pospieszał, nie zważając czy to pogoda, czy ślota, noc czy dzień, czy zapłacą hojnie, lub skąpo.

Przytem i leczył szczęśliwie, a że w małomiasteczkowe komeraże nie wdawał się, trzymał się zawsze na

uboczu, a z każdym bez wyjątku postępował uprzejmie, więc też lubiany był powszechnie, a praktykę coraz miał większą.

Mieszkanko, które zajmował, urządzone było skromnie lecz wygodnie, ręką kochającej matki. Było marzeniem pani Żarskiej, żeby przy synu zamieszkać, ale projekt ten nie mógł być zaraz wykonany, mąż jej albowiem ustąpił prośbie Wiktora, przez pana Mirkowicza popartej, i zdecydował się jeszcze przez jeden rok w obowiązku pozostać.

Młody Żarski częstym bywał gościem w Kalinówce, już to jako lekarz często wzywany do Wiktora, już to jako syn, pragnący rodziców odwiedzić. Przy tych odwiedzinach wszakże, tak się jakoś składało, że w domu rodziców bawił ledwie kwadransik, a we dworze natomiast przesiadywał godzinami całymi.

Kaliciński, który wytrwało rolę konkurenta odgrywał i kilka razy w tygodniu do Kalinówki na bucefale swoim przyjeżdżał, przygryzał wąsy z wściekłości, ile razy doktora tam zastał i postanowił w duchu, że musi się z rywalem po rycersku rozprawić.

W tym celu sprowadził z Warszawy dwa potężne rapiry i parę pistoletów ogromnych, gwintowanych, z których nie tylko szczupłego doktorka, ale nawet słonia możnaby było zastrzelić.

W ogrodzie, u siebie w Toczkach, ustawił grubą deskę dębową, wyciosaną niezgrabnie w kształt człowieka, i na niej w odpowiednich miejscach namalował czarną farbą olejną nos, oczy, usta i serce.

Codzień, skoro wstał tylko z łóżka, nabijał pistolety,

szedł do ogrodu i pakował rywalowi swojemu „in effigio” kulę w środek czoła, lub w piersi, w wyjątkowych zaś razach, gdy był w szczególnie łagodnym usposobieniu, ograniczał swoją mściwość na zadaniu kalectwa i celował w ramię, albo w nogę.

Oko miał doskonałe, rękę pewną, nie ulegało więc wątpliwości, że w chwili stanowczej potrafi poczęstować rywala skutecznie.

Prócz tego, uprawiał się także w szermierkę, na wypadek gdyby „doktorzyna” (gdyż tak go pogardliwie nazywał) wybrał broń białą.

Żarski miał w okolicy opinię dobrego chirurga, nie byłoby więc nic dziwnego, gdyby przeniósł szablę nad pistolet. We wsi w Toczkach znajdował się jak na szczęście chłop, Bartek Dzieciół, urlopowany dragon. Jako wojownik wiedział jak się z pałaszem obchodzić i znał pierwszo zasady fechtunku.

Tego właśnie Dziecióła sprowadził sobie zakochany rycerz do towarzystwa w szermierce. Zamykali się w pustej stodole i ubrani w grube rękawice i druciane maski, z materacami na piersiach, nacierali jeden na drugiego, krzesząc iskry z rapirów. Zaciekawiona służba przez szpary w ścianach stodoły przypatrywała się temu niezwykle na wsi widowisku, i gubiła się w domysłach dlaczego dziedzic chcąc próbować siły Bartka nie weźmie go zwyczajnym sposobem za bary i nie obali na ziemię? Dlaczego, gdy już tak koniecznie chce się z nim na pałasze rozprawić, przywdziewa maskę i Bartkowi każe robić to samo. Żo jednak do wszystkiego można się przyzwyczaić

więc po kilku tygopniack służba dworska przestała podpatrywać przez szpary.

Bartek przychodził do szermierki, jak do zwykłej gospodarskiej roboty i brał za swoją fatygę wynagrodzenie, jak za pół dnia do cepów, oraz dostawał porządny kielich wódki extra...

Wyćwiczwszy sio dokładnie w strzelaniu i w szermierce, Kaliciński nie wątpił, że gdy chwila stanowcza nadejdzie, potrafi posiekać swego rywala, nie na kotlety nawet, lecz na klopsy.

Żarski nie domyślał się nawet jakie straszne czekają go przejścia. Słyszał wprawdzie o rycerskich ćwiczeniach Kaliciński ego, lecz uważał je jeżeli nie za dziwactwo, to za zabawkę, ot tak sobie dla przepędzenia czasu,

Był piękny dzień zimowy, ziemia pokryta białą szatą śniegu, na niebie świeciło słońce; właśnie przed chwilą młody lekarz powrócił od chorych i zasiadł do śniadania, gdy na ulicy rozległ się głośny brzęk dzwonek i po chwili wygodne sanio zaprzężone w parę dzielnych koni zatrzymały się przed domem.

— Któż tam znowu chory u was? zapytał wchodzącego stangreta.

— A wielmożny konsylarzu — rzekł, kłaniając się dworuf — wszystkie Bogu dzięki są zdrowe, tylko dziedzic jakoś niedomaga. Zawdy on tak chodzi jak nie swój, ten nasz dziedzic.

— Czy pogorszyło się panu?

— Co się ta miało pogorszyć? Kiepski on był, kiepski je, i na mój głupi rozum, to nie w złą godzinę powiedziawszy, jakoś on na księżą oborę patrzy.

— Dajesz pokój Mateuszu, wyzdrowieje wasz dziedzic, wyzdrowieje.

— Ha! dałby to Bóg miłosierny—rzekł, wzdychając chłop.

— Powiedz mi, mój Mateuszu — spytał Żarski—czy pan leży? czy widziałeś go?

— Widziałem, wielmożny konsyliarzu, bo mnie panienska do pokoju kazała zawołać. Ubrany jest pan, siedzi w krześle przed ogniem, bo się akuratnie buzuje na kominku, nogi ma okręcone w derkę i dygocze jak w najsiarczystszy mróz. Ja jak wszedłem, skłoniłem się, a panienska, niby panna Julia, sama mnie pogłaskała pod brodę i powiada, mój Mateusie kochany jedź po pana doktora, aby jeno duchem, powiedz, że ja bardzo proszę. Ze trzy razy powiedziała, że bardzo pana prosi i wódki mi dała kielich i chleba taki głąn, żem w kieszeń nie mógł zmieścić. Ja też zara duchem zaprząłem kare konie; a droga dobra jak dawno już takiej nie bywało, to też koniska leciały jak ptaki, aż mi ręce omglały od lejców. Tyra wytchną się troszkę i zara możemy jechać.

Żarski pospiesznie wybrał się do drogi i w pół godziny później otulony w futro, jechał do Kalinówki.

Po wybornej drodze, rosłe kare konie biegły wyciągniętym kłusem, parszając i buchając z nozdrzy kłębami pary, która osiadała im na szyjach, piersiach i grzywach i wnet ścinała się w drobne lodowe kryształki. Takież same kryształki osiadły na sumiastych wąsach Mateusza i na futrzanym kołnierzu Żarskiego?

W lesie, przez który szła droga do Kalinówki, drzewa pokryte szronem, wyglądały jakby odświętnie. Wielkie

świerki i sosny dźwigały na gałęziach śnieg przymarzły i szron; stare dęby o fantastycznie pokrzywionych gałęziach pokryły się białą sukienką, takąż szatę przywdziały twardo graby i gęste krzaki leszczyny. Mateusz lubił w drodze gawędzić.

— Proszę pana konsyliarza—rzekł—u nas wczoraj goście byli, siedzieli mało nie do północkska.

— I dziedzic także siedział do tak późnej godziny.

— A coby nie miał siedzieć? albo to w pokojach nie ciepło? a przy kompanji, to kuźdemu człowiekowi zawdy milej.

— Któż tam był?

— O był pan z Białowodów z panienką, przyjechali czwórka. Konie jak hamany, że gdzie naszym, ani równać, wypaszone jak niedźwiedzie, po trzy garnce owsa na dzień dostają.

— Przecież i waszym nie brak.

— Niby to nie brak, ale zawdy wielmożnego pana konsyliarza ociec trochę je skąpy na owies.

— Oszczędza.

— Wielmożny nasz pan rządcza powiada, że wyjazdowe konie to darmozjady, że szkoda dla takich pasibrzu chów owsa i siana.

Wiktor uśmiechnął się.

— Powiedźże mój Mateuszu, któż więcej był wczoraj we dworze?

— A był i pan Kaliciński, w pojedynkę sobie saneczkami przyjechał, tera wiaer ostry bywa, więc i pan Kaliciński nie jeździ na swoim wierbładzie wierchem, jeno go do saneczek zaprzęga. Saneczki maleńkie, a pana

Kalioińskiego nogi długie, więc też siedzi nieborak na swych sankach jak męczennik, brodę na kolanach trzymając. Ale pan Kaliciński to u nas gość częsty, mało nie dwa razy bez tydzień jest, to go i nie ma co rachować, ale byli jeszcze dwa panowie, pierwszy raz dopiero w Kalinówce.

— Któż to?

— Pan Marcinkowski z Zagórowa, z synem, niby z panem Jadamem. Ocieo jak ocieo, stateczny szlachcic, ale pan Jadam to przyścipny kawaler, za koniami toby w ogień poszedł. Wczoraj zajechali parą wilczatych mierzynów grubopłaskich, z takimi karkami jak u byków, a na krzyżach toby się chłop mógł przespać. Okrutne koniska, proszę wielmożnego konsyliarza, po jakie trzysta rubli warci, jak to mówią brat bratu. Pólsiorki na nich węgierskie, nowiusiońkie, sanie jak cacko. Stangret stojał sobie z tyłu, a pan Jadam sam wioził. Jak osadził przed gankiem, to aż wilczaki na zadnich nogach stanęli. Już takiego sprawnego kawalira do koni to w okolicy szukać.

Wiktor zamyślił się.

— Sluchajno Mateuszu—rzekł po chwili milczenia — powiadasz więc, że dawniej ci panowie nie bywali w Kalinówce.

— Niby z Zagórowa?

— No tak.

— Nie, wielmożny konsyliami, nie bywali dawniej, ale mnie się coś widzi, że oni nie przyjożdżali wczoraj po próżności.

— No, jakto?

— Ha, wielmożnemu panu wiadomo, io jak człowiek

je w obowiązku, a jeszcze na to mówiący przy koniach, to zawdy co nieco o swoich państwu wie. Tedy i Michał Zagórowski, niby stangret, gadał do mnie wczoraj, że pewnie będą częściej przyjeżdżali do nas, nawet prosił mnie, żebym do jego koni przegrodę w stajni wyszykował, bo z naszymi bestye tak wierzgają i gryzą, że sposobu nie ma.

— Po cóż by mieli tak często bywać. Mateusz uśmiechnął się.

— Ha! wiadomo po co. U nas we dworze „panna Julija jak lelija”, a pan Marcinkowski, niby ojciec, chciałby swego syna ustatkować, boć to już i czas, latka idą, a paniczkowi wąsik się wysypał, jak na urząd.

Młody Żarski zamyślił się, gadatliwy Mateusz zaś perorował dalej.

— Swoja to rzecz, wielmożny panie konsyliarzu, i nie dziwota, żeby się pan Jadam z naszą panienką ożenił. Kawalir jak świeca, bogatego rodu, chleba będzie miał po uszy. Gadają ludzie, że teraz niby to krzynekę sobie hula i lubi pobaraszkować, ale jak się ożeni to się odmieni.

— Nie ożeni się —szepnął Żarski półgłosem... Mateusz nie dosłyszał tych słów i cmoknął na konie, które też bardziej jeszcze przyspieszyły biegu.

Kalinówka leżała tuż za lasem. Wyjechawszy z pomiędzy drzew skręcało się zaraz na most, z kąd już ledwie pół wiorsty drogi było do dworu.

Mateusz osadził konie przed gankiem, doktor do dworu wszedł. W pierwszym pokoju przywitała go Julcia. — Panie doktorze—rzekła—panie Janie, przepra

szam stokrotnie, zem fatywowałam, ale doprawdy sama już nie wiem co robić.

— Czy panu Wiktorowi gorzej?

— On nie uskarża się wprawdzie, ale ja widzę w nim zmianę. Wczoraj było u nas kilka osób... była i panna Wanda z Białowód. Wiktor rozmawiał z nią prawie ciągle, był nadzwyczaj wesoły, ożywiony, zdawało się, że mu zdrowia przybyło. Dziś znów jest milczący i apatyczny; słowa z niego trudno wydobyć. Drży.

— Zobaczmy zaraz, tylko ogrzeję się cokolwiek. Więc pani mówi, że wczoraj był ożywiony, wesoły.

— O tak, zawsze ile razy Wandzia do nas przyjedzie, lub my wybierzemy się do Białowód, Wiktor ma doskonały humor. Ja doprawdy nieraz ubolewam, że sama nie umiem wpłynąć na brata jakoś. Nieraz pragnęłabym szczerze, żeby go rozweselić, rozerwać. Czytam mu książkę, lub gram na fortepianie, ale to nie a nic go nie zajmuje, od owego nieszczęsnego pożaru do niepoznania się zmienił.

— Tak — rzekł Żarski — od owego dnia datuj o się początek jego choroby.

— Powiedz doktorze—zawołała, składając ręce błagalnie — panio doktorze, powiedz pan kiedy jemu będzie lepiej?

— Cierpliwości pani, cierpliwości, do wiosny. Ona ma lekarstwa lepsze, niż my; ona ma słońce, ciepło, skarby nieprzebrano, ona powróci zdrowie pani bratu.

— A czy wie pan doktor co ja myślę o Wiktorie...

— Słucham pani.

— Może się pan rozśmiej z mojej dyagnozy?

— Panno Julio, częstokroć serca łatwiej poznaje prawdę, niż nauka.

— Ośmielasz mnie pan, bo właśnie serce mi powiada, że Wiktor podwójnie cierpi.

— Jakto? pani...

— Tam dusza choruje. On martwi się, gryzie, on jest złamany, zawstydzony, zawiedziony w tem co najbardziej ukochał...

— Co pani mówi?

— Mówię to co wiem, panie Janie. Usiądź pan i posłuchaj.

Żarski siadł na krześle.

— Słucham pani—rzekł, patrząc na dziewczęcą,

— Mówię do pana i jako do lekarza i jak do przyjaciela zarazem, mówię dla tego, że według mego zdania nioktórą wskazówkę przydać się panu mogą. Pan nie zna dobrze mego brata, panie doktorze.. To człowiek idei przedewszystkiem. On postanowił sobie, że w piękny sposób skorzysta z uśmiechu fortuny, że rozkrzewi w okolicy

oświatę i dobrobyt, że uszlachetni tych ludzi prostych, wśród których mieszkać mu wypadło. Robił bardzo, bardzo dużo w tym względzie, lecz na każdym kroku spotykał nieprzeparę przeszkody.

— W czym mianowicie?

— We wszystkim i wszędzie — odrzekła Julcia ze smutkiem. — Inteligentni ludzie krytykowali ostro jego postępowanie, ale on na to nie zważał. Ciocia, nasza poczciwa ciocia, którą oboje kochamy jak matkę, robiła mu wymówki, on puszczał je mimo uszu. Pan Żarski...

— Ojciec mój?

— Tak, tak jest, ojciec pański porzucić nas chciał. Dla czego? Czyż uchybiliśmy mu w czymkolwiek? Doktor zmieszał się.

— Niech się, pani nie dziwi. Ojciec mój, to człowiek dawnej daty, a tacy nie są wolni od uprzedzeń, mogę jednak zapewnić, że dopóki tu będzie...

— Pan Żarski nie rozstanie się z nami—odrzekła — ja go sama zatrzymam, uproszę. Ale wracam do rzeczy, to wszystko bardzo bolało Wiktora, najbardziej jednakże bolała go nieufność tych, dla których duszę by oddał.

— Nie znał ich, a może nie umiał brać się do rzeczy.

— Być może, szedł drogą prostą do celu. I co pao powiesz, w chatach, do których wstępował, przyjmowano go podejrzliwie i z nieufnością. Na zebraniach w gminie najserdeczniejsze przemówienia nie odnosiły skutku, w razie szkód i kradzieży, przebaczenie i łagodność przyjmowanoszycerstwom. Wzdychali, jęczeli, kłaniali mu się do ziemi, a gdy odeszli wyśmiewali się z „głupiego” dziedzica. Sama słyszałam niejednokrotnie rozmowy tego rodzaju. Wyobraź pan sobie, ofiarował im piae i drzewo na szkołę, nie przyjęli, a wiesz pan dlaczego, bo lękali się, że wypadnie im płacić składkę na nauczyciela, nareszcie ten pożar, ten pożar nieszczęsny, oskarżenie nikczemne...

— Upadnie wobec dowodów.

— Naturalnie, że upadnie, ale to boli, to bardzo boli, panie Janie.

— Sądzę, że ta ostatnia katastrofa wytoczyła pana Wiktora z mrzonek.

— O nie! pan go nie znasz. To niejest charakter,

który ustępuje łatwo. Przysięgłabym, że w tej chwili obmyśla nowe sposoby walki, siły zbiera.

Z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć ostry, suchy kaszel.

— Chodźmy do niego — zawołała Julcia.

W obszernym pokoju, przed kominkiem, na którym ogień płonął siedział Wiktor, zmieniony bardzo i blady. Twarz jego nosiła ślady przeżytych cierpień, oczy miały blask gorączkowy niezwykle.

Zobaczywszy wchodzącego doktora, Wiktor chciał powstać na przywitanie go, ten jednak przybliżył się szybko i przeszkodził temu.

— Jakże się pan miewa?—zapytał.

— Dobrze, owszem, bardzo dobrze, tylko czuję wyczerpanie jakieś, siły mi braknie... Czy doktor nie uważa, że w tym pokoju jest duszno?



— Nie, ale można otworzyć drzwi do sąsiednich, będzie więcej powietrza.  
— Zapisz mi co na wzmocnienie, doktorze — rzekł ciszej — ja mam różne sprawy do załatwienia, wyjechać chciałbym.  
— Na takie powietrze! co pan mówisz?!  
— A gdyby ubrać się doskonale, otulić w futro Cóż mi może powietrze zaszkodzić, taki pogodny, piękny dzień, a zresztą ja nie mam zamiaru daleko wyjeżdżać.  
— A dokąd?  
— W sąsiedztwie, kilka wiorst zaledwie.  
— Nie sposób.  
— Tylko do Białowód, mój doktorze.  
— Odłóż pan tę wycieczkę na kiedy indziej.

— Niestety, wy doktorzy jesteście wszechwładni wobec swoich pacjentów. Zanim dacie paszport na tamten świat, pierwszej wytrzymacie biedaka w niewoli.

— Mój braciszku—odezwała się Julcia—nie mów tak. O Białowody ci idzie. Pan Mirkowicz wie, żeś chory i nie wymaga, żebyś go zaraz rewizytował. Nawet odjeżdżając ztąd był tyle uprzejmy, że mi przyrzekł odwiedzić cię znowu w tym tygodniu, przyjedzie niezawodnie i z Wandzią.

Wiktorowi oczy błysnęły.

Julcia wyszła, a Żarski zabrał się do badania chorego; badał go długo troskliwie, ze starannością młodego lekarza nie zubożniałego jeszcze na ludzkie cierpienia, z troskliwością brata.

Tak dużo zależało mu na tym pacyencie!

— No, panie Wiktorze — rzeki dobrej myśli i cierpliwości—będziemy jeszcze chodzić i wyjeżdżać, nie tylko do Białowód, lecz i dalej nawet. Cobyś pan powiedział na przykład, gdybym panu zaproponował wyjazd na południe, nie koniecznie dla kuracyi, ale oto tak dla rozrywki, dla przyjemności własnej.

f — Nigdy! a przynajmniej nie teraz, w żadnym razie nie teraz.

— Dlaczego? Co pana tu zatrzymuje?

— Nie wiesz doktorze! nie masz pojęcia, co ja mam tutaj do roboty i tak zaniedbałem dużo już przez to przekłete osłabienie.

— Czy ta robota nie da się odłożyć? — Nie, nie sposób, niepodobieństwo.

— No, ostatecznie możemy jeszcze do tej kwestyi

powrócić, tymczasem pożegnam pana, wpadnę do rodziców na chwilę.

We drzwiach ukazała się Julcia.

— Już nas pan opuszcza? —zapytała.

— Powrócę jeszcze, żeby państwa pożegnać.

— A nie, tak nie można, ciocia obraziłaby się śmiertelnie. Czekać będziemy z obiadem.

— Więc dają mi państwo urlop na...

— Na kwadransik tylko — rzekła z uśmiechem, podając mu rękę.

Wiktor skłonił się i zarzuciwszy futro na ramiona, poszedł do mieszkania rodziców na folwark.

W skromnie umeblowanym pokoiku serdecznie przyjęła go matka staruszka. Z rozrzewnieniem ujęła jego głowę rękami i pocałowała go w czoło. Ojciec także przerwał rachunki, którymi był zajęty i wyszedł na powitanie syna.

— Jakżeś go znalazł? — zapytał, w stronę dworu wskazując.

Młody Żarski nie zaraz odpowiedział.

— Proszę ojca — rzekł po namyśle — ja nie wiem; młody jestem, nie wielki praktyk jeszcze, mogę się mylić, pragnąłbym się omylić, ale zdaje mi się...

— Że źle jest?

— Niestety.

— Bój się Boga, Jasiu—zawołała staruszka—czy to być może, taki młody człowiek, na świat mu dopiero.

— Najbardziej to mi przykro, że mi tak ufają bez granic. Wolałbym, żeby chcieli jeszcze kogo zawezwać.

— Masz rację — rzekł ojciec—nastawaj na to, żądaj, nie bierz na siebie odpowiedzialności. Dziś nawet to zaproponuj.

— Zobaczę, może po obiedzie znajdę sposobność w delikatny sposób pannę Julię uprzedzić, ale w każdym razie bolesna to dla mnie misya.

Matka upomniała się o swoje prawa.

— Widzisz jakiś ty syn—rzekła z wymówką—tam idziesz na obiad. Zapewne, zapewne, juźcić we dworze lepszy, niż oficjalisty.

— Ah matko! cóż znowu! proszono, przecież nie mogłem odmówić. Panna Julia prosiła.

— No, no, idź panie konsyliarzu — rzekła udobruchana staruszka, pilnuj się tylko, żebyś lecząc drugich, sam nie zachorował na serce, idź, idź, nie zatrzymuje cię, moje dziecko.

Gdy doktor wyszedł, Żarska odezwała się do męża.

— Zdaje mi się, mój kochany, że nasz Jaś może karierę zrobić.

— Jak to rozumiesz?

— A cóż, panienka jakoś miłem oczkiem na niego spogląda, znam ja się na tem.

— Hum—odrzekł Żarski—nie byłoby to nic niepodobnego—Jaś, człowiek młody, ze stanowiskiem.

— Ale i Kaliciński tam zajeżdża.

— Togo nie ma co liczyć,

— Pan Adam także wizytę przecież złożył.

— Moja kochana, co ma być to będzie. Ani Jasiowi radzić, ani odradzać nie mam zamiaru, zrobi już sam jak zechce.

— Mówisz tak obojętnie.

— Nic, tylko mówię spokojnie, nie lubię uprzedzać wypadków, ani też, jak to mówią, łowić ryby przed niewodem. Dla mnie zresztą samego...

— Miałbyś co przeciw temu?

— Moja kochana, co Bóg da to będzie, ja bo teraz co innego mam na głowie. Dziedzic narobił dużo, dużo złego, teraz odrabiać to trzeba.

— No, co? jak? powiedzże mi.

— Potem o tem, przy sposobności, kiedy indziej. To powiedziawszy Żarski, do rachunków się zabrał, ale nie szła mu robota sporo. Jakieś myśli smutno niepokoiły go ciągle. Wstał, fajkę zapalił, ale rzucił ją wnet, chodził dużymi krokami po stancyjco, co raz to za głowę się chwytał, wreszcie włożył czapkę, w lisiurkę się ubrał i powoli poszedł na folwark.

Wo dworze, po obiedzie, Wiktor położył się w swoim pokoju, bo siedzieć ciągle sił nie miał, a panie z doktorom w saloniku prowadziły rozmowę.

— Ujmuję nas pan swoją dobrocią, panie Żarski — mówiła ciotka— a my tej dobroci nadużywamy.

— Pani dobrodziejko, to nie jest dobroć, tylko obowiązek, pośpieszam do państwa na każde zawołanie, pośpieszam chętniej niż do mych chorych, gdyż tu mam rodziców, ale wolałbym stokrotnie bywać rzadszym gościem u państwa, lekarz to proszę pani gość nieraz bardzo proszony, ale niepożądany wcalo, i w tych domach, którym najlepiej życzy, radby nigdy nie bywać.

Julcia uśmiechnęła się.

— Zapewne— rzekła— doktora Żarskiego wzywamy

z konieczności, ze smutnej konieczności, ale pan Jan Żarski nie lekarz, lecz dobry znajomy, syn naszego przyjaciela, to zupełnie co innego.

— Niestety pani, kto raz został lekarzem, ten się już nigdy nie może pozbyć swego charakteru, Czy jest przyjacielem, czy bratem, zawsze musi dotykać kwestyi, która niejednokrotnie...

— Co pan przoz to rozumie?— spytała Julcia z przerażeniem .

— Ja, proszę pani... chciałem powiedzieć tylko, że lekarz w jakimkolwiek charakterze bywa w domu, zawsze musi dotykać kwestyi przykrych, to jest...

— Panie Żarski — przerwała ciotka — mówisz pan w sposób zagadkowy... powiedz lepiej otwarcie... czyżby Wiktor...

— Nie, pani, ja tylko chciałem.,, to jest, ośmielałbym się prosić, bo widzi pani, jestem jeszcze młody, sam sobie nie dowierzam. Państwo mi za wiele ufacie...

— Ah!..

— Widzi pani, chociaż nie widzę tu nic złego, jednak wolałbym, żeby jakiś starszy, poważniejszy lekarz zobaczył pana Wiktora. Toby uspokoiło i państwa i mnie. Ja naprzykład jestem zdania, że byłoby bardzo dobrze wywieźć naszego chorego na jakiś czas na południe. Zapomniałby o tutejszych przykrościach i kłopotach—odetchnął. Przecież nie przypuszczam, żeby to miało być niemożliwe. Koszta nie tak wielkie jak się zdaje, a co się tyczy gospodarstwa, to ojciec mój zasługuje jak się zdaje na zaufanie... Panna Julia wyświadczyła by bratu nieocenioną przysługę, gdyby go namówiła do wyjazdu.

W oczach Julci błysnęły łzy.

— Widzę z tego co pan mówi, że Wiktorowi coś złego zagraża. A panie Janie, na miłość Boską nie trzymaj nas w niepewności, mów pan prawdę.

— Prawdę też powiadam. Trzeba go ratować, póki czas.

Ciotka zerwała się z krzesła.

— Tak?., tak, skoro tak, to po co namawiać, po co jeszcze dumać, prosić? Trzeba jechać, więc niech jodzie zaraz, natychmiast, nie zwłócząc. O której odchodzi najbliższy pociąg do Warszawy?

— Czy Wiktor zechce — rzekła z powątpiewaniem Julcia.

— Co to zechce, albo nie zechce? Akurat, będzie go się kto pytał, pierwsze zdrowie, niż jakieś tam ceremonie. Julcia się wzdraga, więc ja sama mu powiem: masz jechać i basta. ,

— Pani dobrodziejko—wtrącił Żarski—tu nie idzie o to, żeby pan Wiktor miał wyjeżdżać w tej chwili.

— Ja nie lubię odwłóczyć! Jak trzeba to trzeba, bez żadnych ceregielów, bez najmniejszej straty czasu.

— Nie. Powtarzam pani, że w tej chwili to niepotrzebne, niepodobne nawet do wykonania. Nie pozwoliłbym nigdy wieść teraz chorego w taki mróz!

— Więc jakże?

— Musimy czekać trochę

— Długo?

— Nie wiem. Dwa, trzy tygodnie, stosownie do tego jaka będzie pogoda. Przez ten czas będę odwiedzał pana Wiktora jak najczęściej, a skoro będzie mógł w drogę

wyruszyć bez niebezpieczeństwa, sam go odwiozę do Warszawy. Udam się do moich profesorów dawnych, poproszę...

— Dziękuję, serdecznie dziękuję, panie Janie—rzekła Julcia, wyciągając do doktora drobną rączkę. — Pan jesteś prawdziwym opiekunem naszym w tem nieszczęściu.

— Pocieszmy się nadzieją, że ono przeminie.

— Nadzieją — rzekła ciotka z westchnieniem — tak nadzieją. W tej chwili zrobiłam w myśli pewne votum, a chyba Bóg wysłucha mojej prośby.

Dobra kobieta rozrzewniła się i chcąc ukryć łzy gwałtem cisnące się jej do oczu, wybiegła szybko z pokoju.

Żarski uspakajał Julcię, przyrzekł jej, że jak najczęściej chorego będzie odwiedzał, dał szczegółową instrukcja jak go pielęgnować należy i posiedziawszy jeszcze z pół godziny, odjechał.

. Gdy był już blisko miasteczka, spotkał powracającego ztamtąd Kalicińskiego,

Olbrzym kawaler jednokonnemi saneczkami jechał, i ujrzawszy doktora, rzekł złośliwie,

— Szanowny konsyliarz ze żniwa, szczęśliwy! tyfusiki codzień kwitną, a przeniczka u biednego szlachcica ledwie raz do roku.

Żarski odpowiedział tylko skinieniem głowy.

— Szanowny konsyliarz z Kalinówki? — zapyta! właściciel Bucefała.

— Tak, z Kalinówki jadę.

— Strzeż się konsyliarzu, to niebezpieczna droga.

— Mam rewolwer — odpowiedział Żarski obojętnie.

— Rewolwer ma! patrzcie jaki rycerzmruczał Ka

lioiński pod nosem, gdy się już sanki z doktorem oddaliły. On ma rewolwer! to pyszne, jak honor Kocham, to pyszne! Dam ja tobie rewolwer, rocepciarzu, pigularzu, przystawiaczu baniek. Ty— ty— kataplazmisto! grabarzu, rzeźniku jakiś.

Zaklął przyton, strasznie, a pragnąc na czem złość swoją wyrzucić, śmignął biczem Bucefała, koń skoczył jak szalony, szarpnął, że zaś na nieszczęście w tej samej chwili sanki zawadziły o pień ukryty pod śniegiem, więc wyrwał holoble i zostawiwszy zawziętego rycerza w sankach na środku drogi, pomknął cwałem do domu.

— Ptru! ptu! stój, żeby cię milion kroć sto tysięcy! ptu!—krzyczał Kaliciński, wydobywając się z sanek.— Ha waryat! cóż ja teraz zrobię—mówił sam do siebie.

Na szczęście sanki z Kalinówki nie odsunęły się jeszcze zbyt daleko.

Kaliciński ręce do ust przyłożył i huknął potężnym głosem.

— Hop! hop! doktorze! panie doktorze! hop! hop! czekajcie.

Żarski, usłyszawszy wołanie, kazał stangretowi zawrócić.

— Co się stało? — zapytał, widząc Kamińskiego przy wywróconych sankach—bez konia, co się stało?

— Koń, panie dobrodzieju, szelma, spłoszył się, holoble wyrwał i uciekł, a ja, panie dobrodzieju stoję tu przy sankach, i...

— I co?

— A no i myślę co zrobić?

— Słusznie pan mówileś, że ta droga jest niebezpieczna—rzekł, uśmiechając się doktor.

— Słusznie, czy niesłusznie, to się w przyszłości pokaże, ale ponieważ stał się oto taki wypadek, więc może mnie przecież poratujecie.

— To najpierwby konia trza złapać—rzekł stangret.

— Niech go dyabli wezmą!—krzyknął Kaliciński — nie zginie! Ręczę, że nie oprze się aż w domu.

— Ha, to chyba wielmożnego pana podwieziemy do miasteczka, a z powrotem mogę jechać na Tuszki, to podwiozę.

— Obawiam się tylko, czy szanowny konsyliarz nie będzie miał co przeciwko temu.

— Cóż znowu? przecież nie zostawię tu pana w śniegu.

Stangret za pomocą postronka, który miał przy sobie, sanki Kalicińskiego do swoich przyczepił i obadwaj rywale pojechali ku miastu.

Kaliciński milczał, ruszając groźnie wąsami. Spodziewał się, że doktor będzie szydził z jego niefortunnego wypadku i już sobie w myśli układał ostre odpowiedzi, ale ku wielkiemu zdumieniu olbrzymiego szlachcica mały doktor nie tylko że nie okazywał żadnej złośliwości lub niechęci, lecz przeciwnie był bardzo uprzejmy dla rywala.

— Czy nie stłukł się pan? zapytał.

— Co? ja miałbym się stłuc?

— W takim zdarzeniu rzecz możliwa.

— Ja mam, panie dobrodzieju, kości jak z żelaza, ja nie stłukę się łatwo, ani złamię — dodał, ruszając wąsami.

— To bardzo szczęśliwie, ale otoż już i miasteczko.

Spodziewam się, że zanim konie wytchną i trochę siana przegryzą, zechce pan spocząć u mnie i wypić szklanekę, herbaty, lub kieliszek wina.

— A panie konsyliarzu, zbytek grzeczności dalibóg. Pójdę raczej do Imbryka, bo nawet mam do niego interes, zapomniałem, doprawdy ważny, bardzo ważny interes. Nie będę panu konsyliarzowi robił subiekty.

— Na to nie pozwolę. Ze mną pan przyjechałeś, u mnie powinieneś spocząć; gdyby mnie podobna przygoda spotkała w bliskości pańskiego domu, w takim razie zaprosiłbyś mnie pan pod swój dach. Wszak prawda. Kaliciński dużo oczy zrobił.

— Czybym pana zaprosił?

— No tak.

— A naturalnie! do milion kroć, cóżbym za szlachcic był, żebym podróznego, i joszczo w wypadku, nie zaprosił, panie dobrodzieju, do swego domu.

— A cóżbym ja za doktor był, gdybym tego samego nie uczynił. Nio puszczę pana i basta!

— Hm, idę więc—rzekł.

Po chwili obadwaj rywale siedzieli przy stole, na którym znalazły się wnet kieliszki i butelka dobrego węgryzyna. Nie bardzo się to Kalicińskiemu podobało, ale miną nadrabiał. Na uprzejmość nie wypadało przecież niegrzecznością odpowiadać.

Tymczasem wino robiło swoje i szlachcic ani się spostrzegł jak wpadł w pewnego rodzaju rozrzewnienie. Gotów był nawet zdusić małego doktora w serdecznych uściskach, byle mu tylko z drogi ustąpił.

Jak rany Boskie kocham—mówił z rozrzewnieniem— miałem w tobie konsyliarzii szanowny zupełnie inne wyobrażenie... dziś widzę, żeś dobry chłopak z kośćcami.

— Bardzo mnie ta opinia cieszy.

— Z kośćcami, dalibóg z kośćcami... Ja się na tem znam, o! znam się doskonale, jak honor kocham!.. Z początku myślałem, że umiesz tylko oglądać żydom języki i recopty pisać — ale dziś widzę, że panie dobrodzieju i ze szkłem umiesz się obchodzić i wino masz przepyszne... Zkąd u licha wyrwałeś taką przednią butelczynę?

— Z Warszawy.

— Zaraz to poznałem... Nasz Imbryk, to powiadam ci, szelma skończona: sam wino fabrykuje — a przysięga się na wszystko, na swoją żonę i bachury, że sprowadza wprost z Węgier,.. Jożoli jego wino widziało kiedy WęŁryi \*° Ja jostom panną!..

— Oni wszyscy tak robią po małych miasteczkach...

— Słusznie, słusznie konsyliarz robisz, że nie kupujesz tutejszej rury... jak cię poważam, tak masz najzupełniejszą rację... To mi wino! to się nazywa wino! obrączka jak z dukatowego złota, bukiet aż panie dobrodzieju w nos bijo i czuć je grzybkiem cokolwiek... uważasz

— Tak, chwalono jo, że niezłe.

— Co to niezłe — kapitalne wino... Nalej no doktor kieliszki.

— Oto są.

— A teraz posłuchaj co ci powiem... Concordia, to znaczy zgoda... lepsza słomiana zgoda...

— Czyż byliśmy w niezgodzie dotychczas?

— Jak to czy?

— Ja przynajmniej miałem zawsze dla pana najlepsze intencje.  
— Co? co?  
— No tat, miałem dla pana najlepsze intencje, powtarzam.  
— Niechże mnie wszyscy djabli wezmą, jeśli co rozumiem.  
— Ja również nie rozumiem.  
— I nie jesteś moim wrogiem?!  
— Ani mi się śni.  
— A więc... Wiesz co, doktorze... kiedy nie jesteś moim wrogiem, to „kochajmy się!”  
— „Kochajmy się” i owszem — rzekł Żarski, podnosząc w górę kieliszek — ale pozwól pan dobrodziej — jedno słowo.  
— Gadaj doktorku co chcesz, dziesięć, sto, tysiąc słów nawet. Cały zamieniam się w ucho, bo czego bym ja dla tak moralnego chłopca nie zrobił?  
— A zatem, szanowny panie, skoro się kochamy, jesteśmy przyjaciółmi — a skoro jesteśmy przyjaciółmi, nie powinniśmy mieć pomiędzy sobą tajemnic. Powiedzże mi pan tedy, z ręką na sercu, tak prawdziwie, szczerze, po przyjacielsku — dla czego przypuszczałeś, że jestem pańskim wrogiem.  
Kaliciński oparłszy się łokciami na stół, objął głowę dłońmi i westchnął.  
— Młodzińcze — rzekł po chwili milczenia — dotknąłeś najdrażliwszej struny mego serca... Czy ty wiesz? czy ty wiesz, co to jest miłość? Mnie się zdaje, że nie wiesz, bo i ja sam tego dobrze nie wiem... ale powiadam

ci, że to jest coś takiego... coś takiego... a wreszcie takiego, czy innego — dość, że człowieka djabli porywają! że miażdżyłby, gruchotał, rozbijał! tłuki! szarpał! rwał! kąsał! że... że... alboż ja wiem co?., wściekałby się jednym słowem... Otóż ty za często bywasz w Kalinówce... za często, na honor za często,, a kto tak robi, ten przez to samo jest moim wrogiem.

— Ależ panie Kaliciński — mówił spokojnie Żarski — porozumiejmy się...  
— Masz rację konsyliami — porozumiejmy się... bo... bo,, ja tak żyć nie mogę.  
— Otoż widzi pan, przedewszystkiem, jak panu wiadomo, mam w Kalinówce rodziców.  
— No, to wiem.  
— Powtóre — pan Wiktor jest chory — więc przyjeżdżam do niego jako lekarz.  
— Wykręty, wykręty mój panie!  
— Nie żadne wykręty, tylko szczerą prawdą.  
— A panna Julja! panna Julja to nic!  
— Panna Julja jest bardzo miła osoba...  
— No widzisz doktorze, sam przyznajesz.  
— A naturalnie, że przyznaję.  
— Więc tak być nie może; musimy to raz skończyć.. Mam trochę w czubie i mówię, co mi leży na sercu. Kocham cię, szanuję, uznaję, żeś dobry chłopak, ale, gdy idzie o pannę Julję—to powiadam ci szczerze... jeden z nas musi zginąć. Masz tedy do wyboru. Chcesz pistolety, to pistolety — pałasze, to pałasze, jak ci się podoba. Mnie tam wszystko jedno. Żarski roześmiał się.

— A moje... bo ja ani strzelać dobrze nie umiem, ani szpadą nigdy w życiu nie robiłem... może więc lepiej spróbujemy się na cyanek potasu, albo na strychninę...

— Alboż ja jestem lis, żebyś mnie brał na trutkę! Wstydź się doktorze. W moich żyłach płynie krew rycerska... a przodkowie moi mieli zawsze wstręt do wszelakich proszków aptekarskich... Gdy się bić, to bić po szlachecku, żeby krew płynęła strumieniami.

— Doskonale! — zawołał śmiejąc się doktor — idzie tylko o małą bagatelkę.

— No?

— O to mianowicie, że do takiej rozprawy na śmierć lub życie... trzeba mieć przede wszystkim przyczynę, a tej w danym wypadku nie widzę.

— Jakto? nie widzisz jej? a panna Julja?

— Eh! wolne żarty panie dobrodzieju. — Któż panu broni wyznać jej swoje uczucia, a jeżeli zostaną przyjęte, to kto panu przeszkodzi zaprowadzić ją do ołtarza?

Kaliciński dłonią w czoło uderzył.

— To prawda! — zawołał na honor prawda. — Że mi to jednak dotychczas na myśl nie przyszło.

— A widzi pan dobrodziej... Każda wielka myśl odznacza się prostotą... wyznaj pan swoje sentymenta, a będziesz najlepiej poinformowany, czego się trzymać...

— A jeżeli odrzuci mnie?!

— Na to już nie ma środka... nawet w aptece.

— Słuchaj no doktorze — rzekł olbrzymi konkurent z wyrazem rozrzewnienia w głosie... a ty... ty... o niej wcale nie myślisz?

— Nie zastanawiałem się jeszcze nad tem...

— Więc daj rękę! Pal diabli wszystkie pistolety i pałasze... Załatwimy sprawę w sposób pokojowy... Co będzie, to będzie, oświadczę się... a potem dziej się wola Boża... Jak odkosza dostanę, to Toczki sprzedam, wyjadę za granicę i wstąpię do kapucynów na braciszka... Raz kozie śmierć! Będę nosił gruby habit, lipowe trepki i zapuszczę brodę po samo kolana... Przekonasz się doktoru, że to zrobię, jak amen w pacierzu zrobię... Sam uschnę z tęsknoty, a ona niech będzie szczęśliwa... Wiesz co, doktorze... przyjacielu kochany,, bracie... otworzyłem przed tobą serce... to mi trochę ulżyło, a teraz wracam do domu. Konie już wytchnęły.

— Jeszcze jeden kieliszek..., na drogę to nie zawadzi.

— Nie mogę, doprawdy nie mogę. Primo, że jestem wzruszony, secundo, że mi to szkodzi, a tertio, że jeżolibym wypił to chyba tylko za jej zdrowie.

— Więc dobrze... za jej zdrowie!

Trącili się kieliszkami, a rozrzewniony Kaliciński pochwycił doktora za ramiona, uniósł w górę jak kota i wycałował w obadwa policzki.

Bywało rozstali się w najlepszej komitywie.



W drodze Kaliciński nucił półgłosem jakąś starą balladę.

„Porzućcie miecze i dzidy, Zdejmcie błyszczące pancerze! Idźcie do zamku Dorydy, Idźcie szlachetni rycerze, Niech z was jednego wybierze.

Przybywszy do domu i dowiedziawszy się, że niesfor

ny „Zefir” już jest w stajni. Kaliciński nie rozbierając się wcale, padł na sofkę i usnął snem sprawiedliwego. Gdy nazajutrz rano przyszedł Bartek Dzieciół, aby rozpocząć jak zwykle fechtunek, dziedzic Toczaków machnął tylko ręką i rzekł:

Idź bracie do cepów... już mam dość tego fechtunku.

VI.

Był wieczór majowy, przepiękny, Słońce schyliło ku zachodowi swoją tarczę złocistą, wiatr roznosił zapach kwitnących bzów i czeremchy, zwierciadlana powierzchnia stawów w Białowodach jaśniała jak ogromna tafla szklanna. Uwijały się nad nią jaskółki w chyżym locie, czasem biała rybilwa musnęła ją skrzydłem, a w górze gołębie całym stadem zataczały kręgi w powietrzu.

Na łąkach krzyczały zwinne czajki, bocian, wyciągnawszy długie nogi, niezgrabnie się wbijał w powietrze, od bagien chór żab rechoczących dochodził a w wiklinie nad stawami słowiki się już odzywać zaczęły.

Wiosna była w całej pełni, promienna, uśmiechnięta, pachnąca, przystrojona w zieleń, kwiaty i blaski, uroczą wdzięków pełna, jak... wiosna... Wszystko budziło się do życia, śpiewało... Stara ziemia matka i karmicielka nasza, przybrała strój odświętny, wystroiła się w płaszcz zieloni niezliczonej w kombinacjach tonowi odcieni... od czarnej

niemal barwy świerkowych igieł, aż do bledziutkich listków młodej wierzby.

Skowronki unosiły się nad polami, pliszki ruchliwe, wesołe przelatywały z kamienia na kamień, a w gajach, w lasach rozbrzmiewał śpiew drobnych ptasząt i figlarny głos knkułki.

W ogrodzie, przy starym zamczysku w Białowodach, w alei szerokiej przechadzały się dwie dziewczeczki. Widocznie zwierzenia jakieś sobie czyniły, gdyż objęły się nawzajem rękami i tak ramieniem ramienia dotykając, szły szepcząc do siebie półgłosem, jakby w obawie, żeby wiatr niedyskretny słów ich nie pochwycił na skrzydła i tajemnicy serdecznej nie zdradził.

Przeszedłszy kilkakrotnie aleję, usiadły na ławce kamiennej .

— Więc nie odmówisz mi, Wandziu—mówiła błagalnym głosem blondynka — nie odmówisz mi tej łaski? pojedziesz?

— Ktoby się prośbom twoim mógł oprzeć — odrzekła.

— Powrócisz z ojcem twoim, który jest u nas od samego rana. Zaczny, poczciwy pan Mirkowicz, nigdy nas nie opuszcza w zmartwieniu.

— Przecież to obowiązek sąsiedzki droga Julciu. Wczoraj otrzymany bilecik od pana Żarskiego, zaraz mi powiedział, że na cały dzień do was się wybiera... Powiedz mi kochana, co się tam stało u was nowego?

— Czy ja wiem? Są jakieś interesa, na których nie wiele się znam. Wiem to tylko, że chłopci roszczą jakieś pretensje.

Przyjechało kilku urzędników, geometra, ko

misarz, jest pan Żarski, twój ojciec i jeszcze jakiś pan nieznajomy, chłopów pełny dziedziniec. Coś dowodzą, mówią, hałasują i pisarz się w to miesza — ale dla mnie to wszystko puste dźwięki — głosy słyszę: co mówią niby rozumiem, ale o co im chodzi właściwie, nie mam pojęcia...

— A pan Wiktor?

— Niedobra jesteś, Wandziu.

— Dla czego?

— Przynajmniej jak do mnie mówisz, to nie dodawaj pan, tylko po prostu mów Wiktor, przecież on ani dla mnie, ani dla ciebie panem nie jest...

— Kiedy... bo... nie wypada...

— Nie wypada... zapewne, jabym to mogła powiodzieć, że nie wypada zabrać serca brata, które zanim ciebie poznało, należało wyłącznie do siostry... Ale dziś on już na mnie nie patrzy,

— Jesteś niesprawiedliwą. Kocha cię zawsze jednakowo, sam mi to mówił nieraz... ale odpowiedz mi na pytanie... cóż robi nasz pan, to jest co robi nasz Wiktor?

— Jest niezmiernie zajęty tą sprawą. Obawiam się nawet, czy nie zaszkodzi sobie, bo mówi bardzo dużo i głośno.

— To źle, to bardzo ło, zdaje mi się że tego zabrania nasz doktor, nasz doktor — powtórzyła z naciskiem.

Twarzyczka Julci oblała się rumieńcem.

— Ty się śmiejesz, Wandziu — rzekła zapłoniona dziewczyna.

— Nio, nie, moja Śliczna, nie śmieję się, odpłaciłam ci tylko za „naszego” Wiktora.

— A ja mam z tego powodu dużo, dużo przykrości.

— No, no — zapytała Wanda z współczuciem — cóż się stało? nie mówiłaś mi nic.

— Co miałam mówić... Nie widziałyśmy się już cały tydzień, a przez ten czas zaszły rozmaite wypadki... Jeden komiczny i zabawny, ale drugi przyczynił mi nie mało kłopotu... Miałam nawet z tego powodu dość przykre przejście z ciocią.

— Powiedz że rai, moja Julciu, co takiego?! czem mogłabyś się twojej cioci narazić.

— Dobrze, powiem ci, lecz jedźmy już, w powozie możemy mówić swobodnie... gdyż nasz Mateusz trochę nie dosłysz...

Wanda weszła do domu, wzięła na siebie okrycie i po chwili obiedwie przyjaciółki jechały w stronę Kalinówki...

— Przed trzema dniami — mówiła Julia — spotkała mnie prawdziwa niespodzianka. Było to po południu. Właśnie zabierałam się do roboty dużego włóczkowego dywanu, gdy w tem zajeżdża pan Kaliciński, wyelegantowany, wyświeżony jak z pudełka, w rękę zaś trzyma bukiet tak wielki, że jak ciocia utrzymuje można by nim napaść trzy krowy... Spojrzałyśmy tylko po sobie, a ciocia miarkując co się święci nie odstępowało mnie ani na krok... Pan Kaliciński jest pomieszany, zakłopotany; chce coś powiedzieć, a nie wie od czego zacząć... Powiadam ci, że wyglądał bardzo

zabawnie.. Nareszcie zdobywa się na odwagę i w obecności cioci, oświadcza się o moją rękę. Ja sama nie wiem czy mam śmiać się, czy płakać ze złości, ciocia zaś dziękuje mu za niespodziewany zaszczyt, ale za.

razem tłumaczy, że jestem bardzo młodziutka, że musiałby czekać kilka lat... On zgadza się na wszystko, powiada, że będzie czekał nie kilka, ale dziesięć lat, byleby tylko otrzymał stanowcze przyrzeczenie... Widząc, że ciocia ciągle odpowiada wymijająco, a nie chcąc go łudzić i dawać mu prawa do przedłużenia tych nieznośnych konkurów — zdobywam się na energię i oświadczam stanowczo, że nie myślę zostać jego żoną i żeby sobie raz na zawsze wybił z głowy ten pomysł... Wyobraź sobie, mój pan Kaliciński rozrzewnia się — i płacze... Potrzebowałam użyć najwyższego wysiłku woli, żeby się powstrzymać od śmiechu...

— Przepraszam, przerwę ci i opowiem jak dalej było... Kiedy ty zagryzałaś usta, żeby śmiechem nie parsknąć, on przybrał postawę tragiczną i przysiągł na popioły przodków i na wszelkie świętości, że życie nie ma już dla niego najmniejszego powabu i że od tej chwili zamknie się w klasztorze i pogrzebie się w ponurych ścianach coli— tylko wpierw sporządzi testament i ureguluje swoje interesa.

— Mówisz jak byś była przy tom! Kto cię tak dokładnie poinformował? bo ani ciocia, ani ja, ani Wiktor, któremu opowiedziałyśmy tę tragiczną scenę...

— Z was nikt tajemnicy nie zdradził — ale ja wiem jak było, gdyż przed dwoma laty byłam w takim samym położeniu. Ateakta, któremi p. Kaliciński zapłonął nagle dla ciebie, zwrócone były i ku mnie w swoim czasie... Takież sam uroczysty nastrój, wielki bukiet, wyznanie, odmowa, rozpacz i klasztor... a potem regulowanie interesów i nowa próba.

— Zabawny człowiek... ale gorsze przejście miałam nazajutrz... wyobraź sobie, że przyjechał pan Marcinkowski i wystąpił do Wiktora i do ciotki z prośbą o moją rękę dla pana Adama... To już oburzyło ranie do najwyższego stopnia!

— Dla czego?

— No powiedz sama, ton ufryzowany pudelek był u nas wszystkiego trzy razy, nie wiem czy zamienił ze mną trzydzieści słów rozmowy i oświadcza się! Czy sądził, że mnio olśnił swemi końmi i ekwipażem?! Ja nie mogę nawet wyobrazić sobie, co go upoważniło do tego kroku

— I naturalnie — odmówiłaś...

— Spodziewam się!.. Tymczasem zaraz po odjeździe pana Marcinkowskiego ciocia mi powiedziała takie kazanie, żem przez kilka godzin płakała... Powiedziała mi, że nie jestem udziałna księżniczka, ani wielka pani, że nie powinnam grymasić, że i tak niejestem bardzo ładna, a za kilka lat nikt na mnio nie spojrzy... że pan Adam jest dobry chłopiec i z porządnej rodziny, a że nie posiada wysokiej nauki — to nie racya, bo z nauki ludzie wielkich zysków nie mają, a niezależny kawałek chleba jest podstawą szczęścia, i tysiące, tysiące podobnych argumentów.. Ciocia jest bardzo zacna, bardzo dobra kobieta, ale nie znosi żeby jej się sprzeciwiać w czemkolwiek...

— Ale sądzę, że i ty również masz swoją wolę i w razie potrzeby potrafisz zdobyć się na energię. Co do moie nie pozwoliłabym, żeby kto rozporządzał mną jak jakim przedmiotem...

— Tak ci się zdaje, moja Wandziu...

— Jako, zdaje się?

— Są trudności, z którymi ciężko walczyć.

— Nio wszystko łatwo jest w życiu — rzekła Wanda z westchnieniem — a jednak żyć trzeba i z trudnościami łamać się ciągle. Inaczej życie nie byłoby życiem, ale marną wegetacją tylko... Nie należy się przeto trudnościami zrażać, ani też walki się lękać.

— Otuchę wlewasz we mnie — rzekła zamyślona Julcia.

Dziewczęta umilkły. Powóz toczył się szybko po drodze, gdyż chmura wypłynęła na niebie — trzoba było przed deszczem uciekać.

Istotnie, zaledwio ekwipaż zatrzymał się przed dworkiem w Kalinówce, lunął deszcz rześisty...

Gromada chłopów, znajdująca się na dziedzińcu, rozpiechła się natychmiast. Rozbiegli się do obór, do stajen. Kilku wcisnęło się do ganku; inni do kuchni poszli — dwóch zaś, nie uważając na ulewę, podążyło ku wsi.

Przed karczmą pod okapem stało jakieś indywiduum w podartym zaplamionym paltocie, w czerwonym szaliku na szyi, z twarzą bladą i obrzękłą, na której złe życie zbyt wyraźnie pozostawiło ślady.

W ustach, nad którymi rude wąsy sterczały jak szczotka, trzymał cygaro — a niebieskie przyblakłe oczy spoglądały w stronę dworu jakby oczekując kogoś z niecierpliwością...

— Ha! — mruknął sam do siebie — czort ich zabierz... jak długo czekać każą — a tu późno już — zanocować wypadnie.

Splunął, machnął ręką i znów wrócił do karczmy —

aby nowy kieliszek wychylić. Widocznie uznawał, że ten sposób skrócenia czasu jest najlepszy i najpraktyczniejszy zarazem. Jegomość w burym paltocie od niejakiego czasu częstym był gościem w kalinowskiej karczmie — pisał chłopom prośby do niższych urzędów, skargi do sądów, a tak ich umiał zręcznie do procesów zachęcać, że najspokojniejsza niegdyś wioska — dzięki jego działalności stała się gniazdem piniaczy i procesowników...

Zkąd się ten człowiek wziął? zkąd przywędrował w to ciche ustronie — nikt nie wiedział.

Pewnego dnia zraizerowany, brudny i obdarty, piechotą przyszedł do miasteczka — i wnet się jakoś z żydkami porozumiał — tak że mu dano stancijkę na poddaszu i otwarty kredyt na wódkę, śledzie i bułki, które stanowiły gruntowne jego pożywienie.

Z żydami wybornie porozumiewał się ich żargonem, skutkiem czego przypuszczony był do różnych tajemnic, dotyczących tych właśnie geszefców, które nie znaczą powności.

W okolicy wiadano, że pan Mikołaj (gdyż z imienia znano go tylko) jest człowiek miłosierny, uczynny, a nadewszystko mądry i bardzo biegły w prawie.

Wiedziano, że umie zręcznie zrobić świadectwo dla kradzionego konia, że w trudnej sprawie wyszuka świadków, że potrafi napisać apelację i wyprawować każdą rzecz, tak że z czarnego robi białe — a z białego czarne...

Głowa to była, wielka głowa! Sam nawet Jójna Imbryk, człowiek, jak widzieliśmy solidarny i takie w różnych interesach wypraktykowany — posyłał niekiedy po

pana Mikołaja i konferował z nim godzinami całymi, zamknąwszy się w stancyi osobnej. Zazwyczaj po takiej konforoncyi, pan Mikołaj bywał przez kilka dni w doskonałym humorze, zamglono jego oczki nabierały pewnego blasku, a nos czerwienił nui się wówczas jak dojrzewająca malina. Powiadali o uim, (bo czegoż to o ludziach nie powiadając, że za kilka, a czasem za kilkanaście rubli, przyczyniał się do tego, że skradzione konie, same nocą powracały do stajni — że jakiś przedmiot, który w tajemniczy sposób znajdował się na swojom miejscu — słowem, opowiadali różno, różne rzeczy — ale to były ma się rozumieć gawędy ludzkie, nie sprawdzano dokładnie i dowodami żcndnemi nie poparto. Nie wiele też pan Mikołaj o ludzką opinję dbał, a nawet kiedy go raz (ma się rozumieć na zasadzie fałszywego oskarżenia) do więzienia wzięto — przyjął to z filozoficznym spokojem i obojętnością. Niewinność to ma do siebie, że jest wyższa nad wszelkie ludzkie zarzuty, kalumnio i potwarze. Pan Mikołaj opuścił mury więzienne, dla braku dowodów i o tej przykrości chwilowej nie wspominał nawet. Gdy go o powód dłuższej nieobecności w miasteczku zapytywano, mówił, że jeździł do senatu bronić bardzo ważnej sprawy i że tę ma się rozumieć wygrał. W ogóle człowiek ten, o przeszłości swojej mówił niechętnie, a jeżeli czasem przy kieliszku wyrwało mu się jakieś wspomnienie, że był tu, lub owdzie — natychmiast rozmowę urywał lub na inny przedmiot ją zwracał... albo

też machał ręką niechętnie i splunął, mówiąc, że wszystko na świecie głupstwo jest i marność. Wypiwszy kiolich gorzałki w karczynie, znowuż przed sień wyszedł i w stronę dwora pilnio patrzył. Wreszcie, po jakiejś chwili oczekiwania, oko jego dostrzegło dwóch ludzi wprost ku karczynie spieszących. Byli to właśnie owi chłopci, którzy nie zważając na deszcz z dziedzińca dworskiego ku wsi pobiegli. Pan Mikołaj wyszodł na ich spotkanie. — No co? co? — pytał gorączkowo... — Gadaj no Kaczorek, bo ty mądrzejszy trochę od Smieciuchy... — Ha co? — odrzekł zapytany — było gadania dość. — Panowie gadali — dodał drugi — omentra gadał i ten z powiatu gruby gadał. — Co gadał... — Różnie, ale mnie się widzi, że dobrze gadał... — Dureń ty! — krzyknął z gniewem pan Mikołaj. — Może i to — rzekł chłop w głowę się drapiąc — ale zawdy uni dobrze gadali. Niechta co chce będzie, a ja powiadam, że dobrze .. Już ja sam chciałem krzyknąć; „przystajemy!” jeno mnie Kaczorek pociągnął za sukmanę — pójdziowa, powiada, do pana Mikołaja, kumie powiada, poradzim się, powiada... a że akuratnie deszcz lunął i ludzie porozchodzili się z dziedzińca, tak powiada; idźmy kumie, nie zważajmy, powiada, toć nie gliniane jesteśmy, powiada. Takeśmy tody poszli. — Hm — mruknął pan Mikołaj — mówiłom, że Kaczorek nie stary on wróbel! nie jego brać na plewy... — Toć to nie plewy, to były jogo morgi, polo i las... — Dureń ty — ja tobie powiadam — rzekł senten

cyonalnio pan Mikołaj, siadając na przyzbie — gadaj no Kaczorek porządkiem jak było.

— Ano, jak miało być? Dają po trzy morgi pola i po dwie morgi lasu, pole zaraz ode wsi.

— Piękne polo — wtrącił Sraieciucha wzdychając.

— Juści że polo niczego, a las od Zagorowskiej granioy.

— Oj las, las! — rzekł znowu z westchnieniem Smiociucha, śliczności las, bo to i na budulco w nim zdybie i na płot i na kuźdy porządek,.. Ilać tam je drzewiny w owym lesie...

— I cóż gromada?

— Ha, panie gromada jak gromada. Jedoń się jeno na drugiego oglądał... i chcieliby i bojeli się. Wiadomo, że trzy morgi pola to je nie głupstwo, a lasu jeszcze jak świat stoi żaden chłop nie miał... Oskoma ich też brała a najbardziej na las. Jeszcze jak panowie przemówili.

— Aha! przemawiali panowie? — spytał drżąc pan Mikołaj.

— Aj przemawiali, panio przemawiali — odrzekł z westchnieniem Smiociucha — przemawiali, że jenszy ksiądz w kościele tak pięknie nie gada.

— Aha! Teraz to oni przemawiają do nas, jak strach na nich przyszedł... Któż to wam takie kazania prawil?

— Naprzód sam dziedzic...

— Aha! jaki wyrywny.

— Przewidział, że my wszystkie jesteśmy bracia i że powinniśmy żyć jak Bóg przykazał po sprawiedliwości i we świętej zgodzie, w przyjaciolstwie, w dobroci, w życzliwości powiedział, że jak się pogodzimy, to nam

tu w Kalinówce ufundują szkołę i że się z doctorem zgodzi, żoby do wsi co tydzień przyjeżdżał... Powiedział, że kto jeno chce sadek kiela chałupy zakładać to dostanie ze dworskiego ogrodu co najlepsze drzewinę.

— Hal ha! — wybuchnął śmiechem pan Mikołaj — jaki to on dobry. Wybuduje wam szkołę, bo mało macie podatków więc trzeba jeszcze za szkołę opłacać, a waszo dzieci zamiast gęsi paść, będą nad elementarzom ślęczały, prawda Kaczorek, że to nie wielka łaska?

— Ha juści — odrzekł chłop, drapiąc się po głowie — powiadają, że szkoła jo dobra rzecz, ale żeby człowiek miał jeszcze od dzieciaka opłacać, to niech je marności. I tak oto opłacamy za kuźde bydłę od pomorku...

— Ja zawsze mówie Kaczorek, że u ciebie głowa numor czwarty alembikowy! ja tobie zawsze powiadam. Ty potrafisz zrozumieć każdą rzecz. Na co doktor, powiedz sam, co chłopu po doktorze?

— Eo pewnie, ma człok zamrzcć, to i tak zamrze, przoz żadnych stuków doktorskich.

— A drzewka to już dalibóg głupstwo! czysta komedja. Na co tobie drzewka?!

— No juści, zawdy kiela chałupy piękniej jak się drzewina zieleni, a dobrze też czasem i gruszczyne albo choć i jabłko zjeść.

— Oj Kaczorek! oj Kaczorek! niby ty mądry, a durny!

— Bezco?

— Dajmy sobie, że u ciobio kolo chałupy sadek. No i co z tego?! co ty będziesz miał? Jabłkami pójdzesi

handlować jak żyd! Aj Kaczorek! Kaczorek! No, ale gadaj no dalej.

— Dalej, to panie przemawiał, przemawiał nasz rządca...

— Stary cygan!

— Powiedział, tak i tak, moje ludzie ja z wami tyle lat żyję we zgodzie po Bożemu, a choć w ostatnich latach nastąpiło powiada, na to mówiący łajdactwo między wami, dla tego ja zawdy wasze strunę, powiada, trzymam, i chciałbym dla was jaknajlepiej... Zgodźta się i podziękujta panu, że sam sobie krzywdę robi aby jeno wam dogodził...

— I wy wierzyli?

— Panie — rzekł nieśmiało Smieciucha — nasz rządca jo człowiek dobry.

— A ty jostoś człowiek durny — odpowiedział pan Mikołaj ze złością... u ciebie tyle rozumu co u czarnej kury białych pierzy!., ty prosto tabako w rogu, ot co jest...

Smieciucha próbował oponować.

— Dyc o rozum nikogo nie proszę — rzekł — a pan Mikołaj choć taki mądry, dla tego w dziurawych butach chodzi.

— Nie twoja w tem głowa. Chodzę bo mi się tak podoba, bo... bo nogi mnie bołą, i dla tego muszę mieć obuwie lekkie, a tobie do tego nie!

Wiadomo że nic... jeno pan Mikołaj ciągiem dogaduje durny i durny. Musi kto sam smołą się powalał, to mu wszędzie smoła śmierdzi.

— Cichojta no kumie, cichojta — rzekł Kaczorek. Co się ta będzieta sprzeczać, pan Mikołaj jak wypije trzy

kieliszki to zawdy tak gada, ale nie zważajwa, se na to bo pan Mikołaj naszą stronę trzyma.

— Ot racya! co racya to racya. Kaczorek ma rozum, a ty Śmieciucha sam nie wiesz co gadasz.

— Tedy — rzeki Kaczorek — jak rządca swoje skończył tak znów pan z Białowodów zaczął.

— Oho! i on, cóż on tam zrobił.

— Ano, pewnikiem po sonsiedzku, według przyjacielstwa...

— Poczekajcie, dam ja jemu przyjacielstwo! zobaczy on gdzie to pieprz nie rośnie. Cóż on z wami miał do gadania, pewnie mówił, że was kocha jak braci.

— O nie, tego to on nie mówił.

— Nie?

— On wziął kawałek krody w garść, bo to w ganku było i zaczął na drzwiach pisać rachunek, powiedział tak; moje ludzie, cały świat na rachunku stoi, a kto o grosz nie dba to sam szeląga nie wart. Powiada, ja nia będę wam mówił czy wy dobro czy złe, czy takie czy owakie, jeno chcę pokazać wiele możecie po letkości na tym układzie zarobić.

Obrachował wiele warto latowieokie ich było i wiolo to drzewo co bierzemy z lasu na opał niby na ogrodzenie, a potem znów obrachował wiele warto trzy morgi pola i dwio morgi lasu. Który powiada z was jest piśmienuy to niech rachuje.

— No i co?

— No i obrachował, ie my dobro będziemy mieli zyski, że taki jenteres to je dla nas złote jabłko, powiada.

— Stary lis!

— Omenta ten i ten mierzył, a powiada on nigdzie tyła dla chłopów nie wypadło.

— Ale, odezwał się Kaczorek, omontra jak ementra zawdy potępieniec. Niedarmo oni po śmierci po polach chodzą i przeszkodę ludziem czynią, ale ten gruby z powiatu to przecież nie je omentra, a nawet może i w jogo rodzie omentrów nie było, a dla tego...

— To i on nas namawiał?

— A juści...

— Wszystkich, wszystkich przekupili — szepnął niby sam do siebie pan Mikołaj, tak jednak żeby go chłopci słyszeli — słuchaj no Koczorek, każ no ty dać kielich wódki a dobry, bo powiadam tobie, że ludzka podłość piecze człowieka gorzej niż zgaga. Nieprawda Śmieciucha?

— Ajuści, ale skoro piecze, to możeby pan Mikołaj lepiej szklankę piwa dla ochłody...

— Głupi ty z piwem, a jeszcze w Kalinowskiej karczmie taki to trunek, żeby go kto kotowi w gardło nalał, toby biedny kot siedm dui plul a ósmego uie dożył. Wódki każcie dać... czy to ja nie wasz opiekun, nie doradca, nie ojciec?

Weszli do karczmy.

Tymczasem ze dworu nadciągnęła cała gromada. Gwarząc, klóćąc się i sprzecząc, wtoczyli się wszyscy do karczmy, w której nawet zrobiło się natychmiast gorąco. Szykarz nastarczyć nie mógł półkwaterek nalewać. Pan Mikołaj na uboczu się trzymał.

— Brać, ja powiadam brać — krzyknął jakiś barczysty, ogromnego wzrostu chłopisko — kiej mówię, że

braci to brać, bo jak się pan rozmyśli to więcej wam nieda i tyła.

— Juści ma się wiedzieć, że brać — odezwał się drugi głos w tłumie — dyć pole piękne i las .. rzetelny las, budulec.

Jeszcze dzieciem się na nowe chałupy ostanie.

— Ajuści co się długo namyślać, iść jutro podpisować to i tyło.

— Brać, brać, a na mszę świętą dać! jak Kalinówka Kalinówką jeszcze tego nie było, żeby chłopcy swój las mieli a tera samo do ręki lezie...

— Figa tobie lezie do ręki — odezwał się pan Mikołaj.

— Co pan Mikołaj powiadają?

— To nic... Ja tylko mówię, że na to co tobie do ręki lezie, toby rozumny człowiek patrzeć nie chciał.

— No, no, albo co?

— Ciasna głowo, jak raz tobie tłómaczyć. Chłop zawsze chłopom, pokazać mu grosz to za groszem polecą, a dziesięć rubli z garści wypuści. Ach durny wy naród, durny!

— Et bo pan Mikołaj jeno tak bąka pod nosem. Niechuo pan lepiej powie po prostemu, żeby my wiedzieli co to jo.

— Bierzcie, bierzcie po dwie morgi. Cóż, warn dosyć, na co wam więcej? Wy sami niechcocio, a trzeba wam wiedzieć, że to nie głupie te dwie morgi, ale cały las, hot, het pod Zagoruńską granicę, to Wasz?

— Dyć dworski panie — wtrącił Śmieciucha.



— Ba, dziś dworski, a jak go wyprawujesz to będzie twój.

— Ale!

— Nie ale mój kochany, tylko tak. Bądź no tylko cierpliwy a już ja jego sam wyprawuję dla was za niedrogie pieniądze. Wam się zdaje, że ja dla siebie z tego co chce, chowaj Boże! Mnie pieniędzy nie trzeba, tylko na stemple. Bo choć mogę dla was zrobić za darmo ale trudno żebym miał jeszcze koszta opłacać.

— A wiele to by było onego kosztu? — spytał nieśmiało Kaczorek.

— Głupstwo! jedno głupstwo. Całego kramu rubli sto.

— Oj! oj!

— Cóż jęczysz, głupi człowieku. Sto rubli razem zdaje się dużo, a jak się rozłoży na wszystkich to ledwie, ledwio po kilka rubli na jednego wypadnie.

— A i co z tego będzie — spytał niedowierzająco chłop któryś.

— Co będzie? lih! głupcy wy głupcy! ja wam ot powoiin co będzie.

Zniżył głos, jakby lękając się żeby kto niepodслуchał, i oglądając się na wszystkie strony długo i szeroko szeptał coś do chłopów.

Musiał im opowiadać bardzo zajmujące rzeczy, gdyż słuchali go uważnie, oddech nieomal wstrzymując. Koło chłopów otaczające wymownego jurystę ścieśniało się coraz bardziej, na twarze ich wystąpiły rumieńce, w oczach migotały blaski.

Gdy pan Mikołaj skończył, ze wszystkich piersi wydobył się jeden zgodny okrzyk.

— Niebrać! niebrać chłopcy! Zbierzmy sto rubli dla pana Mikołaja, niech jedzie, niech prawuje! Niech nam wyprawuj to co nam się patrzy.

— Będzieta wy żalowali tego — odezwał się nieśmiało jeden z gromady — ale zakrzyozano go, wyśmiano. Chłopi wpadli w doskonały humor. Obietnica „wyprawowania gruntów różnych i lasów podnieciła ich umysły. W duchu każdy z nich tworzył sobie plany przyszłego, ogromnego ma się rozumieć gospodarstwa.

Szynkarz nie mógł dać sobie rady, taki miał targ ogromny, zapasy gorzałki jakie posiada! były na wycorpaniu. Chłopi krzyczeli, śmieli się; w izbie karczemnej było parno jak w łaźni. Zakopcona lampka naftowa rzucała skąpo światło na tę scenę, której autor i reżyser zarazem zręcznie rozdmuchiwał namiętności i podbudzał chciwość. Chociaż pił ciągle, nie był jednak pijany. Umiał w porę rzucić słowo gdy było potrzeba i utrzymać tę ciemną, ślepo mu wierzącą gromadę w stanie ciągłego rozdrażnienia.

We dworze prowadzono również bardzo ożywioną rozmowę.

Wiktor tryumfował.

Błada zazwyczaj jego twarz pokryła się rumieńcem, czarno oczy płonęły blaskiem. Wanda z upojeniem słuchała jego słów i od czasu do czasu zwracała kn niemu piękno, rozumne oczy.

— Widzicie panowie — mówił Wiktor — widzicie sami, że z tymi ludźmi dobrocią wszystko można zrobić.

Nie potrzeba na to wielkich ofiar, ani wielkich poświęceń. Szczerze, serdecznie, a naprawdę życzliwie przemówienie musiało odnieść skutek. Moja teoria tryumfuje — a panom dzięki składam za to, żeście mnio tak skutecznie poparli. Teraz jestem już zupełnie spokojny. W Kalinówcu będzie cicho i zgoda. Usunąwszy najważniejszy skrupuł, będzie można usunąć i inne; będzie można działać skutecznie w celu rozwoju oświaty i moralności. Jestem bardzo, bardzo szczęśliwy... Cioteczko! może tam ciocia ma w zapasach swoich kilka butolek dobrego wina... Wzniesiemy toast na cześć zgody! — Panie Żarski, dodał, zwracając się do starego rządcy... — dla czego pan ramionami wzrusza?..

— Hm... nie mam się z czego cieszyć... — odrzekł.

— Doprawdy szczególniejsze masz pan usposobienie — rzekł Wiktor ze źle tajoną niechęcią... — Zawsze pan wątpisz, zawsze źło prorokujesz...

— Niech to pana nie dziwi — odpowiedział Żarski spokojnie... — ja jestem człowiek doświadczony...

— Więc cóż ztąd?

— Umowę uważam za umowę wtedy jak jest formalnie zawarta i podpisana — cioszę się zaś z niej wówczas dopiero, gdy wykończona zostanie,..

Wiktor chciał odpowiedzieć, lecz w tej chwili rozległy się dźwięki fortepianu. Julcia grała jakiegoś starego, smętnego poloneza... W otwartych drzwiach na ogród wychodzących stała Wanda.

Wiktor do niej pospieszył...

Po ulewnym deszczu wypogodziło się zupełnie. Ogród tonął w blaskach księżycowych — na liściach

drzew, na kwiatkach drgały dużo ciężkie krople wody. Zapach napęnia! powietrze:

— Widzi pani — rzekł Wiktor do Wandy — widzi pani co to jest uprzedzenie, co są głęboko zakorzoniono przesady...

Pan Żarski jeszcze nie wierzy... Nie wierzy w to co się stało, co jest taktem dokonany... ale mniejsza o niego. Czy wie pani, że od czasu gdy przybył w to strony nie miałom równio pięknego, równie szczęśliwego dnia, nie mówiąc naturalnie o tym najszczęśliwszym z szczęśliwych, najpiękniejszym z pięknych... w Białowodach, pamięta pani?

— Pamiętam — szepnęła Wanda, a na piękną jej twarz wystąpiły rumieńce.

— Panuo Wando — rzekł z zapałem...—jutro przyjadę do państwa... powiemy ojcu i rozpoczniemy nowo życie...

ciche, ale pożyteczne, ręka w rękę jak dwaj przyjaciele Pani jedna zrozumiałaś mnie.,, pani wierzysz w moje zamiary, nie wyśmiewasz ich, nie szydzisz...

— Wiktorze! — zawołała ciotka — proś panów... kolacya gotowa...

C.ile towarzystwo przeszło do drugiego pokoju, przy stole była ożywiona rozmowa... Wiktor mówił ciągle, z ożywieniem, z zapałem, Wanda przyjmowała również udział w rozmowie, jedna tylko Julcia wciąż była zamyślona i smutna... Co chwila zwracała spojrzenia na ciotkę, a w spojrzeniach tych było coś jakby pytanie, albo obawa.

Późno już goście zaczęli się rozjeżdżali. Tylko geometra i urzędnik jeden na noc zostali.

We dworze światła zagasły. Ciotka bieganiną cało

dzienną zmęczona udała się na spoczynek. Julcia zamknęła się w swym pokoiku.

Jeden tylko Wiktor spać się nie kładł. Otworzył okno i patrzył na niebo, na którym rumieniły się już blaski jutrzeńki... Blaski te wzmagały się powoli, a jednocześnie gwiazdy bladły i znikwały z firmamentu.

Po deszczu, który obficie zrosił ziemię wieczorem, ranek nadchodził wspaniały, w całym bogactwie i wspaniałości letniego wschodu. Ziemia ukąpana świeżo, żywszą jaśniała zielenią, drzewa jakby omłodzone wyciągały ku niebu konary obsypane liśćmi, na których wisały dużo krople przezroczystej wody. Kwiaty pachniały przedziwnie, a cichy lekki wietrzyk roznosił ton zapach na lotnych swoich skrzydełkach.

Pobudziło się ptactwo uśpione, z dźwięcznym pieniem frunęły skowronki, swawolno pliszki uwijały się po polach, aksamitno jaskółki uwijały się w lotnej za muszkami gonitwie...

Skrzypnęły drzwi chat, skrzypnęły żorawie przy studniach, bydło ku pastwiskom ruszyło, a pieśni pastuszków, odgłos fujarek, klekotanie dzwonek drewnianych mieszały się ze śpiewem ptactwa, z okrzykami ludzi.

Bocian sfrunął z gniazda, zakreślił szerokie koło w powietrzu i spadł na bagnisko żeru szukać; w lesie skrzeczały sroki, sójki, kraiki; czerwogłowy dzięcioł kuł twardym dziobem w sosnę, wiewiurki figlując uganiały się po drzewach, z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo przeskakując... Czajki nad łąkami wrzeszczały to wznosząc się w górę, to zapadając po kępach, głupi dudek z gałązki na gałązkę skakał a wysoko, wysoko, że go ledwie do

strzedz było można, ważył się jastrząb w powietrzu, bystrym wzrokiem upatrując ofiary...

Wiktor stał w otwartym oknie i pełną piersią wciągał świeżo balsamiczne powietrze... Nio zajmował go jednak ani prześliczny wschód słońca, ani zapach kwiatów, ani wośłe głosy ptasząt rozśpiewanych.

Jego opanowała jedna, jedyna tylko myśl, jedna idea.

Był blizki celu, zaprowadzał ład, który miał być podwaliną zgody sąsiedzkiej, podstawą do dalszej szlachetnej działalności.

Kosztom dość znacznych ofiar regulował stosunki wzajemne i pewny był że od dziś, gdy już formalnie i jasno przeprowadzona będzie linia demarkacyjna, gdy się rozwiąże ostatecznie spór o to, co moje, a co twoje, usunie się zarazem ostatnia przeszkoda, stanowiąca szkopuł,

o który rozbijały się jego dobro chęci. Zniknie niewiara

i nieufność, a zastąpi je wzajemne porozumienie się i harmonia... Piękno, po stokroć piękne życie, jeżeli je można dla drugich poświęcać, jeżeli żaden dzień zmarnowany nie będzie, jeżeli wszystko co od pierwszych potrzeb życia zbywa, można przeznaczyć na pożytek uboższych, uboższych i majątkiem i duchem.

Po kilku latach walki, po rozczarowaniach i zawodach, nastaje wreszcie chwila upragniona... Od dziś wszystko pójdzie inaczej, inaczej a w pracy dopomagać będzie Wanda, ta piękna, rozumna, myśląca kobieta, w której oczach takie blaski inteligencji świecą, w której sercu takie skarby uczucia złożone... Jakież ponętne życie... jak wabi ono i pociąga ku sobie, jak drogim i upragnio

nera się staje... Wprawdzie tu, pod twardą żeber klatką coś dolega, wprawdzie serco nie zawsze regularnie uderza, wprawdzie robi się chwilami coś w powietrzu, coś dziwnego niewytłomaczowego... że to powietrze jest jakby rzadsze niż być powinno, że Się pochwycić nie daje — ale Żarski pociesza, twierdzi, że to przejdzie, przeminie... Młodość silna jest, wiele pokonać może, a kto tak pragnie gorąco życia, tego sama wola przy życiu utrzyma ..

Jak nie pragnąć żyć dla idei, obok kobiety kochającej i kochanej, w której całe szczęście się widzi...

Ach żyć! żyć! żyć!

Julcia, dobra dziewczeczka, przywiązana siostra, marzyła niegdyś o tem, że będzie pomocnicą, towarzyszką moją w dobrej sprawie; lecz zraziła się odrazu pierwszym niepowodzeniem, pierwszym zawodom. A przytem... pokochała. Młody Żarski, zacny, szlachotny chłopak, jeden z tych wytrwałych pracowników na niwie społecznej, podobał jej się, podbił jej niewinne, młode serduszko — ona go kocha, w nim widzi świat cały, a po zanim nic, nic absolutnie. Jego myśli, są jej myślami, jego zdania, jej zdaniem. Biedna dziewczyna! kryje się z tem uczuciem, walczy z niem, spotyka opozycję zo strony ciotki... Co do mnie, jestem za tem. Sam kochając, będąc nawzajem kochany, rozumiem miłość i jej prawa, Julcia może liczyć na moje poparcie. Owszem, niech idzie za tym, którego ukochała, to człowiek dobry, zacny, uszczęśliwi ją. My tu zostaniemy z Wandą, pracować będziemy, do wyższych celów dążyć my dwoje. My rozumiemy się wybornie, będziemy się dopełniali nawzajem. Ja i ona to naprawdę jeden człowiek — jedna dusza, jedna istność. Jej siły

i moje siły — to jedna siła — jej marzenia i moje marzenia — jedno marzenie, jej cele i inojo cele — jeden cel...

Tak myślał Wiktor i nie zwracał uwagi, ani na imponującą wspaniałością swoją wschód słońca, ani na szmery rozplenionej przyrody. Dusza jego tonęła w marzeniach, a marzenia to kazały zapominać o bezsenności i znużeniu — o cierpieniach fizycznych jakich doznawał..

Słońce wzbilo się już dość wysoko. Wiktor z niecierpliwością spojrział ku wiosce, jakby wyczekując, jakby spodziewając się kogoś. Na drodze jednak nie było ani żywej duszy, nikt się ku dworowi nie kwapił.

A jednak umówili się, że skoro słońce wstanie, cała gromada przyjdzie do podpisu.

Geometra i urzędnik z powiatu wstali już, gotowi do czynności, Zniecierpliwieni, posiali do sołtysa, kazali zwołać gromadę.

Powoli, niechętnie chłopci poprzychodzili na dziedziniec. Na twarzach ich czytać było można niezadowolenie i niechęć. Staęli na dziedzińcu grupami, naradzali się ze sobą, szemrali.

Wiktor na ganek wyszedł.

— No, moi bracia — rzekł. — wczoraj umówiliśmy się... Jakkolwiek wierzę słowom waszym — ale jakto mówią słowo wiatr, a pismo grunt. Umowa przygotowana, chciejcież ją podpisać. Pan geometra gotów zaraz rozpocząć pomiar, nie czekając zatwierdzenia, które jest tylko kwestya czasu, oddaję wam zaraz w posiadanie pole i las, w toj nadziei, że odtąd będziemy żyli sobie w zgo

dzie i spokoju — jak Bóg przykazał, wy bodziecie mieli swojo, ja swoje — nikt nam tu nawet wody nie zamać. — No — dalej bracia podpisujcie i w imię Boże pracujmy razem na tej świętej ziemi.

W gromadzie rozległ się szmor głuchy, ale nikt się uie ruszył.

— No cóż bracia! — zawołał Wiktor. — Nikt z was nie wystąpi?

Milczenie.

— No — dalejże, bądźcie śmieli...

— My ta ludzie niepiśmienne — odezwał się jakiś głos... — nie będziwa podpisowali i tyle...

— Dla czego? wczoraj przecie ułożyliśmy się.

— Pan mało dają!

— Zgodziliście się przecież.

— Ta i co?

— Cóż więc chcecie?

— Nic nie chcoma — niech będzie tak jak było. Było pastwisko, niech będzie pastwisko — była zbieranina niech będzie zbieranina, dla nas to jest dwie...

— Ludzie! Zastanówcie się... Toti przocież wczoraj mówiliście zupełnie inaczej.

— Co było a nie jest, to nie idzie w registr!

— Więc niechże się dowiem czogo chcocie? Mówcież.

Milczenie.

— Niechże wystąpi jeden i powie o co wam chodzi? W gromadzie powstał ruch, Jeden drugiego wypy

chał naprzód, wypychany znów chował się za plecy swoich towarzysów.

— Idź Kaczorek! — zawołano... — Kaczorek niech gada. On najmądrzejszy,

Wiktor to usłyszał.

— No, ohodźcież Kaczorku — rzekł — kiedy gromada na was wskazuje to nie macie się czego wstydzić. Powiedzcie o co wam chodzi.

Kaczorek wysunął się naprzód. Czapkę w rękę miał, z nogi na nogę przestępował i nie wiedział od czego zacząć.

— No, Kaczorku — rzekł Wiktor — mówcie śmiało — co zaszło?

— A dyć wielmożny panie, co miało zajść? nie nie zaszło, jeno po sprawiedliwości mówiąć i po Bogu, to nam je krzywda.

— Krzywda?!

— A jeno... Niby to po trzy morgi pola, a po dwie lasu — to je prawda... ale co to znaczy?

— Jakto? człowieku, toż wczoraj cioszyliście się z tego!

— Ha! bośmy byli głupio.

— przez noc takeścio zmądrzeli?

— A jużci, czasem w jedną godzinę człowiek rozumu nabiera.

— Więc czegóż teraz chcecie?

— Nic...

— Nic! — krzyknęła gromada. — Niech będzie jak było! my ta żadnych podpierwańców nie chcemy...  
— Dla czego?  
— Ha, proszę pana... — rzekł Kaczorek... — Mój ojciec nieboszczyk ino jedon raz w sąd się popadł, co powiedzieli ze niby kunia ukradł, choć to nieprawda była — i jeno raz się w sądzie podpisał, zara mu trzydzieści różg wsypali,  
— Dzieciak jesteś mój bracie, teraz nikogo nie biją...  
— A djabli je ta wiedzą — nie biją, bo tera naród mądry — podpisować nie chce.  
— Przecież to wasza korzyść!  
— Kiej my nie chcemy i siabas!  
— Zastanówcie się — pomyślcie Czy nie lepiej mieć swoje własno anizeli służebność...  
— Hi, lepiej albo i nie lepiej...  
— Sami wczoraj gadaliście inaczej.  
— Niech wielmożny pan da po dziesięć morgów pola i po dziesięć lasu, to się namyśliwa...  
— Majątku by nie wystarczyło.  
— Toć możnaby u pana Kalicińskiego przykupić po sonsiedzku.  
— Więc nie chcecie?  
— Nie! nie chcemy.  
— To już waszo ostatnio słowo?  
— Ostatnie...  
— Ha trudno, Zobaczycie, że będziecie kiedyś za

łowali, wspomnicie moje słowo — ale już będzie zapóźno.

— To niewiadomo.

— Powiedzcież mi przynajmniej, kto was tego nauczył?

— My i sami wiemy przez żadnych nauków.

— A cóż wy wiecie?

— Dyc wiemy... co jeno trza troszkę poczekać, a to wszystko co kiele nas je, nasze będzie.

— Tak myślicie?

— A jużci.

— Mylicie się dobrzy ludzie. Wprowadzono was w błąd. Jakiś oszust nagadał wam głupstw — a wy mu wierzycie. Nie chcecie słuchać tego kto do wai przychodzi jak najlepszy przyjaciel, jak brat... kto wam życzy dobrze i szczerze — a dajecie chętne ucho pijanicy jakiemuś, obieżyświatowi, bez domu i bez dachu nad głową, wycieruchowi brudnych karczem żydowskich, wyrzutkowi społeczeństwa... Wstyd wam, wstyd i hańba wam gospodarzom, rolnikom, ludziami przecież uczonym i rozumnym—wstyd żeby znów taki za nos wodził, żeby wami kierował. Chłopi zaczęli wdychać.

— Zdaje mi się, mówił dalej Wiktor, z zapalem i podniesionym głosem, że powinniście sami ocenić, sami zrozumieć, że ja pragnę dobrze i dla siebie i dla was, że chce żeby pomiędzy nami nie było żadnych a żadnych sporów i kłótni — żebyśmy żyli obok siebie jak przyjaciele dobrzy —jak bracia... Ja pierwszy do was rekę wyciągam—zastanówcie się więc—pomyślcie.

W gromadzie panowało głuche milczenie.

Czy nie dość wam ciągłych sporów, kłótni i procesów. Czy ciągle macie się skradać do lasu jak złodzieje, kiedy ja wam daję las na własność, do którego chodzić będziecie jawnie, w biały dzień, jak do swego. Czy nie miłsza wam święta zgoda i przyjaźń. I ja rolnik i wy rolnicy—i ja gospodarz i wy gospodarze. Co między nas ma wchodzić jakiś obieżyświat, jakiś człowiek niedobry, co ma judzić i drażnić, przepędzić go, kundla, na cztery wiatry, podajmy sobie ręce, a żyjmy w zgodzie jak Pan Bóg przykazał... Cóż bracia?

— Świętą prawdę wielmożny dziedzic powiedział, odezwał się po namyśle Kaczorek, świętą prawdę, po sprawiedliwości i pięknie żejenszy ksiądz tak na jambonie nie potrafi...

— Wierc nareszcie przekonałem was? więc podpiszecie?

— Juści przekonać to nas wielmożny dziedzic przekonał, ale podpisować nie będziemy...

— Kie?

— Nic będziemy podpisować, krzyknęła gromada,—niech tak będzie jak było i skutek...

Wiktor zaczerwienił się. Chciał coś przemówić, ale pochwyił go silny atak kaszlu, krew rzuciła mu się ustami...

W domu zrobił się alarm. Julcia i ciotka przybiegły—zarządziły domowe środki ratunku...

Chłopi postali jeszcze czas jakiś przed gankiem i rozeszli się do domów, geometra i urzędnik poprosili o konie do wyjazdu. y

W dziesięć minut później, wąsaty Mateusz zaprzął kare konie do lekkiego wolantu i popędził do miasteczka po młodego Żarskiego.

VII.

Była piękna pogodna jesień.

Na polach nie falowały już zboża, natomiast rżyska sterczały jak szczotka na powierzchni pocziwej starej żywicielki naszej. Gdzie niegdzie na zagonach chwiały się jeszcze poczerniałe tęciny kartofli, świeżo skoszona tataraka w kupkach stała, po polach woły ciągnęły pługi, odwalając świeże skiby...

Bociany zbierały się do odlotu, połysiały drzewa przydrożne, a liście jakie się jeszcze opierały podmuchom wiatru miały barwę starego złota...

W Kalinówce we dworze było bardzo smutno. Ciotka płakała po kątach. Julcia miała zaczerwienione oczęta... Żarski młody codziennym prawie bywał gościem.

Na jego żądanie, niby przejeżdżając, wstąpili do Kalinówki dwaj znakomici lekarze warszawscy, obejrżeli Wiktora, pocieszyli Julcię, obiecali, że zdrowie bratu powróci, ale z twarzy Żarskiego można było wyczytać, że to próżna i zwodnicza nadzieja.

Zdawało się, że do cichego dworku wstąpił anioł śmierci, że nad biednym marzycielem rozpostarł swe skrzydła...

Nikt nie odzywał się głośno, nikt nie stapał śmiało w tym domu, rozmawiano szeptem, chodzono na palcach, i wszystkie sprawy gospodarskie koncentrowały się na folwarczku w mieszkaniu Żarskiego.

On eam starannie co wieczór przychodził—uspakajał chorego, pocieszał, trzymał w tajemnicy przed nim wszystkie sprawy przykre, nieporozumienia. Kłamał, może pierwszy raz w życiu, lecz kłamał w dobrym celu, więc tem zwalczał skrupuły swej prawej, prostaczej natury...

Miody Żarski jak lekarz, Julcia jak siostra miłosierdzia czuwali nad chorym, a przytem niejednokrotnie spotykały się ich spojrzenia, ich ręce.

Ciotka już o świetnej partyi z młodym Marcinkowskim mówić Julci przestała, Wiktor uśmiechał się widząc rumieńce i zakłopotanie siostry i tak przy łóżku umierającego rozkwitała i rozwijała się miłość, jak kwiat wyrosły na grobie, jak piękne drzewo co na cmentarzu wyrasta...

Wiktor uśmiechał się do siostry—a nawet raz, gdy przy jego łóżku z Żarskim młodym siedziała, ujął jej drobną miękką rączkę, włożył w dłoń Żarskiego i rzekł:

— Pamiętaj Janie, gdybyś mnie nie wyleczył— bądź opiekunem mej siostry...

Julcia zapłonila się, chciała cofnąć rękę, ale młody człowiek przytrzymał ją silnie, do ust przycisnął i pochyliwszy się ku choremu szepnął:

— Przyrzekam.

Od tej pory Żarski i Julcia byli dla siebie jak narzeczeni — nawet ciotka milcząco zdawała się na ten

związek przyzwałać i o Marcinkowskim młodym nie wspominała więcej.

Smutnie upływały zakochanym te chwile, które razem mogli przepędzać. Wiktor bowiem chudł i mizerniał z dniem każdym... Myślano o tem, żeby klimat zmienić, żeby na południe go wywieźć—ale Żarski nie nalegał... lękał się że w drodze, albo na obczyźnie biedny chory zamrze, zdała od swoich.

Częstokroć młody lekarz, który gotów by był połowę życia własnego za uratowanie brata narzeczonej oddać, częstokroć nocami prze wracającdziała medyczne, złorzeczył nauce, że jest tak bezsilna i marna w obec choroby... że nie może duszy wymykającej się z ciała zatrzymać, ani upragnionego życia chociaż o odrobinę przedłużyć...

Wiktor wspominał niekiedy o śmierci, mówił o niej z uśmiechem na ustach, bo w gruncie rzeczy miał to przekonanie, że wyjdzie z cierpień i do zdrowia powróci, umierać nie myślał—przeciwnie, żyć pragnął, pragnął! całą siłą — wszystkie polecenia lekarza z najbardziej drobiazgową ścisłością wykonywał, posłuszny był mu jak dziecko...

Niekiedy w samo południe, gdy piękny dzień jesienny był, a słońce jasno świeciło, wynoszono do ogrodu, lub na dziedziniec duży fotel i w nim siedząc chory jakąś godzinę lub dwie na świeżem powietrzu przepędzał.

Była to jego najmilsza rozrywka... Zamyślony patrzył w jasne niebo, to znowuż puszcza! wzrok po



polach, łąkach i lasach, to obejmował nim szereg białych chat co się przy drodze rozsiadły.

Dumał wtenczas i marzył i cieszył się nadzieją, że niedługo pójdzie sam do lasu, na łąki i do tych chat wieśniaczych, które całym sercem ukochał...

Jednego dnia, gdy tak przed gankiem siedział, sam jeden, gdyż ciotka domowem była gospodarstwem zajęta, a Julja po nocy niespanej poszła trochę odpocząć—Wiktor ujrzał przechodzącego przez dziedziniec chłopca... Skinął na niego ręką...

Stary wieśniak zbliżył się...

Był to najstarszy chłop w całej wsi, gospodarz porządny, uczciwy, trzeźwy—niegdyś jego słowo duże w gromadzie znaczyło, teraz wszakże wycofał się ze wszystkiego. Przykro może było staremu, że młodzi burzą i wicherzą wbrew sprawiedliwości i prawdzie, że nie wiele sobie ważą jego srebrne włosy — machnął tedy ręką na wszystko—i nawet zapytywany o zdanie milczał uparcie...

Zawołany zbliżył się do Wiktora, z wyrazem współczucia na twarzy...

— Jak się macie Szymonie? powitał go dziedziec.

— Bóg zapłać wielmożnemu panu, Bóg zapłać... ja to polatawszy — jeno tu gorzej że wielmożny pan ciągle nam jakoś słabuje... Możeby na wotywę do przemienienia Pańskiego... albo co?

— W Bogu nadzieja, moi drodzy—doktor obiecuje że lepiej będzie—ale powiedzcież mi co na wsi?

— Ha, ziarna Bogu dzięki dobre... chleba będzie dość—ale może to i gorzej.

— Dla czego mój Szymonie...

— Naród tera, panie wielmożny — paskudny. O paskudny naród je tera. Skoro mają. dobry urodzaj, to jeszcze gorzej będą pili po karczmach, a jeździli po sądach, a prawowali się— a pomstowali jak poganiny jakie... do kościoła palką nie napędzi—a na łajdactwo to jak nieprzykładając psi na koninę, takie chytne...

— To źle, to bardzo źle, mój Szymonie,

— A dyć wiadomo że źle, wielmożny panie, wiadomo że źle—a nabardziej to już człowiekowi markotno, że wprzódy takiej Sodomy jak dziś niebywało. Po sprawiedliwości wielmożnemu panu powiadom, że jak una Kalinówka Kalinówką — tośmy dawniej takiego rozpuszczeństwa nie znali... a tać ja nie dzisiejszy, nie dzisiejszy ja człowiek wielmożny panie.

— Ależ dla czego? na miłość Bożą, mój Szymonie dla czego?

— Ha, wielmożny panie, dużo by to było gadać, a nie wiele—słuchać i nawet nie wszystko pasuje "wielmożnemu panu opowiadać.

— Owszem, wszystko, wszystko mi mówcie mój Szymonie, ja właśnie chcę od Was samych usłyszyć. Jeśli wam Bóg miły, człowieku, mówcie prawdę nie tajcie... Oto siądźcie sobie tu na ławce i mówcie, mój Szymonie, mój staruszk, proszę was...

Wzrok Wiktora miał wyraz tak błagalny, że chłop nie mógł się oprzeć.

Poskrobał się w głowę i z nieśmiałością rzekł.

— Pierwej było w Kalinówce dobrze, bo rządcą, niby pan Żarski był sprawiedliwy człowiek.

— A ja? Bójcie się Boga, czyż ja byłem dla was zły?

— Gdzie zaś, wielmożny pan właśnie był dobry, i bez to cała zguba na wieś przyszła...

— Ja was nierozumiem Szymonie...

— Nie kuźda, panie, dobroć dobra je—i nie kuźdemu ona na dobre wychodzi... a sprawiedliwość zawdy w jednej mierze stoi...

— Jeszcze nie rozumiem ..

— Bządca sprawiedliwy był. Nikt tu od niegopokrzywdzenia nie miał, nikt przez dania racyi marnego słowa nie słyszał. Jak na kogo bieda przyszła to już bywało do rządcego jak w dym, on bywało pocieszy i słowo dobre rzeknie — i bywało czy bydlę na zimowisko przyjmie, czy ziarna na siew pożyczczy, czy i na to mówiący inszemu potrzebnemu i pieniędzy da... Bywało, powiada mój bracie, trza się ratować bo tobie dziś mnie jutro. Naści tu, na jesień oddasz, abo na to mówiący odrobisz, jak tam ci wypadnie lepiej, to już twoja w tem głowa. Tak bywało robił, i my na wsi nie znali nijakiego żyda, nijakiego procentu, bo rządca za nas stojał jak za siebie i żeby niewiem co, to on chłopowi zginąć nie dał, zawdy go z biedy wyciągnął... ale złodziejstwa żadnego nie scierpiał — na złodziejów miłosierdzia nie miał, najmniejszego patyczka nie darował. Jak jeno mu sie który popadł to bywało zara krzyczy: Ty sielmo, taki owaki, ty, powiada, psia wełno, ty cyganie, ty Judasie! to ty nie wiesz gdzie dwór? powiada... Skoro ci potrza to se przyjdź w dzień i kup, a jak nie masz za co kupić, to

proś., a nie kradnij sielmo jeden, bo to paskudnie i grzebn... I zara go do sądu, żeby nawet krwawemi łzami płakał — bo rządca sprawiedliwy człowiek był, wielmożny panie...

— A ja? ja nie byłem dla was sprawiedliwy?

— Wielmożny pan był tylko okropnie dobry... już taki dobry że drugiego na świecie poszukać...

— Ale niesprawiedliwy... powiadacie. Chłop zmieszał się...

— No, rzekł z pewnem wahaniem się—przeć powiedziawszy po prawdzie i po sprawiedliwości to nie... bo jak wielmożny pan wszystkim złodziejom odpuszczał, to pocziwym ludziem było markotno, a jenszemu i zajzdrość. Złodzieje se całą podwórka napakowali drzewem, złodzieje wypasali inwentarz w pańskim zbożu... a porządne gospodarze nie mieli nic... Bez to się we łbach przewracało, jeden dari i drugi chciał drzeć, a jak wypadła większa kwestyja, to chcieli z mego dobrego pana całą skórę ściągnąć... Tak, tak, wielmożny panie, każda rzecz na świecie swoim porządkiem idzie— a sprawiedliwość to je grunt. Niech ta wielmożnemu panu, Bóg miłosierny da pocieszenie na zdrowiu na wszystkim co se wielmożny pan sam od Boga upragnie i zażąda — a może trza iść do chałupy, bo jenteres jaki do pana rządcego miałem, załatwiłem se ze wszyskiem.

Rzekłszy to, chłop pokłonił się do samej ziemi, i wzdychając poszedł ku wsi, a młody marzyciel pogrążył się w myślach... i w duchu przyznawał zupełną słuszność temu prostemu, nieokrzesanemu człowiekowi.

który po swojemu dobroć od sprawiedliwości rozróżniał.

— Tak, tak, mówił sam do siebie Wiktor, ten chłop ma słuszość i jarski ma słuszość—w tym Stosunku dobroć złe skutki przynosi, sprawiedliwym raczej być trzeba. Byle mi zdrowie wróciło, system zmienię, na nowo pracę rozpocznę, byle do celu dojść, a dojdę, bo ludzie są dobrzy, tylko trzeba umieć postępować z nimi... Tak, umieć trzeba, a chcąc umieć—należy uczyć się, doświadczenie zdobywać.

Dumał tak i rozmyślał dopóki Julcia nie przyszła, aby ostrzedz że czas na takie posiedzenie dozwolony upłynął... Posłuszny jak dziecko, powrócił do pokoju, prosił siostry, żeby mu jaki poemat przeczytała, lub żeby zagrała na fortepianie.

Sam czytać nie mógł Mężczyło go to.

Zwykle dwa razy tygodniowo Mirkowicz z córką, do Kalinówki przyjeżdżał i to były najpiękniejsze dni gasnącego życia Wiktora.

Wanda, aczkolwiek przeczuwała może grożącą katastrofę, nie dała jednak niczem poznać po sobie jakie obawy ją dręczyła.

W obec narzeczonego była zawsze uśmiechnięta i wesoła—prowadziła z nim ożywioną rozmowę. Mirkowicz patrząc na to zamyślał się smutnie i nieraz łzę ukradkiem ocierał. Przyzwyczyił się on już do młodego marzyciela i pokochał go nawet... Niewątpił, że gdyby było można zdrowie mu powrócić, to kraj zyskałby obywatela prawego i dzielnego... a Wandzia, uczciwego przywiązanego męża.

Inaczej było sądzone...

Jednego dnia, tej pięknej, złotej jesieni, Wiktor czuł się daleko lepiej. Cały dzień prawie był na nogach, śmiał się, żartował z Julcią i z Wandą, przekomarzał z ciotką, a Mirkowiczowi opowiadał szczegółowo swoją rozmowę ze starym Szymonem o różnicy dobrych ludzi od sprawiedliwych.

Tegoż dnia przyjechał miody Żarski, a że nie miał innych wizyt, więc został na wieczór i do późna zabawił...

Gdy się już wszyscy rozjechali i Żarski również się do drogi zabierał, Wiktor zatrzymał go jeszcze przez chwilę...

— Słuchaj, Jasiu, rzekł, mnie jest dziś zupełnie dobrze. Zdaje mi się, że to skutek twojej ostatniej recepty... Niech co chcą mówią pesymiści, ale ta wasza medycyna to jest prześliczna nauka! Ja dziś czuję się zupełnie—zupełnie dobrze... Na drugi dzień z wieżycy parafialnego kościółka rozlegał się żałobny jek dzwonu... a chłopci zdejmowali czapki i żegnali się, mówiąc:

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie. Dziedzic Kalinówki już nie żył...

Pełen szlachetnych myśli marzyciel, spoczął na wieki na ustronnym wiejskim cmentarzu. Nad grobem jego świeciło jasne niebo, szumiała rozplakana brzoza... świergotały ptaszęta...

Obok, długim szeregiem ciągnęły się mogiłki chłopskie, krzyżami usiane, darnią porośłe. Przy par

kanie cmentarnym rosły krzaki bzów i jaśminów, dzikie róże, tarnina...

O wiosnie zlatywała tam słowików para—i w nocy po rosie, nad cichą wioską umarłych rozbrzmiewała najcudowniejsza w swej prostocie „pieśń nad pieśniami” pieśń, którą śpiewać sam Bóg chyba szarą ptaszynę nauczył... Świeży grób trawą porósł, a życie płynęło dalej swoim odwiecznym korytem, toczyło się cichą falą, przerywane jękiem żalu, westchnieniem—a rzadko, bardzo rzadko, srebrzystym śmiechem wesela...

A gdzież nasi dobrzy znajomi? gdzie ich fala życia uniosła?

Toż od śmierci Wiktora już trzy lata minęło — a trzy lata to czas, to kawał czasu... Żal zdąży się zatrzeć, wspomnienia przybladną, łzy zaschną...

W Kalinówce pusto. Dworek na lato tylko otwiera swoje podwoje na przyjęcie mieszkańców...

Żarski stary w oficynie, jak dawniej rządzi, znowuż swoje porządki za\*prowadza. Nie idzie mu łatwo, ale ma nadzieję, że z czasem Kalinówka będzie tem, czem dawniej była. Zbyteczna, źle zrozumiana dobroć sprawiedliwości miejsca ustąpi i nastanie znowuż harmonia i spokój... W kłopotcie, w biedzie, w ciężkich czasach przyjdą ludzie do pana rządzącego po pożyczkę, po pomoc, ale złodziejstwa nie będzie, bo stary rządcą tego nie zniesie i nie ścierpi.

Utoży się wszystko po dobremu, po ludzku, do normalnego trybu powróci, tylko czasu, czasu trochę potrzeba.

Pan Mikołaj atakiem apopleksyi rażony, zmarł w karczmie u żyda, wywleczono go ztamtąd na ulice, aby kramu, kłopotów i komisji uniknąć.

Pokrajano go nieboraka po śmierci i znaleziono we wszystkich organach ślady alkoholu... Doktor napisał w protokóle sekcyjnym, że śmierć nastąpiła z pijaństwa i to była ostatnia kartka dziejów tego wykołejonego, przez złe życie do gruntu zepsutego i szkodliwego człowieka.

Na pogrzeb nikt nie poszedł, nad grobem nikt nie płakał. Policja pochowała go swoim kosztem, a strażnik, który temu obrzędowi z urzędu asystował, z obowiązku chrześcijańskiego, rzucił grudkę ziemi na trumnę, i przeżegnał się nad nią po swojemu.

Młodzi państwo Żarscy w miasteczku mieszkają. On praktykuje, ubogich darmo leczy, wziętość sobie coraz większą wyrabia. Julcia gospodarstwem domowym ale trudni, zakochana zawsze—szczęśliwa.

Na lato z ciotką i dzieckiem do Kalinówki zjedzie i tam czas upalny przepędza, owoce zbiera, soki i konfitury smarzy, do maleństwa swego szczebiocze.

Ciotka, poczciwa, Julci swej nie opuściła, przy młodej parze mieszka, tłustego dorodnego chłopca Julci na kolanach wciąż trzyma...

Bo też wyjątkowo mądre to dziecko, zwłaszcza w oczach kochającej babuni.

Mówi „mama, tata” jak stary, patrzy takimi rozumnymi oczami jak filozof, wie że bułkę trzeba włożyć do buzi, a na kij siadać jak na konia, trzaskać biczkiem i wołać: hetta! wio!

Takie mądre dziecko byfo duma babui.i i kochała go też i pielęgnowała jakby swoje własne. Julcia nie mogła go wziąć na ręce, gdyż babcia nie pozwalała na to.

Wnuczek był babci — a nie Julci i pomiędzy siostrzenicą a matką wynikały częstokroć spory co do tytułu tej własności...

Powolywano się wtenczas na zdanie wnuczka, ale ten materyalista! (bo takie już jest znamie wieku) do tej z pań rączkę wyciągał, która w danej chwib, jakąś gotówką albo pierniczkiem nęciła.

Młody Żarski ledwie do domu na noc zaglądał, a i w nocy budzono go częstokroć do chorego wzywając. Pieniądze płynęły jak woda i z praktyki i z majątku, którym ojciec administrował wybornie, kapitalik dla małego Julcia wzrasta! jak na drożdżach.

Julcia niekiedy myślała o bracie, co roku odprawiało się za jego duszę nabożeństwo żałobne: czasem modre jej oko lżą zaszło — ale gdy spójrzała na męża, na dziecko... wtenczas życie uśmiechało się do niej wabiąco i zapominała o smutnym trawą porośniętym grobie.

W Białowodach dziwnie lecz smutno...

Wprawdzie, o wiosnie, jak dawniej, chóry słowików pieśni rozgłośne zawodzą, woda szumi po szluzach, ze starożytnej baszty szczytu bocian klekocze — ale to jakoś inaczej, jakoś nie tak, jak dawniej bywało.

Stary pan Mirkowicz zdziwaczał, sposępniał... gospodarstwem nie wiele się zajmuje, ludzi unika, nie bywa nigdzie, stetryczał...

Całemi dniami w bibliotece siedzi, coraz to nowe książki sprowadza, stare szpargały kupuje, dawne monety zbiera, to znów jakieś graty na zamczyskach zakupuje i szpera, widocznie szuka czegoś...

Czego? któż to wie?

Powiadają, że dzieło jakieś pisze, że niby to historyczne ma być, że dał mu dziwaczny tytuł „Sto lat męczeństwa" ale czyje to męczeństwo? jakich boleści dzieje, jaką historję zawiera? nikt nic wie... bo Mirkowicz cichy, milczący nikomu się z zamiarów swoich nie zwierza, z nikim o nich nie mówi.

Ot, zwyczajnie mól książkowy i dziwak.

Na Wandzię swoją dziwnemi oczami patrzy... Czasami w objęcia ją porwie, po czole jasnem i po oczach całuje, czasem wzdycha nad nią i jęczy, a niekiedy gdy sam jest i nad jej losem rozmyśla... to wstyd powiedzieć... płacze...

Nieraz księżyc do baszty, przez zakratowane zaglądał okienka, liczył Izykbiednego, kochającego ojca... ale księżyc sekretu nie zdradzi—a ojciec z smutków swoich nie lubił się zwierzać przed ludźmi...

Wanda zawsze jednakowa, poważna, spokojna...

Obcięła krótko swe prześliczne warkocze, w czarnych oczach ma dziwną jakąś powagę, prawie że surowość. Zawsze ubrana czarno, jakby wiekiustą poprzysięgła żałobę, w bibliotece ojcu pomaga, wyciągi robi, umysł swój nleustannem czytaniem kształci,

Nie zaniedbuje jednak gospodarstwa... pracuje, krząta się, na wszystko zawsze czas znajdzie. Na wieś

często zagląda, chorych pielęgnuje, dzieci do książki zachęca, godziny czasu nie zmarnuje napróżno ..

Ogród ukochała szczególnie... Najpiękniejsze kwiaty ma zawsze władną wyhodowane, wypielęgowane ręka...  
I po co je hoduje? Po to, by je zerwać gdy najpiękniejsze są, wianeczek z nich uwić i złożyć na cmentarzu, na grobie...  
Dziwne serce!

W Białowodach kilku młodych ludzi bywa. Sa nawet pomiędzy nimi tacy, którzy do partyi „dobrych” się liczą, chłopcy porządni, zamożni, uczciwi. Niekiedy ojciec nawet za którym dobre słowo wtrąci — ale ona słuchać nie chce...  
ucieka...

Może kiedy pójdzie za mąż, a może nie pójdzie— prędzej nawet nie pójdzie niż pójdzie... bo sa takie dziwne natury, co się w smutku własnym, w żalobie kochają—co ją pieszczą i przechowują w sercach jak skarby...

Może... może cza, ten najlepszy lekarz cierpień duszy—zagoi rany serca, zachęci do życia, do szukania szczęścia i miłości.

Wszakże i na grobach wyrastają kwiaty...

Pan Kaliciński nareszcie się ożenił...

Wielka ztąd była radość w Izraelu — w Bosychkaczkach przez cztery tygodnie o tym fakcie tylko żydkowie mówili...  
Słowa szlacheckiego dotrzyma!, wszystkim żydom co do grosza wypłacił, nawet hypotekę Toczków z dłu

gów oczyścił, i dziś do zamożniejszych ludzi w okolicy się liczy.

Po długich latach romansów, po niefortunnych próbach, znalazł nareszcie kobietę, która miłość jego pojąć i ocenić umiała.

Była to wdowa po pułkowniku z intendenty. Kobieta lat czterdziestu, ale jeszcze dość hoża i świeża... Olbrzymiego wzrostu, prawie tak jak sam Kalinowski wysoka, tworzy z nim idealnie doborowa parę.

Święta zgoda kwitnie w tem stadle, różnicy zdań nie ma nigdy, bo wdówka sama rządzi, a Kaliciński pod pantoflem siedząc, jest tylko wiernem jej echem.

W domu na palcach chodzi, fajki nie pali nawet, bo jejmość tego nieznosi, a jak mu czasem doktora wezwać wypadnie i do Zarskiego przyjedzie, to na Julcię nie patrzy... Oczy jak panienska spuszcza... niechce widocznie dawnych popiołów poruszać. Jojna Imbryk... zestarzał się... Robi jeszcze interesa, ale tylko ważniejsze — drobne zaś wyłącznie oddał synowi, a sklep i zajazd córce... Modli się nabożnie co wieczór, na intencję, żeby Franek Kuternoga z więzienia nie wrócił i chałupy mu nie spalił—a zresztą kiwa się nad taltudem, bo stary ojciec umarł i w familii nie zostało już nikogo, ktoby się głęboko naukowem! kwestjami zajmował.

Jojna Imbryk dość już zarobił pieniędzy — teraz tylko sławy i uczoności łaknie.

Koniec.

Z PAPIERÓW

PO

NIEBOSZCZYKU CZWARTYM

Rozdział pierwszy: o tem, z kąd się wzięły papiery i kto byt nieboszczyk „czwarty”?

Przełóżając stare książki u antykwarjusza, znalazła

złom rękopis. Był to gruby zeszyt oprawny w tekturkę, oklejoną czarnym płótnem.

Kajet zapisany był bardzo starannie i czytelnie, widocznie przez człowieka, który lubił systematyczność i porządek, a zarazem miał dużo wolnego czasu. Każda litera była wykończona, wycieniowana prawie, wiersze wyciągnięto równo, jak pod sznur, margines na wszystkich stronicach miał jednakową szerokość, karty ponumery-

rowane były czerwonym atramentem.

Usiadłszy na kulawym krzeselku, zacząłem przerzucać karty rękopismowej księgi, antykwarjusz zaś, zapaliwszy cygaro, od którego zapachu mogły struść się wszystkie mole w jego księżnicy, otoczył się kłębam dymu, w. po za którego wspaniała jego broda wyglądała niby płacząca wierzba z po za mgły wieczornej.

Milczeliśmy przez jakiś czas obadwaj; ja przerzucałem karty manuskryptu, handlarz z po za obłoku dymu śledził wrażenie, jakie czytanie na mnie sprawia.

Schyliłem głowę, jak najniżej, w słusznym przekonaniu, że mądry będzie ten mąż, jeżeli z łysiny mojej potrafi cokolwiek wyczytać.

Przejrzawszy manuskrypt, położyłem go na półce i zacząłem targować jakąś starą broszurę, niepotrzebną mi wcale.

Bukinista cenił ją pięć rubli, ja ofiarowałem złotówkę i tak bawiliśmy się, on w odejmowanie, ja w dodawanie, aż targ szczęśliwie na pół rubelku stanął i broszura przy mnie została.

— No, a co pan powiada o tym rękopiśmie? — zapytał antykwarjusz.

— Nic.

— Dlaczego nic?

— Bo nie wiem, co to jest...

— To bardzo, bardzo starożytny interes, ja za niego grubo zapłaciłem.

— Szkoda, kajet wcale nie starożytny.

— Na moje sumienie on jest całkiem starożytny. Dość jest trochę powąchać okładkę...

— Wspomina o wojnie francuskopruskiej i ma na sobie datę roku .

— No, to co? To też nie było wczoraj, ani onegdaj. Kiedy była

francuska wojna? Ja wiem, że się wtenczas dopiero co ożenił... mojej żony ojciec wtenczas umarł, a trzeba panu wiedzieć, że to był bardzo, bardzo starożytny czło wiek. Daj mi Boże tyle tysięcy w majątku, ile on miał lat życia ten mój teść! Dawne czasy, bardzo dawne czasy—dodał, zdejmując z polki rękopism.—Patrz pan, czy teraz kto tak pisze? To jest nie pisanie, ale sztych, to kopersztych jest! Niech pan uważa, żadna litera nie sfuszerowana, wszystkie robione na urząd. Nie powie pan dobrodziej, że to nie starożytne, bo choć data jest, choć o wojnie jest, to jeszcze żaden dowód. Data może być omylona, a wojna... Co znaczy wojna? Albo jedna wojna była na świecie? Akurat może to nie ta, o której pan ma pomyślenie.

— Zkąd pan ma ten rękopism? Pytanie tego rodzaju zawsze odzywało się niemiłym zgrzytem

w uchu i w sercu mego bukinisty. Do czego W ogóle prowadzić może taka niepotrzebna ciekawość? Jako człowiek bardzo drażliwy na punkcie honoru, widział w zapytaniu mojem podejrzenie i wątpliwość. Przypuszczał jakiś zły zamiar. Starałem się uspokoić jego obawy, zapewniając, że do tego pytania skłoniła mnie prosta ciekawość.

— Albo ja wiem?—odrzekł, ramionami wzruszając—ja ten rękopis kupiłem. Czasem się kupuje książki na licytację czasem z wolnej ręki; niekiedy sprzedaje je na wagę wydawca, który się źle obrachował, albo autor, co dla rozgłosu, zabawił się w wydawcę. Wiadomo panu przecież, że się różnie trafia, a i to panu równie wiadomo, że po podwórzach chodzą biedne żydki i wołają „handel, handel!” Czego taki żydek nie kupi? Starą garderobę, łóżko żelazne, popsute lampy i książki też.

Jak kupi, to każdą rzecz odnosi, gdzie potrzeba: ze starą garderobą idzie na Wołówkę, z żelaztmem na Pociejów, a książkę niesie do mnie, albo do mojego szwagra, albo do mojego zięcia. On nie może trzymać towaru dłużej jak kilka godzin. Rano kupił, wieczorem sprzedał. Takie jest jego życie. Czy ja mam się pytać, gdzie taki biedak książkę kupił, z jakiego podwórka ją przyniósł? On sam tego spamiętać nie może, bo ciągle handluje, a ja też nie pamiętam, bo także ciągle handluję... Ten kajet jest kupiony od handlarza od którego, nie wiem, bo rozumie pan przecież, że z takimi łapserdakami nie trzymam kompanii.

Wiec nie przypominasz pan sobie.

— Żeby przypomniał, tobym odrazu powiedział; zresztą, na co panu ta wiadomość? Ma pan chęć, niech pan kupi, nie ma pan chęci, niech pan nie kupi. Może sobie



leżeć na półce, jak leżał. Swoją drogą, ja panu radzę kupić, ja panu nawet każę kupić. Podług mego zdania, to jest kawałek białego kruka. Nie lękaj się pan; ja się drożyć nie będę, oddam ze stratą, aby handel szedł. Dziś, niech mi pan wierzy, że ze wszystkich złych interesów, nasz jest najgorszy. Kto dziś kupuje białe kruki? Starzy amatorowie powymierali, a młodych amatorów wcale nie ma. Oni wołają, za przeproszeniem, białe lalki, aniżeli białe kruki... Na moje sumienie. Co się dziś sprzedaje? Trochę uczniowskich książek i trochę starych romansów do czytelnicy na prowincję, częściej na wagę, aniżeli na tomy. To jest cały nasz ruch w teraźniejszych czasach. Włożył cygaro do ust i pociągnął dym tak gwałtownie, że aż skwierczeć zaczęło. Widocznie gorycz w sercu chciał goryczą tytoniu zagłuszyć i struć w so

bie żal, niby mola, toczącego najpiękniejsze karty wielkiej księgi fachu antykarskiego.

Ubolewaliśmy obadwaj nad upadkiem zamięłowania do ksiąg dawnych, wspominaliśmy z żalem zmarłych już, a znanych nam niegdyś zbieraczy rzadkości bibliograficznych, wspominaliśmy dawnych handlarzy książek, handlarzy spoczywających już w wielkiej antykami... pod ziemią.

— Oni znali smak—mówił rozżalony bukinista—a my? Co my znamy? My już nic nie znamy! Co jest, to nic nie jest i, na moje sumienie, panie dobrodzieju, lepiej dziś wódką handlować, niż takim szlachetnym towarem.

Te wynurzenia przykrych uczuć przeplataliśmy cyframi, bo rozmowa szła swoim torem, a targowanie się o rękopism swoim i jedno drugiem! nie przeszkadzało bynajmniej.

Ostatecznie rękopism stał się moją własnością.

Przed odejściem, musiałem jeszcze wysłuchać wykładu o różnych rodzajach amatorów dawnej daty i pseudoamatorach dzisiejszych, których właściwie wcale niema; bo i taki gatunek, co go nie ma, jest przecie także gatunkiem.

Długo mi opowiadał ten smutnie nastrojony handlarz używanej literatury o prawdziwych bibliomanach, którzy nowem złotem za zbutwiałe papiery płacili, którzy rozkoszowali się charakterystyczną wonią dawnych szpargałów.... A dziś... dziś przychodzi amator i za rzadkość prawdziwą, za antyk, ofiaruje trzy ruble! Taki amator! za trzy ruble amator!

Tfy!...

Przeczytałem rękopism od początku do końca, jeszcze raz i jeszcze raz i zastanowiłem się nad pytaniem, kto był jego autorem?

Niestety, zeszyt, o którym mowa, nie był pamiętnikiem skończonym, lecz tylko fragmentem pamiętnika; nie całą księgą szarego życia autora, ale kilkoma kartami jej tylko...

Schowałem rękopism do szafy, w przekonaniu, że nic z niego wycisnąć nie zdołam, aż najniespodziewaniej, w jakiś czas później, zaszły okoliczności nieprzewidziane, dzięki którym miałem sposobność poznać osobiście pana Melchiora.

Był to mały, szczupły, niepozorny człowieczek, schorowany i kaszlący; wspominał często o śmierci i w rzeczy samej umarł w pół roku po zaznajomieniu się ze mną.

Z jego opowiadania i jeszcze z kilku zeszytów, jakie mi z własnoręczną dedykacją ofiarował, odbudowałem tę opowieść i zatytułowałem ją: Z papierów po nieboszczyku czwartym.

Jeżeli czytelnik ciekawy, dlaczego ten nieboszczyk był czwarty i do tego czwarty przez male coto niech, wzbudziwszy w sobie ducha cierpliwości i wytrwania, odczyta niniejsze kartki do końca, a znajdzie w nich wyjaśnienie.

Rozdział drugi: zawierający w sobie część autobiografii nieboszczyka czwartego i będący zarazem wstępem do dalszego ciągu.

Czy człowiek—pisze w swoim pamiętniku ś. p. czwarty — może mieć o to pretensję do losu, że nie dano mu stąpać po różach? Mojem zdaniem—nie. Czy ma prawo narzekać, że nie posiada majątku Kotszylda?—także nie; czy wreszcie godzi mu się sarkać, że nie zajmuje bardzo wysokiego szczebla na drabinie społecznej?—i to nio. Stąpać można po trawie lub po bruku, i to nie jest nieszczęściem: potrzeby życia opędzać

umiarkowanym zarobkiem i to jest prawie szczęściem; pełnić obowiązki, przywiązane do skromnego stanowiska uczciwie, i to jest, możecie wierzyć, lub nie wierzyć, całym szczęściem. Zawsze starałem się wpajać takie przekonanie w mych uczniów. Niektórzy zrozumieli mnie i źle na tem nie wyszli: większa część słuchała słów dobrej rady, niby bajki o żelaznym wilku; jednym uchem chwytała, wypuszczała drugim i, nie dziw, że w życiu znalazła gorycz i rozczarowanie. Jedno jest tylko największe, mojem zdaniem, nieszczęście—nie być niczem, zostać po długich latach pracy i uczciwego życia istotą na nic nikomu nieprzydatną i niepotrzebną. To, zaiste, jest nieszczęściem prawdziwym. Urodziłem się na wsi, w dzień Trzech Króli, temu lat pięćdziesiąt z okładem.

Ojciec mój był oficjalista folwarcznym; nazywali go panem rządcą, zapewne dlatego, że sprawował rządy nad kilkoma fornalami, tylomaż parobkami i pastuchem. Pierwszy dar, jaki otrzymałem od ojca po przyjściu na świat, było imię, a ponieważ urodziłem się w dzień Trzech Króli, więc wypadało mnie ochrzcić na Kacpra, Baltazara lub Melchiora... Ojciec dał mi to ostatnie, dlatego, że imię Kacpra nosił nasz pastuch, więc jakoś nie wypadało nadawać je synowi pana rządcy; Baltazar, kowal wiejski, był to pijak sławny na całą okolicę, więc także nie—zostałem tedy Melchiorem. Prócz tego imienia i uczciwego nazwiska Kurkiewicz, nic mi rodziciel mój więcej nie dał, nie dlatego, że nie chciał, lecz z powodu, że nie mógł, a nawet szczerze mówiąc, i chcieć biedak nie

mogł, gdyż umarł w trzy lata po mojem urodzeniu.

W rok później za ojcem poszła i matka i zostałem na świecie sam jeden.

Nie mogę powiedzieć, że bym był bez opieki. Owszem, krewni mnie brali do siebie, trochę byłem u stryja, trochę u wuja, to znów u babki jakiejś, u ciotki, aż wreszcie, mając lat dziesięć życia, zająłem stanowisko ucznia przy organiście w Patykach.

Nie utrzymuję, że było mi tam źle; owszem, ile razy popędliwa z natury organiścina wytargała mnie za uszy, tyle razy organista, łagodny człowieczysko, gładził mię po głowie i tak to jakoś szło jedno w drugie i jedno za drugie.

Nauczyłem się czytać, pisać i rachować, trochę po łacinie i liźnąłem cokolwiek wykształcenia muzycznego, które zacząłem być systematycznie, od abecadła, to jest od poruszania miechem i obciera

nia organów z kurzu — potem, stopniowo, poznałem tajemnice kluczków, klawiszów i pedałów, tak, że podczas nieobecności organisty, mogłem go, bez wielkiej krzywdy dla uszów parafian, zastąpić, co zresztą, jak mniemam, potrafiłbym i dziś jeszcze uczynić—i com też uczynił na ślubie panny Wandy, o czym na właściwym miejscu podana będzie szczegółowa relacja.

Kiedym doszedł do czternastu lat życia, w losie moim zaszła duża zmiana.

Proboszczem parafii w Patykach, w której, wedle sił i uzdolnienia mego, Bogu, organiście i ludziom służyłem, był ksiądz Eustachy Maciejowski, kanonik, człowiek napozór surowy, ale w gruncie rzeczy, jak to teraz zwłaszcza ocenić mogę, mąż nieprzebranej dobroci.

To mu tylko do pewnego stopnia mam za złe, że aczkolwiek wiedział, iż moje imię jest Melchior,

nazywał mnie zawsze smykkiem, skurczy pałka, strachem na wróble, zbikiem, a kiedy był w wyjątkowo złym humorze—obwiesiem.

Było mi to nieco przykro, ale z czasem przyzwyczałem się tak dalece, że jak tylko zawołał „smyku!”, przybiegałem natychmiast z pytaniem: co rozkaże?

Otoż jednego dnia zawołał mnie ksiądz kanonik do siebie i rzekł surowo'

— Dość już zbijasz baki, skurczypańko! Trzeba się uczyć. „Disce puer, ego te faciam mości panie.” Wiesz, kto to powiedział?

— Wiem. A z kąd?

— Uczyłem się.

— No, no! To dobrze. Otoż szkoda cię, zbiku, żebyś przy tutejszym dławidudzie zmarniał. Nie nauczy on cię więcej nad to, co sam umie, a sam umie tyle, co i ty. Trzeba iść do szkoły, pójdziesz?

— Pójdę.  
— A cóż tam będziesz jadł, basafyku?  
— Nic wiem.  
— A, chęć do nauki masz?  
— Mam, księżę kanoniku.  
— Otoż widzisz, obwiesiu, masz tu trzy rzeczy: primo, list do księdza prefekta, secundo, list do nauczyciela łaciny, tertio, dwa złote na drogę. Rozumiesz?  
— Rozumiem.  
— Byłeś kiedy w X?  
— Nie byłem, ale trafię.  
— Jest dziewięć mil z ogonem.  
— To nic.  
— Patrzcie go! Otoż dziś spakujesz swoje manatki, organiścina zrobi ci tłomoczek. Jutro po mszy, o siódmej rano, pójdziesz do X. Uważaj dobrze, co ci powiem. Naprzód dróżką po za ogrodem, przez Iaki do figury, potem skręcisz na gościńiec na prawo i będziesz się trzymał gościńca, nie zbaczając, ten gościńiec już cię do

samego X. doprowadzi. A nie leć, jak postrzeleniec, ho się zmęczysz; tylko idź równo, ciągle jednakowo. Koto południa znajdziesz się w lesie, tam będzie karczemka, przy niej studnia. Rozumiesz?

— Rozumiem.  
— Będziesz miał w osobnym węzełku chleb i ser, który ci da kucharka. Lubisz ser, zбіku?  
— I jak!  
— To dobrze. Zatrzymasz się przy tej karczemce; chleb z serem zjesz, wodę w studni będziesz miał wyborną, \_napijesz się i odpocznesz, przynajmniej dwie godziny. Potem pójdziesz dalej gościńcem i będziesz szedł aż do miasteczka, w którym, jak słyzałeś zapewne, jest klasztor ojców bernardynów.  
— Wiem.  
Pójdziesz wprost do klasztoru, u furty zadzwonisz i wyjdzie do ciebie furtyan, brat Achacy. Powiesz mu, kto jesteś i że odemnie

przychodzisz. Już iam wiedzą o tobie, smyku jeden. Dadzą ci kolację i nocleg. Pokłonisz się odemnie ojcu Serafinowi. Pamiętaj.

— Pamiętam.  
— Rano, jak usłyszysz dzwonek, masz wstać, być na jutrzni, a po śniadaniu, który z braci wyprowadzi cię na drogę i pójdziesz już wprost do X., z małemi odpoczynkami. Lekki jesteś i zdrow, powinienes być na miejscu koło godziny trzeciej po południu.  
— Będę, księżę kanoniku.

— To dobrze. Gdy będziesz już w X., zapytaj o księdza prefekta. Ktokolwiek wskaże ci, gdzie on mieszka. Pójdiesz tam, oddasz list i będziesz robił wszystko, co ci prefekt każe. Jak będziesz uczciwy, pilny, posłuszny, wyjdiesz na ludzi—jeżeli nie, zostaniesz prawdziwym obwiesiem. Miej sobie to przedewszystkiem w pamięci, że kto z Bogiem, Bóg z nim, oraz, że jak sobie kto pościele, tak

sic wyśpi... Teraz idź i manatki zbieraj, smyku, a jutro zobaczymy się.

Spadło to na mnie tak niespodzianie, że nie wiedziałem na razie, czy się cieszyć, czy smucić. Radowała mnie myśl o szkole, ale też i starych śmieci żałowałem. Od małego taką miałem naturę, że się przywiązywałem do ludzi. Organista był wcale niezły człowiek, organiścina. kobieta twardej ręki, ale miękkiego serca, dziad Marcin z kośćcami poczciwy, ludzie we wsi przychylni. Nic mówię już o księdzu, dla którego czułem cześć głęboką.

Żał mi było dobrych ludzi, żał stancyjki pod strychem, żał kościoła, w którym było tyle pięknych obrazów, a i organów też żał. Całą noc oka zmrużyć nie mogłem, a gdy nad ranem usnąłem, obudził mnie głos sygnaturki. Stary Marcin na mszę dzwonił. Obląłem głowę zimną wodą, ubrałem się

pospiesznie i pobiegłem do zakrystyi, myśląc, że posłużę do mszy kanonikowi ostatni raz... Ostatni raz!...

Po mszy Św., w zakrystyi, gdy ksiądz zdjął z siebie ornat, skinął, abym się zbliżył. Wziął mnie za ucho delikatnie i rzekł:

— Słuchaj, smyku i pamiętaj całe życie, że praca i uczciwość, to podstawa twojej przyszłości. Starszych słuchaj, ucz się, bądź dobrym. Jak skończysz szkoły, pomyślę, co masz dalej czynić, a teraz w imię Boga idź...

Rzekłszy to, zrobił nademną znak krzyża i pocałował mnie w głowę.

Wówczas stało się we mnie coś dziwnego. Nie zapłakałem, ale ryknąłem głosem wielkim i rzuciłem się do nóg mego dobroczyńcy. Podniósł mnie, ucałował raz jeszcze i popchnął lekko, mówiąc:

— Idź że, idź już, babo!

Sam odwrócił się szybko i poszedł na plebanię.

O dobry, szlachetny, poczciwy księżu! Póki żyć będę, wdzięczność moja dla cię nie wygaśnie. Dałeś mi przyszłości wspomogłeś, pchnąłeś na drogę dobrą, ale to wszystko nic w porównaniu ze skarbem, jaki się mieścił w twojem błogosławieństwie i pocałunku ojcowskim! Zniżyłeś się do mnie, sieroty ubogiego, który nigdy żadnej pieśczozy nie znał! Przycisnąłeś mnie do serca. Od tej pory uczułem w sobie zmianę na lepsze, jakiś świat zupełnie nowy a piękny otworzył się przedemną.

Poznałem w sobie godność ludzką i, jeżeli w mojem późniejszym życiu były jakie dobre uczynki, jeżeli w sercu niem wyrosły i utrwaliły się przekonania i zasady uczciwe, to tylko dzięki temu pocałunkowi zacnego i szlachetnego człowieka.

Szedłem ścieżką po za ogrodem, przez łąkę, ku figurze, dumny, jak król, z piersią przepelnioną uczuciem radości. Łąka mi pachniała, promieniało słońce, a wszystko dokoła było takie piękne, takie jasne i uśmiechnięte, że mi łzy szczęścia wyciskało z oczu.

Rozpisałem się nieco obszerniej o tym momencie, gdyż był on jedynym punktem jasnym w mojem życiu szarem i powszedniem.

Milszych wzruszeń, rozkoszniejszych wrażeń nie miałem.

Raz tylko jeden, niby... ale to do rzeczy nie należy.

Przeszło, minęło i przebolane, przecierpiane, zagrzebałem na samem dnie serca.

Niech tam śpi snem wiekuistym —i śpi ale ów pocałunek, złożony na czole sieroty, pozostał zawsze gwiazdą, która mi do samej śmierci przyświecać będzie.

Juzem cię od tego czasu nie widział, dobrodzieju mój szlachet

ny, już kamienny krzyż na grobowcu twoim mchem obrósł, a ja cię zawsze pamiętam, kocham, czczę i modłę się za twoją duszę przezacną!...

Czy mam pisać dzieje pięcioletniego w szkołach pobytu? I'o co? Dzień za dniem szedt jednakowo, bez urozmaicenia. Oprócz nauczycieli, którzy mnie uczyli języków, matematyki, nauk przyrodzonych, historyi etc, miałem niedostępną guwernantkę, pannę Biedę...

Ludzie unikają jej, a ja powiadam, że to nauczycielka nieoszacowana i, dalibóg, z jej szkoły niezgorsi wychodzą ludzie. Jej to zawdzięczam, że nie wstydzę się żadnej pracy, że nie znam grymasów, że lubię czarny chleb z sola i przepadam za kartoflami, że nie ciągnie mnie żadna zabawa, że szanuję grosz zapracowany i nie marnuję go napróżno.

Jej zawdzięczam, że jestem i panem i służącym, że potrafię sobie

doskonale oczyścić obuwie i ubranie, a nawet i naprawić uszkodzone. Zawsze miałem igłę z nicią w czapce, a szydło i dratwę w kuferku. Jak to się w razie złe przygody przydawało, jak się przydawało!

Kiedym, trzymając się ściśle poleceń kanonika, przybył do X. i oddał list prefektowi, los mój został od razu ustalony—przyjęto mnie do klasy trzeciej i zacząłem chodzić do szkoły. Ciężko było z początku, ale prefekt mówi, że kto ma młode zęby, może i powinien gryźć orzechy. Gryzło się, gryzło i ostatecznie zgryzło klasę trzecią i czwartą.

Przez dwa lata u księdza prefekta mieszkalem i pożywienie mi u niego dawano; na trzeci rok wziął mnie do siebie pan Klepalski, nauczyciel łaciny.

Za uszy on dał zdrowo, ale poczciwy był człowiek.

Ksiądz prefekt powiedział, że takim dużym chłopom jak ja, darmo kaszy nie dają i że trzeba iść na swój chleb; że zaś właśnie profesor Klepalski, trzymając kilkunastu uczniów na stancy, potrzebował dozorcę i korepetytora dla malców z pierwszej i drugiej klasy—więc z tej racji chleb się dla mnie znalazł.

Dostałem ką w uczniowskiej sypialni, stare łóżko drewniane, stolik zamykany na klucz i objąłem zaraz obowiązki.

Przygotowywałem malców do lekcji, towarzyszyłem im na spacer, pilnowałem, żeby się uczyli i nie zbijali bąków.

— Od szóstej rano— mówił pan Klepalski—do dziewiątej wieczorem masz tych smarkaczów nieodstępnie pilnować, za wyłączeniem godzin szkolnych; od szóstej do dziewiątej; a po za tem resztą czasu możesz dysponować, jak ci się podoba.

Korzystałem z tej wolności. Zimową porą uczyłem się swoich lekcji do godziny dwunastej, a do szóstej rano spałem; latem zaś, dla oszczędności świecy, kładłem się spać o dziewiątej wieczór, a robiłem lekcje od trzeciej rano do szóstej.

Za zajmowanie się malcami i za

korepetycyę, dostawałem, jako się rzekło wyżej, ką umeblowany i zimową porą ogrzewany, jadło wraz z uczniami, cztery razy dziennie, a oprócz tego miałem opierunek i w gotówce, na garderobę, ośmnaście złotych miesięcznie.

Nie mogę powiedzieć, że mi było źle, tem więcej, że miało się i uboczne dochodziki; za pisanie ćwiczeń, robienie zadań i tym podobne przysługi, jakich zwykle zamożni chłopcy potrzebują od ubogich kolegów.

Kie taję, że i pewien fundusik mi się wiązał, niewielki wprawdzie,



aleć zawsze taki, że po skończeniu szkół, miałem za co sprawić sobie cywilne odzienie i jeszcze co nieco w kieszeni pozostało.

A kiedym owe szkoły skończy!, kiedym patent dosta! i kiedy pan Klepalski mi powiedział, że świat stoi przedemną otworem, to doprawdy zrobiło mi sic tak jakoś głupio i tak pusto, żem się o malo nie rozplakał ze strachu.

Nic colam wyrażenia—ze strachu.

Nie przeczę, że świat otworem przedemną stał, ale doprawdy zanadto otworem. Jabym wolał był jedne furteczkę maleńką, jedne ścieżynkę, po której przeszedłbym sobie powoli i spokojnie, a tu wrota otwarte na wszystkie cztery strony—idź, dokąd chcesz i wybieraj co chcesz.

Inni to lubią, ja nie.

Gdyby żył ksiądz Maciejowski, udałbym się do niego; onby mi rady nie poskapił, onby krokami moimi pokierował—ale niestety,

już tego nieoszacowanego tego prawie świętego człowieka, na świecie nie było.

Zadumany, zakłopotany, poszedłem za miasto, myśląc, że może na świeżem powietrzu, z tchnieniem wiatru, jaka myśl do głowy napłynie.

Szedłem przed siebie, aż nagle usłyszałem za sobą wybuchy śmiechu; zgromadka wesołych kolegów doganiała mnie, wołając:

— Melchior, Melchior!

Rozdział trzeci, z którego widać, że w braku rady poważnej, przyda się i rada pustaków.

— Melchior!

— Słucham.

— I coż ty myślisz?

— Nic.

— Ha, ha, ha! Jeżeli po to chodziłeś tyle lat do szkół, to poproś dyrektora i belfrów, żeby ci zwrócili pieniądze i wynagrodzili za czas stracony.

— Niby z jakiej racji?

— Paradny jesteś! Z takiej racji, że myśleć nie umiesz.

— Przepraszam, umiem.

— A nie myślisz.

To co innego. Nie myślę, bo nie wiem, o czym mam myśleć i z którego końca zaczynać. Dali

mi patent i powiedzieli, że świat dla mnie otwarty. I cóż ztąd, że otwarty, kiedy ja nie wiem, dokąd iść.

— A jednak poszedłeś za roгатki.

— To tylko na przechadzkę. I wy zapewne nie W innym celu.

— Naturalnie; wyprawimy sobie wspaniałą czerwcówkę i podwieczerek na Rozdrożu... Spodziewam się, że i ty z nami?

— Nie wiem, czy wypada.

— Oszalałeś! Co nie wypada nam, dorosłym ludziom, mężom dojrzałym, ostemplowanym, opatentowanym? Czy się tobie zdaje, że przyjdzie Klepalski wytargać cię za uszy, albo że stary Rosenmiller powie: Oach, aoch! Pfuj! My wyszliśmy już z tych pieluszek, jesteśmy ludzie. Czujże w sobie tę swobodę, mólu zasuszony w najbrzydliwszej edycji Tacyta. Otrząśnij się!

I porwali mnie, jak wiatr porywa drobny listek i unieśli z sobą, jak wzburzona fala unosi lichy wiórek i śmieli się przytem tak, jak tylko śmiać się może dziesięciu ośmnastoletnich chłopaków.

Ja dałem im się unieść, dałem porwać, śmiałem się wraz z nimi i śpiewałem „Gaudeamus”, chociaż z czegoż było się cieszyć nadzwyczajnie? Jedliśmy, piliśmy, paliliśmy papierosy, aż do zawrotu głowy, Kiedy już nacieszyliśmy się swobodą, kiedy z głów wyszumtało i wietrzyk wieczorny je orzeźwił, zaczęła się rozmowa o przyszłości.

— No, i CÓŻ ty zamierzasz zrobić z sobą nadal?—zapytał mnie kolega, najstarszy z nas wiekiem, niejaki Tomasz T, syn włościanina z pod X.

— Otoż to, że nic wiem—odrzekłem. — Myślałem, zastanawiałem się i nie mam pojęcia, w którą stronę się obrócić.

— Ciężki jesteś do namysłu, inni bo postanowili już. Dziewięciu z nas do uniwersytetu idzie. Jaś, Wicek, Szymon, Karol i ja na medycynę, czterej zaś na wydział prawny. Będziemy lekarzami, oni adwokatami i dobrze. Jedź i ty z nami.

— Jeżeli mi tak radzisz, to pojedę.

— Na medycynę?

— To mnie, co prawda, nie neci.

— Więc wal na prawo!

— Zobaczę, namyślę się. Kiedyż się zjeżdżamy?

— Naturalnie, po wakacjach; gdzież ty czas wakacyjny przepędzisz?

— Jeszcze nie wiem.

— To ja ci poradzę. Szymon podjął się przygotować dwóch chłopaków do szkół, tu w X., ale że mu się trafia lepsza kondycja na wsi, więc radby pierwszą komuś odstąpić. Bierz, zarobisz sobie

na podróż i na opędzenie pierwszych dni w Kijowie.

Musiałem przyznać, że rada jest słuszna i na drugi dzień objąłem obowiązki w domu dość zamożnych ludzi. Dano mi osobny pokój na górze, tytułowano już „panem”.

Wziąłem się do bębnow gorliwie i, sumiennie to mogę powiedzieć, że czasu nie traciłem darmo. Wakacje przeszły szybko, zapłacono mi należność i razem z Tomaszem pojechaliśmy w świat. Ma się rozumieć, że przed odjazdem pożegnałem wszystkich nauczycieli, a w szczególności księdza prefekta i pana Nepalskiego.

Ten ostatni rzekł do mnie w chwili rozstania:

— To miej zawsze na pamięci, że „kto umie po łacinie, w świecie nie zginie”. Bardzo piękne zdanie! Umiejętność tego języka, jak się przekonałem później, daje człowiekowi możliwość powtarzania

reguł gramatycznych i wyjątków aż do śmierci, co przynosi umiarkowane zyski materialne i pewna suma przyjemności moralnych.

Ostatecznie, po dojrzałym namyśle, zapisałem się na wydział filologiczny...

Opuszczam kilka rozdziałów pamiętnika, gdyż są one bardzo długie i więcej poświęcone filologii aniżeli osobie naszego bohatera. Postaram się opowiedzieć treściwie główne szczegóły.

Uczęszczając na kursa przez lat cztery, nieboszczyk czwarty utrzymywał się z lekcji i przepisywania kursów.

Przynosiło mu to tyle dochodu, że nie umarł z głodu wspomina jednak kilkakrotnie w pamiętniku, że monety było

bardzo obrzednio i że kiedy czytał o ucztach Lukullusa, to pomimowoli przychodziły mu na myśl obiady u profesora Klepalskiego, kluski z kartofli u organiściny i ów przepyszny ser, który

jadł onego czasu, podczas odpoczynku na drodze z Patyków do X., gdzie była karczemka w lesie i taka znakomita woda w studni przy karczemce....

Każdy człowiek ma jakieś wspomnienia rozkoszne.

Skończywszy uniwersytet, dowiedział się znowu, że ma przed sobą świat otwarty i że może iść, dokąd mu się tylko podoba.

Podobało mu się wrócić na swoje stare śmiecie—i wrócił, w tem mniemaniu, że jako człowiek z kwalifikacją, powołany zostanie do jakichś obowiązków. Tymczasem nie powoływał go nikt, a natomiast trafiały się różne obowiązki chwilowe. Korepetycja, zastępstwo, wyręczanie kogoś, i na tych czynnościach chwilowych, na takim zabijaniu czasu, w pracy za drugich i dla drugich, zeszło mu lat kilka.

Oburzał się na niego Klepalski, gniewał, na świat gwałtem prawie wypychał.

Bądźże już raz czemś... bądź nareszcie samodzielnym, nie zaś wiecznym wyręczycielem i zastępcą.. Łatwo to mówić! Dziwna rzecz, mówił nieraz w duchu nieboszczyk czwarty, taki Klepalski, łacinnik doskonały i człowiek doświadczony, nie wie

O tem, że wszystko zależy od szczęścia. Jedni ludzie je mają, jednym wszystko samo idzie do ręki, drugim wcale nie idzie.

I tego Klepalski zdaje się nie wiedzieć, że muru głową przebić nie można i że wreszcie, kto ma jakie takie utrzymanie, ten nie powinien narzekać, gdyż są nieszczęśliwi, którzy wcale utrzymania nie mają i nie potrafią przytem odróżnić strony czynnej od biernej.

Pomimo oporu ze strony nieboszczyka czwartego, Klepalski tyle dokazał, że go nareszcie wypchnął do Warszawy i wymógł na nim słowo, że nie ustanie

W zabiegach, dopóki sobie stanowiska odpowiedniego nie znajdzie.

Pojechał tedy pan Melchior i przekonał się, że są trzy gatunki posad na świecie, a mianowicie: takie które nic wakują, takie, które wakowały, ale tylko zostały obsadzone i wreszcie posady wakujące, o które ubiega się kilkudziesięciu kandydatów jednocześnie.

Kilkudziesięciu! Jest to, bądź co bądź tłok, a pan Melchior w tłoku przepychać się nie umiał, był to bowiem człowiek delikatny i ustępował z drogi każdemu.

Pragnąc atoli dogodzić Klepalskiemu, załatwił formalności i został nauczycielem prywatnym. Nie znaczy to, żeby już objął posadę nauczyciela prywatnego w jakiej szkole, ale posiadał na to wszelkie kwalifikacje. Mogł mieć bilety wizytowe i tabliczkę na drzwiach mieszkania, ozdobioną tym tytu

lem i zapisywano mu ten tytuł W księgach meldunkowych.

to ma swoje znaczenie i to jest do pewnego stopnia pociechą, gdyż są ludzie, którzy żadnych tytułów nie posiadają, Byłby nieboszczyk czwarty dostał napewno posadę nauczyciela w jakiej szkole prywatnej, ale nie miał nikogo, ktoby za nim przemówił, a że sam za sobą mówić nie umiał, przeto go posady mijały.

Nie powiem, żeby mnie to bardzo dotykało—pisze w swoim pamiętniku—i w ogóle, żeby mnie tego rodzaju niepowodzenie bolało. Przyzwyczajony mieć zawsze do czynienia z jednym lub z dwoma uczniami, może bym sobie nie dal rady z klasą. istotnie, zdarzało mi się kilka razy być zaproszonym na zastępstwo nauczyciela historii powszechnej, na pensyi żeńskiej i zawsze w takich wypadkach, wchodząc do klasy, czułem się do pewnego stopnia żenowany i mu

siałem dobrze skupiać myśli, żeby prowadzić wykład, jak należy.

Tyle par oczu wytrzeszczonych, tyle szeptów i uśmiechów, o ile można mniemać, złośliwych i skierowanych „ad personam”, wreszcie owa sztywna dama klasowa, którą porównywałem w myśli do marynowanej Minerwy, wszystko to powiadam, sprawiało mi dystrakcję.

Ostatecznie bez chleba nieboszczyk czwarty nie był; lekcye w domach prywatnych, korepetycye, dawały mu tyle, że opędział skromne swoje potrzeby, puszczał się nawet, jak pisze, na zbytki. Zawiązał znajomości, miał swoją partyjkę preferansa, kilka razy tygodniowo grywał w szachy w cukierni, a raz na miesiąc rozkoszował się dźwiękami opery, lub podziwiał piękności utworów dramatycznych z wyżyn paradyżu.

Lata schodziły, niewiadomo kiedy—pan Melchior przygarbił się

nieco, posiwił, oczom musiał dać okulary i zaczął zażywać tabakę, co, wedle zdania osób kompetentnych, działa. W sposób odświeżający na umysł.

Za tabaką przysłała czerwona chustka kraciasta, nieco abnegacyi W sposobie ubierania się—i powoli zacny Melchior przybrał wszystkie specjalne cechy typu.

Jest w pamiętniku rozdział jeden o sercowych cierpieniach. Dotyczy on tego momentu życia, w którym nieboszczyk czwarty tabaki jeszcze nie zażywał i okularów nie nosił.

Był to rodzaj sielanki, pełnej prostoty i wdzięku, lecz powtórzyć go nie mogę, a to wskutek wyraźnego żądania pana Melchiora, który nie chciał wzbogacić świata jednym dowodem więcej, że charakter kobiecy jest przewrotny, uczucia niestałe, a zmienność do najwyższego stopnia rozwinięta.

Mamże naruszyć woję zacnego pedagoga? Nie uczynię tego za nic w świecie. Płochą wietrznicą nie doczeka się rozgłosu, a zasłużoną karę za zranienie kochającego serca znajdzie we własnym sumieniu, które oby ją od czasu do czasu kolnęł.

Powtarzam dosłownie tekst przekleństwa, jakie rozżalony filolog rzucił na piękną, młodą, a już przecież tak przewrotną, głowę zdrajczyni.

Zapewne straszny ten piorun zsunął się po przyprawnym warkoczcu wiarolomnej i nie zdruzgotał jej na miejscu.

Rozdział czwarty, w którym wspomniany jest poważny myśliciel, b. p. Tobiasz Tupet i opisana przygoda, jaka się rzadko filologowi trafić może.

Powracamy znowu do pamiętnika.

„Był u pisarzy starożytnych piękny i godzien uznania obyczaj, że dzieła swe rozpoczynali od inwokacyi. zwróconej, bądź to do Muzy, bądź do którego z bogów Olimpu, bądź wreszcie do osoby, wybitnie zajmującej stanowisko.

Ja się tego zwyczaju nie trzymałem: raz, że wydało mi się rzeczą mniej przystojną pospolite dzieje zwykłego śmiertelnika ubierać w formę klasyczną, a powtóre, że nie władając dość biegle wiązaną mową bogów, nie miałem

odwagi puścić się na poezji flukta robujale. Niniejszego atoli rozdziału bez apostrofy pozostawić nic moge, a choć uczynię ją w zwykłej, niekunsztownej formie, jednak dogodzę potrzebie serca, które się gwałtem o tę inwokację dopomina.

O! Tobiaszu Tupecie, który po długim i pełnym rozmyślań żywocie odszedłeś w krainę cieniów!

Tobiaszu! mężu skromny i za szerokim nie goniący rozgłosem, jakże żałuję, że nie doczekałeś rozwiązania zagadki, która nas obu w swoim czasie zajmowała

była nieraz przedmiotem naszych myśli. Czy pamiętasz, o cieniu wspaniały! jak nieraz, skończywszy partycję szachów, zastanawialiśmy się nad pytaniem: „Co ją do tego skłoniło?—i wówczas to inteligencji twoja, o Tobiaszu! i umysł mój własny znajdowały się chwilowo na jednym poziomie Tyś nic nie wiedział, i ja nie wie

działem, tyś nie mógł się domyśleć i ja nie mogłem również i byliśmy obaj, niby tabaka w rogu, a to koleżeństwo ciemności, ta wspólność zajmującej nas zagadki, zamieniła się w węzeł przyjaźni, na nici duchów naszych zadzierzgnięty.

Czy pomnisz, o Tobiaszu! chwile, spędzane pod lipą w ogrodzie, lub przy kominku w oficynie, gdzie skromny zajmował pokój? Przed sobą mieliśmy szachownicę, ale ileż to razy myśli nasze odbiegały od niej i, niby ptaki, unosiły się do wyżyn abstrakcją pławiły w atmosferze niedocieczonych zagadnień?

Jam twoich mistrzów nie znał, o Tobiaszu! tyś o moich nie słyszał nigdy w życiu, a przecież znajdowaliśmy pewne punkta, na których twój i mój schodzili się w jak najlepszej harmonii. A zawsze, Tobiaszu nieodżałowany, kiedyśmy użyli do syta szachów

i gimnastyki umysłowej w eterycznych wyżynach abstrakcji, przesywała nas strzała pytania: „Co jej po tem? —i spadaliśmy obaj na ziemię, na ten padoł płaczu, na pole zbożem dojrzewającym wysrebrzone, na łąki woniejące, na lasy i patrzyliśmy sobie w oczy i pytali: „Co jej po tem”?

I ty nic nie wiedziałeś i ja także—i byliśmy obaj ciemni.

O Tobiaszu Tupecie, przyjacielu mój! dla mnie ta zagadka przestała już być zagadką, ale ciebie zabrał nieubłagany anioł śmierci, wprzód nim się nasza wyjaśniła wątpliwość! Dlaczego też cieniem twoim przypisuję ten rozdział.

Mówiłeś mi niegdyś, że duch ludzki, niby zapalona łójówka szabasowa, wysyła z siebie naokoło promienie... może więc promyk mego ducha, drobniutki i cienki, jak przedza pajęczka, spotka się z ducha twego oślepiającą jas

noscia, zespoli się z nią i W szeregu drgań eterycznych, w nieujętej mowie światła, w owym języku ognistym, o którym mówiliśmy tyle w swoim czasie, wyśpie%va ci odpowiedź na owo męczące pytanie: „Co jej było po temacie? Była godzina dziewiąta rano, dzień piękny, słoneczny, miesiąc sierpień u schyłku.

Siedziałem w swoim mieszkanku, na trzecim piętrze, pod strychem prawie, i piłem herbatę, która stanowi, wraz z dwiema bułkami, mój zwykły posiłek poranny, gdy naraz usłyszałem trzeszczenie schodów i ciężkie kroki.

Tylko hipopotam, lub tapir mógłby podobny efekt ciężkimi stopami wywołać, ale cóżby takie zwierzę gruboskórne mogło mieć za interes do filologa? A przecież do mnie. gdyż schody wyłącznie do mojej prowadziły izdebki.

Jakoż do mnie.

Otworzył drzwi nagle i wszedł, schyliwszy się w nich, mężczyzna wzrostu ogromnego, o karku bawolim, ogorzały na twarzy, z wąsami, jak pęk konopi. Wszedł i odrazu, głosem, któryby umarłego mógł przebudzić, ryknął:

— Czy zastaję pana Melchiora Kurkiewicza”:

Dałem mu do zrozumienia, że w samej rzeczy ja noszę to nazwisko i przeprosiłem go za mój strój negligowy. O tej bowiem godzinie używałem zazwyczaj szlafroka, co mi, ze względu na moje lata i zdrowie, niezbyt osobliwe, wybaczonem być winno.

— Ja tam nie jestem panna — odrzekł opryskliwie.

Nie mogłem znaleźć nic do nadmienienia przeciwko tej uwadze i zapytałem, z kim mam honor?

— A to, panie kochany, honor honorem, a interes interesem. Jeżeli panu o to chodzi, to ja się nazywam Biernacki, na imię mi

Michał, jestem rządcą z Woli, od pana sędziego Kwiecińskiego i, niech mnie wściekle psy zjedzą na śniadanie, jeżeli kiedy widział takie podłe schody, jak te, które do pańskiej ciupy prowadzą.



Przykro mnie to dotknęło, albowiem mieszkanie moje ciupą nie jest bynajmniej, a są ludzie, którzy mieszkają w gorszych.

— Czemże służyć moge? — zapytałem.

— Przychodzę w interesie. Wszak to pan afiszowałeś się w „Kuryerze”?

— Ja się afiszowałem? Co pan mówi?

— Toż stoi wydrukowane: Pedagog oto, doświadczony... oto, jak byk, panie dobrodzieju!

— O, panie, co innego jest afiszować się, a co innego ogłaszać, że się daje lekcye.

— E! kochany profesorze, to głupstwo! Jak zwał, tak zwał, aby co dat. Krótko i węzłowato!

Mój dziedzic wyczytał ten afisz, czy, jak się panu podoba, ogłoszenie i polecił mi nie wprost, ale boczkim, stronami, przewąchać, co z pana za ptak?

— Przewąchać? Com za ptak?

— A cóż pan chcesz, przecież trudno brać do domu czowieka,

którym się nic nie wie. Może być jaki kryminalista, bo, proszę pana, czy to teraz mało różnego łajdactwa na świecie? Więc przewąchałem i dowiedziałem się, że jest z pana facet uczciwy. Obecnie przychodzę w imieniu dziedzica, który sam przyjechać nie może. bo mu artretyzm piekielnie w nodze dokucza, przychodzę tedy, aby panu zaproponować posadę...

— Na wsi?

— A cóż to pana ma przerażać? Na wsi też ludzie mieszkają

po równej ziemi chodzą, nie po takich schodach łajdackich, jak pańskie. Otóż, krótko mówiąc, bez

żadnych ceregielów, prosto z mostu: trzydzieści rubli na miesiąc, pokój z opatem i usługą W oficynie, stót we dworze i wszystkiego po same uszy. Życzę brać. Będziesz pan miał dobrze, co się nazywa. Dziedzic nudziarz, bo nudziarz, ale niezgorszy człowiek; ona zacności kobieta, dom zamożny i wszystko pana dojdzie w swoim czasie, a jakbyś się pan chciał ożenić, to przrzucim pana na ordynaryę i damy morgę gruntu pod kartofle, że choćbyś pan miał dwadzieścia i czworo dzieci, to wszystkiego nie zjesz i jeszcze ze dwa wieprzki upasiesz co roku.

Ewentualność pobierania owej ordynaryi i wypasania wieprzków wydała mi się dość dziwna i nieprawdopodobna.

Zachowałem tę uwagę przy sobie i zapytałem:

— I cóż mam za to robić?

— A no, cóż nauczyciel robi? Będziesz pan uczył.

— Czego mianowicie?  
— Podobno tylko łaciny.  
— Specjalnie?  
— Dyabli wiedzą; dziedzic nic nie mówił, ale zdaie się, że specjalnie.  
— W jakim wieku chłopczyk?  
— Któż panu powiedział, że chłopczyk?  
— Domyślam się.  
— A toś pan trafił, jak kulą w plot! Właśnie, że dziewczyna.  
— W jakim wieku?  
— Czekajże pan... Jak ja nastąłem do Woli, miała blisko dwa lata i łąziła po trawie, jak robak. Ja jestem tam szesnaście, właśnie się na święty Jan skończyło — więc podług prostego rachunku, ma pannica teraz pod ośmnaście... Przyszła mi do głowy myśl przerażająca, czy czasem ten mniemany rządca nie jest szaleńcem. Wobec jego wzrostu i postaci niedźwiedziej, tudzież wobec mo

jej szczupłej kompleksyi, byłaby to sytuacja zaiste niebezpieczna.

Zdobyłem się na odwagę i zapytałem nieśmiało:

— Czy też pan dobrodziej nie mieszkał kiedy w Warszawie, przy ulicy Bonifraterskiej?

Usłyszawszy to pytanie, gość mój wybuchnął szalonym śmiechem. Tupał nogami, uderzał się rękoma po bokach, a policzki jego, usta, broda, nos, czoło wszystko to ruszało się współcześnie. Jak żyję, nie widziałem wybuchu takiej niepohamowanej wesołości i wróżyłem sobie, że nic z niej dla mnie dobrego wyniknąć nie może.

Naśmiawszy się do woli, olbrzym, z wielką poufałością, jakbyśmy się znali oddawna, położył mi ogromne swe ręce na ramionach i rzekł:

— A niechże pana kule biją! Tom się uśmieł serdecznie! Pan mnie brałeś za dezertera od

Bonifratrów i zbladłeś, jak kreda, ze strachu. No, uspokój się, dalibóg, przy zdrowych zmysłach je stem i nie zjem pana. Kończmy interes i chodźmy na flaki, bom taki głodny, żebym konia z ko pytami pożarł. No, drogi panie, po co tu się namyślać? Pewnie się u pana nie przelewa, a miejsce doskonałe. Brać i Bogu dziękować, że chleb daje.

— W każdym razie, ja się bardzo dziwię...

- Czemu?
- Żeby taka panienska... Co jej po tem? Chyba może na medycynę chce iść.
- Ja nie wiem. Chce, to chce, może tak sobie, dla fantazyi.
- Dla fantazyi, toby było szczególne.
- Panie! co pan za gadanie opowiada? Jedyńaczka, pięćdziesiąt włók takiej ziemi, że sadź cebulę od skiby do skiby, las, jak drut, łąki nadrzeczne, z których siano

panna w tyfusieby jeść mogła, jezioro, inwentarz, budynki, a podobno stary i kapitalik ma... Jeżeli tedy taka nie może mieć fantazyi, to kto, u dyabła, mieć je będzie?... Chce się uczyć łacin, niech się uczy. No, nie?...

- Zapewne.
- No, więc dawaj pan rękę i zgoda!... Oto pieniądze na koszta podróży, na kupno książek potrzebnych i zarazem zadatek dla pana. W preferansa pan grywasz, ma się rozumieć.
- Grywam niekiedy.
- I zapewne dobrze!
- Tak sobie... to zależy... Jak karta idzie, to się co nieco wygra, jak nie idzie, to się cokolwiek przegra.
- Skromny z pana człowiek i nie lubiący się chwalić, a ja właśnie słyszałem od kilku ludzi, że pan grasz, jak z nut.

Próbowałem protestować, gdyż bynajmniej za dobrego gracza się nie mam, ale rządca mówić nic dał, wcisnął zadatek do ręki i zapowiedział, że za tydzień przyjedzie po mnie na stację kolei.

Nigdy jeszcze w życiu mojem nie zdobyłem się na tak szybką decyzję.

— A teraz — zawołał wesoło — ściągaj pan z siebie ten zatabaczony szlafrok i jazda na flaki!

Zauważyłem w duchu, że styl pana rządcy, aczkolwiek zaprzeczyć nie moge, że jasny i dosadny, nie był wykwintny, co do flaków zaś, ośmieliłem się zrobić uwagę, że dopiero dziesiąta.

— A to właśnie sam czas! — odrzekł — o suchej gębie do domu nie pojedę, a choć się na każdej stacyi coś przetrąci i, choć mi żona do torby trochę prowiantu na drogę włożyła, jednak porządnie jeść będę dopiero koło północy.

Widzisz pan tedy, że muszę założyć jakiś lekki gruncik, to bardzo głodnym być nie lubię. Założył też!  
Ja patrzyłem i podziwiałem. Zjadł, jedna po drugiej, trzy porce flaków, do tego ośm bulek, następnie całą porcję befsztyku z kartoflami i na zakończenie ze ćwierć funta sera z kminkiem, zakropił to kilkoma butelkami piwa i wyraził się hypotetycznie, że do pierwszej stacji kolejowej z głodu prawdopodobnie nie umrze.  
Co do mnie, obawiałem się, żeby nie umarł z przesylenia.  
Później, gdy objąwszy już obowiązek, mieszkałem na wsi i poznałem normalny tryb życia tego człowieka, przyszedłem do przekonania, że apetyt jego nie ma bynajmniej charakteru zjawiskowego, lecz jest do pewnego stopnia normalny. Uporządkowałem swoje interesa, załatwiłem sprawunki i w tydzień

po wizycie pana rządcy wsiadłem do wagonu.  
Co mnie czeka na wsi? Jaka będzie ta nowa życia mego faza?

Rozdział piąty, o tem, jak uczennica przywitała swego mistrza I jak mistrz tłumaczył uczennicy, że, ani supinum niejest burnusem, ani gerundium rotundą.  
Ponieważ wyjechałem z Warszawy pociągiem nocnym, więc przybyłem na stację, wskazaną mi w marszrucie przez Biernackiego, o godzinie dziewiątej rano; szczęśliwie i bez żadnego wypadku.  
Rządca oczekiwał na mnie. Gdy pociąg wchodził na stację, ujrzałem, jak stał na peronie. Było to bardzo grzecznie z jego strony i uprzejmości tej nie zapomnę mu nigdy—gdyż sam jeden w obcym miejscu możebym sobie nie poradził.

Przywitał mnie kordyalnie, z pewną poufałością, jak dawnego znajomego i odrazu zaprosił do bufetu, żeby, jak mówi!, „wstawić” coś gorącego.

Sądziłem, że się ta alegorya odnosi do herbaty, ale gdzież tam! Uprzejmy mój amfitryon zawczasu kazał przysposobić dwie porcje kotletów, które nie bez apetytu spożyłem, dziwiąc się, że człowiek może jadać tak rano.

Trzy konie porwały leciutką bryczkę i pociągnęły ją pędem wielkim po gościńcu. O godzinie dwunastej, w samo południe, stanęliśmy przed dworem.

W drodze jeszcze uprzedzony byłem przez mego towarzysze, ja chlebobdawca, a raczej pracodawca mój, niegdys w swoim życiu coś sądził, i że z tej racyi, wszyscy tytułują go sędzią, co też i mnie czynić wypada; że, co jest konsekwencya, wynikającą z powyższego, żonę sędziego należy tytu-

łować sędzią; a panienka zaś nosi imię Wandy.

Dowiedziałem się również, że państwo sędziostwo wyjechali i z powrotem spodziewani są dopiero koło wieczora i że, na skutek tego, przedstawiony będę najpierwej mojej uczennicy, co się też stało.

Zaprowadzony byłem do małego saloniku, o dużym oknie weneckim; pełno tam było kwiatów i światła, ślicznej słonecznej jasności.

W takim oświetleniu przepyszmem i na tle dekoracyi z naturalnej zieleni, ujrzałem dziewicę, którą obowiązany byłem zapoznać z Cezarem, Tacytem i Wirgilim, co zaraz od pierwszego spojrzenia wydało mi się nieco trudnem.

Gdym wszedł, podniosła się z krzesła i stanęła wyprostowana, wysmukła, jak trzcina, aczkolwiek pod względem wiotkości nie śmiałybym jej do trzciny porównywać

Spójrzała na mnie bystro modremi, pełnymi inteligencyi oczami, niby badając mnie. Trwało to sekundę. Potem po twarzy jej przebiegi cały szereg drgnień delikatnych, prawie że niepochwytnych dla oka — i z nich utworzył się uśmiech bardzo przyjazny i pełen życzliwości.

Podąła mi rękę i rzekła;

— Mam nadzieję, panie, że będziemy przyjaciółmi.

Wiem, że damom mówi się komplementa. skłoniłem więc głowę i rzekłem:

— Sługą pani już jestem.

— A panie, cóż znowu? Nauczyciel powinien być przyjacielem i doradcą, ale nie stugą. Gdy staniemy odrazu na tym gruncie, stosunek nasz dalszy ułoży się jak najlepiej. Rodziców moich nie ma w domu, wyjechali, ale dziś powrócą. Korzystam z ich nieobecności i pomówię z panem w cztery oczy. Ojczulek mój zwykle mawia,

że „clara pacta”... Czy dobrze powtórzyłam, panie?

— Doskonale.

— Otoż, jak panu wiadomo, ja się chcę uczyć po łacinie, a pan byłeś tak łaskaw, żeś się podjął być moim nauczycielem.

— Jeżeli zapytać wolno, jaki jest cel tej nauki?

— Do czasu pozostanie to moją wyłącznie tajemnicą.

Szanuję cudze tajemnice, łaskawa pani, ale nie pytałem dla próżnej ciekawości; znając cel, do jakiego pani dąży, zastosowałbym do niego program wykładu.

— Podobno wszystkie drogi prowadzą do Rzymu.

— Do Rzymu zapewne; ale do medycyny inna, do filologii inna.

— Ach Boże! Jakże ja się panu wytłómaczę? Na lekarza kształcić się nie chcę, biskupem zostać nie mogę; niech więc stanie na tem, że pragnę się uczyć jako amatorka, dla własnej przyjemności.

—

— I jak daleko zająć pani w tej nauce zamierza?

— Jak najdalej.

— To bardzo daleko.

— A ileż czasu, pragnie pani jej poświęcić?

— Czy na dzień?

— Nie, w ogóle.

— Bez ograniczenia, rok, dwa, trzy, pięć. To zależy. Nikt nas nie goni... Przez dwie godziny dziennie będę pańską pilną uczennicą, reszta czasu należy do pana. A propos... zapewne pan grywa w preferansa?

Zdziwiło mnie to pytanie. Czyżby ta łacinniczka „in spe” grywała także w karty? A może i tabakę zażywa?

— Grywam — odrzekłem — ale dlaczego pani o to pyta?

— Bo na wsi ta umiejętność jest prawie niezbędna.

— Więc i pani grywa?

— Nie; mówię, że jest niezbędna dla panów; ale wracajmy do

rzeczy. Lekcja będzie od dziesiątej do dwunastej. Zastanie mnie pan codziennie w tym pokoju. A może te godziny wolałby pan mieć dla siebie?

— A pani! cóż znowu? Kiedyż zaczniemy?  
— Choćby zaraz. Ja panu zadawać będę pytania. Czy w samej rzeczy jest to język tak trudny jak mówią?  
— Nie; jeżeli kto nie żałuje pracy, to mu idzie...  
— A czy taki piękny, jak mówią.  
— Ja nic piękniejszego nie znam.  
Uśmiechnęła się trochę ironicznie.  
— To pan chyba wielu rzeczy nie zna. A widział pan też kiedy las? gwiazdziste niebo? burzę? Słyszał pan śpiew słowika, szum wody? Czytał pan naszych poetów?  
— Widziałem, słyszałem i czytałem.  
— I cóż?

— Nie widzę dobrej racji do porównań—odrzekłem — tamto co innego, łacina co innego. Tamto piękne w swoim rodzaju, to w swoim. Gdy się pani uczyć zacznie, a przypuszczam, że z zamiłowaniem, gdy pani bliżej pozna mowę starożytnych Rzymian, przyzna mi pani słusność.  
— Chciałabym jak najprędzej.  
— Będziemy szli systematycznie, po szczebelkach, od najniższego ciągle do wyższych. Zaczniemy od abecadła, potem pójdą deklinacje, zaimki, liczebniki, następnie konjugacje, gerundium, supinum...  
— Co pan powiedział?  
— Gerundium i supinum.  
— Cóż to jest?  
— Dowie się pani z czasem.  
— Ja sądziłem, że to rodzaj zwierchniego okrycia, jakaś peleryna, lub rotunda.  
— Nie, łaskawa pani, nie peleryna to, ani rotunda; po półroczu lub po trzech kwartałach wytrwa

lej nauki dojdziemy do gerundium.

Uśmiechnęła się zagadkowo, a było w jej uśmiechu coś, co mi się niepodobało, jakaś złośliwość... może szyderstwo przelotne. Z czegoż ona szydzi? Czy z łaciny, czy ze mnie? Jeżeli z łaciny, to sama się na śmieszność naraża: jeżeli ze mnie, to... to ustąpię z tego miejsca. W każdym razie postanowiłem mieć się na baczności. Z chłopcem, wreszcie nawet z dwoma, z trzema, dałbym sobie rady, na maią dziewczynkę próbowałbym wpływać za pomocą łagodnej perswazyi, ale z taką panną!..  
— Jeździ pan konno?— zapytała nagle.  
— Jak żyję, nie siedziałem na grzbiecie tego użytecznego, ale zarazem i niebezpiecznego zwierzęcia.  
— To szkoda, ale mam nadzieję że się pan nauczy.  
— Ja? A w jakimżeby celu?

— Choćby dla naszego towarzystwa. Nie będzie pan chyba zamykał się w swoim pokoju, jak odludek, ale zechce przyjmować udział w naszych wycieczkach i rozrywkach. Zapewne wiośtuje pan dobrze?

— Bynajmniej. Ze wstydem przyznaję, że i w sztuce nawigacyi biegły nie jestem. Uczyłem się i uczyłem innych wyłącznie na łądzie.

— To będziemy zabierali pana jako balast, to jest, przepraszamrzekła zarumieniona — źle się wyraziłam, jako towarzysza.

Skłoniłem głowę w milczeniu, nie dając poznać, że porównanie do balastu sprawiło mi niejaką przykrość. Panna indagowała dalej.

— A grywasz pan w wolanta, w krokieta

— Pojęcia o tem nie mam.

— Więc w cóż pan grywasz?

— W szachy, łaskawa pani, i to, pochlebiam sobie, niezłe;

nadto W karty, w niedrogie gry komersowe.

— Grywa pan w szachy, to bardzo dobrze; jest ktoś, co się z tego ucieszy.

— Amator?

— Zapalony i podobno gracz dobry; nasi panowie nie chcą z nim zasiadać do szachownicy, uważają go albowiem za zbyt silnego przeciwnika.

— Któż jest ten pan?

— Nazywa się Tobiasz Tupet.

— Pierwszy raz słyszę podobne nazwisko i przypuszczam, że człowiek, który je nosi, jest pochodzenia cudzoziemskiego.

— Jest to żyd, zobaczy go pan zapewne niedługo, gdyż sądzę, że nieomieszka przedstawić się panu.

Rozmawialiśmy jeszcze z kwadrans o rozmaitych przedmiotach, o zabawach, o łacinie, o Tobiaszu; wreszcie pożegnałem moją uczennicę i poszedłem do oficyny, ażeby w nowem mojem mieszka



niu uporządkować książki i drobne ruchomości i zaprowadzić w niem ład, do jakiego zawsze byłem przyzwyczajony. Czynność ta zabrała mi kilka godzin czasu. Gdym ją skończył, poproszono mnie do dworu. Sędzia, był to mężczyzna, co się nazywa okazały, wysokiego wzrostu, dobrej tuszy. Siwy już, miał poważny wyraz twarzy i długie, zawiesziste wąsy. Pani sędzina, szczupła i niewysoka, miała powierzchowność bardzo sympatyczną, a na twarzy jej malował się wyraz wielkiej dobroci. Przyjęli mnie nietylko grzecznie, ale przyjaźnie i przyznają, że to odrazu ujęło mnie za serce. Wieczorem przyszedł proboszcz i przyjechał pan Dukszner, cichy jakiś człowieczyna i bardzo mało mówiący. Jak się dowiedziałem później, był to bliski sąsiad pana sędziego i prawie codzienny gość. Miał on mająteczek o dwie wior

sty ztamtąd, ale sam nie zajmował się już gospodarstwem. Prowadził je zięć, sam zaś pan Dukszner dał sobie, jak mówił, emeryturę, to jest czytywał gazety i codziennie prawie stawał się na partyjkę u sędziego. Gdy się już wszyscy zebrali, sędzia powiedział, że szkoda czasu, który, według angielskiego przysłowia, wart jest tyle, co pieniądze. Szanując mądrość angielskiego narodu, zasiedliśmy bezzwłocznie do stolika. Ma się rozumieć, zrobiłem z góry zastrzeżenie, że drogo nie grywam i grywać nie mogę. Moi partnerzy przyjęli je wybuchem śmiechu. — A dobrodzieju, słusznie czynisz — rzekł ksiądz — że się drogiej gry obawiasz, ale trafiłeś właśnie na ludzi, którzy drogich gier nie cierpią. Jeżeli gramy, to nie dlatego, aby się zgrywać nawza

jem, lecz aby przyjemnie czas przepędzić. Potwierdził to sędzia i pan Dukszner i tak oto utworzyła się partyjka, wcale dobrze dobrana. Żadnemu u nas nie chodziło o zyski, lecz o kombinacje i rozrywkę. Przytem szła gawęda, co się zowie. Pan Dukszner miał świeże wiadomości, trzyma! kilka gazet i prawi! o polityce, jak wytrawny dyplomata. Ksiądz miał zawsze pogodny humor i rozwesela! towarzystwo; sędzia, o ile mu artretyzm nie dokuczał, opowiadał rozmaite i bardzo zajmujące niekiedy wspomnienia i epizody z dawnego życia towarzyskiego. Człowiek ten był jakby żyjącą kroniką okolicy i to nawet szerokiej; znał wybornie wszelkie koligacje i stosunki rodzinne swojej sfery, wiedział: kto z kim jest

w jakim stopniu pokrewieństwa, i daty wszelkie wybornie pamiętał.

Był to człowiek, aczkolwiek niemłody, jednak w całej sile życia, tylko owo cierpienie nieznośne, które czasem po kilka miesięcy przykuwało go do miejsca, kwaśno mu humor i odbierało wesołość, jaka miał z natury.

Ksiądz, domator ogromny, od piętnastu lat wybiera! się, z porady lekarza, do Karlsbadu, ale wybrać się nie mógł i wyjazd z roku na rok odkładał. Pan Dukszner leczył się w domu kamforą i wręcz twierdził, że tylko ten jeden cudowny środek podtrzymuje życie ludzkie, a wszelkie wody są wierutnym głupstwem, wymyślonem przez lekarzy, na użytek złotych młodzieńców, goniących za posagiem i panien, które pragną wydać się za mąż bogato.

Jeden tylko sędzia co dwa lata odbywał podróż do Trenczyna, na Węgry, do gorących źródeł, ale

uważał to sobie za ciężką pańszczyznę i po dwumiesięcznej nieobecności wracał do domu, jak do raju.

Jak mi opowiadał Tobiasz Tupet, sędzia zawsze, mniej więcej na tydzień przed powrotem do domu, pisywał do Biernackiego, żeby się postara! o dobrego i pewnego w nogach konia.

„Ponieważ — pisał — czuję się lepiej na zdrowiu, przeto chcę trochę się rozruszać i codziennie mam zamiar gospodarstwo objeżdżać”.

Biernacki zaraz udawał się na jarmark, lub do znajomych i szkapę spokojną dla sędziego kupował. I po każdym powrocie z Trenczyna ta sama historia się działa.

Sędzia wybierał się w pole; chodził po pokoju wyprostowany, dowcipkował, kazał sobie podawać pamiątkową szpicrutę, którą przed laty, od pewnego, bardzo znakomitego generała dostał.

Wychodził potem na ganek, popatrzył, popatrzył na konia i mówił do rządcy:

— Wiesz, Biernasiu, szkapę zdaje się dobra, ale dziś wyjątkowo każ zaprządz do bryczki; obawiam się żeby od konnej jazdy nie wrócił mi ból.

Takie wyjątkowe dni bywały codzien do jesieni, w jesieni znowu wilgoć, zimą mróz, wiosną chlapanina.

Wierzchowiec szedł do brony, a sędzia od czasu do czasu objeżdżał gospodarstwo na bryczce, a najczęściej siedział w domu, bo ból wracał, jakby na potwierdzenie teorii pana Duksznera, który tylko w kamforę wierzył i kamforą wszystkich chciał ratować.

Takie to było nasze, codzienne prawie, kółeczko preferansa, w które się tak nagle i niespodziewanie dostałem.

Czasem, ale to bardzo rzadko, gdy sędzia czuł się zupełnie do

brze, zbieraliśmy się na probostwie, wypadło też i pana Duksznera odwiedzić.  
ransa wcale, goście przyjechać nie mogli. W takim razie graliśmy z sędzią we dwóch, w pikietę, lub w beziga, który w owym czasie uchodził za grę bardzo modną.  
Zgadaliśmy się z sędzią w zdaniu, że gra ta, aczkolwiek modna i zagranicą wymyślona, jest jednak mocno niedorzeczna.

Rozdział szósty, w którym autor ma trudne zadanie, z powodu niedostatecznej biegłości w przedmiocie; w tym również rozdziale występuje Tobiasz Tupet.

Opuściłem znowuż dwa rozdziały z pamiętnika, jako zawierające notatki fachowe, tudzież rodzaj rozprawki na temat: jaka może być najpraktyczniejsza metoda wykładu języka łacińskiego dla panienek od ośmnasta lat życia liczących, tudzież, czy takowe panienki łatwo sobie starożytną mowę Rzymian przyswajają?

Jestto praca bezwątpienia poważna i cenna, ale z losem nieboszczyka czwartego i osób w opowiadaniu tem występujących, związku bezpośredniego nie ma.

Opuszczam przeto kilkadziesiąt kart i przystępuję wprost do przepisania tego, co nauczyciel powiada o swej uczennicy.  
„Gdy bytem jeszcze w szkołach, pisywałem wypracowania na zadane tematy. Zdarzało się, iż trzeba było opisywać wschód słońca, albo też jego zachód, pożytek, jaki przynosi nauka, sposób spędzenia wakacyj etc. Później pisywało się rozprawy już ściśle naukowe, za jedne dostało się nawet medal. Bez przesady i bez próżnej zarozumiałości, powiedzieć mogę, że były to opisy zrobione sumiennie, porządnie, z planem, z zachowaniem wszelkich reguł gramatyki, składni, a nawet niepozbawione pewnych ozdób stylowych. I to mogę przyznać, że sporządzenie owych opisów nie przychodziło mi z trudnością; owszem, pisałem je odrazu na brudno, potem z poprawkami na pół czysto i wreszcie, już bez żadnych

poprawek, na czysto; ale w takim położeniu, jak dziś, nie znajdowałem się nigdy.

Mam opisać pannę, czego jeszcze, jako żywo, nie czyniłem, a muszę, gdyż pamiętnik niniejszy nie byłby kompletny bez możliwie dokładnego opisu mojej uczennicy, tej dobrej dziewczeczki, tego kochanego dziecka, które jednak, bezwiednie, jak przypuszczam, wyrządziło mi wielką krzywdę.

Ja jej przebaczyłem i Bóg zapewne przebaczył, tem więcej, że winną wcale nie była: ale idźmy porządkiem.

Zaczytałem ten opis trzy razy, zanim trafiłem na ton właściwy. Naprzód nakreśliłem kilkanaście wierszy w ten sposób: „Uczennica moja jest to panna, tem się od innych panien różniąca, że jako taka, po łacinie się ucząc, silnie od programu średniego wykształcenia dla kobiet odskakuje...

To „odskakuje” nie wydało mi się właściwem.

Przekreśliłem więc i zacząłem inaczej:

„Szczęśliwy jest malarz; ten bowiem za pomocą farb i pędzla, w takowych od czasu do czasu zanurzanych, daje w kilku, kilkunastu, czy też w kilkuset pociągnięciach, bo liczby ich nie znam dokładnie, obraz mężczyzny, lub kobiety, a niekiedy dziecka, podobny zupełnie do indywiduum, które ma przedstawiać. Szczęśliwy jest malarz; podczas gdy piszący, podobne podejmując zadanie, do omówień, określeń, porównań i tym podobnych sposobów uciekać się musi i na znaczne natrafiając trudności, nie zawsze zadaniu podola. Do tej przynajmniej się nieudolności, próbuję nakreślić pisany mej uczennicy wizerunek”.

I ciekawym, po co ten wstęp? Oczywiście, potrzebny jest on, jak dziura w moście. Obejdzie się bez u

wszelkich wstępów. Nie potrzeba wstępów!

Kto wie, czy nie najlepszym sposobem opisywania młodych panien byłaby metoda geograficzna? Naprzykład:

Uczennica moja graniczy: na południe z kapeluszem, na północ z bucikami, na wschód z rękawiczką i na zachód także z rękawiczką... Głupstwo wierutne! bo jeżeli zdejmie rękawiczki i usiądzie do obiadu, to graniczy ze stołem, z obrusem, szkłem, porcelaną i srebrem.

Wobec tych trudności i szkopułów, jedynym ratunkiem wydał mi się system „per questiones”, którego mi się też, niby deski zbawienia, chwycił.

Otoż, czy Wanda jest ładna? Odpowiadam bez zająknięcia się: Wanda jest bardzo ładna. Dlaczego? Dlatego, że ładność polega na harmonii szczegółów, a wszystkie szczegóły jej twarzy są dziwnie harmonijne i wdzięczne. Czy

piękność jej odpowiada klasycznym wyobrażeniom Nie odpowiada.

Nie chcę jej porównywać do Wenus z Milo, tembardziej, że posiada obie ręce; nie ma też w niej klasycznej sztywności. Natomiast posiada ona pełną wdzięku ruchliwość, oraz ma w oczach wyraz łagodności i słodyczy, nie dający się opisać, a aczkolwiek bywa niekiedy, a zwłaszcza w początkach znajomości naszej bywała, złośliwa, jednak objawy złośliwości tej uważać należy za chmurki przelotne, zasłaniające lazur najpiękniejszej pogody. Czy możesz opisać dokładnie powierzchowność swej uczennicy? Nie mogę i to mnie właśnie boli, czuję się jednak zdolnym do opowiedzi na poszczególne, przedmioty tego dotyczące pytania, o ile te będą jasne i nieskomplikowane. Dobrze więc: Jaki Wanda ma wzrost? Więcej, niż średni. Figurę? Bardzo zgrabną.

Od czasu, w którym ją poznałem, zmieniła się cokolwiek pod tym względem, mianowicie kształty jej wypełniły się. Przeczuję, że zapytany być mogę o kształt ręki i nogi—i uprzedzam to pytanie. Nie odpowiadają one bynajmniej pojęciom estetyków chińskich, pragnących, aby kobieta miała palce zakończone szponami jastrzębia, a nogę podobną do koziego kopytka. Uczennica moja ma rękę niezbyt drobną, lecz bardzo kształtną, to samo śmiem twierdzić o nodze, o ile takową miałem sposobność dostrzedz.—Włosy barwy złotawej, źle mówię, nieco ciemniejszej, bądź co bądź, jest w nich masa złota. Oczy są koloru niebieskiego. Kolor ten widywałem nieraz na kwiatku pewnej rośliny, której nazwa botaniczna nie jest mi znana. Ów kwiatek bardzo jest wdzięczny i, jak mnie przynajmniej, mile wpada w oko.—Jaka jest charakterystyka i wyraz twa

rzy twojej uczennicy?—Jest pewien przyrząd optyczny, zwany kalejdoskopem. Bawią się nim chętnie nie tylko dzieci i uczniowie, ale nawet osoby dorosłe. Przyrząd ten zawiera w sobie kilka, lub kilkanaście barwnych kamyków, a wewnątrz ma kilka tafelek lustrzanych pod odpowiednim kątem jedna od drugiej odchylonych i tę posiada właściwość,

że ile razy nim poruszyć, tyle razy zmienia się w nim obrazek mozaikowy, przed okiem patrzącego weń in dywiduum. W rzeczy samej, układają się w tym przyrządzie najrozmaitsze, a zawsze pełne symetrii i pewnego wdzięku obrazy. Otoż, gdy nam opisać, jaka jest charakterystyka i wyraz twarzy panny Wandy, przychodzi mi na myśl ów kalejdoskop. Biała, lekko zarumieniona barwa twarzy, niebieski kolor oczu, purpurowe usta, ciemne brwi i rzęsy, jakieś doleczki na buzi, które nie wiadomo zkąd się

biorą i gdzie się podziewają, tworzą ruchliwy szereg obrazów, zmieniających się prawie bez ustanku, właśnie, jak we wspomnianym wyżej kalejdoskopie, tylko że w tym kalejdoskopie żyjącym, który jest moją uczennicą, zamiast kamyków jest zdrowie, młodość, pogoda duszy, wesołość, brak trosk i serce, złote serce, zaprawdę! Panno Wando! Śliczna istoto, a niegdyś uczennico moja! przebacz mi ten nieudolny opis. Nie odmalowałem cię dokładnie słabym mojem piórem, nie odtworzyłem cię taką, jaką cię widzi wyobraźnia moja w chwilach samotności i rozpamiętywania tych kilku lat, które mi w domu rodziców twoich zeszyły i które, gdyby nie okoliczność pewna, do jakiej, niestety, sama przyłożyłaś rękę, byłyby najmilszym w biednym mojem życiu wspomnieniem.... Stało się, przypadło, nie wróci... Tu atoli zaznaczam raz jeszcze,

że cię nieudolne me pióro nie odmalowało tak, jak trzeba, bo i jakież pióro może odmalować zalety i przymioty wewnętrzne, przymioty duszy i serca, którymi tak świetnie jaśniałaś, drogie dziecko!

Wprawdzie, przyznaj sama, kochana panno Wando, że z początku zwłaszcza, miewaliśmy ze sobą sprzeczki, zawsze zresztą bardzo delikatne i niejaki dysputy; że z twych oczu pięknych, z ust do uśmiechu złożonych, wychylał się niekiedy koziołek uparty, ale pokonał go... Jeżeli w główkę twoją i serce rzucił jakieś ziarnko poważniejszej myśli, a one przyjęły się i wyrosły tak ślicznie, to bynajmniej nie moja zasługa; grunt był dobry, a zapłaciłeś mi za to sownie obejściem uprzejmości pełnem, życzliwością i zaufaniem.

Gdyby nie jedno słówko, jedno tylko słówko, którem mi życie zatrzymałaś?

Niekiedy do mojej izdebki w oficynie przychodzi) na gawędkę i partyę szachów wspomniany już kilkakrotnie Tobiasz Tupet. Oryginalny to by) człowiek i nio wiem, czy w życiu mojem kiedykolwiek podobnego spotkam. Sama jego powierzchowność była niezwykła.

Małego wzrostu, szczupły, a przytem ułomny, miał twarz wyrazistą, o rysach wydatnych, bardzo ostrych i gęstą, białą, długą brodę, która mu prawie do kolan dostawała. Gdyby miał wzrost normalny, to bujna jego broda uchodziłaby za długą, lecz przy karłowatej postaci wydawała się nadzwyczajną. Sędzia nazywał Tobiasza chodzącą brodą wiecznego tułacza.

Ów Tobiasz Tupet trudnił się podobno handlem i bardzo często wyjeżdżał, ale stałe zamieszkanie miał w Woli, przy zięciu, również żydzie, ma się rozumieć, który młyn trzymał w dzierżawie.

Pewnego dnia rano, gdym siedział w swoim mieszkaniu i czytał Horacego, Tupet wszedł do mnie, bez żadnej ceremonii.

Na zapytanie, ktoby był i czegooby właściwie sobie życzył, poruszył nerwowo wyższem ramieniem, zażył tabaki i rzekł:

— Dziwne, że pan mnie nie zna, ale to nic nie szkodzi. Czy to tak trudno się poznać?

— Zapewne.

— Że jestem żyd, to pan widzi.

— A tak, domyślam się.

— ?e się nazywam Tobiasz Tupet, to zapewne we dworze wspominali. Czy nie?

— Masz pan słuszość.

— Że umiem grać cokolwiek w szachy i lubię rozmawiać z uczonymi ludźmi, to się pan wkrótce przekona. No, czy się teraz znamy, czy nie znamy?

— Ja pana Tupeta już znam.

— A Tupet znał pana jeszcze, zanim pan do Woli przyjechał.

— Jakim sposobem?

— Zwyczajnym sposobem— żydowskim. Rozmawiałem z rządcą i dowiedziałem się. Na to nic trzeba wielkiej mądrości... Pan uczy naszą panienkę po łacinie podobno?

— Tak.

— Dziwna rzecz, na co jej taki interes może być potrzebny?

— Dla przyjemności. Tupet pokręcił głową.

— Czy to się panu nie wydaje przyjemnością?—zapytałem.

— Dlaczego nie? Tylko widzi pan, są różne gatunki przyjemności. Ja sam mam wielką przyjemność w czytaniu starych książek.

— Więc dlaczegoż...

— Bo to, proszę pana, nie jest przyjemność panińska. Ale co mam w to wchodzić, panie dobrodzieju, pan na tym interesie coś zyskuje, ja nic nie tracę, ani nie dokładam, co zaś panie z tego przyjdzie, to się przecież kie

dyś pokaże. Słyszałem, że pan jest do gry szachowej amator.

— Rzeczywiście, lubię.

— I ja też; tylko, że nie ma z kim. Nasze żydki na prowincyi wcale nie umieją, a panowie! Wiadomo, że panowie mają swoje zabawy. Nie każdy lubi medytować i przepędzać czas z żydem. Żebym wiedział, że to pana nie znudzi, to zaproponowałbym partyjkę

—f Dłaczegóżby nie—i owszem.

Wydobyłem z komody szachownicę i szachy, ustawiłem na stolyczku, przy którym partner mój zasiadł z wielkim zadowoleniem.

— Bardzo porządna szachownica—mówił—bardzo dobre szachy! Właśnie takie lubię—duże.. Jest co wziąć do ręki.

Słyszałem, że w Warszawie są wielcy majstrowie od szachów.

— Rzeczywiście, są nawet bardzo dobrze grający.

— Słyszałem, słyszałem. Kilka lat temu umarł jeden pan w okolicy tutejszej, bardzo porządny pan, szlachcic, wielki amator szachów. On mi czasem pokazywał gazet, w których były opisywane gry szachowe. Powtarzaliśmy takie partye na szachownicy, podług gazetowego rachunku. Ha, panie, to były majstersztyki! Tamten szlachcic bardzo grać lubił. On umyślnie po mnie posyłał. Nieraz Zona mi wymawiała, że dla zabawki ja zaniedbuję interesa. Zrobiłem więc z tym panem taki układ, że grywaliśmy o interes Niech pan nic myśli, że o coś wielkiego, broń Boże! Czasem O żyto, czasem o owies, a przed świętami o pszenicę. Cztery garnce partya. Czasem wygrałem półtorej ćwiartki, czasem pół korca, zawsze coś z sobą do domu przywiozłem i z tej przyczyny miałem spokój od żony. Wyperswadowałem jej, powiedziałem: moja kochana, niech

się tobie zdaje, że ja jestem muzykant, że jeżdżę grać na weselach i za to mi płacą.



Ośmieliłem się zrobić delikatną uwagę, że nie posiadając dóbr ziemskich, nie mogę grywać ani na owies, ani na pszenicę i że wskutek tego szanowny Tobiasz Tupet może być narażony niepotrzebnie na nieprzyjemności ze strony swej dozgonnej towarzyszki.

— Niech się pan nie obawia— odrzekł Tupet — ja już nie mam żony.

— Cóż się z nią stało?

— Umarła temu pół roku. Teraz nie mam wcale żony. Swatają mnie, stręczą rozmaite panny i wdowy, ale ja się nie spieszę, nie mam wielkiej chęci....

Spojrzałem na Tupeta i przyznałem w duchu, że w rzeczy samej, na oblubieńca, mającego zaślubić młodą dziewicę izraelską, wyglądał cokolwiek za poważnie.

— Więc O cóż grać będziemy? — spytałem.

— Możemy tak sobie, dla przyjemności; chociaż, podług mego zdania, jak jest trochę interesu, to i przyjemność przyjemniejsza.

Przyznałem zdaniu temu słuszność i odtąd grywaliśmy zwykle cygaro, o jedno cygaro wartości sześciu groszy.

Przez czas pobytu mego w Woli, Tupet wygrał kilka setek cygar odemnie, a ja od niego zaledwie kilkanaście.

Gracz to był doskonały i przeciwnik poważny — prawdziwą miałem satysfakcję z nim i jeżeli prawdą jest, co ludzie mówią, że jestem szachista niegorszy, to w znacznej mierze Tupetowi zawdzięczam, miał on bowiem plany kombinacyjne wcale dowcipne, a nawet w partyi, jak się zdawać mogło, zupełnie przegranej, głowy nie tracił, lecz zawsze zdołał znaleźć jakiś wybieg, który go naj

częściej poratował i moją porażkę sprawił.

Grywaliśmy nieraz po kilka godzin Z rządu, aczkolwiek nie codziennie, gdyż jak wspomniałem, przeciwnik mój wyjeżdżał często za interesami, a i moje zajęcia z uczennicą powiększyły się z czasem.

Zrobiło to się jakoś samo przez się. bez uprzedniego zamiaru. Zaczęliśmy raz, po skończonej lekcji, rozmowę o historii powszechnej i o literaturze.

Zauważyłem, że wiadomości, jakie panna w tej dziedzinie wiedzy posiada, są niekompletne i pozostawiają coś do życzenia.

Spróbowałem dopełnić te braki, tak, niby to sposobem prywatnym, w rozmowie, potem zaproponowałem systematyczny wykład.

Zgodziła się z wielką chęcią, sprowadziłem książki — i przyznać muszę, że moja panna robiła w tych przedmiotach daleko większe i szybsze postępy, aniżeli w łacinie.

Wieczory schodziły przy zielonym stoliku. Zauważyłem, że sędzia lubił moje towarzystwo, puszczał się on częstokroć w dyskurs poważny i dał mi się on poznać, jako człowiek myślący, a w pewnych przedmiotach dość odcytany. Raz, na jesieni jakoś, zachorowałem. Wypadek ten dał mi poznać całą dobroć tych ludzi.

Choroba nie była ciężka, ale przykra. Zaziębiłem się. Dręczył mnie bardzo kaszel i rzecz prosta, nie mogłem z tego powodu stancyjki mojej opuszczać.

Gdy się sędziostwo dowiedzieli, że cierpiący, natychmiast posłali po lekarza; sędzina przysłała sama, aby mnie odwiedzić i zaopiekować się mną, jak rodzonym bratem. Panna Wanda przyniosła mi soku do herbaty i sędzia, chociaż go noga bolała, o kiju, pocziwy, przywłókł się do mnie, siedział ze dwie godziny, rozmawiał— i on, taki pa

łącz namiętny, nie dał się na cygaro namówić, chociaż go bardzo prosiłem.

— Nic, nie, panie Melchiorze — rzeki — stanowczo nie będę. Kaszlesz, dym ci może zaszkodzić.

Mnie taka pocziwość chwyta za serce, i Bóg mi świadkiem, że wszystkobym uczynił, aby tym zacnym ludziom wdzięczność moją okazać.

Nie zdarzyła się sposobność, podziękowałem im więc tylko ustnie i jeszcze w tym pamiętniku dziękuje im piśmiennie: dziękuję, dziękuję!! ..

Nad wieczorem zajrzał do mnie Biernacki, dobry człowiek, chociaż szorstki nieco i przyzwyczajony kłąć okrutnie.

Ten dał mi radę, żebym doktora nie słuchał a lekarstwa za okno powyrzucał.

— Wysmaruj się, profesorze— mówił — spirytusem mrówczanym po wierzchu, a dobrą nalewką we

środku, przykryj się siedmioma kozuchami, a spocisz się i nie będzie

ci nic do samej śmierci. Co najwyżej — dodał — jeżeli kaszel nie ustąpi, każ sobie „kropnąć” pół kopy ciętych baniek as piersiach, pół kopy na plecach, i wysmaruj się jeszcze kozim łojem, a szelma imię moje, jeżeli nie będziesz zdrów, jak dzik.

Podziwiałem zawsze oryginalny styl tego człowieka. Lubował on się szczególnie w takich wyrazach, jak: „kropnąć,” „wyrznąć,” „trzasnąć” etc, a w porównaniach zachodził niekiedy bardzo daleko. „Trzasnąłem kielich siarki i grzmotnąłem trzy talerze bigosu!” —to było jego wyrażenie przeciętne, iż tak powiem. A pomimo tej ostrości stylu,

człowiek był szczery i nic mu zarzucić nie mogłem. O majątek sędziego dbał, o świcie wstawał, późną nocą kładł się na spoczynek, a w razie potrzeby nie dojadł i nie dospał, byle tylko pra

codawcy swemu dochodów przysporzyć.

Ludzie źli mówili, że Biernacki jest taki gorliwy dla tanyemy, jaką od dochodów z Woli pobiera, ale ja twierdzę, na podstawie gruntownego przekonania i obserwacji, że to nieprawda. Gorliwy to człowiek z natury i temperamet miał równie gorący jak styl.

Wieczorem owego dnia, kiedy mnie słabość zmoęła i doktora do mnie wezwano, dyskretnie, na palcach, wsunął się do mego pokoju Tobiasz Tupet. Dowiedział się, że chory i przyszedł mnie odwiedzić, oraz doradzić, jakimby sposobem poratować moje zdrowie.

— Widzi pan—mówił—doktór, taka osoba, zna się na słabościach lepiej od nas, ale i my się też znamy. Nie zaszkodzi, gdy człowiek się leczy na dwa sposoby, na trzy, na dziesięć sposobów. Więc niech się leczy sam, niech go leczy doktór i niech go leczą do

brzy ludzie. Zawsze, co kilka głów, to nie jedna, choćby ta jedna była wielka, jak bóżnica. Czy nie prawda?

— Zapewne.

— Otoż, mówi) dalej Tupet — ja też panu coś poradzę. Pan kaszle, to znaczy, że pańska słabość siedzi w sercu. Pan wie, że serce, to najbardziej grymaśny kawałek W człowieku. Jemu trzeba dogadzać, jak jakiemu burmistrzowi, bo, poprawdzie, ono w człowieku, w jego środku, znaczy tyle, co burmistrz w miasteczku, A czym dogodzić sercu? Dobrem pożywieniem. Trzeba je wzmocnić. Niech pan poprosi pani sędziny o skrzydełko od indyczki i niech pani sędzina z tego skrzydła każe panu ugotować dobry rosół, to jest bardzo posilny interes, niech mi pan wierzy. Ten rosół pan wypije i to skrzydełko pan zje; to już jest połowa kuracyi. Prócz tego, zapewne pan ma jakie lekarstwa?

— Mam.

— Jakie?  
— Nie wiem; mikstura jakaś.  
— Co to jest mikstura? Pan to używa łyżka?  
— Tak.  
— No, więc jaka to mikstura? To tylko zwyczajne lekarstwo. A więcej doktor nie przepisał nic?  
— Nic.  
— To nie jest dobrze.  
— Dlaczego?  
— Nie wiem. Myślę iż jemu sędzia dobrze płaci i on chce przeciągnąć słabość pańską.  
— Co znowuż?  
— Różnie się trafia. Czy on tu jeszcze przyjedzie?  
— Jutro ma być.  
— Niechno pan z nim pogada.  
— A cóż mam mówić?  
— Całkiem niewiele. Niech pan mu da od siebie, ile pan uważa, pięć rubli, czy dziesięć rubli — i niech mu pan powie: Panie doktorze, ja nie chcę długo choro

wać ja nie mam czasu na chorowanie. Niech pan mnie leczy prędko, fan mi zapisał tylko jedno lekarstwo...

Ależ, panie Tobiaszu, jakże

ja mu to powiem? Zapisał mi to,  
co za potrzebne uważał.

— Malo zapisał, ja panu powiadam.

— Nie rozumiem.

— Aj, panie dobrodzieju, taki prosty, taki zwyczajny interes

Niby ja naszego doktora nie znam. Nie jeden raz miałem z nim do czynienia. On, jak do niego przychodzi zwyczajna żydówka na poradę do domu (płaci dwa złote)— to jej zapisuje lekarstwo. Co jej ma za takie pieniądze więcej zapisać?

Jak go wzywają na miasto, do jakiego bogatego kupca

i płaca mu za jedne wizytę rubla, to on zapisuje odrazu i lekarstwo i proszek. Widzi pan dyferencję?

— Widzę i zapewne tak potrzeba.

— Ma się rozumieć, że potrzeba; przecież każdy towar na świecie ma swoją cenę. Doktor też jest handlujący i musi za rubla więcej zapisać, aniżeli za dwa złote. To ja panu powiedziałem, co on potrzebuje zapisać za rubla, a teraz pomyśl pan: On przyjeżdża do bogatego domu, do pana sędziego. On ma w tę i w tamtę stronę porządną furmankę, wolant z trzema końmi. On ma dobry obiad, on ma przynajmniej, nie rachując dużo, dziesięć rubli za wizytę, a potem siada do kart; zabawi się i też może wygrać kilka rubli. No, jak pan myśli? Co on powinien choremu za tyle pieniędzy zapisać?  
— Alboż ja wiem?

— Przepraszam; za te pieniądze to on powinien zapisać lekarstwo, proszki, pigułki, trochę bańki i zrobić małą reperację. Jeżeli tego nie robi, to znaczy, że jest oszukaniec.

— Ależ kochany panie Tupecie, a jeżeli mnie nie potrzeba proszków, pigulek, ani operacji ?

— Co to nie potrzeba ? Choremu wszystko trzeba, żeby być zdrow; na to jest medycyna, na to jest doktorstwo. Niech pan pamięta, jak jutro on przyjedzie, niech mu pan to wszystko powie. Na co robić ceregiele, pan może żądać. Pan ma prawo żądać za swoje pieniądze. Niech się pan upomina, ja panu każę.

— Dobrze; będę się upominał.

— I niech pan pani sędziny poprosi o to skrzydełko, koniecznie. Poprosi pan ?

— Poproszę — odrzekłem, aby coś odpowiedzieć.

— Bo, jeśli pan nie ma śmiałości, a jak uważam, że pan jest delikatny człowiek, to ja mogę poprosić. Ja mogę o wszystko poprosić. Co panu nie uchodzi, podług pańskiej polityki, to mnie

uchodzi. Wierz mi pan że czasem dobrze jest być żydem.

Przyrzekłem Tupetowi, że wyklęcę się z doktorem i że domagać się będę należnych mi jakoby proszków', pigulek i operacji, przyobiecałem zarazem, że poproszę bądź samej sędziny, bądź panny Wandy, o wzmacniający rosół ze skrzydła indyczki; chodziło mi bowiem o to, aby troskliwy o moje zdrowie izraelita nie wyrwał się bezpotrzebnie z jakimś żądaniem, najzupełniej nieuzasadnionem, wobec sumiennego lekarza i tych zacnych ludzi, którzy się mną w chorobie zaopiekowali, jakby członkiem własnej rodziny.

Załatwiwszy w ten sposób sprawy dotyczące mojej kuracji, zacny Tobiasz Tupet postanowił trochę mnie rozerwać i rozweselić.

W szachy grać nie mogłem, gdyż byłem w gorączce i doznawałem bólu głowy; jako jedyny

środek rozrywki pozostawała tylko rozmowa.

Choćbym żył dwieście i trzysta . lat, co oczywiście jest fizycznym niepodobieństwem, nie zapomniałbym nigdy tego wieczoru jesiennego, oryginalnej postaci Tobiasza i rozmowy, jaką mnie ten człowiek zabawić usiłował.

Jak zaznaczyłem powyżej, byłem chory i rozgorączkowany. Lampa nie paliła się w pokoju, tylko na kominku gorzały dwie, czy trzy szczapy' sośniny, rzucając jakieś fantastyczne, czasem ciemnokrwawe, czasem złocistojasne blaski i wytwarzając przytem cienie ruchome, dziwaczne i zmieniające się ciągle. W tem oświetleniu, tak ruchliwym i tak niezwykle, rysowała się postać Tobiasza, również dziwna, fantastyczna, a dla rozgorączkowanego umysłu prawie przerażająca.

Siedział on na niskim stoiku blisko kominka, w połowie ku nie

mu zwrócony i jedna część jego postaci znajdowała się w oświetleniu czerwonym, druga tonęła w zmroku. Kolana ginęły gdzieś pod brodą, a broda zwieszała się do samej ziemi. Było coś nieludzkiego i fantastycznego w tej postaci, z której się przecież ludzki głos dobywał. Zdawało mi się, że gnom z bajki przyszedł i przemawia do mnie.

Ostatecznie pretensji do niego mieć nie moge; miał on szczerą intencję, żeby mnie przyjemną rozmową cokolwiek zająć i ożywić, a widząc mnie mizernym i cierpiącym, przez pewną asocjację idei, przyszedł do przekonania, że najciekawszym i bardzo dla mnie zajmującym przedmiotem w tej chwili, będzie rozmowa o przechodzeniu dusz i o cierpieniach, jakich dusze ludzkie, opuściwszy ciało, doznają, zanim się dostaną na miejsce swego przeznaczenia.

Mówił on obrazowo, do pewnego stopnia nawet poetycznie, opowiadał mi z detalami wszystkimi o losie duszy, która wybiegłszy z ciała, unosi się jakiś czas w powietrzu, jak ją szarpią dobre i złe duchy, zrodzone z jej własnych uczynków. Jak dusza za grzechy popełnione może przejść z czasem w jakąś inną istotę, w zwierzę, w ptaka, w rybę, a nawet w kamień przydrożny, ażeby ją każdy nogą potraçał i przeklinał.

Tak mnie zabawiał w chorobie szanowny Tobiasz Tupet, a jego postać dziwaczna, świat duchów, o którym opowiadał, wywoływały w moim mózgu rozgorączkowanym obrazy fantastyczne, straszne zarazem.

Nazajutrz doktor, jakby w myśl Tobiaszową trafiwszy, prosił mi zapisał, niezależnie od mikstury, gdyż się gorączka zwiększyła.

Rozdział siódmy, mający tę wyzłość nad szóstym, ie jest bliższy końca.

Dwa lata zeszyły mi w Woli, jak dzień jeden; przywiązałem się do dobrych ludzi, żaden cień przykry, żadne nieporozumienie nie psuło między nami harmonii.

Raz tylko panna Wanda pozwoliła sobie ze mnie zażartować, za co ją też przykładowo, chociaż może nadto surowo, skarciłem.

Było to tak: Jednego razu w salonie, na stole, dostrzegłem książkę Corneliusa Neposa. Przypuszczając, że takową panna Wada przez zapomnienie zostawiła, wziąłem, aby jej przy sposobności doręczyć i odwróciłem machinalnie okładkę.

Jakżem się zdumiał niepowszednio, ujrawszy na czystej kartce, pomiędzy okładką a kartką tytułową, naszkicowany mój portret w karykaturze. Rysunek wyobrażał niby ułamek starożytnego fryzu, a na nim, jakby w płaskorzeźbie, profil mej twarzy, w okularach, skarykaturowany bardzo zręcznie, z podpisem: Dominus Melchior US, Civis Romanus. Oburzyło mnie to. Bądź co bądź, jestem przecież nauczycielem, a aczkolwiek chłopcy, których uczyłem, rysowali moje sylwetki daleko gorzej i dużo złośliwsze robili pod nimi podpisy i uwagi, jednak nie mogłem zezwolić, aby takie szkolne koncepta czyniła panna. to nie pensjonarka przecież, ale panna dorosła, sędzianka, jedynaczka, do której konkurenci czwórkami zajeżdżają.

Zajeżdżali już albowiem, o czym na swoim miejscu powiedziane też będzie.

Jakoż porwała mnie ostatnia pasya, w której gwałtownym przystępie, pochwyciłem ołówek i po krótkim namyśle, przekreśliłem delikatnie mój wizerunek na krzyż, a pod spodem dałem te słowa: „Non licet.” i podpisałem na urągawisko: „Similis.” Niechże panienska wie, żem się poznał i że z poważnych ludzi nie godzi się żartować.

Książkę pozostawiłem w salonie na tem samym miejscu. Niechże ją sama znajdzie, niech sobie pilnie moją uwagę odczyta, myśl w niej ukrywającą się zrozumie i tym sposobem karę zasłużoną odniesie.

Tak się też stało.

Gdy nazajutrz przyszedłem na lekcję, panna Wanda była cokolwiek zażenowana i mogłem łatwo poznać po wyrazie jej twarzy, że książkę miała w ręku i że moja uwaga nie uszła jej oka.

Tem lepiej pomyślałem sobie, oduczy ja to rysowania karykatur. Że ma talent do skrobania ołówkiem po papierze, to, jak dla mnie przynajmniej, nie ulega żadnej wątpliwości— i niechby talent ten rozwijała, niechby bawiła się rysunkiem, ale wybierając tematy przyzwoitsze. Przecież natura jest taka bogata i taka hojna zarazem w tematach dla rysowników i malarzy. Dała ona tyle krzaczków, drzew, kwiatów, ptaków, kotków, piesków, które za wzory do rysowania służyć mogą — dla czegoż więc wybierać koniecznie mnie, spokojnego człowieka, filologa i nauczyciela? Radbym być pod tym względem nietykalnym.

Lekcja odbyła się dnia tego bardzo poważnie.

Uczennica nie przerwała jej ani jednym słowem niepotrzebnym, ani uwagą dowcipną. Była, jeżeli się tak wyrazić można, całkowicie skoncentrowana w uwadze.

Łaciny tego dnia w rozkładzie lekeyi nie było, tylko historia: dzieje drugiej połowy ośmnastego wieku i literatura. Wysłuchawszy tego, co mówiła panna Wanda, rozpocząłem wykład dalszy i prowadziłem rzecz bez przerwy, do chwili, w której piękny zegar brązowy pod kloszem wydzwonił godzinę dwunastą. Dokończywszy zdania, podniosłem się i sięgnąłem po kapelusz, aby wyjść.

Wówczas panna Wanda bardzo pokornym i słodziutkim głosem rzekła :

— Niech pan nie odchodzi, mam coś do powiedzenia.

Domyślając się poniekąd, o co chodzi, przybrałem minę poważną i o ile możności surową, jak przystoi obrażonemu w godności swej człowiekowi.

Nie długo jednak mogłem się w tym charakterze utrzymać, panna albowiem patrzyła mi prosto w o

czy, z początku również poważnie, potem na jej twarzy zaczęły się robić jakieś szczególniejsze dołeczki, bardzo ruchliwe, na ustach pojawił się uśmieszek, pojawił się, zniknął, znów się pojawił, potem z uśmieszków zrobił się uśmiech, a z uśmieszów śmiech wdzięczny, srebrny, ale nie sarkastyczny, lecz przeciwnie, szczerzy jakiś i poczciwy. Szczególna metamorfoza i zaraźliwa, bo i ja również, patrząc na tę ruchliwą twarzyczkę, na tę wesołość niewinną a szczerą, zacząłem się śmiać także, co w ogóle zdarza mi się rzadko, a podczas lekcji nic przytrafia nigdy.

Wyciągnęła do mnie rączkę i rzekła:

— Panie Melchiorze, nauczycielu mój, zrobiłam karygodne głupstwo, za co pana z całą skruchą przepraszam.

Usiłowałem nastroić się na ten sam ton i odrzekłem:



— Panno Wando, uczennico moja, zrobiłem karygodne głupstwo, za co panią z całą skruchą przepraszam. Roześmiała się znowuż.

— Ja pana przepraszam za ten nieszczęśliwy rysunek.

— A ja przepraszam panią za ten nieszczęśliwy dopisek.

— Panie, mówmy na seryo. Istotnie zawiniłam; miałam w ręku ołówek, a że myślałam o panu, więc mimowoli jakoś, sama nie wiem kiedy, zrobiła się ta karykaturka. Zniszczyłam ją już, proszę patrzeć, karta wydarta i spalona w piecu. Popioły z niej uleciały przez komin. Czuję cała niewłaściwość mego uczynku i przepraszam, przepraszam, przepraszam! Już się to nigdy więcej nie powtórzy, dam na to „verbum nobile.”

— Wierzę pani.

— Dziękuję, ale nie dość jest wierzyć, trzeba przebaczyć wietrznicy, trzeba zapomnieć zupełnie.

— Już zapomniałem.

— O ja wiem, że pan dobry jesteś, mój nauczycielu, i gniewać się nawet nie umiesz. Ja też panu wdzięczna jestem za wszystko, czegoś mnie pan nauczył i mam dla pana głęboki szacunek i życzliwość.

Wzruszyła mnie dziewczyna tem przemówieniem.

My, nauczyciele, rzadko kiedy odbieramy od uczniów dowody wdzięczności. Chyba kiedyś, kiedyś, jak już uczeń zestarzeje się i zupełnie mu łacina z głowy wyleci, przypomni sobie przy spotkaniu dawnego nauczyciela i dobre słowo mu powie.

I to jeszcze kwestya, mojem zdaniem, nierozwiązana, na jakim gruncie owo dobre słowo wyrasta? Czy jest ono istotnie owocem rozczulenia na widok dawnego mistrza, czy też tylko własnej, minionej bezpowrotnie, a tak każdemu drogiej młodości przypomnieniem?

Niech rozwiąże tę zagadkę, kto potrafi, ja wracam do mojej panny Wandy.

Wzruszyła mnie jej dobroć i uznanie, wyrażone nie kiedyś tam, po latach, ale zaraz, pod wrażeniem chwili. Wzruszyła mnie tak dalece, że ująłem ją za rękę i zastanowiłem się nad pytaniem, czy wypada mi, idąc za szczerą intencją, rękę tę pocałować, czy nie? Rozumowałem nieco sofistycznie, że panna Wanda jest wprawdzie uczennicą, ale jest oraz i kobietą, a od najstarożytniejszych czasów aż po dzień dzisiejszy, mężczyźni składali na rękach niewieścich pocałunki. Antoniusz w taki sposób złożył cześć Kleopatrze przy pierwszym spotkaniu, że nie powiem już o Sokratesie, który całował po rękach tak popędliwą kobietę, jaką była Ksantypa. Po jakimś wahaniu się, podniosłem rękę panny Wandy i złożyłem na niej pocałunek.

Zastanawiając się później nad tym faktem na zimno, przyszedłem do przekonania, że nic niewłaściwego nie uczyniłem i że sumienie moje wyrzucać mi tego postąpienia nie będzie.

Uczennica moja była tym aktem czci, złożonym jej przezemnie, nieco zdziwiona, lecz nie obrażona.

Owszem, zdawało się, że jej przykrości nie sprawił. Wniosek mój opieram na tym fakcie, że bezpośrednio po ucałowaniu ręki zakomunikowała mi kilka wiadomości, w wysokim stopniu dla mnie przyjemnych i pochlebnych. Zapisuję je w tym pamiętniku nie przez próżność, ile dla złożenia dowodu, że wbrew twierdzeniom niektórych pesymistycznie usposobionych ludzi, szczerza praca i dobre chęci znajdują uznanie, o ile, ma się rozumieć, z uczciwymi ma się do czynienia interesantami.

Powiedziała mi panna Wanda, że rodzice jej oboje, zarówno sędzia, jakoteż i sędzina, są dla mnie pełni zyczliwości, że radziby stosunek ze mną choćby jak najdłużej utrzymać, że kiedy wyjechałem do Warszawy na dwa tygodnie (co uczynić musiałem, celem dokompletowania i odświeżenia mej garderoby), to sędzia formalnie za mną tęsknił; że wreszcie ona sama, to jest panna Wanda, tak się do mnie przyzwyczaiła i (własne jej słowaj tak przywiązała, że zrobiłbym jej największą przyjemność, gdybym pozwolił nazywać się wujaszkiem!

Jej wujaszkiem!

Boże wielki! Kto tę dziewczynę znajomości serca ludzkiego nauczył i czytania w niem, jak w książce? Kto jej powiedział, że uszczęśliwi mnie temi wyrazami kilkoma?

Ja wujaszkiem! Ja, który rodziców własnych pamiętać nie

moge, bo mnie osierocili tale wcześniej; ja, który nic miałem nigdy ani brata, ani siostry, ani żony, ani dzieci, którego wszyscy tytułowali tylko panem; naraz zostaję wujaszkiem pięknej i takiej dobrej dziewczyny!

Tak mnie ta jej propozycyi wzruszyła, że aż mi oczy mgłą zasły. Ja jej wujaszkiem!

Mówilem też sobie w duchu: Melchiorze! ciebie coś złego spotka, bo za dużo szczęścia dziś doznałeś, reakcja jakaś musi nastąpić.

Po obiedzie, wciąż o tem rozmyślając, dla wypoczynku, udałem się na przechadzkę w pole.

Ładny to był dzionek, bardzo ładny. Poszedłem dosyć daleko, do lasu i gdy wracałem, już słońce ku spoczynkowi się miało. Ożywcze, pachnące powietrze napełniało świat cały przedziwnym jakimś balsamem, od wody miły chłód szedł, łagodny wietrzyk

figlował swawolnie z kwiatami i liśćmi. Mnóstwo drobnego ptactwa fruwało nad polami, cała przyroda wyglądała jakby świętecznie.

Gdy tak szedłem, zadumany i w cichej pogrążony kontemplacja, nagle usłyszałem za sobą głos tubalny.

— Profesorze! niechno profesor zaczeka!

Oczywiście mnie wołano.

Obejrzałem się, doganiał mnie Biernacki. Słusznie mówię doganiał, człowiek ten albowiem nie szedł, lecz kroczył na długich nogach, jak ów olbrzym z bajki, który zwykł był nosić siedmiomilowe buty.

Rządca był opalony, zakurzony i mocno dysza! ze zmęczenia.

— Co pan tu robisz? — zapytałem.

— A no, „dynam”, jak pan widzisz, do domu.

To „dynam” nie było klasyczne, ale malowało rzecz dobrze. Pan Michał bowiem sapał, jak miech w kuźni.

— Wyobraź pan sobie — mówił — co za psie zdarzenie! Koń szelma mi uciekł i ja oto pięć wiorst macham na piechotę.

— O! i dlaczegoż uciekł?

— Bo mu się sprzykrzyło stać. Byłem przy robocie pod lasem, przywiązałem konia do krzaczka, a sam pilnowałem ludzi. Tymczasem bąki i muchy ćwiczyły go potężnie. Szarpał łbem, szarpał, aż odłamał gałązkę, do której był przywiązany; zadarł, panie dobrodzieju, ogona i jak huncwot bryknął do domu, to się za nim tylko zakurzyło. Widzisz pan, jaki psi los.

— W istocie położenie niemile.

— Cu to niemile! głupie położenie, paskudne, ale niech je tam! Przecię konia sądu nie pozwę.

A cóż profesor tu robi na polu?

— Tak sobie wyszedłem, aby użyć nieco przechadzki.

— Spacerku, co?

— A tak, panie Michale. Zdaleka na gościńcu ukazał się tuman kurzu. Domyślać się mogłem, że ktoś jedzie, i że prawdopodobnie konie taki kurz kopytami sprawiają, ale rządcą, który miał rzeczywiście wzrok jastrzębi, przysłonił oczy dłonią, popatrzył przez chwilę i zawołał:

— Oho, panie profesorze, zdechł pies!

— Nie słyszałem nic o podobnym wypadku w tym czasie i w ogóle nie wiem, dlaczegooby mnie to miało szczególnie obchodzić?

Rządca powtarzał ciągle:

— Zdechł pies i pańska łacina zdechła, panie Melchiorze!

Zwracam uwagę, że łacina jako język, uważaną być może poniekąd za nieśmiertelną.

Jednak szkoda mi ciebie, profesorze. Ot, wiesz co, po licha wracać do Warszawy i trudnić się belferką? Tu w sąsiedztwie, w dobrach hrabiowskich, wakuje posada kasyera; słowo powiem głównemu administratorowi i masz doskonale miejsce. Na gospodarstwie znasz się pan, jak kura na pieprzu, ale pieniądze chyba potrafisz rachować. Cóż, bierzesz pan, czy nie? Bo to widzisz, czas płaci, czas traci, a nie należy zasypiać gruszek w popiele.

Ależ, panie dobrodzieju, do czego to prowadzi?

Pyszny z pana facet, jak mi Bóg miły! On się pyta, do czego prowadził

— Bo w rzeczy samej nie widzę. ..

— A to wytrzeszcz pan oczy i patrz! Widzisz te cztery siwe konie, jak hamany, i ten powozik?

— Oczywiście widzę.

— Otoż to twoja łacina, profesorze, wścieka się!

— Co pan mówisz? Co konie mają do łaciny, albo łacina do wściekliczy?!

— Ależ panna za mąż wyjdzie!—huknął mi w samo ucho— a jak wyjdzie za mąż, to co jej będzie po łacinie?...  
Rozumiesz pan teraz?  
— W istocie, ale że ktoś przyjeżdża, to jeszcze nie racya, żeby się miał ożenić... Przecież bywa kilku młodych ludzi.  
— Głupstwo, kochany profesorze, tamci targują, a ten kupi. My zaś wypijemy litkup. Jak mi Bóg miły, tak się urznię na jej weselu!! Pamiętam przecież, jak tu nastąłem, to było takie male pędractwo i łąziło po trawniku, jak mucha...  
— Kto?  
— A któż? Panna Wanda! Mówie panu, że ten targu dobieje.

Kto wie nawet, czy już oddawna nie dobił...  
— Jednak nie bywał tu, ja go wcale nie znam.  
— Jakżeś go pan miał widzieć, skoro przez kilka lat za granicą siedział!  
— Zapewne.  
— Mnie się zdaje, że tam między nimi musi być dawne kochanie.  
— O!...  
— Znają się oni od malego, bo trzeba wiedzieć, że ten miody Zawiejski, to troche i kuzyn i wielki ulubieniec sędziowski. Stary podobno się odgrażał, że mu coś zapisze.  
' — Odgrażał się?!  
— A tak. Ożeni się, jak amen w pacierzu, a sędziostwu w to graj.  
— Nie wiem atoli, czy panna...  
— Ej, profesorze! Jakżeś pan, z przeproszeniem, niedołęga.  
— No, tegobym o sobie nie powiedział; energię mam...

— We dworze po całych dniach siedzisz, z panną codzień po łacinie rozmawiasz, i nic nie wiesz; a ja, proszę cię, ciągle na polu, w snopki i kopy patrzę tylko, jak sroka w kość i wszystko wiem, co się dzieje.  
— Dlaczego, jak sroka?  
— Bo to widzisz, łaskawco, jednym oczkiem w kość, a drugim po świecie, taki mam zwyczaj. Więc przyznaj drogi panie...  
— Ależ co?  
— To, że się twoja łacina wścieka.  
— Ależ fe!  
— Panna wyjdzie za swego Jasia, za to zaręczam.  
— To bardzo dobrze. O ile mi wiadomo, takie jest właściwe przeznaczenie wszystkich panien.  
— Racya, ale cóż pan zrobisz? Powinszuję.  
— Ale co pan zrobisz ze swoją facyatą?

— Wyrażenie dość dziwne, o ile się odnosi do mojej osoby... namyślę się.  
— A tymczasem doskonale miejsce u hrabiego złapie ci kto z przed nosa...  
— Jak żyję kasyerem nie byłem.  
— To będziesz, nie święci garnki lepią, tylko ludzie. Więc jakże?  
— Trzeba się poważnie zastanowić.  
— A niechże pana najjaśniejsze!  
— No, no...  
— Nie widziałem jeszcze takiego człowieka. Masz pan z górą pięćdziesiąt lat i potrzebujesz niańki, jak pędrak, który chodzić nie umie. Otoż będę ja pańską niańką. Chcesz, czy nie chcesz, jutro jadę do administratora i proszę, żeby miejsce dla pana zatrzymał. No, mógłbyś mi przecie, panie profesorze, powiedzieć: „Bóg zapłać”, albo po łacinie „Dominus vobiscum”.

— Owszem, dziękuję panu z serca i nie wiem, czym w istocie zasłużyłem na tyle dobroci z jego strony.  
— Co za dobroć? Poprostu nie lubię, żeby się porządni ludzie, jak psy, bez posad włóczyli. Trafia się, że można dopomódz, to się dopomaga, a jakby nie było można, toby się nie dopomogło. Nie trzeba być uczonym, ażeby taką prostą rzecz rozumieć.  
Przekonało mnie to dowodzenie i musiałem przyznać w duchu, że pod chropowatą i szorstką skorupą tego człowieka kryje się dobre serce, a w szkaradnym, trywialnym Stylu wielka szczerść uczucia. Uścisnąłem jego rękę i powiedziałem, że cokolwiek się stanie i jakkolwiek się stanie, pozostanę na zawsze jego najżyczliwszym przyjacielem.  
Wiecie, co odpowiedział mi na to?

Ścisnął mnie za rękę, aż mi wszystkie kości zatrzęszczały i rzekł:

— ,Co to dużo gadać!... Od pierwszego wejrzenia poznałem, żeś pan jest nienajgorszy piernik!  
Jeszcze mi nikt w życiu podobnego tytułu nie nadał!  
Cały wieczór przepędziłem w mojej stancji, zastanawiając się nad wieloma zagadnieniami przyszłości.  
Osoba moja własna bardzo małą rolę grała w tych dumaniach, więcej myślałem o mojej uczennicy.  
Oby była tak szczęśliwa, jak jest dobra, oby w przyszłości znalazła wszystko, czego sama pragnie; oby ów przyszły,  
któremu z ufnością losy swoje powierzy, umiał uszanować skarb, jaki dostaje.  
O panno Wando! uczennico moja, błogosławię ci i... przebaczam, gdyż wiem, żeś nic chciała mi nic złego uczynić.

Rozdział ósmy: Jak dziewczyna w bieli zdruzgotała serce filologa, i jak się rozwiązała zagadka b p. Tobiasza Tupeta.

Nie atramentem ja piszę ten pamiętnik, ale łzami—nie łzami, ale raczej krwią serdeczną.  
Słusznie powiedziałem sobie niegdyś :  
— Melchiorze, tyś zanadto szczęśliwy, ciebie coś złego czeka. I czekało.  
Było to dnia lutego ...  
Tobiasz Tupet już nie żył; zmarł nagle podczas jarmarku w sąsiednim miasteczku; zmarł, pochowano go i ja dopiero  
w dwa, czy trzy dni później, dowiedziałem się

O tym fakcie. Zagadka pozostała dla niego nierozwiązaną.  
Nie zazdrościłem nigdy niczego  
i nikomu, ale była chwila, żeś Tupetowi pozazdrościł. Wolałbym umrzeć, aniżeli dowiedzieć się tego, czegom się  
dowiedział, aniżeli usłyszeć to, co usłyszałem.  
A byłem tego dnia w usposobieniu ducha doskonałym, bo i w całym domu sędziostwa panował nastrój uroczysty i  
radosny. Panna Wanda wychodziła za mąż i jeszcze jak!...  
Łączyły się dwa serca młode, kochające się nawzajem szczerze, a po za tem, co na tym mizernym placu padole  
niezbędne jest wprawdzie, ale też i obrzydzenia ludziom nie sprawia — łączyły się dwie fortuny spore.  
Mówił mi Biernacki, z właściwą sobie expressją stylową, że pod względem materialnym interes lo „dwadzieścia  
cztery razy kokosowy" i że zjadłby dyabła ten, kto

by równie dobraną parę w całej okolicy wynalazł.

Zaczął mi wyliczać włóki lasów, pól, łąk; opowiadać o stanie zabudowań, pięknych inwentarzach i tym podobnych przedmiotach,

o których słyszę tu ciągle, ale rozumiem nie wiele, i w ostatecznym rezultacie oświadczył, iż łatwiej znaleźć igłę w stogu siana, aniżeli taką pannę, jak Wanda

i takiego kawalera, jak jej narzeczony.

Pocziwy Biernacki! Jak on się na ten dzień uroczysty wystroił, jakie jasnożółte jelonkowe rękawiczki przywdział, jak wspaniale wyglądał!

Umyślnie felczera sprowadził, żeby go ogolił i ostrzygł, co też rzeczony izraelita skutecznie tak sumiennie, że oblicze pana rządcy, oskrobane świeżo, miało kolor szynki surowej.

— Patrz pan — mówił do mnie energiczny agronom — patrz pan,

jak na dzisiejszy dzień musiałem się wysztafirować! Jedna tylko mamy pannę Wandę i, do trzykroć sto tysięcy... nie codziennie wydajemy ją za męża! Nie cierpię ja wszelkich fraczków niemieckich, ale na to wesele—trudno—musiałem sobie frak sprawić. Wyglądam w nim, jak krowa w chomonicie, ale szyk jest od stu djabiów! Dawidek mi ten frak zrobił... Ma szelma talent, bo ma. Trochę się to fraczysko marszczy, ale mnie żyd przekona), że tak trzeba, bo w zurnalu też jest ze zmarszczkami. Ktoby się spodziewa), że taki, panie, łapserdak, może mieć zurnal i jeszcze do tego francuski. Dziwne rzeczy się dzieją, jak cię kocham, profesorze, żebyś spuchł, jeżeli nie prawda...

Takeśmy sobie gawędzili w oficynie, w moim pokoiku, gdzie się kochany Biernasio na parę godzin zakwaterował.

— Muszę tu posiedzieć—mówił u ciebie, kochany profesorze, zanim się goście zjadą i czas będzie iść do dworu. Będę tu siedział jak słupek i ani się ruszę, a to dla tego przeklętego fraka.

Zdziwiła mnie ta ostrożność, poniekąd zbyteczna, jak sądziłem.

— Widzisz pan, moja natura jest trochę, psia kość. gorąca; znam ja ją, jak zły szeląg! Otoż, gdybym poszedł na folwark, zaraz bym tam coś dostrzegł, bo od tego mam oczy, a jakbym dostrzegł tobym kogo trącił, a jakbym trącił, toby to fraczysko pękło, bo mnie pije pod pachami dyabelnie. Między nami mówiąc, ta paryska moda jest okropnie głupia, kiedy przy niej człowiek rękami ruszyć nie może; ale trudno, skoro ma być z szykiem, to niech będzie z szykiem. A słuchajno, panie profesorze, czy tobie tak samo ciasno we fraku ?



— Nie — odrzekłem—nie ciasno, bo też mój frak — dodałem, jest już bardzo staromodny.  
— Patrzajże, jednak ten bestya, Dawidek świeże żurnale sprowadza.  
— Siadajże, kochany panie Michale — rzekłem, widząc że gość mój wciąż stoi.  
— Dyabła tam siadaj, kiedy cały garnitur jest taki modny, że się w nim ruszać nic można. Nie głupim siadać.  
Rzeczywiście przez cały dzień nie usiadł, aż dopiero przy kolacy i to z ostrożnością niesłychaną. Na szczęście, obyło się bez wypadku.  
Koło godziny dwunastej poproszono mnie do dworu.  
Sędzia był już ubrany świątecznie i przyjął mnie w salonie,  
— Kochany panie Melchiorze— rzekł — przepraszam najmocniej, zem cię śmiał fatygować i posyłałem po ciebie.

— O, panie sędzio dobrodzieju, przecież jestem domowy.  
— przyjaciel nasz, dodaj, panie Melchiorze.  
Skłoniłem gotowę w milczeniu, dając tem niejako do poznania, że radbym wiedzieć, czego życzy sobie odemnie pan sędzia?  
— Otoż, panie Melchiorze, właściwie nie ja cię wzywam, ale Wandzia. Pragnie ona pomówić z tobą. Jest w matym saloniku i czeka. Idźżeż pan, bo tylko patrzeć, kiedy goście zaczną się zjeżdżać.  
Zaciekawiony w najwyższym stopniu, czegooby panna Wanda życzyć sobie odemnie mogła, zwłaszcza w tak ważnym i uroczystym dla niej dniu, pospieszyłem do owego saloniku, w którym zwykle odbywaliśmy lekcye.  
Wszedłem i—szczerze mówie musiałem oczy przymrużyć, gdyż zostałem nagle olśniony, ujrzawszy moją uczennicę.

Zapisałem już poprzednio w tym pamiętniku, że była to dziewczica piękna i okazała, ale w stroju ślubnym, w znojach śnieżnobiałej szaty, w pół przezroczystym welonie, który ją całą osłaniał, wyglądała, jak zjawisko.  
Olśniony byłem i oniemiałem z podziwu i byłbym tak stal, sam nie wiem jak długo, z otwartymi ustami i nie wiedział, jak się odezwać, gdyby ona sama nie była zaczęła rozmowy.  
Podawała mi rękę na powitanie, poprosiła abym usiadł i wprost przystąpiła do rzeczy.

— Panie Melchiorze—rzekła— przez trzy lata byłeś moim nauczycielem i przyjacielem zarazem. Pracowałeś nademną i doprawdy wiele skorzystałam z pańskich światłych, a tak jasno i przystępnie prowadzonych wykładów. Dziś uczennicą pańską być przestaję i rozpoczynam nowe życie... Ale pamięć o panu zachowam na

zawsze w głębi serca. Przyjmij pan odemnie serdeczne, szczerze podziękowanie za twą pocziwą pracę i życzliwość. Podała mi znów rękę, którą tym razem, bez żadnych skrupułów i wątpliwości, ucałowałam kilkakrotnie i rzekłam, prawie ze łzami w oczach:

— Panno Wando, jestem dobrocią pani tak wzruszony, że wyrazić tego nie potrafię. Niech pani Niebo da tyle szczęścia, tyle pociechy, tyle radości w życiu, ile ja ci, pani, życzę.

— Dziękuję, stokrotnie dziękuję i proszę — dodała zarumieniona, podając mi jakieś zawinięte w papier pudełeczko — nie wzgardź drobną pamiątką od wdzięcznej uczennicy. Niech ten drobiazg przy, pomni ci ją czasem...

Wziąłem pudełeczko (w którym, jak zobaczyłem później, był piękny złoty zegarek, z napisem odpowiednim i data jej ślubu) wziąłem

choć wolałbym by! na ustnem podziękowaniu poprzestać.

Chciałem właśnie powiedzieć, że i bez upominku zawsze o niej pamiętać będę, lecz nie dała mi przyjść do słowa.

— A teraz—rzekła—panie, jeszcze jedna prośba. Lekcje moje rzecz naturalna, ustają, ale, widzi pan, moi rodzice tak pana polubii, tak pana bardzo szanują, mój kochany ojczulek tak ceni pańskie towarzystwo, że smutno i przykroby mu było, gdybyś odjechał. Zostań pan w Woli.

Poruszyłem się na krześle.

— Rozumiem ja pańskie skrupuły—rzekła—aleć można na to poradzić. Tu się znajdzie dla pana zajęcie. Zostań pan, zrób to dla mego ojca, dla mnie.

— Widzi pani...

— Namyśleć się pan chcesz? Dobrze, przecież chyba nie odjedziesz pan dziś, ani jutro, bo nie puszczą pana, zatrzymają, popro

stu koni nie dadzą. I po dobrem sercu pańskim nie spodziewam się, żebyś chciał mego dobrego ojczulka tak zaraz w pierwszej chwili opuścić... Ja jutro odjeżdżam do męża, goście też odjadą; wyobraź pan sobie, jak tu rodzicom moim będzie samotnie i smutno. Czyż pan ich w takiej chwili opuścisz, panie Melchiorze? Ja bardzo, bardzo proszę pana o tę łaskę, a co do dalszego pańskiego stosunku z tym domem—to się jakoś ułoży.

Uśmiechała się, mówiąc te słowa i taka wzruszająca prośba, takie jakieś serdeczne drzenie było w jej głosie, że kamieńby się rozczulił.

A przecież jam nie kamień. Odrzekłem, że chętnie, o ile możliwości, starać się będę uprzyjemnić sędziostwu pierwsze chwile osamotnienia, ale pod jednym warunkiem.

Pod jakim? — Że mi pani nareszcie wyjawisz swoją tajemnicę i rozwiążesz zagadkę, nad którą trzy lata się męczę. Po co właściwie uczyłaś się pani łaciny? Czy po to tylko, by zrozumieć księdza, który powie dziś do pani: „accipe annulum?...”

Moja exuczennica roześmiała się szczerze i wesoło

— Mnie łacina—rzekła—wcale potrzebna nie była; uczyłam się jej właściwie dla ojca.

Więc pan sędzia życzył sobie tego.

— Nawet mu na myśl nigdy podobny projekt nie przyszedł. Zdumiał się, gdym mu powiedziała, że mam chęć łacinę studyować.

— Tedy... nic a nic nie rozumiem, jaka idea?

— Widzi pan, to prosta rzecz. Ja mego ojca bardzo kocham; kocham tem więcej, że jest cierpiący, a przez to jakby przykuty do domu i skazany na samotność. Wia

domo panu, że gdy mu ból w nodze dokucza, to musi siedzieć w pokoju i nie wychylać się nawet za próg. To bardzo jest ciężko.

— W samej rzeczy— odrzekłem—pan sędzia dużo cierpi.

— Jediną rozrywką ojca jest towarzystwo i preferans. Proboszcz przyjdzie, pan Dukszner przyjdzie i grają—ale ojciec zawsze się użala! na to, że taka gra bez czwartego zabardzo męczy i to mu psuto cała zabawę. Tyle razy się uskarżał, że postanowiłam pod jakimkolwiek pozorem zaradzić temu jakoś. Rozumie pan teraz?

— Bynajmniej, panno Wando; miałem się dowiedzieć o łacinie, a słyszę o preferansie.

— Ach, jaki pan niedomyślny! Przecież ja tej łaciny nie potrzebowałam, szło mi tylko o pozór, ażeby módz sprowadzić do Woli człowieka przyzwoitego i wykształconego, któryby ojcu memu to

warzystwa dotrzymywał—no i tak szczęśliwie trafiłam, że ojciec miał przyjaciela i partnera i ja skorzystałam.

— Ach !—zawołałam—więc to ja byłem tu tylko... czwartym!

Gdyby Herkules uderzył mnie potężną swoją maczugą, padłbym na miejscu z roztrzaskaną czaszką i skończył nędzne życie odrazu; ugodzony zaś tym jednym wyrazem, zatoczyłem się tylko, jak pijany, uczułem że mi się jakieś nici rwą w głowie, a w sercu coś boli... ach, jak boli!...

Zabiła mnie ta piękna dziewczyna, zdruzgotała, zmiażdżyła, jak nędznego robaka. Musiało na mej twarzy odbić się to cierpienie moralne, gdyż Wandzia przeraziła się bladej mej i zawołała z niekłamanym, szczerem współczuciem:

— Na Boga żywego, co panu Zdobyłem się na najwyższy wysiłek woli i odrzekłem spokojnie:

— Nic, panno Wando, to przejdzie. Jestem oddawna cierpiący na serce i każde silniejsze wzruszenie działa na mnie.

— Jakież pan dobry i życzliwy dla nas!...

Tak, pomyślałem sobie, tak śliczne dziewczyno; życzliwy jestem, chociaż tyś mnie zabiła słówkiem jednym... Niech ci to Bóg przebaczy, bo zmarnowałaś mnie bezwiednie...

Goście zaczęli się zjeżdżać, a ja odszedłem do oficyny, do pokoiku mego, zamknąłem drzwi na klucz i zapłakałem rzewnie, serdecznie, nad życiem straconym, nad moją własną marnością.

i tyle lat przeżyłem i tyle chleba zapracowałem i zjadłem i doczekałem włosów siwych, bez świadomości stanu swego, nie wiedząc wcale, czym byłem właściwie, czym jestem?!

Trzebaż dopiero, żeby ta dziewczyna, u progu własnego szczęścia

wydarła mi słówkiem niebacznym moje biedne szczęście: nieświadomość!—i trzebaż było, aby do wykonania tego wyroku, który chyba, duch złego i zniszczenia na mnie wydał—ustroiła się tak uroczyście.... Ha! jakaż ironia piekielna! Wyglądała, jak anioł, gdy przyszła wypędzać z duszy mojej... człowieka...

Zaprawdę, tylko ognistego miecza jej brakło!..

O księżu Eustachy! W jakążto wyprawileś mnie drogę? po com się uczył? po com stopnie zdobywał? po co Aby nigdy niebyć samodzielnym, tylko wiecznym zastępcą, wiecznym wyręczyteliem, tylko.... czwartym do kart!

Długo płynęły z mych oczu łzy gorzkie, łzy jakiegoś dziwnego upokorzenia i wstydu... Ale po wiedziałem sobie nareszcie:

— Biedaku czwarty, dość już płakałeś nad sobą i będziesz je

szcze nieraz miał sposobność zapłakać w Warszawie, cło której powrócisz, w stancyjce swej samotnej. Teraz idź tam, gdzie się weselą, usiłuj uśmiech na twarz wywołać, nie psuj ogólnego nastroju. Niech cię, Melchiorze, nie plami niewdzięczność; jesteś marnym robakiem, jesteś niczem... czwartym do kart jesteś—ale złym nie bądź. Pamiętaj, że ci ludzie dali ci blisko trzy lata życia spokojnego i szczęśliwego prawie, że cię darzyli przyjaźnią i że gdybyś chciał tylko, to mógłbyś u nich do śmierci za... czwartego pozostać. Melchiorze! o Melchiorze! opanuj swoją boleść, pokonaj pychę, każ milczeć godności zdeptanej—i idź do nich.

Tak przemawiałem i tak przemówiłem do siebie, głosem przekonywającym, poważnym i surowym, bo tak zawsze czynię w ważniejszych życia momentach. Przemówiłem do siebie, przekonałem

sam siebie i byłem posłuszny sam sobie.

Surowym jestem zawsze „automentorem”, moralizuję się, karzę, a gdybym kiedy głosu własnego, głosu sumienia lub przekonania nie usłuchał, tobym sobie klęczęc kazał, lub zamknął się za karę na trzy dni w ciemnicy, o chlebie i wodzie... Tak się trzymałem krótko od młodości wczesnej i tak aż do śmierci trzymać się będę.

Zajechaliśmy przed bramę kościelną. W kruhcie spotkał nas proboszcz, zakłopotany niezmiernie.

— Sędzio dobrodzieju!—rzekł.— Co ja zrobię?!

— Cóż się stało?

— A oto wypadek fatalny! Wyobraź sobie, organista, przed kwadranssem, na schodach upadł, rękę zwichnął i grać nie może. Co za casus! Nie jest to wprawdzie impedimentum, ale jakżeż... żeby Wandzia, sędzianka, brała ślub cichy... bez organów. Mała to rzecz

ale kobiety gotowe jakieś złe wróżby ztąd wyciągać...

— W samej rzeczy — rzeki sędzia — to przykre, aleć trzeba coś zaradzić.  
— Ot, wiesz co, sędzio ? — doda! ksiądz. — Chodźcie wszyscy do mnie na plebanię, posiedzicie, pogawędzimy, butelczynę wam jednę i drugą postawię, a tymczasem pan Biernacki pojedzie do Rudki i ztamtąd organistę przywiezie.  
— Po co ten zachód?—rzekłem—sędzianka weźmie ślub zaraz i bez żadnych impedimentów.  
— A to jakim sposobem?  
— Ja zagram na organach i zaśpiewam, jak należy.  
— Alboż pan umiesz?  
— Gdybym nie umiał, nie ofiarowywałbym swych usług.  
— O Melchiorze! —zawołał sędzia—niech że ci Bóg płaci!  
Nie słuchałem podziękowań i tak, jak stałem, we fraku, z bukietem

kiem u klapy, przez jakąś w różowych obłoczkach fruującą druchnę przypiętym, poszedłem na chór, po wąskich, ciemnych schodkach.

Dziad świecił mi, w obawie, żebym także ręki nie zwichnął.

— O Wandziu!—myślałem sobie o morderczyni moja, panno Wando! Służyłem twemu ojcu za... czwartego, za dziada do kart, niechże jeszcze i tobie za organistę do ślubu posłużę. Idź, graj, wiekiusty zastępco!... Przypomniałem sobie, siedząc już na chórze, moją młodość, organiścińcę srogą, organistę łagodnego i ksiądz Eustachy na myśl mi przyszedł... Dziad oba miechy nadusił, położyłem palce na klawiszach, stopy oparłem na pedałach i widziałem z góry, jak przed wielkim ołtarzem, wśród blasku świec jarzących, masy choinek zielonych, na wzorzystym dywanie, państwo

młodzi uklękli, jak się orszak weselny szykował...

Proboszcz, w bogatą białą kapę przybrany, wyszedł z zakrystyi.

— „Veni Creator!”

Organ stary, ale mocny jeszcze, zabrzmiał donośnie, a z mojej piersi, bólem wezbranej, podeptanej tak niedawno, wyszedł głos silny, prawie potężny

i oglądali się ludzie. Odśpiewałem hymn do Ducha świętego. Proboszcz obrządku dopełnił.

Niewielebo czasu potrzeba, aby dwoje ludzi na złą, czy na dobrą dolę połączyć.

Kiedy orszak weselny ku drzwiom kroczył, poloneza im zagrałem, z uczuciem, z wielkiem uczuciem...

Ostatni to raz w życiu dotykałem organów.

Zszedłem z chóru; powozy i karety mknęły już ku dworowi, na mnie oczekiwał przy drzwiach Biernacki.

— A niechże pana nie znam!— zawołał—a to grasz. Gdzie!? Nasz dławiduda powinien u ciebie w piecach palić. Ktoby się spodziewał, że taki mizerny człowieczyna, jak profesor, może głosu wielkiego dobyć i że gra jak drut. Wielką przysługę zrobiłeś sędziostwu, a najbardziej sędzinie, bo ślub z przeszkodami dobrego nic nie wróży.

— Przesady!

— I ja powiadam, że przesady; ale swoją drogą, sam znałem takiego, co idąc do ślubu, potknął się w kościele — i co profesor powiesz? We dwadzieścia dwa lata potem, nic w tym samym dniu wprawdzie, ale o tej samej godzinie punktualnie, umarł, panie, jak drut—na zapalenie wątroby! Przesąd, juści przesąd, ale człowieka dyabli wzięli. Nie ulega kwestyi, że coś jest takiego w powietrzu. Poczekajmy trochę na proboszcza, właśnie trzymam dla was powóz.

Ksiądz nadszedł, pojechaliśmy.

Rozpytywał się, z kądem na organach grać umiem, opowiedziałem mu w krótkości.

Pokazało się że on księdza Eustachego doskonale znał, że przez trzy lata, tylko co z seminaryum wyszedłszy, przy nim wikarym był.

Bardzo go dobrze pamiętał i mile wspominał, bo też, co prawda, mi ło takich ludzi zacnych, takich wielkiego serca, jak był ksiądz Eustachy.

Weszliśmy do dworu, a tam się już roilo od gości. Pełno było panów we frakach, matron w jedwabiach, panien w powiewnych sukienkach. Gwarzyło to, rozmawiało, śmiało się, bo komuż nie wesoło na weselu

I ja może byłbym cieszył się razem z nimi, ale boleśnie wiercił mi w sercu ten... czwarty.

Otworzono na oścież drzwi do jadalni, gdzie był ogromny stół zastawiony.

Goście przeszli parami, pozajmowali miejsca. Tak się złożyło, że siedzieliśmy obok siebie: proboszcz, pan Dukszner i ja. Gawędziliśmy półgłosem o tem, o owem, a potem przestaliśmy gawędzić, bo kieliszki w kurs poszły, a przy kieliszkach przemówienia i toasty.

Więc naprzód wniesiono toast za zdrowie i pomyślność młodej pary, gromkim przyjęty wiwatem, potem na cześć rodziców pani młodej, pana młodego. Humor się ożywił, szkło brzęczało, rozmowa coraz gwarniejszą się robiła.

I mnie, po kilku kielichach, raźniej się nieco zrobiło, bo w ogóle trunków używam bardzo mało, w wyjątkowych okolicznościach jedynie, przez co i silniej one na mnie, aniżeli na ludzi przyzwyczajonych, działają.

Sędzia, napełniwszy winem duży kielich, powstał. Zrobiła się cisza przy stole.

— Drodzy moi goście — przemówił — żadnym ja stanem nie pogardzam, ludzi uczciwych wszelkiej, choćby najniższej kondycyi, szanuję, ale w dość długim życiu mojem nie zdarzyło mi się jeszcze, abym w liczmem i szanownem gronie wznosił toast na cześć... organisty. Trafia mi się taka okazyja po raz pierwszy, a tem dla mnie jest miłsza, że dzisiejszy przygodny organista nasz, pan Melchior, jest mi podwójnie szanowny i drogi; raz jako człowiek, który uzupełnił wykształcenie mej córki, a powtóre, jako przyjaciel mój osobisty i miły zawsze towarzysz. Dziś dał on nam poznać talent swój ukryty i dzięki jemu, wy, państwo młodzi, o kilka godzin wcześniej zostaliście stulą związani. Jeżeli trzy godziny szczęścia więcej są coś warte, a wiercie mi, że warte są wiele, to wiedzcie, że zawdzięczacie je memu przyjacielowi i że należy mu się od

was podzięka. Wnoszę ten toast na jego cześć. Wiwat pan Melchior, przyjaciel nasz, zacny człowiek i dzisiejszy .. organista!

Uczczono mnie gromkim wiwatem. Pan miody przyskoczył i uścisnął mnie serdecznie za owe trzy godziny szczęścia, a i morderczyni moja podała mi rękę i podziękowała słodziutkim głosem za przysługę...

Były tańce, krążyły kielichy, a potem, jak dla mnie przynajmniej, wszystko już dziwnie krążyło.

Dokładnej relacyi z przebiegu zabawy nie podaję, bo szczegóły wysliznęły się z mojej pamięci.

To tylko pamiętam, że nocą gwiazdy świec, y pięknie, a Biernacki mnie pod rękę prowadził.

I to pamiętam, jak przez mgłę, żem się uparł, żeby się po ogrodzie przejść. I przeszliśmy się.

Widocznie, rozmarzony winem, wypowiedziałem mu wszystkie

moje smutki i boie serdeczne i zamiar niezłomny wyjazdu, bo poczciwy człowiek litował się nademną pocieszał, mówiąc mi ciągle przez łyż.

— Melchiorze, jeżeli mnie kochasz, nie bądź głupi!

Nie było w tem stylu, ale serce było.



to pamiętam dobrze, że odprowadził mnie do mojej stancyjki, że całował mnie, ścisnął, aż frak na nim potrzaskał, że złościł się, klat, opowiadał coś o waryackich skrupułach, o gęsi, o baranie po łacinie beczącym... Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że to były jakieś do mego postanowienia aluzje. Kiedym się obudził nazajutrz, już ani panny Wandy, ani gości nie było. Poszedłem do dworu i zastałem sędziostwa bardzo, bardzo smutnych.

Ona krzątała się po pokojach, ocierając łzy ukradkiem, on, chociaż na nogę utykał, chodził jednak z kąta w kąt. miejsca sobie znaleźć nie mogąc. Widać Biernacki, filut, musiał coś o moich zamiarach nadmienić, bo sędzia, jak to mówią, z różnych beczek zaczynał, proponował mi posady jakieś nadzwyczajne: lustratora, kasyera! Szczerze powiedziałem, że przyjąć nie mogę i po dwóch tygodniach odjechałem. Kiedym żegnał tych ludzi, zauważyłem, że chwila rozstania była dla nich bardzo przykra. A dla mnie? Mój Boże, łzy miałem w oczach, ale nie chciałem, nie mogłem przy nich w takim charakterze pozostać. To było nad moje siły...

Rozdział ostatni, będący zakończeniem historii nieboszczyka czwartego. Kiedy mi szczęśliwe zdarzenie dało poznać pana Melchiora i bliższe zawiązać z nim stosunki— mieszkał on wówczas w Warszawie i zajmował niewielki pokoik przy rodzinie, ale z osobnym wejściem, przy ulicy Wspólnej, wysoko, na trzecim piętrze. Przychodziłem do niego niekiedy na pogawędkę i cygaro. Gawędziliśmy, a w tych gawędach malowała się cała jego dusza, dusza prostoty gołębiej. Pobyt w Woli zrobił w nim wielki przewrót, zniechęcił go do świata, źle mówię, nic zniechęciłale onieśmielił bardziej jeszcze.

Lekcyi już dawać nie chciał, od zastępstw się wymawia!, chyba, gdy go bardzo proszono, ustępował—i poprawiał ćwiczenia uczniowskie za tych, co czasu nie mieli, albo nie chcieli mieć; opracowywał gramatykę łacińską, która wyjść miała z druku, jako samodzielna praca doświadczonego pedagoga pana Iksa; pomagał komuś przy układaniu praktycznego słownika greckiego, ale czynił to bez wynagrodzenia i jedynie na usilne prośby.

Zapłaty żadnej nie chciał—pieniędzy nie potrzebował. To, co zarobił na wsi miał i czerpał z tego funduszu, jakby przeczuwając, że mu na krótki życie wystarczy.

— Mnie tu między wami niedługo już—mówił nieraz do mnie —dni moje policzone.

— Cóż to, panie Melchiorze, chory jesteś? dolega ci co?

— Nie chorym ja, nic mnie nie boli i nie dolega, a przecież czuję,

że już koniec. Słabnę, siły tracę, dopalani się, jak świeca. lepiej. Śmierci się nie lękam, życia nie żałuję. Nikomu nic byłem i nic jestem potrzebny... Odejdę, bo taka kolej rzeczy; kto przyszedł, musi odejść. Jeden pozostawia po sobie żal, inny pogardę, jeszcze inny przekleństwo—ja nic. Nikt nic zauważył mego istnienia, nikt nie spostrzeże, żem zniknął; w statystyce przybędzie jednostka, w księgach stanu cywilnego akt zejścia, na cmentarzu mogiła...

Staralem się go pocieszać, lecz on na inny przedmiot rozmowę zaraz zwracał, najczęściej szachy wydobywał i do gry zapraszał.

— Pokażę ci partję Tobiasza Tupeta, doskonała! Nie dostanie się ona zapewne do literatury szachowej, nie będzie uwieczniona drukiem, ale jest ciekawa i warta studyów. O! patrz: ja tak, on tak; ja tak, on tak; dalsze posunięcia są te, te i te; on szach, ja zasła

niani się koniem, on szach, zasłaniam się damą, on jeszcze szach tracę wieżę— i rób, co chcesz — mat! Tak grywał Tobiasz Tupet, myśliciel, filozof najdziwniejszego rodzaju, mistyk, kabalista, osobliwa istota, jakiej podobnej w życiu mojem nic widziałem i zapewne już nie zobaczę...

Rozmawialiśmy o pannie Wandzie, o Woli. o zacnem sercu sędziny i sędziego, o Biernackim.

Byt to ulubiony temat gawęd

pana Melchiora, zawsze chętnie do niego powraca! i rozpamiętywał wszelkie szczegóły kilkoletniego pobytu na wsi, który byłby mógł do najpiękniejszych chwili życia swego zaliczać, gdyby nie to odkrycie fatalne.

Biedny Melchior, nie mylił się co do stanu swego zdrowia; sity go opuszczały, chociaż cierpień żadnych nie doznawał, gasnął, dogorywał, dopalał się, jak świeca.

Jednego razu, gdym wstąpił do niego na pogawędkę wieczorną, nie zastałem go w domu.  
Powiedziano mi, że zasłabł i kazał się do szpitala odwieźć.  
Nazajutrz pojechałem tam rano, ale go już nie było.  
Siostra miłosierdzia powiedziała mi, że skonał o drugiej po północy.  
Zasnął na wieki, bez cierpień..  
Chciałem go raz jeszcze zobaczyć i pogrzebem się zająć.  
Posługacz szpitalny, człowiek, za mały datek, bardzo uprzejmy i grzeczny, zaprowadził mnie. jak się wyrażał, do...  
składu.  
Kilka ciał zeszywniałych, wyprostowanych, leżało na stołach, każde było grubym płótnem przykryte.  
— Któryż jest Melchior Kurkiewicz? zapytałem, zdejmując kapelusz przed majestatem śmierci.

Posługacz rękę wyciągnął, policzy! umarłych, pomyślał i rzekł:  
— A to właśnie, proszę łaski pana, jest ten nieboszczyk... czwarty.